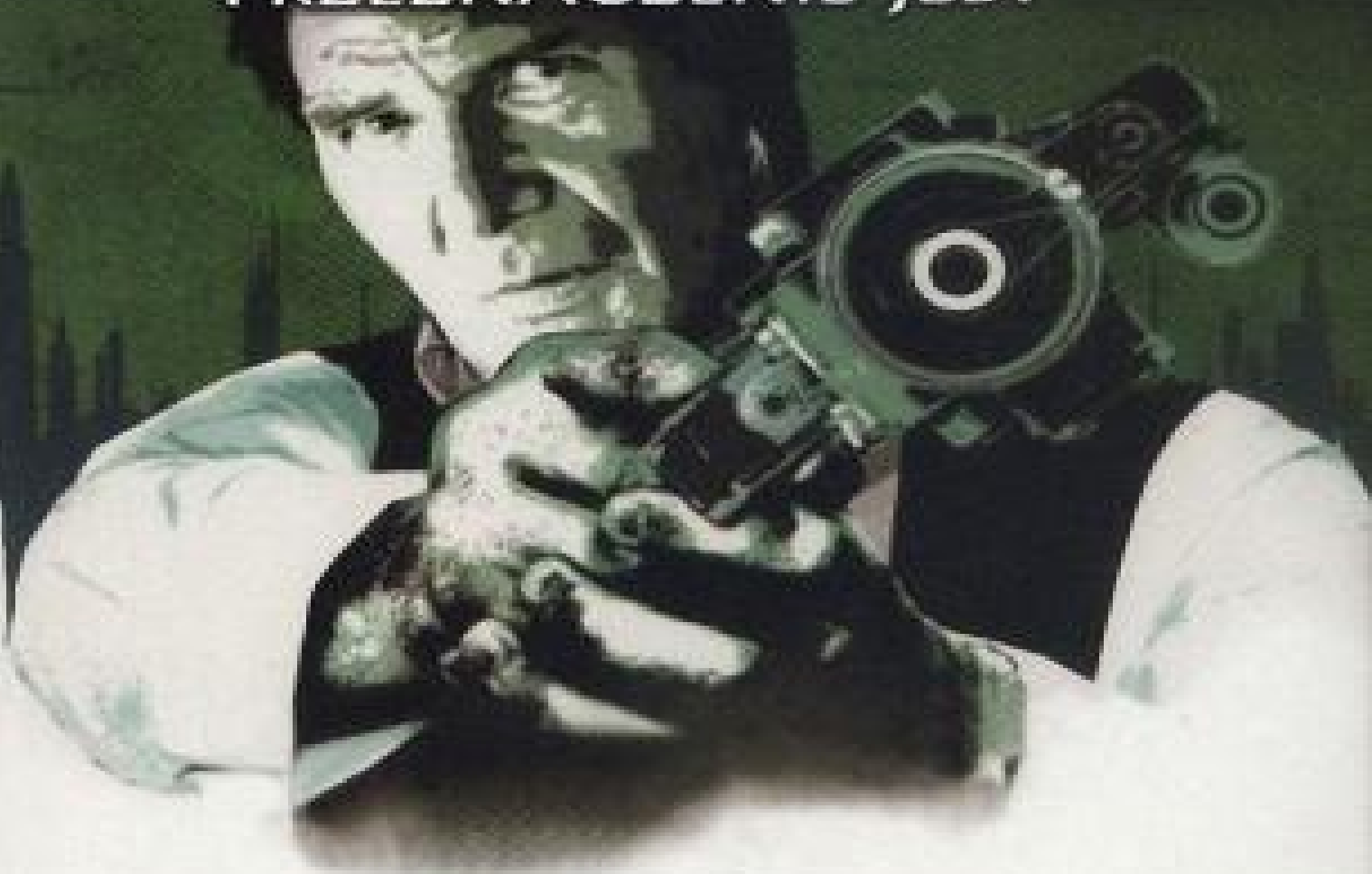


# STAR WARS

PRZEZNACZENIE JEDI



## WIR

TROY DENNING



# STAR WARS

PRZEZNACZENIE JEDI



WIR

TROY DENNING



PRZEZNACZENIE JEDI

**WIR**

**TROY DENNING**

Przekład

Jerzy Śmiałek

Anna Hikiert

Błażej Niedziński

Redakcja stylistyczna

Magdalena Stachowicz

Korekta

Jolanta Gomółka

Renata Kuk

Projekt graficzny okładki

Ian Keltie i David Stevenson

Ilustracja na okładce

© Ian Keltie

Druk

Wojskowa Drukarnia w Łodzi Sp. z o.o.

Tytuł oryginału

Fate of The Jedi#6: Vortex

Copyright © 2010 by Lucasfilm Ltd. & ® or ™ where indicated.

All Rights Reserved.

Used Under Authorization.

For the Polish translation

Copyright © 2012 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-4159-3

Warszawa 2012. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63

tel. 22620 40 13, 22620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

*Kevinowi McConnellowi,*

*którego właśnie czeka jego własna, wielka i nowa przygoda* **BOHATEROWIE POWIEŚCI**

Abeloth - osoba płci żeńskiej

Allana Solo - dziewczynka

Ben Skywalker - Rycerz Jedi (mężczyzna)

C-3PO - android protokolarny („płci” męskiej)

Eramuth Bwua'tu - prawnik (Bothanin)

Gavar Khai - Rycerz Sithów (mężczyzna)

Han Solo - kapitan „Sokoła Millenium” (mężczyzna)

Jagged Fel - przywódca Galaktycznego Imperium (mężczyzna) Jaina Solo - Rycerz Jedi (kobieta)

Kenth Hamner - p.o. Wielkiego Mistrza Jedi (mężczyzna) Lando Calrissian - przedsiębiorca (mężczyzna)

Leia Organa Solo - Rycerz Jedi (kobieta)

Luke Skywalker - Wielki Mistrz Jedi (mężczyzna)

Natasi Daala - przywódczyni Galaktycznego Sojuszu (kobieta) R2-D2 - robot astromechaniczny („płci” męskiej)

Saba Sebatyne - Mistrzyni Jedi (Barabelka)

Sarasu Taalon - Arcylord Sithów (Keshiri)

Tahiri Veila - oskarżona i były Rycerz Jedi (kobieta)

## ROZDZIAŁ 1

Za dziobowym iluminatorem unosił się cienki jak pajęczyna woal Chmury Ashteriego -

ogromny obłok zjonizowanego gazu tuderium, znajdujący się na jednym ze skrajów sektora Kessel.

Był usiany błękitnymi aureolami tysiąca odległych słońc, a jego mlecznobiałe pasma nieomylnie dowodziły, że „Łowca Asteroid” w końcu opuścił pozbawiony światła, ponury obszar Głębokiej Otchłani. Po mrozących krew w żyłach skokach na oślep przez labirynt nieobecnych na mapie nadprzestrzennych szlaków i wygłodniałych czarnych dziur nawet taki słabiutki blask przynosił

upragnioną ulgę oczom Jainy Solo.

A ściślej, przynosiłby, gdyby chmura znajdowała się we właściwym miejscu.

„Łowca Asteroid” leciał na Coruscant, nie na Kessel, co oznaczało, że podczas opuszczania z Otchłani Chmura Ashteriego powinna być widoczna jakieś czterdzieści stopni po stronie bakburty. Powinna też wyglądać jak ledwo widoczna wstążka światła o kolorystyce przesuniętej tak bardzo w stronę czerwieni, że wyglądałaby jak słaby płomyk. Jaina nie potrafiła pojąć, jakim cudem tak bardzo zbczyli z kursu.

Spojrzała na stanowisko pilota - obrotowy antygravitacyjny fotel, otoczony przez panele kontrolne i opuszczone ekrany monitorów - ale na zmarszczonym czole Landa Calrissiana nie znalazła odpowiedzi na nurtujące ją pytania. Ubrany w nieskazitelnie białą błyszczojedwabną tunikę, błękitno-fioletowe spodnie i modną pelerynę, Lando siedział na samym skraju głębokiego fotela z nerfowej skóry. Oparł brodę na kostkach palców i utkwiał spojrzenie w alabastrowej mgiełce za iluminatorem.

Odkąd znała Landa, czyli od jakichś trzydziestu lat, była to jedna z rzadkich chwil, kiedy Jaina zauważała, że jego dotychczasowe życie hazardzisty, pełne rozgrywek, w których można było wszystko wygrać albo wszystko stracić, wywarło wpływ na jego czarujący wygląd artysty oszusta.

Świadczyło to także o tym, w jakim napięciu i strachu żył przez ostatnie kilka dni... i prawdopodobnie także o szalonym tempie życia. Lando był, jak zawsze, nienagannie ubrany, ale nie znalazł dość czasu, żeby się zatroszczyć o ufarbowanie na głęboką czerń wąsów i kręconych włosów.

Po kilku sekundach Lando w końcu westchnął i usiadł wygodniej w swoim fotelu.

- Proszę bardzo, wykrztuś to - powiedział.

- Niby co? - zapytała zdezorientowana Jaina. Zastanowiła się, co właściwie Lando chce od niej usłyszeć. W końcu to właśnie on dokonał niewłaściwego skoku. - Że to nie moja wina?

W udręczonych oczach Calrissiana mignął błysk irytacji, ale Lando chyba zrozumiał, że Jaina próbuje tylko poprawić mu nastrój. Zachichotał i posłał jej jeden ze swoich jasnych niczym supernowa

uśmiechów.

- Jesteś równie nieznośna jak twój staruszek - zawyrokował. - Czy nie widzisz, że to nie pora na żarty?

Jaina uniosła brew.

- To jak, nie postanowiłeś przelecieć obok Kessel, żeby przywitać się z żoną i z synem? -

zakpiła.

- Dobry pomysł - przyznał Lando, ale zaraz pokręcił głową. - Ale nie.

- No cóż, w takim razie... - Jaina włączyła rezerwowe stanowisko pilota i zaczęła, aż obudzą się do życia dalekosiężne skanery. Stary holownik asteroid zaprojektowano w taki sposób, żeby mogła go pilotować jedna osoba i liczna grupa robotów. „Łowca Asteroid” nie miał nawet porządnego stanowiska drugiego pilota, co oznaczało, że czekanie będzie dłuższe niż Jainie mogłoby się to spodobać. - Skąd się tu wzięliśmy?

Lando spoważniał.

- Dobre pytanie - powiedział. Odwrócił się w stronę rufy, gdzie znajdował się przestronny pokład lotniczy „Łowcy Asteroid”. To właśnie tam zainstalowano równie zabytkowy jak sam statek komputer nawigacyjny. Stał przed nim wyprodukowany przez Cybot Galactię android model RN8, automat o żeńskiej osobowości. W przezroczystej kopułce głowy migotał centralny procesor, pracujący obecnie z największą możliwą szybkością. W kuli tkwiły także trzy niebieskie fotoreceptory, rozmieszczone w równych odległościach od siebie, żeby zapewnić androidowi trzystuszęściodziesięciostopniowe pole widzenia. Android miał korpus z bronzem, ozdobiony wyrytymi wizerunkami komet, konstelacji i innych ciał niebieskich. - Dobrze pamiętam, że poleciłem Omate obrać kurs na Coruscant.

Kulista kopułka głowy RN8 obróciła się szybko, żeby android mógł skierować na Landa jeden ze swoich fotoreceptorów.

- Tak, to prawda - przyznał automat. Miał jedwabisty i głęboki, nieco kpiący głos. - Ale później odwołał pan ten rozkaz i polecił obrać kurs na ten punkt, w którym teraz się znajdujemy.

Lando spojrzał spode łba na automat.

- Musisz bardziej zadbać o swoje czujniki akustyczne - powiedział. - Na pewno się przesłyszałaś.

Kiedy RN8 przekazywała dodatkową porcję energii do swoich systemów diagnostycznych, błyski w jej kopulastej głowie przygasły.

Jaina spojrzała ponownie na ekran rezerwowego monitora i zauważyła, że dalekosiężne skanery w końcu zaczęły przekazywać obrazy. Niestety, niewiele to pomogło. Jediną rzeczą, która zmieniła się w brązowej ramce, był kolor ekranu i samotny symbol oznaczający pozycję „Łowcy Asteroid”

dokładnie pośrodku.

Z tyłu, z pokładu lotniczego, dobiegł jedwabisty głos RN8:

- Moje czujniki akustyczne znajdują się w optymalnym stanie, panie kapitanie... podobnie jak bazy danych i systemy ich odzyskiwania. - Następne jej słowa rozległy się na pokładzie, wypowiedziane znajomym barytonem: - Skieruj „Łowcę Asteroid” w inne miejsce, w Chmurę Ashteriego. Powinniśmy tam dobrać o siedemnaście piętnaście Standardowego Czasu Galaktycznego.

Oślepiały Lando otworzył usta i wyjąkał:

- To... nie ja!

- Niezupełnie - zgodziła się z nim Jaina. W kilku słowach akcent rzeczywiście padał na niewłaściwą sylabę, ale poza tym ton głosu był identyczny. - Ale to podobieństwo wystarczy, żeby wywieść w pole androida.

Zdezorientowany Lando zamknął oczy.

- Czy chcesz mi powiedzieć to, co moim zdaniem chcesz powiedzieć? - zapytał.

- Owszem - odparła młoda Solo, zerkając na czysty ekran monitora swoich sensorów. - Nie mam pojęcia, w jaki sposób, ale ktoś się pod ciebie podszył.

- Dzięki Mocy?

Jaina wzruszyła ramionami i rzuciła znaczące spojrzenie w mroczny kąt mostka. Znała wprawdzie co najmniej sześć technik Mocy, którymi można by się posłużyć, żeby pokonać oprogramowanie RN8, umożliwiające jej rozpoznawanie głosów, ale żadna z tych technik nie miała zasięgu mierzonego w latach świetlnych. Zaczęła ostrożnie rozszerzać swoją świadomość Mocy, skupiając uwagę na odległych zakamarkach wielkiego statku, ale trzydzieści standardowych sekund później ze zdumieniem stwierdziła, że nie natknęła się na nic niezwykłego. Nie wykryła kryjących się tam obcych istot ani nawet pustych miejsc, w których mógłby się ukryć nieznany władca Mocy.

Nie znalazła nawet małego insekta, który mógłby ukradkiem posługiwać się Mocą.

Po chwili odwróciła się znów do Landa.

- Z pewnością posłużono się Mocą - zawyrokowała. - Tyle że na pokładzie nie ma nikogo oprócz nas i automatów.

- Obawiałem się, że to powiesz - oznajmił Calrissian. Zawahał się na chwilę i dodał: -

Przyjaciele Luke'a?

- Nie znoszę wyciągać pochopnych wniosków, ale... kóżby inny? - odparła Jaina. - Po pierwsze, Zapomniane Plemię czy nie, to są jednak Sithowie. Po drugie Już raz próbowali nas oszukać.

- Uważam, że są równie szaleni jak rankor na tanecznym parkiecie - stwierdził Lando. -

Abeloth była zamknięta w więzieniu z czarnych dziur przez dwadzieścia pięć tysięcy. Co za maniak doszedł do wniosku, że wypuszczenie jej to dobry pomysł?

- To są Sithowie - przypomniała młoda Solo. - Dla nich liczy się tylko potęga, a Abeloth miała potęgę jak rozbłysk nowej... dopóki Luke jej nie zabił.

Lando zmarszczył brwi i pogrążył się w zadumie.

- Cóż, jeżeli Sithowie są na tyle szaleni, aby myśleć, że zabiorą Abeloth ze sobą do domu, to prawdopodobnie mogą być równie szaleni, aby przypuszczać, że dadzą radę pokonać gościa, który ją zabił.

- Masz rację - przyznała Jaina. - Jeszcze kilka tygodni temu nikt nie miał pojęcia o istnieniu Zapomnianego Plemienia. Teraz to się zmieniło, ale Sithowie nadal chcą utrzymywać w tajemnicy wszystko, co się da.

- A więc z pewnością spróbują zabić Luke'a i Bena - stwierdził Lando. - I nas też. Będą chcieli zlikwidować ten przeciek.

- Ja też tak uważam - zgodziła się z nim Jaina. - Sithowie lubią dyskrecję, a to oznacza, że muszą nas powstrzymać natychmiast. Spodziewają się, że jak tylko wylecimy z Otchłani, uzyskamy dostęp do HoloNetu i złożymy raport.

Lando spojrzał w górę i z frustracją wypuścił powietrze z płuc.

- Powiedziałem Luke'owi, że nie wolno ufać nikomu, kto ma tytuł Arcylorda przed nazwiskiem. - To prawda, nawet bardziej niż Jaina starał się przekonać Luke'a, żeby nie zawierał

drugiej ugody z Zapomnianym Plemieniem... ugody, po której obaj Skywalkerowie i troje Sithów zostali, żeby zbadać macierzystą planetę Abeloth. - Może powinniśmy zawrócić?

Jaina zastanowiła się chwilę nad jego propozycją, ale w końcu pokręciła głową.

- Luke wiedział, że ta ugoda się nie ostoi, już kiedy ją zawierał - powiedziała. - Sarasu Taalon już kiedyś złamał dane słowo.

Lando spiorunował ją spojrzeniem.

- To jeszcze nie oznacza, że Luke i Ben są bezpieczni - zauważył.

- To prawda - przyznała mu rację Jaina. - Ale to oznacza, że obaj ryzykują życie, aby zwiększyć nasze szanse złożenia meldunku Radzie Jedi. To nasze główne zadanie.

- Oficjalnie Luke nie może w tej chwili wydawać nikomu rozkazów - przypomniał Lando. -



Nie złamałibyśmy więc rozkazów, gdybyśmy...

- Luke Skywalker jest nadal najpotężniejszym Jedi w galaktyce - przerwała mu Jaina. - Na pewno ma jakiś plan. - Nagle poczuła świerzbienie na plecach; wzdłuż jej kręgosłupa przeszedł

ostrzegawczy dreszcz. Pospiesznie zerknęła na przycisk szybkiego uwalniania się z ochronnej uprząży. - A poza tym musimy zacząć się martwić o własną skórę.

Lando wyglądał na zaniepokojonego.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał. - Że coś wyczuwasz?

Młoda Solo pokręciła głową.

- Jeszcze nie - powiedziała. - Ale to kwestia czasu. Jak myślisz, dlaczego wysłano nas w miejsce, które łatwo znaleźć?

Lando posłał jej groźne spojrzenie.

- A więc... - zaczął. Spojrzał na ekran i wcisnął kilka klawiszy, wydając polecenie wyświetlenia taktycznego raportu, ale zaraz grzmotnął pięścią w konsolę. - Czyżby nas...

zakłócili?

- Trudno powiedzieć, skoro nasze systemy sensorów są wyłączone na czas potrzebny do odgazowania - zameldowała RN8.

- Wyłączone? - zachnął się Lando. - Kto wydał taki rozkaz?

- Sam go pan wydał, dokładnie dziewięćdziesiąt siedem sekund temu - wyjaśniła RN8. -

Chce pan, żeby go odtworzyć?

- Nie! - wrzasnął Calrissian. - Odwołuję go i rozkazuję z powrotem włączyć wszystkie systemy. - Odwrócił się do Jainy. - Przeczuwasz, ile czasu mamy, zanim otworzą do nas ogień? -

zapytał.

Jaina zamknęła oczy i otworzyła umysł na przepływ Mocy. Wyczuła obecność licznych wojowniczych istot, zbliżających się do nich od strony Otchłani. Odwróciła się do RN8.

- Ile czasu zajmie ci przywrócenie sprawności systemom sensorów? - zapytała.

- W przybliżeniu trzy minuty i pięćdziesiąt siedem sekund - odparła droidka. - Obawiam się, że kapitan Calrissian wydał także rozkaz konsolidacji danych.

Jaina skrzywiła się i odwróciła znów do Landa.

- W takim razie mamy niespełna trzy minuty i pięćdziesiąt dwie sekundy - oznajmiła. - Ktoś wrogo nastawiony nadlatuje do nas od strony rufy. - Wstała i ruszyła do włazu na tyłach przestronnego mostka, a jej buty załomotały po starym durastalowym pokładzie. - Dlaczego nie mielibyśmy położyć kresu tym fałszywym rozkazom?

- Jasne, po prostu powiem mojej załodze, żeby przestała mnie słuchać - burknął

sarkastycznym tonem Lando. - To automaty, więc od razu rozumieją, o co mi chodzi.

- Możesz spróbować aktywować ich standardowe procedury weryfikacyjne - doradziła Jaina.

- Mógłbym, gdyby tak wiekowe automaty miały coś takiego jak standardowe procedury weryfikacyjne - odparł Lando. Odwrócił się i patrzył spode łba, jak młoda Solo idzie po pokładzie w stronę włazu. - A ty dokąd się wybierasz? - zapytał.

- Wiesz, dokąd - odparła Jaina.

- Do swojego myśliwca StealthX - domyślił się Calrissian. - Tego, co ma tylko trzy silniki i stracił matrycę celowniczą?

- Tego samego - potwierdziła Jaina. - Potrzebujemy oczu za burtą... i kogoś, kto będzie nas osłaniał.

- Nie ma mowy - oznajmił Lando. - Jeżeli pozwolę ci wylecieć i stoczyć walkę z Sithami, przez następne dziesięć lat twój tata będzie karmił nexu Amelii kawałkami mojego ciała.

Jaina stanęła jak wryta, odwróciła się do niego i ujęła się pod boki.

- Lando, czy wspomniałeś coś o pozwalaniu? - parsknęła. - Czy naprawdę powiedziałeś „nie ma mowy”?

Calrissian przewrócił oczami, ale nie wyglądał na zaskaszonego.

- Twój myśliwiec ma tylko trzy silniki, więc będziesz mogła nim manewrować równie łatwo jak kapsułą ratunkową - powiedział.

- Możliwe, ale to mimo wszystko lepsze niż siedzenie w tej balii niczym ślepy banth -

odparła Jaina. - Cóż, dzięki, że się o mnie martwiłeś. - Posłała mu kwaśny uśmiech. - To miłe, kiedy wy, staruszkowie, tak się o wszystko troszczycie.

- Staruszkowie? - warknął Lando. Po chwili jednak uświadomił sobie drwiący ton w głosie Jainy i spuścił głowę. - Zasłużyłem na to, prawda? - zapytał.

- Skoro tak myślisz... - Jaina roześmiała się na dowód, że nie żywi do niego urazy, i dodała:

- A wiesz, co Tendra by mi zrobiła, gdybym wróciła sama, bez tatusia Fuksa?

- Więc lepiej oboje uważajmy. - Lando machnął ręką, wysyłając Jainę do włazu. - Idź sobie, idź - powiedział. - Wysadź wszystko w powietrze. I baw się dobrze.

- Dzięki. - Jaina spoważniała. - Dzięki za wszystko, Lando. Naprawdę jestem ci bardzo wdzięczna. Nie musiałeś tu przylatywać, więc tym bardziej dziękuję ci za to, że podejmujesz tak wielkie ryzyko, żeby nam pomóc. To dla mnie dużo znaczy... dla mnie i dla całego Zakonu.

Wyczuła nagły chłód w aurze Landa w Mocy. Calrissian odwrócił głowę, jakby poczuł się nieswojo.

- Czy jest coś, o czym mi nie mówisz? - zapytał.

- Chodzi ci o obecną sytuację? - zdziwiła się młoda Solo, marszcząc czoło z powodu jego zaskakującej reakcji. - Raczej nie. Dlaczego pytasz?

Lando z wyraźną ulgą wypuścił powietrze z płuc.

- Jaino, moja droga, może nikt ci tego wcześniej nie powiedział... - zaczął poważnym tonem

- ...ale kiedy Jedi zaczynają ci tłumaczyć, ile dla nich znacysz, przyszłość zaczyna wyglądać...  
przerazająco.

- Oj, przepraszam. - Na policzkach Jaina pojawiły się rumieńce zakłopotania. - Nie miałam na myśli niczego... takiego. Naprawdę. Staralam się tylko...

- W porządku. - Głos Landa wciąż jeszcze lekko drżał. - A jeżeli miałaś na myśli...

- Nie miałam - przerwała Jaina.

- Wiem - odparł Lando, unosząc rękę, żeby ją uspokoić. - Ale jeżeli sytuacja tam, w przestworzach, znacznie wyglądać naprawdę źle, wróć na Coruscant i złóż raport. Potrafię zatroszczyć się o siebie. Rozumiesz?

- Jasne, Lando. Rozumiem. - Jaina znów ruszyła do włazu. - Ale nie ma mowy, żebym zostawiła cię tu samego - dodała szeptem.

- No i bardzo dobrze - stwierdził Calrissian. - I postaraj się nie oddalać zbytnio. Nie będę tu tkwił bardzo długo. - Ciche skrzywienie fotela świadczyło, że Lando odwrócił się do RN8. - Ornete, przygotuj parametry awaryjnego skoku do punktu o naszych ostatnich współrzędnych - rozkazał.

- Obawiam się, że to niemożliwe, kapitanie Calrissian - odparła Ornete. - Wydał pan obowiązujące nadal rozkazy, żeby po każdym skoku kasować pamięć nawigacyjnego komputera.

- Co takiego? - Gniew Landa zaczynał przechodzić w panikę. - Ile jeszcze rozkazów... nie, zapomnij. Po prostu odwołuję poprzednie rozkazy.

- Wszystkie? - zapytała RN8.

- Tak! - warknął Calrissian. - Nie, zaczekaj...

Jaina dotarła do wjazdu. Nie chcąc słuchać reszty polecenia Landa, pobiegła korytarzem, usianym łbami nitów. Nadal nie miała pojęcia, co knują Sithowie, ale zamierzała ich powstrzymać... i to nie tylko dlatego, że Rada Jedi musiała się dowiedzieć wszystkiego, co ona i Lando mogli jej wyjawić o Zapomnianym Plemieniu. Od wielu lat Lando był równie lojalnym przyjacielem Zakonu Jedi, jak i jej rodziców. Wielokrotnie ryzykował życie, majątek i wolność, żeby pomagać w każdym kryzysie, jaki w danym momencie zagrażał pokojowi w galaktyce.

Zawsze twierdził, że tylko odwdzięcza się za przysługę, że chroni swoją inwestycję albo dba o korzystne warunki do prowadzenia interesów, ale Jaina wiedziała, że to nieprawda. Lando po prostu troszczył się o przyjaciół i robił wszystko, co mógł, żeby pomóc im przeżyć... i to bez względu na kłopoty, w jakie się wplątali.

W końcu dotarła do dziobowego hangaru. Kiedy wjazd przed nią się otworzył, ze zdumieniem stwierdziła, że jej pokieroszony stealthX stoi na środku, rzęsiście oświetlony. W

pierwszej chwili pomyślała, że to Lando rozkazał hangarowemu androidowi przygotować wszystkie maszyny „Łowcy Asteroid” do startu.

Dopiero po chwili zobaczyła, czego jeszcze zabrakło jej myśliwcowi.

Z końców skrzydeł nie wystawały lufy broni. Prawdę mówiąc, przynajmniej z tej strony, którą właśnie widziała, zniknęły także działka. Młoda Jedi była tak wstrząśnięta, że nie czekała, aż w hangarze zapłoną pozostałe źródła światła; zresztą na chwilę zapomniała, że „Łowca Asteroid” nie ma automatycznego systemu oświetlenia. Z przeciwnej strony myśliwca doleciał zgrzyt pneumatycznego klucza, a pod maszyną zauważyła teleskopowo składane nogi kilku automatów stojących okrakiem nad obudową aktuatora laserowego działka typu KX12 firmy Taim & Bak.

Co, do...? - pomyślała wstrząśnięta.

Szarpnięciem odczepiła rękojeść świetlnego miecza od pasa i w trzech wspomaganych przez Moc susach pokonała dwadzieścia metrów poplamionego smarami pokładu. Wskoczyła na kadłub maszyny. Z trudem mogła uwierzyć własnym oczom. Po przeciwnej stronie skrzydła stał podobny do pająka robot naprawczy BY2B. Grubymi paluchami nóg trzymał ostatnie laserowe działko myśliwca, a delikatnymi palcami rąk zwalniał mocujące je zaczepy.

- ByTwoBee! - wrzasnęła Jaina. - Co ty wyprawiasz?

Zgrzyt pneumatycznego klucza ucichł, a droidka skierowała na Jainę swoje trzy fotoreceptory.

- Przykro mi, Jedi Solo - powiedziała. - Sądziłam, że się pani zorientuje. - Jak wszystkie automaty na pokładzie „Łowcy Asteroid”, miał żeńską osobowość i kobiece brzmienie głosu. -

Demontuję to laserowe działko.

- Widzę - stwierdziła Jaina. - Ale dlaczego?

- Żeby je zabrać do warsztatu naprawczego - odparła BY2B. - Zażyczył sobie tego kapitan Calrissian. Skoro pani myśliwiec i tak nie nadaje się do lotu, pan kapitan doszedł do wniosku, że warto by wyremontować systemy uzbrojenia.

Jaina poczuła, że jej serce przestaje bić, ale postanowiła nie tracić czasu na przekonywanie robota, iż ktoś wywiódł go w pole.

- Czy widziałeś kapitana, kiedy wydawał ci ten rozkaz? - zapytała.

- Och, ja rzadko widuję kapitana. Nie należę do grona jego ulubienic. - BY2B odwróciła fotoreceptory w stronę wejścia do hangaru i wysłała trzy czerwone promienie, żeby oświetlić ubrudzony smarem głośnik na ścianie obok wjazdu. - Rozkaz wydano mi przez interkom.

- Tak myślałam. - Jaina skierowała rękojeść miecza świetlnego na niedawno zdemontowane działko laserowe. - Czy przez półtorej minuty dasz radę je zainstalować i sprawić, żeby działało? -

zapytała.

- Nie ma na to najmniejszej szansy, Jedi Solo - usłyszała w odpowiedzi. - Samo doprowadzenie kabli zasilających potrwa dziesięć razy dłużej.

- Skąd wiedziałam, że właśnie to mi powiesz? - warknęła Jaina. Odwróciła się i zeskoczyła na pokład. - W porządku - zdecydowała. - Skończ demontować działko i przygotuj maszynę do startu.

- Przykro mi, ale to niemożliwe - odparła BY2B. - Nawet gdybyśmy miały potrzebne części, nie jestem dość wykwalifikowana, żeby dokonywać napraw. Szczegółów konstrukcji tej maszyny nie zawarto w moim ostatnim uaktualnieniu oprogramowania.

- Przyleciałam nią tu, prawda? - odcięła się młoda Solo. - Powiedz mi, że nie majstrowałaś przy wyrzutniach torped.

- To ta maszyna ma wyrzutnie torped? - zapytała droidka. - Żadnych nie widziałam.

Jaina przewróciła oczami, zastanawiając się, kiedy ostatnio uaktualniano oprogramowanie robota, a potem przeszła do segmentu małych szafek na skraju hangaru. Włączyła światło i pstryknęła przełącznikiem archaicznego interkomu na ścianie hangaru. Włożyła kombinezon lotniczy pilota myśliwca StealthX, który trzymała w szafce, gotowy do użycia.

Chwilę później z miniaturowego głośnika rozległ się chrapliwy głos Landa:

- Tak, JAINO? Co mogę dla cieBIE zrobić?

Młoda Solo zmarszczyła brwi. Głos rzeczywiście brzmiał bardzo podobnie jak głos Calrissiana.

- Co powiesz na raport o stanie mojego myśliwca? - zaproponowała, wsuwając ręce do rękawów kombinezonu. - Mój stealthX jest kompletnie rozbebeszony. Nie ma mowy, żebym mogła nim polecieć.

- O reTY, to naprawdę BARDZO niedobrze. Ale nie się NIE martw. Ar-en-eight już PRAWIE się uporała z problemami wszystkich SYSTEMów.

- Wspaniale. - Jaina uszczelniła bluzę kombinezonu z przodu i wsunęła stopy do butów. -

Zaraz idę na rufę, żeby sprawdzić hipernapęd.

- Naprawdę? - W głosie Landa zabrzmiało autentyczne zaskoczenie. - To nie będzie KOnieczne. Ar-en-eight właśnie w tej chwili sprawdza procedury DIAGnostyczne. Nine-0 ze swoją załogą dałby sobie radę z koniecznymi naprawami.

„I jego załoga”, powtórzyła w myślach Jaina. Jeżeli miała jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, w tej chwili zrozumiała, że jej rozmówca jest oszustem. Lando zwierzył się jej kiedyś, że na początku swojej kariery, kiedy odbywał długie wyprawy badawcze, przeżył tylko dlatego, że kiedy zwracał się do niego jeden z pokładowych automatów „Łowcy Asteroid”, Lando zamykał oczy i wyobrażał sobie, że mówi do niego piękna, młoda kobieta. Nigdy nie powiedziałałaby o Nine-0 jako o osobniku rodzaju męskiego.

Jaina wyjęła z szafki hełm i rękawice.

- W porządku - oznajmiła. - Skoro masz wszystko pod kontrolą, wpadnę do mojej kabiny i zdrzemnę się trochę, zanim nadejdzie pora mojej wachty.

- To bardzo DObry pomysł - usłyszała głos Calrissiana. Brzmiała w nim niemal ulga. -

OBudzę cię, jeżeli WYskoczy coś niespodziewanego.

- Dobrze. W takim razie do Zobaczenia za cztery standardowe godziny.

Pstryknęła przełącznikiem, wyłączyła interkom i ruszyła z powrotem do swojego myśliwca StealthX. Po drodze włożyła i uszczelniła hełm i rękawice. Jej rozmówca okazał się łatwowierny, nie manifestował się w Mocy i był okropnym kłamczuchem... Niewątpliwie był to podróżujący na gapę android, przysłany prawdopodobnie przez któregoś z Sithów. Jej wniosek był na tyle rozsądny, że młoda Solo poczuła nieokreślone wyrzuty sumienia. Dlaczego nie przewidziała tej taktyki w porę, żeby zapobiec sabotażowi? Nie rozumiała tylko, dlaczego Sithowie po prostu nie uszkodzili atomowego rdzenia reaktora w taki sposób, żeby doszło do eksplozji. Gdyby to był żywy pasażer na gapę, a oni ceniliby go wystarczająco wysoko, pewnie by pomyśleli o planie ucieczki...

ale android? Jaina nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby jakiś Sith godny tej nazwy wahał się choćby sekundę przed poświęceniem automatu.

Dotarła do swojego stealthX-a i stwierdziła, że BY2B stoi za dalszym skrzydłem, trzymając ostatnie działko laserowe w masywnych robocich kończynach. Jaina szybko zerknęła na swój zmasakrowany myśliwiec i zapytała:

- Czy jest gotów do lotu?

- Gotów to duża przesada - odparła droidka. - Ale pani MY-śliwiec jest GÓtów do startu.

Czy na pewno pani sprawdziła, że pani kombinezon jest próżnioszczelny?

- Nie było takiej potrzeby - odparła Jaina. - To nie ja będę wychodzić w próżnię - Wspięła się po krótkiej drabince do kabiny. Kiedy zapinała pasy ochronnej uprząży, zapytała jeszcze: -

ByTwoBee, widziałaś, żeby kręciły się tu ostatnio jakieś nowe automaty?

- Nie - powiedział droid. - Przynajmniej od czasu, kiedy odlecieliśmy z Klatooine.

Z Klatooine? - zastanowiła się Jaina, a w żołądku poczuła bryłę lodu.

- Czyli widziałaś jakiś nowy automat, zanim wyruszyliśmy w drogę do Otchłani?

- Rzeczywiście widziałam - przyznał robot. - MSE-Six firmy Rebaxan.

- Myszobot? - Jaina aż się zachłysnęła. - I nie zameldowałaś nam o tym?

- Naturalnie, że nie - odparła BY2B. - Kapitan Calrissian uprzedził mnie kilka minut wcześniej, żebym się spodziewała kurierskiego wahadłowca z nowym robotem na pokładzie.

Jaina jęknęła i wcisnęła guzik włączający przedstartowe podgrzewanie silników.

- Powiedział ci to przez komunikator, prawda? - zagadnęła.

- W rzeczy samej - odparła BY2B. - Skąd pani to wiedziała?

- Bo to wcale nie Lando ci to powiedział - wycedziła młoda Solo przez zaciśnięte zęby. - To był automat dywersant, zaprogramowany w taki sposób, żeby się podszywał pod kapitana Calrissiana.

- Dywersant? - W głosie BY2B zabrzmiał sceptycyzm. - Dlaczego ktoś miałby robić coś takiego? Nie holujemy nawet asteroidy.

- Nie chodzi im o asteroidę. - Jaina rozpięła kombinezon lotniczy, żeby wyciągnąć komunikator z kieszeni na piersi. Wybrała bezpieczny kanał łączności do Landa. - Co jadłam ostatnio na obiad, zanim weszłam na pokład „Rozkosznej Śmierci”? - zapytała.

- Spodziewasz się, że będę pamiętać twoje obiadowe menu trzynaście lat temu? - zapytał

Lando, bez problemu zdając egzamin z wiarygodności, któremu Jaina go poddała. - Pamiętam tylko, że nie miałaś czasu go dokończyć.

- Wystarczy - stwierdziła Jaina. A więc na szczęście rozmawia z żywą osobą, nie ze zrobotyzowaną myślą. Obiad, o którym wspominała, zamierzała zjeść na pokładzie jachtu Landa,

„Ślicznotki”, ale nie zdążyła, bo akurat zwabiła grupę abordażową Yuuzhan Vongów i przekonała,

żeby zabrała ją i pozostałych Jedi na pokład swojego okrętu. - Jeszcze tylko jedno: Czy kupowałeś robota MSE-6, kiedy przebywaliśmy na Klatooine?

- Nie... a dlaczego pytasz? - zdziwił się Calrissian.

- Bo ByTwoBee widziała takiego na pokładzie - wyjaśniła Jaina. - Wygląda na to, że powiedziałeś jej, aby się go spodziewała.

- Ja jej to powiedziałem? - zachnął się Lando i umilkł, a kiedy po pewnym czasie dotarło do niego znaczenie słów Jainy, huknął: - Niech to zaraza! Ci w przestworzach to nie są Sithowie! To piraci!

- Dlaczego tak uważasz? - zapytała sceptycznym tonem Jaina.

- Przemycanie pasażerów na gapę na pokład upatrzonego statku to stara piracka sztuczka -

wyjaśnił Calrissian. - Dobrze chociaż, że tym razem wykazali się pomysłowością i tylko podszyli się pod kapitana. Mogli przecież wysadzić śluzę w powietrze.

- Pewnie mogli - przyznała wciąż jeszcze nieprzekonana Jaina. W kabinie jej myśliwca rozległ się świergot sygnału alarmowego, oznaczający, że jej stealthX jest gotów do startu. - Czas na mnie - oznajmiła. - Ty zajmij się myszą, a ja zatroszczę się o... o tych, którzy ją tu przysłali.

- Zrozumiałem - odparł Lando. - Wydam rozkaz ByTwoBee, żeby zorganizowała polowanie. Czy możesz jej pożyczyć swój komunikator?

- Jasne. - Jaina przekazała komunikator robotowi. - Lando ma dla ciebie zadanie do wykonania.

Automat wyciągnął jeden ze swoich delikatnych manipulatorów i przyjął urządzenie.

- Skąd mam wiedzieć, że to prawdziwy kapitan Calrissian? - zapytała BY2B.

- Musisz mi w tej sprawie zaufać. - Jaina zapięła bluzę kombinezonu i dodała: - A przy okazji, to rozkaz.

- No cóż... - BY2B wydała cichy syk hydraulicznego siłownika i skurczyła teleskopowe nogi. - Jeżeli to rozkaz...

Jaina opuściła owiewkę kabiny i włączyła silniki. Przeleciała przez barierę pola chroniącego atmosferę w hangarze i skręciła w stronę rufy. Trzymała się blisko holownika asteroid, żeby nie odcinać się od mlecznobiałego tła Chmury Ashteriego. Pamiętając o niesprawnych na razie zestawach sensorów „Łowcy Asteroid”, każdy rozsądny kapitan wykonywałby manewry pod osłoną kadłuba ogromnego holownika, a następnie posłał pierwszą salwę z najbliższej możliwej odległości i jak najbliżej dysz wylotowych.

Jaina leciała z możliwie największym przyspieszeniem, ale i tak oddalenie się od „Łowcy Asteroid” zajęło jej więcej czasu, niżby sobie życzyła. Holownik miał prawie dwa kilometry długości, a na jego białym, upstrzonym setkami zwęglonych miejsc brzuchu widniały rzędy studni z generatorami



promienia ściąającego wielkości banth. Wzdłuż perymetru kołysały się teleskopowo wysuwane łapy stabilizatorów, które nawet wciągnięte miały po dwieście metrów długości. Rufę statku przesłaniała chmura gazów wylotowych, tak jaskrawych i gęstych, że Jaina czuła się, jakby wlatywała w ogon komety.

W końcu szyby owiewki kabiny zaczęły się przyciemniać. Jaina opuściła nos swojego stealthX-a i oddaliła się od „Łowcy Asteroid”. Liczyła na to, że poświata płonących gazów wylotowych holownika oślepi odległych obserwatorów, którzy dzięki temu nie zauważą sylwetki oddalającego się myśliwca.

- Do roboty, Drabie - zwróciła się do swojego robota astromechanicznego imieniem, które mu sama nadała. - Włącz pasywne skanery i przygotuj ciemne bomby.

W kabinie rozległ się długi, pytający gwizd. Jaina spojrzała na pytanie, które pojawiło się na ekranie głównego monitora:

„Ciemne bomby? Co ci powiedział kapitan Calrissian?”

- Nie pora na żarty, Drabie - burknęła Jaina. - Coś twoje poczucie humoru ostatnio kuleje. A w ogóle kto ci je zainstalował?

Drab odpowiedział kpiącym świergotem.

„Nigdy tego nie zdradzę” - pojawiło się na ekranie.

Jaina zachichotała. To był ich stary numer; w końcu to sama Jaina zaprojektowała i zainstalowała mu ten program. Niedawno, przeżywając napad melancholii z powodu zerwania zaręczyn z Jaggedem Felem, postanowiła poświęcić trochę wolnego czasu na coś, co było jej ulubioną rozrywką prawie od dzieciństwa: na majstrowanie przy rozmaitych urządzeniach. Wynikł

z tego nowy algorytm poczucia humoru dla jej astromechanicznego robota. Niespodziewaną zaletą tego pomysłu było odwrócenie tendencji robotów z serii R9 do przesadnego troszczenia się o własną „osobę”. Jaina uważała, że ta śmielsza wersja jest zdecydowanie lepsza niż poprzednia.

Mimo to wciąż nie mogła zdecydować, czy kiepskie dowcipy robota są odbiciem jej mizernych umiejętności programowania, czy też podświadomym naśladownictwem kawałów, które robił jej brat jeszcze na Yavinie Cztery... zanim został Darthem Caedusem, a ona stała się jego katem.

Z głośnika w kabinie rozległ się alarm, a po ekranie monitora przesunęła się następna wiadomość:

„Straszydła szybko się zbliżają”.

Na ekranie pojawiła się taktyczna mapa, pokazująca trzy powszechnie stosowane symbole gwiazdnych jednostek, podlatujących szybko do rufy „Łowcy Asteroid”. Czwarty symbol, widoczny na górze ekranu, stał w miejscu.

- To mi nie wygląda na początek ataku turbolaserowego - stwierdziła młoda Solo. - Drabie, jesteś

pewny swoich skanerów?

„Wszystkie sensory są sprawne i pokazują to samo”, zameldował R9. „Widzimy cztery potencjalne cele, ale mamy tylko cztery ostatnie ciemne bomby i żadnego działka laserowego.

Jeżeli to nie jest wystarczająco duże wyzwanie, zawsze mogę wyłączyć kolejny silnik”.

- Bardzo zabawne - burknęła Jaina, obserwując informacje, jakie zaczęły się pojawiać pod każdym symbolem na ekranie. - Nie mówiłam ci przypadkiem, że to nieodpowiednia pora na żarty?

- A kto tu żartuje?

Jaina była zbyt zajęta studiowaniem opisu obcych jednostek, żeby odpowiedzieć. Trzy straszdyła zbliżające się do „Łowcy Asteroid” miały o wiele za dużą masę, żeby mogły być gwiazdnymi myśliwcami, a jednostka trzymająca się z tyłu była mniej więcej o połowę mniejsza od fregat typu ChaseMaster, z których korzystali Sithowie. Prawdę mówiąc, jej profil termiczny nie wskazywał, żeby statek miał wojskową jednostkę napędową. Nie było tam także skupisk energii na tyle dużych, aby sugerować baterie turbolaserów, gotowe do otwarcia ognia.

- Drabie, daj mi coś więcej o tych straszdyłach na czele szyku - zażądała Jaina, lekko ciągnąc ku sobie rękojeść dźwazki sterowniczej. Postanowiła zwiększyć pułap lotu myśliwca StealthX i skierować nos w stronę trzech błękitnych plamek, cały czas zbliżających się do „Łowcy Asteroid”. - To nie mogą być myśliwce, bo ich piloci już by nas do tej pory zaatakowali.

Na ekranie monitora Jaina pojawił się powiększony obraz straszdyła lecącego na czele szyku. Ukazywał pękatą jednostkę o długości mniej więcej dwudziestu metrów, klinowatym dziobie i przytwierdzonych do rufy czterech niezbyt dużych silnikach jonowych. Obraz termiczny pokazywał główną kabinę, a w niej co najmniej dwadzieścia istot. Niewielka koncentracja energii tuż pod sufitem sugerowała obecność wieżyczki z działkiem.

Jaina zmarszczyła brwi.

- Może Lando miał rację - zastanowiła się. - To wygląda jak szturmowy wahadłowiec.

„Zaprzeczam”, wyświetlił R9. „Pancerz kadłuba szturmowego wahadłowca nie pozwoliłby na odebranie obrazu termicznego. Z prawdopodobieństwem siedemdziesiąt osiem procent te trzy jednostki to lekko zmodyfikowane, załogowe Skiffy produkcji BDY.

- W porządku - zgodziła się z nim Jaina. - Jak przypuszczam, mówiąc o lekkiej modyfikacji, masz na myśli tę wieżyczkę z działkiem pod sufitem?

„Potwierdzam”, odparł robot. „Skiffy BDY nie są produkowane w wersji uzbrojonej”.

- I właśnie dlatego tak lubią je piraci. - Jaina usiłowała przypomnieć sobie ostatnie meldunki wywiadu na temat serii pirackich ataków, które badał Jaden Korr. Z tego, co ostatnio słyszała, śledczy nadal skupiał uwagę na środkowym fragmencie Hydiańskiej Drogi, który znajdował się daleko od Otchłani. - Piloci statków bez wojskowych sensorów zazwyczaj nie zauważają niewielkiej

wieżyczki działka, więc nie przejmują się specjalnie, kiedy widzą nadlatujący skiff BDY.

„Czy to znaczy, że nie jesteśmy atakowani przez Sithów?”

- Wygląda na to, że nie - odparła z ulgą Jaina. Fregata Sithów stanowiłaby problem, ale trzy wahadłowce z piratami? Mogli sobie z nimi poradzić. - Wszystko wskazuje, że chcą się wdrzeć na pokład „Łowcy Asteroid”.

Obraz na ekranie powrócił do skali taktycznej, a Drab uzupełnił go o informacje pod ikoną większej jednostki, która cały czas unosiła się u góry ekranu.

„Ten damoriański lekki frachtowiec SI 8 to ich jednostka macierzysta?” - zapytał.

- Zgadza się - przyznała Jaina. - To klasyczna taktyka piratów... podlecieć blisko i wysłać kilka szybkich wahadłowców.

„A zatem zanosisz się na lepszą zabawę, niż się spodziewałem”, oznajmił Drab. „Damoriański S18 jest wystarczająco duży, żeby pomieścić sześć Skiffów BDY.

- Co ty powiesz.

To prawda, że SI8 mógł pomieścić sześć skiffów, ale nie oznaczało to jeszcze, że tyle transportował. Jaina jednak musiała przygotować się na najgorsze. Kierowała się cały czas w stronę nadlatujących jednostek, próbując wymyślić sposób, jak zniszczyć sześć wahadłowców i ich jednostkę macierzystą, mając do dyspozycji tylko cztery ciemne bomby. Szybko doszła do wniosku, że taki sposób nie istnieje. Ci piraci nie byli idiotami. Trzy wahadłowce na czele szyku trzymały się cały czas w odległości co najmniej kilometra od siebie - o wiele dalej niż zasięg fali udarowej po eksplozji ciemnej bomby - i leciały zygzakowatym szykiem.

- Drabie, proszę uzbroić bombę numer trzy - poleciła Jaina, wybierając właśnie tę, bo stojaki na bomby o numerach jeden i dwa były puste. Zbliżała się do lecącego na czele szyku wahadłowca, dopóki mikroskopijny ogieniek jego gazów wylotowych nie zamienił się w błękitny sztylet o długości jej ręki. Dopiero wtedy rozkazała: - Włącz nadajnik i otwórz kanał powitalny.

Z głośnika w kabinie myśliwca StealthX rozległ się pisk protestu i Jaina spojrzała w dół, żeby odczytać wiadomość na ekranie:

„Myśliwiec Stealthx emitujący falę elektromagnetyczną przestaje być myśliwcem Stealthx.

Staje się tylko kiepsko uzbrojonym i lekko opancerzonym X-wingiem wysyłającym sygnał: możecie mnie dopaść”.

- Powinniśmy wysłać ostrzeżenie, zanim otworzymy ogień - stwierdziła Jaina. Widziała już cel gołym okiem - małą durastalową puszkę o klinowatej głowicy, popychaną przez strumień gazów wylotowych o długości lufy działka. - Chyba wiesz, co myślę o łamaniu prawa.

„Istnieje wyjątek, jeżeli intencje są oczywiste”, sprzeciwił się Drab.

- Lepiej zachować zasady bezpieczeństwa niż później żałować - upomniała go Solo. - A poza tym chcę odwrócić ich uwagę od „Łowcy Asteroid”. Otworzyłeś już ten kanał?

W kabinie rozległ się potwierdzający pisk i panel dotykowy nadajnika na kontrolce JAINY zapłonął na zielono.

„Rozumiem”, przesłał na ekran Drab. „Po prostu się starasz, żeby ta wyprawa była ciekawa.

Możesz na mnie liczyć”.

- Cieszę się, że to aprobujesz. - Jaina zastanowiła się, czy przypadkiem jej astromechaniczny robot nie staje się trochę zbyt samodzielny. - Wystrzel bombę numer trzy.

Poczuła lekki wstrząs pod fotelem, kiedy ładunek sprężonego powietrza wypchnął ciemną bombę z rury wyrzutni torpedy. Uwolniła myśli i posługując się Mocą, zaczęła kierować bombę ku celowi. Potem położyła kciuk na płycie dotykowej urządzenia nadawczo-odbiorczego.

- Uwaga, załogi skiffów BDY - powiedziała. - Zawróćcie, i to natychmiast. To nasze jedyne ostrzeżenie.

W ciągu pełnych dwóch sekund ciszy, jaka teraz zapadła, lecący na czele szyku skiff rozrósł

się do rozmiarów bantha za owiewką kabiny jej myśliwca. Jaina dostrzegła już giętki pierścień teleskopowej śluzы, przytwierdzony do kadłuba z przodu kabiny pasażerskiej, panoramiczny iluminator ciągnący się w poprzek klinowatego dziobu i spłaszczoną kopułkę wieżyczki działek, których lufy kierowały się w jej stronę.

Z głośnika jej komunikatora rozległ się ochryply kobiecy głos:

- A co nam zrobisz, jeżeli nie usłuchamy, Jedi Solo? Wiemy...

Dalsze słowa utonęły w trzaskach zakłóceń, bo akurat eksplodowała ciemna bomba.

Pozbawiona osłon z prawdziwego zdarzenia, a nawet pancerza kabina załogi skiffa po prostu zniknęła w srebrzystym rozbłysku pierwotnej eksplozji. Rufa i dziób zawirowały, ciągnąc za sobą jaskrawe krople przegrzanego metalu; potem zadziałało przyciemnienie transpastalowej owiewki myśliwca StealthX i Jaina widziała już tylko kulę białych płomieni prosto na kursie. Szarpnęła drążek ku sobie i wirując w locie, skierowała nos myśliwca StealthX w stronę niewidocznego statku macierzystego.

Poczuła lekkie świerzbiecie i chłód między łopatkami; tak zazwyczaj odbierała ostrzeżenie o niebezpieczeństwie. Zabrała kciuk z płytki urządzenia nadawczo-odbiorczego i chcąc uniknąć nieznanego zagrożenia, zaczęła zwiększać pułap lotu. Podczas karkołomnych zwrotów i zmian kursu poczuła, że cały myśliwiec drży; to Drab obijał się o ścianki gniazda robota astromechanicznego. Nagle próżnię wokół niej rozjaśniały szkarłatne nitki strzałów z działek.

Przelatywały o wiele za blisko, żeby mogło się jej to podobać. Piraci najwyraźniej nie korzystali z

urządzeń namiarowych, bo nie odbierała ich sygnałów, a jednak spisywali się doskonale, utrzymując ją w krzyżowym ogniu.

Z głośnika w jej kabinie rozległ się znów ten sam kobiecy głos:

- To nie było uczciwe ostrzeżenie, Jedi Solo.

Zamiast odpowiedzieć, Jaina zwróciła się do Draba:

- Określ miejsce, skąd wysłano ten sygnał. Czy to był jeden ze skiffów, czy może statek macierzysty?

Zanim Drab zdążył odpowiedzieć, Jaina usłyszała:

- Nie dałaś mi nawet czasu na wydanie rozkazu odwrotu.

Przestworza za owiewką kabiny zapłonęły szkarłatem, kiedy jedna z błyskawic odbiła się od słabych osłon stealthX-a. Wiedząc, że nieprzyjaciel zauważy zmianę toru swojego strzału i domyśli się jej powodu, Jaina natychmiast zanurkowała i wprowadziła maszynę w korkociąg. Zaraz jednak skuliła się, bo przestworza wokół niej znów zabarwiły się na czerwono. Pół sekundy później w osłony jej myśliwca trafiła następna błyskawica, zmieniając się w złocisty prysznic iskier rozproszonej energii.

W kabinie rozległ się sygnał alarmowy. Jaina spuściła głowę i na ekranie monitora przeczytała:

„Osłony zostały przeciążone”.

- Co ty powiesz, mądralo - burknęła. Zadarła nos myśliwca i lecąc po spirali, skierowała maszynę w stronę dwóch pozostałych skiffów. Strumienie błyskawic od razu oddaliły się od jej stealthX-a. - Co z tym źródłem transmisji, Drabie? - zapytała.

„Sygnał nadano z pokładu macierzystego statku”, przeczytała w odpowiedzi na ekranie monitora.

- Tak przypuszczałam. - Jaina obrała kurs na przechwycenie najbliższego wahadłowca i rozkazała: - Drabie, uzbrój bombę numer cztery.

Ledwo skończyła mówić, błyskawice nieprzyjacielskich strzałów znów pomknęły w jej stronę. W przestworzach wokół niej zrobiło się tak jasno, jakby ktoś rozpałił ognisko. Jaina wykonała unik, lecąc po spirali, ale cały czas obierała kurs na bliższy skiff. Nieprzyjaciel leciał

prosto na nią, a nitki jego strzałów przelatowały tak blisko owiewki jej kabiny, że znów zadziało przyciemnienie.

- Drabie, czy my cały czas nadajemy? - zapytała.

Z głośnika wydobyło się przeczące ćwierknięcie.

- A co z przeciekami? - Nie widząc celu przez przyciemnioną szybę, Jaina spojrziała na ekran, zdecydowana kierować się tylko wskazaniem przyrządów. - Promieniowanie elektromagnetyczne?

Atmosfera?

Znów usłyszała przeczące ćwierknięcie.

- Sprawdzaj cały czas - poleciła. - Nie wiem, w jaki sposób nas namierzają.

Po ekranie głównego monitora przewinęło się pytanie:

„Może nasza sylwetka odcina się na tle chmury Ashteriego?”

- Raczej nie - odparła Jaina, świadoma, jak trudno byłoby śledzić odległą ciemną plamkę gołym okiem, zwłaszcza że leciała ku celowi po spirali z prędkością tysięcy kilometrów na godzinę, a nieprzyjacielscy artylerzyści byli oślepieni rozbłyskami strzałów własnych działek laserowych. -

Musieliby pomagać sobie Mocą.

Cichy gong zasygnalizował, że znaleźli się w potencjalnym zasięgu działania bomby. Z

owiewką przyciemnioną z powodu nadmiaru błyskawic laserowych strzałów, Jaina nie mogła nawet marzyć o skierowaniu ciemnej bomby do celu tylko za pomocą wzroku. Rozszerzyła swoją świadomość Mocy w kierunku wahadłowca, dopóki nie wyczuła w nim obecności żywych istot.

Nie była zaskoczona, kiedy odebrała promieniującą od nich aurę Ciemnej Strony, ale przeżyła wstrząs, kiedy uświadomiła sobie, jak są spokojne, skupione i chyba... zdyscyplinowane.

Tylko że to miało się wkrótce zmienić.

- Wystrzel bombę numer cztery - rozkazała.

Poczuła lekki wstrząs, kiedy bomba opuściła wyrzutnię torpedy. Uwolniła myśli i dotknęła bomby Mocą, ale jej uwagę odwrócił aż nazbyt znajomy huk: trafienie przez błyskawicę laserowego strzału. Natychmiast rozległo się przeraźliwe wycie i jazgot sygnałów alarmowych, a jej stealthX wykonał niekontrolowany skręt. Jaina poczuła się, jak podczas jednej z tych szaleńczych jazd kolejką górską, której wagonik wiruje wokół centralnej osi, a pasażerowie rozplaszczają się na fotelach. Trąciła dłonią drążek sterowniczy, ustawiając go w przeciwną stronę, i stopniowo odzyskała panowanie nad maszyną. W tej samej chwili uświadomiła sobie, że straciła panowanie nad ciemną bombą. Poczuła, że serce podchodzi jej do gardła.

- Hej, Drabie - zagadnęła.

„Tak?”

- Wiesz może, dokąd poleciała czwórka? - zapytała.

„Nie trafiła w cel”, odparł robot. „Ani w nas... na razie”.

- Bardzo zabawne - mruknęła Jaina. Duża prędkość początkowa w chwili opuszczania wyrzutni

wyniosła prawdopodobnie ciemną bombę na tyle daleko od myśliwca StealthX, że nie da rady zadziałać jej zapalnik zbliżeniowy... ale kiedy miało się do czynienia z głowicami z baradium, lepiej byłoby zyskać pewność. - Nie żartuj, bo to poważna sprawa.

„Nie wpisałaś do podprogramu, co jest odpowiednie, a co nie”, stwierdził robot z pretensją w głosie.

- Uznaj to za uzupełnienie - odparła młoda Solo.

Stwierdziła, że owiewka pozostaje cały czas przyciemniona, spojrzała na ekran taktycznego monitora i zauważyła, że przeleciała tylko kilka kilometrów nad celem. Mimo chaotycznych manewrów myśliwca załogi obu wahadłowców chyba cały czas wiedziały, gdzie mniej więcej się znajduje, i nieustannie posyłały ku niej błyskawice laserowych strzałów. Jaina skręciła i zawróciła w stronę bliższego statku. Po drodze stwierdziła, że rękojeść jej drążka działa dziwnie opornie.

- Drabie, odnieśliśmy jakieś uszkodzenia? - zapytała z niepokojem. - Mam niemrawy drążek.

„Co mnie wcale nie dziwi”, odparł robot. „Wspomaganie sterów wektorowych zostało wyeliminowane, straciliśmy także koniec płata prawego górnego skrzydła”.

No właśnie. Na końcach skrzydeł były umieszczone silniki zapewniające orientację w przestworzach.

- No to pięknie - mruknęła Jaina. Rzuciła okiem na ekran taktycznego monitora i stwierdziła, że pozostałe skiffy są teraz w odległości zaledwie kilkunastu kilometrów od „Łowcy Asteroid”. Miała więc czas na wykonanie tylko jednego podejścia, zanim piraci dolecą do holownika i zaczną wdzierać się na pokład. - Dostosuj poziomy energii, żeby skompensować brak tego silnika, i uzbrój bombę numer pięć.

„Nasza zdolność manewrowa jest ograniczona”, ostrzegł Drab. „A osłony nie zdążyły się jeszcze zregenerować”.

- Żaden problem. - Jaina obrała kurs równoległy do celów i przyspieszyła, żeby je wyprzedzić. Starła się obrać wektor na przechwycenie, żeby bliższy skiff znalazł się między nią a tym drugim. - Nie potrzebuję osłon, żeby pokonać bandę piratów.

„Doświadczenie powinno ci podpowiedzieć, że nie masz racji”.

- To był tylko szczęśliwy traf - zawyrokowała młoda Solo. - Nic takiego się nie powtórzy.

Jakby dla zaprzeczenia jej słowom laserowe błyskawice nadlatywały bez przerwy i mijały jej myśliwiec w niewielkiej odległości. Owiewka kabiny tak pociemniała, że Jaina czuła się jak w zamkniętym pokoju podczas burzy z piorunami. Nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że nieprzyjaciele są po prostu zbyt sprawni jak na zwykłych piratów. Zachowywali się jak byli wojskowi... na przykład emerytowani Strażnicy Gwiazd, balmorrańscy skoczki przestworzy albo nawet banda wyjętych spod prawa Noghrich.

Trajektoria lotu myśliwca Jaina na ekranie monitora w końcu zrównała się z trajekcją obu

wahadłowców, a stopień przyciemnienia owiewki kabiny zmalał, kiedy artylerzyści tego dalszego skiffa wstrzymali ogień, żeby nie trafić bliższego. Jaina szybko zatoczyła łuk, by zaatakować z flanki, i przyspieszyła. Raz po raz trącała ster w prawo albo w lewo, bo chciała, żeby jej kurs cały czas zgadzał się z kursem obu celów. Zbliżyła się do pierwszego skiffa, a wysyłane przez jego artylerzystów błyskawice laserowych strzałów stały się jaśniejsze, dłuższe i przelatowały bliżej niej. Owiewka jej kabiny stała się znów czarna jak otaczające ją przestworza.

Jaina uwolniła myśli, wysłała je poprzez Moc i skupiła je na mrocznej obecności przed nosem myśliwca.

- Wystrzel piątą bombę - rozkazała robotowi.

Znowu poczuła lekki wstrząs, kiedy sprężone powietrze wypchnęło bombę z wyrzutni.

Pochwyciła bombę Mocą... a wtedy jej stealthX podskoczył, bo strzały z nieprzyjacielskich działek zaczęły przepalać cienki pancerz.

- *Stang!* - zakląła pilotka. - Kim są ci goście?

W kabinie rozległa się kakofonia sygnałów alarmowych. Jaina pchnęła drążek do przodu i zanurkowała pod brzuch wahadłowca. Miejsce było bezpieczne, bo przy tak niewielkiej odległości artylerzyści skiffa nie mogli dostatecznie nisko opuścić luf działek, żeby ją trafić czy choćby tylko wziąć na cel.

Tym razem nie straciła panowania nad ciemną bombą. Cały czas koncentrowała się na złowieszczych istotach w kabinie wroga. Popychała ku nim ciemną bombę, mimo że jej stealthX

wirował jak szalony w przestworzach. Drab popiskiwał i świergotał, usiłując zwrócić uwagę Jainya na pilne wiadomości na ekranie monitora; artylerzyści drugiego wahadłowca wznowili ostrzał i wypalili linię dziur w kadłubie jej myśliwca.

Nagle w przestworzach pojawił się oślepiający błysk, tak jasny i gorący, że Jaina poczuła ciepło, chociaż cały czas była ubrana w ochronny kombinezon. Zauważyła jednocześnie, że dwadzieścia kilka istot zostało wydartych z Mocą.

A potem w jej kabinie zrobiło się ciemno i cicho. W pierwszej sekundzie Jaina odniosła wrażenie, że to ona zginęła w eksplozji ciemnej bomby, i poczuła, że zbiera się jej na mdłości.

Potem zobaczyła nad głową ogon płonących gazów wylotowych „Łowcy Asteroid” i uświadomiła sobie, że jej ramię uciska pas ochronnej uprząży. W uszach wciąż jeszcze dźwięczały jej alarmy sygnalizujące uszkodzenia, a w gardle gryzł kwaśny dym ze spalonych urządzeń i podzespołów.

Nacisnęła brodą przełącznik w hełmie, zakasłała mimo płytki osłaniającej twarz i spróbowała uszczelnić lotniczy kombinezon.

- Włączyć systemy podtrzymywania życia - rozkazała. Chwyciła za ster i spróbowała odzyskać panowanie nad myśliwcem, łagodnie i powoli, na wypadek gdyby kadłub doznał



poważniejszych uszkodzeń, niż przypuszczała. - Przedstaw ocenę uszkodzeń, Drabie - poleciła.

„Nie jest tak źle, jak się wydawało”, poinformował ją robot. „Wciąż jeszcze mamy czas, żeby powstrzymać tych ostatnich piratów... pod warunkiem że dzięki następnemu szczęśliwemu przypadkowi nie odniesiemy kolejnych uszkodzeń”.

Jaina z trudem powstrzymała uśmiech.

- Podoba mi się twój styl, Drabie - powiedziała. Spojrzała w dół i stwierdziła, że podświetlony symbol ostatniego wahadłowca na jej taktycznym obrazie znajduje się niespełna kilometr za rufą „Łowcy Asteroid” i zwiększa pułap lotu, kierując się w stronę dolnej części promu.

- Rzeczywiście, nie miałam racji. To nie były szczęśliwe przypadki.

W głośnikach hełmu Jaina rozległ się pytający pisk.

- Tamci artylerzyści na pewno posługiwali się Mocą. - Jaina zatoczyła ciasny łuk i przyspieszyła tak gwałtownie, że jej pokieroszowany stealthX zaczął przeskakiwać w pionie i w poziomie. - To dlatego trafiali nas za każdym razem, kiedy posyłałam ku nim ciemną bombę... po prostu odnajdywali mnie w Mocy.

„Piraci mają moc?”, zdziwił się Drab.

- Ci piraci mają - potwierdziła Jaina. Ostatni skiff zaczął się rozrastać w jej iluminatorze.

Jaina dostrzegła cztery niewielkie niebieskie kręgi na kanciastej szarej rufie. - Uzbrój szóstą bombę - nakazała.

Drab zaświergotał twierdząco i zaraz wyświetlił wiadomość na ekranie monitora:

„Miło się z tobą lata, Jedi Solo. Dziękuję, że zaprogramowałaś mi poczucie humoru, żebym mógł uznać to wszystko za zabawne”.

- Daj sobie spokój, dobrze? - Jaina poczuła, że jeżą się jej wszystkie włoski na karku i zaraz zobaczyła laserowe błyskawice nadlatujące ku niej nad rufą skiffa. - Wchodzą w ślepy punkt.

Jaina obniżyła pułap lotu i strumień błyskawic zaczął przelatywać kilkanaście metrów nad jej głową. Chwilę później skiff przemknął pod rufą „Łowcy Asteroid” i, malutki w porównaniu z dwukilometrowej długości holownikiem, wycelował w miejsce między potężnymi łapami jego stabilizatorów.

Jaina dobrze wiedziała, co się stanie, jeżeli artylerzyści skiffa wyczują, że ona sięga po ich statek w Mocy. Została więc jakiś kilometr z tyłu i dopiero wtedy rozkazała:

- Wystrzel bombę numer sześć.

Kiedy poczuła, że ładunek sprężonego powietrza wypchnął ciemną bombę z wyrzutni, chwyciła ją Mocą i z całej siły pchnęła w górę. Tak jak się spodziewała, pilot skiffa odwrócił swój statek na grzbiet, żeby wymierzyć lufy działek w bombę, zanim ona dotrze do celu. Jaina poderwała się do góry, żeby trafić w strumień gazów wylotowych skiffa, prawie się ocierając owiewką o spód

„Łowcy Asteroid”. Cały czas popychała ciemną bombę w stronę czterech niebieskich kręgów dysz wylotowych na rufie skiffa BDY.

Drab wydał przenikliwy pisk; pewnie chciał ją ostrzec o niebezpieczeństwie pozostawania w strudze gazów wylotowych skiffa. Samo tarcie jonów o kadłub stealthX-a mogłoby zapalić pancierz; Jaina wyczuwała też, że turbulencje powodują groźne naprężenia pokierszowanego kadłuba jej myśliwca. Mimo to pozostawała w strumieniu gazów. Wpatrywała się w niebieskie kręgi, dopóki nie zobaczyła zamiast nich srebrzystego błysku eksplozji ciemnej bomby.

Pół sekundy później do stealthX-a dotarła fala udarowa i Jaina zakołysała się w ochronnej uprzęży. Temperatura w jej ochronnym kombinezonie szybko rosła; pilotka bała się wręcz, że jej włosy staną w płomieniach. Po kadłubie myśliwca zabębniły szczątki skiffa; potem już widziała tylko usiane iskierkami gwiazd czarne przestworza pod czarno cętkowanym, białym spodem holownika.

Wreszcie odzyskała częściowe panowanie nad swoim stealthX-em. W kilku miejscach przez otwory po trafieniach widać było szkielet myśliwca, a kadłub wibrował tak gwałtownie, że w każdej sekundzie mógł się rozpaść. Jaina postanowiła wynieść się spod brzucha holownika.

- Drabie, jak sobie radzisz tam, z tyłu? - zapytała. - Cały czas jesteś ze mną?

Po chwili ciszy Jaina usłyszała cichy, niewyraźny pisk w głośnikach hełmu.

- To wspaniale, że ci się udało - powiedziała. - Co się dzieje z macierzystym statkiem?

Po ekranie głównego monitora przewinął się niewyraźny tekst:

„Żeby to ustalić, musiałbym mieć sprawną matrycę sensorów”.

- Słuszna uwaga. - Jaina zauważyła już, że dziobowa matryca została zupełnie stopiona, więc mogła się domyślać, że i rufowy zestaw odniósł podobne uszkodzenia. - Dasz radę otworzyć dla mnie kanał łączności z kapitanem Calrissianem?

Usłyszała chrapliwy świst, a zaraz po nim przerywany trzaskami zakłóceń głos zapytał:

- Jaina?

Pilotka przycisnęła kciukiem płytkę urządzenia nadawczo-odbiorczego na drążku sterowym.

- We własnej osobie - odparła. - Jak tam, rozwiązałeś już problem z myszą?

- Właśnie rozpyliłem ją na atomy - oznajmił z dumą Lando. - Ornete wyliczy współrzędne nowego skoku, jak tylko znajdziesz się znów na pokładzie.

- Powiedz jej, żeby zaczęła natychmiast - powiedziała młoda Solo. Widziała czarny prostokąt wrót hangaru kilkaset metrów przed sobą, ale nie zamierzała na razie tam lądować. -

Wykonaj skok, kiedy tylko skończy.

- Skok? - powtórzył Lando. - Nic z tego, dopóki ByTwoBee nie powie mi, że jesteś na pokładzie...

- Lando! - przerwała mu ostro Jaina. - Upewnij się, że bariera ochronnego pola jest wyłączona! - W miarę zbliżania się myśliwca do holownika czarny otwór szybko się powiększał, a Drab jazgotał i piszczał w jej hełmie, ostrzegając, żeby zwolniła. - Jeżeli będziesz zwlekał, „Łowca Asteroid” zostanie trafiony co najmniej kilka razy w dysze wylotowe. Sytuacja wygląda gorzej, niż przypuszczaliśmy. O wiele gorzej.

- Trudno mi w to uwierzyć, wystarczająco kiepska była na początku. - Lando przerwał, żeby wydać RN8 kilka poleceń, po czym zapytał: - A więc według ciebie, Jaino, pod jakimi względami wygląda teraz gorzej?

- No cóż, miałeś rację... ale ja też miałam. - Jaina zauważyła, że w głębi hangaru zapalają się potężne reflektory. Ignorując kakofonię alarmów Draba, skierowała nos swojego stealthX-a w stronę wlotu. - To byli piraci. Owszem. Piraci i zarazem Sithowie.

## ROZDZIAŁ 2

Drażek sensorów „Cienia Jade” przesunął się po ekranie, powoli naznaczając obszar nad horyzontem planety soczystym błękitem. Kiedy całość zmieniła barwę, Ben pozwolił

zwiadowczemu androidowi zmienić kurs i rozpocząć następny przelot. Ku jego zdumieniu - i uldze

- ekran pozostał niebieski, a po dolnej części ekranu przewinęła się informacja: „Ostatni przelot.

Wszystko czyste”.

- O to chodziło - oznajmił Ben, odwracając się z fotelem w stronę Vestary Khai. Młody Skywalker na głównym pokładzie lotniczym zajmował fotel drugiego pilota, a Vestara siedziała po drugiej stronie przejścia na fotelu nawigatora. „Cień” trzymał się nad plażą obok rzeki pod wulkanem, gdzie Abeloth miała swoją kryjówkę. - Na orbicie nie ma niczego tak dużego jak gwiazdny statek. Mam rację?

Vestara nie spuszczała wzroku z ekranu swojego monitora, skurczona na fotelu, z jedną ręką na temblaku. Wyglądała na obolałą i zmęczoną po ponad dwóch dniach śledzenia wskazań sensorów.

W końcu skinęła głową.

- Nie widzę „Łowcy Asteroid” ani żadnych fregat Chase-Master... - oznajmiła. Odwróciła się do Bena, a jej piwne oczy patrzyły spokojnie, chociaż badawczo. - Tylko co stało się z myśliwcem StealthX twojej kuzynki? Raczej by się nie pojawił przy standardowym sprawdzaniu sygnałami sensorów, prawda?

Ben uśmiechnął się z przymusem, chociaż nie było mu wcale wesoło. Żadne zadane przez Vestarę pytanie nie było niewinne. Każde mogło zawierać ukrytą myśl.

- Przecież wiesz, przez co przeszła - powiedział. - Nie sądzisz, że nawet Jaina Solo nie potrafiłaby wytrzymać dwóch dni bez szwanku w takiej sytuacji?

Tym razem to Vestara się uśmiechnęła. Blizna w kąciu ust sprawiła, że nie był to szczerzy uśmiech.

- Chyba uwierzę ci na słowo - powiedziała. - A zatem tak, zgoda na wszystko.

- Czyli obie strony dotrzymały umowy? - upewnił się Ben. - I wszystkie jednostki oprócz naszego „Cienia” i „Emiaksa” Arcylorda Taalona wycofają się z tej okolicy?

Vestara wypuściła powietrze z płuc.

- Daruj sobie - mruknęła. - Przecież powiedziałam, że się zgadzam.

- Chciałem tylko mieć pewność - odparł Ben. - Wy, Sithowie, często macie kłopoty z dotrzymywaniem umów.

- A co, to dla ciebie nowina? - odcięła się Vestara. - Twierdzisz, że cię zaskoczyliśmy?

Twój ojciec wiedział, że Taalon spróbuje go wyeliminować. Nie spodziewał się tylko, że dojdzie do tego, zanim wykończymy Abeloth.

- Taalon chciał schwytać Abeloth żywą. - Ben głęboko odetchnął, starając się zachować spokój. - Kto mógłby się spodziewać, że Arcylord Sithów spróbuje zrobić coś tak... tak głupiego?

Ku zaskoczeniu Bena Vestara głośno się roześmiała.

- Słuszna uwaga - przyznała. - To było posunięcie godne norkaya. Taalon dostał jednak nauczkę. Wie, że nie pozna prawdziwej natury Abeloth bez pomocy twojego ojca. Wracamy więc do punktu wyjścia: tak czy owak, musimy współpracować.

- Na razie - zauważył Ben.

Vestara wzruszyła ramionami.

- Na razie - przyznała. - Ale dopóki się to nie zmieni, co szkodzi, żebyśmy byli mili dla siebie nawzajem?

Błąd! Nieznany argument przełącznika. Ben westchnął, bo doskonale wiedział, na czym to ma polegać. Vestara umyślnie symulowała ciężką ranę, żeby odwrócić jego uwagę, bo w tym samym czasie jej ojciec usiłował zamordować Luke'a. Cóż, to chyba jasne, że Vestara znów tak się zachowa, jeśli uzna to za konieczne. Sithowie grali ostro i zawsze, ale to zawsze oszukiwali.

W tej grze brały jednak udział dwie osoby, a Ben potrafił wykorzystywać swoją przewagę nie gorzej

niż Vestara.

- Oj, myślę, że to akurat nic nie szkodzi - powiedział. - Tylko się nie spodziewaj, że uśpisz moją czujność.

Vestara popatrzyła na niego z uśmiechem.

- Dotąd mi się to nie udało - przyznała. Zerknęła w stronę pokładowej izby chorych

„Cienia”, gdzie od dwóch dni leżał Dyon Stadd, pogrążony w leczniczym transie. - A skoro mowa o tym, kto jest miły, a kto nie, to ciekawe, jak się miewa nasz pacjent. Może powinniśmy...

Urwała i zwróciła wzrok w stronę dziobowego iluminatora; zastygła z przechyloną głową, marszcząc brwi. Ben w pierwszej chwili pomyślał, że dziewczyna znów próbuje odwrócić jego uwagę, ale wyczuł w Mocy jej niespokojne zaskoczenie. Nie sądził, żeby Vestara potrafiła to udawać. Spojrzał w tę samą stronę, ale zobaczył tylko wahadłowiec Taalona, spoczywający na esowatych podporach lądowniczych. Czubki jego opadających skrzydeł niemal dotykały pokrywającego plażę piasku koloru kości. Kilkanaście metrów za wahadłowcem piaszczysty brzeg wznosił się aż do miejsca, do którego sięgały wylewy rzeki, a potem przechodził w gęstą dżunglę.

Majaczył za nią stożek wulkanu, w którym Abeloth miała swoją jaskinię. Ben nie zauważył niczego niezwykłego, więc zapytał na wszelki wypadek:

- Stało się coś złego?

Vestara wpatrywała się cały czas w iluminator.

- E, nic takiego - bąknęła. - Po prostu poczułam, że ktoś dotknął mnie w Mocy.

Ben uniósł brew i czekał, aż dziewczyna powie coś więcej. Powiedziała.

- To chyba mój ojciec... - Popatrzyła speszona na Bena. - Od dawna tego nie robił, chyba że był zły, więc trochę mnie to zaskoczyło.

- Akurat - parsknął Ben, ani przez chwilę w to nie wierząc. Dlaczego przekazywałaby mu dobrowolnie informację, o którą nie prosił? To było do niej zupełnie niepodobne. Rozszerzył swoją świadomość w Mocy w kierunku ruin, w których zginęła Abeloth - i gdzie jego ojciec współpracował z Gavarem Khaiem i Arcylordem Taalonem, żeby dowiedzieć się o Abeloth czegoś więcej. Ulżyło mu, bo wyczuł tylko pełną napięcia ostrożność, czyli dokładnie to, czego można byłoby się spodziewać po Wielkim Mistrzu Jedi przebywającym w towarzystwie dwóch potężnych Sithów. - To tyle, jeżeli chodzi o naszą współpracę - powiedział.

- Benie, proszę cię... - zaczęła Vestara. - Twój ojciec jest Jedi. Nie wpada w gniew tak często jak mój ojciec. - Urwała, patrząc uważnie na Bena. Najwyraźniej chciała się przekonać, czy jeszcze wywiera na niego wpływ, ale szybko zmieniła zamiar i spojrzała w bok, po czym dodała łagodnym tonem: - Musisz mnie zrozumieć... gdyby Arcylord Taalon się dowiedział, że powiedziałam ci coś takiego...

- Potrafię dochować tajemnicy - uciął młody Skywalker. - Nawet ze względu na ciebie.

- Ach, tak? - parsknęła Vestara, urażona. - To nie było miłe.

- Ale zasłużone. - Ben świadomie nadał głosowi lodowate brzmienie. - Nie graj na moich emocjach, Vestaro - ostrzegł. - To mi przypomina, dlaczego cię nie lubię.

Vestara przybrała zboląły wyraz twarzy, ale po chwili uniosła brodę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Czym sobie na to zasłużyłam, Benie? - zapytała smutno. - W pewnych sprawach stoimy po przeciwnych stronach i może właśnie dlatego jesteśmy wrogami. Nie musimy się jednak nawzajem nienawidzić... w końcu sami dokonujemy wyboru.

Ku zdumieniu Bena jej głos lekko drżał, a jego doświadczenie, zdobyte podczas szkolenia na oficera Galaktycznego Sojuszu, mówiło mu, że Vestara nie udaje. Ton i natężenie jej głosu nie zmieniały się, bez trudu wytrzymywała siłę jego spojrzenia, a jej postawa zdradzała swobodę i pewność siebie. No i co najważniejsze: Ben nie wyczuwał w Mocy, że Vestara stara mu się przypodobać. Wyraźną przykrość sprawiała jej myśl, że mimo wszystko ma do niej żal.

Ben poczuł, że gniew i gorycz spowodowane jej zdradą powoli mijają. Zaczął nawet odczuwać wyrzuty sumienia, że wykorzystywał to, aby ukrywać przed samym sobą prawdziwe emocje. Prawdę mówiąc, nie był zły na Vestarę, tylko na siebie. Pozwolił, żeby jego pączkujące uczucia, których nawet dobrze nie rozumiał, zasłoniły mu jej prawdziwą naturę. Vestara urodziła się jako Sithanka, co oznaczało, że zdrada przychodzi jej równie łatwo, jak jemu oddychanie.

Gdyby zapomniał o tym w zamęcie bitwy, czy to nie byłaby raczej jego wina?

Wstał i położył dłoń na rękojeści świetlnego miecza.

- Vestaro, nie mam zwyczaju nienawidzić moich wrogów - powiedział - ale nie pozwolę, żebyś znowu wykorzystywała moje emocje. Co wyczułaś?

Vestara przyglądała mu się przez chwilę, zastanawiając się, czy Ben mówi poważnie, a w końcu powiedziała:

- Odpręż się. Zamierzałam ci to powiedzieć. Po prostu musisz mi obiecać...

- Żadnych obietnic - uciął młody Skywalker. - Nie mam tajemnic przed moim ojcem. -

Powiedział to z większym naciskiem, niż powinien... ale w końcu, kiedy jeden jedyny raz popełnił

taki błąd, zginęła jego matka... a jej zabójca stał się Darthem Caedusem. - A zwłaszcza tajemnic Sithów.

- Nie proszę cię, żebyś to zrobił - zapewniła dziewczyna. - Nie możesz jednak pozwolić, żeby Arcylord Taalon czy mój ojciec dowiedzieli się, że ci o tym powiedziałam. Każdy z nich chętnie by mnie zabił choćby za to, że wyjawiałam ci moje drugie imię. Ale za coś takiego... -

Vestara nie dokończyła zdania i wzruszyła ramionami. - No cóż, sam wiesz, co by się stało. Moi ziomkowie nie traktują zdrady pobłaźliwie.

Ben wiedział, że to prawda. Spojrzenie Vestary było, jak przedtem, mroczne i bezlitosne, a to oznaczało, że dziewczyna cały czas stara się nim manipulować, wykorzystywać jego współczucie i poczucie odpowiedzialności. Może rozumiała tylko taki sposób traktowania rówieśników? Może potrafiła tylko oszukiwać ich i wykorzystywać? Ben był ciekaw, ile cech jej osobowości jest wytworem środowiska... i czy kiedykolwiek potrafi otworzyć umysł na możliwość innego sposobu życia.

Jakoś w to wątpił.

- Nie martw się - obiecał na razie. - Taalon o niczym się nie dowie.

- Od ciebie czy od twojego ojca?

- Jedi dotrzymują swoich obietnic - powiedział. - W słowie i w duchu.

- Lepiej, żeby to była prawda. - Vestara odwróciła się w stronę iluminatora i na chwilę zamilkła. - No dobrze, powiem ci - odezwała się w końcu. - Statek wraca.

Ben o mało nie upuścił świetlnego miecza, ale nie usiadł. Nie spodziewał się czegoś takiego, ale ta informacja miała sens... i była wystarczająco alarmująca, żeby nie uznać jej za kłamstwo.

Przyglądał się Vestarze, szukając oznak, że Sithanka próbuje znów grać na jego emocjach, niczego takiego jednak nie znalazł.

- Przecież mówiłaś, że Sithowie mają Statek pod kontrolą - odezwał się obojętnym tonem.

Vestara spojrzała na niego karcąco.

- Kiedy ci to powiedziałam, Abeloth wciąż jeszcze żyła - przypomniała. - Więc nie wiem, pod czyją kontrolą znajduje się Statek w tej chwili. Wiem tylko, że się zbliża.

- Po co? - nie dawał za wygraną Ben. Wyobrażał sobie tylko dwa ewentualne powody, ale żaden nie wróżył dobrze Skywalkerom. - Chce pomścić Abeloth?

- Albo podzielić się z Lordem Taalonem tym, co o niej wie - odparła Vestara. - Statek mi tego nie powiedział, ale tak czy owak, ty i twój ojciec możecie mieć kłopoty. Może powinieneś się zastanowić nad przejściem na Ciemną Stronę? Krąg Lordów na pewno z radością znalazłby miejsce dla kogoś takiego jak ty.

- Dziękuję. Wolałbym umrzeć - wzdrygnął się Ben.

Vestara wzruszyła ramionami.

- Rób, jak chcesz - powiedziała. Pochyliła ku niemu głowę, a jej brązowe oczy wydały się nagle

ogromne i głębokie. - Ale będę tęsknić za tobą... trochę.

- Miło wiedzieć - odparł Ben, szczerząc zęby w uśmiechu. - Ale chyba wybiegasz trochę przed szereg, nie uważasz?

Vestara pokręciła głową.

- Chyba nie - stwierdziła. - Statek nadlatuje i jest bardzo niezadowolony.

Ben wytrzymał siłę jej spojrzenia. Zaczynał wierzyć, że razem z ojcem mogą znaleźć się w tarapatach.

- Czy Statek zdradził ci coś jeszcze? - zapytał.

Vestara spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie - rzuciła.

- Wiesz, że mogę to sprawdzić, prawda?

Dziewczyna rozłożyła szeroko ręce.

- Proszę bardzo - potwierdziła.

Ben był prawie przekonany, że Vestara powiedziała mu o Statku, żeby odwrócić jego uwagę od czegoś innego. Na razie jeszcze raz uwolnił myśli i powierzył je Mocy. Przeraził się, kiedy wyczuł, że do planety zbliża się coś prastarego.

A potem usłyszał w głowie to pytanie. Kryła się w nim zapowiedź nieszczęścia; takie wrażenie dobrze pamiętał z przeszłości.

*Dlaczego jeszcze żyjesz, Benie?*

Ben z trudem opanował szok.

Prawdopodobnie dlatego, że jestem za dobry, odpowiedział w myśli.

*Stałeś się arogancki.* Statek wydawał się bardziej rozbawiony niż zirytowany. *To cenna zaleta u władcy.*

Nie jestem władcą, tylko Rycerzem Jedi, pomyślał młody Skywalker. I zniszczę cię, jeżeli się zbliżysz do tej planety.

*Gdybyś to potrafił, nie ostrzegałbyś mnie,* stwierdził Statek. *Twoja zuchwałość jest jednak obiecująca. Jeszcze nie jest za późno, żeby do nas dołączyć, Benie.*

Młody Skywalker poczuł się tak znieważony, że nawet nie odpowiedział. Statek nie był do końca



inteligentną istotą, więc prawdopodobnie nie potrafił zrozumieć, dlaczego perspektywa podążenia śladami kuzyna napełniała Bena odrazą.

*Darth Caedus był tylko ułamkiem tego, co nadejdzie, ostrzegł Statek. Jedi są słabi i skazani na zagładę, a przeznaczeniem Zapomnianego Plemienia jest odrodzenie Imperium Sithów w galaktyce.*

Zapomniane Plemię nie dałoby nawet rady obalić huttańskiego lorda przemytników, więc co tu mówić o przejściu władzy w galaktyce, odparł w myślach Ben. W obecności Statku w Mocy wyczuwał dumną arogancję i optymizm graniczący z samooszukiwaniem. A w przypadku inteligentnej istoty niepohamowana duma była słabością, którą można najłatwiej wykorzystać.

Potrzeba czegoś więcej niż kilku tysięcy Mieczy i flotyli przestarzałych fregat, żeby obalić Galaktyczny Sojusz, pomyślał.

*Wszystko w swoim czasie, młody Jedi, wszystko... Statek urwał myśl, a przez Moc przeniknęła zimna fala gniewu. Zmądrzałeś, Benie, podjął Statek. Tym razem na pewno cię docenię.*

Młody Skywalker znów poczuł nagły chłód w Mocy, kiedy Statek wycofał z niej swoją obecność przed dotykaniem jego myśli. Ben wolałby poświęcić chwilę, żeby podsumować, czego udało mu się dowiedzieć od Statku. Wyczuwał jednak na sobie spojrzenie Vestary. Rozumiał, że gdyby milczał zbyt długo, straciłby okazję do wykorzystania tego, czego już się dowiedział.

- Wierysz mi teraz? - zapytała Vestara.

Ben parsknął i zmierzył ją oskarżycielskim spojrzeniem.

- Ani trochę - powiedział. - Mówiłaś zdaje się, że wiesz niewiele na temat Statku, prawda?

- Bo tak jest - obstawała przy swoim Vestara. Usiłowała cały czas utrzymywać z nim kontakt wzrokowy, co Ben uznał za sztuczkę notorycznej kłamczuchy. - Po prostu nie powiedziałam ci wszystkiego - dodała.

- Przestań się wygłupiać - zdenerwował się Ben. - Może zacznij od tego, że Statek cały czas współpracował z Zapomnianym Plemieniem.

Vestara westchnęła, zerknęła w bok, a w końcu przyznała:

- W porządku, tak było. Ale Statek w pewnym sensie był naszym zbawcą. Gdyby nie przyleciał, żeby nas odnaleźć, do tej pory byśmy tkwili na... na naszej macierzystej planecie.

Ben uśmiechnął się krzywo.

- Czyli na Keshu - powiedział, wyciągając do niej rękę. - Wiesz, już kiedyś słyszałem tę nazwę.

- Wiem - przytaknęła Sithanka. - Tylko trudno się pozbyć starych nawyków.

Kiedy Ben pomógł jej wstać, podeszła do niego tak blisko, że młody Skywalker napiął mięśnie, spodziewając się ataku. Vestara się uśmiechnęła, a naznaczony blizną kącik jej ust nadał temu uśmiechowi lekko złowieszczy wygląd. Potem spojrzała chłopcu głęboko w oczy.

- Wiesz, dlaczego ci wyznałam, co Statek oznacza dla mojego ludu, prawda? - zapytała.

- Jasne. - Ben wytrzymał siłę jej spojrzenia, uważając na jej prawą rękę, w której często trzymała nóż. - Żeby zyskać moje zaufanie i wpoić mi przekonanie, że mam wobec ciebie dług wdzięczności.

W jej oczach pojawiło się rozczarowanie, ale na wargach pozostał miły uśmiech.

- To też - przyznała, kładąc dłoń na jego piersi. - Wybierasz się dokądś? - zagadnęła.

- Z powrotem do ruin - odparł Ben. - Mój tata powinien chyba wiedzieć, że Statek wraca, nie uważasz?

- A co, nie wiesz, do czego służy komunikator?

- Byłoby lepiej, gdyby Arcylord nie podsłuchiwał naszej rozmowy - wyjaśnił Ben. -

Przynajmniej dopóki nie dołączę do ojca.

Vestara zastanowiła się nad tym problemem i w końcu pokiwała głową.

- Możliwe, że masz rację - zdecydowała. Spojrzała w stronę izby chorych i dodała: - W takim razie idź. Będę się opiekować Dyonem.

Ben się uśmiechnął.

- Niezła próba wytrzymałości - rzucił. Nie puszczając ręki Vestary, ruszył w kierunku rufowej śluzy. - Idziesz ze mną - zapowiedział.

Vestara opierała się tylko chwilę, w końcu westchnęła i dała się pociągnąć.

- Pamiętaj tylko, że to twój przyjaciel - przypomniawsza. - Nie miej do mnie pretensji, jeżeli będzie miał zakrwawione bandaże, kiedy tu wrócisz.

Ben przystanął.

- Zmieniałem je niespełna dwie godziny temu - powiedział.

- A ja godzinę po tobie - oznajmiła Vestara. - I zauważyłam, że w jego rany wdało się zakażenie.

Zważywszy na ilość balsamu z bactą, którym smarowano rany Dyona, zakażenie wydawało się praktycznie niemożliwe. Bardziej prawdopodobne było to, że Vestara po prostu usiłuje powstrzymać

Bena, bo nie chce, żeby ostrzegł Luke'a przed nadciągającą zmianą... a ten manewr powiedział Benowi wszystko, co chciał wiedzieć. Domyślił się, co Statek wyjawiał Vestarze.

Na razie skinął głową, udając, że przekonał go jej argument.

- W porządku, sprawdzę, jak on się czuje. Zajmie mi to tylko sekundę - stwierdził. - A ty prawdopodobnie i tak musisz zmienić zbiorniki.

- Ja? - zaprotestowała Sithanka.

- Wiesz chyba, że jeśli się okaże, że balsam z bactą nie działa, będziemy musieli sięgnąć po silniejszy środek. - Nie wypuszczając dłoni Vestary, poprowadził ją na rufę przez główny salon, mijając kuchnię. - Pamiętaj, że twoje odciski palców nie otworzą zamka szafki, gdzie takie środki są przechowywane.

Jedyną odpowiedzią Vestary było pełne rezygnacji mruknięcie. Wchodząc do krótkiego korytarzyka prowadzącego do pomieszczeń sterburty, Ben elegancko przystanął, żeby przepuścić dziewczynę przodem. Vestara też się zatrzymała i gestem zachęciła go, żeby to on szedł pierwszy.

Młody Skywalker pokręcił głową z udawanym niedowierzaniem.

- Zawsze jesteś taka podejrzliwa? - zainteresował się.

- A ty zawsze taki przebiegły? - odcięła się Vestara. - Widziałam, jak podstępni potraficie być wy, Jedi, podczas walki.

Ben przekrzywił głowę i spojrzał na nią.

- Czyżbyśmy mieli znowu toczyć walkę? - zapytał.

W oczach Vestary zobaczył ślad bólu.

- Mam nadzieję, że nieprędko - odparła.

Przecisnęła się obok niego i pierwsza ruszyła korytarzem. Zatrzymała się na progu otwartych drzwi izby chorych. Spodiewając się najgorszego, Ben stanął trzy kroki za nią i wyciągnął rękę do świetlnego miecza.

- Dyon... Jesteś przytomny? - Vestara aż się zachłysnęła. - Jakim cudem?

Wszelkie podejrzenia, że zaskoczenie dziewczyny może być grą, szybko rozwiązał

niewyraźny głos Dyona Stadda.

- Ciężka... sprawa - mruknął chory. Napiął pasy ochronnej uprząży, aż poręcz łóżka brzęknęła. - Hej, moglibyście mi pomóc się tego pozbyć? Muszę szybko iść do toalety.

- Prawdę mówiąc, wcale nie musisz - wyjaśnił mu Ben. Minał Vestarę i wszedł do izby chorych. - Masz cewnik, czujesz?

- Cewnik? - wychrypiał Dyon. Leżał pod cienkim szpitalnym kocem, miał zlepione potem włosy i zapadnięte oczy. Oba nadgarstki krępowały specjalne pasy, uniemożliwiające mu wymachiwanie rękami podczas snu i wyrywanie wenflonów z żył. - Jak długo byłem nieprzytomny?

- Nie tak długo, jak powinieneś - odparł Ben, podchodząc do niego. Aura Dyona w Mocy cały czas pozostawała niewyraźna i słaba. Mężczyzna był bardzo osłabiony, ale nie oddychał już z wysiłkiem i wydawał się mówić całkiem rozsądnie. - Jak się czujesz?

- Pamiętam, że kiedyś zostałem poturbowany przez rankora - westchnął Dyon i odwrócił się, żeby spojrzeć Benowi w oczy. Jego spojrzenie było dziwnie pozbawione wyrazu. - Teraz czuję się jeszcze gorzej.

- Też tak myślę. - Ben podszedł bliżej, wyciągnął rękę i odsunął trochę koc. Zabrzęczało, kiedy Dyon odruchowo cofnął rękę, jakby chciał ją uwolnić z krępującego nadgarstek pasa. Jego oczy pozostały jednak martwe.

Ben zmarszczył brwi.

- Jak twój wzrok?

- Mój wzrok? - Dyon opuścił głowę na poduszkę. - A więc to wzrok mi sprawdzałeś? - zdziwił się.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. - Ben ściągnął cały koc i zauważył, że bandaż wokół piersi Dyona są czyste. Przynajmniej to się nie zmieniło. - Widziałeś, jak poruszyłem ręką, czy też wyczułeś mój ruch dzięki Mocy?

Dyon wbił wzrok w sufit.

- Słyszałem, że protezy oczu bywają lepsze niż prawdziwe oczy - powiedział.

Ben westchnął. Już chciał pocieszyć Dyona, że się nie myli co do protez oczu, ale usłyszał

dobiegający z tyłu cichy syk. Odwrócił się i stwierdził, że drzwi izby chorych się zasuwały.

Wyciągnął rękę, ale zanim zdążył posłużyć się Mocą, żeby przycisnąć kontrolną płytkę, z puszki z obwodami dobiegło stłumione skwierczenie. Po chwili szkarłatny szpic świetlnego miecza przepalił

ochronną płytę czołową i zataczając krąg, zniszczył mechanizm otwierania drzwi.

- Vestaro! - Ben odpiął rękojeść świetlnego miecza i skoczył do drzwi. - Przecież nie chcesz tego zrobić!

- Chyba nie... - Jej głos brzmiał coraz ciszej, w miarę jak oddalała się w kierunku rampy wyjściowej.  
- Ale mam swoje rozkazy.

Ben podszedł do drzwi. Był zbyt rozsądny, żeby wyrzeć przez otwór, który wypaliła Vestara, ale rozszerzył swoją świadomość Mocy na pozostałą część „Cienia”. Stwierdził, że Vestara jest już na dziobie i zbiega po rampie.

- Znow to zrobiła? - zapytał Dyon.

Ben obejrzał się i stwierdził, że ranny mężczyzna ma głowę zwróconą w stronę drzwi, a jego puste oczy kierują się na dziurę w kontrolnym panelu.

- Myślałem, że nie widzisz - zdziwił się Ben.

- Bo nie widzę. - Oczy Dyona spoczęły na twarzy młodego Jedi. - Ale wyczuwam swąd przysmażonych obwodów i twój gniew. Reszty potrafiłby się domyślić nawet matol z Akademii.

- Prawdę mówiąc, nie jestem wcale rozgniewany. - Ben odwrócił się w stronę drzwi, wysunął klingę świetlnego miecza i zaczął wycinać otwór w drzwiach. - Bo wiesz, nawet nie próbowała mnie zabić - wyjaśnił.

### **ROZDZIAŁ 3**

Czarny dym ze stosu unosił się nisko nad dziedzińcem, utrudniając Luke'owi Skywalkerowi podziwianie rzeźb kamiennej arkady... i być może o to właśnie chodziło. Towarzyszący mu Sithowie nie lubili jego samotnych wycieczek po ruinach i prób zrozumienia Abeloth i Fontanny Siły bez ich udziału, a użycie dymu, żeby mu dokuczyć, z pewnością leżało w ich możliwościach.

Niestety Luke nie odkrył niczego, co mogłoby uzasadnić ich niezadowolenie - tylko te niezwykle reliefy, które pojawiły się, kiedy usunęli okrywający świątynię gąszcz mięsożernych roślin.

Pełne wijących się form, które przy każdym kolejnym spojrzeniu zdawały się zmieniać z pnączy w węże lub w macki, reliefy przypominały styl określany na Coruscant mianem „węzowej groteski”. Luke jednak wiedział, że one są znacznie starsze... i znacznie bardziej złowieszcze.

Widywał podobne dzieła sztuki w różnych zakątkach galaktyki, na planetach w rodzaju Shatuun i Caulus Tertius - czyli światach, które zginęły w kataklizmach równie pradawnych i tajemniczych jak sama Otchłań. Nikt nie umiał powiedzieć, kto stworzył te rzeźby ani też dlaczego można je było znaleźć tylko na planetach całe eony temu zdewastowanych w stopniu uniemożliwiającym zamieszkanie.

Na pierwsze delikatne drgnięcie zmysłu niebezpieczeństwa Luke odwrócił się i ujrzał

Sarasu Taalona wyłaniającego się z obłoku oleistego dymu. Jak wszyscy rodowici Keshiri, spotkani dotychczas przez Luke'a, Taalon był smukły i urodziwy, o skórze koloru lawendy i fioletowych oczach. Przecinające jego szczupłą twarz zmarszczki świadczyły o wieku, lecz jednocześnie przydawały mu godności, jakże kontrastującej z wrogością i narcyzmem przepelniającymi jego aurę

Mocy.

W miarę zbliżania się Taalona dym zaczął się rozpraszać i Luke zdał sobie sprawę, że Sith używa Mocy, żeby oczyścić powietrze wokół siebie. Ten zabieg nie byłby dla Mistrza Jedi ani trochę trudniejszy niż dla Arcylorda, Moc jednak była dla Luke'a świętością, a nie zwykłym narzędziem stosowanym dla własnej wygody. Oto podstawowa różnica między Sithami a Jedi, pomyślał, Sithowie uważają, że Moc istnieje, żeby służyć im, natomiast Jedi uważają się za sługi Mocy.

Taalon przystanął obok Luke' a i zmarszczył nos; widocznie poczuł unoszący się wciąż w powietrzu zapach zwęglonego mięsa.

- Czyżbyś lubił swąd płonących Sithów, Mistrzu Skywalkerze?

- Jeżeli pytasz, czy wolę go od zapachu Sithów pozostawionych w dżungli, żeby zgnili, odpowiedź brzmi: tak - odparł Luke, nie odwracając wzroku od kolumny, której się przyglądał. -

Szczególnie że leżeli w tym upale już dwa dni.

- Czas jest nieistotny dla umarłych, Mistrzu Skywalkerze, a my mieliśmy ważniejsze rzeczy do zrobienia - wyjaśnił Taalon i machnął lekceważąco dłonią. - Ale przepraszam, jeżeli ten zapach cię uraził. Sądziłem, że się ucieszysz... bądź co bądź to swąd martwych Sithów.

- Nie cieszy mnie niczyja śmierć. Nawet boleję nad waszą stratą - przyznał Luke, na co Sith parsknął z niedowierzaniem.

- Nie da się okłamać Sitha, Mistrzu Skywalkerze.

Luke spojrział na Taalona i uśmiechnął się pogodnie.

- Gdyby to była prawda, wiedziałbyś, że z pewnością nie kłamię. Śmierć Lady Rhei i jej oddziału na Stacji Ujście nie sprawiła mi przyjemności. Tak jak nie uraduje mnie zabicie ciebie i Gavara Khai. Kiedy już zmusicie mnie, żebym to zrobił, naturalnie.

- Widzisz, Mistrzu Skywalkerze - uśmiezek Taalona zmienił się w grymas - właśnie tym się różnimy. Kiedy nasza współpraca wreszcie się skończy, zabicie ciebie przyniesie mi ogromną radość.

- Każdy ma jakieś marzenia, Arcylordzie Taalonie. - Luke wzruszył ramionami, po czym wrócił do studiowania uszkodzonej podczas bitwy arkady. Powiódł palcem po jednym z prymitywnych reliefów. Mógł przedstawiać zarówno węża wspinającego się na kolumnę, jak i owinięte wokół niej pnącze. Podobnie jak wszystkie rzeźby w świątyni, było to dzieło abstrakcyjne i tajemnicze. - A skoro już tu jesteś... te reliefy były niewątpliwie ważne dla budowniczych tego miejsca, kimkolwiek byli. Czy potrafisz coś o nich powiedzieć?

Grymas zniknął z twarzy Taalona, a z nim przelotne wrażenie brzydoty ukrytej pod nieskazitelnymi rysami twarzy Sitha. Współpracował z Lukiem tylko dlatego, że obaj świetnie zdawali sobie sprawę z prostego faktu: żaden z nich nie dowiedziałby się niczego, gdyby marnowali czas na walczenie ze sobą. Do tej pory, to znaczy od dwóch dni, które stracili na oczyszczenie dżungli i wydarcie zmarłych

mięsożernej roślinności planety, Arcylord okazał się zaskakująco skłonny do współpracy - co nie było sprzeczne z faktem, że niewątpliwie zamierza zabić Luke'a, kiedy tylko stwierdzi, że współpracownik Jedi nie jest mu już potrzebny.

- Mogą mieć różne znaczenia dla mojego ludu, zależnie od tego, co właściwie przedstawiają

- powiedział po chwili Taalon. - Jeżeli to węże, to mogą symbolizować przebiegłość i nagłą śmierć.

Jeżeli pnące, to mogłyby oznaczać cierpliwość lub powolną śmierć, a macki to przeznaczenie i nieunikniona śmierć. Lina oznacza niewolę i hańbiącą śmierć, korzeń odmłodzenie i odwlekanie śmierci, a jelito to instynkt i śmierć poprzez tortury...

- Dzięki, zaczynam rozumieć - przerwał mu Luke. Nie przyszło mu do głowy, że relief może przedstawiać jelito, ale musiał przyznać, że niektóre elementy rzeczywiście je przypominały. - Czy twój lud ma jakiegokolwiek symbole, których nie kojarzycie ze śmiercią?

- Śmierć czeka nas wszystkich, kiedy powrócą Niszczyciele. - Taalon zerknął na Luke'a. -

Słyszałeś o Niszczycielach, Mistrzu Skywalkerze?

- Oświeć mnie. - Luke specjalnie unikał bezpośredniej odpowiedzi. Wiedział dość o zwyczajach Zapomnianego Plemienia, żeby zdawać sobie sprawę, że Vestara zapłaciłaby krwią za każde słówko, jakie się jej wymknie, a przynajmniej za te, które wymknęły się jej przypadkowo. -

Muszę przyznać, że to brzmi złowieszczo.

- I masz rację, Mistrzu Skywalkerze, naprawdę masz rację.

Taalon opowiedział Luke'owi to, co ten już wiedział: że według legend Keshirich tajemniczy gatunek Niszczycieli powracał co kilka tysiącleci, żeby zniszczyć całą cywilizację; przywracali wtedy galaktykę do jej naturalnego, pierwotnego stanu. Kiedy pierwsi Sithowie rozbili się na ich planecie pięć tysięcy lat temu, Keshiri powitali ich jako legendarnych Obrońców, którzy mieli uratować świat, gdy Niszczyciele znów nadejdą. Z czasem Sithowie przyjęli tę przepowiednię za własną.

- Te symbole, jak je nazywasz - ciągnął Taalon, wskazując toporne rzeźby na kolumnie -

zawsze były wiązane z Niszczycielami.

- Sądysz więc, że Abeloth była Niszczycielką? - zapytał zdumiony Luke. - A mimo to próbowaliście ją uwięzić?

- Nie mieliśmy czasu, żeby obejrzeć te płaskorzeźby, o ile pamiętasz. - Taalon wskazał

wewnętrzną część arkady, w której wybito długi rząd trzymetrowych przejść, prowadzących do przestronnych cel mieszkalnych. Wewnątrz cel, jak przekonał się już podczas zwiedzania Luke, ustawiono ławy wielkości Wookieech i kamienne prycze, dość duże dla rankorów. - Zresztą to, że Abeloth próbowała się ukryć w ruinie ozdobionej takimi rzeźbami, nie oznacza, że sama jest

Niszczycielką. Zgodzisz się chyba, że jest trochę za mała, żeby pasować do tego miejsca.

Luke popatrzył na drugi koniec dziedzińca, gdzie Gavar Khai, doglądając stosu pogrzebowego, jednocześnie uważnie badał zwłoki Abeloth. Ukryte pod zakrwawioną szatą zastępującą całun żałobny, jej ciało było mniej więcej rozmiarów przeciętnej kobiety - może tylko nieco wyższej. Niewątpliwie jednak nie potrzebowała umeblowania tej wielkości.

- Przynajmniej w tej postaci - doszedł do wniosku Luke.

Odwrócił się znowu do Taalona, który patrzył na Fontannę Siły, osłoniętą obłokiem żółtej pary. Luke wyczuwał, że fontanna jest przepelniona tą samą mroczną energią Mocy, którą odkrył, kiedy przybył tu po raz pierwszy w towarzystwie swoich przewodników - Wędrowców Umysłów ze Stacji Ujście. Jakikolwiek związek istniał między Abeloth a fontanną, Skywalker dobrze wiedział, że mroczna potęga tego miejsca będzie pokusą nie do odparcia dla Taalona.

- Masz rację, Arcylordzie. Ta ruina nie była mieszkaniem Abeloth. - Luke spojrział w górę urwiska, gdzie mieściła się kryjówka istoty. - Może dowiemy się więcej, wracając do jej jaskini.

- Nie wysilaj się, Mistrzu Skywalkerze. - Na ustach Taalona pojawił się drapieżny uśmiech.

- Czuję potęgę fontanny równie wyraźnie, jak ty.

- To nie fontanna sprawiła, że Rycerze Jedi stracili kontakt z rzeczywistością, i to nie z jej powodu tu jesteśmy. - Luke spojrział na drugi koniec dziedzińca, gdzie Gavar Khai usiłował

podtrzymać płomień stosu pogrzebowego, używając do tego paproci i widłaków. - Raczej z powodu Abeloth.

- Wiesz przecież, że ona mogła czerpać swoją potęgę z tej fontanny - zauważył Taalon.

Gavar odsunął się od stosu i ustawił pomiędzy Lukiem a Abeloth, żeby przeszkodzić ewentualnym próbom odzyskania zwłok. Ten krzepki Sith o długich czarnych włosach miał

zawziętą twarz o regularnych rysach i oczy tak ciemnobrązowe, że wydawały się niemal czarne.

Sądząc ze swoich doświadczeń z Vestarą, Jedi uznał, że Khai był nie najgorszym ojcem - może nieco zbyt surowym, ale kochającym i dumnym z córki. Luke podziwiał go przynajmniej za to.

Zdawał sobie sprawę, że nie rozstanie się z Sithami bez walki, ale wolałby uniknąć starcia z Khaiem. Zabicie go traktowałby jako smutny obowiązek.

- Jeżeli masz zamiar ujawniać tylko to, co dla ciebie wygodne, Mistrzu Skywalkerze -

mówił dalej Taalon zza pleców Luke'a - to nie warto utrzymywać naszej umowy w mocy.

Luke zatrzymał się, zniechęcony. Nie miał pojęcia, co się stanie, jeśli Taalon napije się z Fontanny Siły - czy umrze, czy też zyska nieograniczoną potęgę, co obiecywali Wędrowcy Umysłów podczas



ich pierwszej wyprawy do ruin. W gruncie rzeczy nie chciał się dowiedzieć.

Niestety podejrzewał, że jeśli spróbuje zniechęcić Arcylorda, skutek może być odwrotny. Cóż, chyba musiał zastosować odmienną strategię.

Zresztą Abeloth niewątpliwie miała coś wspólnego z fontanną, a Luke'owi bardzo zależało na tym, żeby dowiedzieć się, co to takiego. Chyba nie mniej niż towarzyszącym mu Sithom.

Odwrócił się do Arcylorda.

- Nie wiem wiele - powiedział - i nie chcę odpowiadać za to, jak wykorzystasz moje informacje.

- Więc jednak już tu byłeś. - W głosie Taalona słychać było arogancję.

- W pewnym sensie. - Luke podszedł do krawędzi fontanny, odetchnął siarkowym oparem, zatrzymał się i spojrzał przez ramię. - Zgadzasz się na moje warunki czy nie?

~ To interesujące - mruknął Taalon, a jego oczy zwęziły się w zadumie. - Próbujesz mnie przestraszyć... czy raczej skusić?

- Próbuję tylko dotrzymać naszej umowy - oznajmił Luke. - To ty nalegasz.

Taalon zastanawiał się chwilę, by w końcu zwrócić się do Khaia:

- Nie rób nic, chyba że Jedi zaatakują.

- Jak rozkażesz, Arcylordzie. - Khai skłonił głowę.

Luke wszedł w opary. Kiedy zaczerpnął gorącego powietrza, gardło zaczęło go palić, ale parł naprzód, używając Mocy, żeby odsunąć wyziewy od twarzy. Zbliżył się do rzeźbionego zbiornika i poczuł potęgę fontanny. Poczuł mdłości i okropne poczucie winy. Wszystko wyglądało bardzo podobnie jak podczas jego poprzedniej wizyty - strumień ciemnej wody, gruby jak ludzka noga, wytryskiwał ze źródła energii Ciemnej Strony, tak głębokiego i pradawnego, że zdawało się stare jak sama galaktyka.

Taalon zatrzymał się obok Luke'a i z jego piersi wyrwało się westchnienie, którego źródłem mógł być zarówno podziw, jak i strach. Długo patrzył na słup brązowej wody, pozwalając, żeby otoczyła go jej potęga. Wreszcie odsunął się od Luke'a, a jego dłoń powędrowała ku mieczowi świetlnemu.

- Dotrzymałem mojej części umowy - odezwał się groźnym głosem. - Co wiesz o tym miejscu?

- Cóż, to bardzo potężne źródło Ciemnej Strony - odparł Luke, wpatrzony w fontannę.

- Tyle to sam wiem - warknął Taalon. - Nie masz nic do dodania?

- Owszem - odparł Luke. - Próbowano mnie nakłonić, żebym się napił tej wody. - W żółtych oparach pojawiły się niewielkie wiry. - Powiedziano mi, że jeżeli się na to odważę, zdobędę niewyobrażalną

potęgę i będę mógł dokonać, czego tylko zapragnę.

- Kto ci to powiedział?

Luke poczuł muśnięcie chłodu, co oznaczało, że Taalon bada jego aurę w Mocy, próbując ocenić, czy mówi prawdę. Zignorował to i patrzył na kolejne wiry pojawiające się w siarkowych oparach. Pierwsze z nich zaczęły nabierać kształtu; teraz wyglądały jak para oczu.

- Moja cierpliwość się kończy - ostrzegł Taalon. - Niech ci się nie wydaje, że możesz mnie zwieść.

- Tak mi mówili moi przewodnicy ze Stacji Ujście - wyjaśnił Luke. Pierwsza para oczu zabłysła złotem, tak samo jak podczas jego poprzedniej wizyty. Jedi ostentacyjnie odwrócił wzrok.

- Nie byli zbyt wiarygodni.

- A przynajmniej chciałbyś, żebym w to uwierzył. - Taalon znowu spojrzał na fontannę i nabrał głęboko powietrza na widok wielu par oczu pojawiających się wokół pierwszej. - Czym są te oczy?

- Tak jak ty, mogę co najwyżej zgadywać - stwierdził Luke. - Niszczyciele? Znaki Ciemnej Strony? Kolejne stwory rodzaju Abeloth?

- To są więźniowie... - rzekł Taalon, wyciągając własne wnioski. Spojrzał gniewnie na Luke'a. - A ty chciałeś, żebym został jednym z nich.

- Nieprawda. Chciałem wrócić do jaskini Abeloth - zaprotestował Luke z niewinną miną.

- To był podstęp - powiedział Taalon. - Wyczułbym twoją pułapkę, gdybyś okazał więcej zapału.

- Znow okazałeś się dla mnie za sprytny, Arcylordzie. - Luke poczuł nagle znajomy dotyk Mocy swojego syna. Ben był wyraźnie zmartwiony; zdawało się, że próbuje ostrzec go przed czymś i przekonać, żeby uważał i był gotowy do odparcia ewentualnego ataku. Najwyraźniej coś złego musiało zdarzyć się na pokładzie „Cienia” - ale nie warto było mówić o tym Taalonowi. Luke odwrócił się znow do fontanny i nie okazując zdenerwowania, wskazał na szczególnie dziwną parę oczu. - Domyślasz się, do jakiego gatunku one należą?

- Raczej nie. - Taalon przyjrzał się oczom, zadrżał gwałtownie i odwrócił wzrok. - Tak czy owak, nie można ufać ich obietnicom.

- Obietnicom? - Zdziwienie Luke'a było równie szczere, jak jego niepokój. Ciemne siły w fontannie reagowały na Taalona inaczej niż na niego. Niezależnie od tego, czy zamierzała wyjawić Sithowi prawdziwą naturę Abeloth, czy tylko sposób korzystania z potęgi fontanny, musiało się to skończyć kłopotami. - Więc te oczy do ciebie mówią?

Arcylord zwrócił się do Luke'a z szyderczym uśmiechem.

- Nie nabiorę się na twoje sztuczki, Mistrzu Skywalkerze. - Obrócił się na pięcie i zaczął

oddalać się od sadzawki. - To była przebiegła pułapka, ale nikt w tej galaktyce nie zwiedzie Arcylorda Sithów.

## ROZDZIAŁ 4

Vestara obejrzała się przez ramię i zobaczyła tylko paprociowo-widłakową dżunglę; znikły nawet jej ślady. Zatrzymała się, nasłuchując, ale słyszała tylko bicie swojego serca. Wciągnęła wilgotne powietrze do ciężko dyszących płuc; poczuła cierpki zapach własnego strachu. Wiedziała jednak, że Ben Skywalker jest gdzieś za nią, zaledwie dwadzieścia czy trzydzieści metrów w dół

zbocza. Wyraźnie wyczuwała go w Mocy - jego zawziętą obecność, nieugiętą, zdeterminowaną i nieprzejednaną.

To była jej wina, nie da się ukryć. Vestara mogła wrzucić detonator termiczny do szpitalnej izby, kiedy już zamknęła w niej Bena, lub poświęcić chwilę, żeby popsuć rdzeń fuzyjny „Cienia” przed podjęciem próby ucieczki. Powiedziała sobie jednak, że Ben jest za szybki i zbyt sprytny, żeby dać się wyeliminować tak łatwo; zresztą jego nieobecność tylko zmniejszy jej szanse dotarcia do Arcylorda, któremu musiała donieść o powrocie Statku. Prawda jednak była inna: tak naprawdę nie chciała zabić Bena. Pozwoliła, żeby jej uczucie stało się jej słabością. A Vestara gardziła słabością... zwłaszcza własną.

Wznowiła wspinaczkę. Sięgnąwszy po Moc, żeby zwalczyć zmęczenie, odważyła się wreszcie spojrzeć do tyłu. Nie zobaczyła ani śladu Bena, tylko liście wciąż kołyszące się po jej przejściu. Wiedziała, że ich ruch ustanie, zanim Ben się pojawi; tak gęste podszycie idealnie nadawało się na zasadzkę. Musiała tylko wymyślić, jak oszukać jego wyczucie niebezpieczeństwa...

Gdyby udało jej się znaleźć kępę paroksyspory lub krzew kwasopióra, Ben nie zorientowałby się, co na niego czyha. A wtedy ona mogłaby się ukryć w pobliżu i - nawet z jednym niesprawnym ramieniem - naprawić swój błąd. Jej ojciec nigdy nie dowiedziałby się o jej słabości... Arcylord Taalon tym bardziej.

Poszukując dobrego miejsca na zasadzkę, Vestara spojrzała w górę zbocza i zobaczyła przed sobą ogromny, szarozielony kwiat. Nie miał pręcików ani słupków, tylko długi, rurkowaty pylnik wypełniony drobnymi ziarnkami koloru rdzy.

- *O, stang!*

Vestara zatrzymała się i spróbowała odwrócić, szczelnie zamykając powieki, ale było już za późno. Pylnik skurczył się gwałtownie, wyrzucając jej w twarz chmurę ceglastego pyłu. Poczuła palący, przenikliwy ból. Przed oczami zatańczyły jej jaskrawe płomienie. Wiedziała, że jeśli tu zostanie, czeka ją śmierć - z pewnością powolna i bolesna. Użyła więc Mocy, żeby uskoczyć jak najdalej.

Nawet nie wiedziała, czy skoczyła w górę, czy w dół zbocza - i miała się tego nigdy nie dowiedzieć. Wpadła z rozpędu w płataninę pnączy i zawisła w niej, bujając się bezwładnie. Żeby się uwolnić, Vestara sięgnęła po swój miecz świetlny - ale długi pęd zacisnął się wokół jej nadgarstka i odciągnął go na bok. Próbowała się wyrwać, ale pnącze wczepiło się w jej rękaw za pomocą lepkiej, słodko

pachnącej żywicy. Chwyciła je Mocą i poczuła silne szarpnięcie; przestraszyła się w pewnym momencie, że ramię wyskoczy jej ze stawu.

Zamrugnęła, mając nadzieję, że oczyści tym sposobem oczy z pyłku, ale poczuła mocny ból, bo żywica dostała się jej pod powieki. Uwolniła drugą rękę z temblaka i powoli sięgnęła po swój parang; bała się, że spowoduje w ten sposób rośliny do kolejnego ataku.

Twardy, ale giętki pęd wśliznął jej się pod pachę i zaczął popychać ją w przeciwnym kierunku. Serce Vestary biło mocno w piersi, oddychała z trudem. Czuła, jak coś pełźnie jej po nodze, owija się wokół talii i zaczyna ścisnąć. Wpadła w furję. W końcu przetrwała na tej planecie tak wiele - ataki mięsożernych roślin, podstępny Abeloth, rozbicie statku bez nadziei na ratunek...

Grozę budziła sama myśl o powrocie tutaj. A przecież wróciła, bo Arcylord Taalon tak rozkazał. I jak to się skończyło? Tkwiła tu oślepią, spętana, z perspektywą stania się obiadem pierwszego lepszego drzewa.

- Naprawdę... nienawidzę.... tej planety - warknęła.

Chwyciła Mocą swój miecz świetlny i odczepiła go od pasa. Nie chciała, żeby Ben znalazł

ją w takim stanie, i to nie tylko z uwagi na to, że byłaby wtedy zdana na jego łaskę. Zanim przyzwyczał się do myśli, że zawsze ratuje jej życie. Jego zaczepny uśmiech sugerował wtedy, że oczekuje czegoś w zamian - na przykład szczerości lub rezygnacji ze zdradzenia go przy najbliższej okazji. Telekinezą odsunęła miecz kilka metrów od siebie, po czym wcisnęła przycisk uruchamiający ostrze.

Broń ożyła ze znajomym szumem i trzaskiem źródła energii, emitowanej przez jeden z niezwykle wydajnych kryształów Lignan, należących do Zapomnianego Plemienia. Kierując ostrzem wyłącznie na słuch, przecięła pnącza wokół siebie. Unikając spadnięcia na ziemię, runęła naprzód i obróciła się w powietrzu. Wisiała teraz do góry nogami, przytrzymywana za kostki i rękę.

Użyła Mocy jeszcze raz.

Szybko oswobodziła nogi, które znalazły się u góry. Teraz wisiała równolegle do ziemi, oplątana w pasie. W nadziei że uda jej się uniknąć wstydu uratowania przez swojego rywala Jedi, przywołała miecz świetlny do wolnej ręki. Wykręciła się, próbując sięgnąć do pnączy powyżej talii.

- Stój! - usłyszała.

Oczywiście, Ben. Vestara gniewnie szarpnęła głową i przecięła resztę pnączy. Opadła w dół, tak jak oczekiwała, ale nie dotknęła stopami ziemi. Teraz wisiała schwytna za nadgarstek.

- Vestaro, nie! - Głos dochodził z odległości czterech czy pięciu metrów, trochę w bok od niej. - Co się z tobą dzieje? Zabijesz się!

- No to co? - parsknęła Vestara, unosząc ostrze nad głowę. - To w twoim stylu, Jedi. Chcesz skorzystać z mojej ślepoty, prawda?

- Słoty? - W głosie Bena było autentyczne zdziwienie. - Vestaro, mówię poważnie. Wisisz nad urwiskiem.

- Co takiego?

Vestara wyłączyła miecz świetlny i powiesiła go z powrotem u pasa. Wyjęła zapasowe ogniwo energetyczne z kieszeni na udzie i upuściła. Nie usłyszała, żeby uderzyło w ziemię.

- Wierzę ci, że wiszę nad urwiskiem. - Nawet nie próbowała opanować drżenia głosu.

Zwykle łatwo ukrywała swoje uczucia, lecz po jej przygodzie z kwiatem Ben musiał używać Mocy, żeby ją odnaleźć, więc i tak wyczuł przerażenie w jej aurze. - Co masz zamiar z tym zrobić?

Nie wyczuła, żeby Ben próbował się zbliżyć.

- Dlaczego miałbym robić cokolwiek?

- Ben, marnujesz czas. - Oczy paliły ją, jakby ktoś nasypał do nich rozgrzanego popiołu; czuła, że zaczynają puchnąć jej powieki. Wiedziała, że jeśli nie uda się jej szybko wypłukać pyłku, będzie ślepa co najmniej kilka dni. A na tej planecie ślepotą równała się wyrokowi śmierci. -

Gdybyś miał zamiar się mnie pozbyć, nie wspomniałbyś o urwisku.

- Może wolę, żebyś została tam, gdzie jesteś?

- Powinnaś była cię zabić, kiedy miałam okazję - prychnęła rozdrażniona Vestara.

- Nigdy nie miałaś - odparł Ben.

Vestara odwróciła głowę w jego stronę. Użyła Mocy, żeby wyciągnąć parang z pochwy i cisnąć go w kierunku, z którego dobiegał głos. Przytłumiony okrzyk zdumienia wyrwał się z ust Bena; dziewczyna usłyszała szelest poszycia, świadczący o tym, że chłopak rzucił się na ziemię, żeby uniknąć pocisku.

- Zawsze jest szansa, Ben - przypomniała mu Vestara i syknęła, bo pnące zacisnęło się mocniej wokół jej nadgarstka. Miała nieprzyjemne wrażenie, że podjeżdża ku koronie drzewa, które ją schwytało. - Przestań wreszcie marnować czas i powiedz, czego chcesz.

- Niewiele. - Głos Bena dochodził teraz ze znacznie mniejszej odległości; chyba podszedł na samą krawędź urwiska. - Chciałbym po prostu wiedzieć, dokąd zmierzasz w takim pośpiechu.

Vestara zmarszczyła brwi, próbując odgadnąć, o co Benowi chodzi.

- A jak myślisz? - spytała. - Tam gdzie i ty.

- A więc do ruin - stwierdził chłopak. - Chcesz powiedzieć Taalonowi, że Statek wraca?

Vestara aż gwizdnęła.

- Jestem pod wrażeniem. Nie przypuszczałam, że się tego domyślisz.

- To było całkiem proste. - Głos Bena nie zdradzał, czy czuje się urażony. - Zastanawiam się tylko, czemu nie wzięłaś „Emiaksa”?

To pytanie było tak niespodziewane, że Vestara musiała świadomie uspokoić swoją aurę w Mocy, żeby nie zdradzić zaskoczenia.

- A jak sądzisz? - spytała, kupując czas do namysłu. Mógł ją straszyć, mógł być na nią wściekły po najnowszej zdradzie, ale z pewnością nie zostawi jej tutaj, oślepionej i skazanej na śmierć. Nie mógł sobie na to pozwolić, bo potrzebował jej jako przewodnika po dżungli. - „Emiax” to przecież prom Arcylorda Taalona.

- Więc bałaś się, że go zestrzelę - dokończył Ben, udzielając właściwej odpowiedzi na własne pytanie. - Sprytna dziewczyna.

- Miewam dobre momenty - mruknęła. Znow musiała ukrywać zaskoczenie. Nie podejrzewała, żeby Ben do niej strzelał... nie po tym wszystkim, co zrobiła, żeby uratować mu życie... ale Jedi byli pełni niespodzianek i właśnie dlatego tak niebezpieczni. - Ja też chciałabym się czegoś dowiedzieć. Czemu po prostu nie poleciałaś „Cieniem” do ruin, kiedy już uwolniłaś się z izby chorych? Wyprzedziłbyś mnie o godzinę.

- To proste - stwierdził Ben i zrobił długą przerwę. Pewnie musiał najpierw wymyślić, co powie. - Ja... no... po prostu martwiłem się o ciebie.

- Martwiłeś? - powtórzyła zdumiona Vestara. - Martwiłeś się o Sitha? Po tym, jak zdradziłam cię tyle razy?

- Jesteś tylko uczennicą - odparł Ben lekko. Nie słyszała, żeby zbliżał się bardziej, a w dodatku miała wrażenie, że drzewo wciąga ją coraz wyżej. - Wciąż jest nadzieja, że odnajdziesz Jasną Stronę.

- Urocze - syknęła Vestara. Miała wrażenie, że jej powieki spuchły w trójnasób, a do oczu napływa gryząca ropa. - Ale na twoim miejscu nie miałabym specjalnej nadziei. No i nie czekałabym dłużej ze ściągnięciem mnie stąd. Jeszcze dwie minuty i oślepnę na całe tygodnie.

- A właściwie czemu miałbym się tym przejmować?

Vestara posłała pełen wyższości uśmiech w kierunku, z którego dobiegał jego głos.

- Bo gdybyś wiedział, gdzie są ruiny, domyśliłbyś się, że nie da się do nich dolecieć statkiem - powiedziała. - Są głęboko w dżungli, w jarze u stóp wulkanu. Gdzie zamierzałeś wylądować?

- Więc skłamałaś na temat powodów, dla których nie wzięłaś „Emiaksa”? - sapnął gniewnie Ben.

- A ty niby nie skłamałeś, że otworzyłbyś do mnie ogień? - Vestara posłała mu zachęcający uśmiech... mając nadzieję, że robi to w dobrym kierunku. - Daj spokój, Ben. Pomóż mi zejść.

Naprawdę muszę oczyścić oczy z tego pyłku.

- Dlaczego miałbym to zrobić? - zapytał ponownie młody Jedi.

- No... chciałbyś chyba odnaleźć swojego ojca, zanim Statek znajdzie Taalona? - odparła. -

Kiedy Arcylord zorientuje się, że Statek wraca...

- Wiem doskonale, co się stanie, kiedy Taalon uzna, że nie potrzebuje już mojego ojca -

przerwał jej Ben. - Ale nadal nie wiem, dlaczego miałbym ci zaufać.

Vestara skrzywiła się i zamilkła. Na tak trudne pytanie nie miała dobrej odpowiedzi.

- Posłuchaj, Ben, potrzebujesz mnie - odezwała się w końcu.

- A ty mnie - odparował Ben. - Podaj mi jakiś powód, żebym ci pomógł.

- Powód? - zapytała coraz bardziej zagubiona Vestara. - Już ci jeden podałam. Beze mnie nie znajdziesz na czas swojego ojca.

- Owszem, to jakiś argument, ale to nie jest powód - upierał się Ben. - Jeżeli mam ci pomóc zejść i znaleźć w apteczce coś na twoje oczy...

- Wzięłeś ze sobą apteczkę? - przerwała mu Vestara.

- Jestem Rycerzem Jedi - wyjaśnił jej Ben. - Zawsze noszę ze sobą apteczkę.

Te słowa wywołały uśmiech Vestary. I właśnie wtedy pnącze znów zacisnęło się mocniej wokół jej nadgarstka i poczuła, że zaczyna unosić się szybciej.

- Powiesz mi wreszcie, czego chcesz, Ben? - zapytała. - Zaczyna nam się kończyć czas.

- Wiesz dobrze, czego chcę - powiedział. - Twojego słowa.

- Mojego słowa? - Vestara była pewna, że to jakaś sztuczka; czekała, aż Ben podziała na nią poprzez Moc, ale na razie nie wyczuwała niczego niezwykłego. - I to wszystko?

- To wcale nie jest mało - odparł Ben. - Jeśli chcesz, żebym ci pomógł, musisz mi obiecać: żadnych więcej zdrad.

Vestara mimo woli przygryzła wargę i zdała sobie sprawę, co on robi: gra na jej uczuciach, próbuje pokonać ją na jej własnych zasadach.

- O jaki czas chodzi? - zapytała, próbując powstrzymać uśmiech. Nie chciała wydawać się zbyt chętna; nie uwierzyłby jej, gdyby poddała się zbyt szybko. - Z pewnością nie obiecuję niczego na zawsze.

Ben zawahał się i Vestara wiedziała już, że ma go w garści.

- Niech ci będzie - skinął w końcu głową. - Do przybycia Statku. Wtedy i tak wszystko się zmieni.

Vestara udała, że się zastanawia nad jego propozycją, a po chwili pokręciła głową.

- Do czasu, kiedy będziesz miał okazję powiedzieć ojcu o Statku. Jeżeli ja nie powiem o tym Taalonowi, to pozostanie mi tylko ucieczka... razem z tobą i twoim ojcem. Znowu.

- Czy to byłoby takie złe?

Vestara skinęła głową.

- Owszem. Nie jestem Jedi, Ben. I nie chcę zostać jedną z was.

- W porządku, jeśli jesteś tego pewna - zgodził się Ben. Vestara poczuła, że dotyka jej Mocą. - A więc mam twoje słowo?

- Tak, Ben. - Vestara chwyciła swój miecz świetlny i zapaliła ostrze. Uwolniła się od ostatniego pnącza i poczuła, że Ben przyciąga ją Mocą ku sobie. - Masz moje słowo.

Jeżeli jest coś warte, dodała w myślach.

Kiedy pokonali grań, Ben przestał udawać, że potrzebuje jej wskazówek, żeby znaleźć ruiny. Dżungla zasnuwał dym, tak gęsty i drażniący, że chłopak musiał używać Mocy, jeśli nie chciał się krztusić. Za to wystarczyło teraz podążać w kierunku źródła zadymienia. Wzrok Vestary wciąż płatał jej figle, a oczy jeszcze łzawiły, więc szła tuż za Benem, trzymając się jego pasa z ekwipunkiem. Musiała używać Mocy, żeby utrzymać równowagę na stromym zboczu. Co prawda Ben wolałby nie mieć uzbrojonej uczennicy Sithów za plecami, ale obietnica Vestary musiała mu wystarczyć. Nadal jej wierzył.

Czarne smugi dymu wiły się pomiędzy paprociami i widłakami. Ben poczuł, że dłoń Vestary na jego pasie napina się nerwowo. Udał, że tego nie zauważył, ale trzymał miecz świetlny w pogotowiu, z kciukiem na przycisku aktywacyjnym. Mógł już wyczuć ojca, Gavara i Taalona kilkaset metrów w dół zbocza. Emanowały od nich nieufność, napięcie i podejrzliwość; nie była zaskoczona jego nieoczekiwanym powrotem. A to oznaczało, że Ben miał jeszcze czas ostrzec ojca o Statku.

W miarę jak schodzili, dżungla stawała się coraz rzadsza. W końcu wśród roślinności wyłoniły się ruiny, ukryte w niewielkim wąwozie u stóp wulkanu. Starożytny kompleks był mało skomplikowany. Wybrukowany szarymi kamieniami dziedziniec otaczały z trzech stron arkady, wbudowane w ścianę dziesięciometrowego urwiska. Otwarty bok dziedzińca wychodził na okryte mgłą bagno, zarośnięte mchem i pnączami. Między arkadami wznosiła się bulgocząca fontanna, cała w cuchnących, żółtych oparach.

Trzydzieści metrów od fontanny stał zakapturzony Gavar Khai, dorzucając pocięte paprocie i kawałki grzybów do tłętego się stosu. Nigdzie nie było widać ojca Bena ani Arcylorda Taalona, chociaż ich obecność w Mocy była wyraźnie wyczuwalna. Zapewne badali płataninę podziemnych pomieszczeń,



położonych za arkadą.

Ben zatrzymał się, odwrócił głowę i wyszeptał przez ramię:

- Pamiętasz swoją obietnicę?

- Jak mogłabym zapomnieć? - odszepnęła Vestara. - Nie składałam ich specjalnie często.

- Schlebiasz mi. - Ben podszedł do krawędzi urwiska, która płynnie przechodziła w dach arkady po ich stronie ruin. - Jak twoje oczy? Dobrze widzisz?

- Wystarczająco, żeby wyobrazić sobie twarz mojego ojca - powiedziała. - Nie dam rady długo grać na zwłokę, więc mam nadzieję, że wymyśliłeś dobry powód, dla którego opuściliśmy nasz posterunek.

- Właściwie, to nic nie wymyśliłem - powiedział Ben. - Ale nie martw się, jak przyjdzie co do czego, nic już nie będzie miało znaczenia.

W aurze Mocy Vestary pojawiło się zdziwienie.

- Co to ma znaczyć?

- Po prostu mi zaufaj... i bądź gotowa. - Ben się rozejrzał. - Przygotuj się na długi krok.

Zeskoczył z dachu, dotykając jedną dłonią skalnej ściany i używając Mocy, żeby spowolnić upadek. Vestara puściła jego pas i spadała szybciej. W ostatniej chwili wyciągnęła rękę do góry i powstrzymała lądowanie, zahaczając Mocą o szczyt arkady. Wylądowała lekko jak piórko i o wiele szybciej niż Ben. Przypomniało to chłopcu, jak naturalnie wychodziło Sithom z Zapomnianego Plemienia używanie Mocy, i jak mało wiedzieli o nich Jedi.

Ben dopiero dotarł na dół, kiedy Vestara już szła dziedzińcem ku groźnie spoglądającemu ojcu. Jej krok był pewny i szybki, mimo nadwyręzonego ramienia i wciąż łzawiących oczu. Ben zatrzymał się, żeby otrzepać szaty; chciał dać Vestarze dość czasu na zdradzenie go... bo wierzył, że dziewczyna tego nie zrobi. Musiała zdawać sobie z tego sprawę i pewnie bała się pułapki, a Vestara bała się własnych błędów bardziej niż śmierci. Był przekonany, że zamiast ryzykować posądzenie o nierozwagę ze strony swojego ojca i Taalona, dziewczyna dochowa danej obietnicy. A kiedy się przekona, jak dobrze czuje się człowiek, który to zrobił... i w ten sposób zrobi pierwszy krok na ścieżce ku Jasnej Stronie - wpadnie w sidła Bena. Miał zamiar prowadzić ją ku światłu małymi kroczkami, dokładnie tak, jak Luke zrobił z jego matką, aż w końcu Vestara przyzwyczai się do jasności i na zawsze porzuci ciemność.

Ale Gavar Khai ledwie spojrzał na Vestarę, kiedy przed nim stanęła, za to uważnie przyglądał się Benowi. Uniósł jedną rękę, gotów cisnąć błyskawicę Ciemnej Strony, a drugą oparł o rękojeść miecza świetlnego. Ben dał jeszcze kilka sekund sam na sam ojcu i córce; potem z nerwowym uśmiechem, niczym kandydat na narzeczonego, ruszył dziedzińcem w ich kierunku.

Wyczuwał zaciekawienie ojca poprzez Moc, ale niepewność tkwiła mu kamieniem w żołądku.

Spróbował przesłać Luke'owi własne podenerwowanie, mając nadzieję, że tym niemym sposobem ostrzeże go przed zbliżającym się nieuchronnie końcem ich kruchego sojuszu z Sithami.

Gdy Ben dotarł do wciąż dymiącego stosu, Gavar Khai w końcu zwrócił się do swojej córki:

- Arcylord Taalon rozkazał ci zostać z Jedi, prawda?

- Tak, ojcze. - Vestara opuściła wzrok i skinęła głową.

- A więc co robisz tutaj? - zapytał Khai. - Miałaś ich powstrzymać przed zdradzeniem nas.

- Wiem, ojcze. - Vestara rzuciła ostrzegawcze spojrzenie Benowi; dawała mu do zrozumienia, że złamie dane słowo, jeśli nie przyjdzie jej z pomocą. - Ale wystąpiły... komplikacje.

Khai rzucił Benowi kose spojrzenie zwężonych oczu, a potem znów popatrzył na Vestarę.

- Miejmy nadzieję, że Arcylord Taalon uzna te komplikacje za wystarczające - powiedział. -

Wiesz, że on niełatwo wybacza nieposłuszeństwo.

- Oczekuję jego osądu. - Vestara przełknęła ślinę i spuściła wzrok, zerkając jednocześnie na Bena. Z pewnością było to ostrzeżenie, by jej nie prowokował. Uśmiechnął się, nie przerywając milczenia. Obietnica niewiele znaczyła, jeżeli łatwo było jej dotrzymać. Sithanka ponownie spojrzała na ojca. - Jestem pewna, że Arcylord okaże zrozumienie, kiedy pozna fakty.

Khai przyglądał się jej przez chwilę, wyraźnie zmartwiony.

- Nie powinnaś być tego pewna, córko... zdecydowanie nie powinnaś. - Nie spuszczał

wzroku z jej coraz bledszej twarzy. Potem odwrócił się i podszedł tak blisko do Bena, że jego podbródek znalazł się tuż przed nosem Jedi. - A ty, młody Skywalkerze, powiedz, co zrobiłeś mojej córce?

Ben przewrócił oczami i spojrzał Khaiowi prosto w oczy.

- Uratowałem jej życie - oznajmił.

Twarz Gavara stężała jeszcze bardziej.

- A musiałeś przy tym podbić jej oczy?

Ben spojrzał na sine, nabrzmiałe powieki Vestary i zdał sobie sprawę, że to rzeczywiście tak wygląda. Vestara uśmiechnęła się z wyższością i odwróciła wzrok, zostawiając go bez wsparcia.

Odwzajemnił uśmiech i ponownie spojrzał na jej ojca.

- Miałem zostawić ją wiszącą w pnączach krwaworośli?

Strach zabłysnął w oczach Sitha i zniknął równie szybko, jak się pojawił. Nie cofnął się i nie wydawał się ani trochę mniej groźny, ale Ben wiedział, że zrobił na nim wrażenie. A teraz może udowodnić Vestarze, że warto mu zaufać i że nie ma zamiaru jej zdradzić.

- Chyba teraz jest wszystko jasne - stwierdził. - A poza tym ona nie złamała niczyich rozkazów. Po prostu ściagała mnie.

Khai skrzywił się z niezadowoleniem.

- Miałaś ją za plecami? - zapytał. - I nadal żyjesz?

Ben znów przewrócił oczami.

- Niełatwo jest zabić Skywalkera - powiedział. - Powinieneś wiedzieć chociaż tyle.

Poczuł czyjąś zimną obecność za plecami i usłyszał jedwabisty głos Arcylorda:

- Och, wiemy o tym, Jedi Skywalker. Tego możesz być pewien.

Vestara i jej ojciec złożyli dłonie na piersiach i skłonili się, a Ben odwrócił się i zobaczył

Taalona przemierzającego dziedziniec w jego kierunku. Obok Sitha szedł ojciec Bena; w oczach miał zaciekawienie, a jego aura Mocy pełna była energii i ostrożności.

Taalon zatrzymał się dwa kroki przed Benem, w optymalnej odległości do ewentualnego użycia miecza świetlnego, i rzekł:

- Pytanie brzmi: dlaczego ty nie posłuchałeś rozkazów? - Odwrócił się tak, by móc jednocześnie mówić zarówno do Bena, jak i do Luke'a. Albo bronić się przed obydwoma Jedi. -

Zdaję sobie sprawę, że wy, Jedi, nie przywiązujecie takiej wagi do dyscypliny jak Sithowie, ale ojciec wydający polecenie powinien spodziewać się, że syn go posłucha.

Luke spojrzał Taalonowi w oczy i zmarszczył brwi.

- A wam się to udaje? Z nastolatkami? - Zrobił niedowierzającą minę. - Chyba nie oczekujesz, że w to uwierzę.

- Zapewniam cię, Mistrzu Skywalkerze - oczy Taalona zwęziły się niebezpiecznie - że twoje kpiny mnie nie obrażą. - Spojrzał znowu na Bena. - Polecisz wreszcie swojemu synowi, żeby mi opowiedział o wszystkim? Czy powinienem spytać Vestarę?

Ben postanowił wykorzystać słowa ojca i odgrywać nieposłusznego smarkacza. Wypalił, nie czekając na pozwolenie:

- Wszystko przez ten dym - machnął ręką w kierunku stosu pogrzebowego tak energicznie, że Taalon drgnął, jakby chciał sięgnąć po swój miecz świetlny. - Wykryłem go na sensorach

„Cienia” i myślałem, że wystąpił jakiś... problem.

- Masz na myśli walkę - podsumował Taalon. - A więc ruszyłeś przez dżungłę pieszko, bo myślałeś, że będziemy nadal walczyć... godzinę później?

- No... prawdę mówiąc, tak. - Ben zerknął w stronę Gavara Khai i skrzywił się, jakby słowa Taalona miały głęboki sens. - Jest was dwóch, więc myślałem, że tacie zajmie chwilę załatwienie was.

- Rani mnie twój brak zaufania - rozbawienie w aurze Mocy Luke'a nie pasowało do gniewnego głosu. - Musimy położyć większy nacisk na twoje szkolenie.

Taalon tylko się skrzywił.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że wy, Jedi, potraficie być tacy zabawni. Kiedy będę wracał

do domu, może wezmę was ze sobą, żebyście bawili nasze dzieci. - W jego oczach pojawiła się lodowata furia. - A na razie prawdziwych odpowiedzi mogę spodziewać się tylko od Vestary.

- Jestem pewien, że moja córka powie ci wszystko, co chciałbyś wiedzieć - powiedział Khai, trochę zbyt chętnie oferując współpracę swojej córki, a potem spojrzał na Bena. - A co się stało z twoim rannym przyjacielem? Umarł czy po prostu zostawiłeś go samemu sobie?

Khai wyraźnie grał na czas, próbując zmusić Bena do wyjawienia, dlaczego opuścili z Vestarą statek. Może podsłuchiwał ich rozmowę na szczycie urwiska, kiedy ustalali szczegóły umowy, a może po prostu wyczuł to samo co Ben - że Sithanka lubi młodego Jedi na tyle, by dla niego skłamać. Tak czy owak, Gavar próbował tylko chronić swoją córkę i trudno było go o to obwiniać.

- Dyon dochodzi do siebie - poinformował Ben. - Gdyby nie był dość przytomny, by o siebie zadbać, nie zniknąłbym go razem z Vestarą w kajucie szpitalnej.

Taalon uniósł brew i popatrzył na Vestarę.

- Młody Skywalker cię przechytrzył?

Vestara zrobiła minę niewiniątka.

- Obawiam się, że tak, Arcylordzie. - Rumieniec, który pokrył jej policzki, wyglądał bardzo autentycznie, a Ben nie wykrył ani śladu oszustwa w jej aurze Mocy. - Poprosił mnie, żebym pomogła mu zmienić bandaż, a potem wyszedł na zewnątrz i zamknął właz.

- Rozumiem. - Taalon chwycił dziewczynę za ramię i obrócił ją w kierunku arkady po przeciwnej stronie ruin. - Teraz będziesz mogła mi wszystko wyjaśnić... sam na sam.

- Oczywiście. - Vestara obejrzała się, rzucając Benowi gniewne spojrzenie; wyraźnie dawała do zrozumienia, że uważa swoją obietnicę za dotrzymaną. - Tak będzie chyba najlepiej.

Gavar Khai został z dwoma Jedi, a jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć, gdy jego córka zniknęła w

cieniu z Taalonem. Ben za to czuł się nieswojo i miał nadzieję, że Sith pójdzie dołożyć do ognia lub zajmie się czymkolwiek, żeby młody Jedi miał szansę zamienić kilka słów z ojcem.

Kiedy zdał sobie sprawę, że sam będzie musiał stworzyć okazję, Ben odwrócił głowę w kierunku arkady.

- Tak naprawdę wcale nie chciałem wepchnąć Vestary do komory fuzyjnej - powiedział. -

Arcylord Taalon chyba jej nie skrzywdzi?

- Zostanie ukarana. - Głos Khaia brzmiał ostro i oskarżycielsko, Sith jednak nie był w stanie oderwać wzroku od arkady, pod którą zniknęła jego córka. - Surowość kary będzie zależeć od tego, jak bardzo zawiodła.

- Nie było aż tak źle. - W głosie Bena zabrzmiała prawdziwa troska. - Przecież cały czas szła moim tropem.

- Ale to ty uratowałeś jej życie. - Khai wciąż patrzył na arkadę. - Arcylorda bardzo to niepokoi.

- Cóż... na pewno nie popełnię tego samego błędu wobec niego.

Ben dyskretnie szturchnął ojca łokciem, imitując palcami kroki, i wskazał na dżunglę. Miał

wyrzuty sumienia z powodu kłopotów, w jakie wpakował Vestarę, ale musiał zabrać stąd ojca, zanim przybędzie Statek. A nie miał pojęcia, kiedy to nastąpi.

Niestety wyglądało na to, że ojciec ma inne pomysły. Luke po prostu pokręcił głową, widząc znaki Bena i skinął w kierunku leżących po przeciwnej stronie dziedzińca zwłok Abeloth.

Nie miał zamiaru odejść, zanim nie zbada ciała.

Ben skrzywił się i wyszeptał bezgłośnie: „Statek”.

Luke uniósł brwi, ale nie ruszył się w kierunku dżungli.

„Szybko!” - przynaglił Ben tym samym sposobem.

- Co wy tam szepczecie? - zapytał gniewnie Gavar Khai. - Na dziś mamy dość sztuczek Jedi.

- To nie żadna sztuczka - powiedział Luke, odwracając się w kierunku arkady, pod którą Taalon zabrał Vestarę. - Ale nie mam zamiaru stać spokojnie, kiedy szesnastoletnią dziewczynę ktoś bije. Nawet Sith.

Nie czekając na odpowiedź i kompletnie ignorując fakt, że nic nie wskazywało na to, by kogoś bito, Luke ruszył przez dziedziniec. Zdziwiony jeszcze bardziej niż Ben, Khai stał przez kilka chwil z opuszczoną szczęką, zanim wreszcie zdał sobie sprawę, że powinien coś zrobić.

Ale Luke był już tylko kilka kroków od arkady.

- Zaczekaj! - Khai wyciągnął dłoń i użył Mocy, by zatrzymać Luke'a. - Nie możesz przeszkaaataaaaaa...

Jego głos przeszedł w krzyk, gdy Luke odwrócił się i sam użył Mocy. Sith oderwał się od ziemi i przeleciał pięć kroków nad dziedzińcem, wpadając prosto w żelazny uścisk sztucznej dłoni Luke'a.

- Ktoś musi interweniować - powiedział spokojnie Jedi. - A skoro nie może liczyć na własnego ojca, będę musiał sam się tym zająć.

Ben domyślił się, oczywiście, co zamierza jego ojciec, i szybko podbiegł w stronę owiniętych płaszczem zwłok Abeloth. Sięgnął po nie Mocą i telekinetycznie przeniósł na przeciwną stronę stosu pogrzebowego. Chociaż obrzydliwe mogłoby się wydawać ukradkowe wynoszenie trzydniowego trupa, wiedział, czemu jego ojcu tak zależy na zdobyciu go. Zakładając, że udałoby im się dotrzeć z ciałem Abeloth do „Cienia Jade”, a potem do Świątyni Jedi, Cilghal z pewnością dowiedziałyby się wielu ciekawych rzeczy, badając je. Może zidentyfikowałyby gatunek Abeloth, a przynajmniej spróbowała zgadnąć, jakiego rodzaju istotą była. A gdyby nie udało im się wrócić na Coruscant z całymi zwłokami, mogli przynajmniej zdobyć próbki tkanek i nagrać kilka hologramów.

Ale, co najważniejsze, zabierając ciało, Skywalkerowie uniemożliwiliby Taalonowi zatrzymanie go dla siebie. Biorąc pod uwagę zamiary Zapomnianego Plemienia, czyli podporządkowanie sobie Abeloth i wykorzystanie jej jako żywej, przepelnionej Mocą broni, warto było podjąć takie ryzyko. Ben żałował teraz, że nie pomyślał o zabranii ze sobą detonatora termicznego. Nieważne, że naruszyłby w ten sposób ich rozejm z Sithami.

Właśnie minął stos pogrzebowy i znalazł się ledwie trzy kroki od dżungli, gdy poczuł, że ktoś ciągnie zwłoki Abeloth z powrotem na dziedziniec. Klnąc pod nosem, sięgnął do pasa po miecz świetlny i sam szarpnął mocniej. Usłyszał znajomy dziewczęcy głos za plecami:

- Nie ma mowy, Ben! Tego nie obejmował nasz układ.

Ben sapnął gniewnie i nie popuszczając chwytu, obrócił się na pięcie. Zobaczył, że Vestara okrążyła stos, żeby go dogonić. Z drugiej strony nadchodził sam Taalon. Oczy Sitha płonęły pomarańczową wściekłością, a w ręku trzymał miecz świetlny. Luke i Khai znajdowali się gdzieś po przeciwnej stronie stosu. Cały czas się kłócili, a sądząc po ich aurach w Mocy, byli kompletnie nieświadomi tego, co działo się po tej stronie płomieni.

- Dobrze się spisałaś, Vestaro. - Taalon zapalił karmazynowe ostrze i ruszył łukiem, by zająć Bena z boku. - Zajmij się Abeloth. Chłopaka zostaw mnie.

Skurcz smutku przebiegł przez aurę Mocy Vestary, ale tylko skłoniła głowę.

- Jak sobie życzysz, Arcylordzie Taalonie. Cieszę się, że miałam rację.

Dziewczyna wzmocniła uchwyt Mocy, ciągnąc zwłoki tak energicznie, że Ben zrozumiał

jedno: nie da rady jednocześnie trzymać Abeloth i bronić się przed Taalonem. Sięgnął Mocą ku ojcu... i zaklął:

- *Bloah!*

Taalon rzucił się ku niemu, zaczynając od szybkiego, niedbałego cięcia z góry, którego siła i impet zdawały się niemal pogardliwe. Ben z łatwością wykonał piruet i odskoczył w bok.

Równocześnie rozluźnił uścisk, w którym trzymał ciało Abeloth, i przeniósł je silnym pchnięciem Mocy prosto na stos. Kończąc obrót, wymierzył mocne kopnięcie prosto w dolną część kręgosłupa Taalona. Wyglądało na to, że ma szansę na wygraną.

Cóż, to założenie okazało się całkowicie błędne.

Zamiast polecieć z rozrzuconymi rękami pomiędzy roślinność dżungli, jak zaplanował to Ben, Taalon użył Mocy, by zakorzenić się w miejscu jak drzewo. Nie drgnął nawet o centymetr. Za to kolano Bena wygięło się, chrupnęło nieprzyjemnie i zakłuło tęnym, dotkliwym bólem. W

następnej chwili łokieć Taalona trafił Jedi w skroń z tak straszliwą siłą, że gdyby Ben nie użył

Mocy, by wywinąć młynka, walka skończyłaby się właśnie wtedy.

Młody Jedi wciąż toczył się po ziemi, gdy zauważył, że Taalon zamachnął się swoim karmazynowym ostrzem w jego stronę. Zasłonił się własnym mieczem świetlnym tylko po to, by poczuć, jak niewidzialna dłoń Mocy odsuwa jego rękę na bok, umożliwiając Arcylordowi czyste cięcie.

- Zaczekajcie! - Głos Vestary zabrzmiał na dziedzińcu jak wybuch detonatora termicznego. -

To oszustwo!

Ben zawisł do góry nogami, a Arcylord skorzystał z tego i chwycił jego kostkę miażdżącym uściskiem. Jedi wpatrywał się jak zahipnotyzowany w karmazynowe ostrze, które zatrzymało się najwyżej centymetr od jego piersi. Chwilę później Luke i Gavar Khai wybiegli zza stosu. Miecze mieli włączone, ale jeszcze ich nie skrzyżowali. Gdy zobaczyli, jak blisko śmierci jest Ben, obaj mężczyźni stanęli jak wryci.

Taalon rzucił im krótkie spojrzenie i znów popatrzył na Vestarę.

- Wyjaśnij, o co ci chodzi - zażądał.

- Zamienili ciała - powiedziała Vestara. - Nie wiem jak, ale to zrobili.

Ben odwrócił głowę w kierunku, z którego dochodził głos. Uczennica Sithów stała obok stosu i Mocą utrzymywała nad ziemią zwłoki, o które walczyli. Okrwawiony całun spadł, kiedy je sobie wzajemnie wrywali i teraz każdy mógł dostrzec, że nie należą one do Abeloth.

Nie należały nawet to istoty płci żeńskiej.

- To nie jest Abeloth! - mówiła dalej Vestara. Przeniosła zwłoki w stronę Taalona i Ben zobaczył sponiewieraną, ale wciąż rozpoznawalną męską twarz. - To Dyon Stadd!

## ROZDZIAŁ 5

Tysiąc mandaloriańskich zbirów, skupionych przy swoich ślizgaczach desantowych quickstryke, kłębiło się w pełnych zbrojach bitewnych wokół Świątyni. Wyglądali na spoconych i znudzonych i najwyraźniej niecierpliwie czekali na początek bitwy. Za nimi stały dwa ciężkie czołgi repulsorowe typu Canderous i dywizjon nieporęcznych myśliwców bombardujących vyrhawk, a tuzin snajperskich lunetek przebłykiwał wśród roślin Ogrodu Spacerowego po drugiej stronie placu. Han Solo zaczynał wierzyć, że Daala na serio chce przejąć kontrolę nad Zakonem Jedi - a może także naprawdę uważa, że użycie siły wojskowej wystarczy, by nagiąć Jedi do jej woli.

Gdy się nad tym zastanawiał, QuickStrycke uruchomiły silniki repulsorowe, uniosły się nad ziemię i wciągnęły podwozia. Mandalorianie stanęli w szyku, kierując broń w stronę Świątyni.

Vyrhawki wzniosły się na tyle wysoko, by móc atakować lotem koszącym, a ich krótkie skrzydła i okrągłe dzioby zabłysły czerwonymi planikami ładujących się działek. Ta nagła zmiana wywołała zwiększoną aktywność mediów: prezenterzy rzucili się do swoich improwizowanych stanowisk nadawczych, a automatyczne kamery zaroily się nad ziemią niczyją między Świątynią Jedi a mandaloriańskimi liniami.

Kilka sekund później pojawiła się ciemna wstęga pojazdów repulsorowych Służby Bezpieczeństwa Galaktycznego Sojuszu. Nadlatujące od strony Centrum Rządowego jednostki były to głównie speedery, pojazdy opancerzone i upakowane działkami ślizgacze. Dwa duże pojazdy medyczne i repulsorowa limuzyna z symbolem przywódcy Galaktycznego Sojuszu leciały pośrodku całej procesji.

- To musi być Daala - zawyrokował Han i odwrócił się od iluminatora, by spojrzeć na niewielką grupkę Jedi stojących w imponującym holu Świątyni. - Chyba zaraz się zacnie.

- Naresszcie - zasyczała Saba Sebatyne. Barabelka podeszła do iluminatora i ponuro zagapiła się na nadlatujące pojazdy, wysuwając cienki język spomiędzy guzkowatych warg. - Skąd wiedziałeś, że prezydent Daala przybędzie osobiście?

- To proste. - Han już miał klepnąć Mistrzynie Jedi w ramię, ale przypomniał sobie, jak Barabelowie reagują na dotyk, i szybko opuścił dłoń. - Daala jest żadna władzy...

- Han! - przerwała mu Leia, wskazując głową na stojącą u jej boku Allanę. - Admirał Daala jest prezydentem państwa. Wyrażaj się o niej... stosownie.

- ...żadna władzy jak każdy polityk. - Han spojrzał na Allanę, mrugnął i dokończył: - a żądni władzy politycy uwielbiają napawać się swoimi zwycięstwami. Tego by sobie nie odpuściła.

- Celne spostrzeżenie, kapitanie Solo - powiedział Kenth Hamner, podchodząc bliżej.



Zatrzymał się na samej krawędzi strefy osobistej Hana, godny i poważny, jak zwykle w ostatnim czasie. W jego głębszym niż zazwyczaj głosie pojawiła się nuta wyrzutu. - Martwi mnie jednak pański ton. Jeżeli wasz plan zadziała...

- Już działa - przerwała Allana. Zmarszczyła butnie wąskie brwi, a jej jasnoszare oczy płonęły tą samą frustracją, którą bez wątpienia czuła w otaczającej ją aurze Mocy. - Inaczej Daali wcale by tu nie było. Wiesz to równie dobrze jak wszyscy, Mistrzu!

Hamner zacisnął usta i zwrócił się do Hana:

- Nie próbuję się z panem kłócić, kapitanie Solo. Po prostu wolałbym, żeby nie był pan taki... zadowolony z siebie.

Za plecami Hamnera Allana skrzywiła się i na pewno spróbowałaby mu znów przerwać, gdyby Leia nie położyła jej uspokajająco dłoni na ramieniu. Han przygryzł wargę i powstrzymał

uśmiech, żeby nie pogorszyć sytuacji. Sam nalegał na obecność wnuczki, bo chciał ją nauczyć grać asem z rękawa, gdy przeciwnik zdobył już większość puli, ale wyglądało na to, że dzisiejsza lekcja będzie raczej dotyczyć polityki wewnętrznej. A także udowodni, że nawet Wielcy Mistrzowie Jedi potrafią być nerfomózgami.

Hamner chyba wyczuł, jakimi drogami wędrują myśli Hana, i przesunął się, stając między Solo a jego wnuczką.

- Proszę pamiętać, że naszym celem nie jest ośmieszenie prezydent Daali - powiedział. -

Chcemy raczej przekonać ją, by przerwała oblężenie...

- Chyba zmusić - poprawiła go Octa Ramis. Ta smukła Mistrzyni Jedi, jakieś dziesięć lat starsza od Jaiiny Solo, była niemal tak wysoka jak Han i niekiedy okazywała równie krnąbrny charakter. - Nie łudźmy się, Wielki Mistrzu. Jeżeli to nie zadziała, Rada z pewnością poszuka innych środków.

- Oczywiście. - Hamner skinął głową. Nie trzeba było Mocy, by wykryć gorycz w jego głosie. Nawet Mistrzowie nie próbowali już dłużej ukrywać swojego zdenerwowania jego zbyt ostrożnym przywództwem. - Chciałem tylko przypomnieć kapitanowi Solo, że naszym celem jest zakończenie tego kryzysu, a nie zaostrenie go.

- Bez obaw. - Han odpiął pas z kaburą, owinał go wokół swojego starego DL-44 i oddał całość Leii. - Nie zwykłem śmiać się nikomu w twarz, póki nie skończę z nim interesów.

Hamner zamknął oczy, westchnął ciężko i odwrócił się do Kyle'a Katarna.

- Może powinniśmy wysłać kogoś innego - zasugerował.

Katarn pogładził krótko przystrzyżoną brodę, porastającą jego kanciastą szczękę.

- Dlaczego? - zapytał.

- Dlatego, że kapitan Solo nie jest Jedi - odparł spokojnie Hamner. - I dlatego, że brak mu...

cierpliwości koniecznej do układów z Daalą.

- Okazaliśmy Daali już zbyt wiele cierpliwości - wtrącił się Kyp Durrón.

Kyp, dla odmiany gładko ogolony i roztaczający woń wody angorowej, stał niedaleko razem z dwoma Rycerzami Jedi, kluczowymi dla planu Hana: Chevem Sothaisem Saarem i kobietą Turi Altamik. Cilghal zapewniła wszystkich, że psychoza Mocy opuściła oboje równie całkowicie, co tajemniczo, a Han znał uzdrowicielkę o wiele za długo, by wątpić w jej ocenę. Nadal jednak wolałby, by była w pobliżu, pilnując tych dwojga wypukłym kalamariańskim okiem. Musiała jednak przejść na blok psychiatryczny, by przeprowadzić testy na kilkorgu pacjentach, o których Sojusz Galaktyczny nie wiedział.

- Cóż, a Han zrobił o wiele za dużo dla Zakonu, jego własna rodzina zaś przelała o wiele za dużo krwi, by go w ten sposób traktować - kontynuował Kyp. - Ile jeszcze razy musi udowodnić swoją wartość?

Kyp odwrócił się do Corrana i Mirax Hornów, którzy czekali oddaleni od reszty grupy, u podstawy strzelistej kolumny z mlecznokamienia. Han nigdy jeszcze nie widział Corrana tak mizernego. Miał spletaną, nierówną brodę i marszczył brwi tak mocno, że wyglądał jak Gamorreanin. Mirax przynajmniej uczesała włosy i związała w kucyk, ale też wyglądała fatalnie.

Miała zapadnięte policzki i ponure oczy.

Corran skinął szybko głową na znak zgody.

- Han po stokroć zapracował na zaufanie Zakonu - mruknął i posłał Hamnerowi gniewne spojrzenie. - Nie rozumiem, jak ktokolwiek mógłby sugerować coś innego.

- Po tym, co przeszli, to wręcz obelga. - Mirax za przykładem męża popatrzyła na Wielkiego Mistrza z oburzeniem.

Oczy Hamnera zabłyśły, bo usłyszał upór w głosach obojga Hornów. Han zdał sobie sprawę, że jeżeli nie zacznie realizować swojego planu teraz, to Mistrzowie będą zbyt zajęci kłótnią, by mu pomóc. Pocałował Leię w policzek, przyklęknął i spojrzał Allanie w oczy.

- Pilnuj tej bandy - poprosił. - Nie chciałbym, żeby przeoczyli mój sygnał, bo... dyskutują o czymś.

- Chciałeś powiedzieć, że się kłócą. - Allana skrzywiła się, patrząc w kierunku Mistrzów. -

Ale nie martw się. Już ja ich przypilnuję.

Han parsknął śmiechem.

- Wygląda na to, że jestem w dobrych rękach - powiedział, wstał i spojrzał nad głową Allany na Saara i Altamik. - Wiecie, co macie robić?

- Oczywiście. - Saar nerwowo skinął głową. Jak wszyscy Chevowie, miał bladą skórę i wypukłe czoło, przez co wyglądał jak zbir. Wrażenie to pogłębiał niewyszukany krój jego błyszczącej szaty. - Czekamy na pański sygnał.

- A potem po prostu zachowujemy się normalnie - dodała Turi. Równie drobna i gibka, jak Saar wysoki i krzepki, miała zielone, skore do wesołości oczy i diaboliczny uśmiech. Musiała czuć się w walce jak ryba w wodzie. - No i pozwalamy Daali zrobić resztę.

- Dokładnie tak, mała. - Han rzucił jej krzywy uśmiech. - A ja zajmę się tym, co zostanie.

Mrugnął do Leii i odwrócił się w stronę masywnych wrót Świątyni. Dwoje Rycerzy Jedi stojących na straży wyjrzało przez szczelinę kontrolną, a potem, życząc mu powodzenia, otworzyło włącz podstawy jednego skrzydła ogromnych wrót. Han wyszedł na zewnątrz i spojrzał z góry na oddziały oblegających Świątynię Mandalorian, rozmieszczone na Placu Wspólnoty. Nie mógł

zrozumieć, jakim cudem media całej planety nie potępiły jeszcze takiego postępowania jako nielegalnego. Gdyby chociaż Daala użyła sił zbrojnych Sojuszu Galaktycznego, mogłaby przynajmniej argumentować, że stara się uchronić obywateli przed tajemniczym zagrożeniem dla zdrowia publicznego. Jedi jednak mieli mnóstwo przyjaciół w siłach zbrojnych, więc wołała zwrócić się do swoich mandaloriańskich sojuszników.

Nie minęła chwila, gdy Hana opadł rój automatycznych kamer, tłoczących się i przepychających, by uzyskać jak najlepsze ujęcie. Uznał, że wyglądają jak rój krwiożerczych skeeto. Mając świadomość, że Leia i Mistrzowie go podsłuchują, wziął głęboki oddech i ruszył

schodami w dół, śpiewając *Szaloną złą czarownicą* - jeden ze swoich ulubionych utworów Sy Snootles.

Kawalkada pojazdów powietrznych przemknęła nad oddziałem Mandalorian z zawrotną prędkością, zatoczyła koło przed frontem Świątyni i gwałtownie zatrzymała się u podstawy schodów. Z tuzina otwartych włącz wyłoniło się pięćdziesięciu członków Służby Bezpieczeństwa Galaktycznego Sojuszu w niebieskich pancerzach. Szybko unieśli broń i zaczęli szukać snajperów przy użyciu celowników z detektorami ciepła.

Han zatrzymał się na podeście, jakiś tuzin stopni nad limuzyną Daali i pojazdami medycznymi. Rozchylił kamizelkę, by pokazać, że nie ma przy sobie broni. To nie powstrzymało dowodzącego oficera, chudego człowieka w randze kapitana o twarzy ukrytej za połyskliwą przyłbicą hełmu, przed dokładnym przeszukaniem delikwenta. Fakt ten został szczegółowo udokumentowany przez rój latających wokół nich kamer.

Kiedy kapitan skończył i odsunął się, Han zrobił minę pokrzywdzonego niewiniątka i rzucił mu spojrzenie pełne fałszywego oburzenia.

- Czuję się taki... brudny - poskarżył się. - Może następnym razem postawisz mi przynajmniej obiad.
- Nie sądzę, by był pan w typie kapitana Harfarda... kapitanie Solo - powiedziała Daala, wychodząc ze swojej limuzyny. Miała na sobie białą tunikę i spodnie, co podejrzanie przypominało mundur Wielkiego Admirała. Pokonała schody, stanęła o krok od Hana, uniosła wyzywająco podbródek i rzuciła mu zawiedzione spojrzenie. - Miałam nadzieję spotkać się z Wielkim Mistrzem Hammerem, a przynajmniej z jednym z Mistrzów z Rady.
- Naprawdę? Cóż... przykro mi z tego powodu. - Han poznał nazwisko kapitana z kilku wcześniejszych spotkań z SBGS, przyjrzał mu się więc przez chwilę, po czym skinął głową w kierunku licznej obstawy, którą tamten nadzorował. - Nie chcieliśmy was przstraszyć... przynajmniej nie bardziej, niż już to zrobiliśmy.
- Odpowiednie środki bezpieczeństwa to oznaka przezorności, kapitanie Solo - oczy Daali zwęziły się niebezpiecznie - a nie strachu. - Spojrzała ponad jego ramieniem na Świątynię. - Ale tak naprawdę nie interesuje mnie, kogo Jedi wyślą, by się poddać.
- Han dostał ślinotoku, jak zawsze, kiedy udawało mu się podpuścić innego gracza do nieostrożnego ruchu.
- Poddać? - zapytał. - Kto mówił cokolwiek o poddawaniu się?
- Mistrz Hammer. - Daala gwałtownie odwróciła głowę i spojrzała znów na Solo. - Osobiście skontaktował się ze mną, by przekazać, że Jedi są gotowi wydać nam szaleńców, których ukrywali.
- Szaleńców? - Han udał przez chwilę, że nie wie, o co chodzi, a potem skinął głową, jakby go olśniło. - Rozumiem... chodzi pani o pacjentów.
- Tak, o pacjentów - potwierdziła Daala. - Nazywajcie ich sobie jak chcecie. Mają zostać wydani. Natychmiast.
- Ale tylko ci z psychozą, tak? - upewnił się Han. - Nie zależy pani na pacjentach z zapaleniem zatok, grypą żołądkową i tak dalej, prawda?
- Chodzi mi wyłącznie o tych niezrównoważonych, kapitanie Solo - Daala rzuciła mu podejrzliwe spojrzenie. - O Sothaisa Saara, Turi Altamik i całą resztę zwariowanych Jedi, którzy stanowią zagrożenie dla obywateli tej planety. - Uniosła podbródek i zwróciła twarz do holokamer unoszących się nad ich głowami. - I dla całej galaktyki.
- A potem przerwie pani oblężenie. - To nie było pytanie, Han postawił warunek... i upewnił się, że również mówi prosto do holokamery. - Taki jest układ.
- Przerwę oblężenie tylko wtedy, gdy zyskam pewność, że Zakon nie ukrywa więcej obląkanych Rycerzy Jedi - powiedziała ostrożnie Daala. - A przedtem przeszukam Świątynię.

Proszę co do tego nie mieć wątpliwości.

Han potarł kark, udając, że się zastanawia, aż wreszcie skinął głową.

- Niech będzie. To brzmi uczciwie. - Spojrzał w kierunku jednego z pojazdów medycznych, które stały za limuzyną Daali. - Ma pani ze sobą fachowca od grzebania w mózгах?

- Jeśli przez grzebanie w mózгах rozumie pan xenopsychiatrię, to tak. Przywiozłam najlepszych. - Daala odwróciła się w kierunku limuzyny i skinęła dłonią. Z pojazdu wysiadł wysoki Bith w średnim wieku. Szedł z godnością, a jego ogromna czaszka była tak intensywnie zielona, że niemal szmaragdowa. - Pozwoli pan, że przedstawię doktora Thalleusa Tharna, kierownika Katedry Xenopsychiatrii na Wielkim Uniwersytecie Coruscańskim. Jego tytuły i stanowiska są zbyt liczne, by je wymieniać, ale jestem całkowicie przekonana, że Mistrzynie Cilghal zna jego reputację.

Han gwizdnął z autentycznym podziwem i wyciągnął rękę, gdy Tharn dotarł na podest.

Xenopsychiatra nie spróbował nawet odwzajemnić gestu, tylko uważnie przyglądał się kończynie swoimi czarnymi oczami, zupełnie jakby uznał dłoń Hana za obiekt do badania. Nienawykły do takiego traktowania, Han nie cofał ręki, aż w końcu Tharn musiał zrobić krok w bok, żeby ją ominąć.

- Nigdy nie podaję nikomu ręki - powiedział doktor Tharn, zakładając ręce za plecy. -

Jestem też chirurgiem.

- Pan naprawdę kroi ludzi ręcznie? - Brwi Hana powędrowały w górę. - Żadnych droidów?

- Chirurgia mózgu to bardziej sztuka niż medycyna, kapitanie Solo. Droidy nie są zdolne do tworzenia sztuki. - Głos Tharna brzmiał głęboko i kulturalnie. Przypominał Hanowi reklamy luksusowych speederów albo męskich kosmetyków. - Jestem pewien, że wolałby pan, aby lekarz wycinający podejrzanego guza z pańskich płatów czołowych nie miał obolałych palców.

- Nie chciałbym, żeby ktokolwiek mi tam grzebał. Kto wie, co mógłby znaleźć. Prezydent Daala - wskazał kobietę kciukiem - powiedziała panu, dlaczego pan tu jest?

- Powiedziała - zapewnił go Tharn. - Mam nadzorować uspienie i transport pacjentów Jedi do miejsca, w którym będą mogli bezpiecznie przebywać.

- Zamrożeni w karbonicie - dodał Han, raczej na potrzeby holokamer niż Tharna. - O tym też panu powiedziała, tak?

- Oczywiście - skinął głową Bith.

- I uważa pan, że to w porządku? - Han pozwolił, żeby część jego autentycznego oburzenia pojawiła się w szeroko otwartych oczach i zszokowanej minie. Musiał spowodować, żeby Tharn w audycji na żywo przyznał, że karbonit to jedyna możliwość. A najłatwiejszym sposobem, by nakłonić mózgozrzeba do zrobienia czegoś takiego, było wmówienie mu, że musi uspokoić publiczność. - Zamrozić świadomą istotę, a potem powiesić na ścianie niczym trofeum?

- Doktor Tharn nie przyjechał tu, żeby na tym debatować Daala zrobiła krok naprzód.

- Niestety, kapitanie Solo, właśnie tak uważam - powiedział Tharn, gestem prosząc Daalę, by się odsunęła. - Póki nie znajdziemy sposobu na wyleczenie tych pacjentów, zamrożenie ich w karbonicie jest jedynym odpowiedzialnym działaniem. Rycerze Jedi są po prostu zbyt potężni, żeby mogli swobodnie się przemieszczać, będąc w stanie psychozy. - Tharn mówił rytmicznie i uspokajająco. - Z pewnością się pan z tym zgodzi.

Han zacisnął usta, próbując nie dać po sobie poznać, że sprawy układają się nawet lepiej, niż przypuszczał. W końcu westchnął i spuścił głowę.

- Więc uważa pan, że da się ich wyleczyć?

- Nie mogę się doczekać tego wyzwania - skinął uspokajająco głową lekarz.

- To nie było potwierdzenie - zauważył Han.

- Ani też zaprzeczenie. Daję panu słowo, kapitanie Solo, że nie spocznę, póki nie będziemy mogli ich odmrozić. Zamrażanie Rycerzy Jedi w karbonicie nie daje satysfakcji nikomu z tu obecnych. - Tharn odwrócił się do Daali. - Prawda, pani prezydent?

- Oczywiście, doktorze. - Chłód w oczach Daali zdradzał, że kłamie, ale udało jej się nadać głosowi brzmienie szczerości. - Kiedy już będziemy mieć pewność, że chorzy Jedi nie stanowią zagrożenia, niezwłocznie ich wypuścimy.

Han powstrzymał uśmiech.

- W takim razie miejmy to już za sobą - westchnął i pozwolił ramionom opaść jak u pokonanego człowieka. Zwrócił się do kapitana Harfarda i powiedział słowa, na które tylko czekali Saar i Turi: - Proszę rozkazać swoim wiadrogłowym, żeby wstrzymali ogień, dobrze? Oni już wychodzą.

- Kto wychodzi? - zapytał Harfard.

- Sothais Saar i Turi Altamik na początek - zaproponował Han. - Jeżeli ich nie zastrzelicie, wyjdzie kilkoro następnych.

- Sądzi pan, że to rozsądne, doktorze? - Wyczuwając pułapkę, Daala rzuciła Tharnowi szybkie spojrzenie. Jej ostry ton zdradzał, że ma na ten temat własne zdanie. - Czy nie byłoby lepiej przejąć wię... to jest pacjentów... w bardziej kontrolowanych okolicznościach?

Tharn milczał przez moment, najwyraźniej zastanawiając się nad zaletami jej propozycji, po czym skinął z godnością głową.

- Rzeczywiście byłoby lepiej. - Zwrócił się do Solo: - Gdyby zechciał pan polecić komuś otwarcie jednego z włazów, moi sanitariusze z radością wejdą do środka i zabiorą pacjentów.

- O, przepraszam... to nasz błąd - stwierdził Han, ignorując go i patrząc wciąż na Daalę. -

Gdy powiedziała pani Kenthowi, że oczekuje publicznej kapitulacji, sądziliśmy, że miało się to odbyć tutaj, w obecności mediów, żeby wszyscy mogli się przekonać, jak dobrze pani potraktuje pacjentów.

- To prawda, chodziło mi o to, żeby rozwiązać tę sprawę publicznie - przyznała Daala. -

Zdecydowanie jednak nie miałam zamiaru narażać na niebezpieczeństwo setek istot, odbierając pacjentów tutaj, na Placu Wspólnoty.

- O, *Stang!* - Han odwrócił się w stronę wrót Świątyni, z których właśnie wyłaniali się z podniesionymi rękoma Saar i Turi. - Szkoda, że nie powiedziała mi pani o tym wcześniej.

Spod hełmu Harfarda dobiegł głucho wyszczekany rozkaz i grupa niebiesko opancerzonych strażników szczelnie otoczyła Daalę. Setki mandaloriańskich luf celowały w dwójkę Jedi, ale kilkudziesięciu komandosów SBSG i tak popędziło w górę schodów, by ich przechwycić.

- Nie ma powodów do obaw - powiedział Han, odwracając się w kierunku muru strażników otaczającego Daalę. - Ale jeśli się pani boi, możemy...

- Nie boję się, kapitanie Solo. - Daala przepchnęła się pomiędzy strażnikami i zwróciła do Harfarda: - Może pan odwołać oddziały, kapitanie.

- Z całym szacunkiem, proszę pani - Harfard nie zamierzał ustępować tak łatwo - to może być pułapka Jedi.

Daala spojrzała w górę schodów, w stronę Saara i Turi. Stali tam spokojnie, bez broni, z rękami w górze, a dziesiątki niebiesko opancerzonych komandosów SBSG celowały im w twarz z blasterów.

- Już w nią wpadliśmy, durniu - warknęła. - Odwołaj oddziały... natychmiast!

Hełm Harfarda był jeszcze przez chwilę zwrócony w jej stronę, ale w końcu kapitan wymamrotał coś do swojego komunikatora i się odwrócił. Otaczający Daalę strażnicy szybko odsunęli się na wystarczającą odległość, a ci, którzy otaczali Saara i Turi, przyjęli mniej agresywną postawę. Teraz celowali dwójce Jedi w piersi, zamiast w głowy.

- Bardzo sprytne - powiedziała Daala do Hana. - Kto to jest?

- Nie rozumiem. - Han skrzywił się, rzeczywiście nie wiedząc, o co jej chodzi.

- Mówię o tej parze oszustów. - Daala wskazała na szczyt schodów. - To nie mogą być Sothais Saar i Turi Altamik.

- Niezły pomysł - rzekł Han z szyderczym uśmiechem na ustach. Powinien był się spodziewać, że Daala nie da tak łatwo za wygraną, i to niezależnie od tego, czy naprawdę uważała ich za oszustów, czy tylko chciała zasiać wątpliwości w umysłach obywateli. - Ale to naprawdę oni.

- Oczekuje pan, że Sojusz Galaktyczny uwierzy panu na słowo? - warknęła Daala.

- Oczywiście, że nie - odparł Han. - Może to pani łatwo udowodnić.

- Jak?

- Proszę im kazać zrobić coś, co umiałyby tylko Jedi. - Han gestem zaprosił Daalę, by szła za nim, i ruszył w górę schodów. - Mogą być albo Jedi, albo oszustami, ale nie mogą być jednym i drugim. Zakon nie liczy dość Rycerzy Jedi, żeby zorganizować parę sobowótów.

- Skąd mamy wiedzieć, że to nie iluzje stworzone dzięki Mocy? - Daala pozostała na podeście.

- Bzdura. - Usta Hana zacisnęły się w grymasie obrzydzenia, gdy odwracał się z powrotem do niej. - Wie pani dobrze, że takie sztuczki działają tylko na słabe umysły. - Holokamera nadleciała z góry, by nagrać jego zbliżenie, więc zmrużył oczy, jakby zastanawiał się, co właściwie Daala sugeruje. - Nie próbuje mi chyba pani powiedzieć, że Sojusz Galaktyczny ma prezydenta o słabym umyśle?

- Sam pan wie najlepiej, że tak nie jest, kapitanie Solo. - Twarz Daali poczerwieniała z oburzenia, ale kobieta pozostała na podeście. - Ale istnieje też chirurgia plastyczna.

- Mamy tu chirurga. - Han wskazał palcem Tharna. - Powinien bez trudu stwierdzić, czy byli poddawani jakimś zabiegom podczas ostatnich kilku dni.

Daala nie ruszyła się z miejsca. Milczała, najwyraźniej zastanawiając się, jak odwrócić sytuację na swoją korzyść.

- Nie, to nie - zdecydował Han. - Sprowadzę ich tutaj.

Już odwracał się, by przywołać ich gestem, gdy podbiegł do niego Harfard i przyłożył mu lufę blastera do żeber.

- Nie ruszaj się, Solo. Nie pozwolimy, by pani prezydent znalazła się w niebezpieczeństwie.

- Skrytobójstwo naprawdę nie jest w stylu Jedi, idioto. - Han rzucił kapitanowi pogardliwy uśmiezek i spojrzał na Daalę. - Zechce pani odwołać tego narglatcha? Jeśli jeszcze się pani nie domyśliła, to melduję, że znaleźliśmy lekarstwo.

- Czemu nie pozwolimy, żeby ocenił to doktor Tharn? - Daala poleciła Harfardowi się odsunąć. - To dlatego prosił pan, bym go ze sobą zabrała, prawda?

Uśmiezek na ustach Daali zdradzał, że nadal była pewna, co powie Tharn. I to prawdopodobnie była jej największa pomyłka tego dnia.

- Jasna sprawa - skinął głową Han. - Nie mogę się doczekać, żeby popatrzeć, jak pracuje prawdziwy mistrz. - Spojrzał Tharnowi w oczy, a zaraz potem na rój holokamer nad ich głowami. -

Jestem pewien, że pańscy koledzy również, doktorku. Szczególnie ci, którzy będą komentowali w HoloNecie pańskie metody.



Tharn wytrzeszczył oczy, gdy zdał sobie sprawę, co sugeruje Han, i odwrócił się do Daali.

- To miejsce trudno uznać za odpowiednie dla dokonania fachowej oceny - oznajmił. -

Muszę zabrać ich do mojego szpitala na dokładną obserwację.

- Więc chciałby ich pan mieć w swoim laboratorium, pilnowanych tylko przez garstkę mandaloriańskich zbirów? - Han potarł kark, symulując troskę o zdrowie Bitha, po czym dodał

ciszej, groźnym głosem: - Nadal mogą być niebezpieczni, a sam pan powiedział, że jedyny bezpieczny sposób przetrzymywania obłąkanych Jedi to zamrożenie.

Skórne fałdy policzków Tharna zacisnęły się. Zdawało się, że naukowiec rozważa słowa Hana z pewną dozą lekceważenia. Po chwili jego zielone policzki zbladły, przybierając żółtozielony kolor, bo zdał sobie sprawę, na czym polega groźba Hana. Jego laboratorium mogłoby nie przetrwać wizyty szalonych Jedi.

- Chyba mógłbym dokonać na miejscu wstępnej oceny - zwrócił się do Daali. - Mam nadzieję, że to panią zadowoli.

Nie czekając na zgodę, ruszył schodami w stronę Saara i Turi, otoczony kłębiącymi się holokamerami. Daala zerknęła na Hana złowrogo, ale Solo tylko wzruszył ramionami i powiedział

samymi wargami: „To twój ekspert”.

Tharn zatrzymał się przed dwójką Jedi. W ciszy popatrzył głęboko najpierw w oczy Saara, potem Turi. Po chwili spojrział w górę, na podniesione dłonie Cheva.

- Jedi Saar - powiedział - powiedz mi, proszę, czemu trzymasz ręce w górze?

Saar zmarszczył wypukłe czoło, wzruszył ramionami i wskazał podbródkiem na linie Mandalorian rozmieszczone na Placu Wspólnoty.

- Bo nie chcę zostać postrzelony.

- Brzmi rozsądnie - skinął głową Tharn i odwrócił się do Turi. - Jedi Altamik, czy możesz wyjaśnić, dlaczego ci Mandalorianie mogliby strzelać do ciebie i Jedi Saara?

- Bardzo chętnie. - Turi uśmiechnęła się półgębkiem, a potem skrzywiła usta wyzywająco. -

Byliśmy z Sothaisem ostatnio nieco... nieźrównoważeni. - Odwróciła wzrok od Tharna, popatrzyła nad jego ramieniem na Daalę i dodała: - Ale już nam lepiej, pani prezydent... naprawdę.

Szmer śmiechu dobiegający spoza oddziałów Mandalorian wyraźnie dał Hanowi do zrozumienia, kto wygrywał bitwę o przychylność tłumu na Placu Wspólnoty. Jedi zapędzili Daalę na pozycje obronne i ona o tym wiedziała. Ku zdziwieniu Hana odpowiedziała na zaczepkę Turi cierpkim uśmiechem i skinieniem głowy.

- Cieszę się, że tak uważasz, Jedi Altamik - powiedziała. - Ale jeśli nie zrobi ci to różnicy, wolałabym usłyszeć takie zapewnienie od doktora Tharna.

- Rozumiem - odparła Turi i spojrzała ponownie na Bitha. - Prawdę mówiąc, też chciałabym to od niego usłyszeć.

Kolejna, głośniejsza od poprzedniej salwa śmiechu dobiegła od strony stanowisk dziennikarskich. Tharn poczekał, aż ucichnie, i skinął głową.

- Jeszcze tylko kilka pytań, Jedi Altamik. - Odwrócił się z powrotem do Saara. - Jedi Saar, czy ty mi ufasz?

Po chwili namysłu Saar pokręcił głową.

- Prawdę mówiąc niespecjalnie, doktorze.

Ta odpowiedź nie wywołała śmiechu, a Tharn nie dał się zbić z tropu.

- Nie sądzę, żebym na twoim miejscu sam zaufał komuś zatrudnionemu przez prezydent Daalę - rzekł. - Ale muszę cię uspokoić: wszystko, co teraz robię, jest dla twojego dobra.

- Skoro pan tak twierdzi... - mruknął Saar z wahaniem.

- Tak właśnie jest. I proszę, opuść ręce. Nikt tu nie będzie do was strzelał bez wyraźnych rozkazów prezydent Daali. - Tharn, nadal patrząc na Saara, zwrócił się do Daali: - Czy nie tak, pani prezydent?

- Jeśli panu na tym zależy, to zgoda - odparła Daala.

- Tak, zależy mi. - Tharn poczekał, aż Saar opuści ręce, i odwrócił się do Turi. - Ty też, Jedi Altamik.

- Dzięki, doktorze. - Turi opuściła ręce.

- Tak naprawdę nie potrzebuję twoich podziękowań, Jedi Altamik - powiedział Bith - tylko twojego zaufania. Czy mi wierzysz?

Turi zmrużyła zielone oczy w zamyśleniu i sięgnęła w Moc, przebadając jego aurę. Po chwili skinęła głową.

- Owszem.

- Wyśmienicie.

Tharn odwrócił się do Saara i wymierzył cios kolanem między nogi Jedi. Stało się to tak szybko, że Chev zgiął się w pół i zaczął jęczeć, jeszcze nim Han do końca zrozumiał, co widzi.

Tłum na placu, zdumiony, westchnął jednym głosem. Ułamek sekundy później setki karabinów

blasterowych ze szczególną oparły się o opancerzone ramiona. Tharn uniósł rękę w górę, dając żołnierzom znak, by nie strzelali, po czym cofnął kolano i ponownie kopnął Saara.

W następnej chwili Tharn wisiał wysoko w powietrzu, jakieś dwa metry od wyciągniętej dłoni Turi.

- Na Moc! - warknęła Jedi. - Dlaczego pan to zrobił, doktorku?

- Przeprowadzałem test połowy - wyjaśnił Tharn. Wydawał się zdumiewająco spokojny jak na osobę, która dopiero co zaatakowała Jedi. Wygiął szyję do tyłu, by spojrzeć na Daalę. - Cóż, skoro jeszcze żyję, kapitan Solo musi mieć rację. Obecni tu Jedi są zdrowi.

- Pan chyba żartuje! - Daala była zbyt zdumiona, żeby okazać wściekłość.

- Zapewniam panią, że nie. Czy zechciałabyś mnie opuścić na dół, młoda damo? - zwrócił

się do Turi. - Udowodniłaś już, że nad sobą panu jesz.

- Jest pan równie niezrównoważony jak my kiedyś, doktorku. - Zdezorientowana Turi opuściła Tharna z powrotem na podest. - Mogli nas wszystkich przez pana zastrzelić.

- Tylko gdyby któreś z was przestało nad sobą panować, a od kiedy wyszliście ze Świątyni, byłem pewien, że tak się nie stanie. To wszystko - Tharn skinął dłonią w kierunku wciąż jęczącego Saara - było potrzebne, by udowodnić to samo prezydent Daali.

No i jeszcze, zdał sobie sprawę Han, żeby dobrze wypaść przed opinią publiczną. Nic tak nie pomaga wszystkim zapamiętać twojego imienia jak kopnięcie Jedi w przyrodzenie - na żywo, w HoloNecie. Ale Han nie miał Bithowi za złe jego piętnastu sekund sławy. Chociaż wymagało to pewnego ryzyka, Tharn sprzeciwił się Daali i postąpił uczciwie. Po czymś takim będzie się mógł

pławić w korzyściach swego nowo nabytego statusu celebryty.

Han zerknął na Daalę i wskazał ręką na schody, gdzie Turi ścisnęła Saara za ramię, próbując utrzymać go w pionie.

- Jeśli to pani wystarczy - powiedział - to przyjmijmy, że Jedi Saarowi przydałoby się jakieś ustronne miejsce na wypoczynek.

- Oczywiście - skinęła głową Daala. Posłała Tharnowi mściwe spojrzenie i dodała: - Nakazę opróżnienie placu, jak tylko doktor Tharn potwierdzi, że wszyscy pacjenci pozostający pod opieką Jedi są już zdrowi.

- Brzmi dobrze. - Han poczuł falę ulgi, ale zmusił się, by utrzymać neutralny wyraz twarzy.

Tyle razy już przeczuwał pewne zwycięstwo, zmieniające się w nagłą porażkę, że na razie nie powinien demonstrować zadowolenia z siebie. - Jestem pewien, że Mistrzynie Cilghal z radością pokaże panu wszystko, co trzeba - zwrócił się do Tharna.

Tak naprawdę Han nie był tego stuprocentowo pewien, bo Cilghal nie miała pojęcia, co tak naprawdę pozwoliło wyzdrowieć wszystkim dotkniętym psychozą Rycerzom Jedi. Ale to już był jej problem, a skoro Solo wsadził już Tharna na wózek, którym jechali Jedi, dobry doktor na pewno nie będzie zbyt skwapliwie szukał powodów do napisania nieprzychylnego im raportu. Odczekał

jeszcze, aż Tharn skończył ostentacyjną wspinaczkę na schody, i równie ostentacyjnie złapał Saara za wolną rękę, po czym zwrócił się do Daali:

- No, to chyba mamy już tylko jedno do omówienia.

Oczy Daali zabłysły mściwie i Han zaczął tracić nadzieję, jeszcze zanim się odezwała:

- A co takiego ma pan na myśli, kapitanie Solo?

- Valina i Jysellę Hornów - powiedział Han, idąc na całego. - Chcemy ich zabrać, jak tylko pani wiadrogłowi zaborą barykady sprzed naszych hangarów.

- Więc będziecie się fatygować na próżno. - Daala uśmiechnęła się zimno.

Złapanie pani prezydent Sojuszu Galaktycznego za kołnierz przed tyłoma holokamerami nie było najlepszym pomysłem, więc Han kurczowo zacisnął dłonie na nogawkach i dopiero wtedy powiedział:

- Ma pani zamiar trzymać ich dalej w karbonicie? Mimo pewności, że Cilghal może ich wyleczyć?

- Wcale nie mam takiej pewności. Tak naprawdę nie wiem nic konkretnego o żadnym cudownym lekarstwie. - Daala przerwała, aby polecić Harfardowi przerwanie oblężenia, i zwróciła się ponownie do Hana. - A dopóki nie wiem wszystkiego, kapitanie Solo, dopóki nie przekonam się, że Jedi niczego przede mną nie ukrywają, Hornowie pozostaną w rękach SBSG.

## **ROZDZIAŁ 6**

Kenth Hamner nigdy nie powinien był zajmować fotela Luke'a Skywalkera na posiedzeniach Rady. Nie dlatego, żeby był go niegodny, ale dlatego, że Jedi, jako cywile, szanowali istoty, a nie rangę, i każdy przywódca, który chciałby liczyć na ich posłuszeństwo, musiał najpierw zasłużyć na ich szacunek. Kenth teraz już zdawał sobie z tego sprawę, a także z tego, że przyjęcie tytułu Wielkiego Mistrza, zanim udowodnił, że na niego zasługuje, było straszliwym błędem.

Decydując się na to, założył, że zyska w ten sposób poparcie całego Zakonu. Jednak stało się zupełnie inaczej. Ten tytuł tylko przypominał Jedi, że Hamner nie był Lukiem Skywalkerem. Że w istocie był tylko zastępcą, narzuconym im przez służącą niegdyś Imperium przywódczynię Sojuszu Galaktycznego, która w przeszłości symbolizowała wszystko, czemu sprzeciwiali się Jedi.

Daala miała bardzo podobny problem. Była żołnierzem starej szkoły i zostało w niej wiele z admirała, który wierzył, że zasługuje nie tylko na szacunek, ale również na natychmiastowe, niekwestionowane posłuszeństwo. Ze szkodą dla wszystkich zainteresowanych, Jedi widzieli ją w całkiem innym świetle. Dla nich była niewiele lepsza od byłego wroga, który jeszcze nie zapracował

ani na ich zaufanie, ani na szacunek. Takie podejście obu stron nieuchronnie prowadziło do katastrofy. Kenth wyraźnie widział w otaczających go stężonych twarzach, że niepełne zwycięstwo Hana Solo posłużyło tylko przybliżeniu tej sytuacji.

Pomijając Luke'a, wszyscy aktualni członkowie Rady Jedi byli na miejscu - albo fizycznie, albo, jak w przypadku Kama i Tionne Solusarów, za pomocą HoloNetu. Corran Horn wpatrywał się w centralny krąg sali z charakterystycznym dla siebie ostatnio wyrazem twarzy - oczy miał

wielkości spodków i pełne grozy. Kyle Katarn i Kyp Durrone zasiadali po jego bokach, a ich mocno zaciśnięte usta zdradzały gniew, który za wszelką cenę starali się utrzymać na wodzy. Na prawo od Kentha siedziała Saba Sebatyne. Wystający przez otwór w siedzeniu fotela koniuszek jej pokrytego łuskami ogona wędrował nerwowo tam i z powrotem, szurając po larmalowej podłodze. Naprzeciw Barabelki siedziała nieruchomo wyprostowana Cilghal, ściskając mocno podłokietniki fotela.

Wyłupiaste oczy Kalamarianki były niemal całkowicie schowane za błoniastymi powiekami.

Obok uzdrowicielki siedziała najnowsza członkini Rady - góra złocistego futra, nominowana już przez Kentha Barratk'1. Ta przedstawicielka gatunku Yuzzemów, niegdyś zniewolonych przez Imperium z powodu ich ogromnej siły i wytrzymałości, była o głowę wyższa od większości Wookieech, miała kwadratowy pysk i wąską, porośniętą białą sierścią bliznę na gardle. Jej potężna sylwetka i groźny wygląd nie pasowały do ogromnej cierpliwości, łagodności i zdrowego rozsądku, czyli cech, których zdecydowanie brakowało Radzie w dzisiejszych czasach.

Octa Ramis nie usiadła ani na chwilę. Marszczyła gniewnie brwi i uderzała pięścią w drugą dłoń, co brzmiało jak trzaśnięcie drzwiami.

- ...zatrzymać jako zakładników! - mówiła właśnie. - Nie możemy dłużej na to pozwalać.

Udowodniliśmy całej galaktyce, że Valin i Jysella nie stanowią już dla nikogo zagrożenia.

Najwyższy czas, żebyśmy zażądali ich uwolnienia... albo sami ich odbili.

Kenth przymknął oczy, uciekając we własne myśli. W duchu błagał, żeby Nek Bwua'tu obudził się ze śpiączki. Razem mogliby wtedy zmusić Daalę i Radę do ugody i zakończyć całą sprawę. W pojedynkę Kenth nie miał szans wymusić na Daali koniecznych ustępstw, więc pozostawały mu tylko dwie drogi: zgodzić się na żądania Mistrzów i podjąć działania przeciw prezydent Sojuszu Galaktycznego albo nadal grać na czas i mieć nadzieję, że Bwua'tu niedługo się obudzi. Skoro tylko jedna z tych dróg mogła zapobiec eskalacji przemocy między Jedi a rządem, któremu przysięgali służyć, miał przed sobą oczywisty wybór.

- Mistrzynie Ramnis - powiedział, nie otwierając oczu - legion Mandalorian dopiero co opuścił plac. Czy naprawdę uważasz, że właśnie teraz jest najlepsza chwila, by zrujnować ostatnie ocieplenie między nami a prezydent Daalą?

- Właśnie tak uważam.

- Nie mówisz tego poważnie! - Kenth gwałtownie otworzył oczy.

- Jestem poważna jak asteroida na kursie kolizyjnym - odparła Ramis. - To ostatnia rzecz, jakiej spodziewa się Daala.

- Ona zgadza się z tym - oświadczyła Saba, przestając nerwowo machać ogonem. -

SSBSSG będzie w stanie podwyższonej gotowości, ale raczej nie sprawi nam specjalnych kłopotów.

- A Daala nie będzie miała przygotowanej odpowiedzi, więc zdobędziemy przewagę medialną - zgodził się Kyp. Wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem obok swojego fotela. - Jeśli zadziałamy szybko, może uda nam się utrzymać wszystko w tajemnicy przed prasą. A może nawet zmusić prezydent Daalę do ogłoszenia, że zezwoliła na zwolnienie więźniów.

- Mówicie o ataku na bazę Sojuszu. - Kenthowi zaczęło się kręcić w głowie. - Taki rajd może skończyć się ofiarami wśród żołnierzy. Postradaliście zmysły czy co?

Mistrzowie przerwali tylko na chwilę, żeby spojrzeć na niego, i zaraz wrócili do swojej rozmowy.

- Zmuszenie Daali do ogłoszenia, że to ona wypuściła Hornów, to dobry pomysł -

pochwaliła Saba. - Ona chętnie dowie się więcej.

- Za to ja nie. - Kenth wyprostował się w swoim fotelu. Musiał przerwać tę dyskusję, zanim cały pomysł nabierze większego rozpędu. - Mandalorianie to inna sprawa, ale nie będziemy walczyć z personelem Sojuszu Galaktycznego. Czy to jasne?

Tylko Solusarowie, Barratk'1 i Cilghal skinęli głowami. Pozostali Mistrzowie spojrzeli na niego pustym, lekko zdziwionym wzrokiem, jak gdyby zastanawiali się, dlaczego uważa, że jego opinia ma dla nich jakieś znaczenie. Najwyraźniej jego przywództwo w Radzie wisiało na włosku.

Bardzo cienkim włosku.

W końcu Corran Horn przerwał ciszę. Najwyraźniej wyrwał się ze swojego transu i spojrział na Kentha.

- A co ty masz zamiar z tym zrobić?

Kenth skrzywił się. Czy Corran naprawdę właśnie zasugerował, że Hamner nie odważy się powstrzymać ich od działania? Wstał i powiedział:

- Chyba nie podoba mi się twój ton, Mistrzu Horn.

- W tej chwili - Corran mówił, siedząc, bardzo spokojnym tonem - naprawdę nie obchodzi mnie, co ci się podoba, Wielki Mistrzu Hamnerze. - Oparł dłonie o kolana i pochylił się do przodu, patrząc na Kentha oczami tak zimnymi, że zdawały się martwe. - Jedyne, co mnie obchodzi, to że moje dzieci

pozostają zamrożone w karbonicie od miesięcy, a Daala nie ma już żadnej racjonalnej wymówki, by je przetrzymywać. Zarówno Valin, jak i Jysella są Rycerzami Jedi, a skoro nie jesteś zwolennikiem zorganizowania wyprawy, żeby ich uwolnić, chciałbym wiedzieć, w jaki sposób zamierzasz to zrobić.

- Ach, o to ci chodzi. - Kenth opadł z powrotem na fotel, czując wielką niepewność i wielkie zażenowanie. To zły znak; stres związany z przywództwem wpędzał go w paranoję i sprawiał, że zaczynał wszędzie widzieć zagrożenie. Zdawał sobie sprawę, że ktoś powinien pomóc mu zachować trzeźwą ocenę sytuacji. Ale skoro Bwua'tu pozostawał w śpiączce, do kogo mógł się zwrócić? Wyglądało na to, że tylko Barratk'l go popiera, a w tej sytuacji podważanie jej autorytetu u reszty Rady poprzez robienie z niej sojusznika byłoby nieuczciwe. - Proszę o wybaczenie, Mistrzu Horn. Sądziłem, że pytasz o coś innego.

- Z pewnością - powiedziała bulgoczącym głosem Cilghal. - Ale pytanie, które Mistrz Horn naprawdę zadał, jest też istotne. Jeżeli jesteś przeciwny wyprawie, to jak masz zamiar uratować naszych Rycerzy Jedi?

- I nawet nie próbuj przekonywać nas, by ich tam zostawić, póki nie załagodzimy sytuacji -

dodał Kyp. - Zakon nie może pozwolić komukolwiek na przetrzymywanie swoich członków jako zakładników współpracy. Jeszcze trochę, a każdy jako tako ważny władca półświatka będzie chciał zawiesić na ścianie własnego Jedi w karbonicie.

Widząc po minach pozostałych Mistrzów, że albo przyzna im rację, albo będzie musiał

bezsilnie obserwować, jak planują rajd, którego skutki musiałyby być tragiczne, Kenth zetknął palce opuszkami i skinął głową.

- Odzyskamy Valina i Jysellę już niedługo, obiecuję. Ale wolałbym to zorganizować bez wszczynania otwartej wojny z prezydent Daalą - podkreślił.

- Nie sądzę, żeby udało się tego uniknąć - powiedział Kyle Katarn. Był jednym z najostrożniejszych członków Rady i zawsze dokładnie przemyślał swoje wypowiedzi, więc to stwierdzenie było naprawdę szokujące. - Natasi Daala zawsze była wierna swoim przekonaniom, a teraz w dodatku zdecydowała, że Jedi należy trzymać w ryzach. Jeśli nie zamierzasz na to pozwolić...

Katarn przerwał, czekając na odpowiedź. Kenth tylko krótko pokręcił głową, więc były komandos kontynuował:

- ...to konfrontacja z Daalą będzie nieunikniona. - Obrzucił spojrzeniem Mistrzów w kręgu. -

Jedyne, czego nie wiemy, to jak szybko nastąpi.

Kenth miał ochotę kopnąć Katarna w kostkę, ale zamiast tego zwrócił się do pozostałych Mistrzów bardzo spokojnym tonem:

- Mistrz Katarn może mieć rację. Ale czy nie jesteśmy winni Zakonowi, Sojuszowi i obywatelom Coruscant przynajmniej próby uniknięcia wojny? - Odwrócił się w kierunku pary Mistrzów najbardziej przejętych możliwością eskalacji przemocy, to jest do Kama i Tionne Solusarów. - Dopiero co udało nam się zmusić Daalę do przzerwania oblężenia. Pamiętajcie o jednym: ona może uważać, że to my stoimy za próbą zabójstwa admirała Bwua'tu. Dajmy jej trochę czasu, żeby odkryła prawdę i zdała sobie sprawę, że wciąż stoi na krawędzi bardzo paskudnej wojny. Sprawdźmy, czy uda nam się zmusić ją, by mrugnęła pierwsza, dobrze?

Gdy odpowiedzią na jego prośby okazała się cisza, a nie głosy sprzeciwu, Kenth zdał sobie sprawę, że kupił kilka bezcennych dni, podczas których Bwua'tu być może się obudzi. Bezgłośnie i z ulgą wypuścił powietrze z płuc i usiadł. Czas zając się następnym punktem obrad - grupą uderzeniową myśliwców StealthX, którą zamierzali wysłać w charakterze wsparcia dla Luke'a.

No i właśnie w tej chwili drzwi Sali Rady otworzyły się, wpuszczając Hana i Leię Solo.

- Nic dziwnego, że zależy im na zakładnikach! - rzucił Han w pół drogi prosto do panelu kontrolnego HoloNetu. - Nie uwierzycie w to!

- Jedi Solo - Kenth skrzywił się, patrząc na Leię - czy nie prosiłem ciebie i twojego męża, żebyście nie pakowali się bez uprzedzenia na posiedzenia Rady? I to wielokrotnie?

- Ale Mistrzowie muszą to zobaczyć - odpowiedziała Leia, nawet nie próbując udawać, że jej przykro. - Na Blaudus Sextus odbywa się marsz wolności.

- Gdzie? - Kenth nigdy nawet nie słyszał o takiej planecie, nie mógł więc zrozumieć, czemu odbywający się tam protest miałby być dość ważny, żeby przerywać posiedzenie Rady Jedi. - Jedi Solo, jeżeli to ma być wymówka, żeby...

- To w systemie Regulan - przerwał mu Han - niedaleko Dubrawy.

- Dubrawy? - zdziwił się Kyp, obracając się w fotelu. - Nie wiedziałem, że w pobliżu Dubrawy jest cokolwiek.

- Barab Jeden też jest w pobliżu Dubrawy. - Saba utkwiała ciemne oczy w Kypie, jakby uważała każdego, kto nie zna galaktografii jej rodzinnego sektora, za potencjalny posiłek. - To ssektor Albanin, zawierający też Ukryty Tegoor, Blaudus Octuss i. naturalnie, Blaudus Ssexuss.

- Aha, ta Blaudus Sextus - powiedział Kyp, kiwając głową, jakby potrzebował tylko przypomnienia. - Oczywiście.

Saba syknęła na niego jeszcze raz, a potem zwróciła się do wszystkich zebranych:

- Blaudus Ssexuss sprowadza niewolników z Blaudus Octuss. Czy to Octussanie zorganizowali marsz? - Spojrzała na małżeństwo Solo.

- Jakbyś zgadła - powiedział Han.



Wcisnął przycisk na panelu i nad znajdującą się w środku okrągłego pomieszczenia płytą projekcyjną pojawił się hologram. Przedstawiał kolumnę centauroidalnych obcych; mieli głowy podobne do Ithorian, wyrastające z korpusów kudłatych, beczkowatych nerfów. Maszerowali jeden za drugim przez płataninę uliczek pomiędzy budynkami z kamienia, niosąc byle jak wykonane transparenty przedstawiające zerwane pęta i kajdany. Poruszali się szybkim truchtem, a głosy mieli tak przenikliwe, że wręcz niemożliwe do słuchania na żywo. Wyraźnie jednak nie chcieli niczego uszkodzić - szli wąską kolumną, żeby nie stratować śmigaczy zaparkowanych przed budynkami. Z

przodu hologramu pojawiła się drobna postać Madhi Vaandt, Devaronianki o twarzy lalki, szpiczastych uszach, wąskich, jasnych oczach i szopie białych włosów, niemal tak rozczochranej jak futro Octusan.

- ...że Octusanie to łagodny gatunek - mówiła Vaandt. - Nawet gdy zdecydowali się zerwać pęta niewoli, okazują najwyższą troskę o bezpieczeństwo i własność innych. - Obraz zmienił się, pokazując teraz kiepsko oświetlony port kosmiczny. W ciemnym zakątku lądowiska spoczywały trzy ogromne transportowce wojskowe MandalMotors, niemal niewidoczne w ciemnościach nocy. -

Dlaczego więc ubiegłej nocy w przemysłowym porcie kosmicznym, odległym tylko o dwadzieścia kilometrów, wydarzyło się to, co się wydarzyło?

Obraz nabrał zielonkawoniebieskiego zabarwienia, charakterystycznego dla soczewek skupiających światło. Od razu dało się zauważyć kilkuset komandosów mandaloriańskich, którzy opuszczali transportowce w ślizgaczach szturmowych, czołgach repulsorowych i na piechotę. Kenth poczuł skurcz w żołądku. Zanim Wielki Mistrz zdążył poprosić Leię o raport, Saba zerwała się z fotela, jeżąc łuski i obnażając kły.

- Daala possuwa się za daleko! - Rozległ się głośny huk, gdy ogon Barabelki uderzył w fotel i przewrócił go na podłogę. Nie zwracając na to najmniejszej uwagi, Saba kontynuowała: -

Octussanie nie stanowią żadnego zagrożenia dla Blaudunian. Octussanie nigdy nie walczą... nawet dla ratowania własnego życia!

- Może powinnaś opowiedzieć nam więcej o tamtejszych kulturach, Mistrzynie Sebatyne -

zasugerował Kenth. Zadowolony, że ma wymówkę do wyłączenia holoprojektora, zanim oburzenie ogarnie pozostałych Mistrzów, gestem poprosił Hana, żeby to zrobił. - To by nam pozwoliło zrozumieć motywy prezydent Daali.

- A co tu jest do rozumienia? - zapytał Solo. - Daala widzi opór, Daala miażdży opór. To ta sama strategia, której nauczyła się, siedząc na kolanach Tarkina.

Mimo to Han wyłączył holoprojektor, a Saba zyskała wreszcie niepodzielną uwagę zebranych. Barabelka przez chwilę zbierała myśli, przesuwając językiem po guzkowatych wargach, aż wreszcie spojrzała na pozostałych Mistrzów.

- Octussanie to rdzenni mieszkańcy systemu Blaudu - zaczęła. - Są prostopodusznym gatunkiem i

większość Blaudunian, czyli kolonistów przybyłych na Blaudu Ssexuss, nie uważa ich nawet za istoty prawdziwie rozumne.

- A są rozumni? - zapytała Ramis.

- To już pytanie do Misstrzyni Cilghal - odpowiedziała Saba, rozkładając dłonie. -

Octussanie potrafią mówić i rozumieją prawie ssto słów, ale nie umieją czytać i pisać, i nie znają pojęcia czasu ponad „teraz”, „później” i „przedtem”. Używają prostych narzędzi do kopania i ciosania kamieni, ale nie rozumieją działania dźwigni i przekładni.

- A więc wszystko zależy od tego, jaką definicję rozumu zastosujemy - skwitowała Cilghal.

- Zgodnie ze standardami Starej Republiki zostaliby zaklasyfikowani jako gatunek prymitywny i przysługiwałyby im taka sama ochrona prawna jak dzieciom i istotom upośledzonym umysłowo.

Według standardów Imperium uznano by ich za wysoko rozwinięte bydlę i traktowano jak ruchomości.

- A co mówią przepisy Sojuszu? - zapytał Kenth.

- Wniosując z opisu Mistrzyni Sebatyne - odparła uzdrowicielka - uznałabym ich za prawie rozumnych. Jako takich nie wolno ich legalnie niewolić, a wszelkie legalne kontrakty powinien nadzorować wyznaczony przez rząd przedstawiciel.

- A jak wyglądają ich relacje z Blaudunianami? - zapytał Kam z głębi własnego hologramu.

- Z relacji Mistrzyni Sebatyne i reportażu Madhi Vaandt wynika, że obydwa gatunki wcale nie są sobie wrogie.

- Bo nie są - powiedziała Saba. - Blaudunianie są właścicielami Octussan, to prawda. Ale uważają ich w pewnym sensie za pracujące dzieci i traktują dobrze.

- Czy Octusanie są więźniami? - zapytał Kyle.

- Każdego dnia są odprowadzani do pracy, ale wyłącznie dlatego, że w przeciwnym razie przez cały dzień wędrowaliby bez celu - wyjaśniła Saba. - Po zakończeniu pracy mogą robić, co im się podoba.

- I nie próbują uciekać? - Pytanie Tionne dobiegło od strony jej hologramu.

- Nie mieliby dokąd uciekać - stwierdziła Saba. - Blaudu Ssexuss to planeta górnicza, a jej naturalna roślinność jest albo trująca, albo zawiera za mało składników odżywczych. Gdy Octussanie poczują głód, muszą wracać do swoich panów, którzy żywią ich produktami zbieranymi na Blaudu Octus.

- Czy zawsze wracają do tych samych właścicieli? - chciała wiedzieć Tionne.

- Nie zawsze - odpowiedziała Barabelka. - Czasami idą do kogoś innego. Zgodnie z prawem Blaudunianom nie wolno karmić cudzej własności, więc zawsze zwracają Octussan prawowitym właścicielom. Ale jeżeli zdarzy się to kilka razy, zakłada się, że Octussanin chce zmienić właściciela, a wtedy Blaudunianie dochodzą do porozumienia.

- Cóż, to brzmi jak niewolnictwo - powiedział w powątpiewaniem Kyp. - Swego rodzaju.

- Ale oni cieszą się przywilejami, których brakuje większości niewolników - zwrócił uwagę Kenth. Spojrzał znowu na Sabę. - Czy wiesz, w jaki sposób Octusanie są zabierani z rodzinnej planety na Sextus? Może to nam wyjaśni sytuację.

- Nie wyjaśni. Octussanie proszą, żeby ich zabrać.

- Proszą? - powtórzył Kyp. - Mówią: „Proszę, zabierz mnie na inną planetę, żebym mógł być twoim niewolnikiem”?

- Właśnie tak - powiedziała Saba. - Oś obrotu Blaudus Octuss jest ssilnie nachylona, więc Octussanie spędzają większą część życia migrując zależnie od zmiany pór roku. Robią to w poszukiwaniu dobrych passtwisk. Ciężkie jest życie podczas ciągłych wędrówek, więc rzadko kiedy żyją dłużej niż dwadzieścia lat sstandardowych. Ledwo wystarczy, żeby wychować potomstwo.

- Ale na Blaudus Sextus żyją dłużej? - zapytał Kyle. - Dlatego chcą służyć Blaudunianom?

- W pewnym ssenssie tak - potwierdziła Barabelka. - Kiedy Octussanin jest za sstary, by dotrzymać kroku reszcie ssada, zwykle gromada sszuka sstatku żniwiarskiego z Ssexstus i prossi Blaudunian, żeby zabrali ich ukochanego krewniaka. To lepsze niż ssamotna śmierć w zimnie, a Octussanie dożywają nawet osiemdziesięciu lat pod opieką Blaudunian.

- A skąd Octusanie o tym wiedzą? - dopytywał się Kyle. - Opowiadają im Blaudunianie?

- Nie, inni Octussanie im o tym mówią - powiedziała Saba, kręcąc głową. - Blaudunianie zabierają ze ssobą niewolników do pomocy przy żniwach i pozwalają im opowiadać młodszym Octussanom o życiu na Blaudus Ssexstus.

- Czemu nic nigdy nie może być proste? - zapytał retorycznie Kyp. - To równocześnie brzmi i nie brzmi jak niewolnictwo.

- Mamy wiele do przemyślenia. - Kyle mówił powoli i z namysłem, co sugerowało, że bardziej zainteresował się abstrakcyjnym problemem niż realnymi sprawami. Kenth poczuł ogromną ulgę. W tej chwili nie mógł sobie pozwolić na wdawanie się z Mistrzami w spory o to, czy Zakon Jedi powinien mocniej wspierać wysiłki Lotu Wolności, mające na celu wyeliminowanie niewolnictwa z galaktyki.

- A co z dyscypliną i krzywdzeniem? - zapytał Wielki Mistrz. - Czy Blaudunianie znęcają się nad swoimi niewolnikami?

- Każdy gatunek ma podłych przedstawicieli - odpowiedziała Saba. - Ale Blaudunian obowiązują akty prawne zabraniające znęcania się nad jakimikolwiek istotami. Te prawa są przestrzegane.

- To nie jest właściwy temat, jeśli wolno mi zauważyć - powiedziała Leia, nie kłopotząc się, żeby poprosić o pozwolenie Kentha. - To Mandalorianie, a nie powstanie, są naszym problemem.

- No właśnie - potwierdziła Saba. - Octussanie nie będą walczyć, ale też nie ustąpią.

Sskoro już zaczęli protestować, nie przestaną, dopóki nie wygrają.

- Ale o co im właściwie chodzi? - zapytał Kyle. - O równouprawnienie? O wynagrodzenie?

- Byłoby dziwne, gdyby domagali się i jednego i drugiego - powiedziała Saba. - Wolno im wrócić na sstatku żniwiarskim na Blaudu Octuss, kiedy tylko zechcą, a pojęcie pieniędzy zawsze ich przerasstało. - Spojrzała na Leię. - Co było w reportażu?

Leia zastanowiła się chwilę, po czym pokręciła głową.

- Jediną rzeczą, o jakiej wspomniała do tej pory Madhi, była wolność - odpowiedziała. - Nic konkretnego.

- Wydaje się to raczej podejrzane - powiedział Kenth. - Skoro Octusanie mogą mieszkać, gdzie chcą, wrócić na swoją rodzinną planetę, żeby umrzeć, i spędzać wolny czas, jak im się podoba, trudno mi uwierzyć, że tak prymitywne istoty w ogóle rozumieją ograniczenie wolności.

- Chyba cię źle zrozumiałam, Wielki Mistrzu - powiedziała Barratk'1. Jej głos był mniej głęboki i zgrzytliwy jak u większości Yuzzemów. Kiedyś odniosła ciężką ranę gardła i przy okazji leczenia poprosiła o korektę strun głosowych, żeby innym gatunkom łatwiej było ją zrozumieć. -

Sugerujesz, że wolno mieć niewolników tylko wtedy, jeśli nie są dość inteligentni, by zrozumieć, że nie są wolni?

- Przecież wiesz, że nie o to chodzi, Mistrzynie Barratk'1! - Kenth rzucił Yuzzemce lodowate spojrzenie, a potem patrzył jej w oczy tak długo, aż sama odwróciła wzrok. - Czy mógłby pan powtórzyć nagranie, które właśnie oglądaliśmy? - zwrócił się do Hana.

- Jasne. - Solo dotknął panelu kontrolnego i chwilę później holograficzna kolumna Octusan dreptała w kręgu Rady Jedi. - Od tego momentu?

- Tak, dziękuję - odpowiedział Kenth. - A teraz proszę zatrzymać obraz i powiększyć jednego z Octusan. Któregoś z niosących transparenty.

Han zrobił zdziwioną minę, ale spełnił prośbę Wielkiego Mistrza. Chwilę później pojawił

się hologram Octusana naturalnej wielkości. Jego kudłate białe futro i beczkowaty tułów łączący zad z przodem sprawiały, że naprawdę przypominał juczne zwierzę, jakim chcieli go widzieć jego blauduńscy właściciele. Ale cała sylwetka nie była pozbawiona wdzięku i wskazywała na spokojne

usposobienie, które opisała Saba. Szerokie ramiona i głowa w kształcie młota miały w sobie pewne delikatne piękno. Kenth użył laserowego wskaźnika, żeby podświetlić umieszczone na transparencie kajdany.

- Mistrzynie Sebatyne, czy te istoty kiedykolwiek zakuwano?

- Nie. Czemu miałyby to ktoś robić, skoro nie mają dokąd... - Barabelka urwała i otworzyła szerzej oczy, kiedy dotarł do niej sens pytania Kentha. - Kajdany stosowano rzadko, Wielki Mistrz Hammerze. Właściwie nigdy.

- Więc skąd znają tę symbolikę? - zapytał Kyle. Odwrócił się do pozostałych Mistrzów i dodał: - Wielki Mistrz Hammer ma rację. Ktoś ich podpuścił.

Pozostali Mistrzowie spojrzeli po sobie, zastanawiając się, czy któryś z nich ma pomysł, kto mógłby na czymś takim skorzystać. Kenth dał im na to dość czasu, a potem chrząknął, żeby zwrócić na siebie uwagę. Kiedy już wszyscy na niego patrzyli, powiedział:

- Chyba mam pewną teorię. Oczywiście wszyscy słyszeliście o Locie Wolności?

Mistrzowie pokiwali głowami, a Han Solo wtrącił:

- Jak na tajną organizację, dziwnie lubią rzucać się w oczy.

- Zwykle tak bywa w przypadku organizacji ratujących niewolników, kapitanie Solo -

wyjaśniła Barratk'1 dziwnie obrażonym tonem. Kenth zaczął się nawet zastanawiać, czy przypadkiem nie ma po temu konkretnego powodu. Takiego samego jak Lot Wolności, który zdaje się zakładał, że zawsze może liczyć na pomoc Jedi. - Zawsze istnieje niebezpieczeństwo, kiedy próbujesz chronić nieszczęśników i poniżać potężnych. Ci drudzy dobrze cię zapamiętają.

- Trudno się z tym nie zgodzić - przyznał Han, uśmiechając się do niej z aprobatą. - Ale po co Lot miałyby robić zamieszanie na Blandu Sextus? W galaktyce jest mnóstwo małych światów, gdzie sytuacja jest znacznie gorsza. Po co wszczynać powstanie na planecie, na której praktykuje się coś, co nawet trudno nazwać niewolnictwem?

- Z powodu Madhi Vaandt - odpowiedziała mu Leia.

Podeszła do panelu kontrolnego i sięgnęła nad nim, żeby wcisnąć przycisk. Projektor ponownie pokazywał transmisję HoloNetu na żywo. Reporterka przeprowadzała właśnie wywiad z bezwłosym zielonoskórym dwunogiem, który sięgał jej tylko do podbródka. Miał zapadnięte oczy, długi, cienki nos i szerokie usta, których uśmiech wyglądał dziwnie perwersyjnie. Vaandt zasypywała biednego Blandunianina ostrymi pytaniami, ale Leia ściszyła dźwięk.

- Co się ostatnio zmieniło? - zapytała i wskazała na obraz Vaandt. - Ona. To nie przypadek, że akurat była na Blandu Sextus, kiedy niewolnicy wszczęli powstanie. Ktoś musiał dać jej cynk.

Ten sam ktoś, kto najpierw przekonał Octusan, że są źle traktowani: Lot Wolności.

- Nie rozumiem tego - Kyp pokręcił głową. - Problem z Blaudunianami i Octusanami nie jest wystarczająco okropny. Znam wiele innych miejsc w galaktyce, które zrobiłyby na widzach znacznie większe wrażenie, jeśli chodzi o fatalny los niewolników.

- Ale Lot miał pewność, że Daala będzie mogła wysłać wojsko tylko w jedno miejsce -

powiedział Han i spojrzał na Sabę. - Założę się, że Blaudunianie nie mają pojęcia, jak radzić sobie z zamieszkami.

- Wątpię, żeby kiedykolwiek musieli o tym myśleć.

- A skoro Octusanie są zbyt uparci, żeby dać sobie z tym spokój, możecie być pewni, że nie obejdzie się bez konfrontacji - powiedział Kule. Rzucił Barratk'1 ostre spojrzenie, marszcząc brwi w zamyśleniu. Bez wątpienia zastanawiał się nad tym samym, co Kenth: czy nowa członkini Rady Jedi, sama należąca do zniewolonego niegdyś gatunku, wzięłaby w coś takim udział. Czy ryzykowałaby życie tysięcy, aby uwolnić setki milionów. - No i możecie być pewni, że wszystko będzie transmitowane na żywo w HoloNecie.

- To nie będzie konfrontacja. - Saba utkwiała wylupiaste oko w Barratk'1 i dodała: - Lot Wolności pomylił się w swoich planach. To będzie rzeź.

Barratk'1 otworzyła szerzej oczy i warknęła:

- Czy mi się wydaje, czy sugerujesz, że to ja im pomogłam?

Saba przyglądała jej się przez chwilę, a potem odpowiedziała:

- Nic podobnego. Ja tylko stwierdziłam, że Lot Wolności popełnił błąd i dobrze byłoby im to uświadomić, zanim poleje się krew.

- Ale Lot Wolności chce właśnie tego - powiedział Kyle. W jego głosie było głębokie przekonanie, jak zwykle kiedy wszystkie elementy myślowej układanki trafiały na swoje miejsce. -

Nic tak nie wymusza szybkich zmian jak publiczne oburzenie. A jeśli Daala rozstrzela tysiące pokojowo demonstrujących niewolników w HoloNecie, i to w dodatku na żywo, z pewnością wywoła publiczne oburzenie.

- Jakim cudem Daala dała się tak podpuścić? - zapytał Corran, podnosząc wzrok po raz pierwszy, od kiedy dyskusja zesła z tematu Valina i Jyselli. - Jeżeli jest dość bystra, by zmusić Jedi do pozostawania w Świątyni, powinna też być dość bystra, by nie wpaść w taką pułapkę.

- Pod warunkiem że ma dość informacji - powiedział Han. - Ten, kto za tym stoi, nie bez powodu wybiera leżące na uboczu planety. Nawet Kenth... to jest Wielki Mistrz Hamner... nie wiedział nic o systemie Blaudu, zanim to się nie zaczęło.

- Dowiedziałbym się, zanim wysłałbym tam wojsko - odgryzł się Kenth. Tak już się przyzwyczyił do subtelnych docinków, że zareagował łagodnie na aluzję Hana. - Obstawiałbym, że to raczej my

czegoś tu nie dostrzegamy. Na przykład, dlaczego Daala miałyby użyć Mandalorian?

- Bo chce, żeby jej przekaz dotarł do wszystkich - wyjaśnił Han. - Nic nie przekonuje lepiej do zachowania spokoju niż brygada wiadrogłowych Mando na twoim progu.

- Nie w tym rzecz - pokręcił głową Kenth. - Użyła Mandalorian, bo miała nadzieję, że załatwi sprawę szybko i dyskretnie. A może trzyma dodatkowych Mando w gotowości, na wypadek gdyby sytuacja tu, na Coruscant, zrobiła się niebezpieczna?

- To znaczy na wypadek, gdyby siły zbrojne Sojuszu opowiedziały się po naszej stronie? -

zapytał Kyle.

- To mógłby być jeden z powodów, owszem - powiedział Kenth. Nie zdradził, że Daala była tego pewna, ponieważ obiecał Bwua'tu zatrzymać dla siebie wszystkie informacje, którymi admirał

się z nim podzielił. - W dodatku pewnie jest przekonana, że Mando stłumią powstanie szybciej niż regularne wojsko.

I że nie będą mieć przy tym skrupułów.

- Uważa też, że skoro Octusanie są pacyfistami, to łatwo ulegną - powiedział Kyp, entuzjastycznie kiwając głową. - Wciąż dużo w niej zostało z admirała Imperium.

- To by znaczyło, że Lot Wolności wiedział o trzymanyh w odwodzie Mandalorianach -

zauważyła Leia. Minę miała zamyśloną, ale w jej głosie brzmiała pewność. - W przeciwnym wypadku nie oczekivaliby, że Daala tak szybko zareaguje. Ani nie trzymaliby pod ręką Madhi Vaandt, żeby ujawniła jej działania.

- Ssugerujesz, że Lot Wolności ma szpiega w otoczeniu Daali, tak? - podsumowała Saba.

Przekrzywiła pokrytą łuskami głowę w zadumie, a potem nią pokiwała. - Ona się zgadza. To wiele wyjaśnia.

- Rzeczywiście zaczyna wyglądać na to, że ci goście z Lotu Wolności mają szpiegów wszędzie - powiedział Han. - Człowiek zaczyna się zastanawiać, kim właściwie oni są.

Nie wiadomo, czy Han chciał w ten sposób dociąć Barratk'1, ale błysk gniewu w jej ciemnych oczach dowiódł, jak to odebrała. Nie chcąc, by relacje Barratk'1 z resztą Rady szybko się popsuły, Kenth spojrzał karcąco na Hana.

- Jestem przekonany, że Mistrzynie Barratk'1 powiedziałyby nam, gdyby miała cokolwiek wspólnego z Lotem Wolności - zaznaczył. Potem poczekał, aż Han odwróci wzrok, i ciepło uśmiechnął się do Barratk'1. - Przecież nie miałyby żadnego powodu, żeby ukrywać tak chwalebne przedsięwzięcie przed Radą.

Gniew znikł z oczu Yuzzemki i Kenth zdał sobie sprawę, że zasłużył na jej wdzięczność.

Jeszcze tylko kolejnych ośmiu członków Rady i może będzie mógł uznać się za godnego fotela, na którym siedział. Odwrócił się od Barratk'a i przesunął wzrokiem po pozostałych Mistrzach.

- Skoro już rozumiemy sytuację - powiedział - to co z nią zrobimy?

Zdumione spojrzenia, którymi do obrzucono, podpowiedziały Kenthowi dwie rzeczy. Po pierwsze: Mistrzowie mieli o nim już tak fatalną opinię, że nie spodziewali się z jego strony takiego pytania. Po drugie, wciąż ma szansę przekonać ich do siebie.

- Nie muszę was chyba przekonywać, że nie możemy pozwolić na rzeź takich rozmiarów -

mówił Kenth - niezależnie od wpływu, jaki mogłoby to mieć na los innych niewolników w galaktyce.

- Zgoda - wsparł go nieoczekiwanie Corran Horn. - Nie można myśleć o jutrze, tylko o tym, co zrobimy... lub nie zrobimy dziś. - Cytował nową regułę, której dodanie do Kodeksu Jedi rozważała Rada. Miała ona przypominać młodym Rycerzom Jedi, że szlachetne cele nigdy nie uzasadniają używania podłych środków. - Musimy zakończyć to powstanie, zanim zmieni się w masakrę.

Kenth popatrzył po zgromadzonych w sali Mistrzach, dając każdemu sposobność do wyrażenia sprzeciwu. Żaden z nich tego nie zrobił, więc Wielki Mistrz rzekł:

- Zakończenie tego powstania postawi chwilowo Jedi po stronie łowców niewolników i Mandalorian. Czy potrafimy to zaakceptować?

- Ona nie potrafi - sprzeciwiła się Saba. - Możemy jeszcze zakończyć powstanie, przeganiając Mandalorian.

- Nie widzę, co by to miało dać - powiedziała Tionne. - Jeżeli Octusanie będą organizować marsze aż do wygranej, to tylko odwlecziemy konfrontację w czasie.

- Czasami odwlekać znaczy zapobiegać - odparła Saba. - Bładunianie i Octusanie nie są wrogami. Bez interwencji z zewnątrz ssami dojdą do porozumienia. I to bez przelewu krwi.

Kenth nie odzywał się, mając nadzieję, że ktoś wskaże błąd, który on widział w planie Saby.

Nie doczekawszy się stwierdził, że musi sam to zrobić:

- Sugerujesz, że Zakon powinien podjąć działania militarne, Mistrzynie Sebatyne? Obawiam się, że w tej chwili to jest po prostu niemożliwe.

- Oczywiście, że to nie jest możliwe. - Ogon Saby uderzył w podłogę tak mocno, że Kenth poczuł drżenie własnego fotela. - Przecież musimy walczyć z Ssithami.

- Więc... co właściwie proponujesz? - zapytał Kyp. - Przyznasz chyba, że zmuszenie całej brygady Mandalorian do odwrotu to dość trudne wyzwanie, nawet dla Rycerza Jedi.



- Masz rację, Mistrzu Durronie - przytaknęła Saba. - Może będziemy musieli wysłać dwóch Rycerzy.

Cisza, która po tym nastąpiła, oznaczała, że pozostali Mistrzowie byli równie zaskoczeni tą propozycją jak Kenth. Po chwili Kyle zapytał:

- Sugerujesz, żebyśmy wysłali Tesara i Wilyema?

- Nie. - Saba odwróciła głowę tak szybko, że Kenth zastanowił się, czy ktoś aby nie sięgnął

po miecz świetlny. - Czemu miałbyś tak myśleć?

- Proszę o wybaczenie - powiedział Kyle, marszcząc ze zdumieniem brwi. - Myślałem, że masz zamiar zaproponować właśnie ich kandydatury.

- Tessar i Wilyem są zajęci. - Saba rzuciła Kyle'owi wrogie spojrzenie i popatrzyła na pozostałych.  
- Mussimy posłać kogoś innego.

Kenth nie przypominał sobie, żeby słyszał o jakiegokolwiek misji z udziałem tych dwóch Barabeli. A w dzisiejszych czasach fakt, że nic nie wiedział o jakimś Jedi, był powodem do zmartwienia. Zastanowił się przez chwilę, próbując przypomnieć sobie imiona dwóch Barabelek, które pomogły rodzinie Solo przemycić psychotycznych Jedi z powierzchni ich rodzinnej planety kilka miesięcy temu. Były najmłodszymi członkiniami Dzikich Rycerzy, kiedy Saba i jej oddział

pojawił się tutaj podczas wojny z Yuuzhan Vongami. Z godnością i zaciekłością walczyły za sterami myśliwców w kilku bitwach kosmicznych.

- A co z Zal i Dordi? - zapytał, wreszcie przypominając sobie, jak się nazywały.

- Ona mówi: nie!

Saba obróciła się tak szybko, że Kenth musiał siłą powstrzymać się przed zerwaniem na równe nogi. Kilkoro innych Mistrzów nie miało takich oporów i wstało ze swoich foteli, trzymając ręce w pobliżu mieczy świetlnych. Saba przyjrzała się im i prychnęła pogardliwie:

- Dordi i Zal też nie są dostępne. Barabelscy Rycerze Jedi nie są dostępni.

Kenth powoli wstał z fotela, raczej zaskoczony niż przestraszony zachowaniem Saby.

Spokojnie zapytał:

- A to dlaczego?

Łuski Saby najeżyły się, a jej ogon przeciął powietrze tak szybko, że Kenth i Cilghal musieli podskoczyć, żeby nie ściał ich z nóg.

- To prywatna sprawa.

- Prywatna?

Kenth spojrzał na małżeństwo Solo w nadziei, że oni coś z tego rozumieją. Niestety, wyglądali na równie zaskoczonych, jak on. Cokolwiek kombinowali Barabelowie, nikogo w to nie wtajemniczyli. A tajna misja wymyślona przez Barabelów nie mogła skończyć się dobrze.

- Mistrzynie Sebatyne - przemówił Kenth spokojnie - czy ci się to podoba, czy nie, to ja pełnię obowiązki Wielkiego Mistrza Zakonu Jedi. Gdy czworo Rycerzy Jedi znika ze Świątyni bez pozwolenia, moim obowiązkiem jest dowiedzieć się dlaczego.

- Wcale nie jest. - Saba obnażyła kły w paskudnym grymasie. - To, co robią Tessar i pozostali, to ich własna sprawa.

- Mistrzynie Sebatyne! - zrezygnowany Kenth opuścił głowę. - Proszę... - przerwał i podniósł wzrok - nie. Domagam się...

- Mistrzynie Sebatyne - weszła mu w słowo Leia - Wielki Mistrz Hamner obawia się po prostu, że Tessar i pozostali mogą bez jego wiedzy podjąć jakieś działania przeciw prezydent Daali.

Po tym, co... hm... robili niedawno inni Rycerze Jedi, to całkiem sensowne obawy.

Saba wodziła przez chwilę wzrokiem od Kentha do Leii i z powrotem, przechylając głowę w zamyśleniu. Wreszcie spojrzała prosto na Kentha.

- Ssądzisz, że Tessar i Wilyem opuścili Świątynię? Żeby polować na... Daalę? -

Obnażający kły grymas zmienił się w równie zębaty, szelmowski uśmiech. Zaczęła posykiwać, co było barabelskim odpowiednikiem chichotu, aż trzęsły się jej ramiona. - O, nie! Przysięgam, że ssą dalej w Świątyni. I nigdzie ssię nie wybierają... - znów zasyczała - ...przynajmniej przez kilka miesięcy.

Kenth omiół wzrokiem resztę zgromadzonych i stwierdził, że pozostali Mistrzowie, a nawet małżeństwo Solo, które znało Sabę lepiej niż ktokolwiek inny, rozumieli z tego równie mało, jak on sam. Wzruszył ramionami i opadł z powrotem na fotel. Był bardzo zmęczony i pragnął nade wszystko, żeby posiedzenie Rady już się skończyło.

- No dobrze, Mistrzynie Sebatyne, wierzę ci na słowo - westchnął i nie czekając, aż Barabelka usiądzie, spojrzał na Barratk'1. - Proponuję więc posłać Sothaisa Saara i Avinoama Arelisa na Blandu Sextus, żeby przekonali Octusan do odłożenia ich protestu na później. Saar jest Chevem i już od jakiegoś czasu zajmował się problemem niewolnictwa w galaktyce.

- Zgadzam się co do Saara - skinęła głową Barratk'1. - Ale czemu Arelis? Lepiej posłać jednego z Mistrzów, jeśli boisz się nawrotu psychozy. A ja też wiem co nieco o problemie niewolnictwa.

- To prawda - potwierdził Kenth. - Musimy jednak pamiętać o Zapomnianym Plemieniu.

Będziemy potrzebować wszystkich dostępnych Mistrzów, kiedy przyjdzie się nam z nimi zmierzyć.

- Więc masz zamiar wysłać sstealthX-y? - zapytała Saba, znów unosząc się z krzesła, na które dopiero co opadła. - Kiedy?

- Kiedy tylko będziemy mogli to zrobić, nie wywalczając sobie drogi z Coruscant -

odpowiedział Kenth. - Nikomu nie pomożemy, jeśli dotrzemy na miejsce w myśliwcach pełnych dziur po trafieniach.

- A więc równie dobrze możesz posłać Mistrzynię Barratk'1 na Blaudu Sextus - w tonie Kypa słychać było szyderstwo, a on sam wbił wzrok w podłogę i kręcił głową. - Bo nie opuścimy w naszych stealthX-ach tej planety bez walki. Przynajmniej dopóki Daala jest u władzy.

Wyraz twarzy pozostałych Mistrzów powiedział Kenthowi, że podzielają oni. zdanie Kypa.

Wiedział, że nadchodzi prawdziwa próba jego zdolności przywódczych. Jeśli nie uda mu się przekonać Mistrzów, by zachowali cierpliwość i zaufali mu tylko odrobinę dłużej, po prostu wystartują bez niego. Wielki Mistrz stwierdził, że najwyższy czas wziąć się z problemem za bary, wciągnął więc głęboko powietrze i powiedział:

- Mistrzu Durronie, problem Daali może nie być aż tak skomplikowany, jak ci się wydaje.

Jego niewypowiedziana sugestia musiała być jasna dla wszystkich obecnych w Sali Rady.

Byli tu Mistrzowie Jedi, dawna pani prezydent i... cóż... Han Solo. Teraz wszyscy patrzyli na niego z mieszaniną zdziwienia, zwątpienia i zwykłego niedowierzania.

- Uważasz, że masz coś w zanadru? - Kyp uniósł brew, nie wiadomo, czy z niedowierzaniem, czy z podziwem.

- Nie uważam, Mistrzu Durronie - w głosie Kentha zabrzmiały durastalowe tony. - Po prostu mam.

Kilkoro Mistrzów zadało chórem oczywiste pytanie, ale Kenth najlepiej usłyszał chrapliwy głos Saby:

- Co? Ukrywałeś przed nami jakieś plany?

- Przykro mi, nie wolno mi o tym rozmawiać. - Kenth wyprostował się w fotelu, starając się przyjąć budzącą szacunek postawę.

Mistrzowie znów przemówili jednocześnie, ale tym razem wynikła z tego pełna oburzenia kakofonia:

- Jasne.

- Bardzo dogodne.

- Chyba żartujesz - Han również dołączył się do chóru Jedi.

- Proszę! - Kenth uniósł dłoń, żeby ich uciszyć. - Mówię poważnie. Ale naprawdę nie mogę w tej chwili o tym rozmawiać.

Równie dobrze mógłby mówić po ssi-ruuviańsku. Mistrzowie po prostu gapili się na niego, jakby to Imperator nagle pojawił się w fotelu Luke'a Skywalkera - i trudno im się było dziwić.

Wydawało się nie pomyślenia, żeby przewodniczący Rady Jedi twierdzili, że nie może zawierzyć im istotnych informacji. Był to skandaliczny brak wiary w ich uczciwość. A Kenth musiał sprawić, że się z tym pogodzą. Dał Bwua'tu słowo, że utrzyma ich porozumienie w tajemnicy, i zamierzał go dotrzymać, bo to się należało admirałowi. Przynajmniej tak długo Jak stary Bothanin będzie żył.

- Przepraszam was z serca - kontynuował. - Ale wszystko zrozumiecie, kiedy przyjdzie na to czas. I nie chodzi tu o obecność Hana i Leii. Nie jest to także kwestia zaufania.

- Ale ja nie dlatego chcę, żeby oboje Solo wyszli. - Kyp wstał i skinął na małżeństwo.

Począł w ciszy, aż zamkną się za nimi drzwi, i zwrócił się z powrotem do Kentha. - Chciałbym teraz usłyszeć wyjaśnienia, Wielki Mistrzu. Nie możesz mieć tajemnic przed Radą Jedi. A przynajmniej nie tego rodzaju.

- W zwykłych okolicznościach pewnie bym się zgodził. - Kenth pozostał w swoim fotelu. -

Ale na razie, tak samo jak Mistrzynie Sebatyne w przypadku Tesara i pozostałych barabelskich Rycerzy Jedi, muszę poprosić was, żebyście uwierzyli mi na słowo. To naprawdę dla dobra Zakonu.

- Ale moja tajemnica jest inna - zaprotestowała Saba. - Dotyczy tylko czworga Rycerzy Jedi.

Twój sekret dotyczy całego Zakonu, Mistrza Skywalkera i Sithów.

- Wiem o tym. - Kenth mógł jedynie skinąć głową.

Octa Ramis potarła czoło i powiedziała:

- Dobrze by było, gdybyś przynajmniej wyjaśnił, dlaczego nie możesz nam powiedzieć.

- Proszę bardzo - odparł Kenth. - Po prostu dlatego, że dałem słowo.

- Dałeś słowo - powtórzył Kyp. - I oczekujesz, że ci uwierzymy?

- Raczej mam taką nadzieję. - Kenth przeklinał w duchu śpiączkę Bwua'tu i bandytę, który ją spowodował, ale do Kypa się uśmiechnął, wzruszając przy tym ramionami.

- W to akurat mogę uwierzyć. - Kyp również lekko się uśmiechnął.

- Aleja nie mogę - zabrał głos Corran. Wstał i wygładził szatę. - Przykro mi, Wielki Mistrzu Hammerze, ale wydaje mi się, że tylko grasz na czas.

- Ja też tak sądzę. - Saba również wstała. - Nadszedł czas, by wystartować. Nad galaktyką zawisła groźba SSithów, a Mistrz Skywalker potrzebuje naszej pomocy.

- Jak myślisz, co się stanie, jeśli wystartujecie? - zapytał Kenth. - Cała Szósta Flota czeka na orbicie i otworzy do was ogień, to mogę wam obiecać.

- Umkniemy im - powiedziała po prostu Saba.

- A jeśli Mandalorianie znów spróbują szturmować Świątynię?

- To ich pozabijamy, jak przedtem - odparła Saba. - Czas umiaru minął. Istnieją istoty gorsze od Mandalorian i jeśli szybko czegoś z nimi nie zrobimy, to one będą rządzić Coruscant.

Saba odwróciła się, dając w ten sposób znać, że debata się skończyła, i ruszyła w kierunku drzwi. Pozostali Mistrzowie ruszyli za nią i Kenth zdał sobie sprawę, że jego plan odniósł skutek przeciwny od zamierzonego. Mieli dość czekania z założonymi rękami, podczas gdy Luke, Ben i Jaina stawiali czoło całemu plemieniu Sithów. Żadne argumenty Kentha nie mogły ich już przekonać, nawet gdyby złamał słowo dane Bwua'tu i powiedział, co siły zbrojne Sojuszu Galaktycznego zamierzają zrobić w ich sprawie. Położył więc dłoń na rękojeści swojego miecza świetlnego i wstał.

- Nie! - zaprotestował tak ostrym tonem, że Saba zatrzymała się i spojrzała na niego.

- Proszę, Mistrzu Hamner - powiedziała - nie komplikuj sprawy bardziej niż to konieczne.

- Nie myśl, że załatwicie to po swoim. - Kenth ruszył w jej kierunku z mieczem w dłoni. -

To Wielki Mistrz Skywalker mianował mnie na to stanowisko i jeśli chcecie mnie z niego usunąć, nie uda wam się tego osiągnąć, ignorując mnie. Możecie to zrobić tylko tradycyjnym sposobem.

Saba spojrzała na broń w jego rękę, przesunęła językiem po wargach i Kenth zrozumiał, że znalazł granicę, której Barabelka nie przekroczy. Nie była gotowa walczyć z innym Jedi o władzę nad Zakonem. Nie, kiedy w galaktyce było tyle innych rzeczy, z którymi Jedi powinni walczyć.

Mając nadzieję, że dobrze wykorzysta zdobytą właśnie przewagę i załatwi sprawę raz na zawsze, Kenth podszedł jeszcze bliżej i spojrział na pozostałych.

- Czy ktokolwiek z was gotów jest posunąć się tak daleko?

I wtedy Mistrzowie ponownie go zaskoczyli. Zamiast spuścić oczy albo spróbować zmusić jego do odwrócenia wzroku, niemal jednocześnie spojrzeli na Corrana Horna. Kenth zdał sobie sprawę, że to on zaszedł za daleko. A teraz jego życie i przyszłość całego Zakonu Jedi zależały od tego, jakiego rodzaju człowiekiem był naprawdę Mistrz Horn.

Corran stał zamyślony, a jego spojrzenie wydawało się tak odległe i puste, że Kenth nie był

pewien, czy Mistrz w ogóle zrozumiał, czego pozostali od niego oczekują. Reszta Mistrzów czekała w ciszy i Wielki Mistrz musiał przywołać całą swoją wolę, by zrobić to samo. Miał ochotę złapać Corrana za ramiona i potrząsnąć nim mocno. Chciał zażądać, by Horn opowiedział się za Sojuszem, za umiarem i za obowiązującymi procedurami. Zamiast tego jednak czekał w ciszy, tak samo jak inni Mistrzowie, na werdykt człowieka, którego dzieci pozostawały zamrożone w karbonicie od miesięcy, po części z winy Kentha.

- Nie - powiedział Corran Horn, który zdawał się znów widzieć otaczający go świat. - Na to nie jesteśmy gotowi. - Spojrział Kenthowi w oczy, pokręcił głową i znów ruszył w kierunku drzwi. -

Jeszcze nie.

## **ROZDZIAŁ 7**

Eramuth zasnął.

A przynajmniej tak wydawało się Leii. Nie mogła sprawdzić jego aury, żeby się upewnić, bo używanie Mocy było stanowczo zabronione w Dziewiątej Sali Sprawiedliwości, a ona nie chciała zrazić ławy przysięgłych, co na pewno by nastąpiło, gdyby została przyłapana na łamaniu tej zasady. Już następnego dnia po zakończeniu oblężenia Świątyni Jedi postarali się z Hanem przyjechać dość wcześnie, by zdobyć miejsca tuż za stołem obrony. Dzięki temu siedzieli w pierwszym rzędzie, nieco z boku, co pozwalało im widzieć Eramutha z profilu.

Elegancki Bothanin osunął się lekko w fotelu, krzyżując ręce na ukrytym pod kamizelką brzuchu i

opierając podbródek na piersi. Oddychał głęboko, miarowo, oczy miał zamknięte, a jego długie uszy drgały jakby pod wpływem wietrzyka dmuchającego tylko w jego śnie. Jeśli nawet staruszek nie zasnął, to Sul Dekkon na pewno zanudził go na śmierć powolnym, starannym przesłuchiwaniami najnowszego, niezapowiedzianego świadka oskarżenia. Była nim oficer Wywiadu Imperialnego, która znajdowała się na pokładzie „Krasnopłetwina”, kiedy Tahiri zabiła Gilada Pellaeona.

- ...proszę nam powiedzieć, na czym polegały pani obowiązki jako oficera WywKomu, porucznik Pagorski? - pytał właśnie Dekkon swoim chrapliwym chagrińskim głosem. Jego skóra miała ciemniejszą barwę niż u większości przedstawicieli tego gatunku. Była tak głęboko niebieska, że niemal szafirowa. Dziś ozdobił końcówki długich letrogów, zwisających po obu stronach jego głowy, ciemnymi kulkami polerowanego ebonium. - Bez zdradzania jakichkolwiek tajemnic wojskowych, naturalnie. Potrzebujemy tylko ogólnego obrazu.

- Oczywiście, proszę pana - odparła Pagorski. Nosiała pełny mundur imperialny, a jej zapiętą pod szyję białą tunikę oficera wywiadu zdobiły cylindry kodowe i oznaka rangi. - Naszym podstawowym zadaniem jest przechwytywanie transmisji wroga. Dlatego właśnie nazywa się to WywKom. Wywiad Komunikacyjny.

Pagorski utkwiała zwężone źrenice w Tahiri zamiast w Dekkonie, a widoczny w nich gniew wyraźnie świadczył o tym, że podchodziła do zabójstwa Pellaeona bardzo osobiście. Leii to nie przeszkadzało. Bardzo dobrze, pomyślała, to tylko ułatwi zdyskredytowanie jej zeznań.

Oczywiście, o ile Eramuth w ogóle zauważy jej prawdziwą motywację.

- Podczas Bitwy o Fondor - kontynuował przesłuchanie Dekkon - a także przez większą część ostatniej wojny domowej stacjonowała pani na pokładzie imperialnego niszczyciela gwiazdowego „Krasnopłetwin” jako oficer WywKomu, tak?

- Dokładnie tak.

- Czyli była pani oficerem odpowiedzialnym za przechwytywanie wrogich transmisji przez całą flotę Imperium?

- Nie, proszę pana - odpowiedziała Pagorski. - To było zadanie kapitana Ellisa.

- Rzeczywiście, proszę mi wybaczyć. - Dekkon oderwał wzrok od datapadu, który trzymał

w rękach, nadając twarzy przeproszający i zmartwiony wyraz. Najwyraźniej Chagrińsin miał

nadzieję skupić uwagę Eramutha na swojej pomyłce i wykorzystać ją w następnym pytaniu. - A co stało się z kapitanem Ellisem?

- Kapitan Ellis zginął w ogniu walki, proszę pana. - Oczy Pagorski błysnęły gniewnie. -

Podczas buntu.

- Buntu, który nastąpił, kiedy moffowie rozkazali flocie wesprzeć pułkownika Jacena Solo...

obecnie znanego jako Darth Caedus?

- Dokładnie tak, proszę pana. - Pagorski nadal wbijała wzrok w Tahiri. - Porucznik Veila zamordowała admirała Pellaeona, bo wiedziała, że kiedy go zabraknie, moffowie sprzymierzą się z pułkownikiem Solo przeciw admirał Niathal.

Dekkon zawahał się niemal niezauważalnie, bez wątpienia oczekując sprzeciwu obrony wobec ewidentnie nieobiektywnego sformułowania i powtarzania pogłosek. Ale podbródek Eramutha nadal spoczywał na jego piersi, a siedząca obok niego Tahiri mogła tylko zastanawiać się, co wywoła większą szkodę: szturchnięcie obrońcy łokciem na oczach ławy przysięgłych czy pozostawienie uwagi bez odpowiedzi. Dekkon natomiast, jak zwykle rwąc się do wykorzystania przewagi, odczekał może pół sekundy, zanim zapytał:

- Czy admirał Pellaeon wydał rozkazy, by wesprzeć rywalkę pułkownika Solo, admirał

Niathal, zanim został zamordowany?

- Tak, proszę pana.

- A czy pani, jako oficer WywKomu, miała okazję przechwycić rozmowy oskarżonej z pułkownikiem Solo z Sojuszu Galaktycznego, w których oskarżona informowała go o decyzji admirała Pellaeona co do wsparcia admirał Niathal?

- Miałam.

- Czy rozmowa była zaszyfrowana?

- Oczywiście - odpowiedziała Pagorski. - Wszystko jest zaszyfrowane podczas operacji wojskowych.

- Ale pani udało się rozszyfrować ich transmisję i podsłuchać rozmowę podsądnej z pułkownikiem Solo?

- Tak.

- A jak się to pani udało?

Pełen wyższości uśmiezek pojawił się na ustach Pagorski, a Leia zrozumiała, że większość z tego, co zaraz powie pani porucznik, będzie kłamstwem. Z pewnością nie zgłosiła się na świadka w ostatniej chwili dlatego, że jak twierdziła, Flota Imperialna zwlekała z zezwoleniem jej na składanie zeznań. Organa-Solo podejrzewała raczej, że chodziło o to, żeby obrońca nie mógł

zakwestionować tego, co zaraz powie.

- Przykro mi, panie mecenasie, ale to ściśle tajne - powiedziała Pagorski. - Ostrzegałam pana, że nie będę mogła omawiać szczegółów technicznych przechwycenia transmisji nawet przed sądem.



- Tak, to prawda. - Tym razem Dekkon kontynuował bez najmniejszej zwłoki, mimo jawnej niejasności zeznania. - Ale może pani powiedzieć nam, w którym momencie wydarzeń miało to miejsce.

- To mogę zrobić - potwierdziła Pagorski. - Było to krótko po sporze o dowództwo między admirałem Niathal a pułkownikiem Solo. Admirał Pellaeon ogłosił, że ma zamiar poprzeć admirał

Niathal całą potęgą Imperium, a porucznik Veila nawiązała ze swoim przełożonym zaszyfrowane połączenie przez komunikator.

Leia skrzywiła usta, a Han zaczął się wiercić na sąsiednim siedzeniu. Z tego, co Leia słyszała o bitwie, żadne takie połączenie nie miało miejsca. Najwyraźniej Tahiri też nie przypominała sobie niczego takiego, bo nachyliła się do Eramutha i zaczęła szeptać mu coś do ucha. Niestety Bothanin wciąż drzemał. Wyraźnie niepewna, co robić, przestała szeptać i znów spojrzała na świadka.

- Czy może nam pani powiedzieć, o czym rozmawiali podczas tego połączenia? - Dekkon nadal forsował swoją wersję.

- Mogę. Porucznik Veila powiadomiła pułkownika Solo o decyzji admirała Pellaeona i poprosiła o rozkazy. Pułkownik Solo poinstruował ją, żeby spowodowała, że admirał zmieni zdanie.

Teraz Tahiri nachyliła się do przodu; zwięzła zielone oczy, marszcząc pokryte bliznami czoło. Leia wiedziała, co taki wyraz twarzy oznacza: Tahiri po prostu próbowała zrozumieć, czemu Pagorski kłamie. Nie była jednak przekonana, czy ława przysięgłych też tak to odczyta. Dla nich grymas Tahiri mógł po prostu oznaczać, że oto upadła Rycerz Jedi, uczennica Sithów, próbuje zastraszyć świadka.

- Czy polecił jej go zabić? - zapytał Dekkon.

- Nie, wręcz przeciwnie - odpowiedziała Pagorski. - Porucznik Veila zapytała, jak daleko może się posunąć, a pułkownik Solo odpowiedział: „Nie zabijaj go. Jest zbyt popularny we Flocie Imperialnej”.

Zszokowane szepty przetoczyły się przez salę sądową, aż sędzia, poważna Falleenka o twarzy pokrytej drobnymi łuskami i długich włosach związanych w kok, uderzyła w przycisk na swoim pulpicie. Ostry, przeszywający gwizd wypełnił salę, natychmiast przywołując obecnych do porządku. Sędzia skrzywiła się z niesmakiem i skinęła na Dekkona, by kontynuował.

- Twierdzi pani, że pułkownik Solo wyraźnie polecił podsądnej - Dekkon odwrócił się do Tahiri tak szybko, że długa szata z szemrojedwabiu zawirowała mu wokół nóg - żeby nie zabijała admirała Pellaeona?

- Tak jest. - Pagorski skinęła głową.

- I jest pani pewna, że była to rozmowa między pułkownikiem Solo a oskarżoną? - Na twarzy Dekkona na moment pojawiło się zdumienie, kiedy spojrzał w kierunku drzemiącego Eramutha. Szybko jednak je ukrył i wrócił spojrzeniem do Tahiri. - Czy nie mogli to być jakiś inny pułkownik i jakaś inna porucznik?

- Jestem pewna. To byli pułkownik Solo i porucznik Veila - potwierdziła Pagorski. - Nie mieliśmy co do tego wątpliwości.

- Dlaczego?

- Przykro mi, panie mecenasie - uśmiezek znów pojawił się na ustach Pagorski - ale wie pan, że nie mogę tego ujawnić.

- To oczywiste, że pani nie może. - Dekkon uśmiechnął się po ojcowsku. Odwrócił się do Pagorski i przerwał na chwilę; bez wątpienia zastanawiał się, jak mocno może nagiąć granice zeznań i wykorzystać to, że jego przeciwnik drzemie. Po chwili najwyraźniej zdecydował, że musi powiększyć przewagę tak bardzo, jak to tylko możliwe, więc zapytał: - W takim razie dlaczego, pani zdaniem, porucznik Veila dokonała morderstwa?

- Bo była ambitna. - Pagorski rzuciła Tahiri lodowate spojrzenie.

- Ambitna?

- Admirał Pellaeona był człowiekiem o durastalowej woli - zaczęła wyjaśniać Pagorski. - A porucznik Veila służyła, jako adiutant, jednemu z najbardziej bezwzględnych przywódców w historii galaktyki. Domyślam się, że musiała być wściekła, kiedy admirał odmówił zmiany zdania.

Mogła też niepokoić się perspektywą konieczności tłumaczenia się ze swojej porażki. Wyładowała więc całą wściekłość i frustrację, mordując legendę Floty Imperialnej.

Salę sądową ponownie wypełniły szepty. Han oparł się o ramię Leii i do jej ucha dotarł

ciepły, chrapliwy szept:

- Czemu nie ma sprzeciwu? - zapytał. - Nawet ja wiem, że ta ostatnia odpowiedź to była spekulacja!

Leia uspakajającym gestem położyła mężowi dłoń na kolanie, po czym, w pełni świadoma, że zostanie wyrzucona z sali sądowej, jeśli ktoś ją przyłapie, delikatnie szturchnęła Mocą Eramutha.

Głowa Bothanina opadła na bok, a usta się otworzyły, wydając głośne, gardłowe chrapnięcie.

Pełna zaskoczenia cisza wypełniła salę sądową na jakieś pół sekundy, ale zaraz publiczność wybuchła nieskutecznie powstrzymany śmiechem. Sędzia Zudan wcisnęła przycisk „Spokój” na swoim pulpicie i poprosiła o ciszę, a łuski na jej poważnej falleeńskiej twarzy poczerwieniały z gniewu. Kilkoro zszokowanych przysięgłych gapiło się na Eramutha, kręcąc głowami z jawnym niedowierzaniem. Tahiri odwróciła się, unosząc brwi w niemym błaganiu o pomoc.

- Nie martw się, mała - powiedział Han i nachylił się do przodu, by poklepać ją po ramieniu.

- Eramuth ma wszystko pod kontrolą.

Tahiri spojrzała na wciąż śpiącego Bothanina, pokręciła głową i szepnęła:

- Jest pan gorszym kłamcą niż ta cała świadek Dekkona.

Han skrzywił się, ale zanim zdołał coś odpowiedzieć, Dekkon znów zaczął mówić:

- Rzeczywiście, to była legenda. - Chargrianin spojrzał na stół obrony. - Oddaję panu świadka, mecenasie.

Tahiri spojrzała na Eramutha, zmieszana i bardzo przejęta. Wiele razy mówiła małżeństwu Solo, jak bardzo zaimponował jej bothański adwokat, jaki wydawał się bystry i przebiegły, i jak zaskoczyło ją to, że miał jakiegokolwiek zasady. Możliwe, że wyraz zmartwienia w jej oczach dotyczył zarówno jego, jak i niej samej. Że martwiła się, tak samo jak Leia, że wysiłek występowania w tak ważnym procesie mógłby się okazać dla starszego Bothanina zbyt dużym obciążeniem.

- Mecenasie Bwua'tu? - zapytała sędzia znad swojego pulpitu.

Eramuth Bwua'tu odpowiedział długim, zaspanym chrapnięciem.

- Mecenasie Bwua'tu? - powtórzyła Zudan. Jediną reakcją Bothanina było przetoczenie głowy na drugi bok, więc sędzia zwróciła się do Tahiri: - Czy oskarżona będzie uprzejma obudzić swojego obrońcę?

- Oczywiście, Wysoki Sądzie. - Tahiri delikatnie potrząsnęła Bwua'tu za ramię, szepcząc: -

Eramuth... Eramuth...!

Bothanin otworzył oczy, gdy po raz trzeci powtórzyła jego imię. Rozglądał się przez chwilę po sali i najwyraźniej zdał sobie sprawę, co się stało. Szybko zerwał się na równe nogi, zdaniem Leii o wiele za szybko jak na kogoś, kto zaledwie chwilę temu głęboko drzemał.

- Proszę o wybaczenie. - Adwokat poprawił kamizelkę. - Koncentrowałem się.

Odpowiedziały mu chichoty widzów, a nawet nieliczne uśmiechy ze strony ławy przysięgłych. Ale pani sędzia nadal miała poważną minę. Srogim spojrzeniem nakazała swojej sali sądowej ciszę, a potem popatrzyła ponownie na Eramutha.

- Pański świadek, mecenasie. Czy chciałby pan, żeby stenobot powtórzył ostatnich dziesięć minut zeznania?

- To nie będzie potrzebne, Wysoki Sądzie. - Eramuth pokręcił pokrytą futrem głową. -

Dawałem odpocząć oczom, a nie uszom. - Poruszył uszami, żeby podkreślić swoje słowa. - Jestem gotów kontynuować.

- Jeśli jest pan pewien... - powiedziała Zudan, przyglądając mu się nieufnie.

- Naturalnie, Wysoki Sądzie. - Eramuth obszedł stół obrony pewnym siebie krokiem; Leia gotowa była uwierzyć, że naprawdę dawał wypocząć tylko oczom. Bothanin zatrzymał się na moment, zauważalnie wyprostował plecy i nachylił się w stronę świadka. - A zatem, porucznik Pagorski, czy jest pani wrażliwa na Moc?

- Na Moc, proszę pana? - Na twarzy Pagorski zadowolenie z siebie ustąpiło miejsca zdziwieniu.

- Wie pani, o czym mówię. - Eramuth pozwolił sobie zatoczyć dłonią szerokie koło. - Pole energii, które nas otacza, przenika i spaja galaktykę ze wszystkimi istotami żywymi, dając Jedi siły.

Moc.

- Wiem, co to jest Moc, panie mecenasie. - Pagorski skinęła krótko głową.

- Zatem moje pytanie powinno być proste - oznajmił Eramuth. - Czy jest pani wrażliwa na Moc?

- Nie. - Pagorski zmarszczyła brwi i pokręciła głową. - Nie jestem.

- Aha... - Eramuth wydawał się niemal zawiedziony. - Jest pani pewna?

Pagorski skrzywiła się i spojrzała w kierunku stołu oskarżenia, jakby w poszukiwaniu rady.

Ale twarze Sula Dekkona i jego trzech asystentów pozostały całkowicie nieodgadnione, więc popatrzyła z powrotem na Eramutha i skinęła głową.

- Tak, proszę pana. Jestem pewna.

Bothanin westchnął dramatycznie, opuścił ramiona i wrócił do stołu obrony. Ledwie zajął

swoje siedzenie, Tahiri uwiesiła się jego ramienia, szepcząc mu do ucha tak szybko i tak głośno, że Leia nie musiała nawet się wysilać, żeby wszystko słyszeć.

- Tylko tyle? Ona stoi tam i kłamie, a...

- Moja droga... - Eramuth ścisnął udo Tahiri tak mocno, że Leia zauważyła, jak pracują mięśnie ramion starego Bothanina. - Właśnie ustaliłem, że porucznik Pagorski nie była w stanie usłyszeć niczego, o czym rozmawiała pani z kapitanem Solo. Czy to nie wystarczy jak na jeden dzień?

W tej samej chwili Leia zobaczyła, jak ramiona Tahiri opadają, i usłyszała jęk własnego męża.

- Pułkownikiem - wyszeptała Tahiri.

- Słucham? - Zmarszczył brwi Bwua'tu.

- Jacen był pułkownikiem Solo - wyjaśniła Tahiri. - A nie kapitanem.

- Czyż nie powiedziałem „pułkownik”? - Eramuth położył uszy po sobie.

Zanim Tahiri mogła odpowiedzieć, sędzia Zudan zapytała:

- Czy już pan skończył ze świadkiem, mecenasie?

Eramuth gestem poprosił Tahiri, żeby siedziała cicho, i wstał.

- Przepraszam, Wysoki Sądzie, ustalałem jedną rzecz z moją klientką.

- Pytałam, czy już pan skończył ze świadkiem, mecenasie powtórzyła Zudan. - Nie zwolnił jej pan.

- Skończyłem... na teraz, Wysoki Sądzie - powiedział Eramuth. - Ale chciałbym móc wywołać ją jeszcze w przyszłości.

- Jestem pewna, że pan by chciał. - Zudan skinęła głową, jakby uznała to za mądry pomysł. -

Świadek jest wolna, ale proszę pozostać w poczekalni. - Falleenka odwróciła głowę tylko po to, żeby zarejestrować, jak Pagorski potwierdza polecenie skinieniem głowy, a potem spojrzała ponownie w kierunku stołu obrony i gestem wezwała Eramutha i Dekkona do siebie. - Proszę panów mecenasów o podejście.

Jedno spojrzenie na ponure miny ławy przysięgłych wystarczyło, żeby Tahiri opuściła głowę, ale Eramuth poklepał ją po ramieniu, złapał swoją laskę i ruszył w stronę sędzi. Ledwo zniknął, gdy jego klientka odwróciła się i nachyliła do Leii i Hana. Leia pomyślała, że młoda kobieta wyglądała na zagubioną i zmartwioną. I bardziej przerażoną niż kiedykolwiek od czasu wojny z Yuuzhan Vongami.

- Jak myślicie - wyszeptała Tahiri - czy on nie jest na to za stary?

- Hej, nie wolno nie doceniać starszych gości - zaprotestował Han. - Znamy sztuczki, o których młodzi nigdy nie słyszeli.

- Naprawdę myśli pan, że to sztuczka? - Tahiri posłała mu sceptyczny uśmiech.

- Nie mam pojęcia - wyznała Leia, marszcząc brwi w zamyśleniu i wzruszając ramionami. -

Było wiele okazji, żeby zdyskredytować zeznania Pagorski, może nawet skłonić sędzię, żeby je zupełnie odrzuciła. Ale Eramuth z nich nie skorzystał.

- Pamiętaj, że Dekkon to cwany gość - zwrócił uwagę Han. - Jeżeli Eramuth chce zastawić na niego pułapkę, musi się postarać, żeby sytuacja wyglądała przekonująco.

- Przekonująco, a nie bezradnie - podkreśliła Tahiri. - Jeśli jego strategia nie polega na wzbudzeniu litości w ławie przysięgłych, to nie mam pojęcia, co on robi.

- I co, nie chcesz mu zaufać? - zapytał Han. To było szczere pytanie, a nie zaczepka, co powiedziało Leii, że nawet jej mąż ma wątpliwości. - Do tej pory byłaś z niego całkiem zadowolona.

- Wiem - przyznała Tahiri i skinęła głową po chwili namysłu. - Ale tu chodzi o moje życie...

i jego też, jeśli stres okaże się dla niego za silny.

Leia milczała przez chwilę, zmartwiona, wyobrażając sobie, jakby się poczuła, gdyby straciła to ostatnie połączenie ze Swoimi dwoma synami: z jaśniejącą gwiazdą, jaką był Anakin, i z niszczycielskim wirem, jakim stał się Jacen. Tahiri kochała jej najmłodszego syna i wyruszyła z nim na wojnę; potem widziała, jak umiera i użyczyła mu własnej siły, żeby wiedział, że nie ginie samotnie w odległym miejscu. Potem Jacen wykorzystał tę jej miłość, by służyła jego własnym, mrocznym potrzebom. Mimo to Tahiri przetrwała i znów do nich wróciła. Nie była w pełni sobą, ale stała się silniejsza niż kiedykolwiek i gotowa odpowiedzieć za swoją błędną ocenę sytuacji.

Gdyby Leia straciła i ją, straciłaby znacznie więcej niż tylko bliską przyjaciółkę obu swoich synów.

Bała się, że pozbawiono by ją wszystkiego, co pozostało z jej synów. Wciąż udając, że się zastanawia, Leia pozwoliła sobie na kilka chwil oddechu, zebrała się w sobie i zwróciła do Hana:

- Eramuth naprawdę dużo na siebie bierze. Dekkon ma ze sobą całą grupę asystentów. Może nie zawadziłoby znaleźć Eramuthowi kogoś do pomocy.

- Taak... - Han spojrzał na Tahiri. - Moglibyśmy porozmawiać z Tendrą Calrissian i zapytać, czy nie zna kogoś, kto mógłby zająć to drugie krzesło. A może też trzecie i czwarte.

- Eramuth nie chce, żeby ktoś siedział z nami przy stole - powiedziała Tahiri, spuszczać wzrok. - Mówi, że będę przez to wyglądała na winną.

- A kto mówi, że mają siedzieć przy stole? - odparował Han. - To ty w razie czego połkniesz truciznę. Decyzja należy do ciebie.

- Wiem. - Tahiri oblizwała wargi. Wyglądała, jakby miała wyrzuty sumienia i nie była pewna, co zrobić. W tym momencie usłyszeli, jak Eramuth warknął coś na sędzie swoim zgrzytliwym głosem, i Veila zerknęła w stronę zgromadzenia przy pulpicie.

- No więc dobrze - powiedziała, kiwając głową. - Zapytajcie Tendrę. To przecież nie może zaszkodzić, prawda?

- Nie może - zapewniła ją Leia. Patrzyła, jak Eramuth odwraca się od pulpitu sędzi. Spuścił uszy po sobie, a futro miał zjeżone. - Pewnie nawet ucieszy się z pomocy.

- Tak, dziwniejsze rzeczy się zdarzały. - Han mrugnął do Tahiri i dodał: - Nie martw się, mała, to Bothanin. Zrobi wszystko, żeby wygrać. Nawet zaakceptuje pomoc.

Twarz Tahiri pojaśniała, ale zanim zdążyła się odezwać, Eramuth wśliznął się za stół obrony i opadł na swoje starożytne drewniane siedzenie z głośnym hukiem. Tahiri samymi wargami podziękowała małżeństwu Solo i nachyliła się do swojego adwokata.

- Coś nie tak? - zapytała.

- Sędzia Zudan nakazała mi poddać się kontroli lekarskiej! - Eramuth błysnął kłami w kierunku pulpitu sędziowskiego i dodał: - Twierdzi, że chce się upewnić, czy nadal jestem kompetentny!

## ROZDZIAŁ 8

Ślad miał postać biegnącego przez poszycie tunelu wysokości człowieka i kończył się jakiś kilometr w głąb dżungli, gdzie duży dwunożny jaszczur padł ofiarą jadowitych kolców krzewu spadocierni. Szeroki, płaski grzbiet gada był zielony od chlorofilu, a jego gruby ogon uderzał

jeszcze o ziemię, ostrzegając innych członków stada przed zbliżaniem się. Zwierzę przyglądało się Luke'owi jednym niebieskim okiem, pełnym raczej zaufania niż strachu, ale żółta piana już ciekła z jego nozdry, a ciałem wstrząsały silne spazmy. Było jasne, że stworzeniu nie da się już pomóc inaczej, jak skracając jego cierpienia. Skywalker dotknął umysłu jaszczura Mocą, nakłaniając go do zaśnięcia. Kiedy oko zasłoniła membrana, Jedi wyciągnął blaster, którego noszenie, jak się przekonał, było na tej dziwnej planecie konieczne, i strzelił.

Wizg pocisku jeszcze nie przebrzmiał, gdy Luke wyczuł, że Sithowie biegną w jego kierunku. Ich niepokój w Mocy wydawał się gorący i energetyzujący. Odwrócił się w ich stronę, chowając blaster do kabury i kręcąc głową.

- Przepraszam, to nie ona. - Ustawił się bokiem, żeby Sarasu Taalon i Gavar Khai mogli się przyjrzeć martwemu jaszczurowi, leżącemu na końcu śladu, którym podążali. Za dwoma Sithami nadeszli Ben i Vestara z wyciągniętymi, ale wyłączonymi mieczami świetlnymi. - Tylko pechowa samica wywarła, która nie patrzyła, gdzie idzie.

Taalon zacisnął wargi i podszedł do Luke'a. Machnął ręką w kierunku wywarła i jaszczurzy trup uniósł się w powietrze.

Lewitując w ich stronę, ciągnął za sobą splątaną masę trujących spadocierni. Kiedy gad był

już dość blisko, Arcylord wyciągnął swój miecz świetlny, zapalił go i przeciął wywarła wzdłuż.

Utrzymał obie połowy trupa w telekinetycznym uścisku, badając organy wewnętrzne, żeby się upewnić, że to rzeczywiście jaszczur. Wreszcie posłał je w głąb dżungli machnięciem dłoni.

- To bez sensu - powiedział. - Cały czas tropimy tylko wywarle i drendeki.

- Zawsze możemy się rozdzielić - zasugerował Luke. - Im większy teren zdołamy przeszukać, tym większa szansa, że ją znajdziemy, zanim dojdzie do siebie.

Taalon pochylił głowę i spojrzał na Luke'a spođe łba.

- Rozumiem doskonale, że nie chciałbyś już mieć nas na karku.

- Nie o to mi chodzi - odpowiedział Luke. Kontynuując poszukiwania pojedynczo albo w dwóch

małych grupach, wszyscy byliby bardziej narażeni na ataki żarłocznej roślinności planety.

No i na zdradę swoich domniemanych sojuszników. Po dwóch dniach podążania fałszywymi tropami zaczynało jednak wyglądać na to, że będą musieli podjąć takie ryzyko. - Tak czy owak, musimy zmienić taktykę. W ten sposób nie znajdziemy Abeloth.

- Bez wątpienia dlatego, że tak dobrze ukryliście jej prawdziwe ciało - powiedział Gavar Khai, podchodząc do Luke'a i Taalona od tyłu. - Nikogo nie nabierzesz, Mistrzu Skywalkerze.

Tylko marnujesz nasz czas.

Luke westchnął. Kiedy odkryli, że ciało, które ulokowali w pobliżu Fontanny Siły, nie należało do Abeloth, potrzeba było trzygodzinnych wysiłków, żeby przekonać Sithów, że dobrym pomysłem byłoby wrócić na „Cień Jade” i sprawdzić, o kogo właściwie Ben i Vestara troszczyli się w kabinie medycznej. Niestety, kiedy dotarli na miejsce, pacjent zdążył już uciec, a jedynymi skutkami niedawnej bitwy niechętnych sobie sojuszników z Abeloth były frustracja, niepewność i wzajemna nieufność.

Kiedy jego przełożony nie zaprzeczył słowom Khaia, Luke spojrzał na Sitha o szerokich ramionach.

- Chciałbym marnować wasz czas, Gavarze. Naprawdę bym chciał. - Wskazał na ślad. - Ale skoro tego nie robię, wróćmy do statków i zastanówmy się, czy nie ma innego sposobu, żeby sobie z tym poradzić.

Khai nie ruszył się ze środka ścieżki, popatrzył tylko ponuro ponad ramieniem Luke'a, czekając na polecenia od Taalona.

- Zróbmy, jak on radzi, Mieczu Khai - zdecydował Arcylord. - Przy statkach będzie...

wygodniej omówić tę sprawę.

Cień uśmiechu pojawił się na wąskich, zaciśniętych wargach Khaia, świadcząc o tym, że zrozumiał słowa Taalona tak samo jak Luke: dojdzie do kłótni, a jeśli przerodzi się ona w walkę, przewaga liczebna Sithów postawi ich w jeszcze lepszej sytuacji na tamtym otwartym polu przy rzecznej plaży.

- Jak sobie życzysz, Arcylordzie.

Khai skłonił się przed Taalonem i rzucił Luke'owi kolejne złowrogie spojrzenie. Odwrócił

się i minął Bena i swoją córkę, ustawiając się na czele kolumny. Luke stracił już nadzieję, że uda mu się uniknąć sytuacji, w której ma za plecami jakiegoś Sitha, więc powoli wypuścił powietrze, dostrajając się w ciszy do swojego zmysłu niebezpieczeństwa. Potem ruszył ścieżką za swoim synem i Vestarą.

Po zdradzie dziewczyny podczas walki z Abeloth, Ben zachowywał się o wiele ostrożniej w jej pobliżu, co bardzo Luke'a cieszyło. Ale Skywalker oszukiwałby sam siebie, gdyby uznał, że nie ma w tym nic więcej. Vestara była bystrą, piękną młodą kobietą o ciekawej osobowości, Ben zaś -



dorastającym chłopakiem, który uczył się jeszcze, jak sobie radzić z własnymi hormonami. Trzeba było czegoś więcej niż kilka kłamstw i grożąca śmiercią zdrada, żeby stłumić jego uczucia. Było to wyraźnie widać w spojrzeniach, jakie rzucał na Sithankę, która szła teraz przed nim, a nie za nim jak poprzednio. I w tym, jak się potykał za każdym razem na najdrobniejszych nierównościach.

Luke wyciągnął rękę i przytrzymał za uchem Bena. Kiedy chłopiec nie poczuł jej obecności przez kilka kroków, Luke pokręcił głową i trzepnął syna w głowę.

- Hej! - Ben obejrzał się przez ramię skrzywiony z bólu. - A to za co?

- Skup się - rozkazał Luke. Spojrzał do tyłu, rzucając wymowne spojrzenie na Taalona. -

Jesteśmy na śmiercionośnej planecie.

W oczach Bena błysnęło zrozumienie, a wściekły grymas zamienił się w uśmiech pełny skruchy.

- Jasne, tato - powiedział, znów spoglądając przed siebie. - Ale wystarczyło powiedzieć.

- A jesteś pewien, że nie powiedziałem? - spytał Luke.

Nagły ruch głowy Vestary powiedział Luke'owi, że ona była pewna, ale Ben tylko spuścił

wzrok i od tej pory dokładniej patrzył, gdzie stawia nogi. Luke wiedział, że zawstydził syna, zwracając mu uwagę przy dziewczynie, ale to mu nie przeszkadzało. Lepszy zawstydzony niż martwy, a tak właśnie skończyłby Ben, gdyby zaczęła się walka, a on wciąż myślał o uczuciach.

Po kilku minutach dotarli do karmazynowej rzeki, która otaczała z tej strony wulkan Abeloth. Na przeciwległej plaży czekały trzy pojazdy kosmiczne. „Cień” Skywalkerów i „Emiax” Sithów spoczywały po bokach żyłkowanej czerwonej sfery, czyli Statku. Zewnętrzny kadłub starożytnej sfery medytacyjnej był osmalony i pokryty kraterami - pozostałościami walki ze świetnym pilotem Jedi w myśliwcu typu StealthX. Ale najgorszych uszkodzeń nie było widać. Jaina strzeliła kilka razy z działek prosto w dyszę wylotową, uszkadzając silniki Statku tak poważnie, że dotarcie na planetę zajęło mu kilka dni.

Khai poprowadził grupę granią nad brzegiem, póki nie dotarli w pobliże swojej tratwy.

Potem zszedł piaszczystym zboczem, żeby przygotować tratwę do przeprawy. Vestara szła tuż za ojcem, ale Luke użył Mocy, żeby zatrzymać Bena przy sobie na szczycie skarpy. Taalon zatrzymał

się dwa kroki od nich, ustawiając się bokiem do Luke'a, by w razie konieczności móc się bronić.

- Czy jest jakiś powód, dla którego wolisz zostać na górze, Mistrzu Skywalkerze? - Taalon oparł dłoń o rękojeść swojego miecza świetlnego. - A może myślisz, że czas się rozstać?

- Zanim się przekonamy, co się stało z Abeloth? - Luke pokręcił głową. - Już wolę cierpieć obecność Sithów. Co nie znaczy, że mam zamiar być nieostrożny.

- Sprytnie powiedziane - odparł Taalon. - Sugerujesz wiele, ale niczego nie obiecujesz.

- Dałem wam już obietnicę i jej nie złamałem. - Luke cały czas patrzył nad rzeką na statki. -

Czy Vestara wam nie mówiła, że Statek był pod kontrolą Abeloth?

- Był to kluczowe słowo - powiedział Taalon. - Teraz kontrolują go Sithowie.

- Jesteś tego pewny? - Luke spojrzał na Keshiriego.

- Całkowicie. - Popatrzył zwężonymi oczami. - Jeśli planujesz użyć Statku jako wymówki...

- Nie chodzi mi o wymówkę - przerwał mu Luke. - Ale czy Statek wyjaśnił, dlaczego wrócił tu po walce? Musiał wiedzieć, jak reszta waszej floty opuszcza Otchłań.

- Właśnie - dodał Ben. - Wydawał się raczej zdziwiony, odkrywszy, że ja nadal tu jestem.

Vestara też to poczuła.

- Sądzicie, że to Abeloth wezwała Statek? - zapytał Taalon. - Żeby pomógł jej uciec?

- Uważam, że to jedna z możliwości - skinął głową Luke. - Szczególnie jeśli Ben i Vestara zajmowali się w kabinie medycznej Abeloth, a nie Dyonem.

Taalon rozważył jego słowa. Potem spojrzał na brzeg, gdzie Vestara i jej ojciec szykowali tratwę do odbicia. Khai używał Mocy, żeby przyciągnąć ją z powrotem na ich brzeg rzeki, a jego córka trzymała linę, która uniemożliwiała tratwie odpłynięcie z prądem.

- Słuchałaś nas, Vestaro? - zapytał Taalon.

- Oczywiście, Arcylordzie. - Dziewczyna odwróciła się do niego i skinęła głową.

- Czy młody Skywalker ma rację? Czy Statek wydawał się zdziwiony, że was tu zastał?

- Ben nie kłamie. - Vestara nie musiała się nawet zastanawiać, tylko kiwnęła głową.

Spojrzała na Bena i rzuciła mu krótki uśmiech. - Statek był już w drodze, kiedy poczułam, że się zbliża. Nie musiałam go wzywać.

- To nie jest dowód, że Skywalker mówi prawdę, Arcylordzie Taalonie - zaznaczył Khai.

Opuścił tratwę na piasek i dodał: - Jeśli Statek przyleciał po Abeloth, to czemu wciąż jest tutaj?

- Zapewne dlatego, że jest tak bardzo uszkodzony - odparł Ben. Spojrzał znowu na Vestarę.

- Ile czasu zajęło Statkowi dotarcie tutaj od chwili, kiedy go wyczuliśmy? Trzy godziny?

- Co najmniej - potwierdziła Vestara. - Przeszliśmy przez grań w drodze do ruin, tam zdaliśmy sobie sprawę, że mamy nie to ciało, co trzeba, znów przeszliśmy przez grań i znaleźliśmy na pokładzie „Cienia” pustą kabinę medyczną. To wszystko zajęło minimum trzy godziny, a Statek przyleciał dopiero później, jak już zaczęliśmy poszukiwania Abeloth.

- No właśnie - powiedział Ben. - Jeśli Abeloth liczyła, że Statek ją uratuje, to się zawiodła.

Jest w tak opłakanym stanie, że „Cień” albo „Emax” dogoniłyby go momentalnie i rozwały.

- Co nasuwa pytanie, czemu Abeloth w ogóle wzywała Statek - zwrócił uwagę Taalon. -

Jaki miałyby z niego pożytek, skoro nie mogła go użyć do ucieczki?

- Skąd by wiedziała, że Statek jest uszkodzony? - spytał Luke. - Kiedy ja sięgam do kogoś Mocą, nie wiem, w jakim jest stanie, póki nie nawiążę kontaktu.

- Może i tak - przytaknął Taalon zamyślony.

- A może i nie, Arcylordzie - powiedział Khai. - Wiarygodna teoria nie zawsze jest prawdziwa. Wszystko wskazuje na to, że Abeloth mieszkała na tej planecie przez dziesiątki tysięcy lat. Czemu miałyby chcieć ją opuścić właśnie teraz?

- Po pierwsze dlatego, że jest ranna i że na nią polujemy - powiedział Ben. - Po drugie dlatego, że może to zrobić.

Cała trójka Sithów zmarszczyła brwi, a Ben spojrzał na Luke'a, zastanawiając się, ile z tego, co wydedukowali o przeszłości Abeloth, może im powiedzieć. Luke doszedł do wniosku, że im więcej wyjawia teraz, tym większa szansa, że Sithowie im uwierzą, więc skinął głową.

- Mów - polecił. - Może w ten sposób ich przekonamy, że to prawda.

- Nie przekonacie nas, dopóki nie będziemy mieć znów w rękach ciała Abeloth - powiedział

Taalon, spoglądając na Bena. - Ale mów. To na pewno będzie ciekawa opowieść.

Benowi zabłyśły oczy i zaczął:

- Wiecie, co stało się przy Stacji Ujście, prawda?

- Masz na myśli eksplozję, która zniszczyła moją fregatę? - zapytał złowrogo Taalon.

- Właśnie - odparł Ben, zupełnie się nie przejmując tonem Sitha. - Wydaje nam się, że Stacja Ujście mogła zostać zbudowana tylko po to, żeby otoczyć tę planetę strefą czarnych dziur.

- W jakim celu? - zapytał Khai. - Sugerujesz, że planeta miała być więzieniem Abeloth?

- Twierdzimy, że mogła nim być - wyjaśnił Luke. - Jest jeszcze mnóstwo rzeczy, których nie wiemy,

ale nasze kłopoty zaczęły się dopiero, kiedy... cóż... w strefie pojawiła się szczelina.

- Szczelina? - zdziwił się Taalon. - Jaka szczelina?

- Ta, przez którą wszyscy tu dotarliśmy - tłumaczył Luke. - Stacja Ujście nie funkcjonowała normalnie już wtedy, kiedy odkryliśmy ją z Benem, i przez to w strefie czarnych dziur pojawiła się wyrwa. Nie rozumiemy tej technologii ani trochę lepiej niż wy, ale było jasne, że coś nie działało tak, jak powinno.

- I przypominam, że kiedy ostatnio mijaliśmy stację, został z niej chyba milion kawałków. Z

tego wynika, że Abeloth mogła próbować się uwolnić - powiedział Ben. - Więc doszliśmy do wniosku, że to miejsce - zatoczył dłonią koło, dając do zrozumienia, że chodzi mu o całą planetę -

było najprawdopodobniej jej więzieniem, a nie fortecą.

- Bardzo przekonująca bajeczka - powiedział Taalon po chwili zastanowienia.

- To coś więcej niż bajeczka - powiedział poirytowany Luke. - To teoria pasująca do faktów.

Czyli wszystko, na co możemy w tej chwili liczyć.

- Niezupełnie. - Głos Taalona stał się lodowaty. - Tak się składa, że my, Sithowie, też mamy teorię pasującą do faktów. A według tej teorii ukrywacie przed nami zwłoki Abeloth, bo chcecie zatrzymać dla siebie wiedzę o jej naturze.

Luke przewrócił oczami. Problem polegał na tym, że teoria Taalona była w połowie poprawna. Nie miał najmniejszego zamiaru dzielić się z Sithami prawdziwą wiedzą o naturze Abeloth, tak jak oni sami nie mieli najmniejszego zamiaru pozwolić jemu i Benowi na opuszczenie planety żywcem. Ale wszystko po kolei. Najpierw musieli znaleźć tę istotę i wreszcie ją zabić.

- Słuchaj, już to przerabialiśmy. Abeloth żyje i nie mam pojęcia, gdzie się ukrywa. - Luke spojrzał w dół skarpy, na tratwę. Jeśli Abeloth nadal żyła, to Callista, czy czymkolwiek stała się Callista, prawdopodobnie pozostawała w niej. Mając chociaż chwilę na spokojną koncentrację, mógłby skupić się na jej obecności w Mocy i zlokalizować w ten sposób Abeloth. - Jeśli nie masz lepszego pomysłu, chciałbym wrócić na „Cień Jade” i pomedytować nad tym.

- Pomedytować? - spytał z niedowierzaniem Taalon, stojąc nadal o krok od Luke'a. - Mam chyba lepszy pomysł.

Luke spodziewał się, że dreszcz zmysłu niebezpieczeństwa przebiegnie mu zaraz po kręgosłupie, jednak zamiast tego Statek chybotliwie uniósł się w powietrze i obrócił w ich kierunku.

Zerknął na Sitha i stwierdził, że Taalon patrzy na pojazd na wpół przymkniętymi oczami, bardzo skoncentrowany.

- Sądzisz, że Statek nam pomoże? - zapytał go Luke.

- To ty zwróciłeś uwagę, że był pod kontrolą Abeloth - przypomniał mu Khai. - Może Arcylord dowie się od niego czegoś użytecznego.

- Nie miałbym wielkiej nadziei na waszym miejscu - burknął Ben. - Statek pewnie szpiegował dla niej od swojego powrotu.

- Poradzę sobie ze Statkiem, młody Skywalkerze. - Taalon rzucił chłopakowi pełen wyższości uśmiezek. - Rozmawiasz z Arcylordem Sithów, a nie z dorastającą uczennicą.

Oczy Vestary błysnęły w gniewnym niedowierzaniu; dziewczyna najprawdopodobniej uważała tak jak Luke, że Taalon znacznie przecenia stopień, w jakim kontroluje pojazd. Statek przeleciał nad ich głowami, wysunął podwozie i osiadł na szczycie skarpy. Jego owalny jak oko iluminator był zwrócony w kierunku Arcylorda. Luke stał trochę niżej i z tyłu, mógł więc wyraźnie zobaczyć trójkątną dziurę, która powstała w wyniku eksplozji reaktora pojazdu. Była już częściowo naprawiona; krawędzie miała gładkie i wywinięte do wnętrza Statku, nie zaś jak przedtem, poszarpane i wygięte na zewnątrz. Nawet kratery pozostawione przez trafienia Jainy zaczynały się już zasklepiać, a osmalenia kadłuba zblakły do jasnej szarości. Skywalker nie miał pojęcia, w jaki sposób Statek sam się naprawia, ale kiedy tak spoczywał wyłączony i cichy, ufając Sithom, że będą nad nim czuwali, zachowywał się jak w transie leczniczym.

- Czy Abeloth wciąż żyje? - zwrócił się Taalon do Statku. - Odpowiedz tak, żeby pozostali usłyszeli; trzeba przekonać Jedi, że mówię prawdę.

Po plecach Luke'a przeszedł dreszcz, kiedy poczuł dotyk Ciemnej Strony, a Statek przemówił:

*Martwi nie poruszają się sami. Głos pojazdu był głęboki, ale słaby, słyszalny tylko w umyśle. Jeżeli Skywalkerowie jej nie ukryli, to musi nadal żyć.*

- To żadna odpowiedź - skrzywił się Taalon.

*To jedyna odpowiedź, jaką mam, odpowiedział Statek. Uwolniła mnie spod swojej władzy, kiedy byłem ranny. Wy wiecie lepiej niż ja, co się z nią później stało.*

- Załóżmy, że naprawdę nadal żyje - powiedział Luke, podchodząc do Taalona.

- Dobrze, załóżmy - zgodził się Taalon, nie odwracając wzroku od Statku. - Gdzie powinniśmy jej szukać?

W iluminatorze pojawił się błysk. Nie wewnątrz Statku, ale w głębi tworzywa, z którego był zrobiony iluminator. Luke poczuł, że pojazd koncentruje swoją uwagę na nim.

*Ty wiesz, gdzie znaleźć odpowiedź.*

Mroczna macka tęsknoty pojawiła się w środku Luke'a; zaczęła pełznąć coraz wyżej i rosnąć. Wtedy dopiero zrozumiał, że Ben cały czas miał rację. Abeloth przeżyła, a Statek dalej był

jej posłuszny.

*Byłeś tam już, usłyszał.*

Niepewny, czy Statek mówi tylko do niego, czy może również do Taalona i pozostałych, Luke nie odpowiedział. Gestem nakazał synowi, żeby ustawił się za Statkiem. Khai, również gestem, nakazał Vestarze, by dołączyła do chłopaka, a w końcu sam podszedł do Luke'a. Teraz Sithowie flankowali Mistrza Jedi z obu stron. Po chwili milczenia Taalon wreszcie zapytał, patrząc na Luke'a:

- Co powiedział?

- Nic, czemu moglibyśmy zaufać. - Skywalker wiedział, że Arcylord wyczuje kłamstwo, więc wzruszył ramionami i pokręcił głową. - Ben ma rację. Statek szpieguje dla Abeloth.

*Kłamliwy Jedi!* - Błysk zniknął z iluminatora Statku, a pojazd przestał koncentrować uwagę na Luke'u. *On tylko próbuje ukryć przed wami prawdę.*

- Ukryć co? - zapytał Taalon, rzucając krzywe spojrzenie Luke'owi.

- Chodzi o Sadzawkę Wiedzy - odparł z westchnieniem Luke. Był pewien, że gdyby sam tego nie powiedział, Statek by to zrobił.

*Największy skarb tej planety.* W burcie Statku pojawiła się szczelina i pojazd wysunął długą rampę pasażerską. *Wejdźcie wszyscy na pokład. Zabiorę was tam.*

## **ROZDZIAŁ 9**

Statek był zbyt duży, żeby zmieścić się w przecinającym dżunglę wąwozie, więc unosił się jakiś metr nad wąską rozpadliną, a jego rampa pasażerska wysunęła się aż do skalnej krawędzi. Na prawo od tego kamienistego skrawka pokryte pnączami zbocze stromo pięło się w górę. Po kilku kilometrach paprocie olbrzymie i widłaki zaczęły ustępować dymiącemu kraterowi na szczycie wulkanu. Na lewo zbocze opadało równie stromo pewnie z tysiąc metrów. U stóp zbocza leżały rozległe mokradła, dygoczące od tłumionej furii wulkanu.

Na dnie wąwozu wiła się wąziutka żółto-brązowa rzeczka - jedyna oznaka, że w pobliżu może znajdować się sadzawka, którą chcieli znaleźć. Była tak przepełniona mułem i siarką, że Ben nie mógł sobie wyobrazić, żeby wypływała ze zbiornika o nazwie Sadzawka Wiedzy.

- Daleko do tej sadzawki? - zapytała Vestara, pojawiając się we włązie tuż obok chłopaka. -

Gdzie my jesteśmy?

- Nie dam głowy za sadzawkę, ale na pewno jesteśmy po tej samej stronie grani, co ruiny z fontanną - odparł Ben, wychodząc na rampę, i wskazał na poszarpany szczyt. - Wgłębienia na ścianach krateru są mniej więcej w tym samym miejscu, co oglądane stamtąd. - Odwrócił się i machnął ręką w stronę podstawy góry.

A jedyne mokradła, jakie widziałem w okolicy, to te koło fontanny.

- Mądrała z ciebie. - Vestara wyszła za nim na rampę i rzuciła mu szybkie spojrzenie, uśmiechając się półgębkiem.

- Byłoby jeszcze bardziej godne podziwu, gdyby młody Skywalker umiał nam powiedzieć, gdzie jest ta cała Sadzawka Wiedzy - odezwał się Taalon. Pojawił się we włączu za nimi i rozejrzał

w obie strony. - Zaczynam się obawiać, że Jedi mają rację i że Statek jest szpiegiem. Takie ukształtowanie terenu sprzyja wodospadom, a nie sadzawkom.

*Sadzawka tu jest, upierał się Statek. Starszy Skywalker ją widział.*

- Byłeś tu już? - Moc wypełniła się podejrzliwością Taalona, gdy Sith odwrócił się do wnętrza pojazdu.

- Byłem przy sadzawce - poprawił go Luke - ale tylko wędrując umysłem. To nie znaczy, że umiem znaleźć ją w świecie materialnym.

- Jeśli sądzisz, że dam się namówić na kolejną wędrówkę umysłem... - aura Mocy Taalona nabrała zjadliwości.

*Skywalker potrafi ją znaleźć, znów uparł się Statek. Wie, czego szukać.*

- Czy to prawda? - Oczy Taalona zwęziły się niebezpiecznie i Arcylord popatrzył w kierunku, z którego dobiegał głos Luke'a.

Jedi nie odpowiedział od razu i Ben zdał sobie sprawę, że jego ojciec rozważa wszystkie za i przeciw. Ryontarr, dezertor z Zakonu Jedi, który służył Luke'owi jako przewodnik wędrówek umysłu podczas jego ostatniej wizyty na Stacji Ujście, twierdził, że każdy, kto się wykąpie w Sadzawce Wiedzy, zobaczy „wszystko, co przeszło i wszystko, co przyjdzie”. Nie można było dopuścić, żeby Taalon, albo jakikolwiek inny Sith, posiadał taką wiedzę.

- A więc? - Taalon opuścił dłoń na rękojeść miecza świetlnego.

- Szukajcie groty - westchnął Luke. Po chwili pojawił się w plamie światła wpadającego do wnętrza Statku przez właz i spojrzał w głąb wąwozu. Korony paproci olbrzymich znajdowały się ze trzydzieści metrów pod nimi, a ziemia była pewnie kolejnych trzydzieści metrów niżej. - Musi być gdzieś na dnie wąwozu. Tylko tyle mogę wam powiedzieć.

- Jesteś pewien? - Taalon uśmiechnął się złośliwie.

- Mógłbym cię jeszcze ostrzec przed wchodzeniem samotnie do środka, ale nie spodziewam się, żebyś mi w tej sprawie zaufał.

- A czemu uważasz, że nie zabierzemy cię tam ze sobą? - przemówił stojący na rampie między Benem a jego ojcem Khai. - Żadne z nas nie jest na tyle głupie, żeby zaufać Jedi, którego nie mamy na oku.

- Musimy się rozdzielić - tłumaczył Luke. - To długi wąwóz, porośnięty gęstą dżunglą.

Będziemy musieli ją wyciąć, żeby w ogóle zobaczyć ściany wąwozu. Każdy dzień, który na tym spędzimy, to kolejny dzień zbierania sił przez Abeloth.

- Pewnie właśnie dlatego kazała Statkowi wodzić nas za nos - dodał Ben.

- Zakładając, że wciąż żyje - odciął się Taalon.

- Sam nie wierzysz, że jest martwa. Nie bardziej niż ja w to wierzę - powiedział Luke. -

Gdybyś wierzył, nie byłoby cię tutaj. Nie szukałbyś sposobu, żeby ją znaleźć.

- Może po prostu lubię twoje towarzystwo, Mistrzu Skywalkerze - odparował Arcylord. -

Raczej nieprędko będę miał znów okazję dowiedzieć się tyle o twoim Zakonie.

- Przynajmniej co do tego się zgadzamy - powiedział Jedi, wskazując w górę wąwozu. -

Może Ben i Vestara ruszyliby w górę nurtu, a my pójdziemy w dół?

Taalon przesunął wzrokiem po rampie. Przyglądał się przez kilka chwil Vestarze, bez wątpienia używając Mocy, żeby uświadomić jej, jak ważne jest, żeby nie spuszczała Bena z oczu.

Potem odwrócił się do Luke'a.

- Dobrze, podzielmy się na dwie grupy. Masz już swoje rozkazy. - Taalon skinął głową w kierunku Vestary.

- I uważajcie na zasadzki - dodał Khai. - Mistrz Skywalker może mieć rację co do tego, komu naprawdę służy Statek.

Vestara skinęła głową na znak, że podziela obawy ojca, a potem spojrzała na Bena.

- Gotowy?

- Pewnie. - Ben poczuł, że ojciec pokrzepiająco szturcha go Mocą, i ruszył rampą w kierunku krawędzi wąwozu. - Nie czekaj na mnie.

- Będę musiała - dobiegł go z tyłu głos Vestary - jeśli upierasz się przy okrężnej trasie.

Kilka jej ostatnich słów, jak się Benowi wydało, dobiegło spod Statku. Chłopiec odwrócił

się i zobaczył uczennicę Sithów kilka metrów poniżej rampy; opadała na dno wąwozu, kontrolowanym lotem. Rzucił okiem na jej ojca; Khai wyciągał w jej kierunku dłoń, najwyraźniej używając Mocy, żeby ją opuścić. Ben zdziwił się o wiele bardziej, niż powinien. Przecież przebywał w towarzystwie tych Sithów już dość długo, żeby przekonać się, że używają Mocy z taką łatwością,



jak większość istot komunikatorów lub holoprojektorów.

Ben spojrzał na swojego ojca i uniósł brew. Luke przewrócił oczami, nie akceptując takiego nadużywania Mocy, ale skinął głową i ruchem brwi wskazał wąwóz. Vestara była Sithem, tak samo jak jej ojciec Taalon, więc nie można było pozwolić, żeby szukała sama Siedziska Wiedzy. Nawet przez kilka chwil. Ben zrobił dwa kroki w kierunku Statku, a potem skoczył z rampy. Niemal natychmiast zaczął spadać w przepaść i poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła.

Vestara zniknęła już w koronach drzew, a Ben spadał bardzo szybko, więc zaczął się martwić, że mogą się zderzyć. Nagłe żołądek opadł mu na swoje miejsce przy nagłym hamowaniu.

To uścisk Mocy jego ojca zacisnął się wokół niego mocniej. Chwilę później pod Benem pojawiła się płatanina coberplączy. Chwycił swój miecz świetlny i użył Mocy, żeby odepchnąć się na bok.

Kilka pnączy wystrzeliło w jego kierunku, ale wystarczyło, że odciął kłostrąki, zanim go dosięgły, a rośliny stały się zupełnie niegroźne.

Kiedy już przedostał się przez korony drzew, poczuł ostrzegawczy dotyk ze strony ojca.

Odpowiedział, wypełniając swoją aurę Mocy pewnością siebie i otuchą. Zaraz potem wysunął się z uścisku Mocy Luke'a i opadł ostatnich dwadzieścia metrów, sam przerywając upadek.

Wylądował w kłębowisku sięgających mu do ramion paproci, których kolczaste liście pokrywał lepki kwas trawienny. Szybko użył telekinezy, żeby je od siebie odepchnąć, i dołączył do Vestary na brzegu strumienia.

Potok był większy, niż wydawał się z góry. Miał co najmniej cztery metry szerokości i mniej więcej połowę tego głębokości. Woda była raczej bursztynowa niż brązowa i czystsza, niż wcześniej zdawało się Benowi; zachowywała przejrzystość nawet na metr pod powierzchnią.

Vestara patrzyła na strumień, trzymając w dłoni miecz świetlny, gotowa w każdej chwili zareagować na dowolne niebezpieczeństwo. Tylko jej napięte ramiona świadczyły, że nienawidzi tego miejsca tak samo jak młody Skywalker. Najwyraźniej bała się swoich wspomnień o Abeloth jeszcze bardziej, niż Ben bał się na wpół zapomnianej grozy, którą czuł, kiedy przebywał w Schronie.

Przykląkł obok niej i zajrzał do wody. Zobaczył garść wstęgowatych wodorostów, które walczyły z nurtem, próbując sięgnąć w ich kierunku.

- Naprawdę nie znoszę tej planety - wyznał. - Nie wyobrażam sobie, jak przetrwałaś tu tyle tygodni.

- To nie było specjalnie trudne, póki byłam w pobliżu Abeloth - odpowiedziała Vestara, nie odrywając wzroku od wody. - Najtrudniejsze było przekonanie siebie, żeby pozostać w jej pobliżu, mimo świadomości... na tyle, na ile to możliwe... czym ona jest.

Ben przypomniał sobie własne spotkania z Abeloth i zadrżał. Zawsze wtedy przerażała go nieodparta potrzeba tej istoty, aby przyciągnąć każdego bliżej i zadusić w pożerającym wszystko uścisku jej mrocznej energii. Teraz, kiedy została zabita czy może raniona, zmuszona do przybrania swojej

prawdziwej postaci czy co tam się z nią stało, miał przeczucie, że istota chce ich po prostu zabić.

Głuchy huk dobiegł gdzieś z głębi góry i Ben zauważył falę biegnącą w górę nurtu. Zaraz potem poczuł, jak miękka ziemia twardnieje mu pod stopami.

- No cóż... Nie sądzę, żeby Abeloth chciała dać nam jakiś wybór i tym razem - powiedział

do Vestary. - Co powiesz na to, żebyśmy zaczęli szukać tam? - Wskazał kciukiem przez ramię, w kierunku ściany wąwozu ukrytej za gęstwiną.

Vestara pokręciła głową, uniosła podbródek i spojrzała na drugi brzeg strumienia.

- Tam będzie lepiej. - Wskazała w tamtą stronę. - Nie czujesz zapachu?

- Jakiego zapachu? - zdziwił się Ben. W powietrzu czuł tylko odór gnijącej roślinności.

- Świeżego powietrza. - Vestara użyła Mocy, żeby przeskoczyć strumień, i zaczęła intensywnie węszyć. - Jest chłodne i pachnie jaskinią.

- To nie może być aż tak proste.

- Czy to znaczy, że nie idziesz, Jedi? - zapytała Vestara, oglądając się przez ramię.

- Ależ idę. - Ben się zarumienił, zebrał Moc i przeskoczył strumień, lądując koło niej. - Ktoś musi dopilnować, żebyś nie wpakowała się w kłopoty.

Zaskoczyło go, że zamiast się odciąć, Vestara odwróciła się do niego i przyjrzała mu się uważnie. Zmarszczyła brwi i przez chwilę patrzyła mu w oczy, jakby oczekując, że Ben rzuci jej wyzwanie. Wreszcie wzruszyła ramionami i, zawiedziona, pokręciła głową.

- Wiem, dlaczego stracicie tę galaktykę na naszą rzecz, Jedi - poinformowała go. - Wy po prostu boicie się kłopotów.

Odwróciła się i ruszyła przez dżunglę, używając Mocy i miecza świetlnego, żeby oczyścić sobie drogę. Ben poszedł za nią, ale nie za blisko, na wypadek gdyby za ostro machnęła mieczem.

Chciał się jakoś od niej odciąć, ale zbyt dobrze poznał metody Sithów, żeby teraz wpaść w pułapkę.

Emocje były niebezpieczne i nieprzewidywalne, a Vestara najpewniej myślała, że jeśli uda jej się wyprowadzić go z równowagi, to może znajdzie okazję, by przeciągnąć go na Ciemną Stronę. Ben był za to przekonany, że jeśli Sithance się nie uda, jeśli udowodni jej, jak silna jest jego strona Mocy, pewnego dnia dziewczyna stanie u jego boku w świetle Jasnej Strony.

Musiał po prostu być cierpliwy.

Gdy zbliżyli się do ściany wąwozu, Ben też poczuł powiew, o którym mówiła Vestara.

Dziewczyna miała rację. Powietrze było tu wilgotne i chłodne, a on czuł w nim dodatkowo zapach skał i pleśni, i czegoś nieprzyjemnego na dodatek. Może siarki? Przeszli jeszcze kilka kroków i grunt zaczął się ostro wznosić. Wtedy zobaczyli splątaną zasłonę mchów powiewającą przed nimi wśród gęstwiny.

- Czyli to jednak było proste. - Ben zaryzykował i podszedł dość blisko, żeby złapać Vestarę za ramię. - Zatrzymaj się na chwilę, dobrze?

- Po co? - Vestara nie przestała wycinać roślinności. Przeciwnie, przyspieszyła kroku i podeszła jeszcze bliżej zasłony mchów. - Pospiesz się, Jedi. Wykaż trochę inicjatywy.

- Dotarliśmy do Sadowki Wiedzy, Vestaro. - Ben zdawał sobie sprawę, że cokolwiek by się stało, nie mógł pozwolić, żeby weszła do sadowki, zanim dotrze tu jego ojciec. Przecież nawet gdyby przeżyła, to doświadczenie zmieniłoby ją w coś, czego nie dałby już rady przeciągnąć na Jasną Stronę. - Uważasz, że powinniśmy przy niej grzebać?

- Pewnie.

Vestara użyła Mocy, żeby odrzucić na bok ostatni kłęb roślinności, i stanęła jak wryta.

Grota była mniej niż dwa kroki od niej; wejście stanowiło rozedrgany kwadrat cienia, przysłonięty żółtym mchem zwisającym ze ściany wąwozu. Było mniej więcej tak wysokie jak typowy Wookiee i dość szerokie, żeby zmieścił się w nim śmigacz. Wyglądało raczej na wylot podziemnego hangaru niż jaskini. Kiedy Vestara wycięła mech, okazało się, że nadproże i podtrzymujące je kolumny są pokryte takimi samymi węzowatymi reliefami, jak arkady wokół Fontanny Siły.

- Wiedza jest potrzebna, prawda? - uśmiechnęła się Vestara.

- Nie zawsze. - Ben podszedł w stronę wejścia do groty, wciąż trzymając miecz świetlny. -

Czasami wiedza potrafi być niszczycielska.

- Nie bądź niemądry. Wiedza to po prostu... myśli i pamięć. - Mimo niedawnej brawury Vestara zatrzymała się przed wejściem. Spojrzała na Bena... i na wyłączony miecz świetlny w jego dłoni. - Jak może zniszczyć cokolwiek?

- Czy twoja matka zawsze dochowywała wierności twojemu ojcu? - Ben nie ruszył się z miejsca.

- Co cię to obchodzi? - Na twarzy Vestary pojawił się wściekły grymas.

- Nic - przyznał Ben. - Ale gdyby nie dochowywała, a ty byś się o tym dowiedziała, to musiałabyś o tym powiedzieć ojcu?

- Oczywiście - odpowiedziała. - On jest Mieczem Sithów, a ona... ona nie jest.

- I co by się wtedy stało?

- Nie widzę sensu twoich pytań. - Spojrzenie Vestary stwardniało, ujawniając więcej informacji o społeczeństwie Keshirich, niż zdawała sobie sprawę. - Moja matka nigdy nie zdradziłaby ojca.

- Oczywiście, że nie. Ale gdybyś wiedziała o czymś takim, musiałabyś powiedzieć ojcu. -

Ben przerwał, a po chwili dodał: - Widzisz, taka wiedza bywa niszczycielska. To tylko jeden przykład. Jesteś pewna, że chcesz usłyszeć kolejne? Jesteś pewna, że jesteś na to gotowa?

- Sadzawka Wiedzy pozwala na takie rzeczy? - Vestara spojrzała na wejście do groty, bardziej zamyślona niż zaniepokojona. - Dlaczego?

Ben natychmiast się zorientował, jaką popełnił pomyłkę. Dla Sithów nie było zakazanej wiedzy ani tajemnic, które lepiej zostawić bez wyjaśnienia. Istniały tylko informacje, które mogli przeanalizować i wykorzystać do przejęcia władzy nad galaktyką. A to znaczyło, że nie można pozwolić, żeby zanurzyli się w Sadzawce Wiedzy. Powstrzymanie ich było obowiązkiem Bena i Luke'a.

Statek doskonale wiedział, że tak będzie. To dlatego przywiózł tu i Sithów, i Jedi. Pojazd chciał sprowokować ich do walki.

- Vestaro - odezwał się Ben - będziesz mi musiała zaufać. Chodźmy stąd, żeby się zastanowić, co robić.

- Nieźle to wymyśliłeś - Vestara ledwo obejrzała się przez ramię - ale ja wybieram się do środka. - Wskazała wejście groty swoim mieczem świetlnym. - Z tobą... albo bez ciebie.

- Poczekaj. - Ben wyciągnął do niej rękę. - Pomyśl najpierw. Dlaczego Statek przywiózł tu mnie i mojego ojca?

- Żebyście nam pomogli znaleźć Sadzawkę Wiedzy. To chyba jasne.

- A czy wygląda to tak, jakbyście mieli potrzebować naszej pomocy? - Młody Solo machnął ręką w kierunku wejścia do jaskini.

- Miałam po prostu szczęście - wyjaśniła Vestara. - Czasem i tak bywa.

- Przecież wiesz, że to nie takie proste. - Pokręcił głową Ben. - Statek przywiózł nas dokładnie nad Sadzawkę Wiedzy. Chciał, żebyśmy znaleźli grotę szybko i żebyśmy nadal byli w miarę blisko siebie, kiedy to się stanie.

- Uważasz, że to wstęp do zasadzki, której obawia się mój ojciec? - Oczy Vestary błysnęły.

- Owszem... w pewnym sensie - powiedział Ben. - Statek ma nadzieję, że znowu zaczniemy walczyć między sobą. To znaczy wy i my.

- Co wy przed nami ukrywacie, Ben? - zapytała Vestara, przechylając głowę na bok, kiedy chłopiec

zamilkł.

- Wiele rzeczy - odparł Ben. - I to się nie zmieni. Ale zaufaj mi, będzie lepiej dla wszystkich, jeśli po prostu zapomnisz, że w ogóle znaleźliśmy to miejsce.

- Na to już za późno, Ben. - Spokojna groźba w dobiegającym zza pleców młodego Jedi głębokim, jedwabistym głosie zmroziła mu krew w żyłach, a serce wtłoczyło do gardła.

Staął bokiem, tak żeby widzieć zarówno strumień, jak i grotę, a kciuk skierował w stronę przycisku aktywującego miecz świetlny. Zbliżał się do nich Taalon, prowadząc Luke'a i Khaia.

Lawendowe oczy Arcylorda były utkwione nie w Benie, ale w ciemnym przejściu, które kilka minut wcześniej odsłoniła Vestara. Ślady pyłku i zarodników na szatach całej trójki, a także pot na ich czołach zdradzały, że bardzo się spieszyli, żeby dotrzeć do niego i Vestary.

- Wezwiałaś ich? - Ben spojrzał zezem na Vestarę.

- Owszem. Jak tylko zdałam sobie sprawę, że znaleźliśmy sadzawkę - potwierdziła dziewczyna, wzruszając ramionami. - Tym właśnie młodzi Sithowie różnią się od młodych Jedi, Ben. My uczymy się wykonywać rozkazy.

- Właśnie widzę. - Chłopiec skinął głową i odsunął się, żeby przepuścić Taalona. - A kiedy uczyć się myśleć?

- Kiedy już nauczymy ich posłuszeństwa, młody Skywalkerze - odpowiedział zamiast niej Taalon. - Ostra strzała jest bezużyteczna, jeśli nie leci celnie. - Stał na progu grotę i zajrzał do środka. - Wejdzmy tam i zobaczmy, co zamierzaliście przed nami ukryć.

- Idźcie sami - poprosił Ben. - Ja źle znoszę koncentrację Ciemnej Strony.

- Czy cokolwiek w tym, co powiedziałem, sugerowało, że to nie był rozkaz? - Taalon odwrócił się do młodego Jedi.

- W porządku, Ben - uspokoił go Luke. Popatrzył synowi w oczy, przeniósł spojrzenie na grotę i skinął nieznacznie głową. - Chyba wszyscy chcemy zobaczyć, co ukáže nam sadzawka.

Ben przez chwilę stał w miejscu; chciał podtrzymać opinię nieposłusznego nastolatka, jaką próbował wyrobić sobie u Sithów. Jego ojciec najwyraźniej miał jakiś plan. Plan, w ramach którego przeciwnik miał mieć przewagę liczebną w ciasnej, ciemnej jaskini. Mając nadzieję, że nikt tu nie użyje detonatora termicznego, chłopiec westchnął głośno i ruszył za pozostałymi.

- O nie, ty przodem. - Taalon usunął się z drogi i gestem nakazał, żeby Ben poszedł pierwszy w kierunku wejścia. - Nalegam.

- Dzięki - powiedział Ben, krzywiąc się. Jego ojciec skinął głową na znak zgody, więc chłopak ruszył naprzód. - Jeśli wyczuję jakieś pułapki, na pewno zostawię je dla ciebie.

- W porządku, młody Skywalkerze - odrzekł Taalon. - Zależy mi na uniknięciu tych pułapek, których ty nie potrafisz wykryć.

Te słowa przyprawiły Bena o dreszcz, ale mimo to wszedł do groty. Nie wyczuł w mroku żadnego niebezpieczeństwa. Z ciemności przed nim dobiegał dźwięk kapiącej wody - jedno „plum” co jakieś dwie sekundy. Nie wyczuwał też obecności żadnych istot żywych w jaskini, za to, gdy tylko wciągnął do płuc wypełniające ją gęste, śmierdzące siarką opary, poczuł mdłości.

- Idź dalej, synu - polecił mu Luke. - Jedyne pułapki, na jakie się tu natkniesz, to te, które sam sobie zgotujesz.

- A te są zawsze najgorsze - powiedział Taalon. - Czy nie tak, Mistrzu Skywalkerze?

- Na pewno dla słabych - odparł Luke. - Ale Ben będzie bezpieczny.

Wyczuwając w słowach ojca ponaglenie, Ben ruszył naprzód i odkrył, że w grocie nie było aż tak ciemno, jak wydawało się z zewnątrz. Przejrzysty słup białego światła bił ze znajdującej się na środku sadzawki, wypełniając jaskinię srebrzystym blaskiem, w którym wyraźnie było widać siatkę szczelin pokrywających ściany. Z większości szpar wydobywały się smugi żółtego, gryzącego dymu. To ten dym pachniał siarką, którą wcześniej poczuł Ben.

Chłopak podszedł do krawędzi sadzawki. Spodziewał się, że będzie to płytka, naturalna misa, tymczasem okazała się głębokim, sztucznym zbiornikiem o stromych ścianach. Krawędzie były zdobione takimi samymi groteskowymi wzorami, jak te wyrzeźbione u wejścia do groty.

W powierzchni sadzawki odbijała się czyjaś twarz. Młody Jedi ledwo ją rozpoznał.

Mężczyzna miał silny podbródek i faliste rudobrązowe włosy, jak Bena, ale wyglądał na jakieś dwadzieścia lat więcej. W jego niebieskich oczach lśniła mądrość, a roześmianą twarz przecinały liczne zmarszczki mimiczne. Ubrany był w ręcznie tkaną brązową szatę Jedi, narzuconą na ciemną zbroję bojową, i trzymał miecz świetlny o rękojeści dość wąskiej, podobnej do tych używanych przez Sithów.

Ben domyślił się, że widzi siebie za kilkadziesiąt lat. Westchnął i zaczął się cofać. Poczuł, że podchodzi do niego Vestara.

- Wygląda na to, że korzystnie się zestarzejesz - stwierdziła.

A wtedy jej własne odbicie pojawiło się w sadzawce, jednak nie obok Bena, gdzie stała w rzeczywistości, tylko - zwrócone przeciwko jego odbiciu - w pewnej odległości. Podobnie jak Ben, wyglądała na starszą i bardziej atrakcyjną. Miała wydatne kości policzkowe, a jej migdałowe oczy zdawały się większe niż teraz. Ale w jej twarzy było piętno samotności, przez które wyglądała na zahartowaną... i smutną. Zwłaszcza gdy się uśmiechnęła i wyciągnęła dłoń w kierunku odbicia Bena.

Vestara podeszła bliżej, przysunęła się do Bena i powiedziała:

- Wygląda też na to, że będziemy się wciąż widywać. - Odwróciła głowę, żeby spojrzeć wprost na

niego. - Ciekawa jestem, jak mamy sprawdzić, czy wyniknie z tego coś dobrego... Czy wręcz przeciwnie.

- Niczego nie sprawdzicie - powiedział Luke, wchodząc do grotty. - Jesteśmy tu po to, żeby dowiedzieć się, gdzie jest Abeloth. I po nic więcej.

Taalon wszedł do środka tuż za Lukiem, mówiąc coś o maksymalnym wykorzystywaniu wszystkich dostępnych środków, ale Ben prawie nie zarejestrował jego słów. Ciągłe patrzył na sadzawkę. Odbicie Vestary zmieniało się na jego oczach, przybierając groteskową, obcą formę.

Teraz było ludzkie tylko w ogólnym zarysie i ledwo można było nazwać je kobiecym. Kaskada żółtych włosów opadała aż do stóp tej niby-Vestary, a jej zapadnięte, ciemne oczy przypominały parę głębokich studni. Pełne wargi rozciągały się od ucha do ucha. Wydawało się, że biegnie, czy raczej faluje, po piaszczystej plaży przylegającej do karmazynowej rzeki...

- Nasze statki! - Ben obrócił się na pięcie w stronę wyjścia z grotty, od którego oddzielali go teraz pozostali. - To dlatego Statek nas tu przywiózł! Żeby Abeloth miała dość czasu na porwanie któregoś z naszych statków i ucieczkę!

Spróbował obejść resztę grupy, ale Gavar Khai stanął mu na drodze.

- Wyjaśnij to - zażądał Sith.

- Abeloth! - Wybuchnął Ben i wskazał ręką sadzawkę. - Widziałem ją... tam. Była na plaży, na której zostawiliśmy „Cień” i „Emiax”. Biegła.

- W stronę statków? - chciał wiedzieć Taalon. - Widziałeś to?

- No... nie w stronę statków, ale po tej samej plaży. - Ben spuścił głowę i znów ruszył w stronę wyjścia. - Powrót zajmie nam z pół dnia. Musimy się pospieszyć.

- Nigdzie nie idziemy, dopóki się nie upewnimy, że mówisz prawdę. - Khai użył Mocy, żeby pchnąć Bena z powrotem w stronę sadzawki, a potem spojrział na córkę. - Vestaro?

- Ja... cóż... nie patrzyłam akurat wtedy. - Ton jej głosu zdradzał zaskoczenie. - Ale wydaje mi się, że on ma rację. Powinniśmy wracać natychmiast.

Zdziwiony przynagleniem w jej głosie, Ben odwrócił się i zauważył, że dziewczyna odsuwa się od sadzawki. Zaniepokojenie błysnęło w jej oczach, kiedy ich spojrzenia się spotkały, ale zaraz odwróciła wzrok. W wodzie za jej plecami odbijało się otoczone murami miasto, ozdobione koronkowymi szklanymi wieżami i wciąż żywymi drzewami, które ukształtowano na wzór niezwykle skomplikowanych rzeźb. Z trzech stron miasto otoczone było stromymi górami, pokrytymi lasem zielonym jak nefryt. Z czwartej strony widniały szmaragdowe tereny uprawne, kończące się plażą z lawendowego piasku, atakowaną bez końca przez fale turkusowego morza.

To był... Kesh.

Nawet gdyby reakcja Vestary nie podpowiedziała Benowi, co widzi, gniewny okrzyk jej ojca by wystarczył, żeby mu uzmysłowić, że patrzy na tajemniczą rodzinną planetę Sithów.

- Zdrajcy Jedi! - Khai wyciągnął dłoń i użył Mocy, żeby wzburzyć wodę i rozproszyć odbicie. Złowrogo spojrział na Bena. - Powinienem być zabić cię, kiedy tytkoooo... och!

Groźba Gavara uwięzła mu w gardle, a on sam przeleciał nagle nad sadzawką, uderzył w przeciwległą ścianę groty i pozostał tam, trzymany w miejscu niewidzialnym uściskiem Mocy.

- W czasach, kiedy się spotkaliśmy, miałbyś może szansę na sukces, Gavarze - powiedział

Luke, podchodząc do sadzawki. - Teraz, kiedy nasze siły są wyrównane, powinieneś unikać groźenia mojemu synowi. - Spojrział na Bena, rzucił mu krótki uśmiech i dodał: - Następnym razem gotów jeszcze wziąć cię na serio.

Ben obrócił się na pięcie, żeby przypilnować flanki. Zastanawiał się, czy to właśnie w ten sposób ojciec postanowił zacząć walkę, która i tak wcześniej czy później ich czeka. Pozostali Sithowie wydawali się jednak bardziej przejęci falującą powierzchnią sadzawki niż potyczką Skywalkerów z Khaiem. Taalon klęczał na brzegu, skrzywiony, i wpatrywał się w rozedrgane odbicie białego kształtu, który mógł być dużym tronem. Vestara stała przy boku Arcylorda, najwyraźniej nieświadoma sytuacji swojego ojca, a przynajmniej nią nieprzejęta.

Taalon przesunął dłonią nad sadzawką, używając Mocy, żeby uspokoić migoczące fale. Ben poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. Na tronie siedziała szczupła ruda kobieta w prostej koronie z aurodium. Była bardzo podobna do Tenel Ka, ale miała obie ręce, a jej mały, spłaszczony na końcu nos ewidentnie pochodził z linii Solo. Z pasa, który nosiła na szacie, zwisał długi, wygięty miecz świetlny o rękojeści zrobionej ze szponu rankora. Wokół niej stał tuzin Rycerzy Jedi z najróżniejszych gatunków. Wszyscy trzymali w dłoniach włączone miecze świetlne. Jeden z Jedi, człowiek, miał taką samą kwadratową zuchwę i takie same faliste rude włosy, jakie Ben widział we własnym odbiciu kilka minut temu.

- Kim ona jest? - Taalon rzucił Benowi gniewne spojrzenie.

Ben wzruszył ramionami. Chciał się uspokoić i wyciszyć swoją aurę Mocy przed udzieleniem odpowiedzi. W oczach Taalona pojawiła się natychmiast mroczna furia i młody Jedi wszystko zrozumiał: Arcylord doskonale wie, że on zamierza skłamać.

- Hej... tato?

Za jego plecami rozległ się dźwięk uruchamianego miecza świetlnego. Ben nie potrzebował

dalszych wyjaśnień. Wiedział, że jego jedyną szansą jest powstrzymanie Taalona, zanim Taalon powstrzyma jego, więc błyskawicznie zerwał własną broń z pasa. Zrobił krok naprzód, obracając rękojeść miecza w dłoni. Szykował się do zadania ciosu znad głowy; odwrócił się w lewo, żeby zmusić Vestarę do usunięcia mu się z drogi.

Ale dziewczyna nie zareagowała na dźwięk włączanego miecza tak, jak oczekiwał młody Jedi.



Patrzyła po prostu z niedowierzaniem zagubionymi zielonymi oczami na skwierczące ostrze.

Ben przygotował się już, żeby odepchnąć Sithankę na bok, jeśli tylko spróbuje kontrataku.

Jednak kontratak nie nastąpił. Na twarzy Vestary pojawił się zawiedziony grymas; potem opuściła rozgoryczony wzrok. Młody Jedi poczuł w sercu zimny ciężar, gdy zdał sobie sprawę, co dziewczyna o nim myśli: że ich flirt nic dla niego nie znaczył i że od początku miał zamiar ją zabić.

Ben zatrzymał się w pół kroku i nie mogąc sięgnąć ponad Vestarą, żeby zaatakować Taalona, szybkim ruchem ustawił się za jej plecami.

Jaskinię wypełnił głośny plusk. Młody Skywalker zrozumiał, że już za późno, więc odwrócił

się, trzymając miecz świetlny obiema rękami, by zasłonić się nim przed Vestarą. Dziewczyna też sięgnęła po broń i przyjęła postawę defensywną; wyglądała bardziej na zaskoczoną niż przygotowaną do walki. Kilka metrów od nich ojciec Bena skoczył w stronę przeciwnego końca jaskini, a shikkar Gavara Khaia roztrzaskał się, trafiając w skałę tuż za nim z delikatnym brzękiem.

Vestara stanęła prosto, wreszcie gotowa do ataku. Ben rzucił się naprzód, biorąc zamach mieczem i celując w jej wysunięte do przodu kolano. Dziewczyna zapaliła własne ostrze i odwróciła je na dół, by zablokować cios. Jej spojrzenie stwardniało, a jej parang zaczął wysuwać się z pochwy.

Ale młody Skywalker już brał obrót, z którego wyprowadził gwałtowne kopnięcie w jej uszkodzony bark.

- Z drogi! - krzyknął.

Cios trafił dziewczynę w ramię, przesuwając je w górę. Rozległ się głośny trzask i Vestara zatoczyła się na bok, a trafiona ręka zwisała bezwładnie. Ben zatrzymał się przy brzegu sadzawki i zobaczył pod powierzchnią opadającego coraz niżej Taalona. Już chciał rzucić się za nim, ale ojciec odepchnął go Mocą.

- Nie, Ben! Weź...

Ogłuszający huk przerwał polecenie Luke'a, a oślepiające niebieskie światło błyskawic Mocy wypełniło grootę. Ben wyciągnął lewą ręką blaster i rozejrzał się za źródłem szalejących wiązek energii. To Gavar Khai, przykucnięty po drugiej stronie sadzawki, ciskał błyskawicami w Luke'a.

Młody Skywalker nacisnął kilka razy spust blastera, a jego strzały posłały Khaia na ścianę jaskini. Z szat i zbroi Sitha unosił się dym. Wyczuwając niebezpieczeństwo, Ben odwrócił się i zobaczył pędzącą na niego Vestarę. Wywijiała mieczem w skomplikowanej sekwencji ciosów, a ostrze zostawiało w powietrzu złożoną siatkę śladów.

Chłopiec otworzył ogień w jej kierunku, ale niemal natychmiast musiał zapalić ostrze własnego miecza, żeby uporać się z odbitymi przez nią strzałami. Spotkali się pół uderzenia serca później i Vestara, mimo rannego barku i mniejszych rozmiarów, zbiła jego zasłonę silnym atakiem.

Ben przewrócił się na plecy, wycelował blaster ponad jej zasłoną i wystrzelił trzykrotnie.

Dziewczyna uchyliła się i to był błąd, którego Ben potrzebował: zerwał się na równe nogi i posłał wzmocniony Mocą cios łokciem w jej splot słoneczny.

Vestara poleciała do tyłu... i zderzyła się z wychodzącym z wody Taalonem. Oboje potoczyli się dalej. Arcylord rzucił wiązaną przekleństw, ale ucichł, gdy uderzyli w ścianę.

Podniósł się na kolana i Ben zobaczył, jak pięść Sitha unosi się i opada. Vestara jęknęła z bólu.

Luke pojawił się przy nich niemal natychmiast. Jego miecz z trzaskiem zderzał się raz po raz z zasłoną Taalona, rozsiewając wokół iskry. Musieli pokonać Arcylorda, póki mieli przewagę, więc Ben rzucił się na pomoc ojcu.

Po przeciwnej stronie sadzawki mroczna postać Gavara Khai podniosła się z trudem i pokuśtykała w stronę walczących. Ben zaczął się zastanawiać, czy Khai widział, jak Taalon bije jego córkę. I czy ojcowski gniew wystarczy, żeby zwrócić Sitha przeciwko jego Lordowi.

I właśnie wtedy parang Khaia wysunął się z pochwy i wirując, przeleciał nad sadzawką, kierując się prosto na Bena. Chłopiec uniósł miecz świetlny, żeby zablokować cios... i udało mu się przeciąć szklaną broń na dwoje. Rękojeść poleciała w bok i roztrzaskała się o ścianę, ale Sith wciąż trzymał w uścisku Mocy ostrze, które natychmiast zawróciło i znów pomknęło w stronę młodego Jedi. Ben próbował uskoczyć, ale za późno - poczuł, jak ostrze rozcina jego ciało pomiędzy żebrami. Cały bok zapłonął cierpieniem, a oddech opuścił go wraz z okrzykiem bólu.

Spodziewając się, co teraz nastąpi, Ben błyskawicznie odwrócił się w stronę Khaia, ale jego miecz świetlny przeciął tylko powietrze. Gavar już zdążył skoczyć w stronę Taalona i starszego Skywalkera. Chłopiec puścił blaster i wyciągnął dłoń; zamierzał użyć Mocy, by cisnąć Khaiem o ścianę groty, ale Sith odpowiedział własnym pchnięciem, odrzucając Bena w stronę wejścia do jaskini.

- Tato! - Głos Bena przypominał raczej skrzek. - Za... tobą!

Powinien był wiedzieć, że nie ma się co martwić. Khai jeszcze nie włączył swojego miecza, kiedy Luke już robił unik i chwycił kostkę Sitha. Pociągnął za nią, lekko przekręcając, a Gavar poleciał prosto na Taalona i Vestarę. Mistrz Jedi wywinął młynka mieczem, a przedramię któregoś z Sithów wylądowało na dnie groty. Ben nie miał pewności, do kogo należało.

Nagle zobaczył, jak wiązka błyskawic Mocy posyła jego ojca na ścianę tuż obok niego.

Młody Skywalker zapalił swój miecz świetlny i przeciwstawił ostrze trzaskającym piorunom. To wystarczyło żeby uwolnić Luke'a z ich uścisku.

- Tato... auuu! - Ben przerwał pytanie okrzykiem bólu, bo szklana klinga tkwiąca w jego boku otarła się o żebra. Ostrożnie złapał ostrze i wyrwał z rany. - Tato, czy wszystko...

- Wyjdź stąd! - Poczul na ramieniu rękę ojca, który pchnął go w stronę wyjścia. - Szybko!

Ben natychmiast posłuchał polecenia, a w jego płucach płonął ogień, kiedy biegł. Ojciec był

tylko dwa kroki za nim, ale kiedy już wybiegli z groty, Luke zatrzymał się i ponownie zapalił swój miecz świetlny. Pewien, że Sithowie są tuż za nimi, Ben odwrócił się, gotów do walki; tymczasem zauważył, że ojciec wymierza mieczem ciosy jednej z kolumn podtrzymujących masywne nadproże.

- Tato, poczekaj...

- Idź już! - Luke wyciął kolejny fragment kolumny. - Pospiesz się!

- Ale... tam w środku jest Vestara! - Chłopiec nie ruszył się z miejsca. Mówienie sprawiało mu ból i ledwo łapał powietrze, ale kontynuował: - Taalon ją bił...

- Ona przeżyje. - Kolumna pękła z hukiem podobnym do eksplozji sonicznej i jeden kraniec nadproża opadł, wypełniając wejście gruzem i pyłem. Luke zawirował, przecinając drugą kolumnę jednym uderzeniem, i ruszył w stronę Bena. - Nie jestem jednak pewien, jak będzie z tobą.

## ROZDZIAŁ 10

Jaina wolałaby, żeby kruchy spokój, który zapanował w Sali Rady, wynikał z oczekiwania na raport, który właśnie miał złożyć Lando, ale wszystko wskazywało raczej na to, że tak nie jest.

Ośmioro z dziesięciorga aktualnych członków Rady było obecnych w Sali osobiście. Wszyscy patrzyli na wejście, żeby nie musieć patrzeć na siebie nawzajem. Twarz Kentha Hamnera była jak wykuta z kamienia, twarz Kyle'a miała nieodgadniony wyraz, Kypa zaś - otwarcie wrogi.

Corranowi Hornowi udało się uniknąć zgrzytania zębami tylko dzięki wielkiemu wysiłkowi woli, a łuski Saby były cały czas zjeżone. Cilghal wybałuszała oczy, Barratk'l rozdymała nozdrza, a dłonie Octy Ramis aż zbieleły, tak mocno zacisnęła je na podłokietnikach. Nawet Solusarowie, obecni za pośrednictwem hologramu transmitowanego z Akademii Jedi na Ossusie, wyglądali na gotowych do walki na pięści.

Najwyraźniej prośba JAINY o posłuchanie u Rady przerwała rozgorączkowaną debatę. Solo nie miała wątpliwości, że jej raport tylko pogorszy Mistrzom humory. Z drugiej strony...

przynajmniej przypomni im, że w galaktyce istnieją niebezpieczeństwa gorsze niż Natasi Daala.

Niebezpieczeństwa, którym Jedi mogli stawić czoło tylko pod śmiałym przywództwem zjednoczonej Rady. Kiedy już skończą razem z Landem swoją prezentację, nawet Kenth Hamner będzie musiał to przyznać.

Jana weszła w krąg Mistrzów z Landem u boku i skłoniła się.

- Dziękuję, że zgodziliście się nas tak szybko przyjąć.

- Słyszałem różne pogłoski na temat tego, gdzie byłeś, nie widziałem więc powodu, żeby nie przychylić się od razu do twojej prośby - powiedział Hamner. - O twoich... hm, samodzielnych działaniach porozmawiamy po odprawie... natychmiast po niej.

Zauważyła chłód w jego spojrzeniu i głosie. Ucisk, jaki poczuła w gardle, był spowodowany raczej gniewem niż strachem, ale przełknęła złość i skinęła głową, mając nadzieję, że wygląda na skruszoną. Najważniejsze było, żeby Mistrzowie wreszcie zaczęli działać razem. Zrażając do siebie pełniące obowiązki Wielkiego Mistrza Zakonu Jedi, na pewno by tego nie osiągnęła.

Te sprawy mogły poczekać.

- Nie mogę się już doczekać tej rozmowy, Wielki Mistrzu - powiedziała Jaina. - A jeśli chodzi o odprawę... zanim zaczniemy, chciałabym wiedzieć, co słyszeliście o mojej ostatniej podróży. To pomoże mi opowiedzieć wszystko, co trzeba.

- Słyszeliśmy, że postanowiłaś... ocenić, w jakiej sytuacji jest Luke. - To Kyp postanowił

podsumować wiedzę Rady. Przesunął spojrzenie na Landa, który stał obok Jainya bardzo elegancki, bardzo zmartwiony... i wykończony. - Po drodze natknęłaś się na Landa i ruszyłaś dalej razem z nim na pokładzie „Łowcy Asteroid”. Po różnych szaleństwach na Klatooine oboje polecieście za Lukiem, Benem i flotyllą dość nieprzyjemnych sojuszników w głąb Otchłani. Założyliśmy, że chcieliście znaleźć źródło niezrównoważenia u Rycerzy Jedi i je wyeliminować. Czy to wszystko?

~ Tak. - Jaina skinęła głową.

- Zakładamy, że wam się udało - Saba błysnęła kłami w szerokim uśmiechu - bo wszyscy szaleni Jedi doszli już do siebie.

- Nawet me umiem wyrazić, jak mnie to cieszy - powiedziała Jaina, ale serce jej nie podskoczyło. Wiadomości, jakie miała dla Rady, były na to zdecydowanie zbyt ponure. Poczuła tylko małe drgnienie radości.

- Mnie też cieszy - włączył się Lando, ale w jego głosie zdecydowanie nie było ulgi. Sięgnął

do kieszeni i wyciągnął kartę danych, którą przygotowali z Jainą, wracając z Otchłani. - Bo niewątpliwie będziecie potrzebowali wszystkich Rycerzy Jedi, jakich znajdziecie.

- Mieliście problemy z tymi... sojusznikami? - zapytał Kyle.

- Zdradzili nas, ale tego się spodziewaliśmy - potwierdził Lando. - Za to nie spodziewaliśmy się tego.

Calrissian od niechcienia rzucił kartę danych w stronę zebranych Mistrzów. Kyle Katarn uniesioną dłonią przywołał kartę do siebie i wsunął ją do czytnika umieszczonego w podłokietniku jego fotela. Chwilę później ukryta w środku kręgu płyta projekcyjna wyświetliła hologram droida MSE-6 produkcji korporacji Rebaxan.

- Grupa piratów użyła tego droida, żeby udawał głos Landa na pokładzie „Łowcy Asteroid”
- wyjaśniła Jaina zebranym. - Jego rozkazy skierowały nas prosto w zasadzkę, dodatkowo wyłączając nam sensory, nadajnik i psując mojego stealthX-a.
- Dostarczyliśmy już droida Lowbacce do przeanalizowania - dodał Lando. - Właśnie rozbiera go na części.
- Dziękuję - odparł sucho Hamner. - Jestem pewien, że właśnie to byśmy wam polecili.
- Mamy nadzieję, że Lowbacca będzie mógł powiedzieć Radzie coś o stylu programowania użytym w tym droidzie - wyjaśnił ostrym tonem Lando, głównie na użytek Wielkiego Mistrza. - To może pomóc wam w namierzeniu piratów.

Obraz zmienił się w nagranie transmisji taktycznej z kabiny myśliwca Jaina, którym ta wyleciała przeciwnikom na spotkanie.

- Jak widzicie - kontynuowała Jaina - zaatakowali nas trzema promami załogowymi BDY, wystrzelonymi z lekkiego frachtowca SI8 produkcji korporacji Damorian.
- Rzeczywiście, widzę - powiedział Hamner, a w jego głosie pojawił się ton dezaprobaty. -

Zgłosiłaś prośbę o najwyższym priorytecie o spotkanie z Radą, żeby poinformować nas, że zaatakowali was... piraci?

- Dokładnie tak. - Lando nawet się nie starał ukryć poirytowania. - Tyle że ci piraci zmienili nasz kurs tak, żeby prowadził przez Obłok Ashteri. Jest tylko jedno wyjaśnienie użycia przez nich właśnie tych współrzędnych do zorganizowania zasadzki.
- Chcesz powiedzieć, że piraci wiedzieli, że wylatujecie z Otchłani? - Kyp poruszył się w fotelu, a po chwili sprecyzował: - Uważasz, że to musieli być Sithowie, tak?
- Owszem - powiedziała Jaina. - Po tym, jak myszobot dokonał sabotażu mojego stealthX-a, jedyną bronią, jaka mi została, były ciemne bomby. Za każdym razem, kiedy odpalałam jakąś, ich strzelcy mnie namierzali. Wyczuwali, kiedy używam Mocy.
- A więc... Sithowie - warknęła Barratk'1. - I zdrada. Mistrz Skywalker i Ben najpewniej nie...
- Nie - przerwał szybko Lando. - Są cali i zdrowi. A przynajmniej byli, kiedy opuszczaliśmy orbitę.

- Nie znamy szczegółów, bo nigdy nie lądowaliśmy na powierzchni - dodała Jaina - ale po śmierci Abeloth Luke zawarł z Sithami jakieś porozumienie na temat zbadania jej natury. Tylko trzy osoby z każdej frakcji zostały na miejscu, a wszyscy pozostali mieli odlecieć.

- Jesteście pewni, że Sithowie posłuchali? - zapytała Octa Ramis.

- Jesteśmy pewni, że odlecieli wtedy, kiedy i my - odparła Jaina. - A wrócić nie byłoby im łatwo. Na

tę planetę naprawdę trudno się dostać.

- Sithowie stracili fregatę w drodze na miejsce - dodał Lando. W jego głosie pojawiła się nutka dumy. - I pewnie straciliby kolejną, gdybyśmy nie ściągnęli jej w bezpieczne miejsce „Łowcą Asteroid”. Możliwe, że daliby radę wrócić tam sami, ale na pewno nie mieliby na to ochoty.

- Poza tym ja bym prawdopodobnie poczuła, gdyby coś się stało wujkowi Luke’owi albo Benowi - dodała Jaina. Zauważyła, że kąciki warg Hamnera znów zaczynają opadać, więc zwróciła się do Kyle’a Katarna: - Mógłbyś włączyć kolejny obraz, Mistrzu?

Kyle wcisnął przycisk na podłokietniku i płyta projekcyjna wyświetliła holograficzną mapę znanej galaktyki. Wokół tras nadprzestrzennych widniało prawie czterysta jasnoczerwonych kwadratów. Przy jednej z krawędzi galaktyki, w Sektorze Korporacyjnym, znajdowała się za to spora grupka złożona z dwudziestu siedmiu czerwonych trójkątów.

- Ta mapa opiera się na tej, którą przygotowywał Jaden Korr w czasie swojego śledztwa dotyczącego piractwa - wyjaśniła Jaina. - Większą część drogi powrotnej spędziliśmy, eliminując ataki, niepasujące profilowo do tego, który sami odparliśmy.

- Szukaliśmy właściwie dwóch rzeczy - wyjaśnił Lando. - Zgłoszenia w porcie, po którym niedługo następowało całkowite zniknięcie statku. Żadnych rozbitków, żadnego wraku, żadnych szczątków, żadnych ciał.

- Te trójkąty - Jaina podeszła do hologramu i wskazała na otoczenie Sektora Korporacyjnego - to miejsca zniknąć całej floty starych fregat typu ChaseMaster. Wszystkie wyparowały w drodze do stoczni rozbiórkowej - wyjaśniła. - Wiemy, że zostały one porwane przez Zapomniane Plemię Sithów, bo Arcylord Taalon dowodził eskadrą liczącą dwanaście sztuk.

Moc aż zadrżała od niepokoju każdego z obecnych w Sali Mistrzów.

- A te okręgi? - zapytała Cilghal. - Czy to miejsca ataków, które tylko uważacie za robotę Sithów?

- Właśnie - potwierdziła Jaina. - Nie możemy się w żaden sposób co do tego upewnić, przynajmniej póki nie namierzemy głównej bazy Zapomnianego Plemienia. Ale pasują do naszego profilu.

Salę spowiała cisza, podczas gdy Mistrzowie rozważali to, co właśnie zobaczyli. Po chwili Corran Horn wstał, podszedł do hologramu i powiódł wzrokiem po każdej z głównych tras nadprzestrzennych. Wszyscy patrzyli na niego w ciszy, a on zatrzymywał się przy każdym z okręgów, czytając zamieszczony obok opis zaginionego statku i jego ładunku. Gdy odwrócił się do pozostałych Mistrzów, na jego twarzy widniało przerażenie.

- Sithowie są wszędzie - stwierdził. - I budują flotę wojenną!

## ROZDZIAŁ 11

Dobrze zaopatrzony bar z alkoholami i przekąskami znajdował się w jednym końcu sali spotkań, a borlelitowy stół konferencyjny, otoczony różnymi krzesłami i stołkami o formie odpowiedniej dla

najczęściej występujących w galaktyce gatunków - w drugim. Pomieszczenie było oświetlone łagodnym, zachęcającym do spokojnych rozmów światłem. Nawet traspastalowa ściana widokowa, wychodząca na Plac Wspólnoty i imponującą piramidę Świątyni Jedi, była zabarwiona bursztynowo, dając gościom poczucie ciepła i spokoju. Styl nie był typowy dla tego, co Leia uważała za „sullustański”, ale, jak twierdził Lando, Luewet Wuul nie był typowym Sullustaninem.

Leia usiadła przy stole i gestem zaprosiła Lando, męża i córkę, żeby zrobili to samo.

- Równie dobrze możemy się rozgościć - powiedziała. - W przypadku senatora „tylko kilka minut spóźnienia” oznacza zwykle godzinę.

- Przekonasz się, że Luew to wyjątek od tej reguły - zapewnił Lando, idąc w stronę baru. -

Jest dumny ze swoich dobrych manier. I ze swojego maldoveańskiego burtalle. Komuś nalać?

Jaina zatrzymała się tuż za progiem.

- Wiesz, Lando... nie możemy sobie pozwolić, żeby urazić tego gościa - zaznaczyła i ruszyła wzdłuż ściany, udając, że podziwia wiszące na niej dzieła sztuki; tak naprawdę szukała ukrytych urządzeń podsłuchowych. - Anie przypominam sobie, żeby recepcjonistka pozwoliła nam czuć się jak u siebie w domu.

- Rozumiem, że się zgadzasz na drinka. - Lando postawił pięć kieliszków na ladzie barowej.

- I nie martwcie się o Luewa. On już jest po naszej stronie.

- Lepiej, żebyś miał rację - Han podszedł do baru. - Bo jeśli wszystko się wyda, to Daala zyska dość powodów, żeby nas powiesić.

- Wcale nie - powiedziała Leia. - O tym na pewno nie wspomnimy Luewowi.

- O czym? - Han zmarszczył brwi.

- O tym, że Jedi współpracują z Sithami - wyjaśnił Lando. Znalazł kubek z lodem i użył

szczypiec, żeby wrzucić szafirową kostkę do każdego kieliszka. - Leia ma rację. Luew nie musi o tym wiedzieć. Na pewno zresztą by nie chciał.

Leia skrzywiła się i rzuciła znaczące spojrzenie Jainie, która właśnie kończyła swoje poszukiwania.

- Mam nadzieję, że nadal nie chce.

- Nie martw się. - Lando posłał jej krzepiący uśmiech. - Luew jest strasznym gadułą. To ostatnia istota, która zgodziłaby się na podsłuchiwanie innych. - Sięgnął na półkę barową po bursztynową karafkę i mrugnął do Jainya. - Jak ci się wydaje, dlaczego pozwolił nam tu spędzić tyle czasu samym? Spodziewał się, że poszukasz urządzeń podsłuchowych. Chcę, żebyście wiedzieli, że możemy tu rozmawiać bez obaw.

- Przewidujący gość - powiedziała Jaina, ruszając w stronę stołu. - Albo ma świetnych techników. Niczego nie znalazłam.

Leia omiotła pokój zmysłami Mocy, ale nie wyczuła ani śladu niepokoju, więc skinęła głową.

- W porządku - powiedziała. - A więc dlaczego nie usiądziesz i nie opowiesz nam, jak poszło z Wielkim Mistrzem Hamnerem?

- Kazał Mistrzom odejść ze trzy godziny temu - Jaina przewróciła oczami i skubnęła swój skafander pilota - a ja wciąż mam na sobie to samo, co wtedy, kiedy zeszliśmy z pokładu „Łowcy Asteroid”. - Pokręciła z rezygnacją głową, po czym spojrzała na matkę z miną zrezygnowana i sfrustrowana jednocześnie. - Cały ten czas spędził, oskarżając mnie o sabotowanie jego prób porozumienia z Daalą.

- Porozumienia? - powtórzył Han, wracając do stołu ze stosikiem tacek. - Z Daalą? Jak się powstrzymałaś przed roześmianiem mu się w nos?

- To raczej straszne niż śmieszne, tato - powiedziała Jaina. - Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że to napięcie go przerasta. Mistrz... to jest Wielki Mistrz Hamner naprawdę wydaje się wierzyć, że uda mu się zawrzeć z nią układ.

- Musi próbować - powiedziała Leia. - Nie możemy walczyć z Sithami, jeśli będziemy zajęci awanturą z Daalą.

- No cóż... próby zawarcia układu z Daalą to strata czasu - podsumował Han. Zaczął

zapełniać tacki żetonami do sabacca, układając po jednej przed każdym siedzeniem. - Jedyne możliwe układy z Daalą to załatwienie jej.

- Han, co ci chodzi po głowie? - zmarszczyła brwi Leia.

- Dobrze wiesz co - powiedział Han, zajmując krzesło. - I nie próbuj mi wmawiać, że to przedwczesne. Daala też próbowała nas załatwić, i to wtedy, kiedy była z nami Amelia. Ma szczęście, że jeszcze się do niej nie zabrałem.

- Ktoś próbował nas zabić - poprawiła go Leia. Han miał na myśli przerwany próbą zabójstwa obiad w Restauracji Pangalactus kilka tygodni temu. Leię cały incydent bardziej smucił, niż złościł, bo to był ich ostatni obiad z Jaggedem Felem, zanim Jaina zerwała zaręczyny. - Nie mamy pewności, że to Daala ich wysłała. Nie mamy nawet pewności, że to my byliśmy celami.

- Mam ci podliczyć szanse na to, że to nie jej sprawka i nie my mieliśmy zginąć? -

odparował Han. - Wystawiła nas, robiąc to całe przedstawienie pod tytułem „możemy negocjować”.

- Dobrze, przyjmijmy, że Daala rzeczywiście nas wystawiła - zgodziła się Leia. Han nigdy nie miał dość cierpliwości, żeby sprawdzać wnioski, które były dla niego oczywiste, więc jeśli chciała uniknąć rozpoczęcia spotkania od tyrady o zdradzie Daali na rzecz Imperium, musiała delikatnie



nakierować go na nieco bardziej konstruktywny tor myślenia. - Co masz zamiar z tym zrobić?  
Zorganizować kolejny przewrót?

Han skrzywił się na wspomnienie katastrofalnego w skutkach przejęcia władzy nad Sojuszem Galaktycznym przez ich syna Jacena i odpowiedział już znacznie spokojniejszym tonem:

- Nie miałem na myśli nas.

- Mam nadzieję, że nie miałeś też na myśli Zakonu Jedi - powiedziała Leia. - Bo i Senat, i społeczeństwo uwierzyłyby wtedy, że Daala słusznie się nas boi.

- Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie - poparł ją Lando, przyłączając się do nich z tacą napojów w rękę. - Kenth ma w jednym rację. Jedi mają w Senacie równie wielu zwolenników, co Daala, i możecie ją nieźle przycisnąć, po prostu dając im znać, co się dzieje.

- Szansę, że to się uda, obliczam na jakieś dziesięć procent - powiedziała Jaina. - A co zrobimy, jeśli to odniesie przeciwny skutek i Daala zacznie aresztować senatorów?

- Wtedy, moja droga - Lando rzucił jej jeden ze swoich olśniewających uśmiechów - Jedi wkroczą, żeby uratować Sojusz. - Postawił przed Jainą kieliszek burtalle. - Musicie być po prostu cierpliwi. I znaleźć sposób na przekonanie do tego planu Kentha, zanim Sithowie zaatakują.

- Myślisz, że dadzą nam tyle czasu? - zapytała Leia.

- Skoro Abeloth nie żyje, to chyba tak - powiedział Lando, stawiając przed nią kieliszek. -

Gdyby wciąż żyła, nie mielibyście szans. Ale jej atak na Jedi ukrytych w Schronie był dla was prawdziwym uśmiechem Mocy.

- Sprytne rozumowanie, nie ma co - zakpił Han. - W ten sposób stworzyła zastępy niezrównoważonych Rycerzy Jedi, dając Daali idealną wymówkę, żeby zaatakować Luke'a i resztę Zakonu.

- Ale zmusiła też Sithów, żeby się ujawnili, zanim byli gotowi - wyjaśniła ojcu Jaina. -

Gdyby Ben i wujek Luke nie zostali wygnani, nigdy nie znaleźliby się na Stacji Ujście. A my nie dowiedzielibyśmy się o Zapomnianym Plemieniu.

- No właśnie - potwierdził Lando. - A tymczasem mamy jeszcze czas na mobilizację.

- Mamy? - Leia uniosła brew. - Jesteś pewien, że chcesz się w to pakować, Lando?

Lando wbił wzrok w podłogę, a po chwili powiedział:

- Prawdę mówiąc, to ostatnia rzecz, jakiej bym chciał. - Chwycił z tacki szklanę, opróżnił

ją jednym haustem i odstawił na miejsce. - Ale chyba nikt nie będzie miał wyboru w obliczu całej

planety pełnej Sithów.

Postawił ostatnie dwa kieliszki na stole, jeden przed Hanem, a drugi przed pustym stołkiem o pokrytym wytartą skórą nerfa siedzeniu, przystosowanym dla Sullustan. Potem wrócił do baru, żeby ponownie napełnić swój kieliszek. W pokoju zaległa cisza, a Leia w zamyśleniu pociągnęła łyk burtalle. Było tak wyborne, jak twierdził Lando: miało intensywny słodowy smak z nutką zapachu beczulek z drewna moagowego, w których dojrzewało. Było też niezwykle mocne.

Zostawiło na języku i podniebieniu Leii dymny, suchy posmak.

Han pociągnął łyk ze swojego kieliszka, uniósł brwi i pokiwał z aprobatą głową.

- Muszę przyznać, że senator trzyma dla gości jedną z najlepszych mieszanek paliwowych, jakich próbowałem.

- Cieszę się, że panu smakuje, kapitanie Solo - jasny sullustański głos rozległ się od strony drugiego wejścia. - Z pana ust to nie byle jaki komplement.

Odwracając się, Leia zobaczyła wytwornego Sullustanina w oblamowanej złotem kamizelce. Jego pomarszczone fałdy policzkowe i podłużne worki pod oczami wyraźnie wskazywały, że należy do starszych przedstawicieli swojego gatunku. Miał jednak postawę kogoś młodszego, wyprostowane ramiona i pewny krok. Kiedy Leia i pozostali podnieśli się, żeby go przywitać, senator gestem poprosił, żeby wrócili na miejsca.

- Nie mamy czasu na te głupstwa - orzekł, idąc prosto do stołu. - Mam przewodzić obradom podkomisji za... - rzucił okiem na swój chronometr - ...piętnaście minut, a Lando mówił, że to pilne.

Więc przejdźmy do rzeczy.

- Proszę bardzo, senatorze Wuul - powiedziała Leia. - Prosiliśmy o spotkanie z panem z powodu...

- Nie o tym mówiłem - przerwał jej Wuul, uciszając ją gestem. Przysiadł na swoim stołku, chwycił kieliszek, który Lando postawił dla niego w pobliżu, i opróżnił go jednym haustem -

Chodziło mi o burtalle. I proszę, mów mi Luew. Tylko opozycja nazywa mnie „senatorem”.

Podniósł pusty kieliszek nad głowę, dając Landowi znak, że czeka na ponowne napełnienie.

Jak zauważyła Leia, Lando był już w drodze. Zamiast napełnić kieliszek senatora, po prostu wymienił pusty na pełny. Kiedy tylko naczynie znalazło się w jego ręku, Wuul odwrócił się i spojrzał na Leię jednym czarnym okiem.

- Czy jesteś członkiem opozycji, Jedi Solo?

- Oczywiście, że nie, Luewie - rzuciła mu uspakajający uśmiech, chwyciła własną szklanekę i stuknęła się nią z Wuulem. - Każdy przyjaciel Lando to nasz przyjaciel. I proszę... mów mi Leia.

Luew odpowiedział jej przebiegłym uśmiechem, pociągnął łyczek swojego nowego burtalle i postawił kieliszek na stole.

- Bardzo mi miło, Leio. - Omiótł spojrzeniem najpierw Hana, a potem Jaina i dodał: - A więc skoro już wiemy, na czym stoimy, czy mogłaby mi pani powiedzieć, co jest tak pilne, że musiała tu pani przyjść w brudnym kombinezonie pilota, młoda damo?

Jaina się zaczerwieniła, ale wyprostowała plecy na krześle i odpowiedziała jednym słowem:

- Sithowie.

Zamiast, jak spodziewała się Leia, sięgnąć po kieliszek, Wuul opadł na stołek i pokręcił z rezygnacją głową.

- Trafiliście na następnego? Myślałem, że w końcu wykończyliście tych azkanków... -

wzdrygnął się, kiedy padło to plugawe określenie, po czym rzucił skruszone spojrzenie Hanowi i powiedział: - Bez urazy, kapitanie.

- Nic nie szkodzi - zapewnił go Solo. - Cóż, gdyby chodziło o jednego azkanka, nie byłoby nas tutaj. Luke i Ben natknęli się na całe ich mnóstwo.

- Całe mnóstwo? - Zaskoczony Wuul przechylił głowę. - Sithów?

- Nie wiemy na pewno, czy jest ich „mnóstwo” - wyjaśniła Jaina. - Ale bez wątpienia dużo.

Nazywają się Zapomnianym Plemieniem i podejrzewamy, że ostatnie dwa lata spędzili na kompletowaniu floty wojennej.

- Całej floty? Złożonej z Sithów? - Wuul zdawał się zbyt zszokowany, żeby rozumieć, co słyszy. - Ale przecież... myślałem, że zawsze jest...

- Tak, dwóch - dokończył Han. - Też tak myślałem. Ale to chyba tylko taki nowy zwyczaj.

O ile wiemy, przodkowie tych gości utkwili na planecie zwanej Kesh pięć tysięcy lat temu.

- Rozumiem. - Fałdy policzkowe Wuula z różowych zmieniły kolor na bladozielony, ale po chwili wyprostował się, najwyraźniej zebrał już myśli. - I to oni są odpowiedzialni za szaleństwo, któremu ulegali młodzi Rycerze Jedi?

- No... nie całkiem. - Han spojrzał na Leię, szukając wskazówek, jak wiele może zdradzić. -

Właściwie wcale nie.

- Tę chorobę wywoływała starożytna istota o imieniu Abeloth - wyjaśniła Leia. - Nawiązała kontakt z tymi Rycerzami Jedi, jak byli jeszcze dziećmi, kiedy ukrywaliśmy młodych Jedi w Otchłani podczas wojny z Yuuzhan Vongami.

- Ale to już nie ma znaczenia - dodała Jaina. - Abeloth została zniszczona. Teraz musimy coś zrobić z Sithami.

Wuul wlepił wzrok w dno swojego kieliszka i Leia uznała, że na pewno znów się napije, żeby się uspokoić. Tymczasem on tylko patrzył w głąb kieliszka, zastanawiając się nad tym, co właśnie usłyszał. Najwyraźniej jego pociąg do alkoholu był tylko fasadą, utrzymywaną po to, żeby inni czuli się przy nim swobodniej. A także po to, żeby go odpowiednio oceniali.

- Jedi nie dadzą rady zająć się Sithami, póki Daala siedzi im na karku - powiedział po chwili do Leii Sullustanin. - Mam rację?

- Dokładnie tak - skinęła głową.

- A czego oczekujecie w tej sprawie ode mnie? - zapytał Wuul po kolejnej chwili namysłu. -

Jestem przewodniczącym podkomisji opodatkowania minerałów. Nie mam z Daalą wiele do czynienia.

- Luew, staruszk, chodzi nam o twój wpływ na Daalę - wyjaśnił Lando, podchodząc do senatora i klepiąc go po ramieniu. - I dobrze o tym wiesz.

- Wiem? - Wuul uniósł brwi i spojrzał w górę, udając niewiniątko, czemu przeczyła jego aura w Mocy. Widząc wyraz twarzy Landa, westchnął głośno. - W porządku. Ale po tym będziemy już kwita.

Lando prawie się roześmiał, ale tylko parsknął krótko.

- Zgoda - powiedział. - Co znaczy drobny dług sabakowy w porównaniu z perspektywą imperium Sithów?

- Cieszę się, że się rozumiemy. - Wuul wskazał kieliszek stojący przy krześle Lando. - A teraz usiądź i napij się trochę burtalle, a ja przygotuję mały prezent dla moich nowych przyjaciół.

- Dzięki. - Lando uśmiechnął się i wrócił na swoje miejsce. - Nie mam nic przeciw temu.

Wuul wyciągnął mały notes elektroniczny z wewnętrznej kieszeni swojej tuniki, wcisnął parę przycisków i przesunął urządzenie po stole w stronę Leii.

- To lista wszystkich członków rządu i dowódców sił zbrojnych, którzy są mi winni przysługi. I są skłonni się odwdziaczyć. - Nadal przytrzymał palcami urządzenie. - Ale mam nadzieję, że nie chodzi wam o kolejny przewrót.

Leia zawahała się i spojrzała na Jainę. Jak dotąd, nie wyjawili niczego, czego cała galaktyka i tak nie dowiedziałyby się za kilka tygodni. Po przestrzeni Huttów, na przykład, już krążyły pogłoski, że w powstaniu niewolników na Klatooine mieli swój udział jacyś Sithowie. Plany Rady dotyczące Daali musiały jednak pozostać pilnie chronioną tajemnicą, dopóki pułapka nie zadziała.

A senatorowie z długami hazardowymi zwykle nie byli zbyt wiarygodnymi współnikami.

- Rozumiem - powiedział Wuul, biorąc milczenie Leii za potwierdzenie swoich obaw, a jego fałdy policzkowe opadły smutno. Zabrał z powrotem notes elektroniczny i odwrócił się do Landa. -

Nie wiem, jak mogłeś myśleć, że wezmę udział...

- To nie przewrót - przerwała mu Leia i też popatrzyła na Calrissiana. - Ile jest ci winien?

- Niewiele. - Błysk zrozumienia pojawił się w oczach Landa, a na jego usta wypłynął

sztuczny uśmiech. - Tylko dwadzieścia pięć.

- Dwadzieścia pięć czego? - sprecyzowała Jaina.

Lando błysnął tylko szelmowskim uśmiechem, a Leia poczuła ukłucie niepokoju.

- Dwadzieścia pięć tysięcy? - Chciała się upewnić. To nie była duża suma, biorąc pod uwagę pensję senatora, ale politycy potrafili mleć ozorami za mniej. - Szkoda, że nie wspomniałeś o tym wcześniej, Lando. Nie jestem pewna, czy Mistrzowie zaaprobowałiby zwracanie się do Luewa, gdyby wiedzieli, że ma dług hazardowy.

- Czemu? - zapytał Calrissian, nie przestając się uśmiechać. - To prywatna sprawa Luewa i moja.

- I to nie jest dwadzieścia pięć tysięcy - burknął Wuul. - Za kogo mnie bierzecie? Za jakiegoś matolka?

- Dwadzieścia pięć milionów? - zapytał Han i gwizdnął. Odwrócił się do żony. - Słuchaj, chyba nie będziesz musiała się martwić Luewem. Przy takiej stawce w grze nikt nas nie wyda.

- Uspokójcie się, dobra? - przywołał ich do porządku Lando. - Luew nie wyda was za żadne pieniądze.

- Dziękuję, Lando - powiedział Wuul. - I do waszej wiadomości: nie chodzi o dwadzieścia pięć milionów.

- Na wszystkie słońca, Luew! - to Jaina przerwała w końcu pełną zaskoczenia ciszę. - Ile mu jesteście w końcu winien?

- Dwadzieścia pięć kredytów - wyjawiał wyraźnie poirytowany senator. - Po prostu dwadzieścia pięć, żadnych dodatkowych zer. Dla was, Jedi, to pewnie drobniaki godne Jawów, ale sabak to sabak, niezależnie od stawek.

- Ostatni raz graliśmy o wysokie stawki, zanim jeszcze Luew został senatorem - wyjaśnił

Lando.

- To nie byłoby w porządku - dodał Sullustanin. - Przewodniczący podkomisji opodatkowania minerałów nie powinien zabierać właścicielowi górniczej planety wszystkich pieniędzy.

- Luew, mój drogi... - Leia czuła się trochę głupio, że wyciągnęła tak mylne wnioski. Gryzło ją też sumienie, ale z drugiej strony nie mogła po prostu ignorować ewentualnej korupcji.

Szczególnie że plan Kentha był absolutnie zależny od uczciwości biorących w nim udział polityków. - Jesteśmy ci winni przeprosiny.

- Nic podobnego. Prawdziwym błędem byłby brak zainteresowania. - Wuul machnął

lekceważąco ręką, ale nie spojrzał Leii w oczy. - Teraz porozmawiajmy o ustawie, którą mam dla was napisać. Zakładam, że chcielibyście prawnego potwierdzenia obecnego statusu Zakonu Jedi oraz gwarancji pomocy finansowej i militarnej.

- Czy to aż tak oczywiste? - Leia uniosła brew.

- Tylko dla mnie, moja droga - powiedział senator. - Ustawę musi zaproponować ktoś, komu możecie zaufać, ale niezwiązany z wami na co dzień, bo akurat tego Daala będzie się spodziewać.

Poza tym musi to być ktoś, kto będzie w stanie zgromadzić dużo głosów poparcia, bo trzeba będzie przebić veto pani prezydent. To naprawdę oczywiste, czego potrzebujecie ode mnie.

- Naprawdę mam nadzieję, że Daala nie jest tak bystra jak ty - powiedziała nerwowo Jaina. -

Bo jeśli rozgryzie to równie szybko, galaktyka będzie mieć poważne problemy.

- Niestety jest tak bystra - potwierdził Luew. - I to właśnie najłabszy element waszego planu. Nie uda nam się tego zrealizować bez ciągłego ustalania szczegółów, a wcześniej czy później Daala połapie się, że się ze sobą komunikujemy. Wtedy zgadnie, co planujemy, i będziemy musieli podać ustawę pod głosowanie, zanim zdobędzie dość poparcia, żeby ją zablokować.

- A nie możemy po prostu podpiąć tej ustawy pod coś, na zablokowanie czego Daala nie może sobie pozwolić? - zapytała Leia.

- Tego manewru akurat zabronili, kiedy szykowali statut Sojuszu Galaktycznego -

powiedział Wuul, kręcąc głową. - Prawdę mówiąc, jestem zaskoczony, że wy, Jedi, zdecydowaliście się na drogę polityczną po zamachu na Bwua'tu. Przy popularności, jaką cieszyacie się na Hapes i w Imperium, dziwię się, dlaczego po prostu nie zagroziecie, że opuścicie Coruscant.

- Może dlatego, że to nie my wszystkim kierujemy. - Jaina nie kryła frustracji. - A Wielki Mistrz Hamner boi się postawić Daali.

- Tak naprawdę Kenth myśli, że metoda polityczna będzie lepsza dla wszystkich zainteresowanych, jeśli uda się ją przeprowadzić. - Leia posłała córce potępiające spojrzenie i popatrzyła ponownie na

senatora. - Ale co zamach na Bwua'tu ma z tym wszystkim wspólnego?

Nawet prezydent Daala nie uważa chyba, że Jedi mieli z tym coś wspólnego.

- To nie jest cała prawda - poprawił ją Wuul. - Słyszałem plotki, że do kogoś powiedziała:

„Gdyby Jedi byli tak niekompetentni, nie martwiłabym się nimi”.

- Co to niby znaczy? - Lando uniósł brew.

- To znaczy, że ona nie wyobraża sobie, żeby taki zamach mógł się Jedi nie udać - wyjaśnił

Sullustanin. - Zastanawia się, czy ktoś inny próbował upozorować zamach tak, żeby wyglądał na robotę Jedi, czy może Jedi planują coś, czego ona jeszcze nie rozumie. Wszystko wskazuje na to, że naprawdę zbiło ją z tropu, kiedy Asokaji oskarżył ją o zlecenie zabójstwa admirała w odwecie za układ, który ten zawarł z Wielkim Mistrzem Hamnerem.

Nikt nie odpowiedział Wuulowi; zaskoczeni goście zachodzili w głowę, jaki to układ mógł

mieć na myśli. Jako adiutant Bwua'tu, Rynog Asokaji z pewnością miał dostęp do najpilniej strzeżonych tajemnic admirała, nawet do tajnych układów, jakie ten mógł zawrzeć z Kenthem Hamnerem.

- Układ? - wykrztusił w końcu Han.

- Jaki układ? - chciała wiedzieć Jaina.

- Nic nie wiecie? - Wuul uniósł brew i przyłożył palec do ust, zastanawiając się nad możliwymi przyczynami takiego stanu rzeczy. Potem wzruszył ramionami i powiedział: -

Najwyraźniej admirał Bwua'tu martwił się, że Zakon zamierza użyć stealthX-ów do przerwania oblężenia rozpoczętego przez prezydent Daalę, zawarł więc układ z Wielkim Mistrzem Hamnerem.

Hamner zgodził się pozostawić stealthX-y w hangarach, a Bwua'tu obiecał blokować wszelkie próby użycia sił zbrojnych przeciw Świątyni Jedi.

Leia zdrętwiała, a gniew na twarzach Hana i Jainy świadczył, że też czuli się zdradzeni. Nie przeszkadzał jej sam układ. Podczas oblężenia wszyscy mieli napięte nerwy i podjęte przez Hamnera próby załagodzenia sytuacji prawdopodobnie uratowały wiele istnień. Nie mogła jednak pogodzić się z tym, że Wielki Mistrz zrobił to bez porozumienia z Radą. Podjął decyzję, że odetnie Luke'a i Bena od wsparcia w konflikcie z całym plemieniem Sithów, przedłożył bezpieczeństwo Świątyni Jedi nad bezpieczeństwo całej galaktyki i nawet nie poinformował pozostałych Mistrzów o swojej decyzji! A dlaczego? Niewątpliwie chodziło o to, że Mistrzowie by się z nim nie zgodzili.

Tak nie zachowuje się dobry przywódca. Takie kompromisy zawiera tylko człowiek, którego kompetencje nie przystają do pełnionych obowiązków.

- Słuchajcie, przyjaciele... - Wuul postanowił przerwać ciszę, która stała się już niezręczna -

te informacje pochodzą z drugiej ręki, od generała Jaxtona z Dowództwa Myśliwców, więc możliwe, że część szczegółów się nie zgadza.

- Możliwe - warknął Han. - Ale te, które się zgadzają, wyjaśniają wiele.

- Rozumiem. - Sullustanin spuścił wzrok, sięgnął do kieliszka z burtalle i zaczął nim nerwowo kręcić.

- Wygląda na to, że ustawa to tylko gra na czas. W dodatku jest wymierzona przeciw wam. Czy nadal chcecie, żebym się nią zajął?

- Tak, oczywiście - odparła Leia. - Cała Rada się na to zgodziła. Wątpię, żeby zmienili zdanie tylko dlatego, że Kenth ukrywał to przed nimi.

- Poza tym, to byłoby najlepsze rozwiązanie tego problemu. Dla wszystkich - zwrócił uwagę Lando. - To, że szanse są małe, nie oznacza, że nie powinniśmy próbować.

- Tak? - Wuul przechylił głowę i spojrzał na Landa. - Ty lubisz próbować swoje siły przy małych szansach, prawda? - Zastanowił się przez chwilę. - Dobrze. Będę potrzebował od was pewnych informacji.

- Oczywiście - powiedziała Leia. - Jak możemy ci pomóc?

- Po pierwsze - senator uniósł dłoń i wyprostował palec - muszę mieć pewność, że nie sprowadzę niebezpieczeństwa na obywateli Sojuszu. Czy jesteście pewni, że istota, która spowodowała chorobę Jedi, nie stanowi już zagrożenia?

- Nie widzieliśmy jej zwłok na własne oczy, ale Luke potwierdził, że nie żyje.

- Spróbujmy przywieźć zwłoki do analizy - dodała Jaina. - No i, oczywiście, wszyscy chorzy są znów przy zdrowych zmysłach.

- To prawda. - Wuul uśmiechnął się, najwyraźniej na wspomnienie tego, jak Han zmusił

własnego eksperta Daali do potwierdzenia, że Sothais Saar i Turi Altamik są zupełnie zdrowi psychicznie. - W każdym razie na to wyglądało w wiadomościach holonetowych.

- Szkoda, że tego nie widziałam. - Nawet Jaina uśmiechnęła się, słysząc te słowa.

- Żaden problem - powiedział z dumą Han - mam wszystko nagrane.

- A ja nawet w pełnym holo. - Wuul zamilkł na chwilę, po czym zwrócił się do Jainy: - Po drugie, będziemy musieli odwrócić uwagę Daali od tego, co szykujemy w Senacie.

- Dobra - przytaknęła Jaina. - Co masz na myśli?

- Integrację z Imperium - stwierdził Wuul.



Nic nie rozumiejąc, Jaina spojrzała na matkę w poszukiwaniu wyjaśnienia.

- Dla Jaggeda te wszystkie próby zamachów miały całkiem pozytywne skutki - wyjaśniła Leia. - Wreszcie udało mu się zapędzić moffów w nerfi róg. Wygląda na to, że jednak uda mu się wprowadzić Imperium do Sojuszu.

- Co tylko spowoduje, że Daala mocniej przycisnie Jedi - zauważył Wuul, nadal patrząc na Jainę. - Musimy więc zadbać, żeby negocjacje się przedłużały, aż Senat zaakceptuje moją ustawę.

Im więcej czasu Daala będzie musiała poświęcić na ogarnięcie tego wszystkiego, tym trudniej będzie jej się zorientować, co robię.

- To ma sens - powiedziała ostrożnie Jaina. - A co ja właściwie mam zrobić? Ukraść podpisany przez nich statut?

- Myślałem o czymś bardziej kłopotliwym - wyznał Wuul, a jego płaty skórne opadły z rezygnacją. - Na przykład o żądaniu nowych warunków, o problemach formalnych, krytyce chciwych dostojników Imperium... o jakichkolwiek kłódach, które moglibyście z przywódcą Felem rzucić Daali pod nogi.

- Wątpię, żebym dała radę nakłonić go do czegokolwiek. - Jaina zacisnęła usta, a jej aura w Mocy zaczęła się kurczyć.

- Niepotrzebnie masz o sobie tak kiepską opinię, Jedi Solo. - Senator położył rękę na jej dłoni, a na jego wargi wypłynął chytry uśmiezek. - Jesteś atrakcyjna dla warunków łączenia się w pary, jak na standardy ludzi. Jestem pewien, że łatwiej będzie ci przekonać przywódcę Fela, żeby nam pomógł, niż ci się wydaje.

Jaina zagryzła usta, spuściła wzrok i nie odpowiedziała.

- To nie jest jeszcze powszechnie wiadome - delikatnie zdjęła dłoń Wuula z ręki córki - ale Jaina i Jag zerwali zaręczyny kilka tygodni temu.

- Taak - mruknął Han. - I poszło o bardzo podobną sprawę.

- Bardzo przykro mi to słyszeć, moja droga. - Luew odwrócił się od Leii do Jainy. Znów poklepał ją po dłoni, tym razem pocieszająco. - Ale jestem pewien, że przekonasz go, żeby znów cię zechciał. Jesteś Jedi.

## **ROZDZIAŁ 12**

Stracona ręka była najmniej poważną z ran Neka Bwua'tu, ale też najbardziej widoczną: kikut spoczywał na poduszce tuż przy torsie starego Bothanina. Jego grube futro zgolono tuż powyżej łokcia, a koniec kończyny był obwiązany przesiąkniętym krwią bandażem. Jego brzuch był tak straszliwie pocięty i poparzony, że nawet zaprojektowany specjalnie do operowania ran odniesionych w walce droid chirurgiczny 2-IBXS potrzebował trzydziestu godzin, żeby powymieniać uszkodzone organy. Teraz cały korpus admirała był ukryty pod twardym kombinezonem, do którego wpompowano bactę. Całość przypominała Daali żebrowane pancerze ochronne, które nosili

artylerzyści obsługujący turbolasery, kiedy jeszcze osobiście dowodziła niszczycielami gwiazdnymi.

- Cały problem z amputacjami mieczem świetlnym to kauteryzacja ran - mówił właśnie doktor Ysa'i. Ten pokryty złocistym filtrem Bothanin w wieku zbliżonym do Bwua'tu był

znakomitym ortopedą, specjalizującym się w swoim własnym gatunku. - Widzi pani, nie da się stymulować bothańskich nerwów do ponownego połączenia, jeśli zostały przypalone.

- Nek to stary żołnierz. - Daala machnęła obojętnie dłonią. - Stracił znacznie więcej niż tylko rękę. - Wskazała na hologram aktywności neurologicznej pacjenta, unoszący się nad wezgłowiem jego łóżka. W tej chwili obraz przypominał wzburzone morze: wysokie fale przechodziły z jednej w drugą. - Na stratę tego nie możemy sobie pozwolić. Kiedy się obudzi?

- Śpiączki to nie moja specjalność, pani prezydent - powiedział Ysa'i, kładąc uszy po sobie.

- Moim zadaniem jest...

- Teraz naprawdę nie jest najlepszy moment, żeby serwować mi kupę *poodoo* - przerwała mu Daala, nadal wpatrując się w Bwua'tu. Miała ogromną ochotę nakazać, żeby zamknięto mu oczy. Droid medyczny FX powiedział jej, że stymulacja wizualna „pacjenta”, taka jak wideoekran zawieszony nad jego łóżkiem, zwiększa szansę, że kiedyś wyjdzie ze śpiączki. Ale przez to wszystko, zwłaszcza przez błyszczący w oczach środek nawilżający, admirał wyglądał na martwego. A jej zdecydowanie nie podobał się martwy Bwua'tu. - Szkolono pana w tym. Ile jeszcze czasu upłynie, zanim odzyskam swojego dowódcę Marynarki?

- Nie jestem neurologiem - powiedział Ysa'i z poirytowanym westchnieniem. - Ale wątpię, żeby ktokolwiek potrafił udzielić odpowiedzi, której pani szuka.

- Aż tak źle? - Daala westchnęła, opuszczając głowę. - Dobrze, to proszę mi powiedzieć, co pan wie.

- To właśnie próbuję zrobić, pani prezydent - w głosie Ysa'iego pojawiła się nutka arogancji. Podszedł do hologramu i wsunął do niego skórzasty palec. - Wykresy mózgowie są dość łatwe do odczytania, przynajmniej na podstawowym poziomie. Te przetaczające się fale wskazują, że mózg admirała pracuje, ale gdzieś w głębi, i nie odbywa się to w odpowiedzi na bodźce zewnętrzne. Coś zdecydowanie się tam dzieje, ale poważnie wątpię, żebyśmy to my, albo cokolwiek w zewnętrznym środowisku, byli tego przyczyną.

- To dlatego, że fale są obłe i regularne, prawda?

Pytanie padło z przeciwnej strony łóżka, gdzie stał główny adiutant Bwua'tu, Ryong Asokaji. Zaraz po zamachu na admirała ten oszepecony starą blizną po oparzeniu Bith w gniewie oskarżył Daalę o zlecenie zabójstwa w odwecie za tajne próby Bwua'tu zawarcia kompromisu z Hammerem. Ku jego zdziwieniu, a także zdziwieniu samej Daali, wcale się na niego za to nie wściekła. Przeciwnie, pochwaliła tak odważną obronę przełożonego i poradziła, żeby następnym razem, kiedy najdzie go ochota mówić prosto z mostu, poprosił wpięrow o pozwolenie. Od tej pory dobrze się dogadywali.

- Powiedziano mi, że jeśli fale zrobią się ostrzejsze i mniej regularne - kontynuował Asokaji

- to będzie znaczyło, że admirał nas słyszy.

- Albo że reaguje na jakieś inne bodźce z otoczenia, to prawda - wyjaśnił Ysa'i, nadal zwracając się do Daali. - Neurolog mógłby wyciągnąć z tego hologramu więcej informacji niż ja, pani prezydent. Ale im mniej regularne fale, tym większe prawdopodobieństwo, że pacjent się obudzi.

- A więc wydaje się, że na razie nie ma na to nadziei - powiedział Wynn Dorvan. Wrócił

właśnie do sali i stanął obok Asokajiego, nadal trzymając komunikator, z którego przed chwilą skorzystał. Ten niewyróżniający się człowiek o krótko przyciętych brązowych włosach wyglądał na biurokratę. I rzeczywiście nim był przez całe życie. - Dlaczego więc musimy dopasować mu sztuczną rękę właśnie teraz? Czy to aby nie jest przedwcześnie?

Ysa'i skrzywił pysk, biorąc te słowa za podważanie swojego lekarskiego autorytetu, ale Daala zrozumiała ich głębsze znaczenie. Jej asystent widział nielogiczność sytuacji, a dla drobiazgowego umysłu Wynna nielogiczność oznaczała ukryty podstęp. A skoro to zamach był

przyczyną obecności Bwua'tu w centrum medycznym, jakiegokolwiek podstępny dotyczący opieki nad admirałem były nie do zaakceptowania.

Kiedy Wynn odpowiedział na warknięcie Ysa'iego karcącym spojrzeniem, Daala westchnęła.

- Dopasowywanie ręki to mój pomysł, Wynn. - Nie tyle wstydziła się do tego przyznać, co obawiała się, że się w ten sposób odłoni. Podczas swojej długiej kariery wojskowej nauczyła się bowiem, że ujawnianie sentymentów oznaczało słabość, którą inni mogli wykorzystać. - Nie chcę, żeby Nek obudził się z kikutem.

- Bardzo mądrze - zgodził się trochę za szybko Ysa'i. - Proteza powinna zmniejszyć szok, jakiego dozna admirał.

- Miejmy nadzieję - westchnęła Daala. Zdecydowała się wybaczyć doktorowi dość oczywistą próbę zdobycia jej przychylności. W końcu był Bothaninem. Sięgnęła nad barierką i ścisnęła kolano Bwua'tu. - Sojusz potrzebuje cię z powrotem, stary druhu.

Chciała cofnąć dłoń, ale Ysa'i powstrzymał ją gestem.

- Chwileczkę - powiedział i wskazał na hologram neurologiczny. - On reaguje.

Daala spojrzała na odczyt i zobaczyła długi łańcuch ostrych szczytów, który pojawił się wśród falistych pagórków. Kiedy dotarło do niej, że to jej dotyk spowodował tę reakcję, poczuła radosne podniecenie, jakiego nie pamiętała od czasów szkolnych. Poczula się też trochę głupio. I ona, i Bwua'tu byli za starzy i zbyt zblazowani na takie romantyczne głupoty... ale i tak poczuła się odpowiedzialna za admirała bardziej niż kiedykolwiek.

- Co powinnam robić? - zapytała Ysa'iego.

- Po pierwsze, niech ktoś wezwie doktora Javira. - Bothanin miał na myśli głównego neurologa placówki. Zastanowił się przez chwilę i dodał: - Po drugie, proszę nadal dotykać pacjenta. Niech pani do niego coś powie, zobaczymy, czy aktywność jego mózgu wzrośnie.

- Dobrze. - Daala skinęła głową, a Asokaji natychmiast ruszył w stronę wyjścia. Kobieta spojrzała w błyszczące niezdrowo, puste oczy Bwua'tu i zaczęła mówić: - Admirale Bwua'tu, proszę się obudzić. Potrzebuję pańskiego raportu na temat zamachu jak najszybciej, a pan tu się wyleguje już ponad tydzień.

Spojrzała na hologram, ale wykres się nie zmienił. Szczyty ani nie urosły, ani nie stały się bardziej strome.

- Proszę dalej próbować - nalegał Ysa'i.

- Zanedbuje pan obowiązki, admirale - powiedziała Daala, ponownie ściskając kolano Bwua'tu. - Wydałam panu rozkaz. Proszę się obudzić i złożyć raport.

- Żadnych zmian - powiedział lekarz w odpowiedzi na jej pytające spojrzenie.

- Nek, czy ty mnie w ogóle słuchasz? - Palce prezydent Sojuszu Galaktycznego przez szpitalne przykrycie pogładziły futro pokrywające nogę Bwua'tu. To zwykle na niego działało. -

Muszę wiedzieć, kto cię zaatakował.

- To działa! - krzyknął Ysa'i. - Proszę robić tak dalej, zwróciła pani jego uwagę.

- Nek, jesteśmy przekonani, że rany od miecza świetlnego to podstęp - kontynuowała kobieta. - A to dlatego... cóż... bo przeżyłeś.

Bwua'tu poruszył oczami. Nieznacznie, ale Daali zdecydowanie wydawało się, że jego źrenice zbliżyły się do dolnych powiek.

- Nek, musimy wiedzieć, kto ci to zrobił. I wciąż nie mamy żadnych poszlak.

Znów przerwała, mając nadzieję, że Bwua'tu zamruga albo że Ysa'i powie coś zachęcającego o odczytach z hologramu. Kiedy jednak nie nastąpiło ani jedno, ani drugie, Daala postanowiła mówić dalej:

- Nek, ten, kto ośmielił się zaatakować ciebie, stanowi zagrożenie dla całego Sojuszu.

Musisz pomóc nam dowiedzieć się, kto ci to zrobił.

Ranny Bothanin znów poruszył źrenicami, tym razem kierując je na prawo, przez co odwrócił wzrok od Daali. Prezydent Sojuszu Galaktycznego znów przerwała, w nadziei że Ysa'i zobaczy cokolwiek w hologramie. Minęła ponad sekunda, zanim usłyszała to, co chciała.

- Tam, w innym sektorze - powiedział lekarz. - Zdecydowanie coś go zainteresowało.

- Coś... - powtórzyła Daala. Zabrała rękę z kolana pacjenta. - Jakież zmiany?

- Nie takie, które dałbym radę zobaczyć - odpowiedział Ysa'i. - Ale wszystko jest nagrywane. Jestem pewien, że doktor Javir będzie umiał zinterpretować te dane o wiele lepiej niż ja.

Daala nie odpowiedziała. Nadal wpatrywała się w oczy Bwua'tu. Po kilku sekundach admirał znów przesunął wzrok. Daala spojrzała w tym samym kierunku... i poczuła, że opuszcza ją podekscytowanie.

Bwua'tu wpatrywał się w wideoekran umieszczony nad jego łóżkiem. Widniała na nim drobna figurka Madhi Vaandt. Devaronianka nadawała relację z rozległego placu, otoczonego przytłaczającymi budynkami z kamienia charakterystycznymi dla miasta Arari, stolicy Blandu Sextus. Za dziennikarką tysiące kudłatych Octusan uciekały z piskiem i kwikiem przed atakiem mandaloriańskich ślizgaczy desantowych Quick-Stryke.

- Madhi Vaandt - warknęła Daala. Spojrzała na Wynn, który gapił się na wideoekran z miną o wiele mniej zdumioną, niż powinien. - Wydawało mi się, że mieliśmy zatrzymać nadawanie jej reportaży.

- Needmo zapewniał, że ściągnie ją z powrotem na Coruscant - wyjaśnił jej asystent, wruszając ramionami. - Najwyraźniej kłamał.

- A ty uwierzyłeś dziennikarzowi na słowo? - zapytała Daala. - To do ciebie niepodobne.

- To nie była nieostrożność z mojej strony. - Wynn znacząco spojrzał na Ysa'iego i dodał: -

Needmo zaskarżyłby oficjalny zakaz dla zasady. Musielibyśmy wtedy wszystko załatwiać na otwartej rozprawie sądowej. Pomyślałem, że nieformalna prośba będzie lepsza.

Wynn umyślnie nie powiedział w obecności bothańskiego lekarza, że nieformalna prośba była ich jedynym wyjściem. Aby uniknąć powiązań swojego rządu z tłumieniem powstania niewolników, Daala zadbała, żeby to miejscowa korporacja górnicza wynajęła mandaloriańskich najemników za brudne pieniądze. Konieczność utrzymania oficjalnego zakazu dla dziennikarzy w sądzie oznaczałaby nie tylko ryzyko, że rozkaz zostanie unieważniony, ale również obawę, że Needmo dowie się o szczegółach sprawy. A Needmo na pewno nie omieszkałby poinformować o tym opinii publicznej.

- Masz oczywiście rację. - Daala westchnęła ciężko i skinęła głową. - Ale to już koniec taryfy ulgowej dla Perre'a Needmo. Jeśli któryś z jego reporterów nada choćby słówko *stang*, ma zniknąć z anteny.

- Dam znać Galaktycznej Komisji HoloNetu - obiecał Wynn.

- Może powinien pan poczekać, aż admirał Bwua'tu się obudzi - zasugerował Ysa'i i wskazał obraz aktywności neuronowej pacjenta. - Wydarzenia na Blandu Sextus zdają się go interesować.

Rzeczywiście: hologram przedstawiał w takiej chwili cały łańcuch górski, najeżony we wszystkie strony iglicami. Daala, patrząc na źrenice Bwua'tu, stwierdziła, że admirał wbija wzrok w Madhi Vaandt, śledząc ją z jednego krańca ekranu w drugi.

- Nek... - zagadnęła przywódczyni Sojuszu Galaktycznego. - Czy to jej sprawka?

Miejsce Devaronianki na ekranie zajęło zbliżenie jednego Octusanina. W odpowiedzi aktywność mózgu admirała zaczęła spadać.

- To dziwne - powiedziała Daala. - Musi być jakiś związek.

- Związek? - zapytał Asokaji, wchodząc z powrotem do sali. - Czy admirał się budzi?

- Za wcześnie, by o tym wyrokować - odparł Ysa'i. - Przynajmniej jak na moje umiejętności.

- Ale coś się dzieje - upierała się Daala. - Nek wydaje się zainteresowany Madhi Vaandt. -

Spojrzała na Asokajiego. - Nie wie pan przypadkiem, z jakiego powodu?

Twarz adiutanta przybrała ciemniejszy odcień niebieskiego; nie mógł się powstrzymać i rzucił Wynnowi szybkie spojrzenie. Sekretarz równie szybko zerknął na niego, zanim odwrócił

wzrok. Daala na razie nic nie rozumiała, a wtedy na ekranie znów pojawiła się Vaandt. Prezydent Sojuszu Galaktycznego musiała przyznać, że ze szpiczastymi uszami, szoną białego filtra na głowie i wąskimi oczami reporterka była urzekającą istotą.

- Jemu chyba nie chodziło o futro - powiedziała Daala rześkim, ale łagodnym tonem. - Jest piękna, ale nie wydaje mi się, żeby właśnie to przykuwało uwagę Neka. Raczej ma to jakiś związek z zamachem na niego. - Spojrzała na hologram, który znów rozkwitł szczytami i iglicami. - Musi mieć.

Asokaji spojrział na Ysa'iego i zawiadomił, że doktor Javir jest już w drodze. Teraz zmarszczył brwi i wbił zamyślane spojrzenie w wideoekran. Daala wskazała pilota leżącego po przeciwnej stronie łóżka Bwua'tu i dała znak kciukiem. Posłuszny poleceniu Wynn włączył dźwięk.

Obraz pokazywał teraz zbliżenie mandaloriańskiego ślizgacza desantowego, przepędzającego z placu tłum przerażonych Octusan, ale głos Vaandt nadal szedł w tle:

- ...twierdzą, że zostali wynajęci, żeby chronić placówki Korporacji Górniczej Sextuny, ale nie wydaje się to prawdopodobne. - Obraz zmienił się i teraz na wideoekranie widać było olbrzymią kopalnię odkrywkową, zajmującą całe zbocze spustoszonej góry gdzieś na Blaudu Sextus. - To jest najbliższa placówka Sextuny, położona ponad osiemdziesiąt kilometrów od centrum Arari, gdzie odbywają się protesty.

Na ekranie znów pojawiła się drobna twarz Vaandt.

- Protesty przebiegały całkowicie pokojowo, dopóki nie przybyły mandaloriańskie ślizgacze desantowe i nie zaczęły rozjeżdżać Octusan, zbyt upartych, żeby uciekać. Nawet po tej całkowicie jednostronnej prowokacji jedynymi ofiarami pozostali protestujący. - Na ekranie pojawiło się duże, okrutnie zmiażdżone, pokryte splątaniem futrem ciało. - Biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia wokół Świątyni Jedi, zaczynam się zastanawiać, co takiego ci Mandalorianie próbują chronić. I dla kogo tak naprawdę pracują.

- Ona posuwa się za daleko, Wynn. - Daala spojrzała gniewnie na swojego asystenta, stojącego po przeciwnej stronie łóżka Bwua'tu. - Musimy coś z tym zrobić.

- Rozumiem - odparł Wynn spokojnie. - Nie jestem tylko pewien, co możemy zrobić. Chyba że jest pani skłonna zaryzykować otwartą rozprawę.

Co tak naprawdę znaczyło: „Jeśli nie chcemy, żeby cała galaktyka dowiedziała się, że Vaandt ma rację, musimy to przełknąć”. Daala zacisnęła zęby, odwróciła wzrok... i zobaczyła, że Bwua'tu drgnęła powieka.

- Widział pan to? - zapytała, odwracając się do Ysa'iego. - Mrugnął.

- Nie widziałem. A pani nie powinna z tego powodu nabierać fałszywej nadziei - odparł

bothański lekarz. - To odruch bezwarunkowy.

Daala powróciła wzrokiem do admirała, mając nadzieję, że znów mrugnie. Nie zrobił tego, za to teraz na własne oczy widziała, jak wzrasta jego aktywność neurologiczna za każdym razem, kiedy na ekranie pojawiała się Vaandt.

- Nie, doktorze, to coś oznacza - uparła się. Znów zerknęła na wideoekran, na którym Vaandt właśnie kończyła reportaż na tle zasnutej dymami panoramy Arari. - Prawdopodobnie istnieje jakiś związek między Madhi Vaandt a zamachem.

Zaskoczony Asokaji rozchylił pokryte bliznami płyty policzkowe. Spojrzał na Wynna z taką miną, jakby uważał, że Daala straciła rozum.

- Coś cię niepokoi, Ryong? - zapytała Daala. - Mów, nie boję się.

- Dziękuję, pani prezydent - odparł tamten. - Uważam, że pani teoria nie ma sensu. Czemu reporterka miałyby być zamieszana w zamach na admirała Bwua'tu?

- Nie powiedziałam, że jest w to zamieszana - poprawiła go Daala. - Powiedziałam, że ma z tym jakiś związek. A na dziś to wszystko, co mamy.

- Na pewno? - zapytał Asokaji. - Wiem, że według pani to nie mogła być sprawka Jedi, bo zamach się nie udał. Ale może jednak się udał? Może celem nie było zabójstwo, a wyłączenie admirała z gry? - Wskazał na kombinezon pokrywający korpus Bwua'tu. - Tylko Jedi umiałby zrobić coś takiego, oszczędzając życie ofiary.

Daala uniosła brwi. Musiała przyznać, że taka możliwość nie przyszła jej do głowy. Ale to też jakoś jej nie pasowało. Opuściła jedną brew i spojrzała na Wynna.

- Czasami atak mieczem świetlnym to po prostu atak mieczem świetlnym - powiedział jej asystent po chwili namysłu. - Ale nie widzę motywu. - Spojrzał na Asokajiego. - Jeżeli Bwua'tu próbował pomóc Hamnerowi znaleźć kompromis z prezydent Daalą, czemu Jedi mieliby chcieć go zabić?

- Bo nie wszyscy Jedi chcą kompromisu - odparował Asokaji. - Hamner powiedział

admiralowi, że ma problemy z przekonaniem innych Mistrzów do zachowania cierpliwości. Może jakaś grupa zdecydowała się wziąć sprawy w swoje ręce i zakończyć negocjacje?

- Nie można tego wykluczyć - przyznała Daala, przypominając sobie zamach na rodzinę Solo. Ten zamach, który zniweczył wszystkie jej próby wynegocjowania kompromisu. - Nie ma wątpliwości, że ktoś chce, żebyśmy wciąż skakali sobie do gardeł z Zakonem.

- No właśnie. - Asokaji skinął głową. Oczy miał utkwione w Bwua'tu i nie trzeba było być mistrzem w odczytywaniu wyrazu twarzy Bithów, żeby wiedzieć, że pragnie zemsty. - Musimy przypomnieć Jedi, gdzie ich miejsce, zanim będzie za późno, pani prezydent. Skoro byli zdolni do zaatakowania admirała Bwua'tu, zaatakują i panią.

- Ryong, nie mamy przecież pewności, że to oni zaatakowali admirała - powiedział poblądły nagle Wynn. - To szczątkowe dowody, które mamy, sugerują raczej coś wprost przeciwnego.

- Nie doceniasz Jedi. - Asokaji obszedł łóżko i wepchnął się między Daalę a Ysa'iego. -

Proszę tylko wydać rozkaz, a jutro poprowadzę szturm pięciu tysięcy marines na Świątynię Jedi.

Ta perspektywa kusila Daalę... i to nawet bardzo. Ale chociaż nade wszystko chciała pokazać Jedi, gdzie jest ich miejsce, to jednak nie chciała ich niszczyć, chyba że okazałoby się to absolutnie nieuniknione. Zresztą nawet gdyby uznała, że to jest nieuniknione, na pewno nie powierzyłaby tego zadania komuś tak wyraźnie uprzedzonemu.

- Dziękuję za ofertę, komandorze - spojrzała na Asokajiego - ale nie wyobrażam sobie, żeby Jedi mieli przeprowadzić pozorowany atak Jedi tylko po to, żeby utrudnić nam śledztwo. Zbyt wiele rzeczy mogłoby im się nie udać.

- Pozwala pani, żeby uszło im to płazem - jęknął Bith i opadły mu ramiona.

- Nie masz racji. - Daala pokręciła głową i położyła dłoń na jego ramieniu. - Zapewniam cię, że ktokolwiek to zrobił admirałowi Bwua'tu, zapłaci za to. Ale chcę dorwać prawdziwych zamachowców, a nie kogoś, kogo nam podsuwają.

- Bardzo rozsądnie, pani prezydent - pochwalił Wynn ze słyszalnym westchnieniem ulgi. -

Nie chcemy tańczyć, jak nam zamachowcy zagrają.

- Nie, nie chcemy - zgodziła się Daala. - Chcemy tylko dowiedzieć się, kim są. I chcemy, żeby wiedzieli, że ich szukamy. Chcemy, żeby się bali. Bardzo bali.

- Czy mam założyć, że ma pani już jakiś plan, jak to osiągnąć? - Wynn wyglądał na zmartwionego.

- Możesz tak zakładać. - Daala spojrzała znów na wideoekran, na którym Madhi Vaandt właśnie przedstawiała podsumowanie wydarzeń całego dnia na Blaudusie. - Doktorze Ysa'i, czy



wybaczy nam pan i poczeka na zewnątrz? Chcielibyśmy dokonać pewnych tajnych ustaleń.

## ROZDZIAŁ 13

Cios pięści wyrzucił Vestarę z groty na stertę gruzu, którą Arcylord Taalon wypchnął

wcześniej Mocą z prowadzącego do jaskini korytarza. Tocząc się tyłem po kamieniach, przycisnęła głowę do piersi, żeby uchronić czaszkę przed roztrzaskaniem o kamienie, ale nie podjęła żadnych innych środków obronnych. Trzy obroty później uderzyła we fragment połamanej kolumny i wreszcie się zatrzymała. Bolało ją całe ciało i kręciło jej się w głowie. Ledwie zaleczony bark znów zaczął pulsować bólem, a kreska różowej wilgoci powiedziała jej, że jej stara rana brzucha otworzyła się ponownie.

Dwie pary butów zaczęły zbliżać się do niej od strony wyjścia z groty. Vestara z trudem wstała i stanęła na baczność. Arcylord Taalon uderzył ją już trzykrotnie i na pewno nie zechce klęknąć, żeby obejrzeć swoje dzieło. Tunika i spodnie dziewczyny były podarte w kilkunastu miejscach, odsłaniając imponujący zestaw ran i szybko ciemniejących siniaków. Krwawiła z nosa, miała podbite oczy i pękniętą wargę, ale jak do tej pory nic nie zapowiadało trwałego zezpeczenia.

Mimo obaw, że Arcylord Taalon zechce to zmienić, Vestarze nawet przez myśl nie przeszło, żeby błagać o litość. Po walce z Lukiem Skywalkerem jej ojciec był w znacznie gorszym stanie niż ona sama: stracił przedramię i miał dwa paskudne oparzenia w miejscach, gdzie został trafiony z blastera. Nawet Taalon oddychał z trudem z powodu połamanych żeber, a jego policzek nabrzmiał i poczerniał jak owoc guama. Co gorsza, coś stało się z jego oczami, od kiedy wpadł do Sadowki Wiedzy. Źrenice miał teraz tak wielkie, że jego oczy przypominały dwie studnie. Kiedy Vestara patrzyła w nie dłużej, zdawało jej się, że widzi na dnie tych źrenic dwie przyćmione gwiazdy.

Obaj mężczyźni okrążyli Vestarę, uważnie przyglądając się jej obrażeniom. Wreszcie zatrzymali się przed nią. Ciarki przeszły jej po plecach, kiedy Taalon oglądał ją jeszcze przez chwilę od stóp do głów, ale wreszcie odwrócił się do jej ojca.

- Jak sądzisz, Mieczu Khai? Czy to wystarczy?

Twarz Khaia zastygła w zamyśleniu. Udzielenie odpowiedzi na to pytanie było dla niego wyjątkowo bolesne. Niemal niezauważalnie zmarszczył brwi. Ostatnią rzeczą, jaką chciał oglądać, było krzywdzenie Vestary przez Taalona. Ale wiedział równie dobrze jak ona, że okazanie litości mogło oznaczać dla niej śmierć.

- Widać wyraźnie, że była bita - powiedział w końcu, kręcąc głową - ale czy to wystarczy, żeby oszukać Jedi? Potrzebujemy czegoś poważniejszego. Może złamanego nosa albo pękniętej gałki ocznej...

Vestara próbowała nie okazać strachu, podczas gdy Taalon przyglądał się jej twarzy, zastanawiając się nad sugestią ojca. Każdy kompetentny chirurg mógłby naprawić jej nos, ale oko pozostałoby problemem już na zawsze. Nawet najlepsza proteza byłaby dla wysublimowanych Keshirich nie do przyjęcia. Co więcej, uznaliby ją za znacznie gorszą skazę niż maleńka blizna w kącie jej ust.

Ale Taalon tylko pokręcił głową.

- Skywalker jest sprytny. Poważną ranę uznałby za próbę nadania opowieści Vestary wiarygodności i wywołania sympatii dla niej.

- Ale taka rana wystarczyłaby, żeby wzbudzić sympatię chłopaka - zauważył Khai. - Jest ciągle bardzo naiwny.

- Rzeczywiście. W ten sposób uniknęlibyśmy też pytań, jak zwyklej uczennicy udało się uciec bez szwanku. - Taalon chwycił Vestarę za brodę i odwrócił jej głowę, żeby dokładniej przyjrzeć się swojemu dziełu. - Czy młody Skywalker się w tobie zakochał?

- Nie jestem pewna, czy to już miłość. - Vestara poczuła na policzkach ciepło rumieńca, ale odpowiedziała szczerze. - Ale wiem, że fantazjuje o przeciągnięciu mnie na Jasną Stronę.

- Doprawdy? - Taalon uniósł brew i spojrzał na Khaia. - Co byś powiedział na córkę Jedi, Mieczu Khai?

- Trudno mi wyobrazić sobie, z czego mógłbym być bardziej dumny, Arcylordzie... - Gavar uśmiechnął się cynicznie - ...przynajmniej dopóki w duszy pozostałaby Sithem.

- Tak, to byłoby konieczne - potwierdził Taalon. Wciąż trzymał Vestarę za podbródek. - A ty, dziecko? Co czujesz do młodego Skywalkera?

- Nie jestem pewna, mój panie - przyznała Vestara, spuszczać wzrok. Nawet nie myślała, żeby skłamać. I tak nic by to nie dało, a Taalon zacząłby tylko podejrzewać ją o niejasne intencje. -

Chyba mogłabym się w nim zakochać, ale...

Przerwała, niepewna, co właściwie chciała dodać.

- Ale? - Głos jej ojca brzmiał surowo. - Nie jesteś pewna?

Wiedząc, że nie powinna korzystać z wymówki, którą próbował jej podsunąć ojciec, dziewczyna podniosła wzrok i pokręciła głową.

- Nie. Po prostu nie chcę tego.

Ku jej zdziwieniu to wyznanie wywołało na twarzy Taalona przyjazny uśmiech.

- Ależ musisz, moja droga - powiedział. - Jeśli młody Skywalker czuje, że się w nim zakochujesz, to i on zakocha się w tobie.

- Nie zabroniłbyś mi tego? - Vestara otwierała szeroko oczy w zdumieniu.

- Zabronić młodszej miłości? - Rozbawiony Taalon parsknął śmiechem, a z jego złamanego nosa trysnęła krew na poszarpaną tunikę Vestary. - Moja droga, nawet Arcylord Sithów nie może zabronić

pewnych rzeczy. Jedyne, co ci rozkazuję, to żebyś używała tego, co czujesz.

Dokładnie tak, jakbyś używała gniewu lub bólu. Czy możesz to zrobić?

- Oczywiście! - Vestara z zapałem i ulgą kiwnęła głową.

- To dobrze. - Taalon, nie puszczając jej podbródka, nachylił się i zbliżył twarz do jej twarzy. - Rozumiesz, czego potrzebujemy?

- Mam się dowiedzieć, kim jest królowa Jedi - domyśliła się Vestara. - Ta, którą widziałeś w Sadzawce Wiedzy.

- Nie! - Taalon ścisnął jej zuchwę tak mocno, że Vestara przestraszyła się, czy nie zechce jej złamać. - Masz się dowiedzieć o niej wszystkiego, a nie tylko tego, kim jest.

- Ttt-aaa-k - Vestara ledwo dała radę wykrztusić odpowiedź. - Rozumiem.

- Wątpię w to. - Taalon ścisnął mocniej, a czarna pustka jego spojrzenia wciągnęła Vestarę.

Dziewczynie zakręciło się w głowie i poczuła pustkę, jakby spadała w głąb studni tych oczu. - To ważne zadanie, Vestaro. Znacznie ważniejsze niż zabicie Skywalkerów albo odkrycie, co się stało z Abeloth. Być może to najważniejsze zadanie, jakie kiedykolwiek zleciłem jakimukolwiek Sithowi.

- Mój panie, jestem zaszczycona - powiedziała Vestara, naprawdę tak się czując. - Czy mogę wiedzieć dlaczego?

- Bo to zobaczyłem, moje dziecko. - Taalon spojrzał w kierunku groty. Puścił wreszcie Vestarę, ale Sithanka nadal czuła się uwięziona, zagubiona w mrocznej otchłani jego spojrzenia. -

Przeznaczenie ma tylko jeden tron i jeśli królowa Jedi na nim zasiądzie, Sithowie nie będą mogli tego zrobić.

Leśne powietrze stało się przytłaczające, a Vestara nie była pewna, czy uniesie ciężar, jakim naprawdę były usłyszane przed chwilą pochwały. Wiedziała, że Moc jest w niej silna, ale Skywalkerowie byli potężni, a Ben to zahartowany w walce wojownik, znacznie bardziej doświadczony niż ona. Jej jedyną przewagę stanowiły dziewczęcy urok i zdradziecki charakter, ale nie była na tyle głupia, żeby wierzyć, że stawia ją to na równi z Lukiem Skywalkerem ani nawet z jego synem.

- A więc naszym celem jest dowiedzenie się, kim jest ta królowa? - odezwał się ojciec Vestary, podczas gdy ona ze zdziwienia milczała dłużej, niż wypadało. - I zabicie jej, zanim wstąpi na tron?

- Nie ograniczajmy się do tego, Mieczu Khai - odparł Taalon. - Możliwe, że nawet Jedi nie wiedzą jeszcze, kim jest ich królowa. Może nawet się jeszcze nie urodziła.

- Lordzie Taalonie - powiedział Khai - jeśli królowa jeszcze się nie urodziła, skąd mamy wiedzieć, że Vestara cokolwiek odkryje? Albo że Jedi wiedzą o tym więcej niż my?

- Stąd, że zaatakowali wtedy, kiedy zaatakowali - wyjaśniła Vestara; przypomniała sobie, że walka zaczęła się tuż po tym, jak Arcylord Taalon zobaczył obraz Jedi na tronie. - Ben próbował

nakłonić mnie do udawania, że nie znaleźliśmy groty. Potem, kiedy już byliśmy w środku, jego ojciec zaatakował dokładnie wtedy, kiedy Arcylord Taalon zobaczył tę ich królową.

- Dokładnie wtedy... - Taalon cofnął się i spojrzał na grzybową dżunglę. - Jedi wiedzą coś o tej królowej... a ja znam Vestarę. Odkryje, co to takiego.

## ROZDZIAŁ 14

W dżungli szalał rój ptasich ciem. Były jasne jak klejnoty, niektóre saballinowoniebieskie, inne rardowoczerwone lub coratyłowo żółte. Cykały i poćwierkiwały jak tysiąc miniaturowych robotów astromechanicznych pod jonowym ostrzałem. Niektóre były małe jak ludzki paznokieć, ale inne miały rozmiary głowy Bitha. Nic nie próbowało ich zjeść. Żółwie drzewne ciasno pokrywały łodygi widłaków, a paprocie olbrzymie ugiwały się pod ciężarem zwisających z nich skrzydlatych węży. Najbardziej niepokojący był jednak brak wstrząsów i huku dobiegających do tej pory od strony wulkanu.

Było, jak to się mówi, podejrzanie spokojnie. Luke zrozumiał dlaczego, gdy tylko dotarł na skraj dżungli, gdzie piaszczysta skarpa górowała nad plażą.

Dziesiątki ogromnych jaszczurów drendeki przelatowały nad rzeką, a ich wielkie skrzydła przesłaniały słońce. Bliżej brzegu stado długonogich gadów, przypominających krzyżówkę eopie z wychudzonym nerfem, stało po kostki w karmazynowej wodzie i spokojnie ją popijało, a w pobliżu unosiła się ławica złocistych meduz dławiących. Trzydzieści metrów od brzegu spoczywał na płozach w kształcie litery S należący do Sithów „Emiax”. Opadające skrzydła promu niemal dotykały błękitnego piasku.

- Hej! - odezwał się Ben, wyłaniając się z dżungli obok Luke'a. - Nie ma „Cienia”.

- Jesteś bardzo spostrzegawczy, Jedi Skywalker - parsknął Luke. - Ale jeśli chcesz zrobić na mnie wrażenie, powiedz mi, kto go zabrał.

- To zbyt proste, staruszk. - Ben spojrzał w niebo, dając do zrozumienia, że podobnie jak ojciec doszedł do racjonalnego wniosku: Abeloth ukradła ich statek i uciekła z planety. - Jak rozumiem, właśnie zasłużyłem na tytuł Mistrza?

- Niezupełnie. - Luke popatrzył na syna, sprawdzając, czy rana mu się nie otworzyła i czy jakoś się trzyma po ich długim biegu znad Sadzawki Wiedzy. - Żeby zostać Mistrzem, musiałbyś ściągnąć tu z powrotem...

- Statek? - przerwał ojcu Ben. - Czy tylko Abe...

Nie dokończył pytania, bo przerwał mu przytłumiony trzask błyskawic Mocy dobiegający z głębi dżungli za ich plecami. Obaj Jedi zeskoczyli z piaszczystej skarpy i odwrócili się, żeby wyrzucić

między roślinnością porastającą jej krawędź. Nawet korzystając z Mocy, żeby wyostrzyć wzrok, Luke nie widział dalej niż na dwadzieścia metrów poprzez rój ptasich ciem i splątany gąszcz liści. Rozciągnął postrzeganie w Mocy w kierunku, z którego dobiegł dźwięk, ale poczuł tylko aurę pierwotnej biosfery planety, żarłocznej, splątanej i zabarwionej ciemnością. Na szczęście i ojciec, i syn ukrywali swoją obecność w Mocy, więc wykrycie obecności Skywalkerów nie powinno przyjść Sithom łatwo. Ale to nie była wielka pociecha, jeśli wziąć pod uwagę rany Bena, zniknięcie

„Cienia” i ucieczkę Abeloth.

- Sithowie - wyszeptał chłopiec. - Prawdopodobnie ścigają Vestarę.

- Albo chcą, żebyśmy tak pomyśleli - zasugerował Luke. Wyciągnął detonator termiczny z uprząży z wyposażeniem i ruszył w górę brzegiem. - Idź przygotować „Emiaksa” do lotu.

- Tato... proszę, nie. - Ben chwycił go za łokieć.

- Martwisz się o dziewczynę? - Luke odwrócił się i zobaczył w oczach syna troskę.

- Widziałem, jak Taalon uderzył ją podczas walki - powiedział Ben. - Mogli uznać, że przeszkadzała im celowo.

- Gdyby w to wierzyli, już by nie żyła - odparł Luke. - Ben, wiem, że lubisz przeciągać ładne dziewczęta na Jasną Stronę, ale Vestara to nie Tahiri. Ją wychowano na Sitha.

- Tato, tamta błyskawica Mocy była przeznaczona dla kogoś, i to nie byliśmy my - upierał się Ben. - To musiała być Vestara.

- Nie przeczę. Chcą jej przygotować grunt pod szpiegowanie nas.

- Już raz to robili - przypominał Ben. - Jak długo, twoim zdaniem, będą jeszcze próbować tej samej sztuczki?

- Tak długo, dopóki nie przestaniemy się na nią nabierać.

- No dobra, może to i jest ta sama sztuczka. - Ben skrzywił się, ale przyznał Luke'owi rację.

- Ale to nie ma znaczenia. Vestara jest Sithem i wie, gdzie leży Kesh, a to oznacza, że jest dla nas najlepszym źródłem informacji o wrogu. Czy naprawdę możemy sobie pozwolić na porzucenie kogoś takiego?

- No... niby nie - powiedział Luke, opuszczając z rezygnacją głowę. - Ale nie będziemy ryzykować przy tej dziewczynie. Jeden fałszywy ruch i...

- Wiem: zastrzelimy ją - skinął głową Ben. - Po prostu myślę, że zasługuje na szansę.

- Ostatnią szansę. - Luke przypiął detonator z powrotem do uprząży i wskazał synowi

„Emiaksa”. - Będziesz musiał ominąć zabezpieczenia wjazdu, więc spróbuj dostać się do środka z przeciwnej strony statku. Może zyskasz dzięki temu kilka dodatkowych minut, jeśli Sithowie się pojawią, zanim dostaniesz się do środka.

- W porządku - powiedział Ben z uśmiechem. - Właśnie to w tobie podziwiam, tato.

- Przeworność?

- Wiara, którą pokładasz w synu - wyjaśnił Ben i ruszył w dół skarpy w podskokach. - Jak sądzisz, ile może mi zająć otwarcie wjazdu, który ma więcej lat niż ty?

Luke odgryzłby się tekstem o staranniejszym wykonaniu starych zaników, ale jego publiczność była już na dole skarpy i biegła przez plażę w stronę „Emiaksa”. Szata młodego Jedi była rozpięta, odsłaniając cały bok i biodro pokryte zakrzepłą krwią. Pomarszczona blizna widniała w miejscu, w którym zasklepili ranę przy użyciu kleju pierwszej pomocy. Luke aż zadrżał na myśl, jak mało brakowało, żeby Ben zginął, ale równocześnie poczuł dumę, widząc, jak sprytnie i z humorem jego syn radzi sobie z raną. I chociaż nadal uważał, że okazywanie wyrozumiałości Vestarze albo komukolwiek z Zapomnianego Plemienia Sithów nie ma sensu, to jednak podziwiał

młodego Jedi za empatię i skłonność do dawania innym drugiej, a nawet trzeciej szansy.

Starszy Skywalker wyciągnął blaster, przepelznął nad krawędzią skarpy i ukrył się w poszyciu. Dżungla trwała nieruchomo. Mistrz Jedi przez kilka minut leżał, wdychając zapach zbutwiałej ziemi, na wpół się spodziewając, że chwytnie pnącze zmiażdży mu kostkę lub płuca wchłoną trujący pyłek kłokolca. Nic go jednak nie zaatakowało, a on był dość inteligentny, żeby rozumieć, jakie to przerażające miejsce. Abeloth wywiodła ich wszystkich w pole. I Jedi, i Sithów.

Luke nie umiał zgadnąć, od jak dawna ta istota snuła swoje plany. Może zamierzała uciec już od czasu wojny z Yuuzhan Vongami, kiedy po raz pierwszy sięgnęła Mocą ku Benowi i innym młodym Jedi przebywającym w Schronie. A może tylko desperacja przywiodła ją do ucieczki z planety przed tymi, którzy chcieli ją zniewolić lub zniszczyć. Skywalker był pewien tylko jednej rzeczy: „śmierć” Abeloth była podstępem. A teraz istota, samotna i wolna, leciała na pokładzie

„Cienia Jade” w głąb galaktyki.

Mistrz Jedi zaczął się właśnie zastanawiać, czy aby Sithowie nie zbliżają się z mniej oczywistej strony, kiedy płatanina liści paproci nareszcie drgnęła. Chwilę później wychynęła z niej Vestara. Biegła szybko, tłumiąc Mocą odgłos swoich kroków. Ręka dziewczyny znów wisiała bezwładnie pod zranionym barkiem, a twarz była napuchnięta i pokryta sińcami. Luke poczuł na jej widok ukłucie litości. Jej obrażenia, czy były zadane w gniewie, czy stanowiły część podstępu, były prawdziwe. Oczywiście zdało mu się podejrzane, że nie ma żadnych bardzo ciężkich urazów, ale z drugiej strony i tak mógłby uznać, że są tylko po to, by wzbudziły współczucie Bena.

Vestara przebiegła obok jego kryjówki i zatrzymała się na skraju dżungli. Ramiona jej opadły, gdy spojrzała na plażę przy rzece. Luke nie mógł zbadać aury Mocy uczennicy Sithów bez ryzykowania, że wykryje ona jego obecność, ale widząc, jak oparła ręce o biodra i kopnęła korzeń, odgadł, iż jest

bardziej zła niż przestraszona zniknięciem „Cienia”. Co prawda musiał przyznać, że dziewczyna nie należała do łatwo wpadających w panikę, więc jej pozorny spokój niekoniecznie oznaczał, że jej ucieczka była podstępem.

Kiedy jednak Vestara wypluła słowo, które mogło być tylko keshirskim przekleństwem, i dalej stała na krawędzi skarpy, najwyraźniej czekając na ścigających ją ojca i Taalona, Luke zrozumiał, że jej życie nie jest zagrożone. Pobicie było tylko podstępem, zastosowanym, żeby wykorzystać uczucia jego syna. Luke’owi zrobiło się niedobrze, kiedy zrozumiał, co poczuje Ben, jeśli dowie się, jak okrutnie ta dziewczyna próbowała nim manipulować. Niestety nie mógł sobie pozwolić na oszczędzenie chłopcu tej rany. Ben nie zrozumiałby oszustwa, dopóki nie doświadczyłby jego efektów na własnej skórze. Mistrz Jedi wiedział, że chłopak zaakceptuje słabości ludzkiego serca tylko wtedy, kiedy jego własne go zdradzi. Zanim stanie się wielkim Jedi, którym pisane mu było zostać, Ben musi naprawdę dobrze zapamiętać tę naukę. Luke’owi krwawiło serce, ale obowiązek ojcowski wymagał od niego, żeby tylko się przyglądał i był pod ręką, aby w razie czego wesprzeć syna.

Vestara stała na skraju dżungli tylko przez chwilę, kiedy z gąszczu za jej plecami dobiegł

przytłumiony tupot biegnących nóg. Dziewczyna odwróciła się w stronę wylaniającego się pomiędzy liści Arcylorda Taalona i zaczęła coś mówić w języku Keshirich. Ku zdumieniu Luke’a odpowiedzią Lorda Sithów były błyskawice Mocy, które trafiły Vestarę prosto w pierś i posłały ją w dół skarpy. Po chwili dziewczyna zniknęła Skywalkerowi z oczu.

Mistrz Jedi poczekał, aż Taalon bardziej się odsłoni; potem, odnotowując obecność Gavara Khai ukrytego w dżungli za plecami Lorda Sithów, odbezpieczył blaster. Obaj Sithowie musieli wyczuć grożące im niebezpieczeństwo, bo rzucili się w poszukiwaniu osłony, jeszcze zanim Luke wcisnął spust i posłał w ich stronę grad śmiertcionośnych wiązek. Khai zdążył zniknąć w poszyciu, ale Skywalker trafił Taalona w obojczyk i w szyję.

Wciąż utrzymując ogień zaporowy, Luke wyciągnął detonator termiczny z upręży z wyposażeniem i ustawił zapalnik na trzy sekundy. Potem wybrał opcję Ruch i cisnął urządzenie na ziemię, jakiś metr od siebie. Wycofał się ostrożnie, nadal prowadząc ogień, i dopiero kiedy opuszczał dżunglę, Sithowie zaczęli odpowiadać ogniem. Sięgnął poprzez Moc do Bena i poczuł

jego niecierpliwość i wzburzenie. Najwyraźniej jego syn miał problem z ominięciem zabezpieczeń wjazdu „Emiaksa”. Skywalker posłał jeszcze kilkanaście wiązek blasterowych w głąb dżungli, a potem przerwał ogień i zaryzykował spojrzenie w stronę promu.

Ben stał po tej samej stronie pojazdu, przyciskając swoją kieszonkową konsolę slicerską do kadłuba tuż nad panelem kontrolnym wjazdu. Gorączkowo naciskał klawisze i wpatrywał się w ekran konsoli w poszukiwaniu wskazówek, jak wygląda rozkład zabezpieczeń. Mniej więcej w połowie skarpy Vestara właśnie zaczynała podnosić się po trafieniu błyskawicą Mocy. Trzęsły nią niekontrolowane skurcze, ale - choć z trudem - podniosła się na kolana. Cienka smużka dymu unosiła się z jej ciała w miejscu, gdzie żar błyskawic wypalił w jej szacie dziurę.

Luke ponownie przyjrzał się dżungli. Wpatrywał się przez chwilę w gąszcz, aż wreszcie jeden z liści

zadrzał. Jedi posłał w tamtą stronę grad wiązek blasterowych, przerwał na kilka chwil, a potem znów otworzył ogień. Tym razem jego celem był cień, który mógł, ale nie musiał być osobą leżącą w poszyciu. Jego wysiłki zostały nagrodzone keshirskim przekleństwem i cień zniknął z pola widzenia.

Uznając, że Sithowie na pewno zrobią się teraz ostrożniejsi i ich następne natarcie będzie powolniejsze, Luke wycofał się kilka metrów w dół skarpy i przypadł do boku Vestary. Twarz dziewczyny była w opłakanym stanie, a przez dziurę w jej szacie widać było trzy oparzenia. Czuć było smród spalonego materiału. Skywalker nie mógł zaprzeczyć, że Sithanka wyglądała na kogoś, kto pilnie potrzebuje ochrony Jedi.

Mistrz Jedi nie dał się oczywiście na to nabrać... ale było mu jej żal. Pomógł jej wstać i razem ruszyli plażą w stronę „Emiaksa”. Ben był już tak sfrustrowany próbami pokonania zamka, że nawet nie próbował używać konsoli slicerskiej; wpatrywał się we właz z mieczem świetlnym w dłoni.

- Abeloth ukradła „Cień” - wyjaśnił Luke, prowadząc wciąż roztrzęsioną Vestarę za łokieć. -

Będziesz musiała nam pomóc pożyczyć „Emiaksa”.

- Nie... nie jestem pewna, czy mogę - powiedziała Vestara. - Tylko Arcylord Taalon wie...

Przerwał jej grzmot eksplozji detonatora termicznego, dobiegający ze szczytu skarpy.

Spojrzeli za siebie i zobaczyli dziesięciometrowej średnicy kulę białego światła, pochłaniającą fragment dżungli. Kiedy Luke odzyskał wzrok, pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, był głęboki krater wypełniony zeszkłonym piaskiem, ziejący w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą rosły strzeliste paprocie, i widłaki olbrzymie. Jedi spojrzał na Vestarę.

- Jak sądzisz - zapytał - czy Taalon i twój ojciec wpadli w moją pułapkę?

- A ty byś w nią wpadł? - Vestara uniosła wyzywająco podbródek.

- Marne szanse. - Luke uśmiechnął się i pociągnął ją dalej plażą, tym razem zmuszając do biegu. - A to znaczy, że masz wybór: możesz pomóc nam z „Emiaksem” albo zostać tutaj i wyjaśnić Arcylordowi Taalonowi, czemu nie wypełniłaś swojego zadania.

- Zadania? - powtórzyła Vestara. Jak każdy szanujący się szpieg, do samego końca grała niewiniątko. - Nie wiem, o czym mówisz.

- Widziałem, jak zareagowałaś na zniknięcie „Cienia”. - Luke sięgnął po jej miecz świetlny i odpiął go od pasa. - A jeśli ma dojść do kolejnej walki, byłbym głupcem, pozwalając, żeby zaczęła się przy nierównych siłach.

Vestara zawsze była bystra, więc potrzebowała tylko dwóch kroków, żeby podjąć decyzję.

Odwróciła się w stronę „Emiaksa”; Ben właśnie włączył swój miecz świetlny i szykował się do wbicia ostrza we właz.



- Odłóż ten miecz, nerfi mózdzku! - Uwolniła się z uścisku Luke'a i przeskoczyła ostatnich dziesięć metrów dzielących ją od promu. - Wszystko, czego potrzebujesz, to Moc.

- Ma wewnętrzny zatrask? - zapytał Ben, unosząc brwi. - Tak jak „Cień”?

- Nic tak skomplikowanego, Ben. - Vestara przewróciła oczami. Przesunęła wzrok na panel kontrolny i zamek wjazdu otworzył się z cichym sykiem. - Wystarczyło wyłączyć zabezpieczenia w kabinie.

Ben zaczerwienił się, gdy rampa wejściowa wysunęła się ze statku.

- Właśnie miałem tego spróbować.

- Jasne, jasne.

Vestara chwyciła Bena za rękę i ruszyła z nim w górę rampy. W tej samej chwili po kręgosłupie Luke'a przebiegł dreszcz zmysłu niebezpieczeństwa. Kiedy się odwrócił, zobaczył

Taalona i Khaia w kraterze pozostawionym przez eksplozję detonatora termicznego. Natychmiast otworzył ogień, zmuszając ich, by padli na ziemię, i wycofał się w stronę rampy promu.

Nie zdążył nawet dotrzeć do stóp rampy, gdy poczuł, jak ktoś unosi go Mocą w powietrze.

Po chwili znalazł się wewnątrz „Emiaksa.”

- Ech, wy Jedi - mruknęła Vestara. Luke upadł na pokład u jej stóp i zauważył, że dźwignia kontrolna rampy sama przestawia się w pozycję Uniesiona. - Czy wy do czegokolwiek używacie Mocy?

## ROZDZIAŁ 15

Powstania niewolników na Klatooine i Blandu Sextus przyciągały już tyle samo uwagi, co proces morderczyni Pellaeona, więc tłum wypełniający widownię Dziewiątej Sali Sprawiedliwości znacznie zmalał. Kiedyś można było liczyć co najwyżej na miejsca stojące, teraz zajęta była tylko większość siedzących. Tahiri nie była pewna, czy ta zmiana jest dla niej dobra, czy nie, ale wiedziała, że poprawiło to humor jej adwokata. Nie wyglądał już na przybitego, jak jeszcze parę dni temu. Wręcz przeciwnie, tego ranka promieniował pewnością siebie i witalnością, a minę miał

niemal uradowaną. Biorąc pod uwagę, że do tej pory to Sul Dekkon dominował nad salą rozpraw, niewątpliwie coś musiało się zmienić. Tahiri miała tylko nadzieję, że tym czymś nie było poczucie rzeczywistości jej adwokata.

Gdy Bothanin kładł na stole swoją antyczną aktówkę, sięgnęła do kłapy jego świetnie skrojonej białej marynarki i przebiegła po niej palcami. Ubranie zrobione było z niewyobrażalnie drogiej wełny, utkane z sierści tauntauna. Pod marynarką adwokat miał białą kamizelkę; taki fason wyszedł z mody już na dekadę przed urodzeniem Tahiri. Ale najwyraźniej starszek czuł się w tym stroju lepiej niż w formalnej szacie i okryciu, które nosił do tej pory.

- Wygląda pan dziś bardzo elegancko - pochwaliła prawnika Tahiri. - Chyba spał pan lepiej.

- Moja droga, ostatnio wcale nie sypiałem źle. - Eramuth posłał jej przyjazny uśmiech.

Potem nad jej głową błysnął też zębami do Sula Dekkona, unosząc górną wargę dość wysoko, żeby nadać uśmiechowi drapieżny wyraz. - Ale naszego przeciwnika czeka trochę bezsennych nocy, to mogę ci obiecać.

- Miło mi to słyszeć - powiedziała Tahiri, starając się, żeby w jej głosie brzmiało zaufanie. -

Bo, prawdę mówiąc, trochę się już niepokoję.

- Niepotrzebnie, zapewniam cię. - Eramuth przyglądał się przez chwilę swojemu przeciwnikowi, a potem spojrzał na przejście przecinające widownię. - Idzie nam całkiem dobrze.

- Tak naprawdę to martwiłam się o pana.

- Doprawdy? - Głos Eramutha zrobił się roztargniony, jakby coś odwróciło jego uwagę.

Tahiri spojrzała w przejście i zobaczyła Hana i Leię w towarzystwie Landa Calrissiana i atrakcyjnej Lorradianki. Kobieta miała długie bursztynowe włosy związane w warkocze, które opadały na jej ramiona i z przodu, i z tyłu. - Popatrz, kogo tu mamy, moja droga. To wschodząca gwiazda sali rozpraw, Sardonne Sardon. - Bothanin zdawał się zdziwiony.

Zanim Tahiri zdążyła zaprotestować, albo chociaż wyjaśnić obecność Sardonne, Eramuth zostawił stół za plecami i ruszył w kierunku barierki oddzielającej właściwą salę rozpraw od widowni. Jego klientkę bardzo zdziwiło, że rozpoznał Sardonne. Prawniczka nie tylko była o dwa pokolenia młodsza od Eramutha, ale też nigdy nie spotkała się z nim w sądzie i była, jak ujął to Lando, „pilnie strzeżonym sekretem”. Po prostu jej kompetencje nie przyciągnęły jeszcze uwagi, na którą zasługiwała.

- To wielka przyjemność panią poznać, moja droga. - Eramuth zaskoczył młodszą prawniczkę, wyciągając do niej nad barierką dłoń. - Przejrzałem akta niektórych pani spraw. To, jak wywalczyła pani niewinność w sprawie kradzieży speedery na Travaless, było szczególnie błyskotliwe.

- Przeglądał pan akta sprawy z Travaless? - zapytała Sardonne, a jej otoczone ciemnymi rzęsami oczy otworzyły się szeroko ze zdumienia. Zgodnie z prośbą Tahiri swoją formalną szatę ukryła pod długim płaszczem. - Nawet ja ledwo pamiętam tamtą sprawę.

- Niech pani nigdy o niej nie zapomni, moja droga - odparł Eramuth. - Argumentacja, że omamy oskarżonej usprawiedliwiały fakt obejścia zabezpieczeń, była natchniona. A już udowodnienie, że ona we własnym wyobrażeniu kupiła ten pojazd, było po prostu genialne.

- Dziękuję, panie mecenasie. - Uśmiech rozjaśnił twarz Sardonne. - Z pana ust to dla mnie ogromny komplement.

- I zasłużony, moja droga... o tak, zdecydowanie zasłużony. - Eramuth puścił jej dłoń i spojrzał na zatłoczony rząd siedzeń za stołem obrony. - Ale szkoda, że nie uprzedziłaś mnie, że będziesz dziś przyglądać się rozprawie. Obawiam się, że zarezerwowałem tylko trzy miejsca.

- Dziękuję, ale sobie poradzę. - Uśmiech Sardonne nie zniknął.

Jej spojrzenie zahaczyło o stół obrony na chwilę tak krótką, że nawet Tahiri niemal je przeoczyła. Ale nie Eramuth. Uniósł uszy i powoli odwrócił się do Tahiri.

- Rozmawialiśmy o tym - przypomniał. - Nie chcę żadnej pomocy.

- Może i tak - powiedziała Leia, podchodząc do barierki. - Ale czy aby nie jest ważniejsze, czego chce Tahiri?

Oczy Eramutha zwęziły się, ale wyglądał bardziej na zawiedzionego niż na zdenerwowanego. Patrzył jeszcze przez chwilę na Leię, aż w końcu obrócił się na pięcie i spojrzał

na Tahiri.

- To jak będzie? - zapytał. - Czy tego właśnie chcesz?

Wypełniająca salę gwar zaczął cichnąć, gdy publiczność zrozumiała, że coś się dzieje przy stole obrony. Dwie kamery-droidy wychynęły z tłumu i pomknęły w ich stronę. Tahiri zerknęła na Leię i oczami wskazała na droidy, a potem odwróciła się do Eramutha.

- Już kilka razy panu mówiłam, że potrzebujemy pomocy. Tahiri mówiła cicho, zmuszając Eramutha, żeby podszedł bliżej, ale zupełnie zamilkła, póki nie zobaczyła, że Leia machnięciem ręki posłała oba droidy w stronę tylnej ściany. Używanie Mocy wewnątrz Dziewiątej Sali Sprawiedliwości było właściwie nielegalne, ale równie nielegalne było wprowadzanie kamery-droida na salę rozpraw, więc dziewczyna wątpiła, żeby Leii groziło wyrzucenie z sądu.

Kiedy kamery roztrzaskały się już o ścianę, a Eramuth usiadł koło niej, Tahiri znów zaczęła szeptać:

- Przysypiał pan w sądzie, Eramuth. A za każdym razem, kiedy próbuję wspomnieć o załatwieniu kogoś do pomocy, pan upiera się, że nikogo nie potrzebuje i każe strażnikom zabrać mnie z powrotem do celi.

- To dlatego, że nie potrzebuję zastępcy. - Eramuth rzucił Sardonne potępiające spojrzenie. -

Szczególnie wyglądającego tak jak ona.

- Przed chwilą powiedział pan, że jest genialna!

- Bo jest - przyznał Eramuth. - Ale ty nie potrzebujesz geniusza. Potrzebujesz mnie.

- Potrzebuję jednego i drugiego - upierała się Tahiri. - A skoro to mnie grozi kara śmierci, będę nalegać.

- Moja droga - westchnął Eramuth, wbijając wzrok w stół. - Uwierz, że to ja mam plan.

- Czy zasypianie w sądzie jest częścią twojego planu? - odparowała Tahiri.

- Wiem, że trudno w to uwierzyć...

- Eramuth - przerwała mu. - Byłam kiedyś Jedi. Jak pan myśli, jestem naiwna?

- Najwyraźniej nie bardzo. Jesteś pewna, że taka jest twoja decyzja? - zapytał prawnik, nie podnosząc głowy.

Tahiri spojrzała na Leię, Hana i Lando, którzy właśnie przepychali się obok reporterów na swoje zarezerwowane miejsca. Niektórzy musieli czekać pół nocy w kolejce, żeby dostać miejsca w pierwszym rzędzie. Kiedy cała trójka zachęcająco pokiwała głowami, była Jedi westchnęła i skinęła głową.

- Przykro mi, że tak wyszło, Eramuth - powiedziała. - Ale nie zostawił mi pan wyboru.

- Cóż, rzeczywiście chciałem uniknąć tej rozmowy - przyznał stary Bothanin.

Niespodziewanie położył rękę na jej dłoni, a ból, który zobaczyła w jego oczach, zaskoczył Tahiri. -

Ale nie martw się. To nie pierwszy raz, kiedy atrakcyjna młoda kobieta rani moje uczucia.

- Eramuth, ja po prostu myślę, że proces pana zmęczył - powiedziała. - A ja potrzebuję pana w najlepszej formie.

- Rozumiem, moja droga - powiedział prawnik, wstając. - I, jak mówisz, to o twoje życie toczy się gra.

Podszedł do woźnego i poprosił o dodatkowe krzesło, a potem ruszył w stronę barierki i osobiście otworzył bramkę, żeby wpuścić Sardonne. Prawniczka szybko zdjęła płaszcz i podała go małżeństwu Solo. Kilka następnych niezręcznych minut spędziła, czekając na krzesło. Udało jej się wyglądać na pewną siebie i nieprzejętą powszechną uwagą, mimo że oczy całej widowni były w niej utkwione. Ale Tahiri nie zwiodła, bo aura Mocy Sardonne płonęła podekscytowaniem. Zresztą czemu nie? Nieważne, czy wygra, czy przegra. Sam udział w procesie morderczyni Gilada Pellaeona sprawi, że jej nazwisko stanie się powszechnie znane.

Ledwo dodatkowe krzesło dotarło, a już do sali weszła sędzia Zudan. Włączyła wysoki, przeszywający dzwonek, żeby nakazać zebranim spokój. Kok miała zawiązany jeszcze wyżej niż zwykle, przez co jej gadzie rysy wyglądały na ostrzejsze. Natychmiast spojrzała na Sardonne Sardon, siedzącą przy końcu stołu obrony.

- Widzę, że mamy dziś nową twarz za stołem obrony - powiedziała. - Proszę przedstawić się sądowi.

- Oczywiście, Wysoki Sądzie. - Adwokatka wstała. - Sardonne Sardon, obrońca oskarżonej.

- Dziękuję - powiedziała Zudan i odwróciła się do Eramutha. - Cieszę się, że przemyślał pan moją radę i jednak wziął asystentkę.

- W zasadzie, Wysoki Sądzie - Eramuth wstał - mecenas Sardon nie jest moją asystentką.

Przejmie dziś obronę mojej klientki. Ja odstępuję od sprawy.

W gruncie rzeczy Tahiri nie powinna być zaskoczona. Widziała przecież ból w oczach Eramutha, kiedy nalegała, żeby przyjął pomoc Sardon. Ale jednak ją to zdziwiło. Odstąpienie od sprawy tuż po ogłoszeniu takiego zamiaru było co najmniej nieprofesjonalne, a była Jedi spodziewała się po Eramucie więcej.

Najwyraźniej podobnie myśleli inni obecni w sali. Całe pomieszczenie wypełnił gwar zdumionych głosów. Nie ucichł, póki sędzia Zudan nie wcisnęła palca w guzik dzwonka na swoim pulpicie i nie przytrzymała go tam. Kiedy w końcu zapadła cisza, Falleenka zgromiła wzrokiem widownię i udzieliła wszystkim upomnienia za zakłócanie posiedzenia jej sądu. Wreszcie znów spojrzała na Eramutha.

- A jaki jest powód, dla którego prosi pan o pozwolenie na rezygnację?

Eramuth znów wstał. Wyglądał jeszcze starzej i bardziej nerwowo niż przez ostatnich kilka dni.

- Jestem pewien, że Wysoki Sąd wie o zamachu na mojego bratanka, admirała Neka Bwua'tu.

- Oczywiście - skinęła głową Zudan. - Podobnie jak cała cywilizowana galaktyka.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie. - Eramuth skinął głową, jakby przyjmując kondolencje, których Zudan wcale nie złożyła, a potem dodał: - Tak długo, jak pozostaje on w śpiączce, ciąży na mnie obowiązek trwania u jego boku, więc...

- Przepraszam, panie mecenasie - powiedziała Zudan, unosząc dłoń, żeby go uciszyć. - Czy pański bratanek nie jest aby w śpiączce już od trzech tygodni?

- Owszem, jest.

- I dopiero teraz uznał pan, że ta sytuacja uniemożliwia panu zapewnienie swojej klientce odpowiedniej obrony?

- Dopiero niedawno to zauważyłem, Wysoki Sądzie. - Eramuth wzruszył ramionami.

- Rozumiem. - Zwężone oczy Zudan dowodziły, że Falleenka rozumie, że prawnik ją okłamuje. Odwróciła się do Sardonne. - A pani, mecenas Sardon? Czy jest pani gotowa przejąć obronę?

Lorrdianka wstała, a jej starannie kontrolowany wyraz twarzy nie zdradzał ani śladu zaskoczenia i niepokoju, które Sardonne, zdaniem Tahiri, musiała właśnie odczuwać.

- Nie w chwili obecnej, Wysoki Sądzie - powiedziała prawniczka. - Ale jeśli wolno mi prosić o czterodniową przerwę na przygotowanie...

- Wolno pani prosić - przerwała jej Zudan i przeniosła wzrok na Eramutha. - Mecenasie Bwua'tu, odmawiam pańskiej prośbie o odstąpienie.

- Ależ Wysoki Sądzie! - Bothanin gniewnie stulił uszy. - Mój bratanek...

- Podjęłam decyzję, panie mecenasie. - Zudan rozkazała woźnemu wprowadzić przysięgłych, po czym nachyliła się nad pulpitem, żeby zgromić spojrzeniem zebranych za stołem obrony. - Nie wiem, co próbujecie osiągnąć w ten sposób, ale gwarantuję, że na mojej sali rozpraw takie zachowanie nie przyniesie niczego dobrego. Czy to jasne?

- Tak, Wysoki Sądzie. - Sardonne odpowiedziała pierwsza.

- Mecenasie Bwua'tu? - zapytała Zudan.

- Wysoki Sądzie, zapewniam, że...

- Potraktuję to jako zgodę, panie mecenasie. - Zudan spojrzała na Tahiri. - A oskarżona?

- Tak, Wysoki Sądzie. - Tahiri opadła na fotel, zastanawiając się, jak przebiegnie ten dzień w sądzie. Na razie zapowiadał się źle. - Rozumiem całkowicie.

## ROZDZIAŁ 16

Tego dnia Wielki Plac Rozrywki wyglądał raczej jak tłoczny bazar niż pylisty skwer, na którym urządzano tradycyjne wyścigi i zapasy. Zebrało się tutaj kilka tysięcy obszarpanych Octusan - wszyscy oni pomrukiwali, nucili, tupali i przygotowywali się do następnego marszu przez centrum Arari. Madhi Vaandt nie umiałaby powiedzieć, kto dowodzi całą inicjatywą, bo wszędzie jak okiem sięgnąć widać było starszych osobników wygłaszających mowy, wydających instrukcje, a także czuwających nad naprawą i wymianą tablic i transparentów zniszczonych przez Mandalorian podczas ostatniej demonstracji.

Około pięćdziesięciu Octusan, obnoszących z dumą rany po strzałach z blastera, ustawiło się na odległym krańcu placu, prawie dokładnie naprzeciwko warsztatu naprawczego droidów, w którym ukrywała się Madhi i jej zespół. Z tego, co reporterka widziała ze swojego punktu obserwacyjnego - czyli pogrążonego w mroku magazynu na pierwszym piętrze - ta demonstracja zapowiadała się na największą do tej pory. Wszystko wskazywało na to, że represje, jakie dotknęły niewolników podczas ostatniego marszu, tylko ich zahartowały i zwiększyły ich determinację.

Madhi zerknęła w stronę pobliskiego okna, pod którym przyczaił się jej kamerzysta, montujący właśnie na swoim sprzęcie niewielki obiektyw, pozwalający filmować pod kątem prostym. Szczupły mężczyzna o siwiejących jasnych włosach i ogorzałej, pooranej bruzdami twarzy, Tyl Krain, wziął ją pod swoje skrzydła od początku jej kariery. Nauczył ją nie tylko fachu, ale także wpoił zasady moralne, których jego zdaniem powinien się trzymać każdy dobry reporter podczas wykonywania swojego zawodu - co też Madhi starała się czynić. Krótko mówiąc, to Tyl przekształcił młodą, ambitną Devaroniankę w dziennikarkę, która cieszyła się zaufaniem legendarnego Perre'a Needma - i Madhi kochała go za to jak ojca.

No cóż, może niezupełnie jak ojca, bo jej zdaniem Krain był całkiem przystojny.

Mężczyzna skończył właśnie montowanie obiektywu, ustawił ogniskową, aktywował ekran... i z miejsca wybałuszył oczy i zaczął nagrywać.

- Namierzyłeś Jedi? - zagadnęła go Madhi.

Tajemniczy kontakt z Lotu Wolności uprzedził ich, że na Blaudu Sextusa leci dwóch Jedi -

Sothais Saar i Avinoam Arelis - których wysłano, aby zapobiec masakrze. Mało prawdopodobne, żeby zdołali dotrzeć tu tak szybko - podróż na tę planetę była długa i wymagała wielu skoków przez nadprzestrzeń. Z drugiej strony jednak, Jedi byli znani z imponujących wyczynów, a przedstawiciel Lotu Wolności obiecał, że czeka ich niespodzianka.

Krain uparcie milczał, więc Madhi powtórzyła:

- Tyl?

- Nie, to nie Jedi - odszepnął operator. Od tłumy jazgotliwych Octusan dzieliło ich piętnaście centymetrów muru, więc nie było szans, żeby ktoś ich dosłyszał. Devaronianka domyśliła się, że skoro jej przyjaciel mówi szeptem, musi się dziać coś bardzo, ale to bardzo niedobrego. Nie spuszczać wzroku z niewielkiego ekranu, Tyl zagadnął Cheva, ich asystenta, stojącego w pogotowiu na tyłach magazynu:

- Shohta, włącz generator i połącz nas z HoloNetem. Perre będzie chciał to rzucić na żywo.

Madhi natychmiast wyrzała na wąski korytarz, zastawiony regałami pełnymi części robotów, i skinęła głową czekającemu przy drzwiach Chevowi. Ten był niewolnik, którego wygrała, podczas zawodów w picciu na Vinsoth, Shohta Laar, jeszcze nie przywykł do tego, że jest wolny, i zawsze czekał na pozwolenie swojej „pani”, zanim wypełnił polecenie kogoś innego.

Kiedy Shohta zabrał się do rozstawiania sprzętu, Madhi wróciła do swojego okna, wyrzała na zewnątrz... i całkiem ją zatkało. Uliczki dochodzące do alei otaczającej Wielki Plac blokowało chyba ze dwanaście ślizgaczy desantowych typu QuickStryke; lufy ich działek laserowych były skierowane w dół, w stronę zgromadzonych, a wieżyczkę każdego pojazdu zajmował

Mandalorianin, przygotowany, żeby osłaniać obrotowym działkiem automatycznym oddział

wysiadających właśnie z pojazdów mandaloriańskich komandosów.

Octusanie co jakiś czas rzucali w stronę maszyn podejrzliwe spojrzenia, ale nie przerywali przygotowań do marszu. Madhi spędziła na planecie wystarczająco dużo czasu, żeby wiedzieć, że niezbyt rozgarnięci tubylcy najprawdopodobniej nie rozumieją, co oznacza przybycie Mandalorian.

Byli łagodną, posłuszną rasą, która nie mogła pojąć, że nie wszyscy są nastawieni równie pokojowo, jak oni. A skoro ich zgromadzenie na Wielkim Placu Rozrywki nie naruszało zasad ustanowionych przez ich panów, Blaudunian, nawet nie przeszło im przez myśl, że Mandalorianie mogą chcieć ich skrzywdzić.

W przeciwieństwie do Madhi, która miała całkiem dobre pojęcie o tym, co się zaraz stanie.

Dziennikarce krajało się serce. Miała ochotę wybiec na zewnątrz i ostrzec Octusan o grożącym im niebezpieczeństwie; chciała krzyknąć do nich, żeby uciekali albo chociaż stawili czoło przeciwnikowi i stanęli do walki. Jakiś cichy głosik szeptał jej do ucha, że powinna wziąć ze sobą Tyla i wystawić się na widok wszystkich zgromadzonych na dachu budynku, żeby Mandalorianie zrozumieli, że cała galaktyka dowie się za chwilę o tym, co tu się stanie - cokolwiek planują.

Tymczasem westchnęła tylko i zawołała:

- Shohta, długo jeszcze? Chciałabym, żebyśmy byli na wizji, kiedy się zaczną zamieszki.

- Zamieszki, proszę pani? - Chev był wyraźnie zaskoczony. - Sądzi pani, że wybuchną zamieszki?

- Albo dojdzie do rzezi - uściśliła ponuro Madhi. - Bardzo prawdopodobne, że będziemy tu mieli jedno i drugie. - Usłyszała, że Shohta przerwał pracę, a kiedy cisza przeciągała się kilka długich sekund, obejrzała się na korytarz. Chev stał bez ruchu, przygarbiony; w jednej ręce trzymał

wtyczkę, a w drugiej złączkę. Na jego twarzy o dość tępym wyrazie malowało się przerażenie.

- Shohta! - przynagliła go. - Musimy zaraz nadawać!

Chev tylko zwiesił niżej głowę.

- Czy to znaczy, że możemy w HoloNecie pokazywać na żywo masakrę? - spytał głucho. -

Nie powinniśmy jakoś temu zaradzić?

- Robimy, co możemy, Shohta - zapewniła go Madhi. - Wykonujemy naszą pracę. A jeśli ty także chcesz się wykazać, połącz nas z HoloNetem.

Shohta uklęknął i podłączył wtyczkę do generatora. Poruszał się powoli i niechętnie, jakby chociaż w ten sposób chciał zaprotestować. Madhi знаła ten rodzaj reakcji - typowy dla niewolników i innych uciśnionych istot. Czując się nagle jak tyran, odetchnęła głęboko i przemówiła do podwładnego łagodniejszym tonem:

- Posłuchaj, Shohta. Jesteśmy dziennikarzami, nie Jedi. Nie możemy się w to mieszać.

- Nawet po to, żeby ich ocalić? - dopytywał żałośnie były niewolnik, ale zanim Madhi zdążyła mu odpowiedzieć, usłyszała głos Tyla:

- Nawet po to, żeby ich ocalić - powiedział stanowczo, nie spuszczając oka z ekranu kamery. - Jeśli się wtrącimy, zmienimy bieg historii.

- A co jest nie w porządku w zmienianiu historii? - burknął zaczepnie Shohta. - Co jest złego w ratowaniu niewinnych istot?



- A to, że jeśli zaczniemy się wtrącać, najprawdopodobniej zginiemy jako pierwsi - wyjaśnił

Tyl twardo. - A wtedy galaktyka nigdy się nie dowie o tym, co tu zaszło.

- Nie jesteśmy policją ani służbami medycznymi - dodała Madhi łagodnie. - Jesteśmy dziennikarzami. Nasz obowiązek to relacjonowanie faktów.

- Skoro pani tak twierdzi... - wymamrotał Shohta. Wcisnął i przytrzymał przycisk dezaktywacji zabezpieczenia zasilacza, a potem powoli omiół wzrokiem niewielki panel kontrolny w poszukiwaniu włącznika, którym prawdopodobnie pstrykał już tysiące razy od chwili, kiedy dołączył do zespołu Madhi. - Jak tylko się włączy, będę musiał znaleźć dobre miejsce dla anteny.

Powinniśmy mieć łączność za jakieś dziesięć minut lub coś koło tego.

- Dziesięć minut?! - Tyl wreszcie oderwał wzrok od wyświetlacza i odłożył ostrożnie swój sprzęt na bok. - To niedorzeczne, Shohta. Jeśli ma ci to zająć tyle czasu, sam się tym...

- Spokojnie, Tyl - weszła mu w słowo Madhi - zajmij się kamerą. Shohta doskonale sobie poradzi.

Operator podniósł wysoko brwi, ale skinął tylko głową i posłusznie wrócił do filmowania.

Devaronianka odwróciła się z powrotem do Cheva.

- Shohta, wiem, jak się czujesz, Tyl zresztą też to wie, ale w tej pracy liczy się przedstawienie prawdy, nie to, co o niej sądzisz... - Urwała, czekając na potwierdzenie. Na próżno, więc podjęła: - Jeśli wyjdziemy do nich, żeby interweniować, to będzie historia o nas, nie o Mandalorianach i powodach, dla których demonstranci tu przyszli.

- Ale moglibyśmy wtedy ocalić wiele istot - upierał się Shohta.

Madhi pokręciła smutno głową.

- Pewnie masz rację - westchnęła - ale na dłuższą metę nie miałyby to znaczenia, bo wkrótce zginęliby następni. Nie możemy być tu za każdym razem, kiedy banda oprychów spróbuje przemocą stłumić bunt niewolników.

- Dzięki naszej pracy cała galaktyka zobaczy na własne oczy, co się tu dzieje - dodał Tyl, pilnie śledząc wydarzenia na ekranie kamery. - Widzowie pewnie nie przejmują się zbytnio losami mieszkańców świata tak odległego od szlaków nadprzestrzennych, że Imperium nigdy nawet nie zatroszczyło się o jego skatalogowanie, ale moim zdaniem, kiedy zobaczą Mandalorian Strzelających do Octusan z zimną krwią, nie pozostaną obojętni.

- I to nie dotyczy tylko sytuacji na Blaudu Sextusie - dopowiedziała Devaronianka. - To samo można powiedzieć o Tatooine, Karfedonie, Thalassii... i o Vinsoth. Jeśli będziemy robić to, co do nas zależy i ujawniać prawdę o niewolnictwie, może i wreszcie obywatele przestaną tolerować, że Galaktyczny Sojusz przymyka na to wszystko oko. Może istoty rozumne zaczną się zastanawiać, kto wysyła Mandalorian, żeby tłumili bunty. - Zawiesiła głos i pozwoliła sobie na chytry uśmieszek. - A

kiedy im to powiemy, skończy się jej samowolka.

- Jeżeli oczywiście potwierdzą się nasze podejrzenia - przypomniał jej kwaśno Tyl.

- Spokojna głowa - zapewniła go. - Uda się ją złapać za rękę, kiedy prześledzimy transakcje albo kiedy szefowie Sextuny wreszcie zmęczą się braniem winy na siebie i zdradzą, kto tak naprawdę płaci Mandalorianom. W końcu powinie jej się noga, nie mam co do tego wątpliwości.

- Czy mówiąc „ona”, masz na myśli Daalę? - spytał Shohta. - Czy ona pomaga handlarzom niewolników?

- To więcej niż pewne - potwierdziła reporterka. - Ale na razie nie mamy twardych dowodów, które by to potwierdziły.

Tyl oderwał wzrok od wyświetlacza i obejrzał się na Shohtę.

- Musisz zdecydować, czy chcesz ją powstrzymać - powiedział cicho. - Czy chcesz pomóc wszystkim niewolnikom, czy tylko tym, których widzisz tu i teraz.

Madhi zauważyła, że żal w oczach Shohty zmienia się stopniowo w zrozumienie, a potem w determinację; jego palce szybko znalazły odpowiedni przycisk, którego szukał z takim mozolem przez kilka ostatnich chwil. Kiedy generator obudził się do życia z cichym szcęknięciem i zabuczał miarowo, Chev złapał pospiesznie zestaw antenowy i zaczął z nim chodzić po pomieszczeniu, nie spuszczając z oka ekranu interfejsu w poszukiwaniu najsilniejszego sygnału.

- Połączenie w ciągu dwóch minut - poinformował wreszcie. - Przepraszam za opóźnienie.

- Nie trać czasu na przeprosiny - mruknęła niecierpliwie Madhi. Wsunęła do ucha słuchawkę i aktywowała mikrofon przyczepiony do kołnierzyka. - Lepiej mnie połącz. Szybko. -

Odwróciła się do okna i zobaczyła, że mandaloriańscy komandosi już obstawili cały plac. Octusanie chyba w końcu wyczuli, że coś jest nie w porządku, bo przerwali przygotowania i patrzyli z niepokojem w stronę głównego wylotu placu, położonego jakieś sto metrów od miejsca, w którym zgromadzili się ranni uczestnicy ostatniej demonstracji. Reporterka podeszła do ściany i wyciągnęła szyję, usiłując zobaczyć, co takiego zaniepokoiło tubylców.

Wąską alejką przebiegającą pod warsztatem naprawczym przejeżdżał właśnie wóz pancerny typu QuickStryke. Z wjazdu wystawała głowa i tors ubranego w mandaloriańską zbroję żołnierza o jasnych, krótko przystrzyżonych włosach i zimnych niebieskich oczach. Policzek przecinała mu długa, brzydka blizna, a rozplaszczony, krzywy nos (najwyraźniej złamany więcej niż raz) sugerował, zdaniem Madhi, że facet nie jest zbyt biegły w walce wręcz. Trzymał głowę wysoko i patrzył na Octusan z góry, całkiem jak rzeźnik wybierający bydło, które ma pójść pod nóż.

- Wygląda znajomo - mruknęła pod nosem i w tej samej chwili przed oczami stanął jej obraz z reportażu, który widziała w HoloNecie. Dotyczył oblężenia Świątyni Jedi. Devaronianka wyciągnęła z kieszeni datapad i ustawiła wyszukiwanie. - Czy to nie on zastrzelił tę uczennicę na stopniach Świątyni Jedi? - spytała głośnie.

- Bardzo możliwe - odparł Tyl. - Rhal? Jakoś tak mu chyba było. Rhal jakiś tam.

Madhi wpisała nazwisko do notesu i chwilę później mogła przejrzeć skrócone sprawozdanie z incydentu. Uczennica Jedi, Kani Asari, pełniła funkcję osobistej asystentki Kentha Hamnera, a jej zabójcą był mandaloriański dowódca, nasłany na Jedi przez samą przywódczynię Sojuszu Daalę.

Madhi przyjrzała się zdjęciu zabójcy, a kiedy wyjrzała przez okno, serce uderzyło jej mocniej.

- Tyl, to rzeczywiście on! - szepnęła, podekscytowana. - Miałeś rację! To Belok Rhal, Mandalorianin odpowiedzialny za oblężenie Świątyni Jedi!

- I co z tego? - spytał operator kamery, nie bardzo wiedząc, do czego zmierza jego przyjaciółka.

- Daala wysłała go na oblężenie Świątyni, a on zabił nieuzbrojoną uczennicę na oczach mediów - wyjaśniła pospiesznie Madhi. - A teraz ma tłumić rewoltę na Blaudu Sextusie!

- To zbieg okoliczności, nie dowód - ochłodził jej zapał Tyl. - I wcale nie potwierdza jego związku z Daalą.

- Racja - zgodziła się z nim Madhi - ale to bezsporny fakt, a my informujemy o faktach, prawda?

Tyl zastanawiał się przez chwilę nad jej słowami, wreszcie - choć niechętnie - skinął głową.

- Tylko uważaj na słowa, dobrze? - poprosił.

- Spokojna głowa - obiecała mu. - Nie będę nic sugerować. - Wyjrzała przez okno.

QuickStryke zatrzymał się właśnie przed rannymi Octusanami, których Rhal omiółł władcym wzrokiem, pewnie szukając przywódcy. - Shohta, jak tam połączenie?

- Jest łączność z przekaźnikiem - poinformował Chev - ale próbuję złapać szersze pasmo.

Mają tu przestarzały sprzęt, więc odbieramy tylko sygnał trzeciego stopnia.

Madhi spojrzała z niepokojem na Tyla. Przy trzecim stopniu nadawania i standardowym paśmie dźwięk będzie zakłócony, a obraz ziarnisty i niestabilny, jednak cała relacja powinna być wystarczająco czytelna. Po namyśle reporterka uznała, że marna jakość może nawet zadziałać na ich korzyść, dodając relacji dramatyzmu.

- No dobra, zaczynamy - zarządziła.

Krain skinął głową.

- Szukaj dalej - polecił Shohcie - i daj na Madhi mikrofon paraboliczny. Będziemy potrzebowali wzmocnionego sygnału dla Rhała. - Podniósł dłoń i zaczął odliczać do pięciu na palcach. Tymczasem Madhi przejrzała w myśli listę punktów, które zamierzała poruszyć we wprowadzeniu, pamiętając

cały czas o tym, że jej sprawozdanie dotrze do studio Perre'a Needma na początku ich dnia pracy, jakieś sześć godzin przed planowym programem. Teraz obraz z placu zostanie przesłany do studia; tam asystent kierownika produkcji na pewno natychmiast uruchomi rejestrowanie i wpuści go do wewnętrznej sieci studia. Tą drogą nagranie szybko dotrze do samego Perre'a Needma i starszego personelu produkcji, który zdecyduje, czy nadać reportaż od razu, czy może poczekać z relacją. Zważywszy na prawdopodobieństwo, że demonstracja zamieni się w rzeź, Madhi mogła pójść o zakład, że dadzą ich na wizję natychmiast - co oznaczało, że jeśli chce zadowolić swoich przełożonych, musi często wspominać w swojej relacji tytuł programu: *Przegląd wydarzeń Perre 'a Needma*.

Tyl zagiął ostatni palec i Madhi zaczęła spokojnie, poważnym głosem:

- Witajcie. Mówi dla was Madhi Vaandt. To relacja na żywo dla programu *Przegląd wydarzeń Perre 'a Needma*. Nadajemy z planety Blaudu Sextus w układzie Regulan, mało znanego świata na krańcu galaktyki, gdzie władza działa poza zasięgiem praw Sojuszu. Za mną widzą państwo Wielki Plac Rozrywki, octusańską arenę sportową w stolicy planety, Arari, otoczoną przez zmechanizowaną kompanię mandaloriańskiej piechoty, nadzorującą octusańskich niewolników przygotowujących się do rozpoczęcia protestacyjnego marszu przez miasto. Chociaż będzie to trzynasty z organizowanych codziennie protestów, obecność Mandalorian jest wyraźną demonstracją siły. Octusanie to pokojowa rasa, a ich manifestacjom towarzyszy zawsze porządek, spokój i dobra organizacja. Wszystko wskazuje jednak na to, że ich blauduniańscy właściciele są coraz bardziej poirytowani niedogodnościami, powodowanymi przez codzienne marsze. Wczoraj grupa mandaloriańskich najemników wynajętych do stłumienia buntu otworzyła ogień do tubylców idących w pierwszym szeregu. W ataku zginęło piętnastu, a rannych zostało ponad pięćdziesięciu uczestników marszu. Wybuchła też panika, co doprowadziło do poważnego zniszczenia mienia członków ruchu walczącego o zniesienie niewolnictwa. Dziś, chcąc uniknąć podobnej sytuacji, mandaloriańscy najemnicy postanowili otoczyć Octusan w miejscu, z którego ma wyruszyć marsz.

Dodam, że wykorzystali do tego siły zbrojne przystosowane raczej do walk w terenie zurbanizowanym niż do kontroli tłumu. Niezależnie od tego, jakie dostali rozkazy, obecność Mandalorian na pewno nie wróży nic dobrego, zwłaszcza że ich siłami dowodzi doświadczony żołnierz znany ze swojej bezwzględności... - Madhi zerknęła na Tyla, czekając na znak, że kamera jest teraz skierowana na Rhala. Kątem oka zobaczyła Shohtę, zbliżającego się do niej z niewielkim mikrofonem parabolicznym, dzięki któremu będą mogli wychwycić każde słowo dowódcy najemników. W normalnych okolicznościach etyka dziennikarska zabraniała podsłuchiwanie kogokolwiek bez jego wiedzy, jednak skoro Rhal działał publicznie i najwyraźniej przygotowywał

się do oficjalnego wystąpienia, można było tę sytuację zaliczyć do wyjątków. Madhi skinęła Shohcie z wdzięcznością głową i skierowała urządzenie przez okno w stronę Rhala. Operator dał jej znak, na który czekała, więc bez chwili zwłoki podjęła: - ...komendant Belok Rhal, znany już zapewne naszym widzom. To właśnie on dowodził siłami Mandalorian podczas oblężenia Świątyni Jedi na Coruscant. Przywódczyni Sojuszu Daala osobiście powierzyła mu zadanie: miał zmusić Jedi do wydania Rycerzy Jedi Sothaisa Saara i Turi Altamik, którzy cierpieli wtedy na tajemniczą chorobę nękającą Zakon Jedi. Nie wiadomo, czy w zakres jego uprawnień wchodziło przyzwolenie na mord, bo tylko garstka wysoko postawionych oficjeli znała pełny zakres jego obowiązków.

Jedno jest jednak pewne: to właśnie Belok Rhal zamordował z zimną krwią nastoletnią Kani Asari na schodach Świątyni Jedi, przed obiektywami kamer coruskańskich mediów. Sugeruje to, że jego obecność tutaj nie wróży nic dobrego. - Rhal spojrział na jednego z octusańskich Starszych o pomarszczonej twarzy i siwym futrze i zaczął coś mówić, ale ze swojej kryjówki Madhi nie słyszała wyraźnie. - Chyba zaraz się dowiemy, czego można się spodziewać po obecności mandaloriańskich najemników... - ściszyła głos do dramatycznego szeptu: - Posłuchajmy, co ma do powiedzenia komendant Rhal. - Włączyła mikrofon paraboliczny i chwilę później usłyszała w słuchawce głos Mandalorianina, przesyłany dalej do widzów na Coruscant, lekko zakłócany przez szumy i trzaski, ale wystarczająco zrozumiały: - ...polecono nam rozpedzić to nielegalne zgromadzenie i mamy zamiar wypełnić ten rozkaz - huknął komendant. - Jak się nazywasz, niewolniku?

Octusanin wystąpił z tłumu i stanął przed quickstrykiem.

- Jestem Wartki-Nurt-Niosący-Wiatr z rodziny Redolog, Starszy Zespołu Transportowego Quansasi. A jak brzmi twoje imię, Mandalorianinie?

- Nie twój interes - warknął Rhal. - Zakładam, że przewodzisz tej tłuszczy, mam rację?

Wartki-Nurt-Niosący-Wiatr skłonił głowę.

- Jestem jednym ze Starszych, zgadza się. - Położył rękę na lufie działka quickstryke'a. - I proszę cię, Nie-Twój-Interesie, żebyś usunął stąd swoje rydwany. Mój lud się ich boi.

- A więc twój lud jest mądry. - Rhal wcisnął jakąś kontrolkę wewnątrz wjazdu i jego głos zabrzmiał głośniejsz, docierając do uszu wszystkich zgromadzonych na placu. - Wszyscy Starsi wyjdą teraz z tłumu. To rozkaz.

Kiedy kilkudziesięciu Starszych posłusznie skierowało się w stronę czołgu, wśród Octusan rozległa się fala pomruków. Wartki-Nurt-Niosący-Wiatr stanął bokiem do Mandalorianina, zezując jednym osadzonym w młotowatej głowie okiem na niego, a drugim śledząc zbliżających się do nich Starszych.

- Dlaczego? - spytał.

- Bo ja tak mówię - wyjaśnił beznamiętnie Rhal. - Jak już wspomniałem, to nielegalne zgromadzenie...

- Nie - wszedł mu w słowo Wartki-Nurt-Niosący-Wiatr, spokojnie, stanowczo, ale na tyle głośno, że było go słychać na całym placu, aż Starsi przerwali marsz. Wartki-Nurt odwrócił się znów do Mandalorianina i podjął: - Nie jesteś panem żadnego z nich. Nie możesz nam rozkazy... -

nie dokończył, bo jego głowę przeszył promień wystrzelony z blastera Rhala. Octusanin zgiął się wpół i upadł bez życia na pylistą ziemię.

Madhi była tak zaskoczona i wstrząśnięta, że na chwilę dosłownie ją zamurowało; nie mogła wykrztusić słowa, dopóki nie dosłyszała cichego głosu Tyla:

- Daję zbliżenie na ciało. - Przy sygnale trzeciego stopnia jego słowa będą pewnie słyszalne w tle relacji, ale teraz nie miało to znaczenia. Właśnie sfilmowali scenę morderstwa dokonanego z zimną krwią, więc widzowie będą zbyt zaszokowani, żeby się wsłuchiwać w słowa operatora kamery. - Może dodaj coś od siebie, a potem zrób jakąś uwagę o ewentualnych konsekwencjach...

Uwaga Tyla sprowadziła Madhi z powrotem na ziemię i dziennikarka gładko wróciła do przerwane komentarza:

- Oglądają państwo relację Madhi Vaandt specjalnie dla *Przeglądu wydarzeń Perre a Needma*. Przed waszymi oczami rozegrała się właśnie mrożąca krew w żyłach scena zabójstwa.

Jeden z octusańskich Starszych zginął z ręki mandaloriańskiego komendanta, Beloka Rhala.

Octusanie są na pewno tak samo wstrząśnięci jak my; nikt nie wie, czym to wszystko się skończy...

- Na zewnątrz Rhal wycelował właśnie blaster w następnego Starszego i Madhi wyłączyła na chwilę mikrofon. - Tyl, złap to... - szepnęła.

- Mam - zapewnił ją operator, zanim skończyła, i ustawił kamerę pod innym kątem. -

Komentuj na bieżąco. Obraz może się okazać na tyle kiepski, że będziesz musiała wyjaśniać, co się dokładnie dzieje.

Madhi znów włączyła dźwięk, zanim jednak zdążyła coś powiedzieć, mikrofon paraboliczny wyłapał słowa Rhala:

- Ty tam! Bliżej, niewolniku!

Octusanin nie ruszył się z miejsca.

- Nie - powiedział głośno i wyraźnie.

Rhal bez namysłu nacisnął spust, posyłając w korpus Starszego promień błękitnej energii.

Octusanin otworzył szerokie usta i wydał głęboki, chrapliwy jęk bólu, któremu natychmiast zawtórowały podobne odgłosy z gardeł jego braci.

- Nie wiem, czy dobrze państwo słyszą i widzą, co tu się dzieje... - komentowała Madhi. - W

tej chwili cały tłum Octusan przyłączył się do okrzyku bólu ranego Starszego. Ten zwyczaj jest nazywany Pieśnią Cierpienia i byliśmy jego świadkami już wczoraj... - Zanim skończyła, w jej uchu zabrzmiał damski głos:

- Tu kontrola sieci. Przekazujemy twoją relację na żywo na kanale informacyjnym. Właśnie widzieliśmy morderstwo. Szacujemy, że mamy mniej więcej pięciosekundowe opóźnienie. Obraz jest nieco ziarnisty, więc wyjaśniaj na bieżąco, co się dzieje.

- ...kiedy Mandalorianie otworzyli ogień na ulicach Arari - dokończyła Madhi. Kręciło jej się w głowie. Była oszołomiona informacjami przekazywanymi jej przez głos w uchu, scenami przemocy rozgrywającymi się na zewnątrz i własnym szokiem. Jej myśli pędziły niczym beldon miotany huraganem. Mimo to czuła też dziwny spokój, pewność siebie wynikającą z przekonania, że robi coś, do czego przygotowywała się przez całe lata - i że to jest słuszne, a ona jest właściwą osobą na właściwym miejscu. - Z tego, co wiemy, Octusanie w podobny sposób porozumiewają się nawet na duże odległości, kiedy przemierzają równiny ich ojczystej planety Blaudu Octus. -

Umilkła, słysząc wzmocniony przez głośnik w czołgu głos Rhala, który przecinał melodię Pieśni Cierpienia jak uderzenie gromu:

- Nie będę powtarzał dwa razy, niewolniku - huknął i wycelował znów blaster w rannego Octusanina.

Starszy padł na kolana i spojrzał Mandalorianinowi prosto w oczy.

- Nie - powtórzył z mocą.

- O odwadze Octusan krążą w sektorze Albanin legendy - podjęła Madhi. - A przecież są oni jedną z najłagodniejszych ras w galaktyce. W ich kulturze jedynym elementem, w którym można by się doszukiwać znamion przemocy, są Taneczne Zapasy, w których młode samce biorą udział w okresie godów; charakter tych tańców dokładnie odzwierciedla ich nazwa. - Ostatnie dwa słowa zagłuszył wystrzał z blastera. W piersi istoty pojawiła się dymiąca dziura i Starszy upadł na ziemię; jego wielkie, ciemne oczy nawet po śmierci wpatrywały się w Rhala z wyrzutem. - Właśnie byliśmy świadkami drugiego bestialskiego mordu, popełnionego przez komendanta stojącego na czele oddziału Mandalorian - relacjonowała dziennikarka. - Trudno zrozumieć przyczyny takiej demonstracji siły, mimo że bezprawne działania są tutaj, na krańcach galaktyki, chlebem powszednim. Region ten regularnie najeżdżają piraci, kryminaliści i łowcy nagród. Czy to możliwe, że Korporacja Górnicza Sextuna czuje się upoważniona do zatrudniania takich indywidualistów jak Belok Rhal do ochrony swojej floty? - Słowa Madhi utonęły w narastającym pomruku, napływającym od strony placu i wzmocnionym jeszcze przez mikrofon paraboliczny. Od hałasu zaczęło jej dzwonić w uszach. W następnej chwili Octusanie puścili się biegiem, zmierzając w stronę przecznicy, otaczającej plac alei, blokowanych przez Mandalorian ślizgaczami desantowymi.

Rhal znów sięgnął do przycisku nagłaśniania i Devaronianka ledwie zdążyła na czas wyciągnąć mikrofon, żeby wychwycić jego słowa:

- Rozpocząć operację... - Tuż po nich nastąpił przenikliwy wizg kanonady z blasterów.

Chwilę później plac wypełniło kłębowisko lśniących, różnokolorowych promieni i minieksplodji; pierwszy szereg Octusan padł niemal natychmiast.

- Mandalorianie otworzyli ogień! - zawołała, niepewna, czy widzowie usłyszą ją przez szczęk i huk blasterowych salw. - Przed naszymi oczami na Blaudu Sextusie rozgrywa się masakra na niewyobrażalną skalę. A ja, relacjonując te wydarzenia dla *Przeglądu wydarzeń Perre 'a Needma*, jestem pewna, że dowódca Mandalorian specjalnie doprowadził do wybuchu paniki wśród Octusan,

żeby mieć pretekst do rozpoczęcia regularnego pogromu, którego są państwo teraz świadkami. Wokół leżą setki martwych albo umierających tubylców, a jednak Mandalorianie nie przerywają ostrzału... - Podczas gdy zdawała relację z wydarzeń na placu, właz Strzelca na quickstryke'u Rhala otworzył się i ze środka wyjrzała głowa Mandalorianki. Kobieta miała brązowe, króciutko przystryżone włosy i mały, perkaty nos.

Powiedziała do dowódcy coś, co brzmiało jak „jesteśmy udupieni”, i wskazała okno, z którego Tyl filmował masakrę na placu. Rhal zerknął do góry i mikrofon paraboliczny Madhi wychwycił pełne zakłóceń, złe i zdziwione:

- Na żywo?

Kobieta skinęła głową, a w słuchawce Madhi zabrzmiało - tym razem dla odmiany wyraźne i czyste:

- Ty durny, durny głąbie!

Rhal zignorował obelgę, sięgnął do obrotowego działka zamontowanego przy włazie i nakierował jego lufę na warsztat naprawczy droidów, w którym ukrywali się Madhi i jej zespół.

Reporterka rzuciła się w poszukiwaniu osłony, ale nie przestała komentować:

- Wygląda na to, że Mandalorianie dowiedzieli się o nas. Sądząc po reakcji, nie są zbyt zadowoleni, wiedząc, że ich działania... - Seria laserowych promieni wpadła przez okno, wypełniając warsztat odłamkami kamienia, dymem i częściami robotów. - ...śledzą nasi widzowie -

dokończyła reporterka. Drzenie, które wkradło się do jej głosu, było kompletnie nieprofesjonalne, a ona doskonale zdawała sobie z tego sprawę, ale mimo najszczerszych chęci nie potrafiła go ukryć. -

Jesteśmy pod ostrzałem, więc wybaczcie krótkie przerwy w relacji, podczas gdy my... - Warsztatem wstrząsnął ogłuszający huk, towarzyszący wystrzałowi z działka; pokój zasypał grad kamieni wielkości pięści, wypełniając go tak gęstym dymem, że Madhi straciła z oczu czuwającego przy drzwiach Shohtë. Rozejrzała się w poszukiwaniu Tyla; stał na swoim posterunku, ale przykładał

rękę do czoła - najwyraźniej oberwał, bo twarz zalewała mu krew, kapiąca na wyświetlacz - ale drugim okiem pilnie śledził wydarzenia na ekranie, starając się utrzymać Rhala w kadrze. -

...zmienimy lokalizację - dokończyła urwane zdanie Madhi. Potem dezaktywowała swój nadajnik, cisnęła mikrofon paraboliczny przez okno i kucnęła koło Tyla. - Daj już sobie spokój - poprosiła nagłaco. - Musimy się stąd zabierać! Teraz! - Nie czekając na odpowiedź, złapała go za rękę i rzuciła się w stronę wyjścia. W warsztat trafiła następna salwa, zasypując ich odłamkami i zmuszając, aby przypadli do ziemi. Tyl na chwilę znieruchomiał i Madhi przestraszyła się, że jej przyjaciel zasłabł, ale zaraz spostrzegła, że odrzuca na bok obiektyw i zakłada nowy. Nic mu nie było - przynajmniej na razie.

Wzięła z niego przykład i aktywowała znów swój mikrofon.

- Mój kamerzysta został ranny, więc wybaczcie nam państwo kiepską jakość obrazu.



Jesteśmy pod ostrzałem i próbujemy opuścić nasz punkt obserwacyjny. Nowych widzów informujemy jeszcze raz: nadaje dla was Madhi Vaandt z planety Blaudu Sextus w ramach *Przeglądu wydarzeń Perre 'a Needma*. - Dotarli właśnie do wyjścia i Shohty, zgarbionego nad anteną i generatorem zasilania. - Nie wiem, czy państwo to widzą, ale mój asystent, Chev, były niewolnik Shohta stara się właśnie ochronić nasz sprzęt własnym ciałem. - Złapała go za ramię i popchnęła w stronę wyjścia. - Będziemy zdawać państwu relację z wydarzeń, dopóki to możliwe, ale obawiam się, że połączenie może w pewnej chwili zostać zerwane...

W słuchawce w jej uchu znów zabrzmiał głos operatorki z centrali:

- To niesamowite! - stwierdziła z podnieceniem kobieta. - Macie nagrodę Peamoneya jak w banku! Nie przerywajcie... i nie martwcie się o opiekę medyczną, jeśli będzie potrzebna. Sieć obiecała, że o wszystko zadba.

- Bo pewnie wie, że nie będzie o co dbać - mruknął z przekąsem Tyl. Otoczył kamerę jednym ramieniem, drugą ręką zgarbił antenę, dał Shohcie skinięciem znak, żeby zaopiekował się generatorem, i odwrócił się w stronę Madhi. - Wychodzimy!

Reportarka otworzyła ostrożnie drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Westchnęła z ulgą.

- Żadnych Mandalorian - poinformowała zespół. - Droga wolna.

Wyszli na korytarz i, niosąc w ramionach część sprzętu, ruszyli w stronę klatki schodowej.

- Jak państwo widzą - wróciła do reporterskiego obowiązku Madhi - staramy się właśnie znaleźć bezpieczniejsze miejsce. Całkiem możliwe, że za chwilę będziemy zmuszeni porzucić ze względów bezpieczeństwa naszą antenę i generator, więc... - Madhi zatrzymała się u szczytu schodów. Na dole stał Belok Rhal i oddział uzbrojonych Mandalorian. - Tyl, nagrywasz? - rzuciła szeptem do Tyla.

- Kiepski obraz - mruknął Krain i włączył reflektor, omiatając klatkę schodową snopem światła. - Ale cały czas nadajemy.

Madhi skinęła głową i zaczęła schodzić po schodach prosto do grupy najemników w beskarowych pancerzach.

- Komendancie Rhal - zaczęła - przed chwilą cała galaktyka zobaczyła, jak pan i pańscy żołnierze dopuszczacie się aktu bestialskiego mordu na Wielkim Placu Rozrywki. Czy zechciałby pan udzielić nam kilku wyjaśnień?

- Nie. - Rhal wycelował swój blaster nad ramieniem Madhi, najwyraźniej zamierzając zniszczyć kamerę Tyla. - Wyłącz to. Natychmiast.

Pod Madhi ugięły się kolana. Zaczęła się poważnie obawiać, że pierwszy raz w jej medialnej karierze da ciała i zemdleje.

- Nic z tego, komendancie Rhal - powiedziała jednak twardo, jakimś cudem panując nad głosem.

- Czyżby? - Belok Rhal przesunął lufę na pierś Devaronianki i Madhi zrozumiała nagle z dziwną pewnością, że za chwilę umrze. - A mnie się wydaje, że wręcz przeciwnie. - W tej samej chwili na ścianie za jego plecami pojawiły się dwa niewielkie świetlne punkty. Madhi nie miała pojęcia, co to takiego, ale przypuszczała, że to nie czas ani miejsce, żeby się nad tym zastanawiać, a tym bardziej zwracać na to uwagę stojących w dole najemników. Podjęła marsz po schodach, jedną ręką nakierowując mikrofon wpięty w klapę na Rhala.

- Oczy całej galaktyki są zwrócone na pana, komendancie - powiedziała zadziwiająco spokojnie. - Czy zechce pan skomentować zajścia, które są niewątpliwie pańską zasługą? - Świetlne punkciki za plecami Rhala zmieniły się w czubki ostrzy mieczy świetlnych, jedno zielone, a drugie niebieskie, i Madhi z nadzieją pomyślała, że może ona i jej zespół wyjdą jednak z tych tarapatów cało... - Czy naprawdę zatrudnia was Korporacja Górnicza Sextuna? - indagowała. - A może wypełniacie rozkazy kogoś innego? Kogoś działającego bliżej Światów Jądra, dajmy na to? -

Wiedziała, że zadając takie pytanie, zbliża się niebezpiecznie do granicy etyki zawodowej, ale była na muszce blastera, więc raczej nie miała nic do stracenia. - Czy to możliwe, komendancie Rhal, że działa pan na zlecenie przywódczyni Sojuszu Daali?

Rhal zmrużył oczy, rozdał nozdrza i Madhi wiedziała już, że posunęła się za daleko. Czubki mieczy świetlnych za plecami Mandalorian zmieniły się tymczasem w całe ostrza i zaczęły przecinać gruby, kamienny mur jak flimsiarkusz. Charakterystyczne buczenie stało się już na tyle głośne, że towarzysze Rhala odwrócili się w stronę źródła dźwięku i wycelowali blastery w ścianę.

Przygotowywali się widocznie na odparcie ataku Rycerzy Jedi, których pojawienie się zapowiedział agent Lotu Wolności.

Rhal nacisnął spust. Dwukrotnie.

Strzały trafiły Madhi w pierś, rzucając ją na schody w oślepiającym rozbłysku bólu.

Słyszała, że ktoś krzyczy i jak przez mgłę zobaczyła zbiegającego ku niej Shohtę; jego prymitywną, kanciastą twarz wykrzywiał grymas bólu, a zaciśnięte w pięści potężne dłonie młóciły powietrze w bezsilnej złości.

Rhal, niewzruszony, odwrócił się i zaczął się ostrzeliwać w próbie obrony przed Jedi.

Bezskutecznie. Ledwie otworzył ogień, naruszona przez Jedi ściana rozprysnęła się w grad rozsiewanych Mocą odłamków, zdmuchując Mandalorian jak pionki na przewróconej szachownicy.

W następnej sekundzie u stóp schodów pojawiło się dwóch Jedi - rozwścieczony Chev i przystojny mężczyzna. Zaczęli Mocą ciskać Mandalorian na ścianę, jednego za drugim, nie dając im szansy na obronę... i każąc słono płacić za każdą próbę ataku.

W tej samej chwili Shohta dopadł rannej Madhi. Wzrok zaczynał już ją zawodzić - widziała tylko rozmazane, ciemniejące plamy - ale resztką przytomności dostrzegła, jak Chev rozrywa jej bluzkę, odsłaniając rany, i kładzie na jej ciele - zbyt zimnym już, żeby cokolwiek czuła - szerokie dłonie.

Kątem oka zobaczyła teraz zbiegającego po schodach Tyla. Niósł na ramieniu wycelowaną w półpiętro kamerę. Kiedy dotarł do niej, przyklęknął i przeniósł na nią obiektyw. Chociaż policzki miał mokre od łez, nie odłożył sprzętu, żeby jej pomóc - oboje wiedzieli aż za dobrze, że nie ma to już sensu. Madhi doskonale rozumiała, co się z nią dzieje. Postrzał był poważny, a ona wykonywała sumiennie swój zawód zbyt długo, żeby pozwolić sobie na złudzenia.

Reszką sił podniosła głowę, spojrzała Tyłowi w oczy i uśmiechnęła się do niego słabo.

- Nagrałeś to? - wyszeptała. - Proszę, powiedz, że nagrałeś...

## ROZDZIAŁ 17

Widok z Platformy Iglicy na niebosiężne coruskańskie wieżowce, lśniące na horyzoncie, i przepych rozciągających się jak okiem sięgnąć ogrodów na Placu Wspólnoty zapierał dech w piersi

- nawet Barabelce. Platforma była położona na najwyższym lądowisku Świątyni Jedi -

Monolitowym tarasie, zdolnym pomieścić naprawdę dużo promów dyplomatycznych. Przy ładnej pogodzie stojąca przy sankowej balustradzie i obdarzona dobrym wzrokiem istota mogła dostrzec rządowych oficjeli, posilających się w porze lunchu w Parku Pokoju, albo zerknąć na Wielką Promenadę i podziwiać kawalkady śmigaczy służb bezpieczeństwa, rojące się wokół srebrzystej wieży Galaktycznego Centrum Sprawiedliwości.

Tego ranka jednak istoty zgromadzone na platformie bardziej niż malowniczy widok interesował podchodzący właśnie do lądowania statek Incom CrewComet - przynajmniej teoretycznie. Na pokładzie promu byli Zekk, Tekli, a także kilkoro uzdrowionych Rycerzy Jedi; wszyscy wracali z tymczasowego wygnania na Shedu Maad. Pragnąc zapewnić ciepłe przyjęcie grupie przywróconej na łono Zakonu po ataku dziwnej choroby, Mistrzowie chcieli, żeby zguby poczuli się mile widziane, zorganizowali im więc powitanie na jednej z najbardziej prestiżowych platform lądowniczych Świątyni.

Tak się jednak niefortunnie zdarzyło, że w chwili, kiedy niecierpliwie wyczekiwany statek wchodził w atmosferę Coruscant, na jednym z odległych światów wybuchł niespodziewanie kryzys, w związku z czym oczy wszystkich, którzy powinni byli wypatrywać CrewCometa, były wlepione w datapady. Mistrzynie Jedi Saba Sebatyne miała dziwne przeczucie, że wydarzenia rozgrywające się na Blandu Sextusie wpłyną na losy Jedi - i to nieodwracalnie.

- Ogłuszeni, prawda? - dopytywał jeden z najnowszych członków Rady, Barratk'1. -

Przecież nikt nie ośmieliłby się zabić reportera podczas przekazu na żywo...

- Belok Rhal nie miałby z tym żadnych problemów - rozwiała jego nadzieje Leia. - Ich blastery nie były nastawione na ogłuszanie.

- Ona też tak sądzi - poparła Leię Saba, wpatrując się nad ramionami Solo w notes komputerowy Hana. Mąż Leii trzymał go tak, żeby inni mogli śledzić rozgrywające się na jego ekranie zdarzenia,

ale poza zasięgiem Allany; nie chciał, żeby dziewczynka była świadkiem brutalnych scen. - Sskoro Rhal zabił na sstopniach Świątyni Jedi, bez sskrupułów zabije gdzie indziej - zauważyła trafnie.

Niewyraźny obraz skupił się na leżącej bez ruchu na kamiennych, wąskich stopniach Devaroniance, a potem przeniósł na dwie dymiące dziury w jej klatce piersiowej. Nie mogło być wątpliwości - pochodziły od strzałów z blastera. Saba dostrzegła, że kończyny nieruchomego ciała reporterki są powyginane pod nienaturalnymi kątami. Domyśliła się, że Madhi Vaandt nie żyła już na długo przed tym, zanim holosygnal dotarł na Coruscant.

Z głośnika datapada dobiegł szcęk odłamków kamiennej ściany, odbijających się od kamery, po którym rozległo się charakterystyczne buczenie i świst odbijanych przez miecze świetlne strzałów z blastera. Operator koncentrował obiektyw kamery na smużkach dymu, sączących się z piersi Vaandt - na tyle długo, żeby nikt nie miał wątpliwości, że Devaronianka zginęła podczas strzelaniny. Potem przeniósł wizję na dwóch Rycerzy Jedi - postawnego Cheva, Sothaisa Saara, i szczupłego, ciemnowłosego mężczyznę, w którym Saba rozpoznała Avinoama Arelisa - torujących sobie drogę przez półpiętro klatki schodowej.

Przez długą chwilę dwójka walczyła ramię w ramię, tkając ostrzami zielononiebieską zasłonę, odbijającą strzały mandaloriańskich najemników z powrotem w ich stronę, a potem - tak płynnie i szybko, że Saba aż zamrugała, zaskoczona - przeszła do perfekcyjnego manewru osłaniającego: Sothais wysunął się naprzód, chroniąc siebie i partnera przed ostrzałem, podczas gdy Avinoam został nieco w tyle, trwając w bezruchu. W ułamku sekundy Arelis opuścił własną broń, podniósł wolną rękę i wykonał nią nieznaczny gest. W tej samej chwili ciała uzbrojonych Mandalorian poderwała jakaś niewidzialna siła. Uderzali o kamienne ściany i opadali na schody jak szmaciane kukły, a wystrzeliwane z ich blasterów promienie energii trafiały w przypadkowe cele: sufit, ściany, schody - a także w nich samych.

Z boku wyświetlacza pojawiła się zamazana postać Beloka Rhala, celującego w kamerę i wykrzykującego rozkazy, których w zgiełku toczącej się za jego plecami walki nie wychwycił mikrofon.

- *Stang!* - zaklął pod nosem Han, ale w jego głosie brzmiała raczej panika niż gniew, a Saba знаła go na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że martwi się o bezpieczeństwo operatora kamery. - Chyba zaraz urwie nam się film... - Zanim jednak skończył zdanie, w obiektyw weszła nowa postać, przesłaniając wyraźnie wkurzonego Rhala.

- Mówi do was asystent produkcji u Madhi Vaandt, Shohta, relacjonujący przebieg zdarzeń z warsztatu naprawczego w Arari na planecie Blaudu Sextus. - Na ekranie pojawiła się twarz o tępych, jakby wyciosanych z kamienia rysach: Chev w średnim, na oko, wieku. - Jak pewnie wiecie, jeśli śledziliście na bieżąco naszą relację... - Między Chevem a kamerą przemknęła ze świstem seria blasterowych strzałów; obcy schował głowę w ramionach, ale szybko podjął: - Jak już państwo zapewne wiedzą - powtórzył - komendant dowodzący oddziałem najemnych Mandalorian Belok Rhal zamordował naszą nieodżałowaną Madhi Vaandt. Doszło do tego podczas reportażu. Rhal zabił Madhi, próbując ją powstrzymać przed pokazaniem całej galaktyce mandaloriańskiej rzezi octusańskich niewolników, która rozegrała się na waszych oczach zaledwie kilka metrów od tego

miejsca. Mimo to głosu Madhi Vaandt nie da się uciszyć. - Shohta zmarszczył

szerokie czoło, skinął na operatora kamery i dał krok w bok, odsłaniając Rhala. Komendant wycofywał się właśnie po schodach i strzelał w stronę Sothaisa Saara. Jedi zbliżał się do niego wolno, stopniowo, ale nieuchronnie; wykonywał mieczem oszczędne ruchy, skutecznie odbijając strzały Mandalorianina w głąb klatki schodowej. Za jego plecami Avinoam Arelis rozbrajał właśnie kilku Mandalorian, których wcześniej posłał Mocą na ścianę. - W ciągu niedługiego czasu, który dane mi było spędzić w towarzystwie Madhi - ciągnął Shohta - nauczyła mnie, że obowiązkiem dziennikarza jest opowiedzieć historię, nie zaś ingerować w jej bieg. Mam nadzieję, że wybaczycie mi, jeśli ten jeden raz jej nie posłucham... - Zanim skończył zdanie, w obiektywie pojawiła się wielka, obuta w ciężki but stopa, która wylądowała na środku pleców Rhala i posłała go celnym kopniakiem prosto na Sothaisa Saara. Jedi chwycił Mandalorianina Mocą i cisnął nim kilka razy o ścianę, a potem pozwolił ciału swobodnie opaść u swoich stóp. Mikrofon nie wychwycił słów młodego Jedi, ale musiało to być coś wyjątkowo niemiłego, bo Rhal nagle zbladł i wypuścił blaster z ręki. Na wizji ponownie pojawiła się mokra od łez twarz Shohty. - Madhi Vaandt zginęła dzisiaj -

Chev pociągnął nosem - aby cała galaktyka poznała prawdę. Madhi chciała wam powiedzieć, że na odległych krańcach galaktyki, na wielu zapomnianych planetach, za przyzwoleniem tak zwanych cywilizowanych rządów wciąż prowadzone są różne nielegalne i bardzo niemoralne praktyki. -

Shohta urwał i spuścił wzrok, zbierając myśli; za chwilę wrócił do tematu: - Na szczęście Madhi nie zginęła na próżno. - Odsunął się na bok i wskazał ręką półpiętro, na którym Sothais i Avinoam arestowali resztę Mandalorian. - Dzięki niej krzyk uciśnionych usłyszeli Jedi... którzy nie pozostali na niego obojętni i postanowili zareagować.

Atmosfera na Platformie Iglicy zgęstniała od napięcia w Mocy, bo większość ze zgromadzonych знаła prawdę: Jedi wcale nie zareagowali na krzyk uciśnionych. Rada Jedi wysłała Sothaisa i Avinoama na Blaudu Sextusa nie po to, żeby wyzwolili Octusan. Rycerze Jedi mieli odkryć, kto stoi za nakłanianiem do buntów i ukrócić jego działania, zanim doprowadzą do tragedii

- niestety, najwyraźniej za późno. Wszystko poszło na opak. Jedi znaleźli się w sytuacji, w której byli zmuszeni kierować się głosem serca, a tylko przypadek zrządził, że znaleźli się na holowizji.

Zrobili to, co musieli zrobić, ale ich pojawienie się na Blaudu Sextusie zostało najwyraźniej błędnie zinterpretowane.

Cóż, taka była najwyraźniej wola Mocy, i Jedi - a przynajmniej Saba Sebatyne - rozumieli to przesłanie: Zakon popełnił błąd, podkulając ogon i płaszcząc się przed Daalą. Zdaniem Saby powinien śmiało podnieść czoło i stanąć przeciwko wrogom galaktyki. Wszystkim. Barabelka odwróciła się i poszukała wzrokiem Kentha Hamnera. On także śledził wydarzenia na ekranie datapadu wraz z Cilghal, Kyle'em i kilkorgiem innych Mistrzów. Pełniący obowiązki Wielkiego Mistrza Zakonu Jedi pod nieobecność Luke'a Skywalker'a Kenth Hamner twarz miał ściągniętą i bladą ze zgrozy, ale nie było na niej śladu gniewu. Tak jak Saba, Mistrz Hamner rozumiał

najwyraźniej, dlaczego Rycerze Jedi podjęli taką, a nie inną decyzję. Nie mogli stać bezczynnie w obliczu śmierci dziennikarki i masakry tysięcy niewinnych istot. Może to nie będzie takie trudne, jak

się obawiała? - przemknęło jej przez myśl.

Po tym, co tu zobaczyli, chyba nawet Kenth Hamner zgodzi się, że nadszedł czas działania, uznała.

Dała sobie chwilę na ochłonięcie, odetchnęła kilka razy głęboko i rozejrzała się po lądowisku. Podczas gdy wszyscy śledzili wydarzenia rozgrywające się na Blaudzie Sextusie, CrewComet wylądował niezauważenie; stał teraz kawałek dalej na wspornikach. Jego stożkowaty dziób wciąż lśnił biało po wejściu w atmosferę i unosiły się z niego smużki dymu. Nie opuszczono jednak ramp, a śluzę wciąż były uszczelnione, więc Saba domyśliła się, że Zekk i reszta Jedi najprawdopodobniej siedzą jeszcze w przedziale pasażerskim i też oglądają reportaż z Blaudzie Sextusa. Musieli być równie Wstrząśnięci, jak reszta Jedi.

Sięgnęła do promu poprzez Moc i wysyłała sygnały ciepłego powitania, upewniając się ostrożnie, że rozpoznaje aurę każdego z Rycerzy. Zakon przechodził trudny okres i był to dla niego czas próby. Otoczeni wrogami - i to nie tylko tutaj, na Coruscant, ale i w całej galaktyce - Jedi nie mogli sobie pozwolić na lekkomyślność i nadmierną pewność siebie, nawet we własnej Świątyni...

a może przede wszystkim w Świątyni.

Nagrodzona znajomym, pokrzepiającym dotykiem w Mocy sześciu osób, Saba skinęła z zadowoleniem głową, zaczerpnęła głęboko powietrza i ruszyła w stronę Wielkiego Mistrza Hamnera. Rozmawiał właśnie przez komunikator, wydając rozkazy Jedi w Świątyni. Mistrzynie Sebatyne wiedziała, że cokolwiek się teraz stanie, nie może się zdenerwować. Całkiem możliwe, że Kenth doszedł do tych samych wniosków co ona, a nawet jeśli nie, to powinna zachować spokój, żeby zyskać wsparcie innych Mistrzów.

Hamner najwyraźniej wyczuł jej obecność i zamiary, bo kiedy była blisko, zakończył

rozmowę i odwrócił się w jej stronę. Oczy mu złagodniały, a malujące się jeszcze przed chwilą na jego twarzy napięcie ustąpiło zwykłemu znużeniu. Saba wciąż jeszcze miała trudności z odczytywaniem emocji z ludzkich twarzy, ale mina Hamnera sugerowała, że jest smutny i zrezygnowany, a mocno zaciśnięte szczęki sygnalizowały jedynie, że jest zbyt twardy, żeby się poddać.

- Mistrzynie Sebatyne - zwrócił się do niej z typową dla niego formalną grzecznością. -

Sprawy na Blaudzie Sextusie przybrały zły obrót...

- Ona tak nie sądzi. - Ledwie wypowiedziała te słowa, Saba wyczuła, że wszyscy obecni na platformie skupiają uwagę na niej i Hamnerze. Mistrzowie nieraz byli świadkami ich scysji; o tym, że między nimi często dochodzi do spięć, wiedziała nawet większość Rycerzy Jedi. Kiedy ta dwójka się spotykała, atmosfera wyraźnie gęstniała. - Ssothais i Avinoam świetnie sobie poradzili.

Postąpili tak, jak powinni byli postąpić Jedi.

Hamner skinął głową, ale nie po to, żeby przyznać Sabie rację.

- Złamali też rozkazy, dzięki czemu ściągnęli nam na głowę jeszcze jeden kłopot. Ten reporter, Shohta, wyciągnął mylne wnioski. Ta relacja podsyci na pewno rewolucyjne nastroje na planetach rozrzuconych po obrzeżach całej galaktyki.

- A czy to na pewno błąd? - spytała Saba. - Może nadszedł czas, żeby Jedi zaczęli myśleć o tym, co jest słuszne, nie zaś wygodne.

Hamner pokręcił głową.

- Saba, przerabialiśmy to już tyle razy... - Spojrzał w stronę stojącego za jej plecami statku. -

Nasi Rycerze zaraz wsiądą. Zgotujmy im...

- Zaraz, zaraz - wszedł mu w słowo jeden ze stojących za Sabą Mistrzów, Barratk'1. - Nie zamiecesz tego pod dywan, Wielki Mistrzu. To, co wydarzyło się na Blaudunian, wszystko zmienia, mam rację?

Hamner pokręcił powoli głową.

- Nie - zaprzeczył. - Rozkazałem już Sothaisowi wydać Rhala i jego ludzi Blaudunianom.

- Że niby jak? - rozległ się głos Hana Solo, który wraz z resztą obecnych na pokładzie Jedi dołączył do grupy śledzącej konfrontację Hamnera i Saby. - Rhal zamordował twoją asystentkę...

- Na stopniach Świątyni Jedi - dodał Corran Horn.

- ...a ty naprawdę zamierzasz przejść nad tym do porządku dziennego? - dokończył Han. -

Nie do wiary, że chcesz mu to puścić płazem!

Hamner spojrzał na niego twardo.

- Każdego dnia opłakuję Kani - oznajmił. - I zależy mi na pociągnięciu Rhala do odpowiedzialności tak samo, jak wszystkim tu obecnym... ale zgodnie z prawem.

- Oddając go w ręce tych samych sprzedawczyków, którzy go wynajęli? - parsknął Solo. -

Wolne żarty. To nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością.

- Skoro to żarty, to czemu nie są zabawne? - spytał jakiś głosik z okolic brzucha Hana.

Kiedy Saba spojrzała w tym kierunku, zobaczyła Amelię Solo. Dziewczynka wyglądała na zaniepokojoną i speszoną jednocześnie. - A poza tym, czy Jedi nie powinni przestrzegać praw planetarnych?

Hamner uśmiechnął się do małej.

- No proszę, co za roztropna młoda dama! - pochwalił ją. - Amelia ma rację. Jeśli sprowadzimy Rhala na Coruscant, napytamy sobie biedy.

- A jeśli zostawimy go Blaudunianom, będą musieli go ukarać, i to surowo, bo inaczej wyjdzie na to, że pochwalają rzeź, jakiej się dopuścił. - Leia pokiwała głową i spojrzała w stronę męża i Corrana. - To lepsze rozwiązanie, niż wam się zdaje.

- Dzięki temu unikniemy podejrzeń, że wysłaliśmy tam Jedi, licząc na wywarcie zemsty. -

Hamner spojrzał na księżniczkę z wdzięcznością i skinął głową w stronę CrewCometa. - A teraz, skoro już doszliśmy do porożu...

- Nie doszliśmy do żadnego porozumienia - weszła mu w słowo Saba, podchodząc bliżej. -

Tak jak mówisz, słowa Sshohty podsycają rewolucyjne nastroje w całej galaktyce. Jedi muszą się zastanowić, jak zareagować... i to szybko.

Hamner zamknął oczy, wyraźnie sfrustrowany.

- Teraz, Mistrzynie Sebatyne? - Pokręcił ze znużeniem głową. - Wątpię. Gdyby te rewolucyjne nastroje miały zaowocować czymś poważniejszym...

- Ona nie ma na myśli niewolników - przerwała mu znów zniecierpliwiona Saba. - Tylko Daalę.

- Mistrzynie Sebatyne ma rację - poparł Barabelkę Kyle Katarn. - Jeśli nawet przywódczyni Daala nie widziała transmisji na żywo, to możesz być pewien, że właśnie ogląda powtórkę.

- I pomyśli to samo, co Shohta - zgodził się Kyp Durrone, kręcąc smutno głową. - Że Jedi postanowili sprzeciwić się niewolnictwu.

Oczy Hamnera zalsniły gniewnie i Saba z ulgą spostrzegła, że wreszcie dotarło do niego, jakie niebezpieczeństwo im grozi. Daala zinterpretuje wydarzenia na Blaudunie w najgorszy możliwy sposób. Dojdzie do wniosku, że Jedi chcieli zmusić ją do wysłania i tak już uszczuplonej floty Sojuszu w najdalsze zakątki galaktyki, żeby pozbyć się jej nadzoru. A zważywszy na fakt, że pani prezydent często zmieniała zdanie i była przyzwyczajona do szybkiego rozprawiania się ze swoimi wrogami, mogła dojść do wniosku, że nie ma wyboru i powinna interweniować zbrojnie.

- Wybacz, Mistrzynie Sebatyne; masz oczywiście rację. - Hamner spojrzał w stronę wejścia do Świątyni. - Proszę, przekażcie moje najszczerze przeprosiny Rycerzom na pokładzie promu.

Najlepiej będzie, jeśli natychmiast się zajmę tą sprawą.

- Jaką sprawą? - zdumiała się Saba. - Przecież Rada jeszcze nie podjęła decyzji.

Hamner, który zdążył już ująć kilka kroków, odwrócił się w jej stronę.

- Nie będzie żadnego zbiorowego podejmowania decyzji, Mistrzynie Sebatyne. Muszę wytłumaczyć



przywódczyni Daali, co tam naprawdę zaszło, i muszę to zrobić szybko, zanim sama wyciągnie pochopne wnioski.

Saba pokręciła głową.

- Ona bardzo w to wątpi - stwierdziła. - Ona sądzi, że to Moc za tym wszystkim sstoi i że nadszedł czas, żebyśmy zaczęli się kierować sercem.

- Sercem, Mistrzynie Sebatyne? - powtórzył z niedowierzaniem Hamner. - Szósta Flota tkwi na orbicie, śledząc każdy nasz krok, cała planeta Sithów zbroi się do ataku na Zakon, a ty twierdzisz, że powinniśmy się rzucić na pomoc porzrzanym po krańcach galaktyki niewolnikom? Czyja dobrze słyszę?

- Tak - potwierdziła Saba. - Dobrze słyszysz. To właśnie tego żąda od nas Moc.

Hamner pokręcił stanowczo głową.

- Przykro mi, Mistrzynie Sebatyne, ale to... nedorzeczne.

- Może dla ciebie - odparował Barratk'1. Yuzzem stanął u boku Saby; porośnięta gęstym futrem istota o ostrych kłach była wyższa o głowę nawet od niej, wysokiej jak na Barabelkę. - Ale śmiem twierdzić, że Mistrzynie Sebatyne nie jest jedyną osobą, która tak twierdzi.

Hammer spojrział ze znużeniem na Barratk'la; w jego oczach widać było zawód i gorycz. To z jego poruczenia ten Mistrz Jedi został odwołany z placówki na Nal Hutta i zaproponowano mu dołączenie do Rady Jedi. Dla wszystkich było jasne, że spodziewa się po nim odpłacenia się za tę przysługę i zaszczyt lojalnością. Niestety, w Radzie nie było miejsca na podobne układy. Od Mistrzów oczekiwano, że będą wyrażać własne zdanie i postępować zgodnie z sumieniem. A Barratk'ł podzielał zdanie Saby.

Po chwili krępującego milczenia Hammer westchnął ciężko.

- Barratk'lu, wiem, że Yuzzemowie byli zniewoleni za czasów rządów Imperium, więc nie dziwię się, że chcesz pomóc innym, którzy znaleźli się w tej samej sytuacji. Obecna sytuacja nie sprzyja jednak...

- A kiedy zaczniesz sprzyjać? - weszła mu w słowo Cilghal, zaskakując wszystkich, nawet Sabę.- Kalamarianie także byli w niewoli Imperium, więc jako przedstawicielka tej rasy nie mogę dłużej stać z założonymi rękami i przyglądać się beczynie, jak inne istoty cierpią. - Odwróciła się do Saby i skinęła głową. - Wierzę, że masz rację, Mistrzynie Sebatyne. Ja także czuję w tym rękę Mocy.

Kiedy Cilghal umilkła, Kenth Hammer rozejrzał się po twarzach reszty Mistrzów. Wszyscy wydawali się podzielać zdanie Saby, Barratk'la i Cilghal, więc tylko pokręcił z rezygnacją głową.

- Bardzo sobie cenię waszą szczerość - zaczął - kiedy jednak Wielki Mistrz Skywalker udał

się na wygnanie, to nie was poprosił o zastąpienie go, tylko mnie, a ja muszę robić to, co moim zdaniem jest słuszne. - Odwrócił się do wyjścia, uważając najwyraźniej dyskusję za skończoną, ale nie uszedł dwóch kroków, kiedy Han zawołał za nim:

- Powiedz im o układzie z Bwua'tu!

Hammer stanął jak wryty i obrócił się na pięcie; oczy lśniły mu z oburzenia i zaskoczenia.

- Słucham? Co takiego?

- Mówię, żebyś powiedział im o układzie z Bwua'tu - powtórzył Han.

Hammer zwarł szczęki i zacisnął pięści, próbując powstrzymać gniew.

Solo spojrział mu prosto w oczy.

- Jeśli im nie powiesz, ja to zrobię - stwierdził spokojnie.

Saba zauważyła, że lekko rozszerzyły mu się przy tym źrenice, co oznaczało, że blefuje - przynajmniej częściowo.

- Kto wie? - dodał lekko Han. - Może nawet zrozumieją?

Kyp i Kyle spojrzeli po sobie, a potem Katarn podszedł do Kentha.

- Co takiego mielibyśmy zrozumieć, Wielki Mistrzu?

Hamner rzucił Hanowi wściekłe spojrzenie i odparł:

- Podczas oblężenia skontaktował się ze mną admirał Bwua'tu. Chciał dobić ze mną targu.

- I nic nam o tym nie powiedziałaś? - Corran nie krył oburzenia.

- Poprosił mnie o zachowanie tego w sekrecie - wyjaśnił Hamner. - Nie chciałem, żeby o wszystkim dowiedziała się Daala.

- Czego dotyczył ten układ? - dążył Corran.

Wielki Mistrz wahał się chwilę. Najwyraźniej nie miał ochoty łamać danego admirałowi słowa.

- To właśnie dlatego wasz Wielki Mistrz nie pali się do interwencji - zauważył z przekąsem Han. - Ma nadzieję, że Bwua'tu załatwi wszystko jednym machnięciem ręki.

- Niekoniecznie - wycedził Hamner przez zaciśnięte zęby. - Ale rzeczywiście, admirał

Bwua'tu obiecał wykorzystać swoje wpływy, żeby nieco przyhamować... zapędy Daali.

- W zamian za...? - spytał cierpko Kyle.

- Zrezygnowanie z planu rzucenia stealthX-ów do walki - wyjaśnił szybko Hamner. -

Mandalorianie widzieli, co robimy podczas oblężenia Świątyni, a bitwa to ostatnia rzecz, jakiej nam teraz potrzeba na Coruscant, mam rację?

Saba z trudem nad sobą panowała. Wyglądało na to, że Hamner nie tylko działa w sekrecie; powierzał losy Zakonu w ręce Bothanina, a przy okazji celowo wprowadzał innych Mistrzów w błąd, naiwnie wierząc, że admirał zgodzi się rozwiązać za niego jego problemy!

Nie było wątpliwości, że Hamnera przerosły jego obowiązki i że nie powinien dłużej rządzić Zakonem Jedi.

Saba pokiwała głową i starając się zachować spokój, powiedziała:

- Ona sądzi, że najlepiej byłoby, gdybyś ustąpił ze stanowiska Wielkiego Misstrza.

Hamner wybałuszył na nią oczy.

- Ustąpił, Mistrzynie Sebatyne? Żartujesz sobie ze mnie?

Saba pokręciła ze znużeniem głową.

- Nie, Misstrzu Hammerze. Ona już dłużej ci nie ufa. - Rozejrzała się po twarzach otaczających ją kolegów i koleżanek, a kiedy wszyscy gestami potwierdzili, że ją popierają, uściśliła: - Nikt z nas już ci nie ufa.

Cóż, Hamner nie miał złudzeń, że właśnie wysunięto wobec niego - nieoficjalne co prawda - wotum nieufności. Poparło je tylu Mistrzów, że - chociaż z natury uparty i hołdujący oficjalnym procedurom - Kenth Hamner nie mógł żądać zgłoszenia formalnego wniosku, skoro wynik i tak był przesądzony. Przenosił wzrok z jednego Mistrza na drugiego, z każdą chwilą błędąc coraz bardziej na widok determinacji w ich oczach. Wreszcie skapitulował i kiwnął potulnie głową. Kiedy zlustrował już twarze wszystkich obecnych, odwrócił się, wyraźnie przygnębiony, do Barabelki.

- Nie ustąpię, Mistrzynie Sebatyne - powiedział, zaskakując tym zgromadzonych. - To jeszcze nie koniec.

- Dla nas tak - odparła spokojnie Saba. - Zapraszam do środka, Misstrzu Hammerze. Nie jesteś już dłużej mile widziany w Radzie Jedi.

## **ROZDZIAŁ 18**

Jagged Fel znalazł przywódczynię Sojuszu Daalę poza jej biurem, w rogu przestronnego balkonu, o którego istnieniu wcześniej nie wiedział. Pani admirał stała wpatrzona w położoną za budynkiem Senatu srebrzysty ziggurat Świątyni Jedi. Wyraźnie znużona, opierała się oburącz o barierkę, a jej długie, rude włosy powiewały na wietrze. W tej chwili przypominała Jaggedowi charakterystyczne rzeźby, ozdabiające gzymsy niektórych starożytnych budynków na Bastionie.

Gargulce umieszczono na nich wieki temu, żeby ich strzegły, i od tamtej pory były niechętnymi, choć niemymi świadkami zmiennych kolei losów galaktyki.

Jag nie miał pojęcia, czemu Daala wezwała go do siebie tak pilnie. Nie chciał jej przeszkadzać w chwili zadumy, ale nie widział innego wyjścia, więc odchrząknął cicho i ruszył w jej stronę.

- Jeśli myślisz o wykorzystaniu do ataku paralotni, odradzam - rzucił na wpół żartem. -

Zobaczą cię z kilometra.

Daala wyprostowała się, splotła dłonie za plecami i odwróciła się w jego stronę.

- Nie wątpię - parsknęła. - Mają nade mną przewagę tej kriffolonej Mocy.

- Racja - przyznał Jag. - Ach, ta wszechobecna Moc... Błędem byłoby jej nie doceniać.

Kącki pełnych warg Daali wykrzywił ironiczny uśmiech.

- Jakbym to już gdzieś słyszała! - Kiedy Jagged był już blisko, rozplotła ręce i wyciągnęła dłoń na powitanie. - Dziękuję, że zgodziłeś się ze mną spotkać. Domyślałam się, że słyszałeś o wydarzeniach

na planecie Blaudu Sextus?

- Fakt, widziałem relację w HoloNecie - przytaknął Jag i zmusił się, żeby uścisnąć wyciągniętą dłoń; w końcu jako przywódca Imperium nie mógł sobie pozwolić na przedkładanie osobistych sympatii nad służbowy obowiązek. - Jeśli jednak wezwałaś mnie właśnie w związku z tą sprawą, to niestety nie bardzo wiem, dlaczego problem Blaudu Sextusa miałby interesować Imperium...

- Czyżby? - Daala odwróciła się znów w stronę Świątyni Jedi. - Wydawało mi się, że to oczywiste.

No tak, Jaina! Gdyby wypadało, Jag palnąłby się sam w głowę.

Zamiast tego podszedł do barierki i bez słowa oparł się na niej obok Daali, obrzucając wzrokiem srebrne wieże Świątyni Jedi. Widok wzbudzał w nim nieodparte uczucia - tęsknoty i żalu. Po wygnaniu z Dynastii Chissów jedynymi osobami, które mógł traktować jako coś w rodzaju rodziny, była Jaina Solo i jej rodzice. Wciąż miał problemy z odnoszeniem się do nich inaczej. Nie potrafił pogodzić się z faktem, że usprawiedliwiając się obowiązkami i wyrzutami sumienia, Jaina zerwała ich zaręczyny. Próba wymazania całej rodziny Solo z pamięci sprawiała, że czuł się smutny, samotny i bezgranicznie zagubiony.

Po chwili milczenia powiedział:

- Powinnaś chyba pomyśleć o zmianie na stanowisku swojego oficera wywiadu. Jedi Solo i ja niewiele już mamy ze sobą wspólnego. - Odwrócił się w jej stronę i spojrzał jej w oczy. - Nie utrzymujemy kontaktów od próby zabójstwa w Pangalactusie.

Daala nie odwróciła wzroku. Atak w sławnej restauracji miał miejsce już kilka tygodni temu, a jednak imperialny wywiad nie zdołał ustalić, kto za nim stał. Zdaniem Jaga znaczyło to tyle, że zaplanowali go wytrawni i doświadczeni gracze, co automatycznie plasowało Daalę na szczycie listy podejrzanych.

Przez długą chwilę wytrzymywał jej wzrok, aż przywódczyni Sojuszu wreszcie spuściła oczy.

- Chyba nie sądzisz, że maczałam w tym palce? - spytała cicho.

- Nie, to była decyzja JAINY - odparł Jag, celowo mylnie interpretując odpowiedź pani admirał. - Nie mówiąc już o tym, że jeśli chodzi o sprawy sercowe, na pewno nie kierowałaby się twoimi radami.

Daala ledwie zauważalnie wykrzywiła usta.

- Rzeczywiście, wątpię - przyznała. - Jestem jednak pewna, że doskonale wiesz, o czym mówię. O zamachu na twoje życie.

- A dlaczego sądzisz, że to ja byłem celem? - spytał Jag. Wiedział, że Daala jest zbyt sprytna, żeby się czymś zdradzić. Chciał jednak dać jej do zrozumienia, że nie wyklucza jej z grona podejrzanych. - Te ZYV-y strzelały raczej do Solo niż do mnie.

- Jesteś tego pewien? - Daala machnęła lekceważąco ręką. - Bo ja nie.

- Chcesz powiedzieć, że to nie ty je wysłałaś?

- Nie - warknęła Daala. - Chcę powiedzieć, że nie miałam z tym atakiem nic wspólnego, niezależnie od tego, w kogo był wymierzony.

- W takim razie bardzo mnie ciekawi, kto za nim stał.

- Mnie także. - Pani admirał odwróciła się od barierki i wskazała stojący w pobliżu stół, zastawiony słodyczami i kafem. - Wynn sądzi, że to część spisku, mającego na celu podkopanie wiarygodności mojego rządu i przedstawienie mnie w oczach obywateli galaktyki jako potwora.

- Twierdzisz więc, że próba zabójstwa w Pangalactusie była pośrednio wymierzona w ciebie? - Jag podszedł do stolika i odsunął dla Daali krzesło. - To nieco... egoistyczna teoria, nawet jak na ciebie.

- Chciałabym, żebyś miał rację, Fel - stwierdziła przywódczyni Sojuszu z krzywym uśmiechem. - Ostatnio doszły mnie jednak słuchy o pewnym projekcie ustawy poparcia dla Jedi, rozprowadzanym przez senatora Wuula. Niestety, muszę przyznać, że zaczynam dostrzegać w tym wszystkim pewną logikę.

- W takim razie proponuję, żebyś przestała się jej doszukiwać - westchnął ze znużeniem Jag.

Obszedł stół, odsunął sobie drugie krzesło i także usiadł. - Sama dajesz im do ręki argumenty przeciwko sobie, więc czego się spodziewasz?

W oczach Daali pojawił się gniewny błysk.

- Jeśli pijesz do incydentu na Blandu Sextusie...

- I na innych planetach - dopowiedział Jag.

- I na innych planetach - powtórzyła - to staram się tylko zaprowadzić porządek.

Jagged sięgnął po serwetkę i rozłożył ją sobie na kolanach.

- Miło z twojej strony, że nie próbujesz mi wmówić, że Mandalorianie nie działali z twojego polecenia. Doceniam to.

- Jestem pewna, że należysz do niewielkiego grona osób, które potrafią dochować sekretu. -

Daala spojrzała na niego znacząco. - Ale przejdźmy do interesów. Potrzebuję twojej pomocy.

- W dławieniu buntów niewolników? - Myśli Jaga gnały z prędkością światła. Daala musiała wiedzieć, że nigdy by się na coś podobnego nie zgodził... chyba że miała w zanadrzu coś, na czym mu bardzo zależało, albo że zamierzała go zaszantażować. - Przykro mi, ale Imperium ma w zwyczaju angażować się w podobne historie.

Rysy twarzy Daali stwardniały.

- To coś więcej niż zwykły bunt niewolników. Wkrótce rubieże galaktyki pogrążą się w chaosie i przemocy. A Sojusz sam nie zdoła temu zapobiec.

- Więc może powinnaś się zastanowić nad wysłaniem tam floty, którą trzymasz na orbicie? -

podsunął usłudźnie Jag.

- I pozwolić Jedi hulać samopas? - Pani admirał opuściła pięść na stół z takim impetem, że spodek i filiżanka Jaga podskoczyły. - Przecież właśnie o to im chodzi! Do tego zmierzają! To dlatego zaczęli tę idiotyczną kampanię wolności!

Jagged podniósł wysoko brwi i otworzył szerzej oczy.

- Twierdzisz, że to Jedi stoją za Lotem Wolności?

- To chyba oczywiste - parsknęła przywódczyni. - Wydaje im się, że podburzając do buntu mieszkańców odległych planet, zmuszą mnie do przegrupowania sił zbrojnych.

- I dadzą ci świetną okazję do pokazania się w złym świetle - podsunął Jag - dzięki szaleństwom takim jak wysyłanie Mandalorian do tłumienia buntów niewolników.

- Dokładnie tak. - Prezydent Sojuszu zesnurowała usta i naląła im kafu. - Rozumiesz więc chyba, dlaczego potrzebuję waszej pomocy...

- Rozumiem, dlaczego o nią prosisz - sprostował Fel - ale nie dostrzegasz pewnej ważnej rzeczy.

- Tak ci się zdaje? Słucham. - Pani admirał odstawiła dzbanek na stół i podsunęła Jaggedowi talerz z ciastkami. - Zaraz mi pewnie powiesz, że Jedi nigdy by się do czegoś takiego nie posunęli, mam rację?

Jag spróbował ukryć zaskoczenie, udając, że zastanawia się nad wyborem ciastka.

- Owszem, przeszło mi to przez myśl - przyznał wreszcie niechętnie.

- Zdziwiłabym się, gdyby było inaczej - stwierdziła gorzko Daala. - Jeśli to jednak prawda, dlaczego współpracują z Sithami?

- Sithami? - Jagged o mało się nie zachłysł. Opadł na siedzenie krzesła, a do głowy napłynęły mu wspomnienia ostatniej rozmowy z Jainą, podczas której była narzeczona błagała go o udostępnienie jej imperialnej floty. Zasugerowała wtedy, że Luke natrafił podczas swojej wędrówki na coś, co może zagrozić całej galaktyce... a Sithowie pasowali do tej definicji jak ulał. - No dobrze, może i znaleźli jakiegoś Sitha - zgodził się po namyśle - ale jeśli sądzisz, że z nimi współpracują, to chyba ci odbiło.

Daala odchyliła się powoli na oparcie i słuchała cierpliwie, postukując palcem w stół. Po jej ustach błąkał się tajemniczy uśmiech.

- Nie „jakiegoś Sitha”, przywódco Felu - poprawił go, jak tylko skończył. - Całą armadę Sithów. Może nawet całą planetę. - Wyciągnęła z kieszeni bluzy niewielki datapad. - I zapewniam cię, że jeszcze mi nie odbiło. Zakładam, że słyszałeś o zamieszkach na Klatooine?

Jag skinął głową.

- Fontanna Przedwiecznych Huttów, tak? Ktoś ją zniszczył i od tego rozpoczęła się cała ta afera z buntami niewolników.

- Nie „ktoś” - stwierdziła z naciskiem Daala - tylko Sithowie. Jaina Solo miała przyjemność ich sądzić, wskutek czego połowa odzyskała wolność. - Popchnęła datapad po stole w stronę Jaga. -

Wywiad Sojuszu sporządził raport w tej sprawie. - Wzięła z talerza ptysia i szybkim ruchem przekroiła ciastko na pół. - Smacznego.

Jag aktywował ekran i przyglądał się z mieszaniną zgrozy i fascynacji, jak ponury durosjański agent relacjonuje, co jego zespół odkrył na Klatooine. Wszystko wskazywało na to, że incydent zapoczątkowało przybycie Luke’a i Bena Skywalkerów w towarzystwie całej floty fregat z jakimiś użytkownikami Mocy na pokładach. Tuż przed odlotem armady załoga jednego ze statków zbezczeszczyła Fontannę Przedwiecznych Huttów, a niebawem na planecie zjawili się Jaina Solo i Lando Calrissian. Poproszono ich o osądzenie wandalii. Wszystko ilustrowało krótkie nagranie.

Jaina i Lando stali na nim obok członka klatooińskiej starszyny, czytającego werdykt obciążający kapitana i załogę jednej z sithańskich fregat, „Gwiezdnego Grabieżcy”, i skazujący go na śmierć z rąk Klatooinian. Dowódcy i załogę drugiego statku, „Skrzydlatego Sztyletu”, pozwolono jednak odejść wolno.

Ledwie nagranie dobiegło końca, Daala rzuciła od niechcienia:

- To co, przywódco Felu, komu tu odbiło?

Jag podniósł na nią wzrok, próbując rozgryźć, co chciała uzyskać, pokazując mu to nagranie.

- Po co mi to pokazałaś? - spytał wprost.

- A jak myślisz? - odpowiedziała pytaniem. - W galaktyce panuje spokój. Spokój -

podkreśliła z naciskiem. Nachyliła się ku niemu przez stół, a jej twarz przybrała wyraz determinacji. - A ty pomożesz mi go utrzymać.

## **ROZDZIAŁ 19**

Jasne sylwetki Almanii i jej trzech księżyców odcinały się ostro od ciemnej materii przestrzeni kosmicznej niczym sznur różnobarwnych klejnotów, oblanych ostrym blaskiem potężnego słońca układu. Dwa ze srebrzystych łuków - planeta i księżyc Pydyr - były nakrapiane szafirowymi plamkami oceanów i szmaragdowymi łatami lądów; kolejny - przemysłowy księżyc Drewwa - migotał od świateł tysięcy zakładów i fabryk, między innymi Tendrando Arms i Amala Casketry; ale



to czwarty sierp, żółty i martwy księżyc Auremesh, przykuł uwagę Bena.

Sygnał naprowadzający, którym się kierowali po opuszczeniu Otchłani, zniknął z ekranu nawigacyjnego „Emiaksa”. Chłopak był pewien, że jego ojciec nie dezaktywowałby sygnału, nie uprzedzając go o tym wcześniej, więc „Cień Jade” najprawdopodobniej dokował w jaskini, bunkrze albo innym budynku o stropie na tyle grubym, że blokował sygnał. Ich ofiara na pewno szukała teraz miejsca, w którym mogłaby się ukryć, żeby lizać rany i odnowić siły, a jałowy, bezludny księżyc wydawał się wręcz do tego stworzony.

Ben przesunął kciukiem po panelu dotykowym drążka „Emiaksa” i na wyświetlaczu nawigacyjnym pojawiła się wytyczona trasa na Auremeshu.

- Daj spokój - odezwał się Luke, siedzący w fotelu drugiego pilota, ustawionym dwa metry za siedzeniem syna. - Polecimy na Pydyr. To tam się ukryje.

- Pydyr? - zdziwiła się Vestara, zajmująca jeden z foteli pasażerów na tyłach sterowni.

Chociaż pomogła im ukraść „Emiaksa”, a potem uciec przed jej ojcem i Sarasu Taalonem z Otchłani, Luke cały czas pilnował, żeby ani na chwilę nie została sama - zawsze był przy niej albo on, albo Ben. Sithanka była lepiej obeznana z systemami promu niż obaj Jedi razem wzięci, więc był to niewątpliwie słuszny krok. Mimo to Ben w głębi duszy obawiał się, że tą nadmierną ostrożnością utwierdzą dziewczynę w przekonaniu, że Jedi są takimi samymi groźnymi paranoikami jak Sithowie. - Skąd wiesz? - spytała dziewczyna. - Czy Jedi potrafią wysledzić wszystkich, z którymi kiedykolwiek mieli do czynienia?

Ben zauważył kątem oka cień uśmiechu na wargach ojca; wiedział, o czym myśli Luke.

Podczas ich pierwszego spotkania na Stacji Ujście Mistrz Jedi wykorzystał stosowaną przez dathomirskie wiedźmy technikę krwawego znamienia, żeby móc śledzić Vestarę. Utwierdzenie jej w przekonaniu, że podobne sztuczki to dla Jedi chleb powszedni, na pewno da im nad nią przewagę. Zerknął na ojca, szukając potwierdzenia, że może udzielić odpowiedzi, a kiedy ten skinął

głową, chłopiec obejrzał się na Vestarę i uniosł wysoko brwi. Chociaż Ves spędziła dwa dni w uzdrawiającym transie, sińce i zadrapania na jej twarzy wyglądały niewiele lepiej niż przedtem.

- Chcesz powiedzieć, że Sithowie tego nie potrafią? - rzucił z udawanym niedowierzaniem.

Po jego obrażeniach nie zostało prawie śladu dzięki połączeniu uzdrawiającego transu, opatrunków i maści z bactą. - To właśnie przez takie kłamstwa mój tata nie potrafi ci zaufać.

Vestara spuściła wzrok, ale zbyt późno, żeby Ben nie dostrzegł malującego się w jej oczach zaskoczenia.

- Przepraszam - wymamrotała. - Chyba w głębi serca wciąż jestem Sithem.

- Widzisz? - Luke popatrzył znacząco na syna. - Nie zmienisz jej.

Ben wzruszył ramionami.

- Przynajmniej sama się do tego przyznała. - Było mu przykro, że tak ostro ją potraktował, ale wiedział też, że dziewczyna wciąż próbuje od nich wyciągnąć informacje o Jedi. Nie był na tyle głupi, żeby sądzić, że ostatnie pytanie zadała z czystej ciekawości. - Zawsze trzeba od czegoś zacząć.

W kabinie przez chwilę panowało niezręcznie milczenie.

- Naprawdę was to bawi? - spytała wreszcie Vestara. Słyszając, jak drży jej głos, Ben poczuł ukłucie winy, ale z determinacją odsunął je od siebie. - Bo jeśli tak, to ja mogę tak cały dzień.

Wychowano mnie, żebym była twarda.

Luke przyglądał się jej przez chwilę w milczeniu.

- I sprytna - dodał. - Tego akurat nie mogę twojej Mistrzynie odmówić... może nie nauczyła cię zbyt dobrze władać mieczem świetlnym, ale doskonale wyszkoliła w wykorzystywaniu wdzięku i urody.

Aurę Vestary w Mocy przesycił nagły chłód i ból, ale panowała już nad swoim głosem.

- Dziękuję za komplement, Mistrzu Skywalkerze - powiedziała spokojnie. - Dobrze wiedzieć, że wysiłki mojej Mistrzynie nie poszły na marne. - Otworzyła z trzaskiem uprząż bezpieczeństwa. - A teraz, jeśli pozwolisz, muszę skorzystać z odświeżacza.

Luke skinął głową w stronę wyjścia z kabiny.

- Droga wolna - rzekł. - Ben i ja musimy się przygotować do lądowania.

Moc zafalowała od zdziwienia - zarówno Bena, jak i samej Vestary. Co prawda, żaden ze Skywalkerów nie pilnował jej podczas korzystania z odświeżacza, ale za każdym razem któryś z nich odprowadzał ją do niego i czekał na zewnątrz.

Kiedy już się otrząsnęła z zaskoczenia, Vestara zapytała:

- Znudziło ci się pilnowanie mnie?

Luke uśmiechnął się ponuro.

- Mamy ważniejsze rzeczy do roboty - odparł. - Ale jeśli będziesz niegrzeczna, Ben dostanie lanie.

- Ja? - parsknął Ben. Ojciec nigdy by go nie uderzył, ale Vestara nie musiała o tym wiedzieć, zresztą nie miał nic przeciwko sprawdzeniu, czy jej na nim zależy. - Dlaczego ja?

Mistrz Skywalker wzruszył ramionami.

- To ty cały czas powtarzasz, że możemy jej zaufać.

- Mówię tylko, że powinniśmy dać jej szansę - obruszył się Ben. - To co innego.

- Właśnie dajemy jej szansę - stwierdził spokojnie Luke. - Jeśli masz z tym jakiś problem, zawsze możemy ją wypchnąć przez śluzę.

Ben odetchnął głęboko i obejrzał się na Vestarę.

- Czy mogę ci zaufać?

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego krzywo.

- Tym razem. - Złączyła kolana i zaczęła przebierać nogami. - Ale jeśli nie zrobisz tego szybko, to wszyscy pożałujemy...

- Dobra już, dobra - bąknął młody Jedi. - Ale nie każ mi...

Sithanka nie słyszała jego słów, bo była już w połowie drogi do przedziału pasażerskiego.

Ben odczekał, aż jej kroki całkiem ucichną, i odwrócił się do ojca.

- Skoro naprawdę tak bardzo chciała wyjść do toalety, dlaczego czekała z tym, dopóki się nie dowiedziała, gdzie lecimy? Mam wrażenie, że z nami pogrywa.

- Zaskoczony?

Ben pokiwał głową.

- Chyba trochę - przyznał niechętnie. - Dlaczego pozwoliłeś jej iść samej?

- Bo muszę wysłać zaszyfowaną wiadomość do Cilghal, a nie mogę tego zrobić i jednocześnie pilotować statku - wyjaśnił Luke; sięgnął do kieszeni i wydobył z niej kilka drukowanych płytek. - A poza tym... zablokowałem włącz techniczny i pomocniczą stację łączności.

Ben uśmiechnął się szeroko. Dzięki tym środkom ostrożności Vestara nie będzie miała szansy czegoś zniszczyć ani donieść swoim współplemioncom o współrzędnych ich statku.

- Chyba właśnie dlatego jesteś Wielkim Mistrzem - stwierdził, kręcąc z podziwem głową. -

Ale nadal nie rozumiem jednej rzeczy: skąd wiesz, że Abeloth leci na Pydyr, a nie na Drewwę albo Auremesha?

- To proste. - Luke wstał, przeszedł na tył sterowni, zamknął włącz i zabezpieczył go od wewnątrz. - Bo wiem, czego szuka. - Bez dalszych wyjaśnień usiadł przy pulpicie nawigacyjnym, aktywował nadajnik podprzestrzenny i nawiązał połączenie ze Świątynią Jedi. Kiedy oficer łączności potwierdził przyjęcie sygnału, zaczął uderzać w mikrofon ze zmienną częstotliwością.

Ben natychmiast rozpoznał kod Jedi. Na pokładzie „Cienia Jade” mieli oczywiście sprzęt szyfrujący,

dzięki któremu mogli się bezpiecznie komunikować ze Świątynią; tutaj niestety nie mieli innego wyjścia, musieli skorzystać z kodu. Tym bardziej że system „Emiaksa” prawdopodobnie rejestrował automatycznie wszystkie komunikaty i przesyłał je także na Kesh.

Ben odruchowo rozszyfrował nadawaną przez ojca wiadomość. Z każdą chwilą coraz bardziej docierało do niego, jakie to ważne, żeby nikt poza Jedi nie dowiedział się, czego dotyczy komunikat. Jego ojciec nie tylko zdawał relację z ostatnich wydarzeń w Otchłani, ale też prosił Jedi o przysłanie na Pydyr posiłków - najszybciej jak to możliwe. Najwyraźniej był pewien, że Abeloth właśnie tu się ukrywa, a kiedy oni wywabią ją z kryjówki, będą potrzebowali pomocy, żeby ją zniszczyć - i to niebagatelnej pomocy.

Kiedy Luke kończył przekazywanie wiadomości, ktoś szarpnął klamką wjazdu. Zza zamkniętych drzwi dobiegł głos Vestary:

- Hej! Kto mnie zamknął?

- Ee, wybacz, Ves... - Ben zerknął na ojca, który powiedział bezgłośnie: „sekunda”. - Chyba uruchomiłaś protokół bezpieczeństwa, kiedy tak gnałaś do odświeżacza. Chwileczkę.

Luke skinął głową i wsłuchał się w serię stuknięć i szmerów dobiegających z głośnika. Ben także przysłuchiwał się wiadomości, z każdą chwilą bardziej zaniepokojony wieściami z Coruscant: dowiadywał się o oblężeniu Świątyni przez Mandalorian, o odmowie Daali wydania dwojga Jedi, Valina i Jyselli Hornów, pomimo dowodów na to, że inni dotknięci chorobą Jedi wyzdrowieli, o wotum nieufności wobec Wielkiego Mistrza Kentha Hamnera...

- Ben! - Vestara załomotała pięściami we wjazd. - Co się tam dzieje?

- Jeszcze moment! - zawołał chłopiec. - My, hm, jesteśmy trochę zajęci... eee, podchodzeniem do lądowania.

- Lądowania? - powtórzyła sceptycznie Sithanka. - Już?

Ben nie odpowiedział. Przez Vestarę stracił wątek i teraz próbował się połapać, co próba zabójstwa admirała Bwua'tu miała wspólnego ze starciem Mistrzynie Sebatyne i Wielkiego Mistrza Hamnera. Chwilę później wiadomość dobiegła końca; Luke potwierdził jej przyjęcie kilkoma krótkimi uderzeniami w mikrofon, powtórzył swoją prośbę o przysłanie posiłków i zakończył

połączenie.

Kiedy wstał z zamiarem otwarcia wjazdu, Ben spytał go ledwie słyszalnym szeptem: „Co się dzieje”? Luke wzruszył tylko ramionami i pokręcił głową.

Vestara znów załomotała w drzwi.

- Słuchajcie, jeśli nie chcecie, żebym kręciła wam się pod nogami...

- Nie bądź niemądra. - Luke odblokował drzwi. - Wolimy mieć cię tutaj, na oku.

Właz się otworzył. Stojąca po drugiej stronie Vestara miała skwaszoną minę, oczy podejrzliwie zmrużone, a jej aurę w Mocy przesycalo rozdrażnienie.

Zamiast jednak ustąpić jej z drogi i wpuścić do kabiny, Luke spytał:

- Coś nie tak z odświeżaczem?

- Nie, dlaczego? - zdziwiła się dziewczyna.

Wskazał na jej dłonie.

- Po wizycie w odświeżaczu zawsze myjesz ręce - wyjaśnił. - A teraz tego nie zrobiłaś.

Vestara wbiła wzrok w podłogę, udając zakłopotanie, ale Mistrz Jedi zdążył spostrzec, że jej źrenice lekko się rozszerzyły, zdradzając zwiększoną czujność. Nie wiedział, gdzie była po opuszczeniu kabiny załogi, ale na pewno nie w odświeżaczu.

- Rzeczywiście, zapomniałam - skłamała, obracając się na pięcie i kierując znów do toalety.

- Dzięki za zwrócenie uwagi.

- Nie ma za co - stwierdził Luke, dotrzymując jej kroku. - Pójdę z tobą, żebyś znów się nie zapomniała. Ben poradzi sobie ze statkiem do naszego powrotu.

- Jasne - zapewnił ich Rycerz Jedi.

Nie wiedział, czy ma się śmiać, złościć czy smucić. Jego ojciec najwyraźniej przejrzał

Vestare, co oznaczało, że prawdopodobnie nie będzie już próbowała narobić im kłopotów, jednak samo to, że dziewczyna wciąż szukała okazji do zdrady, bolało Bena. Ves znów zawiodła jego zaufanie. Robił co w jego mocy, żeby przekonać ją, że życie nie musi być takie trudne, przepełnione zdradą i podstępami; z kolei ona robiła wszystko, żeby dać mu do zrozumienia, że ma jego starania gdzieś.

Ale właściwie czego miał się po niej spodziewać? Przecież próbował ją nastawić przeciwko jej własnym rodzicom i całej tradycji jej ludu, wszystkiemu, co wpajano jej od małego. Nie potrafił

sobie wyobrazić, jak by się zachował, gdyby ktoś próbował skłonić go, żeby obrócił się przeciwko Jedi.

Cóż, pomyślał ponuro, Jedi przynajmniej nie stosują wobec swoich uczniów przemocy...

Świetliste sierpy Almanii i jej księżyców urosły już do takich rozmiarów, że wypełniły iluminator. Ben sprawdził ekran nawigacyjny, na którym widniały wytyczne dla monitorowanego kanału lądowania na Almanii i Drewwie, ale nie było na nim śladu trasy na Pydyr. Wszyscy wiedzieli, że księżyc nie należy do szczególnie cywilizowanych miejsc i wciąż jeszcze próbuje się pozbierać po katastrofie, jakiej doświadczył kilkadziesiąt lat wstecz, podczas najazdu Mrocznego Jedi o imieniu

Keller. Pydyr jednak miał port kosmiczny - a to znaczyło, że powinien mieć i system kontroli lotów...

Gdyby Ben leciał stealthX-em, mógłby spróbować lądować potajemnie, niestety luksusowy prom, który pilotował, zamiast modulatorów grawitacyjnych, rozpraszaczy termicznych i innych przydatnych systemów miał na wyposażeniu czerwoną tapicerkę z nerfiej skóry i automaty z napojami w kabine załogi. W skrócie oznaczało to tyle, że nawet jeśli kontrola lotów Pydyra nie zauważy jego lądowania, to centrale na Almanii i Drewwie - na pewno tak. Ben nie miał innego wyjścia, niż postępować według standardowych procedur, ustawił więc kurs na dzienną stronę księżyca i aktywował moduł łączności statku.

- Kontrolo Pydyra? - rzucił do mikrofonu. - Tu prom transportowy „Emiax”. Proszę o wektor podejścia. Powtarzam: prom transportowy „Emiax” prosi o wektor podejścia. - Umilkł i czekał cierpliwie na odpowiedź, obserwując, jak księżyc rośnie z każdą chwilą, w miarę jak się do niego zbliżali. Przez cienką warstwę chmur przebijało sześć sporych kontynentów. Ben wywołał na ekran informacje o księżycu i ze zdziwieniem odkrył, że jedyne większe miasto to Corocus, położony w pobliżu równika na największym kontynencie. Dostroił kurs, okrążając dzienną stronę księżyca, dopóki obraz w iluminatorze nie pokrył się z wizerunkiem wyświetlanym na ekranie -

cyplem zakrzywionym w stronę dużej wyspy. - Kontrolo Pydyra? - rzucił znów do mikrofonu. -

Prom transportowy „Emiax” zbliża się do miasta Corocus. Proszę o wskazówki dotyczące procedury podejścia.

Chwilę później z głośnika dobiegł chrapliwy pisk:

- Odmawiam, „Emiaksie”. - Nawet jak na standardy ptasiej rasy, głos Pydyrianina brzmiał

słabo i fałszywie. - Przerwij procedurę lądowania... Obierz kurs na Almanię. Pydyr jest objęty...

kwarantanną.

- Kwarantanną? - Ben opadł na oparcie pilota i zmarszczył czoło. Nie zamierzał słuchać zaleceń kontrolera. Pydyrianin naprawdę brzmiał, jakby był osłabiony i chory, ale coś takiego nietrudno udać na odległość. Ben nie podawał w wątpliwość prawdziwości słów istoty, jednak... coś nie dawało mu spokoju. Co tu było nie w porządku? W głosie Pydyrianina słychać było osobliwe napięcie, a sposób, w jaki urwał, żeby nabrać powietrza, też był jakiś dziwny. - Dlaczego? - spytał.

- Dla waszego... bezpieczeństwa - wydukał kontroler lotów. - To epidemia... międzyrasowa.

Bardzo zjadliwa. Zawracaj. Natychmiast.

Nie skończył jeszcze mówić, kiedy do kabiny wrócili Luke i Vestara. Zamiast jednak zająć swoje miejsce na tyłach sterowni, Sithanka podeszła do konsoli i usiadła w fotelu nawigatora -

najwyraźniej licząc na to, że zdoła podejrzeć ostatnie ustawienia nadajnika podprzestrzennego. Ben zauważył kątem oka, że jego ojciec lekko się uśmiecha i już wiedział, że dziewczyna dowie się tylko tego, co zechce ujawnić Luke.

- To jak, zwracamy? - spytał. Ogarnęło go nieprzyjemne przecucie, że grozi im poważne niebezpieczeństwo. Czytał co nieco o różnych plagach, które w przeszłości nawiedzały galaktykę, dziesiątkując całe cywilizacje i całkowicie wyniszczając życie na różnych światach.

Odpowiedzialność za rozwłóczenie po galaktyce jeszcze jednej zarazy była ostatnią rzeczą, jakiej Ben sobie życzył. - Może ktoś na Almanni powie nam, co się stało?

Luke pokręcił głową.

- Trzymaj kurs.

- Eee, Mistrzu Skywalkerze... Jesteś pewien, że to rozsądne? - zaniepokoiła się Vestara. Jej aurę w Mocy przesycił ten sam strach, który paraliżował Bena, a napięcie w głosie sugerowało, że nie zgodzi się polecieć na zakażony świat bez walki. - Głos tego gościa brzmi naprawdę dziwnie...

Luke nie pofatygował się, żeby jej odpowiedzieć. Za chwilę w głośniku rozległ się ten sam wątpliwy głosik:

- Załogo promu „Emiax”! Informujemy, że nas? port kosmiczny jest zamknięty dla ruchu kosmicznego. Nie otrzymacie pozwolenia na...

- Kontrolo lotów Pydyra - wszedł mu w słowo Luke. - Tu Wielki Mistrz Luke Skywalker z Zakonu Jedi. Ścigamy skradziony statek, który jest dla nas bardzo cenny i zamierzamy wylądować, żeby go odzyskać.

- Mistrz Skywalker? - Pydyrianin na chwilę się ożywił, ale jego entuzjazm wkrótce znikł

bez śladu. - Zapewniam cię, Mistrzu Skywalkerze, że... od ubiegłego tygodnia na Pydyrze nie wylądował żaden jacht kosmiczny. Naruszając kwarantannę, skążesz siebie i swoich towarzyszy podróży na długą i bolesną... - Urwał, zanosząc się kaszlem, co utwierdziło Bena w przekonaniu, że biedaka od śmierci dzieli w najlepszym razie kilka godzin. Kiedy jednak przeniósł wzrok na ojca, w jego oczach nie zobaczył śladu strachu ani troski. Luke Skywalker zaciskał szczęki, a na jego wargi wypłynął kpiący uśmiezek. Chłopiec uświadomił sobie z przerażeniem, że nic nie zdoła odwieść go od zamiaru wylądowania na skażonym księżycu - ani strach o bezpieczeństwo ich samych, ani galaktyki. Przełknął głośno ślinę.

- Nie zawrócimy, prawda? - spytał cicho.

Luke pokręcił głową.

- Nic nam nie będzie - zapewnił syna. - Zaufaj mi.

- Niby dlaczego mielibyśmy uniknąć zakażenia? - zbuntowała się Vestara. - Czuję poprzez Moc, że tam się dzieje coś strasznego. Jak możesz być pewien, że nam się nic nie stanie?

Ku zaskoczeniu Bena, Mistrz Jedi uśmiechnął się jeszcze szerzej. Wcale tego nie krył, kiedy odwrócił się do Sithanki.

- Zaczniemy od tego, że nie wspominałem ani słowem o tym, jakiego statku szukamy. -

Luke zwrócił z powrotem wzrok na rosnący w iluminatorze Pydyr. - To skąd kontrola lotów wiedziała, że chodzi o jacht kosmiczny?

## ROZDZIAŁ 20

Kłęby kurzu wirujące w przestronnym hangarze i długi szereg pustych, pograżonych w mroku doków, ciągnących się wzdłuż jego tylnej ściany, sprawiał, że port kosmiczny Corocus wyglądał raczej jak jama narglatcha niż punkt tranzytowy. Wielkie maszyny remontowe pokrywała warstewka rdzy, przeżerającej nity i spawy, a z głębi warsztatu dobiegało słabe poświstywanie nieszczelnej złączki ciśnieniowej. Przez przedni iluminator Luke widział jedyny poza nimi pojazd w hangarze - luksusowy, lekki transportowiec ZipDel produkcji BDY, dokujący po przeciwnej stronie, u wylotu zatoki przeładunkowej; jego załoga - dwójka ludzi - przyglądała im się ponuro zza przedniego iluminatora statku.

Aury ludzi w Mocy przepełniał strach, a ich twarze pokrywały sine pęcherze i ropiejące rany. Widząc podkrążone, podpuchnięte oczy, Luke poznał, że są krańcowo wyczerpani, a przygarbione plecy i rozczochrane, brudne włosy sugerowały, że przy życiu trzyma ich tylko resztką nadziei. Wytrzymał spokojnie ich spojrzenia, po czym zaczął wykonywać specjalne ćwiczenie oddechowe, ułatwiające zanurzenie się w Biały Nurt - jeden długi wydech, poprzedzany dwoma krótkimi wdechami.

Wyznawcy Białego Nurtu wierzyli, że jest on czymś odrębnym od Mocy i że istoty hołdujące innym wykorzystującym Moc praktykom czerpią ze źródła jakiejś podrzędnej formy mistycznej energii. Czyciele tych „innych obrządków” postrzegali jednak Biały Nurt jako jeszcze jedną manifestację Mocy. Luke był zdania, że obie strony mają po trosze rację. Biały Nurt był

rzeczywiście odmienną formą Mocy - ale tylko w takim sensie, w jakim każdy nurt jest częścią oceanu, przez który płynie. W ujęciu całościowym - jedno było drugim i odwrotnie.

Po kilku oddechach Luke poczuł, jak Biały Nurt przepływa przez niego - lekkim, ledwie wyczuwalnym strumieniem, który czynił go silniejszym. Otworzył się na niego jak na Moc, a nurt zaczął przepełniać całe jego ciało ciepłym, kojącym dotykiem. Mistrz Jedi poddał mu się i pozwolił, żeby porwał go ze sobą; stopił się z nim i pozwolił mu stać się częścią swojego ciała i duszy.

Połączony z Białym Nurtem, zaczął widzieć prawdziwą naturę rzeczy - nie postrzegał ich powierzchownie, ale takie, jakie naprawdę były. Jeszcze raz spojrział na drugą stronę hangaru, wysyłając w stronę członków załogi ZipDela wici pokrzepienia i otuchy.

Z twarzy dwojga ludzi znikły rany i krosty, a ich cera odzyskała zdrowy, jasny kolor, nadal jednak się garbili, ich oczy zaś przepełniała rozpacz; choroba była tylko iluzją, oni sami jednak byli przekonani, że jest prawdziwa. Podobne okrucieństwo było nie do pomyślenia dla wyznawców Białego Nurtu; Luke nie potrzebował więcej wskazówek, żeby wiedzieć, gdzie ukrywa się Abeloth.

- Zostańcie na pokładzie - polecił Benowi i Ves, sam zaś otworzył właz i zszedł po rampie. -



Ja pójdę poszukać „Cienia”.

- W samej szacie, Mistrzu Skywalkerze? - Niepokój w głosie Vestary brzmiał szczerze. -

Mamy na pokładzie skafandry przeciwskażeniowe i...

Luke obejrzał się przez ramię.

- Skafandry przeciwskażeniowe? - powtórzył z udawanym zdziwieniem i uśmiechnął się drwiąco. Wyczuł następną okazję, aby wpoić jej fałszywe przeświadczenie co do niezwykłych zdolności Jedi.  
- Dlaczego mielibyśmy potrzebować skafandrów, skoro mamy Moc?

Stanął u stóp rampy, wdychając słonawe, nieruchome powietrze, przesycone zapachami hangaru. Po chwili, unosząc po drodze obłoczki pyłu pokrywającego ziemię, ruszył w stronę przeciwległej platformy lądowniczej. Szybko dotarł do ceglanego budynekczku, w którym mieściło się biuro służb portowych. W budce siedzieli dwaj Pydyrianie - obaj pokryci takimi samymi sinymi strupami i ropiejącymi krostami, jak ludzie w ZipDelu. Dwie niskie, szczupłe istoty o długich, nieco ptasich twarzach siedziały przygarbione na drewnianych grzędach, kurczowo zaciskając na nich szponiaste łapy o zgiętych w tył kolanach. Obaj pochylali się niepewnie do przodu: oficer łączności nad swoją konsolą komunikacyjną, a oficer obsługi portu - nad blatem ustawionego pod kątem biurka. Obaj też wyglądali na wycieńczonych i ledwie żywych.

Luke przyjrzał im się przez pryzmat Białego Nurtu, tak samo jak przedtem załodze ZipDela, i zobaczył dokładnie to samo, co wcześniej - że ich choroba jest złudzeniem, iluzją. Ale chociaż z całej siły chciał wierzyć, że to Abeloth wywołuje omamy u mieszkańców Pydyra, nie był tego do końca pewien. Liczni Sithowie, pośród których było kilku Mistrzów i potężnych Lordów, spędzili w towarzystwie Abeloth całe tygodnie, nie dostrzegając jej prawdziwej natury, a on sam przez kilka dni na pokładzie „Cienia” trwał w nieświadomości, że to ona podszywa się pod Dyona Stadda.

Jakoś dziwnie łatwo przyszło mu przejrzeć tę sztuczkę z chorobą; aż trudno było mu uwierzyć, że zaraza jest jej sprawką.

Podszedł do biurka szefa obsługi portu i odchrząknął, ale potrwalo dobrą chwilę, zanim Pydyrianin podniósł na niego wzrok.

- Czy ty jesteś Lukiem Skywalkerem? Tym Lukiem Skywalkerem? - spytał.

- Zgadza się - potwierdził Mistrz Jedi. Chociaż mieszkańcy tej planety mogli nie kojarzyć jego twarzy, jego imię prawdopodobnie było im znane. Wiele lat temu on i Leia pomogli w oswobodzeniu systemu Almanii ze szponów Mrocznego Jedi Kuellera, któremu prawie udało się wytrzebić całą populację Pydyra. - Szukam jachtu kosmicznego mojej żony, „Cienia Jade”.

Szef obsługi portu kosmicznego skinął głową.

- Tak, wspominałeś o tym - przypomniał sobie. - Ale już ci mówiłem, że nie wylądował tu żaden taki statek. - Szczupłą, trójpalczastą dłonią wpisał hasło w notes komputerowy na biurku i przesunął urządzenie w stronę Luke'a. - Zobacz sam. Właśnie skazałeś się w bardzo głupi sposób na pewną

śmierć.

- Wątpię. - Mistrz Jedi zerknął na ekran. Wyświetlono na nim dane z dziennika ruchu w porcie kosmicznym. Na pierwszej stronie widniało tylko pięćdziesiąt zapisków. Ich daty sięgały niemal miesiąc wstecz i żaden nie dotyczył lądowania jachtu kosmicznego typu Horizon. -

Możliwe, że „Cień” nie wylądował w waszym porcie, ale mam pewne dowody na to, że jest na Pydyrze. Muszę je tylko potwierdzić - wyjaśnił.

- Zdobyłeś te dowody w czasie, jaki upłynął, odkąd opuściłeś swój statek? - parsknął szef obsługi portu. Odchylił się na swojej żerdzi do tyłu i łypnął na Luke'a spod oka. - Dobrzy jesteście, wy, Jedi.

- Nie aż tak dobrzy, jak sądzisz - sprostował Skywalker, wzmacniając swoje słowa odrobiną Mocy, żeby lepiej zaszcześcić w jego umyśle kłamstwo, którym właśnie zamierzał go poczęstować.

- Wiem, że to na jego pokładzie tu trafiła.

- Kto? Co? - spytał skonsternowany Pydyrianin.

Luke wskazał rany i krosty na jego twarzy.

- „Cień” - wyjaśnił. - To na jego pokładzie przywieziono tutaj ropną ospę. - Wymyślił tę nazwę na poczekaniu i chociaż nie lubił kłamać, godził się z myślą, że czasem nawet Jedi musi się uciec do oszustwa, na przykład teraz, kiedy lepszym wyjściem było minąć się z prawdą niż o nią walczyć. - Osoba, która ukradła statek, jest odporna na chorobę, ale to ona ją rozprzestrzenia.

- Rozprzestrzenia? - powtórzył z niepokojem oficer łączności. - Chcesz powiedzieć, że ktoś celowo rozniósł tu tę zarazę?

- Nie znamy motywów jej działania - tłumaczył Luke. - Możliwe, że robi to ze strachu, ale jedno jest pewne: musimy ją powstrzymać.

Oficer łączności zmrużył gniewnie paciorkowate oczy.

- Powinniście byli ją powstrzymać, zanim przybyła na Pydyr! - zawołał piskliwie.

- Nie mieliśmy jak. - Luke rozłożył bezradnie ręce. - Obawiam się, że jest bardzo przebiegła i bez trudu potrafi namówić innych do współpracy.

Oficer łączności spojrzał niepewnie na swojego kompana - albo chciał go skłonić do wyjawienia prawdy, którą ukrywali, albo prosił o pozwolenie na dokonanie tego osobiście.

- Bardzo źle się zresztą składa, że tak jest - dodał Luke - bo im więcej czasu minie, zanim dostarczymy ją do laboratorium, tym więcej niewinnych istot zginie.

- Laboratorium? - Oficer łączności zmarszczył czoło. - Czy to znaczy, że potrafisz znaleźć lekarstwo na tę zarazę?

- Tak właśnie powiedzieli mi nasi naukowcy - wyjaśnił Luke. - Jeśli zdołają ustalić, dlaczego ona jest na nią odporna, będą mogli opracować antidotum.

Oficer znów zerknął na szefa obsługi portu.

- Najee, powinniśmy mu powiedzieć...

- Już to zrobiłeś, głupcze! - warknął Pydyrianin.

- I bardzo słusznie postąpił - zawyrokował Luke. Wbił wzrok w szefa obsługi nazwanego Najee i dodał surowo: - Tu nie chodzi tylko o życie Pydyrian. Gdzie ją znajdę?

Najee wzruszył ramionami.

- A kto to wie? Śledziliśmy jej statek do... hm, aż do wybrzeża poza miastem.

- Do plaży w pobliżu świątyni? - zgadł Luke i przyglądał się w milczeniu, jak Pydyrianinowi rzednie mina. Wiedział, że trafił w sedno, miał rację od chwili, kiedy „Emiax” zawitał do systemu Almanii. Abeloth przybyła tutaj w poszukiwaniu Fallanassich, tajnego Zakonu kobiet, znanego też jako Adeptki Białego Nurtu. - Najee, wiem, że Fallanassi mają tu swoją siedzibę i mam powody sądzić, że złodziejka zechce szukać wśród nich schronienia - powiedział z naciskiem. - Jeśli mam rację, Białemu Nurtowi grozi wielkie niebezpieczeństwo.

- Masz rację - przyznał oficer łączności. - „Cień Jade” zjawił się tu, posługując się własnym kodem transpondera i...

- Sanar! - syknął Najee. - Pani prosiła, żebyśmy nikomu o tym nie wspominali!

- Możesz sobie milczeć, jeśli chcesz. - Sanar zdjął zestaw słuchawkowy, cisnął go na konsolę łączności, a potem zeskoczył z żerdzi. - Ale skoro sam Luke Skywalker potrzebuje pomocy w ocaleniu galaktyki przed tą plagą, to ja zamierzam mu przynajmniej pokazać, od czego zacząć.

## **ROZDZIAŁ 21**

Śledzenie Luke'a Skywalkera i jego pydyriańskiego przewodnika tak, żeby jej nie zauważyli, było trudne - szczególnie w jaskrawopomarańczowym skafandrze, który miał chronić Vestarę przed zarazą. Gdyby podróżowali pieszo, potężne kolumny i cieniste arkady potężnych ceglanych budowli Corocusa zapewniłyby jej mnóstwo doskonałych kryjówek, gdyby jednak postanowili wziąć z portu kosmicznego śmigacz, ona także będzie potrzebowała maszyny, żeby za nimi lecieć, a podczas pościgu wyludnionymi ulicami stolicy będzie zupełnie odsłonięta.

Tak czy inaczej, Vestara musiała mieć ich na oku. Dzięki punktowi publicznego dostępu do sieci łączności wysłała z portu kosmicznego wiadomość do centrum przekazu na Boncie; stamtąd prześlą ją Zapomnianemu Plemieniu. Za niecałą godzinę Krąg Lordów na Kesh dowie się, że Skywalker poluje na Abeloth na Pydyrze i że - jak Ves przypuszczała - wezwał już posiłki Jedi. Nie wiedziała co prawda, jak Krąg na to zareaguje, ale nie miała wątpliwości, że podejmie jakieś działania... Cóż, jej obowiązkiem było przekazywanie im tylu wiadomości o wrogu, ile zdoła zebrać.

Przyjrzała się krytycznie szeregowi śmigaczy zaparkowanych po przeciwnej stronie ulicy, wybrała jeden z najpopularniejszych modeli i kolorów - turkusowy AirCushion Ubrikkiana - i podeszła do drzwi pilota. Mocą otworzyła od wewnątrz zamki, podniosła drzwi i wślizgnęła się na siedzenie za sterami. System alarmowy natychmiast zapalił lampki w kabinie na czerwono, ostrzegając ją komunikatem audio, że musi okazać odcisk kciuka w celu autoryzacji, więc Vestara zanurkowała pod panel sterowania i przyjrzała się terminalowi skanującemu. Chociaż kiepsko widziała przez panel twarzowy skafandra, już po chwili namierzyła przełączniki sygnału i Mocą wyszarpnęła dwa kabelki z ich gniazd.

Rozległo się przeraźliwe wycie alarmu, ale Ves szybko zetknęła końcówki kabli, uciszając hałas w mgnieniu oka... i zaraz krzyknęła, zaskoczona, kiedy drzwi po stronie pasażera podniosły się do góry.

- Kontrola Skażenia Galaktycznego Sojuszu - zaczęła, przygotowując się do ciśnięcia intruza Mocą na ścianę najbliższego budynku. - Muszę się dostać do...

- Spokojnie - rozległ się stłumiony przez filtr skafandra głos. - Tylko nie...

Vestara podniosła wzrok i spojrzała prosto w oczy ubranego w ochronny skafander Bena Skywalkera. Jego miecz świetlny wisiał u pasa, za to chłopak trzymał ją na muszce blastera.

- Ben... - bąknęła, zastanawiając się, jak długo ją śledził i czy widział, jak wysłała wiadomość z punktu łączności PanComm w porcie kosmicznym. - Dobrze cię widzieć...

- Nie wątpię - stwierdził Jedi. - Też się cieszę, że mnie tu zaprowadziłaś.

Vestara spuściła głowę.

- Stęskniłeś się za mną? - Uniosła zalotnie brew.

- Jasne - parsknął Ben, ale zaraz spoważniał. - Mieliśmy czekać na pokładzie „Emiaksa”.

Podobno poszłaś wziąć długi saniprysznic...

Vestara wahała się przez chwilę, ale po namyśle uznała, że nie ma sensu sprzedawać mu jakichś głodnych kawałków.

- Yhm... A skąd w ogóle wiedziałeś, co zamierzam? - Pogroziła mu figlarnie palcem i zastanawiając się, czy kokieteryjna minka wywrze odpowiedni efekt przez szybę panelu twarzowego hełmu, zmarszczyła brwi i wydeła usta. - Podglądałeś!

- Nie musiałem. - Ben pacnął się po kieszeni swojego pomarańczowego kombinezonu. -

Sprawdziłem schowek na sprzęt awaryjny. A teraz zwrócimy te skafandry tam, gdzie ich miejsce. -

Machnął blasterem, dając jej znak, żeby wysiadła ze śmigacza.

Zamiast go posłuchać, Ves aktywowała repulsory pojazdu.

- Mam lepszy pomysł - stwierdziła. - Wskakuj.

- A ja mam rozkazy - odparował Ben i znów skierował na nią lufę blastera. - Sądzę, że przynajmniej ten jeden raz ty także powinnaś ich posłuchać.

Sithanka przewróciła oczami.

- Ben, oboje wiemy, że mnie nie zastrzelisz i że ja nie wysiądę. - Mocą wdusiła kontrolkę zamykania drzwi i skrzydło po stronie pilota opadło. - Więc albo wsiadasz, albo lecę sama.

Rycerz Jedi schował broń do kabury.

- Zapomniałaś o jeszcze jednej opcji - poinformował ją.

- Jakiej? - spytała zaczepnie.

- Wyciągnięcia cię stąd na siłę.

Podniosła teraz obie brwi, zaskoczona jego determinacją.

- Och, Ben... - Pokręciła z westchnieniem głową, - Chociaż perspektywa zapasów z tobą jest bardzo kusząca, także chyba o czymś zapomniałaś.

Skywalkerowi nieco zrzędała mina.

- Co masz na myśli? - spytał podejrzliwie.

- Jestem Sithanką - odparła po prostu Ves, starając się nadać swojemu głosowi przekonujące brzmienie. - Nie wiesz, do czego się posunę. Nie zawaham się przed niczym.

Ben zrezygnowany wślizgnął się na siedzenie pasażera.

- Powiesz mi przynajmniej, dokąd lecimy? - spytał.

- Jasne. - Ledwie skończyła mówić, z portowego garażu naprzeciwko wynurzył się dziób śmigacza SoroSuub. Ves opuściła się niżej na swoim siedzeniu i zmusiła Bena, żeby schylił głowę.

- Lecimy za twoim ojcem - szepnęła.

- Co? - Chłopiec spróbował się wyprostować na oparciu śmigacza, ale Ves Mocą przytrzymała jego głowę.

- Nie wiem jak wy, Jedi, ale my, Sithowie, nie mamy w zwyczaju pozwalać naszym Mistrzom wyruszać na samotne polowanie na istoty takie jak Abeloth. Nie bez planu awaryjnego w zanadrzu.

Wreszcie przestał się wiercić.

- Sądziysz, że on leci po nią... po Abeloth? - spytał z wahaniem.

- Nie jestem pewna - przyznała Vestara. - Ale myślę, że jeśli mają na tym księżycu kontrolę ruchu, mają też system namierzania statków. - Śmigacz naprzeciwko zawinął i skręcił w ulicę. - Ale dlaczego niby szef obsługi portu kosmicznego miałby twojemu ojcu powiedzieć, gdzie szukać

„Cienia”? Dla mnie to wygląda jak pułapka.

- Możliwe. - Ben zamyślił się na chwilę. - Chyba masz rację.

- Też tak sędzę. - Vestara skinęła głową. - I właśnie dlatego polecimy za nimi... oczywiście w bezpiecznej odległości. Jeśli okaże się, że Mistrz Skywalker nie potrzebuje naszej pomocy, wrócimy po prostu na „Emiaksa” i nikomu nic się nie stanie - stwierdziła lekko. - A jeśli okaże się, że ma kłopoty, będziemy mogli mu pomóc.

- No dobra, może to nie jest taki głupi plan, jak się wydaje - przyznał niechętnie Ben i wyjrzał zza tablicy rozdzielczej. - Ale muszę ci coś powiedzieć.

- Co takiego? - Vestara wyprostowała się za sterami śmigacza, pełna obaw, że Ben wie o wiadomości, którą wysłała, i zachodząc w głowę, dlaczego czuje się, jakby go zdradziła. - O co chodzi?

Skywalker uśmiechnął się do niej krzywo.

- Masz na mnie zdecydowanie zły wpływ.

## **ROZDZIAŁ 22**

Mroczne widmo nadchodzącego sztormu atakowało podstawę klifu nieustępliwymi, spienionymi falami. Kiedy szturm na chwilę ustępował, z toni wynurzały się setki kształtów, z których większość dorównywała wielkością małym statkom kosmicznym - niebezpiecznych, ostrych skał. W oddali majaczyła biała iglica odległej wyspy, obwarowanej klifami dorównującymi wysokością temu, na którym właśnie stał Luke Skywalker.

Nie dostrzegając nigdzie w pobliżu ani śladu „Cienia Jade”, Wielki Mistrz odwrócił się w stronę swojego pydyriańskiego przewodnika.

- Mam nadzieję, że nie próbujesz mnie zwodzić, Sanar - powiedział. - Jeśli „Cień” zatonął...

- Nie, nie! - Sanar wskazał sięgającą kostek warstwę ziemi-rośli, które ich otaczały. - Twój statek jest tutaj, pod nami.

Luke spuścił wzrok, zanurzając się znów w Biały Nurt na wypadek, gdyby miał do czynienia z kolejną iluzją, ale nie znalazł nic bardziej podejrzanego niż te same czterolistne pędy ziemi-rośli, które widział wcześniej.

- Pod nami? - spytał, nie bardzo wiedząc, co ma na myśli jego przewodnik.

- W jaskini. - Sanar podszedł do krawędzi klifu, wychylił się za nią ostrożnie i wskazał coś pod

nawisem. - Tutaj.

Korzystając z Mocy, żeby utrzymać równowagę, Luke także wyjrzał za klif i przyjrzał się podejrzliwie skalistej powierzchni. Jakies sto metrów niżej dojrzał na wpół zasłonięty przez chmurę rozwrzeszczanych mew ciemny zarys wejścia do groty.

- Widzę. - Odwrócił się do Sanara. - Jak się tam dostaniemy?

Pydyrianin ściągnął wąskie wargi w grymasie, który zapewne oznaczał u jego rasy zaskoczenie.

- Jesteś Jedi, prawda?

- Prawda - zgodził się Luke. - Ale Jedi nie umieją latać.

- Nie? - Sanar sprawiał wrażenie zawiedzionego. - No to ja nie mam żadnego pomysłu.

Może powinniśmy wrócić po śmigacz...

Luke pokręcił głową z lekkim rozbawieniem.

- Nie ma na to czasu. Poradzimy sobie inaczej.

Wyjął z zasobnika u pasa niewielką kotwiczkę i rzucił ją w stronę skały pod ich stopami, wysnuwając z zasobnika półpłynną linkę. Kiedy hak dotarł do celu, zatrzymał mechanizm jednym wciśnięciem guzika i posłał wzdłuż linki słaby ładunek elektryczny. Wiązka natychmiast stężała, zmieniając się w stalową linę zdolną utrzymać kilkaset kilogramów. Aby zabezpieczyć drugi koniec, Luke wyjął z kieszonki u pasa niewielki bolec, zaczeplił go o linkę i umieścił w lufie blastera, a potem wystrzelił w ziemię tuż obok.

Przy akompaniamencie cichego szczęku linka z hakiem wpięła się w kredowe podłoże u ich stóp. Luke przymocował ją kilkoma większymi hakami, podszedł do krawędzi klifu i zaczął

schodzić w dół.

Sanar zmarszczył z niepokojem brwi.

- Mistrzu Skywalkerze, czy będę ci jeszcze do czegoś potrzebny? - Zakasłał niepewnie, pierwszy raz, odkąd Luke go spotkał, i wyznał: - Nie czuję się najlepiej...

- Zrobiłeś, co w twojej mocy, Sanarze - zapewnił go Mistrz Jedi. - Dziękuję za twoją pomoc.

- Nn...nie, to ja dziękuję, Mistrzu Skywalkerze. - Pydyrianin zginał się w ukłonach, wycofując jednocześnie w stronę swojego śmigacza. - Gdybyś miał jakieś problemy z odzyskaniem statku swojej żony, nie wahaj się prosić mnie o pomoc. Wiesz, jak mnie znaleźć.

Zanim Luke zdążył odpowiedzieć, oficer łączności zamykał już drzwi swojego X-40. Jego pospieszny odwrót nie zdziwił Mistrza Jedi. Kiedy dotarli tutaj i stanęli na klifie, spoglądając w

kierunku odległej wyspy, ogarnęła ich nagle atmosfera dziwnego niepokoju, która szybko zmieniła się w silne poczucie niebezpieczeństwa. Luke zdawał sobie sprawę, że to prawdopodobnie nic więcej niż fallanasska iluzja, mająca utrzymać intruzów z daleka od świątyni. Niedawno wyczuł

jednak, jak Ben sięga ku niemu poprzez Moc, niespokojny i czujny, więc postanowił mieć się na baczności na wypadek, gdyby nadgorliwość Sanara oznaczała zdradę.

Zatrzymał się na chwilę i pozwolił, żeby wypełniła go Moc. Czuł przytłumioną obecność żywych istot na wietrznym szczycie klifu i w morzu pod nim, a nawet mgliste fale emanujące z odległej wyspy - bez dwóch zdań siedziby Fallanassich, jednak jego zmysł ostrzegający przed niebezpieczeństwem nie wyczuwał w jaskini w dole nic - zupełnie nic.

Zaczął schodzić po linie wzdłuż kredowej ściany klifu, ostrożnie i powoli. Do głowy przychodziły mu dziesiątki powodów, dla których Abeloth mogłaby przybyć na Pydyr, ale żaden nie wydawał mu się odpowiednio przekonujący. Mogła się tu zjawić choćby po to, żeby zwerbować armię, która będzie ją chronić... A może wiedziała o uczuciu, które łączyło kiedyś Luke'a z fallanasską adeptką Akanah i zamierzała tę wiedzę w jakiś znany tylko jej sposób wykorzystać -

albo zemścić się na nim, zabijając Akanah? Tak czy inaczej, członkiniom Białego Nurtu groziło niebezpieczeństwo i należało je ostrzec.

Kiedy był już blisko jaskini, nad jego głową zaczęły krążyć mewy, nurkując i skrzecząc gniewnie; najwyraźniej próbowały go przepłoszyć, obawiając się o bezpieczeństwo swoich gniazd.

Wejście do groty miało jakieś dwadzieścia metrów wysokości i z grubsza owalny kształt, nieco spłaszczony na górze. W środku majaczyła srebrzysta sylwetka „Cienia Jade”; statek stał jakieś siedemdziesiąt metrów od wejścia do jaskini, otoczony chmurą krążących niespokojnie, rozkrzyczanych ptaków.

Luke sięgnął poprzez Moc do wnętrza, ale nic nie poczuł - pomimo tysięcy trzepoczących mew. Sięgnął po blaster, drugą ręką chwytając miecz świetlny, odepchnął się od klifu i pomagając sobie Mocą, wylądował w środku groty, płosząc małe stadko przestraszonych ptaków. Natychmiast uskoczył za pobliską skałę i zamarł, usiłując zlokalizować w jaskini istotę odpowiedzialną za wyłączenie Mocy. Odczekał dobre pół minuty, ale nie usłyszał nic poza skrzeczeniem mew, a jego nos zarejestrował tylko zapach ich odchodów. Nagle jednak zmysł Mocy wrócił; Mistrz Jedi czuł

teraz obecność szalonej ptasiej watahy, kołującej chaotycznie w jaskini i nad wzburzonym morzem.

Mewy, przestraszone jego najściem, przymierzały się do ataku, więc Luke wsączył w ich umysły sygnały mówiące o tym, że ma przyjazne zamiary i że ptaki mogą czuć się w jego obecności bezpiecznie. Po chwili zaczęły się uspokajać - czuł to poprzez Moc i widział po ich zachowaniu.

Puścił linkę i wyjrzał ostrożnie zza głazu, próbując się wyciszyć i uspokoić.

Kilka metrów dalej zobaczył idącą w jego stronę postać: ubraną w prostą białą togę, przepasaną cienkim złotym sznurem brązową kobietę o ciemnych kręconych włosach, opadających



swobodnie na ramiona. Miała wystające kości policzkowe i chociaż po jej pełnych wargach błąkał się uśmiech, wydawała się dziwnie smutna. Kiedy spojrzała w stronę Luke'a, poczuł emanujące od niej fale radości.

- Luke Skywalker! - Wyciągnęła w jego stronę ramiona. - Witaj!

Luke wstał i odwzajemnił uśmiech. W przeciwieństwie do innych osób, które spotkał dotąd na Pydyrze, jej twarzy nie pokrywały wymaginowane wrzody; nie wydawała się też zmęczona ani chora. Opuścił swoją kryjówkę i wyszedł jej na spotkanie.

- Akanah! Dobrze cię widzieć.

Fallanasska uniosła brwi, patrząc na miecz i blaster, które wciąż trzymał w pogotowiu.

- Doprawdy, dziwnie okazujesz radość.

Luke spojrzał na swoje dłonie i zarumienił się lekko, zakłopotany, jednak schował do kabury tylko miotacz.

- Wybacz. - Wskazał na ptaki kołujące nad ich głowami. - Ścigam bardzo niebezpieczną...

istotę, a kiedy nie mogłem wyczuć w Mocy tych ptaków...

- Stałeś się podejrzliwy - dokończyła za niego. - Nie dziwię ci się. - Chociaż mówiła łagodnie, w jej głosie brzmiała nuta dezaprobaty. Spojrzała znów znacząco na miecz świetlny w dłoni Luke'a. - Jak mam ci udowodnić, że nie musisz się mnie obawiać?

- Wystarczy przekonać mnie, że ty to naprawdę ty - odparł Luke. - Jak miała na imię moja matka?

Akanah uniosła brwi jeszcze wyżej.

- Długo żywisz urazę, Wielki Mistrzu Jedi. - Spojrzała na niego z błyskiem w oku. -

Sądziłam, że mamy to już za sobą...

Widok towarzyszącego słowom chytrego uśmiešku utwierdził Luke'a w przekonaniu, że ma przed sobą prawdziwą Akanah. Spotkał ją wiele lat temu, kiedy pomogła mu dotrzeć do Fallanassich, wmawiając mu, że jego matka jest członkinią ich Zakonu. I chociaż Abeloth mogła o tym wiedzieć, na pewno nie miała pojęcia, jak Luke się czuł, dowiedziawszy się, że został

oszukany; zrozumiał wtedy desperację Akanah i jej wybaczył. Ich znajomość przerodziła się zresztą później w przelotny romans.

Pewien, że ma do czynienia z Akanah, a nie z Abeloth w postaci dawnej ukochanej, Luke zawiesił miecz świetlny z powrotem u pasa.

- Bo mamy. - Podeszedł bliżej i objął ją, zaskoczony ciepłem i radością, jakie dawało mu tulenie jej w

ramionach. Dobrze było wiedzieć, że po tych wszystkich latach wciąż jest jej bliski.

Poczuł też jednak ukłucie bólu na wspomnienie innych ukochanych ramion, które już nigdy go nie obejmą, a także uświadamiając sobie, że Mara już nigdy nie będzie zazdrosna, kiedy on przytuli starą znajomą nieco dłużej niż wypada.

Najwyraźniej Akanah wyczuła jego nagły smutek, bo wypuściła go z objęć i cofnęła się o krok, ale nie puściła jego dłoni.

- Słyszałam o Marze - powiedziała. - Tak mi przykro...

Luke rozumiał, że w jej obecności może być sobą i nie musi się z niczego tłumaczyć, więc tylko skinął głową i uściśnął mocno jej rękę.

- Dziękuję. To dla mnie wiele znaczy, naprawdę - zapewnił ją. - Tęsknimy za nią, ale całkiem nieźle sobie z Benem radzimy.

- Dobrze to słyszeć. O wiele lepiej niż widzieć cię witającego mnie w taki sposób. - Akanah znów spojrzała znacząco na jego blaster i miecz. - Chyba wiesz, że ze strony Fallanassich nic ci nie grozi?

- Wybacz te środki ostrożności... - Luke wiedział podświadomie, że powinien był poczuć na widok Akanah ulgę, a jednak tak nie było. W jej zachowaniu wyczuwał coś dziwnego, jakąś rezerwę, która kazała mu myśleć, że nie powinien liczyć na jej pomoc. - Kobieta, której szukam, ma pewne... niezwykle zdolności. Nie mogłem ryzykować.

Akanah pokręciła ze znużeniem głową.

- Dlaczego zawsze obawiamy się tego, czego nie rozumiemy? - westchnęła i pociągnęła go za rękę w głąb jaskini, stawiając ostrożnie kroki na śliskiej od mewich odchodów podłodze. -

Właśnie dlatego chciałam się z tobą zobaczyć przed twoim odlotem. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe...

- Oczywiście, że nie - zapewnił ją. - Cieszę się, że przyszedłeś. - Teraz, kiedy spędzili już razem kilka chwil, Luke wyczuwał w jej aurze w Mocy dziwną ślełą plamę, sugerującą, że Akanah coś przed nim ukrywa. - Muszę ci jednak powiedzieć, że przyleciałem tutaj nie tylko po „Cień”.

Dzieje się tu coś bardzo, ale to bardzo niebezpiecznego.

Akanah skinęła głową.

- Wiem. Najee uprzedził nas, że będziesz szukał osoby roznoszącej ospę - westchnęła. - Nie martw się o nią, Luke. Epidemia jest pod kontrolą.

- Nie ma żadnej epidemii! - zaprotestował Mistrz Jedi. - I oboje o tym wiemy.

- W takim razie co cię tu sprowadza? - spytała Akanah. - Na pewno nie jesteś na tyle arogancki, żeby

sądzić, że Fallanassi potrzebują opieki Jedi... albo że w ogóle jej sobie życzą.

Luke nie odpowiedział. Zatrzymał się i odwrócił w stronę otworu jaskini, wychodzącego na białą wyspę.

- Chcesz powiedzieć, że ją ukrywacie? Ukrywacie Abeloth?

- Wiedziałaś o tym, zanim jeszcze tu przyleciałaś - stwierdziła łagodnie Akanah. -

Wiedziałaś też, że nie powinieneś tego robić.

- Szukać Abeloth? - Jedi pokręcił głową. - Mówisz tak tylko dlatego, że nie wiesz, kim ona jest.

- Wiem, że igrasz z Białym Nurtem - odparła hardo Fallanasska. - I wiem też, że to przez swoją arogancję Jedi straciłaś żonę i dwoje siostrzeńców.

- Moją... co takiego? - Luke z trudem zapanował nad emocjami. Akanah, którą pamiętał, nigdy by go tak nie zraniła. Jeśli się tak zachowywała, to albo dlatego, że się bardzo zmieniła, albo dlatego, że wierzyła w to, co mówi... a to oznaczało, że musi ją koniecznie wyprowadzić z błędu. -

Zgadza się, nie wszystko zrobiłem tak jak trzeba - przyznał się. - Ale Jedi są inni niż Fallanassi. Nie ukrywamy się przed całą galaktyką, wręcz przeciwnie, jesteśmy jej częścią, tak jak ona jest częścią nas, i czasem musimy walczyć, żeby jej bronić.

- Bronić jej czy ją kontrolować? - spytała łagodnie, ale z wyrzutem Akanah. Wzięła go znów za rękę i poprowadziła w stronę „Cienia”. - Jedi złożyli z obranej ścieżki i to ty im na to pozwoliłeś, Luke’u Skywalkerze. Twój Zakon uznał, że są ponad światłością i mrokiem...

- Żaden Jedi nigdy nic takiego nie twierdził - zachnął się Luke. - To sprawka Sithów, którzy przeniknęli do naszych szeregów i próbowali zmienić nasze poglądy...

- I udało im się to, prawda? - spytała gorzko Akanah. - Spójrz tylko: Rycerz Jedi obejmuje tron Konsorcjum Hapes, Jacen Solo próbuje zmienić bieg Nurtu, a teraz Wielki Mistrz Jedi sprzymierza się z Sithami. Jeśli to nie jest zepsucie, to wybaczone, ale już nie wiem, co nim jest.

Luke zamilkł na chwilę, bardziej zaskoczony jej zarzutami niż zraniony. Akanah musiała się dowiedzieć o przymierzu z Sithami od Abeloth, ale skąd, u licha, wiedziała o tym, że Jacen chciał

zmienić przyszłość? On sam dochodził do tego stopniowo, bardzo powoli, podążając śladami peregrynacji swojego siostrzeńca do Wędrowców Umysłów i rozmawiając z jego duchem w Jeziorze Widm. Znów nasunął mu się jedyny logiczny wniosek: Akanah wiedziała o tym wszystkim, bo tak naprawdę wcale nie miał do czynienia z Akanah, tylko z Abeloth.

Kilka kroków później przerwał ciszę i spytał:

- Akanah, skąd wiesz, czego pragnął Jacen? Abeloth ci powiedziała?

- Nie ma znaczenia, skąd to wiem. - Aura Fallanasski w Mocy zaczęła falować i mętnieć, widocznie kobieta stała się ostrożniejsza. - Liczy się tylko to, że ty także w to wierzysz.

Dotarli już do rufy „Cienia” i zaczęli okrążyć statek. Rampa była opuszczona i Luke z przerażeniem dostrzegł ptaki wylatujące i wlatujące przez otwarty właz do środka jachtu.

- Wiem jednak, że nie tylko ty ponosisz winę za tę porażkę - dodała cicho. - Wyczułam w Jacenie mrok, kiedy poprosił o możliwość pobierania u nas nauk, ale pozwoliłam mu zostać wśród nas ze względu na to, że był twoim siostrzeńcem... a poza tym wierzyłam, że uda mi się pomóc mu odnaleźć światło.

- Dziękuję, że próbowałaś - westchnął Luke. - Wiem, że zrobiłaś na nim duże wrażenie...

zawsze mówił o tobie ciepło i z szacunkiem.

Akanah machnęła lekceważąco ręką.

- To była zła decyzja - stwierdziła. - Było w nim za dużo pasji... za dużo pragnień...

Powinno być kazać mu odejść, zanim został... przygotowany.

- Przygotowany? - zdziwił się Luke. - Zamierzałaś go uczyć?

Akanah potwierdziła skinieniem głowy.

- Uczyłam go godzić się z losem. Było w nim za dużo z typowego Jedi... uparcie wierzył, że zdoła ocalić galaktykę. - Zatrzymała się u stóp rampy „Cienia” i jej aurę w Mocy spowiła nagle chłodna mgła. - Właśnie dlatego stał się tym, kim się stał... i z tego samego powodu tylu twoich Rycerzy Jedi zbacza na Ciemną Stronę. Wszystko zaczyna się niewinnie, od obietnicy ochrony...

obrony... To jednak większy obowiązek niż część z nich potrafi unieść na swoich barkach. Wkrótce ochrona zmienia się w potrzebę kontroli, a strażnicy Jedi stają się dozorcami Jedi. Dokładnie tak było w przypadku Kuellera, kiedy wziął w posiadanie Almanię, Raynara Thula i Kolonii czy Tenel Ka i Konsorcjum Hapes. Chcecie za dużo, a galaktyka musi słono płacić za waszą pychę i żądę władzy. - Ostatnim słowem Akanah towarzyszyła dziwna zmarszczka podekscytowania mącąca ton Mocy. Luke uświadomił sobie, że sygnał dobiegł od strony wejścia do jaskini, co znaczyło, że prawdopodobnie nie są już sami. Rozpostarł swoją świadomość w Mocy i bez zaskoczenia odkrył, że na zewnątrz czai się nie kto inny, a jego syn; Ben zaglądał właśnie ostrożnie do jaskini, wisząc na tej samej linie, po której dostał się tutaj Luke. Nie był sam; towarzyszyła mu Vestara -

wyciszona i czujna, a jednak to właśnie ona zdradziła ich nieopatrznie i ledwie wyczuwalnym wybuchem emocji.

Jeśli Akanah także ich wyczuła, nie dała nic po sobie poznać.

Luke postanowił wrócić do tematu ich rozmowy.

- Mądrze mówisz, ale co ze złem czyhającym w galaktyce? Czy powinniśmy pozwolić bogatym niewolić słabszych albo chciwym okradać ubogich?

- Nie możesz usunąć z galaktyki mordercy, sam się nim nie stając - wytknęła mu Akanah. - I nie możesz walczyć ze złem, sam nie stając się zły. Czy Jedi nie nauczyli się niczego podczas wojny, którą wypowiedzieli Yuuzhan Vongom?

- Jedi powstrzymali tę brutalną i dziką rasę przed podbojem galaktyki - przypominał jej Luke, z trudem tłumiąc irytację. - A potem zapobiegliśmy brutalnemu odwetowi na tej samej rasie najeźdźców.

Akanah pokręciła znów smutno głową.

- Powstrzymaliście zmianę, jaka miała się dokonać w galaktyce - poprawiła go. - Oto, co zrobiliście.

- Więc twierdzisz, że powinniśmy byli pozwolić Yuuzhan Vongom zagarnąć wszystko? -

spytał z oburzeniem. - Mieliśmy udać się na wygnanie, ukryć i dopuścić do rzezi miliardów istot, poświęcanych wyдуманym yuuzhańskim bóstwom? To chcesz powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że nie nam kontrolować Nurt - odparła spokojnie Akanah. - Nie wiemy, dokąd nas prowadzi ani jaką drogą. Możemy tylko ufać mu i starać się nie naginać go do naszej woli...

- ...jak Jacen - dopowiedział Luke, jeszcze raz próbując odkryć źródło jej wiedzy - kiedy próbował zmienić przyszłość?

- Nie. Moim zdaniem Jacen zmienił coś innego. - Akanah wskazała mu otwarty właz

„Cienia”. - I właśnie dlatego muszę cię prosić, żebyś nas opuścił i zostawił w spokoju przebywającą wśród nas prastarą istotę. Może to ona, z naszą pomocą, zdoła naprawić poczynione przez was szkody.

Luke poczuł, że serce wypełnia mu lodowaty strach.

- Naprawić...? - Miał ochotę spytać tę kobietę, czy przypadkiem nie postradała rozumu, ale skoro właśnie przyznała się, kogo chronią Fallanasski, nie był pewien, czy chce znać odpowiedź na to pytanie. - Jak?

- Dlaczego zadajesz pytanie, na które znasz już odpowiedź? - odpowiedziała ze znużeniem Fallanasska.

Luke wiedział, o czym ona mówi. Abeloth prawdopodobnie obiecała przywrócić Nurtowi jego pierwotny bieg. Może to rzeczywiście było możliwe, ale - jego zdaniem - to naprawdę nie był

dobry pomysł. Jacen zajął do Siedziby Wiedzy i doznał wizji Mocy, w której na złotym tronie, otoczony uczniami w czarnych szatach, zasiadał mroczny mężczyzna w ciemnej zbroi. Kiedy jednak Luke zjawił się w tym samym miejscu dwa lata po przemianie Jacena w Dartha Caedusa i po jego

śmierci, ujrzał na tronie - teraz już białym - córkę Jacena, Allanę, otoczoną przyjaciółmi wszystkich ras. Jeśli o cofnięciu właśnie tej zmiany mówiła Abeloth, to Luke nie zamierzał w tym uczestniczyć.

Zamiast więc wejść po rampie „Cienia”, odparł:

- Mistrz Yoda powiedział mi kiedyś, że przyszłość jest w ciągłym ruchu. Nie możemy dokładnie jej przewidzieć, bo nieustannie się zmienia.

- Mówiłeś mi już o naukach Yody, kiedy... podróżowaliśmy. - Akanah uśmiechnęła się do swoich wspomnień. - My, Fallanassi wierzymy mniej więcej w to samo: że nie można przewidzieć, dokąd zabierze nas Nurt, bo on sam wciąż się zmienia.

W głębi duszy Luke poczuł nieśmiałą nadzieję, że może jeszcze uda mu się przekonać Akanah i namówić ją do współpracy.

- W takim razie dlaczego uważacie, że Abeloth powinna przywrócić mu dawny bieg? -

spytał. - Skoro i tak nie wiemy, dokąd płynie, skąd możemy wiedzieć, że tamten tor był lepszy niż nowy albo czy w ogóle się od niego różnił?

- Bo teraz już wiemy - odpowiedziała Fallanasska. - Kiedy Jacen zmienił bieg Nurtu, sprawił, że popłynął on w konkretnym kierunku. W stronę wizji, którą widziałeś w Sadzawce Wiedzy... tej z białym tronem, na którym...

- Skąd o tym wiesz? - wszedł jej w słowo Luke. Nie mógł pozwolić, żeby wspomniała o Allanie, kiedy w pobliżu była Vestara. - Od Abeloth?

- A więc to prawda - stwierdziła Akanah. - Jacen zmienił bieg Nurtu, który płynie teraz zgodnie z jego życzeniem. Sam to widziałeś.

- Zgadza się, miałem wizję - potwierdził Luke. - Ale nie mam pojęcia, czy to rzeczywiście oznacza, że on nadał Nurtowi nowy bieg.

Moc złączyły nagle fale wzmożonej czujności. Luke domyślił się, że to Bena i Vestarę musiało bardzo zaniepokoić coś, co wydarzyło się u wejścia do jaskini. Przeniósł pozornie od niechcienia ciężar ciała na drugą nogę i zerknął w stronę morza i białej wyspy; morskie ptaki znów krążyły jak oszalałe.

- Jeśli jednak Jacen nadał Nurtowi nowy bieg - podjął - a Abeloth zmieni go na wcześniejszy, czy to także nie będzie kierowaniem na siłę jego torem? Czy w ten sposób ona także nie zmieni według waszych zachcianek czegoś, na co nie powinno się w żaden sposób wpływać?

Akanah zmarszczyła brwi i Mistrz Jedi już się ucieszył, że wreszcie dostrzegła haczyk w obietnicy Abeloth, jednak chwilę później Fallanasska zmrużyła oczy, a jej aurę w Mocę przesycił

chłód.

- Co za głupie pytanie - prychnęła lekceważąco. - Nie potrafisz zrozumieć Abeloth.

- Spróbuj mi więc wyjaśnić.

Akanah nie odpowiedziała; spojrzała tylko w stronę wylotu jaskini, a za chwilę powietrze przeszyły zaskoczony okrzyki. Na tle nieba i fal zamajaczyły dwie sylwetki, spadające szybko w stronę skał. Gdyby nie szybka reakcja Luke'a, który podtrzymał ich Mocą i opuścił ostrożnie na ziemię - Ben i Vestara zapewne skończyliby oboje ze skręconymi karkami czy roztrzaskanymi o występ klifu głowami... albo jednym i drugim.

Oboje szybko się pozbierali i wstali z ziemi, a Luke sięgnął po miecz i odwrócił się do Akanah... która stała już dobry kawałek dalej, uśmiechając się do niego uśmiechem, który wydawał się jednocześnie łagodny i szalony.

- Głupiutki, naiwny Jedi. - Wskazała ręką w stronę wjazdu „Cienia” i gestem poleciła mu wejść na pokład. - Nikt nie może zrozumieć Abeloth.

## ROZDZIAŁ 23

Zmieniła się tylko tabliczka. Górzący wśród eleganckich, kamiennych i lustrzanych wieżowców sektora rządowego Coruscant moloch bloku więziennego nr 81 pozostał takim samym brzydkim permabetonowym kłocem, jakim był, kiedy tabliczka na nim głosiła jeszcze: „Magazyn Galaktycznego Sojuszu”. Z ciemnoczerwonymi osłonami kamer, ciężkimi blasteroodpornymi drzwiami i pilnie strzeżonym wejściem blok więzienny wyglądał niczym bunkier - którym właściwie był. Próba wydostania stąd kogoś była chyba najbardziej szaloną rzeczą, jakiej Han kiedykolwiek się podjął - przynajmniej na trzeźwo.

Nie mieli jednak wyboru. Na Coruscant źle się działo, sprawy zaczynały coraz bardziej wymykać się spod kontroli. Wypowiedziawszy posłuszeństwo Kenthowi Hammerowi, Rada Jedi obarczyła małżeństwo Solo zadaniem uwolnienia z więzienia Valina i Jyselli Hornów, co w praktyce sprowadzało się do wyniesienia stamtąd karbonitowych gondoli, w których Służby Bezpieczeństwa Galaktycznego Sojuszu więziły Rycerzy Jedi. Sami Mistrzowie zajęli się tymczasem opracowaniem innego planu: jak wysłać wsparcie Skywalkerom bez konieczności wdawania się w walkę z siłami zbrojnymi GS. Jeśli Solo nie zdołają wypełnić swojej misji, zanim Jedi wyślą stealthX-y na pomoc Luke'owi i Benowi, pierwszym posunięciem Daali będzie na pewno ukrycie zamrożonych w karbonicie Hornów tak dobrze, że nawet Jedi ich nie znajdą.

Z budynku bloku więziennego wyszły trzy postacie - Kalamarianka i dwoje ludzi - i skierowały się ruchomym chodnikiem w stronę Placu Wspólnoty. Han wybrał sobie punkt obserwacyjny po przeciwnej stronie trasy ruchu powietrznego, jakieś sto metrów nad chodnikiem. Z

tego miejsca nie dał rady określić nic więcej poza rasą istot i kolorem ich włosów - co oczywiście nie dotyczyło Kalamarianki. Ona i wyższy, brązowowłosa człowiek mieli na sobie brązowe szaty Jedi, a drobniejsza, czarnowłosa kobieta nosiła kurtkę pilota i obcisłe spodnie. W pewnej chwili kobieta przysunęła się do wyższego mężczyzny i objęła go w pasie.

- Corran daje sygnał, a więc Mirax musiała już podłożyć pluskwy do obu gondoli -

powiedział cicho Han. W tej samej chwili rodiański żebrak, który siedział w pobliżu budynku jeszcze przed przybyciem Hornów, zerwał się na równe nogi i pognął za nimi, wyciągając swoją miseczką na jałmużnę. - I nadal mają ogon...

- Ten co wcześniej? - spytała Leia.

- Widzę tylko Rodianina udającego żebraka - mruknął Han. - Jak znam życie, to jest jeszcze gdzieś oficer kontroli i kilka wtyk po naszej stronie trasy, ale nigdzie nie ma śladu sań więziennych ani węszących wokół służb bezpieczeństwa.

- To dobrze. - Leia przeszła na środek pokoju. - Jak sygnał?

- Doskonały - potwierdziła Natua Wan. Falleenka, tak jak kilku innych Rycerzy Jedi uleczonych z tajemniczej choroby, nalegała na włączenie jej w tę misję. Oczywiście Corran i Mirax Hornowie także chcieli wziąć udział w akcji ratunkowej, ale jako rodzice Valina i Jyselli byli pod ciągłą obserwacją i mogli narazić całą akcję na niepowodzenie. - Mam jednak wrażenie, że coś jest nie tak z naszym systemem. Te raporty nie mają sensu...

Na dźwięk słowa „raporty” Han przełknął głośno ślinę.

- Raporty? - powtórzył i obejrzał się przez ramię na wyświetlany przez duży holopad plan wnętrza bloku więziennego 81. Mniej więcej pośrodku obrazu widniała sieć zielonych i żółtych zygzaków spowijających tyle kwadratowych i prostokątnych plamek, że Han nie mógł namierzyć początku ani końca żadnej linii.

- A niech to szlag! - Han odwrócił się do R2-D2, który, podłączony do holopadu, przekazywał do niego dane przesyłane z pluskiew. - Mamy problem z interpretacją danych.

Sprawdzałeś algorytm kodu?

R2-D2 zaświergotał z oburzeniem, a C-3PO natychmiast przetłumaczył jego słowa:

- Artoo twierdzi, że już dawno poradził sobie z kodem służb bezpieczeństwa Galaktycznego Sojuszu.

Robocik wydał z siebie jeszcze kilka pisków, ale tym razem C-3PO nie spieszył się zbytnio z ich objaśnieniem.

- Co jeszcze? - spytał Han.

- Proszę wybaczyć, kapitanie Solo - zaczął z wahaniem C-3PO - ale Artoo sugeruje, że skoro nie potrafi pan dostrzec losowego postępu, to może nie powinien pan dowodzić tą misją.

- Słucham? - Han odszedł od panelu widokowego i zatrzymał się przy hologramie. - Chcesz powiedzieć, że te dane są prawidłowe?

R2-D2 zagwizdał potwierdzająco.



Han przyjrzał się krytycznie ścieżkom raportów. Barwne linie zakręcały pod kątem prostym, przeważnie na tej samej płaszczyźnie, ale od czasu do czasu podnosiły się albo opadały nawet o cztery poziomy. Gondole nie poruszały się w żadnym konkretnym kierunku; po prostu zakręcały co jakiś czas i zmieniały piętra - najwyraźniej władze placówki starały się uniemożliwić namierzenie gondoli w ich magazynie.

- Wiedzą o nas - stwierdził Zekk, stojący po drugiej stronie hologramu z przyjaciółką, Taryn Zel. Czarnowłosa, wysoki, barczysty Jedi i rodowita Hapanka tworzyli piękną parę i za każdym razem, kiedy Han przyłapał swoją córkę na patrzeniu w ich stronę, pękało mu serce. Widać było na pierwszy rzut oka, że Jaina zazdrości im uczucia, które ich łączy. Han wiedział oczywiście, że relacje jego córki z Zekkiem sprowadzały się raczej do więzi bitewnej i nie miały nic wspólnego z miłością, a sama zainteresowana zapewniła go, że cieszy się szczęściem Zekka i Taryn, wiedział też jednak, że radość tej pary przypomina jej nieustannie o zerwanych zaręczynach. Los jak na złość zbyt często stawiał ją i Jaggeda Fela w sytuacjach, w których byli zmuszeni wybierać między obowiązkiem a miłością.

Han nie był co prawda Jedi, ale miał wrażenie, że rozumie, dlaczego tak się męczą: to sama Moc próbuje im dać do zrozumienia, że nie na tym polega miłość. Nie mogli zawsze przedkładać wszystkiego ponad ich związek - ani Zakonu Jedi, ani Imperium, ani nawet swoich rodzin. Sprawa była jasna: wszystko albo nic. Kiedy dwoje ludzi chce być ze sobą, muszą postawić wszystko na jedną kartę i grać twardo - to jedyny sposób, żeby wygrać w grze miłości.

Han wiedział jednak aż za dobrze, że nie powinien mówić o tym Jainie, chociaż nie mógł zaprzeczyć, że na wieść o zerwaniu zaręczyn przez córkę poczuł pewną ulgę. Zresztą kto by posłuchał porady dotyczącej uczuć od własnego ojca?

- Halo, panie kapitanie? - zagadnęła go zalotnie Taryn.

Solo podniósł wzrok i spojrzał na nią przez siatkę hologramu.

- Tak?

Hapanka podniosła brwi i westchnęła ostentacyjnie.

- To jak z tą akcją? Wyruszamy? Kiedy?

- Wkrótce - poinformował ją Han. - Dlaczego pytasz?

Taryn uśmiechnęła się do niego lekko.

- To dobrze - powiedziała tylko, ale Zekk najwyraźniej nie podzielał jej zdania.

- Poszaleliście - stwierdził i wskazał na hologram. - Służby Sojuszu już wiedzą, co się święci.

- Niekoniecznie - przyłączyła się do rozmowy Jaina, stojąca w pobliżu Zekka i Taryn, między Leią i Natuą Wan. - Daliśmy im mnóstwo okazji do wzmożenia ostrożności. Wprawienie gondoli w ruch,

żeby oszukać urzędzenia namierzające, może być standardową procedurą.

Taryn przytaknęła i objęła Zekka w pasie.

- Też tak sędzę - zgodziła się. - Jedi Solo już raz wywiodła pułkownika Retka w pole, a Yakowie są sprytni. Jestem pewna, że to dlatego podjął środki ostrożności.

Ledwie skończyła mówić, C-3PO opuścił swoje stanowisko i wyszedł z pomieszczenia, kierując się do przedpokoju biura. Han spojrział znacząco na Seffa Hellina i dał mu znak, żeby poszedł za androidem. Co prawda C-3PO miał rozkaz nie wpuszczać nikogo, ale zważywszy na wagę ich misji, nie mogli ryzykować.

Chwilę później Zekk podjął:

- A co to za różnica? Nawet jeśli to tylko zwykłe środki ostrożności, dalej nie wiemy, gdzie trzymają gondole, a to oznacza, że wizyta u nich zajmie nam dłużej, niż powinna. Szybka akcja zamieni się w jakiś idiotyczny pościg.

Taryn spojrzała na niego surowo.

- Chcesz powiedzieć, że mamy zostawić tę biedną dziewczynę w karbonicie? - Jak większość Hapanek, Taryn nie tolerowała podważania swojej opinii przez mężczyzn. Ostry ton jej głosu sugerował, że nadal trudno jej się przyzwyczaić do tego, iż Zekk nie jest jednym z jej hapańskich służących. - Nie zamierzam na to pozwolić.

Zekk spojrział na nią z miłością i rozbawieniem.

- Obawiam się, że to Han i Leia tu decydują - przypomniał jej. - A poza tym Valin też tkwi w karbonicie, nie zapominaj o nim.

- A dlaczego myślisz, że zapomniałam? - Taryn przeniosła wzrok na Hana. - Jeśli mamy się brać do roboty, lepiej zrobić to teraz. Naprawdę zaczynam mieć dość czekania, a kiedy mam dość, zaczynam się robić nieprzyjemna...

Han podniósł dłoń uspokajającym gestem.

- Zaraz się tym zajmiemy - zapewnił ją. - Po prostu musimy się najpierw upewnić, że wiemy, na czym stoimy. - Zanim skończył zdanie, zielona linia nagle się zatrzymała.

- *Stang!* - zaklął. - Musieli znaleźć jedną z pluskiew...

Zekk spojrział na Taryn.

- Czy nie mówiłaś przypadkiem, że hapański sprzęt jest niewykrywalny?

- Mówiłam, ale nie twierdziłam, że potrafi sobie radzić z neutralizatorem sygnału - ofuknęła go Hapanka. - Jeśli sygnał nie wróci w ciągu kilku sekund, to znaczy, że służby GS mają gdzieś w

pobliżu neutralizator... - W tej samej chwili żółta nitka także się urwała.

- A jeśli oba nie wrócą? - spytała Jaina, wskazując na schemat. Żółty ślad urywał się trzy poziomy nad zieloną linią i jakieś pięćdziesiąt metrów w głąb budynku. - Czy to będzie znaczyło, że mają gdzieś drugi neutralizator?

Taryn zmrużyła oczy.

- Całkiem możliwe - stwierdziła. - Jeśli służby Sojuszu boją się o bezpieczeństwo swoich więźniów, trzymanie ich osobno wydaje się rozsądnym posunięciem.

- Pewnie masz rację - włączyła się w dyskusję Leia. - Ale nawet gdybyśmy byli stuprocentowo tego pewni, to próba odbicia ich z dwóch różnych miejsc będzie bardzo trudna. Czy możemy jakoś potwierdzić, że urządzenia namierzające nadal działają?

- Działają - upierała się Hapanka. - Nie mogę tego teraz udowodnić, ale nasz sprzęt dzięki nanotechnologii stapia się natychmiast z każdą powierzchnią, do której zostaje przymocowany. W

ciągu niecałej sekundy staje się zupełnie niewidzialny, a transmisja jest maskowana jako po... -

Urwała na widok C-3PO, który właśnie stanął w drzwiach pokoju. Zza jego ramienia wyglądała zakłopotana twarz Seffa Hellina, a po drugiej stronie stał wysoki, elegancki mężczyzna z blizną na czole. Na kołnierzyku wojskowej bluzy miał godło identyfikujące go jako przywódcę Imperium.

- Jagged? - Jaina otworzyła usta i wytrzeszczyła oczy. - Co ty tu robisz?

Zanim Jag zdążył odpowiedzieć, C-3PO zakomunikował:

- Przywódca Imperium Fel prosi o spotkanie z kapitanem Solo i księżniczką Leią. - Spojrzał

na Hana. - Poprosiłem, żeby zaczekał w holu, ale nalegał. Mówi, że to pilne.

- W porządku, Threepio, nic się nie stało. - Han skinął na żonę i razem z Jainą wyszli do sąsiedniego pomieszczenia. Seff bezgłośnie wypowiedział słowo „sam” i Han ze zdziwieniem stwierdził, że tak właśnie było: Jagged Fel, który od czasu próby zabójstwa w Pangalactusie nigdzie się nie ruszał bez swojego chissańskiego asystenta Ashika i oddziału ochroniarzy, tym razem nie miał żadnego towarzystwa.

- Dziękuję, Seffie. - Leia dała Rycerzowi Jedi do zrozumienia, że ona i Han chcą zostać z niedoszłym zięciem sam na sam. - Cieszę się, że obyło się bez przemocy; dobrze oeniłeś sytuację.

Przydałoby się jednak upewnić, że na zewnątrz nie ma nikogo, kto mógłby nas podsłuchać.

- Tak - mruknął Han, zezując na Jaga. - A jeśli będzie ktoś taki, tym razem nie musisz być taki miły.

- Na pewno nie taki jak względem mnie - dopowiedział Jag. - Jeśli ktoś tam jest, to raczej nie moi ludzie.

- To dobrze. - Jaina zbliżyła się do Jaga. Han widział, że jest spięta i czujna.

Niespodziewane przybycie byłego narzeczonego na pewno nie było dla niej miłą niespodzianką... w dodatku tuż przed niebezpieczną misją. Jagged Fel był teraz ostatnią sprawą, którą powinna sobie zaprzętać głowę. - Zacznijmy od tego, jak nas tu znalazłeś? - spytała ostro.

Jag uśmiechnął się do niej krzywo.

- Przecież wiesz, że mam jedną z najlepszych siatek wywiadowczych w galaktyce -

przypomniał jej.

Hanowi serce podeszło do gardła. Spojrzał smętnie na żonę.

- Świetnie - bąknął. - Jeśli Imperium wie, że tu jesteśmy...

- Nie ma obawy - wszedł mu w słowo Jagged. - Ashik zapewnił mnie, że służby Sojuszu o was nie wiedzą.

Nawet Han, chociaż niewrażliwy na Moc, poczuł ulgę promieniującą od żony i córki, jednak on wcale nie czuł się dzięki zapewnieniu Jaga lepiej - tym bardziej że Fel nie odpowiedział na pytanie Jainya.

- Chcę znać szczegóły, Jag - powiedział i kciukiem wskazał przez ramię na drugi pokój. -

Ryzykujemy zbyt wiele istnień, żeby za potwierdzenie wystarczyły nam obietnice Ashika.

- Przykro mi, kapitanie Solo - odparł Jagged. - Mogę tylko zacytować słowa, które tak bardzo lubisz powtarzać: zaufaj mi.

- Może przyjdzie nam to łatwiej, kiedy powiesz nam, co tutaj robisz - zauważyła cierpko Leia i obejrzała się na zamknięte drzwi. - I dlaczego nie poczekałeś, aż wyjdziemy...

- Nie mogłem czekać, bo nie tylko Hornowie mają bandę śledczych GS na ogonie - wyjaśnił

Fel. - Jeżeli szybko nie wrócę do lobby, moi obserwatorzy zaczną się zastanawiać, czy nie załatwiam przypadkiem w budynku Grasera jakichś innych spraw niż pewne spotkanie... które zresztą skończyło się... - zerknął na chronometr - ...dwanaście minut temu.

- No dobrze - westchnęła Jaina. - Do rzeczy w takim razie. Czego chcesz?

Oczy Jaga załśniły chłodno.

- Brawo, Jaino - pochwalił ją oschle. - Po pierwsze, chcę wiedzieć, dlaczego nie powiedziałaś mi o Sithach ani o tym, że Jedi z nimi współpracują.

Jaina otworzyła usta, a Han poczuł w żołądku nieprzyjemne ssanie. Leia przygryzła tylko wargę i

przez chwilę wpatrywała się w podłogę, ale zaraz spojrzała na Hana i powiedziała stanowczo:

- To na pewno nie jest sprawka Wuula. Nie wiedział nic o ustaleniach między Sithami a Jedi.

- A więc to prawda? - spytał spokojnie Jag.

Jaina skinęła głową, ale nie mogła wykrztusić słowa.

- Obawiam się, że tak - potwierdziła Leia. - Jak pewnie wiesz, nasze stealthX-y są uziemione na Coruscant, a Luke i Ben potrzebują wsparcia, żeby zniszczyć Abeloth.

Jag zmarszczył brwi.

- Abeloth? - powtórzył, wyraźnie zbity z tropu.

- Chodzi o to wielkie zagrożenie, o którym ci wspominałam - przypomniała mu Jaina - tuż przed tym, jak się rozstaliśmy.

- Nie rozstaliśmy się - wytknął jej Jagged. - To ty mnie zostawiłaś, bo nie chciałem wydać rozkazów imperialnej flocie, tylko dlatego, że tak sobie wy...

- Hola, dzieciaki! - przerwał mu Han. - Bardzo chcielibyśmy zostawić was samych, żebyście to sobie na spokojnie wyjaśnili, ale chyba mamy co innego do roboty.

Jag lekko się zarumienił.

- Masz rację, kapitanie Solo. - Wygładził kłapy bluzy i zerknął na Jainę. - To, kto kogo zostawił, jest już bez znaczenia. Gdybyście mogli wyjaśnić mi, kim albo czym jest Abeloth, oświecę was, skąd się dowiedziałem o Sithach.

- Myślę, że to będzie uczciwa wymiana - zgodziła się Leia i przystąpiła do udzielania wyjaśnień: - Abeloth jest starożytną... hm, istotą, którą Luke i Ben spotkali w Otchłani, gdzie tkwiła... uwięziona. Kiedy ukrywaliśmy naszych najmłodszych uczniów w schronisku podczas wojny z Yuuzhan Vongami, nawiązała z nimi kontakt poprzez Moc i zaszczerpiła w ich umysłach ziarna szaleństwa, które teraz wydały plon.

- Rozumiem. - Jag skinął głową. - Ale dlaczego niby Sithowie mieliby pomóc Wielkiemu Mistrzowi Skywalkerowi w zniszczeniu tego... tej całej Abeloth? Mam wrażenie, że powinni się cieszyć z szaleństwa dotykającego Rycerzy Jedi...

- Okazało się, że Abeloth doprowadza do obłądki także ich uczniów - odparła Jaina. - Więc oni też próbują ją schwytać. Jest niewyobrażalnie potężna... a to uczyniłoby ją bardzo użyteczną, gdyby zdołali przeciągnąć ją na swoją stronę.

Jag wyraźnie zbladł.

- Proszę,, powiedz, że im się to nie udało - jęknął. - Mistrz Skywalker ją zniszczył, prawda?

- Cóż, tak nam się zdawało - westchnął Han - ale wszystko wskazuje na to, że im uciekła.

Podejrzewamy, że jest w tej chwili na Pydyrze i szuka schronienia wśród Fallanassich.

Jag wyglądał teraz na naprawdę przerażonego.

- Rozumiem - wymamrotał. - A co z Sithami? Czy oni także wiedzą o Pydyrze?

- Nie - zaprzeczył Solo. - Jeszcze nie.

- A przynajmniej nic nam o tym nie wiadomo - dodała Jaina - ale przypuszczam, że wkrótce się to zmieni. To Sithowie, Jag - podkreśliła - i są ich tysiące... może nawet miliony. Na pewno ją znajdą.

Fel pokręcił powoli głową.

- Nie do wiary. Właśnie kiedy mi się zdawało, że już nie może być gorzej, uświadomiliście mi, że owszem, może - dokończył, patrząc na Jainę. - I to dlatego Jedi zamierzają wysłać tam skrzydło stealthX-ów? - upewnił się.

- Właśnie - potwierdziła Jaina.

- Wiesz, w takich chwilach rozumiem, dlaczego Luke wybrał cię na przywódcę Imperium -

stwierdził Han.

- Racja, muszę pamiętać, żeby kiedyś mu za to podziękować. - Cierpki głos Jaga sugerował, że wdzięczność jest ostatnią rzeczą, jakiej można się było po nim spodziewać za obarczenie go obowiązkiem rządzenia Szczątkami Imperium. - Tymczasem powinniście chyba skontaktować się ze Świątynią. Jedi powinni startować jak najszybciej, zanim wiadomość o współpracy z Sithami wyjdzie na jaw.

Han poczuł, że uginają się pod nim kolana.

- A dlaczego niby ma wyjść na jaw? W jaki sposób?

- Taki sam, w jaki dotarła do moich uszu - wyjaśnił Jagged. - Daala jest w posiadaniu nagrania, na którym Jaina i Lando sądzą Sithów na Klatooine. - Odwrócił się do byłej narzeczonej.

- Nie jest dobrze, Jaino. Nawet mnie trudno było uwierzyć, że istnieje jakieś racjonalne wyjaśnienie tego wszystkiego.

Han skrzywił się w duchu. Jeśli Jagowi zależało na rozgryzieniu tej sprawy, na pewno nie zyskiwał tym w oczach Jainya.

Jego córka nawet nie mrugnęła. Spytała tylko:

- Skoro Daala ma to nagranie, dlaczego go jeszcze nie ujawniła?

- Naprawdę narobiliście niezłego bałaganu, wysyłając Saara i Arelisa na Blaudu Sextusa -

stwierdził Jag, zamiast odpowiedzieć na pytanie. - Daala chce, żebym posłał na rubieże imperialną flotę, która stłumi zamieszki. - Uśmiechnął się gorzko. - Chyba wierzy, że naprawdę to zrobię... w zamian za obietnicę, że nie wykorzysta tego nagrania do postawienia Jedi w bardzo kiepskim, muszę przyznać, świetle.

Jaina też się uśmiechnęła.

- I pozwoliłeś jej w to wierzyć?

Jag skłonił głowę.

- Już od trzech dni.

- Robisz to... dla mnie? - spytała Jaina zaskoczona i... chyba zadowolona. - Po tym, jak cię zostawiłam?

W twarzy Jaga nie drgnął żaden mięsień.

- Nie robię tego tylko dla ciebie, Jaino - wyjaśnił spokojnie. - Chciałbym, żeby Imperium nawiązało dobre stosunki z Jedi.

Jaina nie przestawała się uśmiechać.

- Całkiem mądrze - powiedziała, najwyraźniej odczytując poprzez Moc w aurze Jaga coś, o czym Han nie miał pojęcia. - I jeszcze... Jagged, chcę, żebyś wiedział, że naprawdę mi przykro z powodu sytuacji, w której cię postawiłam, kiedy...

- Przeprosiny przyjęte - wszedł jej w słowo i przeniósł wzrok na jej rodziców, wyraźnie zakłopotany. - I dziękuję. To nie będzie dla mnie łatwa przeprawa, ale „Pellaeon” przygotowuje się już do opuszczenia orbity, a Daala w końcu i tak się dowie, że gram na zwłokę. - Spojrzał Leii w oczy. - Chciałem, żeby Jedi dowiedzieli się o tym przed nią.

Księżniczka zmarszczyła brwi.

- Ale czy takie posunięcie nie zdyskredytuje Imperium w oczach Sojuszu?

- Zdyskredytuje - potwierdził Jag. - Im więcej jednak mam do czynienia z Daalą, tym bardziej dociera do mnie, że moi moffowie mają tym razem rację: jeśli sprzymierzymy się z Sojuszem, to damy mu się zakuć w kajdany.

Leia uścisnęła go za ramię.

- Dziękuję, że nam o tym powiedziałeś. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy... i jak bardzo ci będą wdzięczni Mistrzowie Jedi. - Wspięła się na palce i ucałowała go w policzek. Potem obejrzała się na Hana. - Chyba decyzja została podjęta za nas, kochanie. Musimy ruszać po Valina i Jysellę

teraz, nawet jeśli nie mamy pełnego obrazu sytuacji.

Han skinął głową.

- Mam dziwne wrażenie, że proponowałem to samo. - Poklepał Jaga po plecach. - Jesteśmy twoimi dłużnikami, synu.

- Nic podobnego, kapitanie Solo - zapewnił go Jag. - Robię to po prostu dla dobra Imperium.

- Tak, i całej reszty - odpowiedział Han, wziął Leię pod rękę i skierował się do prowizorycznego centrum planowania, zostawiając Jainę i Jaggeda samych. - Chodź, księżniczko -

powiedział do żony. - Mamy robotę, a wygląda na to, że naszym ptaszynom przyda się małe sam na sam.

## ROZDZIAŁ 24

Drzwi hangaru operacyjnego strzegła dwójka młodych Rycerzy Jedi, których Kenth Hamner kojarzył tylko z widzenia - Bothanin i Arconianka. Oni jednak rozpoznali go widocznie od razu, bo gdy tylko zobaczyli, jak skręca za róg i idzie oblicowanym kranetem korytarzem w ich stronę, otworzyli szeroko oczy, a Arconianka szybko sięgnęła po komunikator.

- Hej! Wy tam! - zawołał Kenth, wymierzając palec w Arconiankę. Mocą bezceremonialnie odepchnął jej dłoń od komunikatora i wskazał pancerne drzwi za ich plecami. - Co tam się dzieje?

Rycerze przysunęli się do siebie i wyprostowali, blokując mu drogę. Cóż, przynajmniej wykazali na tyle rozsądku, żeby nie sięgać po zawieszony u pasa miecze świetlne. Bothanin schował głowę w ramiona, zjeżył sierść i zmierzył Kentha spojrzeniem zmrużonych oczu; po chwili wyprostował się i spytał surowo:

- Czy nie powinieneś być teraz przypadkiem u siebie, Mistrzu Hamnerze? Poinformowano nas, że nałożono na ciebie areszt domowy.

- Nie wiem, kto wam naopowiadał takich bzdur - skłamał Kenth, nie zwalniając kroku.

Rzeczywiście, Mistrzowie z Rady Jedi „poprosili” go, żeby pozostał w swoich kwaterach, a chcąc się upewnić, że dotrzyma słowa, postawili przed jego drzwiami dwóch strażników... którzy teraz leżeli pod nimi nieprzytomni. Hamner zatrzymał się kilka kroków od Rycerzy Jedi i wskazał znów na drzwi do hangaru. - Co się dzieje? - powtórzył. - Czyżby ktoś wydał rozkaz startu?

Strażnicy nie okazali zakłopotania ani się nie zawahali - najwyraźniej posłuszni rozkazom kogoś innego. Stali bez ruchu, patrząc mu prosto w oczy i nie kwapiąc się, żeby udzielić mu odpowiedzi.

- Mam nadzieję, że zdajecie sobie sprawę z powagi sytuacji - stwierdził kwaśno Kenth. -

Wysyłanie stealthX-ów na akcję bez pozwolenia Wielkiego Mistrza to zdrada.



Hammer wierzył w to z całego serca. Zaczął coś podejrzewać, jak tylko wyczuł poprzez Moc, że w Świątyni zapanowała atmosfera wzburzenia, pospiechu i niepokoju. Badając różne obszary budynku, stwierdził, że zaburzenia w Mocy dobiegają z hangaru operacyjnego - i zaczął się poważnie niepokoić. Odczuwał podobną aurę ponurej determinacji zbyt wiele razy, w zbyt wielu miejscach, żeby jej nie rozpoznać: pochodziła od wojowników przygotowujących się do walki.

A ponieważ chodziło o Jedi szykujących wystąpienie przeciwko Galaktycznemu Sojuszowi, czuł się w obowiązku interweniować. Siedzenie beczynnie i przyglądanie się, jak Saba Sebatyne prowadzi Zakon, któremu zobowiązał się służyć i który kochał całym sercem, do walki przeciwko rządowi, któremu ślubował lojalność i poświęcenie, byłaby zdradą - nie tylko wobec Jedi czy Sojuszu, ale wobec siebie samego.

Dwójka Jedi trwała na swoich posterunkach bez słowa, a do Kentha wreszcie dotarło, że musi podjąć bardziej zdecydowane kroki. Spojrzał na Arconiankę - niezbyt wysoką, jak na przedstawicieli tej rasy; czubek jej płaskiej, szerokiej głowy ledwie sięgał Kenthowi do podbródka.

Miała jasne, zielone oczy, co oznaczało, że uniknęła uzależnienia od soli, które spotykało wielu członków jej rasy, a coś w łagodnych rysach twarzy kazało Mistrzowi przypuszczać, że będzie mu łatwiej uspić czujność jej niż Bothanina.

- Zadałem wam pytanie, Jedi - powiedział ostro. - Czy zdajecie sobie sprawę, że stojąc na straży tych drzwi, dopuszczacie się zdrady względem Galaktycznego Sojuszu?

Arconianka przypatrywała mu się bez słowa, a Bothanin podsunął:

- Razelle, Mistrzu. To jest Vaala Razelle.

Kenth zmarszczył brwi.

- Vaala Razelle? - powtórzył, nie rozumiejąc.

- Tak się nazywam, Mistrzu - wyjaśniła Arconianka. - Chyba... wyleciało ci to z głowy.

- Wybacz, Jedi Razelle - przeprosił ją Hamner. - W Zakonie mamy setki Rycerzy Jedi.

Trudno zapamiętać imiona wszystkich.

Vaala skinęła głową, ale nie ruszyła się z miejsca, tak samo jak jej towarzysz.

- A ty? - spytał Kenth Bothanina.

- Bwua'tu - odparł Rycerz. - Yantahar Bwua'tu.

- Bwua'tu? - Kenth poczuł w żołądku nagły chłód. Kiedy Nek Bwua'tu rozmawiał z nim o umowie, nie wspominał, że ma w rodzinie jakichś Jedi. Nek wolał pewnie uniknąć ściągania niepotrzebnej uwagi na członków swojej rodziny, ale to by także wyjaśniało, dlaczego tak skwapliwie starał się zapobiec rozlewowi krwi, bardzo prawdopodobnego w starciu między siłami Zakonu a służbami

Sojuszu. - Jesteś krewnym admirała? - spytał dla pewności.

Yantahar kiwnął głową.

- Zgadza się.

Kenth odczekał chwilę, licząc na dalsze wyjaśnienia, a kiedy nic nie usłyszał, postanowił, że nie będzie ciągnął Bothanina za język. Yantahar mógłby się poczuć dotknięty albo nabrać nieufności co do motywów Kentha, Wielki Mistrz postanowił więc, że nie powinien pogarszać sytuacji.

- Cóż, bardzo mi przykro z powodu tego, co spotkało admirała... - powiedział. - Cały Sojusz wierzy, że szybko dojdzie do siebie.

Rysy twarzy Yantahara wreszcie nieco złagodniały.

- Może nie cały Sojusz, ale dziękuję za troskę.

Kenth uderzył w ostrzejszy ton:

- Wiem, że admirał nigdy w życiu nie pochwaliłby zdrady stanu. I ty pewnie także, Jedi Bwua'tu.

Yantahar wzruszył ramionami.

- Galaktyka jest teraz pełna szwendających się samopas Sithów, a przywódczyni Daala nie zamierza dopuścić do konfrontacji między nami a nimi. - Zerknął na Vaalę, zdradzając pierwsze oznaki niepewności. - Nie mamy wyboru.

- Mój synu, zawsze jest jakiś wybór - stwierdził autorytatywnie Kenth i przeniósł spojrzenie na Arconiankę. - Chyba nadszedł czas, żebyście i wy wybrali. Czy usuniecie mi się z drogi, żebym mógł powstrzymać ten niefortunny bieg zdarzeń?

Vaala bez namysłu pokręciła głową.

- Przykro mi, Mistrzu Hamnerze - powiedziała cicho. - Sądzę, że powinieneś wrócić do swoich kwater...

Kenth spuścił głowę i przypomniał cichym, łagodnym szeptem:

- Jestem Wielkim Mistrzem...

Vaala skłoniła głowę, nadstawiając uszu, by lepiej słyszeć.

- Przepraszam, nie chciałam... - bąknęła. - Yant, uważaj...!

Ostrzeżenie Arconianki nic nie dało, bo Kenth zdążył już odpiąć Mocą miecze świetlne od pasów Jedi i posłać je wysoko w powietrze. Potem aktywował klingę broni Yantahara i skierował ją w stronę zaskoczonych Rycerzy. Kiedy szafirowe ostrze obudziło się do życia, oboje zanurkowali na

boki, wyciągając jednocześnie dłonie, żeby przywołać swoje miecze z powrotem, ale Kenth jednym susem znalazł się między nimi. Uderzył Bothanina w szczękę, wyprowadzając jednocześnie drugą ręką cios w delikatny splot nerwowy między oczami Vaali. Zanim Jedi się zorientowali, co się święci, leżeli już nieprzytomni na podłodze hangaru. Kenth nie zdążył co prawda złapać w porę ich mieczy, ale zdołał wyłączyć broń Yantahara, zanim jej rękojeść zagrzechotała o posadzkę przy nodze Bothanina.

Schylił się po miecze, sprawnie pozbawił je ogniów zasilających i przypiął znów do pasów Rycerzy Jedi. Łatwo poszło, pomyślał, tak samo, jak ze strażnikami strzegącymi jego kwater. Zbyt łatwo. Kiedy znów obejmie władzę i zaprowadzi w Zakonie porządek, będzie musiał poważnie porozmawiać z instruktorami walki o uchybieniach w systemie nauczania, uznał. Zawlókł ciała nieprzytomnych Jedi do pobliskiego pustego warsztatu i poczęstował ich ogłuszającym impulsem Mocy, żeby mieć pewność, że jeszcze przez jakiś czas nie dojdą do siebie. Potem wrócił do hangaru i prześlizgnął się przez właz dostępu.

W hangarze roilo się od eskadr stealthX-ów, ustawionych równiutko w grupy bojowe o kształcie klinów i otoczonych przez zaaferowane zespoły techników. Piloci - z wyjątkiem dowódców eskadr - byli już ubrani w kombinezony próżniowe i siedzieli w kabinach swoich maszyn, prowadząc procedury przedstartowe; inni krążyli wokół myśliwców i dokonywali inspekcji z zewnątrz. Kenth zauważył, że w grupie uderzeniowej znalazło się grono najlepszych i najbardziej doświadczonych pilotów Jedi - między innymi Lowbacca, Izal Waz, Wonetun, a także wielu innych Rycerzy Jedi, którzy walczyli w wojnie z Yuuzhan Vongami.

Stwierdził też, że wśród nich nie było Jainy Solo, której sława jako pilotki myśliwca ustępowała chyba tylko rozgłosowi samego Luke'a Skywalkera. Za to, ku jego zaskoczeniu, jednym z pierwszych gotowych do startu pilotów był Raynar Thul, chociaż pozycja jego stealthX-a w jednej z eskadr na tyłach hangaru dowodziła, że nie przyznano mu żadnych przywilejów dowódczych. Jego obecność w tym miejscu sugerowała jednak, że albo Saba przecenia stan jego umysłu po ozdrowieniu, albo rozpaczliwie pragnie rzucić do walki wszystkich, chociaż odrobinę wykwalifikowanych pilotów.

Podczas gdy Hamner rozważał, która z opcji jest bardziej prawdopodobna, Thul przechylił

swoją poznaną bliznami twarz na bok, jakby czegoś nasłuchiwał, po czym powoli odwrócił się w stronę wejścia do hangaru. Kenth wycofał się pospiesznie w cień i ukrył swoją obecność w Mocy, ale i tak wzrok Thula powędrował w jego kierunku i na moment zatrzymał się w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą stał Mistrz Jedi. Teraz usta Raynara rozciągnął dziwny, lekko niesamowity uśmiech; Thul skinął ledwie zauważalnie głową i wrócił do sprawdzania systemów swojego myśliwca. Kenth Hamner trwał jeszcze jakiś czas w bezruchu. Serce waliło mu jak młotem. Zaczął się ostrożnie posuwać wzdłuż ściany; poszukał wzrokiem Saby i innych Mistrzów dopiero wtedy, kiedy miał pewność, że Raynar skupił się znów bez reszty na swojej maszynie,.

Nie musiał długo szukać - wkrótce namierzył ich na przestronnym tarasie obserwacyjnym jakieś dwadzieścia metrów wyżej. Oparci o barierkę, śledzili przygotowania do odlotu, żywo gestykulując i wskazując na stojące w dole maszyny; najwyraźniej dopracowywali ostatnie szczegóły strategii. Ku zaskoczeniu Hamnera tylko czterech Mistrzów miało na sobie skafandry lotnicze - Kyp Durrone, Kyle Katarn, Octa Ramis i Barratk'1. Nigdzie w pobliżu nie było śladu po Corranie Hornie ani po

Solusarach; ci ostatni najpewniej przebywali na Ossusie, czuwając nad postępami swoich uczniów, uznał po namyśle Kenth.

Cała reszta, nie wyłączając Saby, miała na sobie zwykłe szaty Jedi. Mogło to oznaczać, że po wysłaniu myśliwców na orbitę zamierzają zostać na Coruscant, żeby bronić Świątyni. A że od czasu pozbawienia go władzy w Świątyni to Saba kierowała działaniami Zakonu, Kenth nie miał

złudzeń co do formy, jaką przyjmie ta obrona. Jedi będą działać agresywnie i przebiegle, starając się przechytrzyć Daalę i jej sprzymierzeńców, dopóki ich nie osaczą i na zawsze nie unieszkodliwią, jak mawiali Barabelowie.

W skrócie oznaczało to śmierć. Wiele śmierci.

Kenth Hamner na wpół podświadomie oczekiwał, że za chwilę rzuci się na niego gromada żądnych krwi Jedi, więc trzymał się w cieniu i posuwał wzdłuż ścian hangaru, dopóki nie znalazł

się w pobliżu pionowych szybów nawiewu. Sprawdził każdy po kolei, dopóki nie znalazł na tyle chłodnego, żeby móc go objąć, a potem zaczął się po nim wspinać w górę. Ściany szybu były śliskie od kurzu i pleśni, ale Kenth nie użył Mocy, żeby sobie pomóc we wspinaczce. W obecności tylu Jedi w pobliżu nawet niewielkie zakłócenie w Mocy niosło ze sobą ryzyko, że zostanie zauważony - tym bardziej teraz, kiedy ledwie nad sobą panował. Hamner był pewien, że Raynar Thul go zauważył, ale nie miał pojęcia, czego się po nim spodziewać. Czyżby jego dotychczasowe milczenie oznaczało, że Kenth ma pośród Jedi cichego stronnika? A może Thul wolał po prostu uniknąć pakowania się w konflikt Mistrzów Jedi?

Trudno było stwierdzić cokolwiek na pewno, bo Raynar Thul był bardzo dziwną osobą.

Jako Rycerz Jedi wydawał się dostrzegać więcej niż inni, ale też zwykł kroczyć własnymi ścieżkami i często sprawiał wrażenie raczej rozbawionego niż zatroskanego konfliktami w Zakonie; zachowywał się przeważnie tak, jakby go nie dotyczyły.

Kenth nie bez trudu dotarł na poziom pomocniczy hangaru, zdominowany przez sieć przewodów zasilania, szybów wentylacyjnych i urządzeń naprawczych, górujących nad pokładem remontowym. Zaczął się powoli i ostrożnie przekradać w stronę tarasu, na którym stała Saba w towarzystwie innych Mistrzów; chociaż cały czas stosował techniki Jedi uspokajania oddechu, serce waliło mu jak młotem, a krew pulsowała w skroniach tak mocno, że niebawem rozbolała go głowa.

Nie miał pojęcia, co zrobi, kiedy dotrze do balkonu. Mógł co prawda zapobiec wydaniu rozkazu do startu - a tym samym dopuszczeniu się zdrady ze strony Zakonu - stawiając na element zaskoczenia i unieszkodliwiając Sabę, zanim ona lub ktokolwiek inny zauważy, co się dzieje. Nie wiedział

jednak, jak pozostali Mistrzowie zareagują na taki brutalny atak - czy uznają konieczność zatrzymania porywczej Barabelki za czyn uzasadniony, czy może potępiają jako próbę zabójstwa i zwrócą się przeciwko niemu.

Skradał się ostrożnie jeszcze przez kilka minut, dopóki nie dotarł w pobliże tarasu - od Saby, stojącej

mniej więcej siedem metrów niżej, dzielił go teraz jakiś metr odległości w płaszczyźnie poziomej. Nie słyszał co prawda jej słów, ale z samego zachowania mógł się domyślać, że Mistrzynie Jedi wydaje rozkazy i zadaje pytania, na które Mistrzowie bez szemrania odpowiadają. Gdyby nawet wcześniej miał jakieś wątpliwości, kto stoi za buntem Jedi i kogo powinien uciszyć, jeśli chce znów objąć władzę w Zakonie i zapobiec tragedii, to ten widok całkiem je rozwiął.

Mimo wszystko Kenth Hamner nie zapomniał całkiem o swoich wojskowych korzeniach i doceniał korzyści płynące ze sztuki wywiadu. Wiedział, że usunięcie głównego zdrajcy nie wystarczy. Musiał mieć pewność, kto współspiskuje z Sabą, a kto waha się, czy ją poprzeć; musiał

wiedzieć, kogo może się obawiać, kiedy już się z nią policzy.

Otworzył się na Moc i dostroił zmysł słuchu do dobiegających zewsząd dźwięków, próbując wyłowić głosy w tle charakterystycznego syczenia Saby. Barabelka właśnie kręciła na wszystkie strony łuskowatym łbem, jakby w poszukiwaniu intruza. Kenth Hamner wiedział, jak wyczulone są zmysły drapieżników, więc wstrzymał oddech i skorzystał z techniki medytacyjnej Jedi, żeby uspokoić oszalałe serce. Mistrzynie Sebatyne zadarła głowę i obrzuciła krytycznym wzrokiem poziom pomocniczy.

Kenth zaczynał już podejrzewać, że stracił element zaskoczenia, kiedy do jego uszu dobiegł

bulgoczący głos Cilghal:

- ...Mirax wraca do Świątyni, a według raportu Solo zespół ratunkowy jest gotów do rozpoczęcia misji.

Zespół ratunkowy? - zasępił się. To mogło tylko oznaczać, że Saba zdołała przekonać Radę do ataku na kilku frontach. Część Jedi spróbuje więc odbić rodzeństwo Hornów podczas zamieszania, jakie spowoduje start stealthX-ów. To był sprytny, mądry ruch, ale w ten sposób Jedi otwarcie wypowiedzą Daali wojnę.

- Świetnie - stwierdziła Saba, na potwierdzenie swoich słów uderzając ogonem w kratownicę. - Coś jeszcze?

- Booster spodziewa się senator Treen na pokładzie za godzinę - dodała Cilghal. - Jak tylko się zjawi, będą gotowi do startu. Reszta graczy jest już na miejscu.

- Poproś kapitana Terrika, żeby informował nas na bieżąco. Mussimy wszystko dokładnie zgrać w czasie. - Saba odwróciła się do Barratk'la. - Czy sskontaktowałeś się z Jedi Ssaarem i Jedi Arelisseem?

Barratk'ł skinął głową i warknął:

- Mój zespół spotka się z nimi w Arari.

Saba uderzyła znów ogonem o podłogę.

- A więc niech Moc będzie z wami - życzyła mu. - Ośmiu Jedi przeciwko takiej sile... Ona żałuje, że nie jest nas więcej.

- To w zupełności wystarczy - zapewnił ją Yuzzem. - Sithowie są ważniejsi, a ośmiu Jedi wystarczy, żeby przywrócić niewolnikom wiarę. A gdy już odzyskają wiarę, zdołają wyzwolić się sami.

- Doskonale - ucieszyła się Saba. - Jedi właśnie na to liczą.

Kenth nie wierzył własnym uszom. Mistrzynie Sebatyne nie tylko udało się przekonać Radę do zdrady stanu i zorganizowania akcji odbicia więźniów; wszystko wskazywało też na to, że namówiła grupę Jedi, aby przystąpiła do wzniecania buntów na obrzeżach galaktyki. Jakby tego było mało, na dokładkę skłoniła Boostera Terrika do... no właśnie, do czego? Do zorganizowania wielkiego turnieju sabaka?

Nie miał teraz wątpliwości, że Barabelkę należy powstrzymać - i to za wszelką cenę.

Saba zwróciła się do Mistrzów ubranych w skafandry próżniowe.

- Wygląda na to, że wszystko jest na razie pod kontrolą. Proponuję, żebyście w takim razie wrócili do waszych eskadr.

Cilghal podniosła płetwę, żeby coś dodać, i przez chwilę Hamner miał nadzieję, że może Sabie nie udało się jednak przekabacić na swoją stronę całej Rady, ale kiedy Kalamarianka przemówiła, zdał sobie sprawę, że jest gorzej, niż sądził. Wszystko wskazywało na to, że bezpieczeństwo Galaktycznego Sojuszu jest zagrożone.

- Powinniśmy przedyskutować jeszcze jedną sprawę - napomknęła Kalamarianka. -

Przywódca Fel poinformował rodzinę Solo, że Imperium nie zamierza zjednoczyć swoich sił z Galaktycznym Sojuszem, dopóki na jego czele stoi Natasi Daala.

Kenth zauważył, że część zaskoczonych Mistrzów otwiera szeroko oczy, a niektórzy rozdziawiają nawet usta; wiadomość wstrząsnęła nim tak bardzo, że na chwilę zapomniał o ostrożności i otworzył się znów na Moc. Gdy tylko spostrzegł, że się odsłonił, szybko znów ukrył

swoją obecność przed Mistrzami, ale za późno - widział to po zjeżonym nagle grzebieniu grzbietowym Saby. Barabelka zwróciła jedno oko na plamę cienia, w której się ukrywał, i Mistrz Jedi zrozumiał, że jego jedyną szansą jest teraz zaskoczyć ją i zakończyć tę farsę - możliwie szybko i bezboleśnie.

- Co się stało? - zdziwiła się Octa Ramis. - Dlaczego Fel się wycofuje?

- Nieważne, co się stało - powiedział ze zniecierpliwieniem Kyle. - Ważne, czy Daala już o tym wie.

- Jeżeli nawet nie, to na pewno szybko się dowie - stwierdziła Cilghal. - „Pellaeon” wkrótce opuści orbitę, a to niewątpliwie niebawem wyjdzie na jaw.

- Tym bardziej jeśli na pokład wróci przywódca Fel - dodała Saba, cały czas wpatrując się w cień.

Kyp uśmiechnął się szeroko.

- Czy ktoś się domyśla, dlaczego Jagged Fel uznał, że Solo powinni się o tym dowiedzieć?

Octa Ramis podniosła wysoko brwi.

- Sugerujesz, że chce z nami współpracować?

- Niekoniecznie współpracować - sprostował Kyle. - To kolidowałoby z innymi interesami jego rządu, ale poinformowanie... owszem, na tyle może sobie pozwolić.

- Dokładnie tak. - Kyp kiwnął głową. - Dzięki temu będziemy mogli się lepiej przygotować.

Kiedy Daala się zorientuje, że Imperium zabiera swoje zabawki, będzie się musiała skupić na rzeczach ważniejszych niż my.

- A kiedy to nastąpi? - spytała Saba, w końcu odwracając wzrok od kryjówki Kentha. - Czy przywódca Fel wspominał, kiedy odlatuje?

Cilghal podniosła błoniasty palec, prosząc o ciszę. Rzuciła parę słów do komunikatora i nasłuchiwała przez chwilę, a potem spojrzała znów na Sabę.

- Przywódca Fel powiedział, że „Pellaeon” już się przygotowuje do opuszczenia orbity -

oznajmiła. - Leia uważa, że budynek Grasera był ostatnim miejscem, które odwiedził przed wyruszeniem do portu kosmicznego.

- A więc Daala wkrótce dowie się o jego odlocie? - upewniła się Saba. - Za jakiś kwadrans?

- Przypuszczam, że już o tym wie - zawyrokował ponuro Kyp. - Gwiezdny niszczyciel przygotowujący się do opuszczenia systemu to nie byle co, a piloci Jaga pewnie szykują już jego prom do odlotu.

Saba milczała przez chwilę, zamyślona.

- Sskoro przywódca Fel wiedział, gdzie szukać Ssolo, to znaczy, że zna ich plany, a pewnie i nasze. Dał im sygnał do rozpoczęcia akcji - zauważyła.

Kyp, Kyle i pozostali Mistrzowie potwierdzili jej przypuszczenia.

Mistrzyni Sebatyne odwróciła się znów do barierki i zapatrzyła na przygotowujące się do startu stealthX-y, wysuwając i wsuwając rozszczepiony język. Wreszcie podjęła:

- Powiedzcie kapitanowi Terrikowi, żeby natychmiast zaczynał turniej. I sskontaktujcie się z Ssolo. Powiedzcie im, że ruszamy za dziesięć minut.

Cilghal spojrziała kolejno na twarze reszty Mistrzów; Kenth patrzył ze zgrozą, jak jeden po drugim kiwają głowami, potwierdzając gotowość do akcji. Nigdy w życiu nie czuł się tak wstrząśnięty, smutny, zdradzony... i tak zdeterminowany. Sięgnął po miecz świetlny, wyprostował

się i dwoma susami dotarł do kładki tuż nad głową Saby.

- Przykro mi - zawołał do zgromadzonych w dole Mistrzów - ale nie mogę na to pozwolić.

## ROZDZIAŁ 25

Iluminator mostka wiekowego gwiazdowego niszczyciela o nazwie „Błądny Rycerz” wypełniał migotliwy glob planety miasta Coruscant, najjaśniej lśniącego klejnotu Jądra galaktyki, nigdy niezasypiającego świata, z którego pochodziła znakomita większość błogosławieństw i przekleństw międzygwiazdowej cywilizacji. I właśnie gdzieś tam, daleko w dole, pośród tych niezliczonych światel, wnuki Boostera Terrika wisiały zamrożone w karbonicie, uwięzione z powodu nienasyconego głodu władzy byłej imperialnej zdziry. Booster przybył tu, aby je uwolnić, i zamierzał to zrobić - nawet jeśli miało to oznaczać, że będzie musiał zaparkować swój gwiazdny niszczyciel w biurze Natasi Daali, i to ze wszystkimi gośćmi na pokładzie.

Na dźwięk tupotu drobnych stóp Booster obejrzał się i zobaczył spieszącą w jego stronę Ishi Tibkę; kierowała osadzone na krótkich szypułkach oczy to w lewo, to w prawo, dokonując po drodze pobieżnej inspekcji stanowisk pracy załogi. Ubrana w obcisłe spodnie i jaskrawą bluzkę o bufiastych rękawach, Lyari wyglądała raczej na piratkę z holonoweli niż na pierwszego oficera w największym latającym kasynie galaktyki, ale Booster nie miał nic przeciwko temu. Wręcz przeciwnie - lubił przypominać swoim gościom, że „Błądny Rycerz” nie jest zwyczajnym statkiem i podczas ich pobytu na jego pokładzie wszystko może się zdarzyć - zresztą bardzo często przekonywali się o tym na własnej skórze.

Za Lyari siedł ostatni z gości turnieju sabaka, w dodatku niezaproszony na imprezę -

niewyróżniający się niczym szczególnym mężczyzna w średnim wieku, ubrany w prostą bluzę i spodnie. Gdyby jego sięgające za ucho brązowe włosy nie były tak elegancko przystrzyżone i perfekcyjnie ufryzowane, Booster wziąłby go za próbującego nie rzucić się w oczy szpiega. Facet wyglądał na rządowego gryzpiórka, którym w istocie był; sprawiał wrażenie zagubionego.

Wyraźnie źle się czuł w tej jaskini hazardu i wszelkich innych zakazanych uciech galaktyki, a już na pewno nie sprawiał wrażenia kogoś, kto zwykł siadać do karcianego stolika z osobami pokroju Drikla Lecersena czy Fosta Bramsina.

Lyari zatrzymała się przed fotelem Boostera i ujęła nowego gościa pod ramię, popychając lekko w stronę właściciela kasyna. Mężczyzna skrzywił się, kiedy ostre szpony Ishi Tibki wbiły mu się w rękę.

- To pan Wynn Dorvan, szef biura przywódczyni Sojuszu Daali. - Jej głos był łagodniejszy i bardziej miękki niż zwykle, z czego wynikało, że uznała mężczyznę za cennego gościa na pokładzie kasyna. - Chciałby wziąć udział w turnieju.



Booster przygryzł niedopałek cygara, który trzymał w zębach, i łypnął na Dorvana spoде łba.

- Czy to prawda, Wynn? - Pochylił się do gościa i poklepał go jowialnie po ramieniu. -

Chyba nie masz nic przeciwko temu, że będę ci mówił po imieniu, co, Wynn?

Dorvan patrzył na niego z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- To pański statek, kapitanie Terrik - stwierdził gładko. - Skoro jestem na jego pokładzie, ma pan prawo nazywać mnie, jak się panu podoba.

- Tak mi się też zdaje, ha! - Booster wyjął z kieszeni cygaro i zaproponował Dorvanowi. - A tak między nami, nikt mnie tu nie nazywa kapitanem. Mów mi Booster.

- Jasne, Boosterze. - Dorvan przez chwilę mierzył cygaro podejrzliwym wzrokiem, ale w końcu odmówił. - Dziękuję, nie palę.

- Nie? - Booster schował cygaro z powrotem do kieszeni, z każdą sekundą coraz bardziej ciekaw powodu, dla którego ktoś taki zjawiał się na jego okręcie. - Wybacz, że Lando nie wysłał ci zaproszenia na nasz mały, dobroczynny turniej sa...

- Chyba nie jest taki mały, skoro główna wygrana wynosi pięćdziesiąt milionów kredytów -

wszedł mu w słowo Dorvan. - Takiej kwocie nie oparłby się żaden poważny gracz na tej planecie i dobrze o tym wiesz, Boosterze.

Kapitan „Rycerza” wzruszył ramionami.

- A więc uważasz się za poważnego gracza?

- Cóż, tak mi się zdaje - odparł skromnie Dorvan.

- W takim razie jakim cudem nigdy o tobie nie słyszeliśmy? - spytała Lyari. - To znaczy, jako o graczu w sabaka.

- Być może z tego samego powodu, dla którego nikt nie wiedział o tym, że wielki dobroczynny turniej sabaka Tendrando Arms odbędzie się na pokładzie „Błędnego Rycerza”, dopóki nie zapłacił miliona kredytów - zauważył Wynn z lekkim uśmiechem. - Czasem zbyt ni rozmach może zaszkodzić.

Booster parsknął rubasznym śmiechem i rozrzucił szeroko ramiona.

- Przykro mi, Wynn, ale ja nie mam z tym problemów, ha!

Dorvan skinął głową.

- Oczywiście, ale wiedz, że chociaż turniej został nazwany imieniem zakładów Landa, mało brakowało, a twój „Rycerz” nie dostałby pozwolenia na stacjonowanie na orbicie. Masz fart, że

zaprosiłeś generała Jaxtona.

- A czemu sądzisz, że to był fart? - zarechotał Booster. - Poza tym opłata za uczestnictwo nie jest kaucją. Możesz mi wierzyć, że Merratt Jaxton nie jest jedyną osobą, która ma wtyki w kontroli orbitalnej.

- Skoro już mowa o warunkach uczestnictwa, to chyba jeszcze nie uiściłeś opłaty za udział -

zauważyła Lyari, najwyraźniej traktująca niespodziewanego gościa z taką samą rezerwą jak kapitan. - Poza tym przyleciałeś własnym promem. Skoro twoim zdaniem ta impreza ma za duży rozmach, czemu chcesz w niej wziąć udział?

- Bo Lando Calrissian jest zbyt bogaty, żeby angażować się w niepewny interes, a poza tym

„Błędny Rycerz” jest znany z tego, że gra się na nim czysto - stwierdził spokojnie Dorvan. -

Niezależnie od tego, co się tu wydarzy, mam wszelkie powody przypuszczać, że turniej będzie uczciwy. Poza tym mam kilka bardzo dobrych pomysłów na wykorzystanie tych pięćdziesięciu milionów kredytów.

- Pod warunkiem, że je wygrasz - zauważył Booster.

- Staram się być optymistą - odparł Wynn z uśmiechem, ale zaraz spoważniał. - Czy macie jeszcze miejsca?

- Lyari zaraz to sprawdzi. - Booster wskazał głową komunikator w kieszeni bluzy Ishi Tibki.

Dorvan był dla niego tak cennym nabytkiem, że zapewniłby mu miejsce, nawet gdyby się okazało, że lista uczestników jest już zamknięta. Kiedy jednak Booster Terrik wchodził w jakiś interes, zawsze najpierw się upewniał, że ma wszystko pod kontrolą, a coś w tym gościu zdecydowanie mu się nie podobało. Wynn Dorvan był ostatnią osobą, którą Han Solo umieściłby na liście gości zaproszonych na turniej.

Booster wciąż jeszcze próbował go rozgryźć, kiedy poczuł na sobie wzrok oficer łączności.

Obejrzał się przez ramię i zobaczył, że Durosjancka jedną ręką wciska klawisz wyciszenia na konsoli, a drugą przyciska słuchawkę do ucha. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, przerwała połączenie i odwróciła się w stronę pokładu dowodzenia. Zerknęła, marszcząc brwi, na Dorvana, dając kapitanowi znak, że chce z nim porozmawiać na osobności.

Booster przeprosił gościa i podszedł do stanowiska łączności.

- Jakiś problem? - spytał cicho.

Durosjancka pokręciła głową.

- Po prostu mała zmiana planów - wyjaśniła. - Nasi przyjaciele na planecie chcą, żebyśmy zaczęli

już teraz.

Booster Terrik nastroszył siwe brwi. Turniej miał się rozpocząć za jakiś kwadrans, a jeszcze kilka minut temu Saba poleciła mu wstrzymać otwarcie do czasu, aż na pokład dotrą ostatni maruderzy.

- Wiedzą, że nadal czekamy na senator Treen? - upewnił się.

Oficer łączności przytaknęła.

- Tak, wspomniałam im o tym. Mimo to nalegają, żebyśmy zaczęli bez niej.

Booster oparł się chęci odruchowego skubnięcia brody, ale nie mógł się powstrzymać przed nerwowym zerknięciem na Wynna Dorvana. Najwyraźniej na dole wydarzyło się coś ważnego, a on miał dziwne przeczucie, że ma to coś wspólnego z przybyciem niespodziewanego gracza. Ale kto, u licha, miałby wysyłać szefa biura Sojuszu z misją sabotażu na pokładzie gwiazdnego niszczyciela?

Albo z zamiarem szpiegowania? Coś tu się, brzydko mówiąc, nie trzymało kupy.

- Boosterze, co robimy? - spytała Durosjanka, kiedy wciąż milczał.

Wyrwany z zamyślenia, pokiwał głową.

- Wygląda na to, że zaczynamy, Saliah. Skoro naszym przyjaciołom tak na tym zależy, nie mamy nic do gadania. - Ostatnie zdanie wygłosił na tyle głośno, żeby Dorvan go usłyszał... na wypadek, gdyby jeszcze nie wiedział, kim są ci tajemniczy przyjaciele kapitana „Błędnego Rycerza”. - Powiedz Landowi, że zaczynamy. Niech prześle senator Treen z powrotem jej kaucję.

- Tak jest - potwierdziła służbiście Saliah.

Kiedy Booster wrócił do swojego gościa, Dorvan spytał:

- Czy to znaczy, że macie jeszcze wolne miejsce?

- Być może - odparł Booster ostrożnie - jeżeli masz pieniądze na opłatę za udział.

- Ach tak, oczywiście. - Dorvan wyjął z kieszeni poświadczony przez bank dokument i podał go kapitanowi. - Wiem, co sobie myślisz, Boosterze, ale zapewniam cię, że nie mam w zwyczaju dawać łapówek.

Booster przyjrzał się dokumentowi i zacmokał z uznaniem.

- Milion kredytów, no, no... - mruknął, kiwając głową. - To całkiem niezła sumka jak na urzędas.

Dorvan przytaknął.

- Tak jak wspomniałem, Boosterze, umiem grać w sabaka.

- Może i tak - zachichotał Terrik i oddał czek Lyari. - Powiedz Landowi, że Wynn wskakuje na miejsce senator Treen, a potem znajdź kogoś, kto go zaprowadzi do sali turnieju.

- Tak jest. - Lyari rzuciła kilka słów do komunikatora, a potem spojrzała na Dorvana. -

Turniej właśnie się zaczął. Zanim tam dotrzemy, stracisz kilka ładnych rozdań. Możesz się jeszcze wycofać, jeśli ci to przeszkadza.

- Jeśli to zrobię, nie dostaniecie moich pieniędzy. - Dorvan obejrzał się na Boostera. - Czy mogę spytać, kim są ci partnerzy, z powodu których przyspieszyłeś rozpoczęcie turnieju?

- Oczywiście, że możesz. - Booster dał Lyari gestem znać, żeby odprowadziła Dorvana, ale niemal w tej samej chwili przyszło mu do głowy, że może pojawienie się niespodziewanego gościa było rzeczywiście tylko szczęśliwym trafem, który jego wnuki zwykli nazywać wolą Mocy.

Ruchem ręki zatrzymał Ishi Tibkę i dodał pod adresem Wynna: - Czy mógłbyś jeszcze przez chwilę dotrzymać mi towarzystwa? Chciałbym ci coś pokazać.

Dorvan zrobił skwaszoną minę.

- A co z turniejem?

- Potrwa trzy dni - przypomniała mu Lyari. - Dziesięć minut cię nie zbawi.

- Wynagrodzimy ci to, zwracając dziesięć procent opłaty - dodał na zachętę Terrik. - Zaufaj mi, nie pożałujesz.

Dorvan westchnął, sięgnął do kieszeni i pogłaskał coś; pewnie oswojonego chitlika, z którym - jak głosiły plotki - nigdy się nie rozstawał.

- Dziesięć minut - zastrzegł. - Ani chwili dłużej.

- Umowa stoi. - Booster dał gestem znać Lyari, żeby sporządziła dokument, a potem poszukał wzrokiem swojego nawigatora. - Zmień kurs, Ratt - polecił mu. - Wiesz, gdzie masz lecieć.

- Tak jest - potwierdził Bith. - Bierzemy kurs na zwierciadło orbitalne baker-sześć-tango.

- Świetnie. - Booster kiwnął głową. - Marfen, aktywuj baterie ósmą, dziesiątą i dwunastą.

- Baterie ósma, dziesiąta i dwunasta ładują się i namierzają cele - poinformował Brubb o imieniu Marfen, oficer uzbrojenia. - Gotowi do ataku za dwadzieścia sekund.

- Ataku? - Najwyraźniej Dorvan był większym twardzielem, niż na to wyglądał, bo zupełnie nie sprawiał wrażenia zaskoczonego, a głos miał spokojny. - Na zwierciadło klimatyczne?

- Mówiłem, że nie pożałujesz - odparł z satysfakcją Booster. - Marfen, daj cel na wyświetlacz.

Chwilę później na wielkim wideoekranie z przodu mostka pojawił się obraz oślepiająco błyszczącego, srebrzystego zwierciadła o dwóch panelach. Zdaniem Boostera konstrukcja przypominała głowę Chadra-Fana - niewielka kula, zwieńczona dwoma kanciastymi, groteskowo dużymi uszami. Wiedział, że powierzchnia każdego z lusterek ma ponad dziesięć kilometrów kwadratowych, ale to tylko utrudniało mu wyobrażenie sobie jego prawdziwej skali.

- Stacja kontroli orbitalnej pyta, dlaczego zmieniliśmy ustalone współrzędne - doniosła Saliah. - Grożą nam grzywną.

Jej słowa wywołały salwy śmiechu u całej załogi mostka.

- Cóż, lepiej w takim razie, żeby to, co zrobimy, okazało się warte naszych pieniędzy -

stwierdził radośnie Booster. - Strzelaj bez rozkazu, Marfen.

- Tak jest - potwierdził Brubb. - Og... - resztę polecenia zagłuszyła radosna wrzawa na mostku, kiedy sześć turbolaserowych promieni wystrzeliło z dział „Rycerza” i zmieniło lustrzane panele w dwie chmury ognia i dymu.

- Właśnie zniszczyłeś własność Sojuszu wartości kilku milionów kredytów - zauważył

trzeźwo Dorvan. Nie wydawał się nawet w połowie tak wstrząśnięty, jak powinien, i Boostera tknęło niejasne przecucie, że podwładny Daali dokładnie wiedział, w co się pakuje, zjawiając się na pokładzie „Rycerza”... a mimo to się nie zawahał. - Przynajmniej nie trafiliście w stację kontroli.

Mogliście kogoś zabić.

- Zawsze możemy zrobić powtórkę - odparł beztrąsko Booster. - Ratt, ustaw kurs na cel numer dwa.

- Numer dwa? - powtórzył Dorvan. - Nie wiem, co chcesz w ten sposób osiągnąć, ale możesz mi wierzyć, że nie zapewnisz w ten sposób nikomu bezpiecznego odlotu z Coruscant.

Przywódczyni Daala wie, co robi.

- O, to zupełnie jak ja! - zauważył radośnie Terrik. Chwycił Dorvana za ramię i bezceremonialnie pociągnął w stronę konsoli łączności obsługiwanej przez Saliah. - Naprawdę mam już dość zamartwiania się o Valina i Jysellę. Nie przestanę strzelać, dopóki moje wnuki nie wyjdą na wolność, a jeśli wcześniej skończą mi się zwierciadła, zacznę brać na cel stacje mieszkalne.

Dorvan pokręcił głową.

- Chyba nie przemyślałeś tego do końca, Booster - stwierdził. - Na orbicie stacjonuje cała Szósta Flota. Zanim zdążysz wziąć na cel trzeci obiekt, rozpylą cię na atomy.

- Nie mnie, Wynn - poprawił go z szerokim uśmiechem Booster. - Nas. Ciebie, mnie, Fosta Bramsina, Drikla Lecersena, Merratta Jaxtona i dziewięćdziesięciu sześciu innych ważnych oficjeli.

Dorvan uniósł brwi.

- Chcesz nas tutaj trzymać jako zakładników?

- Organizuję tylko turniej sabaka - odpowiedział Booster z kpiącym uśmiechem. - A na zaproszeniach wyraźnie napisano, że wcześniejsze opuszczenie imprezy nie wchodzi w rachubę.

Dorvan pokręcił powoli głową.

- Nigdy ci się to nie uda - westchnął smutno. - Nasi ochroniarze...

- Nie będą się wtrącać - dokończył za niego oficer uzbrojenia Marfen. - Zakładam, że słyszałeś o gazie usypiającym?

Na głównym wyświetlaczu mostka zaczęły się pojawiać obrazy przedstawiające pomieszczenia pomocnicze w pobliżu pokładu, na którym odbywał się turniej. Każde z nich było pełne nieprzytomnych ochroniarzy, z których większość była też już rozbrojona i skrępowana.

Booster z ulgą spostrzegł, że Marfen wybrał tylko te obrazy, na których nie było widać Rycerzy Jedi; nie chciał, żeby Dorvan dowiedział się o wszystkich szczegółach jego planu - a przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Może zechcesz zrelacjonować sytuację swojej szefowej, co? - Booster sięgnął po mikrofon. - Poinformuj ją, kogo mamy na pokładzie. Możemy nawet wysłać jej pełną listę, jeśli zechce.

- To skandaliczny i głupi wybryk - oznajmił Dorvan. Booster stwierdził, że facet albo jest doskonałym graczem w sabaka, albo wyśmienitym kłamcą, bo głos nawet mu nie drgnął, tak samo jak żaden mięsień na twarzy. - Wiesz, że przywódczyni Daala nie zgodzi się na negocjacje?

- Zobaczymy. - Booster wskazał znacząco na mikrofon. - Kto wie, może cię zaskoczy?

Saliah aktywowała kanał i podniosła na nich wzrok znad konsoli.

- Jaki jest kod łączności Daali?

Wynn wyraźnie się zawahał, więc Booster zapewnił go:

- Tylko jedna wiadomość i możesz pędzić na swój turniej. - Wyjął z ust przygryziony niedopałek cygara i uśmiechnął się dobrotliwie. - Przy stoliku do sabaka zaraz zapomnisz, że jesteś zakładnikiem.

## **ROZDZIAŁ 26**

Jej przeciwnik dobrze wybrał punkt ataku. Stojąc na kładce jakieś siedem metrów nad Sabą, miał przewagę wysokości, a przy tym był chroniony poręczą, jednak, zdaniem Barabelki, wydawał

się nieprzygotowany do walki. Jego ostry, podniesiony głos zdradzał napięcie, a przecież wojownik

szukający się do konfrontacji powinien być spokojny i pewny siebie; poruszał się gwałtownie i nerwowo, a za każdym razem, kiedy Mistrzynie Sebatyne wdychała powietrze, czuła na wrażliwym języku gorzki jego zdenerwowania. Przede wszystkim jednak, dzięki zmysłowi wzroku pozwalającemu widzieć w podczerwieni, dostrzegła spowijającą jego głowę i pierś lśniąca aurę strachu - jego ciało automatycznie zatrzymywało krew i ciepłość w najważniejszych obszarach życiowych. Kenth Hamner wcale nie był zadowolony z faktu, że tutaj jest. Bał się i czuł się niepewnie; śledził Sabę od jakichś dziesięciu minut, bo nie miał wystarczającej odwagi by zaatakować.

To nie była dobra strategia.

- ...Zakon Jedi służył obywatelom galaktyki od zarania dziejów - grzmiał Hamner. - Jeśli to zrobicie, zniweczycie tradycję sięgającą dwadzieścia pięć tysięcy lat wstecz!

- Przysłużymy się obywatelom galaktyki, ocalając ją - poprawił go spokojnie Kyp Durron, stojący razem z resztą pilotów dwa metry pod balkonem Saby, w pobliżu prowadzących na niego metalowych schodów. Gdyby nawet Hamner spróbował powstrzymać jego i resztę pilotów od dołączenia do poszczególnych eskadr, będzie musiał najpierw zmierzyć się z Mistrzynią Sebatyne. -

To nie była decyzja wyłącznie Saby - dodał. - Tylko całej Rady.

- Nie całej - zauważył chłodno Hamner. - Ja nie wyraziłem zgody, a chyba nie muszę wam przypominać, że nadal jestem Wielkim Mistrzem.

Octa Ramis spojrzała na niego gniewnie.

- Nie jesteś. Straciłeś nasze zaufanie, wystawiając je na próbę.

- To był zły krok - zgodził się z nią Kyle Katarn. - Powinieneś być nam powiedzieć o układzie z Bwua'tu.

- Dlaczego to przed nami zataiłeś? - spytał Kyp i zaraz sam sobie odpowiedział: - Wiem dlaczego: bo wiedziałeś, że nigdy byśmy się na to nie zgodzili.

- Ta decyzja nie należała do was - burknął Hamner. - To ja zastępuję Mistrza Skywalkera pod jego nieobecność, zapomnieliście już?

- Bo tylko na ciebie jako jego zastępcę zgodziła się Daala - zauważył trafnie Barratk'l. - Czy zastanowiłeś się kiedyś choć przez chwilę dlaczego?

Hamner aż się zjeżył i przez chwilę się zdawało, że rzuci się na potężnego Yuzzema, ale tak się nie stało. Za to jego twarz zmieniła się w maskę bólu i gniewu, a Moc przeszła fala jego rozczarowania.

- Nie tego się po tobie spodziewałem, Barratk'lu - wyznał gorzko. - Gdybym wiedział, jak nisko cenisz sobie lojalność, nigdy bym nie zgłosił twojej kandydatury na członka Rady.

- Gdybyś mnie uprzedził, że przedkładasz lojalność ponad dobro Zakonu, nigdy bym jej nie przyjął -

odparował Barratk'a. Zerknął na chronometr i odwrócił się do reszty ubranych w skafandry próżniowe Mistrzów. - Mamy osiem minut do startu, a procedura przedstartowa trwa pięć. Czas na nas.

- Zgadza się. - Nie spuszczać wzroku z Hamnera, Saba wskazała im schody. - Ona załatwi tę sprawę osobiście.

Mimo to Mistrzowie nie ruszyli się z miejsc. Kyle Katarn rzucił zatroskane spojrzenie w stronę kładki, na której stał Hamner.

- Kenth, wiesz, że możemy to załatwić w inny sposób - powiedział łagodnie. - Wszyscy wiemy, ile ostatnio przeszedłeś. Nie powinieneś być brać tego wszystkiego na siebie, to za dużo do udźwignięcia dla jednej osoby. Po to masz do pomocy Radę.

Zanim skończył mówić, Hamner podniósł rękę i Saba poczuła falę napływającej ku niemu Mocy. Przekonana, że wreszcie i zebrał się na odwagę, żeby ją zaatakować, podniosła rękę do kontrataku, ale nic się nie stało. Zamiast wyczuć opór towarzyszący starciu strumieni energii, usłyszała mrozący krew w żyłach zgrzyt rozdzieranego metalu. Rozejrzała się, zaskoczona, i zobaczyła, że końce metalowej barierki kończą się w powietrzu, a urwane przed chwilą przez Hamnera schody lecą w dół.

Uderzyły w podłogę z ogłuszającym hukiem i brzękiem, który ściągnął w ich stronę spojrzenia wszystkich obecnych w hangarze Jedi. Mistrzynie Sebatyne z ciężkim sercem zdała sobie sprawę, że Hamner nie ustąpi tak łatwo. Wszystko wskazywało na to, że zamierza im stawić czoło na oczach całego Zakonu - co było głupią decyzją. Pogłębi to jego upokorzenie, jeśli nie uda mu się zapanować nad sytuacją.

- Nie! - Kenth wskazał grupę Mistrzów w skafandrach i spotęgował Mocą swój głos, żeby słyszeli go wszyscy w hangarze. - Nie zmusicie Zakonu Jedi do zdrady stanu! - zawołał. - To niedopuszczalne! Nie pozwolę na to!

Moc przesyciły fale zaskoczenia i zmieszania i w hangarze zapadła nagła cisza. Oczy wszystkich były wpatrzone w taras obserwacyjny i już wkrótce w aury zgromadzonych na dole Jedi wkradły się pierwsze nuty wątpliwości. Kogo mieli słuchać? Saba westchnęła, spojrzała na Kypa Durrona i wskazała głową na przeciwny koniec balkonu, z którego prowadziły na parter drugie schody.

- Idźcie - poleciała Jedi. - Ona zajmie się Misstrzem Hamnerem.

Kyp skinął głową, ale nie ruszył się z miejsca.

- Sabo, pamiętaj, że on jest jednym z nas. Nie rób nic, co mogłoby...

- Ona wie, jak walczyć bez zabijania - przerwała mu zniecierpliwiona Barabelka.

Tymczasem Hamner dalej nawoływał Rycerzy Jedi, aby sprzeciwili się decyzji Rady i zapobiegli zdradzie; prosił, żeby zamiast wypełniać niedorzeczne rozkazy, postąpili zgodnie z prawem. Saba spojrzała w górę. - Obawiam się jednak, że dwa ogony w jednej kapsule to o jeden za dużo. To



powoduje... dyssharmonię. - Wyciągnęła rękę w stronę kładki i zaczęła przyciągać ją do siebie Mocą. Po chwili trzymetrowy kawał metalu wyglądał niebezpiecznie, aż w końcu oderwał się od przejścia i spadł tuż obok niej. Barabelka spodziewała się, że razem z nim wyląduje Hamner, więc przygotowała się do skoku, ale Wielkiego Mistrza nie było nigdzie w zasięgu jej wzroku.

Rozejrzała się po wyższych poziomach i wreszcie go namierzyła - jakieś dwanaście metrów od miejsca, w którym znajdował się jeszcze przed chwilą; ledwie go było widać przez gęstą kratownicę rusztowania. Przeskakiwał właśnie saltem na następny segment konstrukcji, ale nie zachęcał już Jedi, aby odstąpili od planu Rady. Po prostu biegł przed siebie, wspomagając się Mocą.

- Misstrz Hamner ucieka? - Saba przyglądała się z niedowierzaniem, jak Hamner znika jej z pola widzenia. - Czyżby tak łatwo się poddał?

- Nie ucieka - sprostowała ponuro Cilghal i wskazała płetwiastą dłonią na pancerne drzwi zamykające wyjście z hangaru - tylko zmienia taktykę.

Saba przechyliła głowę na ramię, przyjrzała się uważnie sieci kładek i przejść - i nagle zrozumiała.

- Co za *sshēnbit!* - wysyczała i bez namysłu wskoczyła na barierkę balkonu. Wspomagań jon Mocą susem dopadła do uszkodzonej kładki, na której jeszcze przed chwilą stał Hamner. -

Cwany *sshēnbit!*

Podobny skok nie stanowiłby problemu dla żadnego wkurzonego Barabela, a dla Barabela mającego na swoich usługach Moc nie był trudniejszy niż zwykły krok. Saba wylądowała bezpiecznie na kładce i nie zatrzymując się, puściła biegiem przez labirynt rusztowań.

Drzwi pancerne zostały zamknięte na głucho, kiedy Solo odkryli pierwszych mandaloriańskich zwiadowców obserwujących Świątynię, i od tamtego czasu nie były rozsuwane.

Jeśli Hamner dotrze do generatorów magnetycznych, zanim wrota zostaną otwarte, wystarczy, że odetnie zasilanie - a wtedy całe skrzydło stealthX-ów zostanie uwięzione w hangarze, może nie na długo, ale na czas wystarczający, żeby uniemożliwić im planowy start. Do tego czasu Solo wejdą już do bloku więziennego, Daalę zaś zaabsorbuje bez reszty problem „Pellaeona” opuszczającego orbitę Coruscant. W ciągu kilku minut przywódczyni Sojuszu skieruje Szóstą Flotę przeciwko gwiazdnemu niszczycielowi Boostera Terrika, który następnie salwuje się ucieczką w nadprzestrzeń. Jeśli Jedi chcą opuścić Coruscant bez walki, skrzydło stealthX-ów musi wystartować o czasie. Mistrzynie Sebatyne sprawdziła chronometr - zostało im siedem minut.

Trzeba rozegrać to sprawnie i zgodnie z planem. Jeśli im się nie uda, Luke i Ben będą musieli zmierzyć się z Abeloth i Sithami sami, a to było nie do pomyślenia.

Dotarła do pierwszego skrzyżowania kładek remontowych i odwróciła się w stronę pancernych drzwi. Powietrze na tym poziomie hangaru było przesycone pyłem i duszne. Wszędzie jak okiem sięgnąć ciągnęły się labirynty rur, przewodów i szyn dźwigowych, ale nigdzie nie było widać Mistrza Hamnera. Barabelka odnosiła wrażenie, że ściga go przez gąszcz jakiejś durastalowej

dżungli; doskonale wiedziała, że wokół jest mnóstwo miejsc świetnie nadających się do zastawienia pułapki. Zerknęła znów na chronometr: sześć minut. Hamner miał więc sześć minut na dotarcie do wejścia do hangaru, zanim wrota się rozsuną - czyli mnóstwo czasu na zorganizowanie zasadzki, jednak Saba była spokojna. Nieraz ćwiczyła z Hamnerem i wiedziała, że nie dorównuje jej w walce.

Sięgnęła ku niemu poprzez Moc, żeby go namierzyć i pozwolić mu zaznać jej apetytu na konfrontację, jej podniecenia i radości, jakie dawało Barabelce tropienie zwierzyny.

Kiedy chwilę później wysunęła rozszczepiony język, żeby znów posmakować powietrza, wyczuła w nim kwaśny odór ludzkiego strachu. Kilkanaście metrów dalej, nieco w lewo, natrafiła na dziwną pustkę w Mocy i zorientowała się natychmiast, że to Mistrz Hamner stara się przed nią schować; że próbuje ukryć swoją aurę, żeby nie spostrzegła jego przerażenia. Skupiła wzrok na przecięciu kładek nieco dalej i w tej samej chwili usłyszała cichy szczeł, a potem szurnięcie - bez dwóch zdań odgłos buta zaczepiającego o metalową kratownicę. Kiedy jednak dotarła do tego miejsca, szukając w Mocy Hamnera, nic tam nie zastała.

Nagle przeszył ją dreszcz ostrzegający o bliskim niebezpieczeństwie. Wiedziała, że może się spodziewać ataku, więc zanim nastąpił, wirowała już w obrocie, zamierzając stawić przeciwnikowi czoło...

Za późno.

Naprzeciwko niej, w mroku skrywającym przecięcie kładek, majaczyła sylwetka Kentha Hamnera; Wielki Mistrz wyciągał w jej stronę jedną dłoń, a w oczach miał lodowaty gniew. Saba także sięgnęła ku niemu, czerpiąc Moc z otoczenia i próbując pozbawić go równowagi, ale na próżno: dała się oszukać i teraz miała za to zapłacić. Nim zdążyła zaatakować go Mocą, poderwał ją w powietrze i cisnął na barierkę; impet uderzenia sprawił, że przeleciała nad nią i zaczęła spadać w dół. Zdążyła jeszcze zauważyć eskadrę przygotowanych do startu stealthX-ów jakieś piętnaście metrów poniżej. Miały zamknięte owiewki, a powietrze w hangarze migotało już od żaru uruchomionych silników.

Pięć minut do startu, pomyślała nieprzytomnie. Może nieco mniej.

Sięgnęła po Moc, żeby podczas upadku dopaść do jednej z metalowych barierek, a kiedy poczuła, że jej ogon ociera się o chłodną durastal, owinęła go zwinnie wokół szyny i wykorzystała pęd, żeby wybić się do przodu. Udało się - mogła teraz dosięgnąć kładki. Wczepiła się w kratownicę mocnymi pazurami i pomyślała z przekonaniem, że Hamner wcale nie chce jej zabić.

Gdyby nie udało jej się złapać barierki, na pewno Mocą zatrzymałby jej upadek, żeby nie roztrzaskała głowy o posadzkę hangaru.

Słyszała jego kroki na kładce jakieś pięć czy sześć metrów dalej. Nie, Mistrz Hamner nie mógłby jej zabić, powtórzyła sobie w myśli. Walka o władzę w stadzie to jedno, ale zabójstwo rywala... Niemożliwe, żaden Jedi nie dopuściłby się czegoś takiego. Przypomniała sobie sprytne zagranie Kentha i pokręciła z politowaniem głową nad swoją lekkomyślnością i nadmierną pewnością siebie.

- Mądre zagranie, Kenth - zasyczała. - Cwaniak z ciebie!

Sięgnęła do krawędzi kładki, zacięła pazury o brzeg kratownicy i wyrzuciła ciało w górę, po czym przeturlała się siłą rozpędu pod wysoką barierką i natychmiast przykucnęła w pozycji bojowej.

Hamnera nie było w zasięgu wzroku.

- To nie jest śmieszne - zawarczała, rozdrażniona. - To wcale nie jest śmieszne, Misstrzu Hammerze! - Pognała w stronę, z której dobiegał dźwięk kroków, ale w mrocznym durastalowym labiryncie szybko zgubiła trop Hamnera. Spojrzała na chronometr: cztery minuty do startu. Dwie eskadry myśliwców szykowały się do odlotu. Roboty astromechaniczne R9 migotały zielonymi światłkami, a załoga pomocnicza odczepiała już przewody oplatające kadłuby maszyn i odprowadzała wózki ze sprzętem pod ściany hangaru.

Saba znów poszukała Kentha Hamnera w Mocy. Wyczuła tylko obecność Mistrzynie Cilghal, stojącej jakieś sto metrów dalej i poruszającej się ostrożnie, spokojnie po drugiej stronie rusztowania. Barabelka zasyczała gniewnie i ruszyła do przedniej części hangaru, gdzie - jak wiedziała - znajdowały się generatory magnetyczne; jeśli Hamner chciał rzeczywiście odciąć zasilanie i uniemożliwić start stealthX-om, skieruje się właśnie tam. W przeciwnym razie kontrola lotów otworzy pancerne wrota i eskadry wylecą ze Świątyni. Pozostawało jej więc dopilnować, żeby Kenth nie dotarł do jednego z dwóch urządzeń sterujących osobnymi skrzydłami drzwi. Jeśli Moc pozwoli, Saba wybierze właściwe z dwojga wrót i powstrzyma Wielkiego Mistrza, zanim ten pokrzykuje im plany. Gdyby jednak jej się to nie udało, admirał Daala i jej służby będą mieli na podjęcie odpowiednich kroków i zatrzymanie myśliwców trzy minuty zamiast trzydziestu sekund.

W takiej sytuacji jedna, góra dwie eskadry będą musiały związać siły Daali walką, ale co najmniej dwanaście stealthX-ów zdoła bezpiecznie przemknąć i wyruszyć na ratunek Skywalkerom. Tylko czy to wystarczy?

Dotarła do wylotu hangaru na trzy minuty przed planowym startem. Turadiumowe wrota lada chwila zaczęły sunąć w górę na magnetycznych szynach; ich lśniąca powierzchnia migotała odbiciami kolorowych świateł sygnalizacyjnych, a powietrze w hangarze wypełnił niski, głęboki pomruk aktywowanych silników jonowych, kiedy stealthX-y zaczęły przygotowywać się do startu.

Sebatyne przechyliła się przez poręcz i zajrzała w plamę cienia spowijającego kąć najbliższych wrót. Z tej wysokości generator magnetyczny nie wyglądał zbyt imponująco - ot, pomalowany na ostrzegawczy żółty kolor cylinder wielkości wyrosniętego Wookiego, otoczony transpastalową osłoną bezpieczeństwa. Punkt zasilania także nie wyróżniał się niczym szczególnym

- plastalowa osłona grubości ludzkiej ręki skrywała kable, które wspinały się po ścianie przylegającej do podwójnych pancernych wrót i znikwały w gnieździe na suficie.

Hamnera nie było widać nigdzie w pobliżu, więc Saba sięgnęła poprzez Moc do Mistrzynie Cilghal. Namierzyła ją na balkonie obserwacyjnym, co lekko zbiło ją z tropu, ale szybko przypomniała sobie, że to najlepszy punkt dostępu do kładek remontowych. Gdyby Kalamarianka pozwoliła, żeby Hamner dotarł do tarasu, Wielki Mistrz mógłby szybko zeskoczyć na najniższy poziom i w ciągu kilku sekund znaleźć się w pobliżu generatorów.

Wdzięczna, że kalamariańska Mistrzini zabezpieczyła tę trasę odwrotu, Saba skupiła uwagę na kolejnym generatorze, na wpół skrytym w cieniu drugich wrót. Płyta z turadium miała ponad dwa metry grubości, a szczelina między nią a ścianą znakomicie nadawała się na kryjówkę - jeśli Hamner już do niej dobiegł. Barabelka ruszyła kładką przed siebie, starając się utrzymać w zasięgu wzroku oba wyjścia i zastanawiając się, czy ma jeszcze szansę na ocalenie ich przed sabotażem.

Nie było sensu skupiać się na jednych wrotach, skoro istniała spora szansa, że Hamner ją zaskoczy i zajmie się drugim generatorem.

Była już prawie w miejscu, gdzie płyty wrót stykały się ze sobą, połączone magnetyczną więzią mocniejszą nawet od turadium, z którego je zrobiono, kiedy z kłębowiska rur i kabli na górze wyleciały dwa jastrzębionietoperze. W hangarze panował teraz taki zgiełk, że ich skrzeczenie było ledwie słyszalne przez szum silników, metaliczne szczęknięcie i buczenie systemów, ale Saba wyczuwała poprzez Moc, że stworzenia są raczej rozdrażnione niż przestraszone. Sposób, w jaki kołowały w pobliżu płataniny rusztowań, sugerował, że starają się chronić gniazdo, położone najwyraźniej wysoko w górze.

Saba podążyła za nimi wzrokiem i nagle pojęła swój błąd - jeszcze zanim spostrzegła ciemną postać biegnącą w stronę wrót. Hamner nie miał zamiaru odciąć zasilania. Kierował się do skrzynki przekaźnika, która kontrolowała magnetyczne spojenie skrzydeł drzwi. Podniosła dłoń i Mocą strąciła go z kratownicy.

Jeśli nawet krzyknął podczas upadku, to jego wrzask zagłuszyło wycie silników stealthX-

ów. Kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały, Saba zauważyła, że jego usta wykrzywia grymas wściekłości; młócił szaleńczo powietrze rozrzuconymi szeroko rękami, a oczy miał pełne gniewu i poczucia zdrady. Mistrzini Jedi nie miała zamiaru pozbawiać go życia, więc podeszła do metalowej poręczy i wyhamowała jego upadek Mocą. Potem przyciągnęła go w ten sam sposób do kładki.

Zanim jednak zdołała opuścić Kentha bezpiecznie na podłogę, jego dłoń powędrowała do pasa. W chwili, kiedy przefruwał nad poręczą kładki, trzymał już w dłoni zapalony miecz świetlny.

Na ten widok Mistrzini Sebatyne przestała myśleć o zachowywaniu ostrożności; cisnęła jego ciało na durastalową kratownicę, a kiedy zaczął się podnosić, stała już nad nim z własną bronią w pogotowiu. Z jego skrzywionego paskudnie i rozkwaszonego nosa ściekała krew. Dużo krwi.

Saba zapaliła swój miecz.

- Kenth, wystarczy - zawołała, usiłując przekrzyczeć rżenie silników. - Jeśli nie przestaniesz, to wszystko źle się skończy... - Urwała, czując, jak łuski na jej nogach kładą się ostrzegawczo na płask, i sprowadziła nisko klingę swojego miecza - w samą porę, żeby uniknąć ciosu wymierzonego w kolana. Próbuje mnie tylko powstrzymać, powtórzyła sobie w myśli i zamiast zaatakować odsłoniętą głowę przeciwnika, skręciła dłoń w nadgarstku i wycofała miecz.

Zrobiła krok naprzód, żeby unieruchomić łokieć Hamnera... lecz jego już nie było na miejscu, w które celowała.

Wielki Mistrz zrobił bowiem unik i odtoczył się na kraniec kładki. W chwili, kiedy Saba skupiła na nim uwagę, wyciągał właśnie jedną rękę w stronę toczącej się po kratownicy rękojeści miecza, drugim ramieniem wymierzając cios w jej nogi. Spróbowała go przechytrzyć, robiąc krok do przodu, ale był zbyt szybki; spotęgowane Mocą uderzenie okazało się tak mocne, że ugięły się pod nią kolana i z pewnością upadłaby na ziemię... gdyby nie silny ogon, którym zdołała się podeprzeć.

Mimo to impet ciosu sprawił, że padła na kolana i odruchowo chlasnęła w jego stronę wolną ręką - opamiętując się w ostatniej chwili, zanim ostre szpony rozorały odsłoniętą pierś Kentha.

Schowała pazury i przyszpiliła go silną łapą do wspornika balustrady.

- Wystarczy! - powtórzyła z rozdrażnieniem. - Jeszcze chwila i ona sstraci cierpliwość!

Hamner łypnął na nią gniewnie i warknął coś, czego nie dosłyszała poprzez łoskot i szum silników stealthX-ów. Głos przepełniały jednak taka nienawiść i żal, że jego aura w Mocy dosłownie zawrzała od niepoohamowanej wściekłości. W tej właśnie chwili do Saby dotarło, że mylnie oceniła sytuację. To nie była walka o dominację w stadzie. Hamner pragnął tylko jednego: powstrzymać Jedi przed wysłaniem stealthX-ów na misję, a żeby osiągnąć ten cel, był gotów na wszystko - nie zawahałby się nawet przed zabójstwem.

Kiedy Saba podniosła broń, w ostatniej chwili blokując ostrze pędzące z zawrotną prędkością w stronę jej odsłoniętej szyi, ogień w oczach Kentha zmienił się w lód. Odwzajemniła się ciosem łokcia wymierzonym w punkt pod uchem napastnika, ale źle wycelowała i rąbnęła go zamiast tego w szczękę. Hamner otworzył szeroko oczy, a źrenice na moment uciekły mu pod powieki; przez krótką chwilę Saba miała nadzieję, że chociaż chybiła, to pozbawiła go przytomności, ale powinna była się domyślić, że Hamnera nie da się tak łatwo pokonać. Był

Mistrzem Jedi, a Mistrzowie nie ulegali tak łatwo słabościom. Nagle poczuła, jak otwarta dłoń jej niedosłej ofiary uderza ją w sam środek piersi. Powietrze uszło z jej płuc ze zdławionym świstem i zorientowała się, że toczy się po kratce w stronę schodów. Z trudem ustabilizowała Mocą swoją pozycję, powstrzymując Hamnera przed zepchnięciem jej pod poręczą w dół.

Zanim jednak zatrzymała się na węźle łączącym kładki, przeturlała się jeszcze ładnych kilka metrów. Hamner nie zaprzestał furiackiego ataku, popychając ją Mocą wciąż dalej i dalej. Nie pozwalał jej chwycić się któregoś ze wsporników i usiłował wypchnąć za barierkę. Kilka sekund później Barabelka wyczuła po prawej stronie otwartą przestrzeń - dotarła do przecięcia kładek.

Wierzgnęła rozpaczliwie nogą, zaczepiając stopę o najbliższy wspornik, i zaparła się o niego, wyrzucając ciało poza skrzyżowanie.

Kątem oka zauważyła jeszcze niebieskie światło, błyskające nad pancernymi wrotami; sygnał oznaczał, że do odlotu myśliwców została dokładnie minuta. To wyścig z czasem, a Hamner był zdecydowany go wygrać, stawiając na szybkie wyeliminowanie przeciwnika. Nie przerywając ataku Mocą, runął na Sabę w powodzi zielonego światła, tkając w powietrzu skomplikowany wzór klingą miecza świetlnego. Starał się zmylić przeciwniczkę serią nieprzewidywalnych ruchów i zwodów.

Barabelka nie przejęła się tym jednak zbyt. Wiedziała, że teraz musi się skupić już tylko na jednym: związaniu go walką przez minimum piętnaście sekund, podczas których stealthX-y wystartują i ruszą na ratunek Luke'owi i Benowi Skywalkerom. Oczekała, aż Hamner znalazł się jakieś dwa metry od niej, i zaparła się jedną stopą o wspornik balustrady, uwalniając jednocześnie łapę zaciśniętą na sąsiedniej belce.

Pchnięcie Mocy Hamnera wprawiło jej ciało w niekontrolowany ruch... ale tylko pozornie, bo wciąż miała do dyspozycji zwinny, silny ogon. I właśnie teraz z niego skorzystała: zamiotła nim po kratownicy, ścinając Hamnera z impetem z nóg. Wspomagając się Mocą, zatrzymała pęd wprawionego w ruch ciała, a potem skoczyła na równe nogi, błyskawicznie wirując w półobrocie, żeby zwiększyć nieco odległość między nią a przeciwnikiem.

Hamner wpadł na ten sam pomysł, więc przez chwilę stali zdyszani po przeciwnych stronach przecięcia kładek, krzyżując miecze w powodzi iskier i wyładowań. Każde z nich starało się zmusić przeciwnika do ustąpienia pola. Pierwsza konfrontacja przeważała szalę zwycięstwa na stronę Hamnera, który z determinacją próbował wytrącić Sabę z równowagi, zmieniając co chwila tempo i styl walki; co jakiś czas markował wymierzone w jej nogi ciosy, których z taką ostrożnością unikał podczas ich sesji sparingowych w Świątyni. Saba zaś postawiła na brutalne ciosy, których Hamner nigdy nie nauczył się odierać podczas ich ćwiczeń - atakowała szybko i brutalnie, raz za razem, próbując go zmęczyć, zanim będzie zmuszona do ostateczności.

Zadziałało: w pewnej chwili Hamner zbyt wolno wyprowadził gardę, mającą zatrzymać agresywny atak Mistrzyni Jedi, a ta skorzystała z okazji: runęła na niego, celując ręką i mieczem w skroń Wielkiego Mistrza w ciosie, który pozbawiłby go przytomności... gdyby Hamner w porę nie przykucnął, wyprowadzając przy tym cios skierowany w jej pierś. Uniknęła śmiertelnego sztychu jedynie dlatego, że w porę wyskoczyła wysoko, lądując dwa metry za nim. Szeroki, silny ruch ogona pokrzyżował mu plany i ocalił jej życie.

Zawirowała teraz w półobrocie, przyjmując pozycję do ataku, ale Hamner ani na chwilę nie przerwał natarcia. Zasypywał ją gradem ciosów; doskakiwał to z jednej, to z drugiej strony, zmuszając ją do kontrataków zamiast obrony. Normalnie Saba wycofałaby się w stronę następnego skrzyżowania kładek, zmuszając go do podążenia za nią albo zaprzestania ataku, jednak sytuacja była wyjątkowa. Gdyby Barabelka zrobiła to, na co liczył Hamner i dała mu chociaż chwilę wytchnienia, zablokowałby jej cios i Mocą uderzył w przekaźnik. A ona nie mogła na to pozwolić.

Musiała związać go walką, zmuszając do ciągłej obrony, żeby nie miał czasu zająć się mechanizmem kontroli wrót. Dlatego właśnie przeciągała starcie, jak mogła. Atakowała, ale większość energii zużywała na obronę, od czasu do czasu wspomagając się Mocą - kiedy tylko przeciwnik dał jej ku temu okazję.

Sygnaly świetlne przy wrotach zaczęły migać z większą częstotliwością i Mistrz Hamner, chcąc nie chcąc, spojrział w tamtą stronę. Trzydzieści sekund, pomyślała Saba. Wykorzystała tę chwilę nieuwagi, atakując ze zdwojoną siłą. Naparła na niego Mocą, pomagając sobie brutalnymi ciosami miecza. Jednocześnie serią kopniaków skierowanych w jego nogi wreszcie zmusiła go do odwrotu.

Kenth stracił na chwilę rezon. Spróbował odzyskać inicjatywę, ale wkrótce Saba znalazła się tak

blisko, że jedyną bronią, której mógł użyć przeciwko niej, była jego własna głowa.

Niewiele myśląc, wykorzystał to, atakując z byka jej odsłoniętą szyję.

Barabelka zatoczyła się w bok ze zdławionym sykiem - nie dlatego, że urażona krtań nie pozwalała jej normalnie zaczerpnąć tchu (choć tak właśnie było), ale po prostu nie mogła uwierzyć w to, co właśnie zrobił Wielki Mistrz.

- Z bańki? - wyszczała, mimowolnie obnażając kły w szerokim, drapieźnym uśmiechu. -

Żartujesz ssobie ze mnie, draniu?

Najwyraźniej jednak Hamnerowi nie w głowie były żarty. Kiedy Saba zatoczyła się w tył, rzucił się na nią z taką furją i impetem, że ledwie zdążyła w porę podnieść łokcie, żeby się osłonić.

Cofnęła się jeszcze o dwa kroki i postanowiła zmienić taktykę; wymierzyła kolano w krocze przeciwnika tak gwałtownie, że cios poderwał go w powietrze. W tej samej chwili poczuła gryzący, dziwnie znajomy zapach. Spojrzała w stronę jego źródła i zauważyła, że Hamner przyciska emiter miecza do jej brzucha, tuż pod klatką piersiową. Jego kciuk spoczywał na włączniku broni, a przestrzeń między ich ciałami wypełniały smużki szarego dymu - rezultat przyżegania keratynowych łusek.

- *Sstang!* - wyrwało się Sabie. Zatoczyła się w tył, a wnętrzości przeszył jej palący ból; przed oczami zobaczyła czarne plamy. - *Ssprytne! Bardzo sprytne!*

Hamner wyłączył miecz i się odsunął, a do Mistrzynie Sebatyne jak przez mgłę dotarło, że on wciąż ma czas na uszkodzenie skrzynki przekaźnika. Spróbowała go za sobą pociągnąć, ale szybko traciła siły, więc Mistrz Jedi bez trudu uwolnił się z jej uścisku. Miała tylko jedno wyjście i z niego skorzystała: zgromadziła tyle Mocy, ile jej się udało, i pchnęła ją w jego stronę, podrywając znów Hamnera do góry i ciskając na barierkę. Przez chwilę wyglądało na to, że się z tego wywinie i że przed upadkiem uratuje go poręcz - dopóki przypadkiem nie zahaczył o nią mieczem. Zielony promień energii przeciął durastal jak masło i metalowy pręt wygiął się pod ciężarem jego ciała - co prawda nieznacznie, ale te kilka centymetrów wystarczyło.

Pęd i grawitacja zrobiły swoje. Wielki Mistrz Kenth Hamner stracił równowagę i wypadł za barierkę. Spazmatycznie wymachiwał rękami, szeroko otworzył usta i wytrzeszczył oczy. Saba doturlała się tymczasem do krawędzi kładki i chociaż wnętrzości paliły ją żywym ogniem, wyciągnęła rękę i znów przywołała Moc - musiała złapać go, zanim będzie za późno.

Wyczuła obecność Kentha kilka metrów niżej. Jego strach i zaskoczenie zasnuwały Moc niczym lodowata mgła - ciężka, biała i cicha jak poranek po burzy. Mistrzynie wyjrzała zza krawędzi kładki i zobaczyła go, jak spada na łeb na szyję, głową w dół, ale wciąż zaciskając palce na rękojeści miecza. Wysłała ku niemu poprzez Moc pokrępiającą obietnicę, że nie da mu spaść i że chociaż dzieli ich różnica zdań, nadal są przecież Mistrzami Jedi i wkrótce znów będą przyjaciółmi.

Wszystko będzie dobrze, zapewniła go.

Hammer odwrócił się tak, żeby móc na nią spojrzeć, i ich oczy się spotkały. W jego wzroku nie było już wściekłości, tylko smutek i wybaczenie... a także niezłomna determinacja. Serce podeszło Sabie do gardła. Nie łudziła się, że zdoła przekrzyczeć ryk szykujących się do startu stealthX-ów, więc znów sięgnęła przez Moc, błagając utraconego przyjaciela, żeby się poddał, żeby usłuchał innych Mistrzów i nie kazał jej wybierać między nim a chęcią pomocy Skywalkerom.

Między jego życiem a jej obowiązkiem.

Ale Jedi nigdy się nie poddają, więc Wielki Mistrz Kenth Hamner nie usłuchał jej rozpaczliwej prośby. Włączył swój miecz, spojrział w bok i cisnął go w stronę skrzynki przekaźnika.

- Nie! Kenth, nieee! - krzyknęła rozpaczliwie Saba, ale w hangarze panował już taki hałas, że nie słyszała nawet własnego głosu. - Nie rób tego! - Patrzyła ze zgrozą, jak miecz szybuje w górę, co potwierdzało jej przypuszczenia: Hamner kierował go Mocą. Niechętnie sięgnęła sama ku broni Wielkiego Mistrza i spróbowała wyrwać go spod kontroli właściciela. Walka trwała może trzy sekundy; potem ciało Kentha uderzyło w podłogę, a ona zapanowała nad jego mieczem.

Cisnęła broń na podniesioną płytę turadium... i w tej samej chwili błękitne światła przestały migotać: start!

## **ROZDZIAŁ 27**

Dzięki wygiętym skrzydłom i przypominającym kanciaste litery S bliźniaczym wspornikom podwozia szybujący nad morzem statek przypominał bardziej morskiego ptaka niż prom desantowy. Powoli okrążył wyspę Fallanassich, lecąc tak nisko, że można go było wziąć za szponiastego brzytwodzioba wracającego do gniazda na białych klifach. Luke doskonale jednak wiedział, co widzi. Wyczuwał, że szala równowagi przechyliła się na stronę ciemności; Moc rezonowała od jakiegoś czasu niepewnością i rozpaczą.

Na Coruscant musiało się właśnie wydarzyć coś strasznego... Poprzez Moc napłynęła do niego fala bólu tak silnego i ostrego, że aż zgiął się wpół; potem nastąpiła długa seria mniejszych, lżejszych fal, przypominających kręgi rozchodzące się na wodzie albo echo, kiedy inni dowiadywali się o tragedii. Żal, niedowierzanie i poczucie winy były tak silne, że zapierały mu dech w piersi. Na planecie mieście ktoś właśnie zakończył życie, a była to strata tak niepowetowana, że wstrząsnęła całym Zakonem Jedi. Mistrz Skywalker nie umiał zgadnąć, kto ani w jaki sposób zginął, ale było dla niego jasne, że nie ma co liczyć na wsparcie Jedi w walce z Sithami i Abeloth. Już nie.

Właściwie i tak nie miało to znaczenia, bo Sithowie właśnie nadlatywali, a on miał u boku tylko jednego Rycerza Jedi - własnego syna. Los Jedi wisiał teraz na jednej niteczce; Skywalkerowie nie mogli już dłużej czekać, więc nie liczyło się, czy będą walczyć, czy uciekną -

wynik będzie taki sam. Abeloth była na wolności, Zapomniane Plemię wyruszyło na podbój galaktyki, a na przeszkodzie stali im tylko samotny Mistrz Jedi i jego syn.

Luke miał poważne wątpliwości, czy to wystarczy.



Odwrócił się plecami do morza i do białej wyspy, a potem przeciął plażę, zatrzymując się na skraju lesistego wąwozu, w którym pod siecią maskującą posadził „Cień Jade”. Dzięki temu uniknęli wężących i wszędobylskich Pydyrian, ale Mistrz Skywalker nie był na tyle naiwny, żeby sądzić, że takie środki wystarczą do ukrycia jachtu przed Fallanassimi i Sithami. Akanah namierzy go bez trudu dzięki zakłóceniom, które jego obecność wywoływała w Białym Nurcie, a Sithom do ich odnalezienia wystarczy kontakt poprzez Moc z Vestarą Khai.

Zszedł do statku, wślizgnął się pod plandekę, którą codziennie przykrywał nową porcją gałęzi i liści, i wszedł po rampie do środka. Znalazł Bena w salonie; leżał na kanapie i wlepił

szklisty wzrok w jeden ze starych holoodcinków Starjaxksa. Jego twarz pokrywały sine wrzody i ropiejące rany, a rozczochrane, brudne włosy pewnie od tygodnia nie widziały szamponu ani grzebienia. Luke’a gnębiło poczucie winy; było mu przykro, że nie może nauczyć Bena dostrzegać prawdziwej natury rzeczy poprzez fallanasską iluzję. Na szczęście kiedy Vestara odkryła rozdarcia w ich skafandrach próżniowych i zaczęła podejrzewać, że są zarażeni, stała się dużo potulniejsza - a to było mu bardzo na rękę. Gdyby zaraza dotknęła tylko ją, na pewno zorientowałyby się, że coś jest nie w porządku. I tak już dopytywała się na różne sposoby, dlaczego on sam nie zachorował, a enigmatyczne wyjaśnienie: „bo jestem Mistrzem Jedi” - chyba przestawało działać.

- Gdzie Vestara? - spytał syna.

Ben machnął słabo ręką w stronę rufy.

- W swojej kabinie. Nie wiem, ile jeszcze wytrzyma, tato. Naprawdę źle z nią...

- Rozumiem. - Luke skierował się na dziób statku. - Chodź ze mną.

- Dobra - mruknął Ben i z trudem podźwignął się z kanapy. - Bo wiesz, chciałem przez to powiedzieć, że ona umiera. Zupełnie cię to nie obchodzi?

- Później. - Luke wskazał kciukiem sterownię. - Teraz mamy ważniejsze rzeczy na głowie.

Wyjaśnię ci wszystko, gdy tylko wystartujemy.

Ben powlókł się posłusznie w stronę ojca.

- Wystartujemy? - zdziwił się. - Tato, nie możemy naruszyć kwarantanny. Jeśli rozwlecemy tę chorobę po galaktyce...

- Nie rozwlecemy, uwierz mi - obiecał synowi, dumny i rozczulony jego męstwem w obliczu śmierci. - Wygląda jednak na to, że mamy spore kłopoty, więc wolałbym...

- Kłopoty? - dobiegł głos z głębi salonu. Kiedy Luke i Ben obejrzel się za siebie, zobaczyli w przejściu Vestarę. Zapinała właśnie pas tuniki, najwyraźniej dopiero co wstała. Jej ciało pokrywały takie same rany i pęcherze jak u Bena. Sprawiała wrażenie, jakby tylko siłą woli utrzymywała się przy życiu. Zwleczenie się z łóżka i ubranie musiało od niej wymagać niewyobrażalnego wysiłku. - Wydawało mi się, że coś wyczułam...

- Chyba oboje wiemy, co takiego - burknął Luke, nie próbując nawet ukryć rozdrażnienia. -

Chodź.

Sithanka nie ruszyła się z miejsca.

- Mistrzu Skywalkerze, nie mam pojęcia, co ta...

- Powiedziałem: chodź! - wszedł jej bezceremonialnie w słowo Luke i ostrzegawczym gestem opuścił rękę do kabury z blasterem. - Jeśli będę musiał powtórzyć jeszcze raz, poczęstuję cię strzałem ogłuszającym.

Dziewczyna spojrzała na niego z lękiem.

- Już idę.

Mistrz Jedi ruszył do sterowni. Przez sieć maskującą zasłaniającą iluminatory widział

wiszący nad horyzontem kształt statku, ale nic więcej. Wskazał Benowi fotel pilota, a sam włączył

wyświetlacz taktyczny na stanowisku drugiego pilota. Natychmiast pojawiły się na nim symbole kodowe „Cienia Jade” i promu desantowego WSK typu Kondo, schodzącego w stronę klifu.

- Najwyraźniej zamierzają przypuścić atak naziemny - domyślił się Mistrz Jedi i obejrzał na Vestarę. - A to znaczy, że chcą cię odbić, moja panno. Widocznie uznali, że jesteś świetnym szpiegiem.

- Jeśli tak sądzisz, Mistrzu Skywalkerze, to wcale nie znasz Sithów tak dobrze, jak ci się zdaje. - Vestara spojrzała ze ściągniętymi brwiami na wyświetlacz taktyczny, a po chwili Moc wypełniła fala emanującego od niej strachu i rozpacz. Najwyraźniej starała się ostrzec współplemieńców o groźbie zarazy i przekazać im informację, żeby nie zbliżali się do „Cienia” bez skafandrów próżniowych. - Jeżeli chcą mnie dostać żywcem, to tylko znaczy, że zamierzają mnie ukarać za zdradę.

- Odnoszę dziwne wrażenie, że to Benowi powinno się oberwać za twoją zdradę - skwitował

Luke, a kiedy zobaczył w oczach Vestary strach zamiast zakłopotania, wiedział, że dobrze zgadł.

Już rozumiał, jakim cudem Sithowie tak szybko zjawili się na Pydyrze. - Możesz próbować ich ostrzec, jeśli masz ochotę, ale kłamstwo pozostanie kłamstwem.

Aura Sithanki w Moccy skurczyła się nagle; dziewczyna wycofała ją i ukryła przed nim tak szczelnie, że nie wyczuwał od niej żadnych uczuć. Skinął głową i machnął w stronę fotela drugiego pilota.

- Przypnij się, połóż ręce na kolanach i ani drgnij. - Odwrócił się do syna. - Ben, przygotuj statek do startu i nie spuszczaaj jej z oka. Jeśli ruszy choć palcem...

- Tak, wiem, już nie żyje - dokończył ze znużeniem Ben, poklepując ręką rękę swojego miecza. - Uczę się na własnych błędach, wierz mi.

- Mam taką nadzieję - westchnął Luke i odwrócił się, by wyjść ze sterowni. - Wystarczy nam już kłopotów.

Zanim wyszedł, Ben zawołał za nim:

- Hej, tato! Nie zapomniałeś o czymś przypadkiem?

- Dowiesz się, co masz robić, we właściwym czasie - rzucił Luke przez ramię. Wiedział, że Ben pyta o plan, który... hm, no cóż, właściwie nie istniał. - Przygotuj tylko statek do startu i nie wahaj się. Wszystko od tego zależy, synu... mówię poważnie - dodał i ruszył do ładowni, z której zabrał kamizelkę bojową i dwa karabiny blasterowe. Już wcześniej upewnił się, że podczas pobytu na statku Abeloth nie popsuła broni, więc teraz sprawdził karabiny tylko pobieżnie, zabezpieczył

schowek na broń i wyszedł na zewnątrz po rampie ładunkowej.

Poprzez Moc wciąż docierały do niego z Coruscant sygnały bólu i przerażenia; wyczuwał, że Mistrzowie traktują tamtą tragedię jako coś niewypowiedzianie smutnego, ale i nieuchronnego.

Miał ochotę sięgnąć ku któremuś z nich, żeby dowiedzieć się czegoś więcej, ale oparł się tej pokusie. Sithowie natychmiast wyczuliby tę próbę - tak samo jak usiłującą skontaktować się z nimi Vestarę - a informowanie ich, że na Coruscant źle się dzieje, było ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowali. Ukrył starannie swoją obecność w Mocy, prześlizgnął się pod siecią maskującą i wbiegł po zboczu do punktu obserwacyjnego, który wybrał sobie wcześniej - skalnego nawisu, osłoniętego od góry wystającym głazem.

Kiedy dotarł do swojej kryjówki, zobaczył, że prom już wylądował w wąwozie, jakieś sto metrów od „Cienia”. Jego rufowa rampa właśnie opadała na piasek, ale wbrew temu, czego Luke się spodziewał, ze statku nie wypadły zastępy sithańskich żołnierzy. Wyciągnął szybko z kieszeni kamizelki detonator termiczny i ustawił zapalnik na trzy sekundy, ale go nie uzbroidł. Moc była teraz spokojna i pulsowała wyczekiwaniem, całkiem jak morze przed sztormem. Mistrz Jedi wiedział, że zanim poruszy kamyk, który uruchomi lawinę zdarzeń, powinien najpierw sprawdzić, czego może się spodziewać.

Czekał i obserwował. Po chwili na rampie pojawiło się dwóch ubranych w czarne bojowe skafandry przeciwskażeniowe Sithów. Trzymali ręce swobodnie opuszczone, a po sylwetkach Luke poznał, że są mężczyznami. Szczuplejsza budowa ciała i gracia, z jaką poruszał się Sith idący przodem, sugerowały, że ma do czynienia z Keshirim - czyżby z samym Sarasu Taalonem? Za to podpięty rękaw skrywający obcięte w łokciu ramię utwierdził go w przekonaniu, że drugi z przybyszów to Gavar Khai.

Odłożył ostrożnie detonator i wycelował lufę karabinu snajperskiego w postać na przedzie.

Zerknął przez lunetkę na fioletowe oblicze, które - o ile się nie mylił - należało do Arcylorda Sithów Sarasu Taalona. Nie mógł być pewien, bo twarz Keshiriego była wychudzona i wykrzywiona, a łuki brwiowe i kości policzkowe wystawały tak mocno, że przypominały kanciaste rogi. Nabrzmiące wargi były spękane i wykrzywione jakby w ciągłym grymasie bólu, ale Luke'a najbardziej przeraziły

oczy Sitha. Przypominały bezdenne studnie, na dnie których lśniły pojedyncze punkciki srebrnego światła, kojarzące się z odległymi, zimnymi gwiazdami.

Żołądek Mistrza Jedi skręcił paroksyzm lodowatego niepokoju. Odsunął lunetkę od oka i przyglądał się dwóm postaciom ze zmarszczonymi brwiami, próbując ustalić, czy nie są przypadkiem kolejną fallanasską iluzją. Żywe istoty nie potrafiły przejmować ciała kogoś innego, jednak zmiana rysów twarzy, choćby taka jak wyostrenie kości i opuchlizna warg, nie były niczym niezwykłym. Istniało wiele czynników, które mogły to spowodować - chociażby długotrwała choroba czy głód. Skywalker słyszał nawet o pewnym gatunku pasożytów, które sprawiały, że włosy chorego zmieniały się w coś na kształt robaków, ale oczy... Oczy nie mogły się tak po prostu zmienić i stać się iskierkami światła w czarnych, bezdennych czeluściach.

Luke zerknął jeszcze raz przez lunetkę i stwierdził, że twarz, którą oglądał przed chwilą, stała się mniej groteskowa. Policzki Arcylorda nie były już tak wychudzone, a jego wargi wydawały się mniej spuchnięte i spękane. Sarasu Taalon - jeśli to rzeczywiście był on - miał też już bardziej normalne oczy. Żrenice i tęczęwki wciąż były jednak czarne i wyglądały jak mroczna pustka bez dna, w której lśniły srebrne ogniki.

Gdyby te ogniki przesuwały się czy migotały, kiedy Taalon poruszał głową, Luke mógłby uznać, że to nic więcej jak odbicie pydyriańskiego słońca, ale zimne iskierki nie zmieniały położenia. Może dlatego, że lśniły z mrocznych głębin duszy Arcylorda. Mistrz Jedi zrozumiał

nagle, dlaczego Moc tego ranka była tak nabrzmiata oczekiwaniem, a szala równowagi przechyliła się niebezpiecznie blisko cienia: Taalon odwiedził Sadzawkę Wiedzy.

Skywalker nadal zastanawiał się nad znaczeniem tego faktu, kiedy Taalon dotarł do stóp rampy i przystanął. Keshiri długo patrzył na morze, aż Jedi się przeraził, że Sith dostrzega białe klify i mury odległej świątyni na wyspie. Czyżby Arcylord, chociaż ma na sobie skafander przeciwskażeniowy, jakimś cudem poznał sekret przenikania fallanasskich iluzji? Wreszcie Taalon odwrócił się w stronę plaży i zapatrzył przez chwilę w piasek - albo zbierał odwagę, albo próbował

odsunąć od siebie ból, Luke nie umiał stwierdzić na pewno. Potem podniósł głowę... i spojrzał prosto w lunetkę snajperskiego karabinu Jedi.

*Witaj, Mistrzu Skywalkerze*, jego głos zabrzmiał w umyśle Skywalkera, a nie w jego uszach.

Była to zresztą dosyć prosta sztuczka z wykorzystaniem Mocy, ale Luke'a i tak przeszedł zimny dreszcz. *Na to przyjdzie jeszcze czas. Teraz musimy porozmawiać.*

- Dlaczego sądzisz, że do ciebie zejdem?! - zawołał do niego Skywalker.

*Cóż, jeszcze mnie nie zastrzeliłeś, prawda?* - trafnie zauważył Taalon.

Wielki Mistrz bez namysłu nacisnął spust i przytrzymał go, ale zaraz zmarszczył z niepokojem brwi, bo Arcylord bez trudu odbijał promienie energii obleczoną w rękawicę dłonią.

Chociaż była to imponująca sztuczka, nie to najbardziej zaskoczyło Luke'a. Nie mógł po prostu uwierzyć, że ktoś potrafi poruszać się tak szybko. Dosłownie w ułamku sekundy, kiedy pierwszy strzał z blastera pokonał dzielącą ich odległość, Sarasu Taalon zdążył podnieść dłoń i odbić strzał - zupełnie jakby jego ręka po prostu zniknęła z jednego miejsca i pojawiła się w innym.

Po rozprawieniu się bez najmniejszego wysiłku z serią strzałów, Taalon uznał widocznie, że najwyższa pora skończyć tę zabawę. Zagiął palec wyciągniętej przed siebie dłoni; Luke, widząc to, zacisnął mocniej karabin w dłoni, przygotowany na szarpnięcie Mocą, ale nic takiego nie nastąpiło.

Poczuł za to, że ślizga się po skale na brzuchu, a potem - brutalnie wyszarpnięty z kryjówki - szybuje w stronę plaży.

W locie odrzucił blaster, sięgnął po miecz i Mocą ustabilizował swoją pozycję, jednak - ku jego zdumieniu - Taalon ani nie cisnął go na piasek, ani nie posłał prosto na szkarłatną klingę miecza trzymanego w pogotowiu przez Gavara Khaia. Postawił go po prostu na piasku jakieś pięć metrów od siebie i gestem nakazał Mieczowi Sithów wyłączyć broń.

- Mistrzu Skywalkerze - zaczął. - Nie mamy powodu, żeby się teraz pozabijać. Przynajmniej na razie. - Machnął ręką na prom, obok którego stał już cały oddział sithańskich wojowników ubranych w skafandry przeciwskażeniowe. - Nie wygrasz z nami sam jeden, a ja jestem skłonny przelożyć twoją śmierć na później... do czasu, kiedy nie będziesz nam już potrzebny.

- Cóż za łaskawość! - zakpił Luke. - A dlaczego uważasz, że mógłbym ci się do czegoś przydać?

- Chodzi o życie twojego syna - wyjaśnił Taalon, jakby to była najbardziej oczywista rzecz w galaktyce. Jego przefiltrowany przez wokabulator skafandra głos brzmiał dziwnie metalicznie. -

Jeśli zrobisz to, o co cię poproszę, pozwolę mu odlecieć z Pydyra.

- Pod warunkiem że w zamian uwolnisz Vestarę - dodał znacząco Khai.

Luke nie wierzył w ani jedno słowo Sitha, ale wiedział, że dzięki przeciągnięciu negocjacji może zyskać na czasie i dowiedzieć się, co się przydarzyło Taalonowi - a także, jak potężny stał się dzięki temu.

Przeniósł wzrok na Khaia.

- Rany Vestary już się zagoiły, ale obawiam się, że ona i Ben zostali zakażeni szalejącą na Pydyrze zarazą. - Spojrzał znów na Taalona. - Zakładając, że Ben przeżyje na tyle długo, żeby zdołał opuścić planetę... powiedzmy, że jestem zainteresowany twoją propozycją.

- Przeżyje? - warknął gniewnie Khai. - Czy to znaczy, że nie zatroszczyłeś się o ich zdrowie?

Zanim Luke zdążył odpowiedzieć, Taalon machnął ręką, uciszając towarzysza.

- Nie zamierzam czekać, aż twój syn wyzdrowieje - oznajmił lekceważąco. - Nie mam na to czasu. Muszę znaleźć Abeloth. Teraz.

Nawet po przetworzeniu przez elektroniczny system skafandra głos Taalona brzmiał raczej błagalnie niż stanowczo i Luke zdał sobie sprawę, że desperacja Arcylorda nie ma tak naprawdę nic wspólnego z chęcią schwytania Abeloth. Keshiri chciał ją znaleźć, żeby zrozumieć, co się z nim dzieje, bo była jedyną istotą w galaktyce zdolną mu to wyjaśnić.

Przechylił głowę na bok, udając zaskoczenie, a potem spojrzał w stronę morza i zamaskowanej iluzją Fallanassich wyspy.

- A więc chcesz, żebym ci pokazał, gdzie ona się ukrywa? - upewnił się.

- Zakładając, że życie twojego syna jest warte zachodu - odparł lekko Taalon. Odwrócił się i popatrzył tam, gdzie Luke, ale nic w jego zachowaniu nie wskazywało na to, że widzi coś poza szarym, falującym morzem. - I oczywiście pod warunkiem, że naprawdę wiesz, gdzie jej szukać.

Luke uśmiechnął się pod nosem. W jego głowie zaczynał się już klarować plan, dzięki któremu może zdoła pokonać Sithów.

- Obawiam się, że cię rozczaruję - odparł spokojnie. Aktywował swój miecz i ruszył w stronę Taalona. - Równie dobrze możemy zacząć przedstawienie tu i teraz.

W ich stronę natychmiast ruszyło kilkudziesięciu sithańskich wojowników, a Gavar Khai włączył znów swój miecz i wyszedł mu naprzeciw, jednak Taalon powstrzymał ich uniesioną dłonią:

- Stójcie.

Kiedy Khai i reszta Mieczy posłuchała, Luke wiedział już, że dobrze zrobił. Han zawsze powtarzał mu, że najlepszą chwilą na blef jest moment, w którym druga osoba nie może cię sprawdzić, a wszystko wskazywało na to, że Sarasu Taalon ma problem, i to duży. To Luke był w tej sytuacji górą. Postanowił grać dalej i zrobił jeszcze krok do przodu, a wtedy Taalon cofnął się i wyciągnął do niego rękę.

- Rozumiem, że nam nie ufasz, Mistrzu Skywalkerze - westchnął - ale tym razem naprawdę zamierzamy zabić Abeloth. Widziałem, do czego jest zdolna, i nie zamierzam już ryzykować; jeśli pozwolimy jej przeżyć, galaktyka będzie w wielkim niebezpieczeństwie.

Luke pokręcił głową.

- Nie - rzucił stanowczo. - Nie wiesz, co się z tobą dzieje, a Abeloth jest jedyną osobą, która może ci to wyjaśnić. Tylko ona może ci powiedzieć, kim... czym się stajesz.

Taalon wyraźnie się przygarbił, jakby nagle przytłoczył go niewidzialny ciężar.

- Są pewne... rzeczy, które mnie niepokoją, Mistrzu Skywalkerze - zgodził się cicho, a potem zamilkł na kilka sekund. Kiedy wreszcie podniósł głowę i spojrzał na Luke'a, jego bladofioletowa twarz

znów była własną karykaturą - pomarszczoną, skórzastą maską o szarych, nabrzmiątych wargach i dwóch lśniących punkcikach zamiast oczu. - Pomóż mi znaleźć Abeloth -

wychrypiał Arcylord Sarasu Taalon. - A kiedy już dowiem się, co się ze mną dzieje, zabiję ją.

Przysięgam.

## ROZDZIAŁ 28

Wznosząca się pośród szarego, wzburzonego morza biała wieża wyspy, rosnąca w przednim iluminatorze „Cienia Jade”, urzekła swoim pięknem, ale także budziła w Luke’u dziwną grozę. O

jej podstawę rozbijały się spienione fale, a szczyt wieńczyło wąskie pasmo roślinności; z tej odległości Mistrz Jedi widział już sylwetki mew kołujących nad białym klifem. Kiedy spojrzął w lusterko nad iluminatorem, zobaczył, że Sarasu Taalon siedzi przygarbiony w fotelu drugiego pilota i wciąż wpatruje się w horyzont w poszukiwaniu docelowego punktu ich podróży, który miał

właściwie pod nosem.

Może i nie jesteśmy w takim najgorszym położeniu, pomyślał z nadzieją Skywalker.

Taalon podchwycił jego spojrzenie w lusterku. Tak samo jak pięćdziesięciu sithańskich wojowników, których wysłał na tyły statku razem z Vestarą i Benem, miał na sobie skafander przeciwskażeniowy. Luke widział tylko jego twarz - obcą i wychudzoną, o zapadniętych, czarnych oczodołach i wystających kościach opiętych lawendową skórą.

- Wiem, co knujesz, Mistrzu Skywalkerze. - Słowa Taalona brzmiały chrapliwie i były ledwie słyszalne. - I zapewniam cię, że to nie zadziała.

- Masz na myśli detonator termiczny? - spytał Luke. Co prawda, detonator termiczny był

ostatnią rzeczą, jaka przyszła by mu do głowy, ale nauczył się już, że w obecności Taalona nie powinien myśleć o swoich planach, a przynajmniej nie o tych prawdziwych. Najwyraźniej podczas wizyty w Siedzawce Wiedzy Arcylord posiadał jakieś niepojęte i groźne moce, w tym umiejętność odczytywania myśli. - Fakt, zastanawiałem się, czy starczy mi na to czasu...

Taalon przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu, wreszcie westchnął.

- Pamiętaj o swoim synu, Mistrzu Skywalkerze. Jeśli mnie zdradzisz, on umrze -

przypomniał mu.

- Błefujesz - stwierdził beztrąsko Wielki Mistrz. - Zgodnie z moim planem Bena już dawno tu nie będzie, kiedy cię zdradzę.

- Cóż, każdemu wolno pomarzyć, Jedi. - Taalon spojrzął znów na rozciągające się w dole morze i spytał: - Kiedy dotrzemy do siedziby Fallanassich?

Skywalker spojrział na białą wyspę; dzieliło ich od niej już tylko kilka kilometrów.

- Wkrótce powinniśmy ją zobaczyć - zapewnił go, chociaż wątpił, czy Keshiri zdoła przebić wzrokiem spowijającą ją iluzję. Musiał się jednak upewnić. - Może włączysz wyświetlacz taktyczny i sprawdzisz, kogo wysyłają nam na spotkanie?

- Fallanassi są pacyfistami, prawda? - bardziej stwierdził, niż spytał Taalon. - Po co niby mieliby wysyłać kogoś przeciwko nam?

- To, że są pacyfistami, nie oznacza, że są bezbronni - odparł Luke. - Bardzo dbają o swoje bezpieczeństwo.

Taalon pochylił się nad pulpitem kontrolnym i zajął się aktywacją wyświetlacza taktycznego, ale w grubych rękawicach szło mu to niesporo.

- Możesz je zdjąć - zachęcił go Luke. - Skafandry i tak was nie ochronią.

- Kłamca! - warknął gniewnie Gavar Khai, siedzący w fotelu nawigatora obok Taalona. -

Próbujesz nas zarazić!

Mistrz Jedi uśmiechnął się do jego odbicia w lusterku.

- Spójrz na mnie... czy mam na sobie skafander? - spytał. - To, na co chorują Ben i Vestara, i czym najprawdopodobniej jesteście już zarażeni, to ropna ospa. Skafandry przed nią nie chronią, bo rozprzestrzenia się poprzez Moc.

- W takim razie czemu ty nie jesteś chory? - spytał podejrzliwie Taalon.

Luke zmarszczył brwi, udając zaskoczenie.

- Czyżby Sithowie nie znali uzdrawiającego transu? - Uśmiechnął się, jakby właśnie dokonał jakiegoś cennego odkrycia. - Cóż, to by wyjaśniało kiepski stan Vestary w porównaniu z Benem.

Khai posłał mu gniewne spojrzenie.

- Dlaczego jej tego nie nauczyłeś?

Luke wzruszył ramionami.

- Sądziłem, że Sithowie też to potrafią. Dla nas to jedna z najbardziej podstawowych technik Mocy.

- Kłamca! - powtórzył z mocą Khai i pochylił się w swoim fotelu. - Jeśli ona umrze, twój syn... - wysyczał.

- Mieczu Khai - przerwał mu Taalon. - Skywalker tylko bawi się twoim strachem. Jeśli zdoła nas przekonać, że jesteśmy już zarażeni, zdejmujemy skafandry i wtedy zarazimy się naprawdę.



Luke spojrział na niego kpiąco.

- Nie musicie ich zdejmować, to nie mój problem. - Chociaż starał się brzmieć beztrosko, poczuł w żołądku nieprzyjemne ssanie na myśl o tym, że nawet nie znając prawdziwej natury dziwnej choroby, Taalon nieomal odgadł jego prawdziwe zamiary. - Jestem pewien, że wkrótce poznacie prawdę.

Khai zacisnął szczęki i wycedził:

- Arcylord Taalon już zna prawdę.

Luke znowu się uśmiechnął. W głosie Khaia brzmiały nutki paniki - ledwie słyszalne, ale jednak; to oznaczało, że Miecz Sithów zaczyna się denerwować. A więc Luke'owi udało się skutecznie zasiać w nim ziarno niepewności, które wkrótce wyda owoce, był tego pewien. A kiedy ciało Khaia zaczęło pokrywać sine krosty, reszta Sithów także uwierzy w to, że jest zakażona.

Wreszcie, po długich staraniach, Taalonowi udało się wcisnąć odpowiednią kombinację guzików. Na wyświetlaczach pilota i drugiego pilota pojawiły się dane techniczne „Cienia” i lecącego w ślad za nim promu desantowego Sithów, „Obuuriego”.

Większą część ekranu zajmował ich cel, ale brak reakcji ze strony Sithów powiedział

Luke'owi, że wciąż nie widzą wyspy. Fallanasskie iluzje polegały na tworzeniu w umyśle ofiary złudzenia obrazu tak realistycznego i przekonującego, że ta, zdezorientowana, sama zaczynała się utwierdzać w przekonaniu, że widok jest prawdziwy, i dostrzegać szczegóły, które były tak naprawdę wytworem jej własnej wyobraźni.

Po dłuższej chwili Taalon pokręcił głową.

- Nic nie widzę. - Pochylił się do przodu i szepnął Luke'owi do ucha: - Ostrzegam cię, jeśli sądzisz, że uda ci się nas oszukać, jesteś w wielkim... - Urwał na dźwięk okrzyku zaskoczenia dobiegającego od strony fotela nawigatora.

- Lordzie Taalonie! - Khai wskazywał na wyświetlacz. - Spójrz tylko!

Taalon warknął coś ostro w swoim ojczystym języku, zanim przeszedł na basie:

- Jak to możliwe?

Luke zerknął na wyświetlacz i zobaczył znajomy kod identyfikacyjny jednostki okrążającej właśnie wyspę: Statek.

- Co to ma znaczyć? - zaniepokoił się Taalon. - Statki? Jakie statki? Czy są duże?

Niebezpieczne?

- Statki? - spytał zdziwiony Luke.

- Słupy jesteście? - warknął Khai. - Spójrz na wyświetlacz! Leci na nas cała eskadra!

- Ach, o tym mówicie - zreflektował się Luke. Na ekranie widniał tylko jeden symbol, a więc eskadra, o której wspominali Sithowie, musiała być jeszcze jedną fallanasską iluzją. - To nie wasi?

- Nasi? - spytał z konsternacją Taalon.

Luke wskazał symbol na ekranie.

- To nie jest zwykła jednostka - wyjaśnił - tylko sfera medytacyjna. Nie wiedziałem, że macie ich całą flotę, więc użyliśmy jako sygnału kodu identyfikacyjnego nazwy „Statek”. -

Prowadził „Cień” prosto na wyspę, zastanawiając się, ile czasu minie, zanim Taalon się przyzna, że widmowa eskadra nie należy do Sithów. Im bardziej desperacko Keshiri będzie usiłował przekonać go, że jego plemię jest potężniejsze, niż mu się wydaje, tym większe prawdopodobieństwo, że tak naprawdę są dużo słabsi. A taka informacja bardzo się Jedi przyda. Mimo to Luke był czujny i przygotowany do uników, jeśli tylko poczuje coś niepokojącego. Zasięg większości broni pokładowych w atmosferze był znacznie ograniczony, ale Statek był na tyle tajemniczym zjawiskiem, że trudno było stwierdzić, jak szybko może otworzyć ogień.

Na horyzoncie, jakiś kilometr od wyspy, pojawiła się ciemna kula; w miarę jak statki zbliżały się do siebie, szybko rosła w iluminatorze „Cienia”. Luke trzymał kciuk w pogotowiu nad kontrolką systemu celowniczego, ale na razie powstrzymywał się od uzbrajania pocisków i wzięcia Statku na cel. Gdyby to zrobił, wzbudziłby podejrzliwość swoich sithańskich pasażerów, którzy na pewno szybko zorientowaliby się, co się święci.

Taalon uparcie milczał, Luke zaś zagadnął:

- Każ swoim statkom ustawić się za „Obuurim”. Będzie łatwiej, jeśli wszystkie będą lecieć za „Cieniem”.

- Chyba dla ciebie - burknął Keshiri. - I tych, którzy będą chcieli je zestrzelić. Pozwól, że to ja zdecyduję, jakie rozkazy wydać mojej eskadrze, Mistrzu Skywalkerze. - Zanim skończył mówić, Statek urósł w iluminatorze do wielkości paznokcia kciuka. Pewnie był już na tyle blisko, żeby ich zaatakować. Cóż, pomyślał Luke, albo Taalon naprawdę wierzy, że ma na usługach eskadrę sfer medytacyjnych, albo bardziej niż śmierci obawia się okazania słabości. Tak czy inaczej, nadszedł

czas, żeby go sprawdzić.

- W takim razie może powiesz im, żeby się usunęli? - zaproponował. - Zaraz będziemy w zasięgu ataku, a ja wolałbym nie znaleźć się przypadkiem na celowniku lancy plazmowej którejś z tych zabawek...

- Lancy plazmowej? - powtórzył Taalon, wyraźnie zbity z tropu.

Luke zniżył konspiracyjnie głos.

- Nie słyszałeś o lancach plazmowych? - Uzbroił pociski udarowe, wziął Statek na cel i pochwyił wzrok Taalona w lusterku. - Jakim cudem możesz dowodzić eskadrą sfer medytacyjnych i... ale ty przecież wcale nimi nie dowodzisz, prawda?

Zakłopotaną minę Keshiriego zastąpił chytry uśmieszek.

- Sprytne zagranie, Mistrzu Skywalkerze, ale nie ma czegoś takiego jak lance plazmowe -

stwierdził z wyższością. - I zapewniam cię, że w pełni panuję nad Statkiem i resztą sfer. - Pewność w jego głosie sugerowała, że naprawdę w to wierzy i Luke z ciężkim sercem pomyślał, że chyba wie, dlaczego.

- W jaki sposób ty i Miecz Khai uciekliście z planety Abeloth? - zagadnął Arcylorda. - Na pokładzie Statku?

- Dokładnie tak - potwierdził Sarasu Taalon. - Nakazałem mu przybyć po mnie...

- A on wyprowadził was z Otchłani? - domyślił się Luke. - A potem przywieźliście go na Pydyr w hangarze fregaty... z powrotem do Abeloth?

Taalon nie sprawiał już wrażenia tak pewnego siebie jak przed chwilą.

- Zgadza się, zabraliśmy Statek ze sobą - przytaknął - ale to ja go kontroluję, nie Abeloth. I właśnie w tej chwili Statek nakazuje mi wracać na brzeg i wezwać posiłki. Ktoś na tej wyspie chce nas wciągnąć w pułapkę.

- Fallanassi? - Luke parsknął śmiechem. - Jak na Sitha jesteś strasznie naiwny, wiesz?

- Statek mnie nie okłamuje, Mistrzu Skywalkerze - powiedział z naciskiem Taalon, chociaż w jego głosie słyhać było lekkie podenerwowanie... może dlatego, że wyczuwał te same zwiastujące niebezpieczeństwo sygnały co Luke? - W tej chwili zawróć do... - Ostatnie słowa zagłuszyło wycie alarmów zbliżeniowych. Luke wdusił przycisk na drążku i statek zadrżał lekko, a potem jeszcze raz, kiedy z komór dział wystrzelono pociski udarowe. W tej samej chwili od strony Statku zaczęły się do nich zbliżać trzy smugi dymu, a zza rufy „Cienia” wytrysnęły strugi jaskrawej energii - to „Obuuri” otworzył ogień do wyimaginowanej eskadry sfer medytacyjnych. Luke wprowadził jacht w beczkę, opadając kilka metrów w stronę wzburzonego morza, a potem wziął

znow kurs na wyspę, ale smugi zakreśliły w ich stronę.

Z głośnika dobiegł zaniepokojony głos Bena:

- Hej, tato! Widzisz te wszystkie sfery medytacyjne, prawda? Te, pod którymi próbujesz właśnie przelecieć?

- Tak, Ben, widzę je - zapewnił syna Mistrz Jedi i chociaż przykro mu było znow go okłamywać, to w tej chwili liczyło się tylko jedno: Statek. - Nie martw się.

- A kto tu się martwi?

Po odpowiedzi Bena dało się słyszeć stłumione, ja!” Vestary, powtórzone przez chór Mieczy Sithów.

- Tak tylko się zastanawiałem, czy nie możemy ci jakoś pomóc... - dodał znacząco Ben.

- Dzięki - Luke obserwował z niepokojem, jak smugi lecą prosto na nich - ale mamy tu wszystko pod kontrolą.

- Pod kontrolą?! - wykrzyknął Gavar Khai. - Mają nad nami przewagę liczebną sześć do jednego!

- Ale my mamy przecież ciebie... i Taalona - zauważył denerwująco spokojnie Luke i wyciągnął szyję, żeby wyrzeć przez górny iluminator. Na przedzie każdej smugi leciało coś, co wyglądało na niewielką płonącą kulę - zapewne były to ciśnięte Mocą kamienie, których Statek czasem używał jako pocisków, a otulające je płomienie powstały od tarcia. - Może trochę zmienimy Mocą tory lotu tych skał?

- Których? - jęknął Taalon. - Jest ich chyba z pięćdziesiąt!

- Spokojnie. - Luke nakierował „Cień” na prawdziwe pociski, które urosły szybko do wielkości głów Wookiech. - Te.

- Oszalałeś? - Mimo oburzenia w głosie Taalon najwyraźniej nie stracił głowy, bo trzy ogniste kule odbiły nagle w lewo i wkrótce zniknęły im z pola widzenia. Mistrz Skywalker miał

ochotę zerknąć na wyświetlacz taktyczny, żeby sprawdzić, gdzie jest Statek, ale przed nimi wyrastała już ściana białego klifu. Przy tej prędkości trudno było określić, jaka odległość dzieli ich od wyspy, ale szybko się do niej zbliżali. Strzały z „Obuuriego” zaczynały już odłupywać kawały kredowej powierzchni, wzbijając w powietrze widoczne aż stąd pióropusze białego pyłu.

Luke wiedział, że nie będzie już miał lepszej okazji do zwabienia Sithów w pułapkę.

Ponieważ Taalon był tuż obok, jedyny plan, który rokował jakieś szanse powodzenia, stawał się niewykonalny. Uznał, że musi po prostu działać i reagować odpowiednio do rozwoju sytuacji.

W ścianę rozgrzanego kamienia trafiło jeszcze więcej strzałów i Mistrz Jedi zaryzykował

szybkie spojrzenie na wyświetlacz taktyczny, ale nie zobaczył śladu Statku, a jedynie płasającego w szalonym tańcu „Obuuriego”, próbującego wyminąć iluzoryczne pociski.

Kiedy znów spojrzął przez iluminator, ściana klifu była tak blisko, że strzały z promu desantowego roztrzaskiwały się o jej powierzchnię zaledwie w kilka sekund po wyminięciu

„Cienia”. Skywalker pociągnął do siebie drążek i dziób jachtu poderwał się ostro w górę.

- Oszalałeś?! - zakwicział znów Taalon.

Tymczasem dziób „Cienia” opadł i statek podjął ustalony kurs. Choć Luke starał się zachować spokój, miał serce w gardle. Wiedział, że musi udzielić Arcylordowi jakiegoś sensownego wyjaśnienia manewru, który przed chwilą wykonał - nie mógł mówić o konieczności ustawienia kursu na niewidzialną wyspę - więc wskazał na rozbłyki rozbijających się o klif strzałów.

- Pole... siłowe! - wykrztusił, autentycznie przerażony, bo strzały z „Obuuriego” rozłupywały teraz kredową ścianę dosłownie w sekundę po tym, jak mijaly „Cień Jade”. - Spójrzcie tylko... - Podniósł statek tak szybko, że mało brakowało, a zawinąłby w szalonej pętli. Po chwili pchnął drążek sterowniczy naprzód i „Cień” zaczął się wspinać w lazurowe niebo, lecąc równolegle do klifu, ale zaczęło nim rzucać i kołysać, jak tylko dotarła do niego fala uderzeniowa.

Zapanowanie nad statkiem zabrało Mistrzowi Jedi dobre kilka sekund, a kiedy spojrzął na wyświetlacz taktyczny, stwierdził, że kod identyfikacji „Obuuriego” zniknął właśnie w czerwonym rozbłyku wybuchu.

- Skąd ono się wzięło? - spytał ostro Taalon. - I dlaczego systemy statku go nie wykryły?

- Może to jakaś bariera Mocy? - zasugerował Gavar Khai.

- Też tak sądzę - zgodził się Luke. - Co się stało ze Statkiem? Trafiliśmy go?

- Nasze pociski zmieniły tor lotu - wyjaśnił ponuro Gavar Khai. - Ale skąd wiedziałeś, że celujesz akurat w Statek, a nie w jakąś inną sferę medytacyjną?

- Przeczucie - mruknął Luke.

- Odnoszę wrażenie, że masz też inne ciekawe przeczucia, o których nam nie mówisz -

stwierdził podejrzliwie Taalon. - Może dzięki nim udałoby się ocalić „Obuuriego”, gdybyś tylko wcześniej raczył nas o nich poinformować...

- Wybacz, ale byłem ciut zajęty - rzucił z przekąsem Skywalker. - Może następnym razem po prostu mi zaufacie i dacie w spokoju popilotować własny statek?

- To mało prawdopodobne, Mistrzu Skywalkerze - oznajmił chłodno Arcylord Sithów. -

Jeśli o mnie chodzi, nie ufam ci ani za kredyta. Zawróćmy i wezwijemy posiłki.

Luke pokręcił głową.

- I damy Fallanassim czas na przygotowanie się do ataku? - Za iluminatorem „Cienia” mignął opasany zielenią szczyt klifu i statek znów wzbił się w czyste niebo. - Nie będzie miało wtedy znaczenia, ilu Sithów wezwiecie na pomoc.

- Ta decyzja nie należy do ciebie - warknął Taalon. - Zawróćisz albo Ben zgi... aaaarghhhh!

- zacharczał, kiedy Luke skierował gwałtownie dziób jachtu w dół i zmniejszył moc, wyhamowując

tak ostro, że uprząż bezpieczeństwa boleśnie wpiła mu się w pierś i brzuch. Mimo przeprowadzonego w samą porę manewru „Cień” pokonał połowę szerokości wyspy, zanim zwolnił na tyle, żeby dało się dostrzec w dole łąd porośnięty widłakami i potężnymi paprociami. Jedną krawędź klifu przecinała szczelina, a w niej zmurszałe, porośnięte grzybami schody, prowadzące na szczyt płaskowyżu, do mszystego parowu wijącego się ku odległemu skupisku pagórków.

Odległość między nimi a Statkiem zmalała; wzgórza zaczęły przybierać stopniowo postać stożkowatych chat i podłużnych budynków zgromadzeń o półkolistych dachach. Ze szczytu najwyższej budowli wznosił się w niebo słup żółtawego dymu, odprowadzany prymitywnym, kamiennym kominem.

- Czy to wioska Fallanassich? - spytał Khai, który najwyraźniej widział już wyspę, pewnie iluzja przestała działać. - Wygląda zupełnie jak siedziba Abeloth w Otchłani.

- Cóż, przynajmniej mamy pewność, że dobrze trafiliśmy. - Luke nadal zwalniał. Zachodził

jednocześnie w głowę, jak sprawdzić, czy jego pasażerowie widzą tę samą wyspę co on, a nie następną, sprytnie zaaranżowaną iluzję. - Czym są te kopce na drugim końcu wyspy?

- To chyba ich domy - odgadł Taalon. - Jeśli znów spróbujesz mnie oszukać, Skywalker, Ben umrze pierwszy, pamiętaj o tym.

- Nie, jeśli to wy umrzecie jako pierwsi - odparł beztrosko Luke. - Powiedzcie swoim Mieczom, żeby się przygotowali.

- Sithowie zawsze są gotowi. A co, nie zamierzasz nam już wpierać, że Fallanassi są pacyfistami? - zadrwił Gavar.

- Nie - westchnął Mistrz Jedi. - Ostrzegłem was raz i to wystarczy.

Khai uniósł wysoko brwi, ale zblizali się szybko do wioski, więc Luke skorzystał z okazji i przerwał kontakt wzrokowy, dając mu do zrozumienia, że to koniec dyskusji. Wkrótce posadził

statek na porośniętej mchem polanie naprzeciwko dużego budynku z kominem, który najprawdopodobniej służył jako krąg spotkań.

Zanim jeszcze „Cień Jade” osiadł na dobre na ziemi, rozbrzmiał krótki, melodyjny kurant, informujący, że rampa opadła. Luke nie zdążył się jeszcze oswobodzić z upręży bezpieczeństwa, kiedy wojownicy Sithów wysypywali się już ze statku, żeby uformować szyk obronny. W

przeciwieństwie do Jedi, którzy trzymaliby już w pogotowiu broń, gotowi odeprzeć atak, Miecze Sithów zachowywały się tak, jakby sama ich obecność mogła powstrzymać wroga od ataku.

Luke Skywalker ustawił systemy „Cienia” na stan czuwania, wstał i ruszył za Taalonem i Khaiem. Z wyjątkiem słonawej bryzy wioska pachniała tak samo jak planeta Abeloth - stęchlizną i butwiejącymi szczątkami, jednak nie chodziło tylko o przykry zapach. Moc w tym miejscu była przesiąknięta udręką

i strachem. Luke czuł, jak panująca tu atmosfera przenika go, napełniając ciało nieprzyjemnym mrowieniem; promieniowała z domu zgromadzeń, przed którym posadzili statek.

- Szsz... szlag! - zacharczał Ben, dołączając do ojca i Sithów. - Co to jest?

- Potęga - rozległ się za ich plecami głos Vestary. - Czysta potęga. - Podobnie jak Ben, wyglądała na skrajnie wyczerpaną i chorą.

Ben obejrzał się na nią i zmarszczył podejrzliwie brwi.

- Potęga?

- Dokładnie tak. - Usta Sithanki rozciągnęły się w drapieżnym uśmiechu. - Wiesz, jak to działa. Cierpienie prowadzi do strachu, strach do gniewu, a gniew...

- ...na Ciemną Stronę Mocy - dokończył Luke. Odwrócił się w stronę domu zgromadzeń, zastanawiając się, skąd pochodzi ten przejmujący strach, który czuł. Czyżby Abeloth czerpała potęgę z otaczającego ją przerażenia? Czy naprawdę potrafiła zmieniać takie negatywne emocje w swoją siłę?

Jego rozmyślania przerwał widok Fallanassich, wyłaniających się z pobliskich chat - kobiet ubranych w proste, przepasane sznurami szaty. Większość z nich była rasy ludzkiej, a z ich wynędzniałych twarzy wзираł ten sam strach, który Luke czuł w Mocy. Jedna z nich, siwowłosa kobieta o smutnych oczach i wąskim nosie, rozejrzała się po zastępach Sithów, aż wreszcie zatrzymała wzrok na Mistrzu Jedi. Podeszła do niego, otoczona kilkoma starszymi towarzyszami.

- Znasz je? - spytał cicho Taalon.

- Nie - odparł Luke - ale przypuszczam, że to Rada Starszych. Zobaczmy, co mają do powiedzenia.

Chociaż Sarasu Taalon nie wydał żadnych rozkazów - przynajmniej takich, które Mistrz Skywalker mógłby usłyszeć - Miecze Sithów usunęły się na bok, pozwalając kobietom przejść.

Siwowłosa Fallanasska podeszła prosto do Luke'a, i - ignorując całkowicie obecność Taalona i Khaia - zmierzyła go gniewnym spojrzeniem.

- Akanah uprzedziła mnie, że nas zdradzisz - wycodziła przez zaciśnięte zęby.

- Nie zdradziłem was... - Skywalker urwał, czekając, aż w jego umyśle pojawi się imię Starszej - ...Eliyo. Wiem, że waszej wspólnoty zagraża wielkie niebezpieczeństwo, ale przypuszczam, że nie rozumiecie jego prawdziwej natury. Przybyłem, żeby wam pomóc.

- Sprowadzając ich do naszej wioski? - Eliya machnęła lekceważąco w stronę Taalona. -

Dlaczego sądzisz, że pomożemy Sithom?

- Niebezpieczeństwo, które wam zagraża, jest o wiele poważniejsze niż Sithowie - odparł

Luke. Nienawiść w głosie kobiety zaskoczyła go tak bardzo, że prawie umknął mu sens jej słów -

sugerujących, że Fallanasski wiedziały już o czekającym je starciu z Sithami. Teraz musiał się skupić na tym, żeby Taalon nie odkrył ich zamiarów. - Bez nich nie zdołam wam pomóc - wyjaśnił.

Eliya przyglądała mu się przez chwilę w milczeniu, po czym pokręciła z pogardą głową.

- Nawet ty nie wierzysz w to, że dotrzymają obietnic. - Westchnęła ciężko i przeniosła wzrok na Taalona. - Ale Creed nie daje nam wyboru, komu mamy pomóc. Zdejmijcie te idiotyczne skafandry, a wtedy zastanowimy się, czy możemy was ocalić.

- Ocalić? - powtórzył podejrzliwie Taalon.

- Przed białą plagą - wyjaśniła jedna z towarzyszek Eliyi. Skinęła na Bena i Vestarę. - Wy dwoje, chodźcie ze mną. Opatrzę wasze rany maścią jigog.

Taalon zatrzymał ją gestem dłoni.

- Chwileczkę. - Odwrócił się do Luke'a i przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu.

Najwyraźniej przywoływał dar przewidywania, który zdobył podczas wizyty w Sadzawce Wiedzy.

Mistrz Jedi czuł się dziwnie obnażony ze świadomością, że wróg może przewidzieć jego plany, tylko mu się przyglądając. Gdyby jednak potwierdziły się jego przypuszczenia, że Taalon rzeczywiście potrafi przewidzieć, co się zdarzy, zyskałby cenną informację, którą może zdoła w jakiś sposób wykorzystać.

Po chwili Taalon warknął gniewnie:

- Nazwałeś tę chorobę ropną ospą...

- Biała plaga ma wiele... - zaczęła wyjaśniać Eliya, ale Taalon zareagował błyskawicznie.

Luke zdążył tylko dostrzec rozmazaną, czarną smugę, kiedy Sith wymierzył Eliyi policzek. Kobieta upadła u jego stóp, a brzydkie rozcięcie pod kością policzkową natychmiast zaczęło krwawić.

- Nie ma żadnej zarazy! - huknął Arcylord Sithów. - Biała plaga to tylko sztuczka Fallanassich!

Eliya spojrzała na niego z zaskoczeniem i niedowierzaniem, po czym pokręciła głową.

- Możesz wierzyć, w co chcesz, ale twoja śmierć...

- Eliyo, spokojnie - wszedł jej w słowo Luke. Wiedział, że jeśli kobieta spróbuje dalej kłamać, zginie jako przykład, iż nie należy igrzać z Sithami. - Wiem, że pewnie trudno ci w to uwierzyć, ale dla Fallanassich naprawdę będzie lepiej, jeśli zdecydują się współpracować.

- Przybyliśmy tu, żeby odszukać Abeloth. - Taalon spojrzał wymownie na dom zgromadzeń.



- Czy tam ją znajde?

Eliya skrzywiła się gniewnie i znów pokręciła głową.

- Nie - warknęła. - Już nie. Teraz jest...

- Spotkacie się z nią, kiedy przyjdzie na to czas - odezwał się jakiś głos. Luke natychmiast go rozpoznał.

Kiedy przeniósł wzrok na dom zgromadzeń, zobaczył w jego drzwiach Akanah. Jej rozpuszczone brązowe włosy unosiły się jak aureola wokół głowy, chociaż pogoda była bezwietrzna; w jej oczach kobiety Mistrz Jedi zauważył mrok, który zdawał się pochodzić z przepastnej głębi czasu. Akanah spojrzała kolejno na Sarasu Taalona i na Luke'a, po czym uśmiechnęła się, ukazując rzędy ostrych kłów.

- Nie powinniście byli tu przychodzić - powiedziała z udawanym żalem. - To był naprawdę bardzo, ale to bardzo kiepski pomysł.

## **ROZDZIAŁ 29**

Poranne słońce, odbijające się od durabetonowej ściany, przyprawiało go o jeszcze większy ból głowy i utrudniało patrzenie przez zaparowane gogle. Gdzieś z przodu - jakieś czterysta metrów ponad najbliższą kładką dla pieszych i całe dwa, gęste od ruchu powietrznego, kilometry ponad faktyczną powierzchnią planety - znajdowała się wymagająca sprawdzenia szczelina dylatacyjna.

Dla Hana była to po prostu ciemna linia biegnąca przez rozmytą szarość, dobre wytłumaczenie dla jego obecności w pobliżu bloku więziennego numer 81. Przeszedł po repulsorowej platformie do spawu i przesunął po nim okrytymi rękawicą palcami. Kiedy wyczuł pasmo lepkiej mazi, odpiął od pasa z narzędziami elektryczną łopatkę na ślimaki i zaczął przesuwając ją wzdłuż smugi, aż trafił na coś miękkiego.

Krzemionkowy ślimak natychmiast rozpląszczył się na szczelinie. Han wcisnął przełącznik, którym naelektryzował łopatkę. Ślimak zwinął się w kulkę, a pół sekundy później już nie żył, przebity przez szpikulec, który wysunął się z trzonka. Han szybko się odwrócił i wrzucił truchło do stojącej pośrodku platformy kadzi do spalania odpadów. Zrobił to jednak nie dość szybko, więc ze skrzeli stworzenia zdążyły ulecieć ohydne żółte opary, które przedostały się przez nieszczelną maskę przeciwgazową. Pachniały jak wrząca smoła wlana do kuwety nexu. Oczy zaczęły Hanowi łzawić, przez co widział jeszcze mniej, żołądek zaś groził wydalaniem zawartości do maski.

Han cofnął się na skraj platformy, ściągnął gogle i maskę przeciwgazową, po czym oparł się rękami o barierkę zabezpieczającą i spojrzał w dół na zatłoczony korytarz powietrzny. Nie miał

pojęcia, dlaczego dał się namówić Taryn Żel na udawanie specjalisty od dezynsekcji.

Tyle że był to naprawdę jedyny sposób, żeby oddział ratunkowy mógł zbliżyć się do budynku. Ze względu na brak czasu i zwiększone środki bezpieczeństwa szybko stało się jasne, że próba infiltracji

placówki nie wchodzi w grę. Wtedy R2-D2 odkrył, że plany budynku w aktach Coruskańskiego Urzędu Nadzoru Budowlanego i Planetarnej Straży Ogniowej są sprzeczne z zasadami współczesnej inżynierii, więc Zekk szybko zdał sobie sprawę, że ktoś z SBGS na wszelki wypadek złożył fałszywe plany obiektu. W końcu, nie mając żadnych wiarygodnych informacji poza dokładnymi współrzędnymi miejsc, w których ucichły nadajniki, Solo przyjęli najprostszą możliwą strategię - wdrzeć się do środka, znaleźć dzieci Hornów i uciec.

- Kto powiedział, że pora na przerwę? - odezwał się stłumiony przez maskę przeciwigazową głos z drugiego końca platformy.

Han obejrzał się na swojego partnera. Jego tożsamość skrywał roboczy uniform - żółty kask, gogle i biały kombinezon z logo Runkil Remedium - więc tylko dwa metry wzrostu i kosmyki czarnych włosów spadające na kołnierzyk pozwalały rozpoznać w nim dawnego partnera i byłego tak-jakby-chłopaka Jainy, Zekka.

- Hej, jestem tylko człowiekiem - pozałił się Han. W przeciwieństwie do Zekka i pozostałych Jedi wchodzących w skład tej „ekipy” Han nie mógł posłużyć się Mocą, żeby zapobiec zaparowaniu gogli czy opanować odruch wymiotny. Mógł liczyć jedynie na swój upór i życiowe doświadczenie, ale po raz pierwszy od dawna obawiał się, że to może nie wystarczyć. - Jeśli Runkil nie chce, żebyśmy robili sobie przerwy, to niech zatrudni droidy.

- Droidy odmawiają wykonywania tej roboty - zażartował Zekk. Spojrzał za plecy Hana i dodał: - No i się doigrałeś. Szefowa się zbliża.

Han podniósł wzrok i zobaczył Taryn Zel, sunącą ku nim na swoim niewielkim pływaku.

Podobnie jak pozostali członkowie oddziału ratunkowego, ubrana była w biały kombinezon z logo Runkil Remedium na górnej kieszeni. Jednak zamiast kasku i reszty wyposażenia ochronnego miała na sobie białą czapkę kierownika z jasnoczerwonym daszkiem, który to kolor gryzł się okropnie z jej rudawymi włosami.

- Znowu ci niedobrze, staruszkę? - zawołała. - Może powinieneś przestać zarywać nocę przed pracą?

Han rzucił jej gniewne spojrzenie, nie całkiem udawane. Taryn była jedynym członkiem ekipy, której twarz prawdopodobnie nie figurowała w kartotece SBGS, więc idealnie nadawała się do tego, żeby pójść do recepcji i pokazać strażnikom sfałszowany formularz zlecenia. Oczywiście oznaczało to również, że przypadła jej łatwa rola szefa ekipy, polegająca na kręceniu się dookoła i wykrzykiwaniu poleceń, podczas gdy wszyscy inni musieli zdrapywać zzerające krzemionkę pasożyty ze ścian więzienia.

- To nie zarywanie nocy jest moim problemem, szefowo - odparł głośno Han. - Tylko wysłuchiwanie twojego głędzenia przez cały dzień. To od tego wszystko się we mnie przewraca.

Nie sposób było stwierdzić, czy błysk w oczach Taryn oznaczał gniew, czy rozbawienie.

Ale kiedy zbliżyła się do repulsorowej platformy, na której stali Han i Zekk, starannie ustawiła swój

pływak tak, żeby znaleźć się pomiędzy nimi a najbliższą kamerą.

- Nie wiem, dlaczego cię jeszcze nie wyrzucili, stary durniu - powiedziała głośno Taryn. -

Ekipa nakładająca pianę zaraz was dogoni.

Wskazała na ścianę dziesięć metrów wyżej, gdzie pracowały Leia i Jaina, również przebrane za specjalistów od dezynsekcji. Przesuwały się na swojej repulsorowej platformie wzdłuż ściany, pokrywając durabeton cienką warstwą piany, która nawet po wyparowaniu pozostawiała trujący dla pasożytów osad. Tymczasem jednak piana przesłaniała bańki, w których były umieszczone kamery, przez co strażnicy wewnątrz budynku nie mogli mieć na oku pracującej na zewnątrz ekipy.

- To nie moja wina, że omijają parapety - burknął Han.

Spojrzał w dół i stwierdził, że Natua Wan i Seff Hellin są już na swojej pozycji na poziomie 1910. Ich ekipa nakładająca pianę, składająca się z Yaqeel Saav'etu i Kunora Banna, załatwiała właśnie ostatnią bańkę z kamerą pomiędzy dwoma poziomami, tam gdzie oddział ratunkowy miał

dostać się do budynku. Cała czwórka należała do obłąkanych do niedawna Jedi, których Daala zamierzała zamrozić w karbonicie razem z dziećmi Hornów, więc Han liczył na to, że Daala zrozumie przesłanie płynące z takiego doboru członków oddziału: Jedi nie pozwolą sobą dłużej pomiatać.

- Niczego nie omijają, staruszk - odparła Taryn. Przez ten czas Leia i Jaina zjechały w dół i pokryły pianą ostatnią bańkę kamery. Przez następną godzinę strażnicy w sterowni więzienia powinni pozostawać ślepi na ich poczynania. Nikt jednak nie wiedział, czy kamery rejestrują także dźwięk, więc członkowie oddziału nie mogli wychodzić ze swoich ról, przynajmniej dopóki nie zaczną wysadzać murów. - Jeśli nie nadażasz...

- Nadażam. - Han wskazał na bańkę za plecami Taryn i pokiwał głową. Zgodnie z planem, po zasłonięciu wszystkich kamer oddział ratunkowy miał wejść do budynku w dwóch grupach: grupa Saav'etu na poziomie 1910, gdzie ucichło urządzenie namierzające Jyselli, grupa Solo zaś na poziomie 1913, gdzie zamarł nadajnik Valina. - Już ty się o to nie martw.

Dysza rozpylająca pianę w rękach Leii zaczęła prychać, a Jaina ustawiła ich platformę repulsorową obok Taryn.

- Hej, szefowo - odezwała się Leia. - Piana mi się skończyła.

Taryn uśmiechnęła się, mrugnęła do Zekka i odwróciła się do Leii.

- Tak szybko? Co ty z nią robisz? Pijesz?

- O tak, szefowo, litrami - odparowała Leia. - Ma być szybko czy bez zacieków? Jednego z drugim nie da się pogodzić.

- Dobra, nie wściekaj się - odparła Taryn. - Wezwę furgon dostawczy.

To był znak. Taryn włączyła komunikator i poleciła Turi Altamik, żeby przyproceedziła

„furgon dostawczy”. W tym czasie Han i reszta oddziału zdejmowali gogle i maski przeciwgazowe, wyciągali z pojemników na narzędzia broń i kamizelki z ekwipunkiem. Gdy zjawiała się Turi, Han miał już na sobie swój pas z blasterem, kamizelkę pełną różnych typów granatów, komunikator z zestawem słuchawkowym oraz wielostrzałowy blaster typu T-21, ustawiony na ogłuszanie. Zekk i reszta Jedi byli nieco lżej wyposażeni - mieli jedynie miecze świetlne, po parę granatów, komunikatory z zestawami słuchawkowymi, pistolety blasterowe, również ustawione na ogłuszanie, no i standardowy ekwipunek Jedi, który przeważnie wydawał się beżużyteczny, dopóki nie okazał się niezbędy.

Taryn dała znak ręką, żeby „furgon dostawczy” ustawił się obok platformy repulsorowej Hana. Był to w istocie opancerzony transporter Cygnus-7, ukryty pod sztucznymi panelami nadwozia, noszącymi barwy i logo firmy Runkil. Panele mogły zostać zrzuczone za naciśnięciem guzika, a układ przeniesienia napędu wspomagało tyle poczwórnych przewodów zasilających i silników pomocniczych, że pojazd mógł iść w zawody z beamstreakiem firmy Aratech.

Boczny panel odsunął się ze świstem, ukazując stojących w drzwiach C-3PO i R2-D2.

- O, tu pan jest, kap...

R2-D2 przerwał mu ostrym świergotem.

- Kto ma poplątane obwody? - odparował Threepio. - Przecież wiem, że jesteśmy incognito.

Artoo zagwizdał gniewnie w odpowiedzi.

- Dostyc tego. - Jedną ręką trzymając wielostrzałowy blaster, Han uniósł ruchomą część tylnej barierki zabezpieczającej. Z Cygnusa-7 wysunęła się rampa, tworząc most między jego bocznymi drzwiami a oddaloną o pół metra platformą repulsorową. - Nie mamy czasu!

R2-D2 wtoczył się na rampę i po chwili był już na platformie. Threepio spojrział w pełną pojazdów powietrznych przepaść i uaktywniło się jego oprogramowanie samozachowawcze.

- Czy jest pan pewien, że moja obecność jest konieczna? - zapytał. - Moje żyroserwery są...

- Nie waz się wykręcać - rozkazał Han. Wskazał na pokrytą pianą bańkę kamery i przyłożył

palec do ust. - Musisz skalibrować czujniki wibracji.

- Tak jest. - C-3PO postawił ostrożnie nogę na rampie, zachwiał się i wyciągnął ręce dla zachowania równowagi. - Ale gdybym się poślizgnął, proszę powiedzieć księżniczce...

- Nikt się nie poślizgnie. - Han wychylił się nad barierką i chwycił droida za rękę, żeby go przeprowadzić, gdy nagle za jego plecami rozległy się równoczesne trzaski dwóch detonatorów termicznych. C-3PO podniósł ręce, żeby osłonić fotoreceptory przed błyskiem, i przy okazji o mało nie przeciągnął Hana przez barierkę. Han na szczęście zdołał złapać barierkę między udo a brzuch i

obaj zawisli, mając pod sobą półtora kilometra hałaśliwej przepaści. C-3PO wymachiwał

gwałtownie rękami, co groziło tym, że wyrwie się Hanowi albo że Solo puści barierkę i obaj runą w powietrzny korytarz. - Threepio, przestań! - nakazał Han. - Chcesz nas zabić?

- Oczywiście, że nie, proszę pana - zapewnił C-3PO. Opuścił ręce w najgorszym momencie, a Han z trudem utrzymał lecącego na niego droida. - Droida nie można zabić, co najwyżej zniszczyć.

Han rzucił blaster na repulsorową platformę i chwycił barierkę, przy okazji przechylając się do tyłu.

- Och, jej! - zawołał C-3PO, odchylając się w drugą stronę. - Ściąga mnie pan z raaa...

Ostry ból przeszył rękę Hana, gdy droid zawisł na niej całym ciężarem. Solo poczuł, jak rozciąga mu się staw, a po chwili całe jego ciało uniosło się do góry i przesunęło nad barierką w ślad za C-3PO.

- Zaczekaj! - wrzasnął Zekk.

- Mam czekać? - parsknął Han, próbując nie myśleć o tym, co się stanie, kiedy ciężar droida wyrwie mu łokieć. - Zwariowałaś?

Zanim jednak jego ręka wyskoczyła ze stawu, zatopił się w aksamitnym uścisku Mocy.

Obejrzał się i zobaczył, że Zekk gestem przenosi jego i C-3PO z powrotem ponad barierką. Gdy tylko stanęli na platformie, Threepio rozłożył szeroko ręce.

- Kapitanie Solo, ryzykował pan własne życie, żeby nie dopuścić do mojego przedwczesnego zniszczenia - powiedział. - Czyżby cierpiał pan na jakieś zaburzenia funkcji poznawczych?

- Najwyraźniej - warknął Han. - A na przyszłość...

- Możemy zająć się naszym zadaniem? - przerwał im Zekk. Podniósł z platformy wielostrzałowy blaster i podał go Hanowi, po czym spojrzał w górę ściany. - Po wybuchu tych detonatorów już wiemy, że tu jesteśmy.

Han pokiwał głową, spojrzał gniewnie na C-3PO, zarzucił sobie blaster na ramię i popatrzył

w górę, akurat gdy Jaina z Leią zniknęły w dymiącej jeszcze wyrwie w ścianie więzienia.

Pięciometrowy otwór był idealnie okrągły i gładki, bez ostrych krawędzi i gruzu - dlatego właśnie detonatory termiczne były tak chętnie wykorzystywane zarówno przy pracach rozbiórkowych, jak i w trakcie miejskich operacji wojskowych. Han spojrzał w dół, w kierunku grupy Saav'etu, i zobaczył identyczny wyłom na poziomie 1910. Seff Hellin i Kunor Bann byli już w środku, Natua Wan i Yaqeel Saav'etu zaś przeskakiwały właśnie z platformy repulsorowej prosto do dziury. Ich miecze świetlne - podobnie jak miecze Jainy i Leii - były wyłączone, co oznaczało, że więzienni strażnicy jeszcze się nie zjawili.

Zanim Han zdążył odwrócić wzrok, Zekk przesunął już ich platformę w kierunku górnej wyrwy.

Kiedy się wznosili, Han dostrzegł, że wybuch odsłonił także częściowo poziom poniżej tego, który stanowił ich cel. Przez wąską szczelinę mógł zajrzeć w głąb długiego korytarza, po obu stronach którego znajdowały się szczelnie zamknięte transpystalowe drzwi. Za większością z nich przebywały istoty w odblaskowych pomarańczowych uniformach więziennych. Należały najwyraźniej do wielu różnych ras - wielu było Arconów, Askajian, a także ludzi. Niektórzy wyglądali na wstrząśniętych, inni na groźnych. Żaden z nich nie sprawiał przyjaznego wrażenia.

Platforma repulsorowa zatrzymała się na wysokości poziomu 1913. Zekk szybko przesadził

dwupółmetrowy dystans dzielący ją od budynku i wylądował w korytarzu podobnym do tego pod spodem. W głębi Leia i Jaina pędziły już w kierunku zamkniętych drzwi pancernych, z niewłączonymi wciąż mieczami świetlnymi w dłoniach. Zekk odwrócił się i, wykorzystując Moc, przeniósł droidy do korytarza. Potem obejrzał się na Hana.

- Podrzucić cię?

Han ocenił odległość od skraju podłogi i uśmiechem podziękował Zekkowi za to, że ujął to w taki sposób, jakby Han miał jakiś wybór.

- Byłbyś świetnym zięciem, chłopcze - rzucił.

- Za późno! - zawołała Taryn. Wewnątrz Cygnusa-7 przygotowywała się do zajęcia pozycji Strzelca w pojeździe, który miał im posłużyć do ucieczki. - Już zaklepany.

Zekk wznosił oczy ku niebu, ale minę miał zadowoloną.

- Nie obawiaj się, Taryn - powiedział. - Po Relephonie nie zamierzam niczego zmieniać.

- Co się stało na Relephonie? - spytał Han.

Śniada twarz Zekka poczerwieniała.

- Wybacz. - Odwrócił na chwilę wzrok, po czym wyciągnął rękę w kierunku Hana. -

Tajemnica państwowa.

Han poczuł ciężar w żołądku, po czym uniósł się w powietrzu, ponad przepaścią. Obejrzał

się na Taryn, która stała w drzwiach Cygnusa-7, przypinając parę wielkich pistoletów blasterowych DL-51, i pomyślał, że może lepiej nie wypytywać o szczegóły.

Zekk postawił go na podłodze i wskazał na koniec korytarza, gdzie Leia i Jaina mieczami świetlnymi rozcinały już durastalowe drzwi pancerne.

- Artoo, złącze danych jest tam. Chodźmy.

Zekk ruszył przodem, nie zwracając uwagi na stłumione odgłosy walących w drzwi pięści i okrzyki

więźniów, które towarzyszyły im, gdy szli korytarzem. Han pilnował tyłów, idąc za C-3PO

i R2-D2. Po drodze ustawił swój blaster na pełną moc i zaczął po kolei rozwalać kamery. Każda zniszczona kamera wywoływała stłumiony okrzyk radości ze strony osadzonych w pobliskich celach.

Więźniowie, jak się zdawało, byli osobnikami płci męskiej wielu różnych ras. Ich cele były mniej więcej jednakowe, chociaż często zamiast łóżka wyposażone w grzędę lub gniazdo. Niekiedy powietrze w celach było zabarwione na brązowo lub zielonkawo, co wskazywało na niestandardową atmosferę.

Han i droidy dotarli już prawie do pancernych drzwi, kiedy z przewodu wentylacyjnego dobiegł cichy syk. Han odpiął maskę do oddychania od uprząży z ekwipunkiem i naciągnął jej elastyczne paski na głowę.

- Gaz! - zawołał. Zsunął maskę na twarz i otworzył dopływ powietrza, po czym włączył

laryngofon. - Grupa Saav'etu, uważajcie. Mamy tu gaz.

- Tutaj też - zameldowała Yaqeel. - Reagują szybciej, niż się spodziewaliśmy.

- Zgadza się - potwierdziła Turi z Cygnusa-7. - Trzy śmigacze pościgowe lecą w naszą stronę.

- *Stang*, szybcy są - zdziwił się Han. - Możesz im uciec?

- Nie ma takiej potrzeby - odparła Taryn. Z zewnątrz dobiegł odgłos wystrzału z działka jonowego. - Są tylko trzy. Mogę ich powstrzymać!

- Na jak długo? - spytał Han.

- Nie martw się - powiedziała Taryn. - Będziemy na miejscu, kiedy trzeba będzie was zabrać.

Gdzieś rozległo się dudnienie odległej eksplozji.

- Świetnie, Taryn - wtrąciła Leia. - Tylko pamiętaj, że staramy się ograniczać ofiary do minimum.

- To nie ja - odparowała Taryn, przekrzykując pisk swojego działka jonowego. - To jeden z tych śmigaczy wystrzelił pocisk udarowy.

Leia skrzywiła się pod maską i Han wiedział, co sobie pomyślała. Chcieli uniknąć niepotrzebnych ofiar nie tylko ze względu na opinię publiczną. Konflikt między Daalą i Jedi wymykał się spod kontroli; gdyby zaczął skutkować ofiarami wśród ludności cywilnej, byłaby to plama na honorze dla obu stron.

- I co? - zapytała Leia, która przecinała właśnie mieczem świetlnym ostatni fragment pancernych drzwi, żeby zetknąć się klingą z mieczem Jainy. - Zabili kogoś?

- Trudno powiedzieć - odparła Taryn. - Rozwalili kładkę dla pieszych. - Rozległ się kolejny pisk, a zaraz po nim huk eksplozji, tym razem bliżej. - A teraz... trafili w pojazd reporterów.

- Reporterów? - Han poczuł ucisk w piersi. - Nie Dorana i Bandy'ego?

- Nie, nie... prawdziwych reporterów - zapewnił głos Turi Altamik. - No, powiedzmy, że prawdziwych. Byli z ROKS.

Han spojrzał na Leię i wzruszył ramionami.

- Przynajmniej to nie my zabijamy niewinnych.

Leia ledwie podniosła wzrok.

- I co z tego?



- No, tak.

Po tych wszystkich latach, które spędzili, walcząc ramię w ramię, Hanowi wystarczyło te parę słów, żeby zrozumieć, co żona ma na myśli. Nieważne, kto zabijał. To Jedi zaczęli tę walkę, więc oni ponosili główną odpowiedzialność za ewentualne ofiary wśród cywilów.

- Turi, lepiej uciekajcie razem z Taryn - powiedział Han. - Może uda wam się ich odciągnąć w jakieś mniej zaludnione miejsce.

- Mamy was tu zostawić? - zaprotestowała Taryn. - Nic z tego...

- Taryn! - przerwał jej Zekk. - Od tego są plany awaryjne.

Zanim jeszcze skończył mówić, Cygnus-7 pomknął w dół, szukając schronienia w zakamarkach podziemi. Przy odrobinie szczęścia Turi powinna zgubić pogoń w mrocznym labiryncie i wrócić po nich, kiedy będą już mieli Valina i Jysellę. Jeśli nie, pozostawał jeszcze furgon HoloWiadomości, w którym czekali Doran Tainer i Bandy Geffer.

Trzy opancerzone kliny przemknęły z wyciem syren i błyskającymi światłami za wyłomem w murze, po czym zniknęły z pola widzenia w pogoni za Cygnusem-7. Odgłosy działek laserowych ucichły i w korytarzu słychać teraz było tylko stłumione krzyki i walenie pięściami więźniów domagających się wolności. Słyszając ich groźby i plugawy język, Han nie miał najmniejszej ochoty im pomagać.

Brzęczenie mieczy świetlnych wreszcie ustało i kiedy Han się obejrzał, zobaczył, że Jaina, posługując się Mocą, utrzymuje pancerne drzwi w pozycji pionowej. R2-D2 był już podłączony do złącza danych pod panelem kontrolnym na ścianie. Mrugając światełkami i ćwierkając wesoło, włamywał się do głównego komputera placówki.

Han odwrócił się w stronę Threepio.

- Ile to potrwa, zanim Artoo znajdzie plany?

- Chwilę, kapitanie. Sądzę...

R2-D2 przerwał mu ostrym gwizdnięciem.

- To niemożliwe, Artoo - skarcił go C-3PO. - Twój procesor nie może się równać z przechłodzonym Xyn Tachyon Dwanaście. Przestań w tej chwili!

- Threepio! - wtrącił Han. - Kiedy dostaniemy te plany?

- Powinny być już w datapadach - odparł C-3PO, odwracając się do Hana. - Tylko że Artoo próbuje przechytrzyć Xyna i wyłączyć program sterujący zabezpieczeniami bunkra. Przepali sobie obwody.

R2-D2 zaćwierkał przenikliwie.

C-3PO obejrzał się na niego.

- To dlaczego nic nie powiedziałaś? - zapytał. - Nie sądzisz, że chcieliby wiedzieć, że bunkier jest już otwarty?

- Otwarty?

Han wyciągnął datapad Leii z jej pasa z ekwipunkiem. Na wyświetlaczu widać było trójwymiarowy schemat, opisany jako „Blok więzienny 81, poziomy 1910-1915”. Położenie oddziału ratunkowego nie było zaznaczone, jednak dało się je bez trudu ustalić na podstawie dwóch czerwonych kropek, które wskazywały umiejscowienie wyłomów w murze. Wyglądało na to, że grupa Solo dotarła do grodzi umieszczonej mniej więcej w jednej czwartej szerokości budynku. Po drugiej stronie ściany znajdowało się ogromne, wielopoziomowe atrium okolone balkonami, które zapewniały dostęp do korytarzy więziennych na każdym z poziomów. Pośrodku atrium stał bunkier, o którym mówił C-3PO - duży schron z wysoko umieszczonymi włączami. Z planu wynikało, że nie ma łatwego dostępu do włączów.

Han pokazał schemat towarzyszom, po czym włączył laryngofon.

- Grupa Saav'etu, macie już plany w datapadach?

- Tak jest - potwierdziła ochrypłym głosem Yaqeel. - Przeszliśmy właśnie przez drzwi pancerne. Czekamy na sygnał.

- Artoo otworzył włązy w tym bunkrze - poinformował Han. - Twierdzi, że to tam są przetrzymywani Valin i Jysella.

R2-D2 zaświergotał potakująco, a potem dodatkowo gwizdnął.

- Artoo zauważył, że młodzi Hornowie są wymienieni w inwentarzu bunkra - wyjaśnił C-3PO. R2-D2 dalej ćwierkał. - Próbuje teraz wyłączyć pole neutralizujące, żeby wykorzystać urządzenia namierzające do ustalenia ich dokładnego położenia. Niestety Xyn spiera się z nim o właściwe protokoły.

- Próbuje dalej - powiedział Han do R2-D2. - A przy okazji może Xyn mógłby nam zdradzić, czy są tam jacyś strażnicy...

- Są - wtrąciła Jaina. - Około pięćdziesięciu, nadciągają ze wszystkich stron.

- Pięćdziesięciu... tylko tylu? Chyba starają się nam ułatwić zadanie. - Han zbyt długo żył z Jedi, żeby pytać, skąd Jaina wiedziała, ilu jest strażników, albo czy jest tego pewna. Uniósł po prostu trzy palce, po czym spytał Yaqeel: - Grupa Saav'etu, gotowi?

Jak tylko Yaqeel odpowiedziała pstryknięciem komunikatora, Han opuścił ostatni palec.

- Jazda!

Jaina machnęła ręką, a wtedy prostokąt wielkości człowieka, który razem z Leią wycięły w pancernych drzwiach, wysunął się i spadł na balkon po drugiej stronie. Dał się słyszeć chór

zaniepokojonych głosów, a zza rogu dobiegły głuchoe odgłosy uderzającą o plastoid durastali. Po chwili otwarte drzwi eksplodowały gradem jaskrawych błyskawic, a miecze świetlne obu kobiet z rodziny Solo obudziły się do życia.

- Idę w prawo, mammo! - zameldowała Jaina.

- To ja w lewo! - potwierdziła Leia.

Przeszły razem przez drzwi; ich klingi tkwały kolorowe wzory, odbijając blasterowe wiązki w kierunku, z którego nadlatywały. Za nimi szedł Zekk, odpierając ogień dwóch oddziałów strażników, ustawionych wysoko, w rogach po przeciwnej stronie atrium.

- Han, granaty! - krzyknął Zekk przez drzwi. - Zapalniki na trzy sekundy.

Han zarzucił swój wielostrzałowy blaster na ramię i wyciągnął z kamizelki granat ogłuszający. Nastawił szybko zapalnik czasowy, po czym ostrożnie przeszedł na drugą stronę drzwi, żeby zająć pozycję do rzutu. Wiedział, że w otoczeniu trójki bardzo doświadczonych Jedi nie musi się specjalnie obawiać, że dosięgnie go blasterowa wiązka, jednak w ciągu sekundy nadlatywały ich dziesiątki, a nawet Leia nie była nieomylna. Widząc, że Zekk ściąga na siebie ogień z dwóch stron, Han ustawił się nieco z boku i rzucił pierwszy granat ponad barierką.

- Zekk, twój!

Zekk puścił jedną ręką miecz świetlny i odwrócił się bokiem, pozwalając, żeby kilka wiązek przemknęło obok jego wirującej klingi, podczas gdy on wyciągnął dłoń w stronę granatu. Skinął

palcem w kierunku przeciwnego końca atrium; granat poszybował w prawy róg i tam eksplodował. Wybuch był tyleż oślepiający, co ogłuszający. Strażnicy padli jak rażeni gromem, w większości nieprzytomni, chociaż kilku skręcało się z bólu, zasłaniając oczy lub uszy.

Han miał już przygotowany kolejny granat. Był zwrócony twarzą w stronę tej części balkonu, gdzie stała Jaina, więc wykrzyknął jej imię i rzucił granat ponad ramieniem córki. Nie musiała nawet odrywać ręki od miecza świetlnego. Utkwiła tylko wzrok w strażnikach ustawionych rzędkiem na balkonie naprzeciwko niej, a granat ogłuszający pomknął ku nim jak rakietka. Sierżant zobaczył, jak nadlatuje, i zdołał jeszcze wyciągnąć ku niemu rękę, zanim eksplodował w środku jego oddziału. Strażnicy legli nieruchomo jeden na drugim.

Han odwrócił się i rzucił trzeci granat w stronę żony. Leia pozwoliła, żeby odbił się od podłogi balkonu, i posłała go w kierunku oddziału strażników, którzy - widząc, co stało się z ich kolegami - roztropnie zrezygnowali z walki i rzucili się po prostu do ucieczki. Mimo to połowa z nich znalazła się w polu rażenia. Niektórzy uciekali dalej, chwiejnym krokiem, zasłaniając rękami uszy; inni padali na podłogę, zwijając się z bólu. Ci, którym udało się wyjść z eksplozji bez szwanku, kontynuowali po prostu ucieczkę.

Han sięgnął po kolejny granat ogłuszający, ale Zekk go powstrzymał:

- Zostaw. Już ich przekonaliśmy.

Han podniósł wzrok i zauważył, że ostatni oddział strażników wycofuje się z pola widzenia.

Miał właśnie sprawdzić, jak sobie radzi grupa Saav'etu, gdy usłyszał nieregularny stukot w atrium.

Uważając, żeby nie ściągnąć na siebie ognia snajperów, wyrzał i zobaczył setki karabinów blasterowych spadających na podłogę atrium. Wkrótce dołączyła do nich broń SBGS, którą Jaina i Leia przerzucały przy użyciu Mocy ponad barierką balkonu.

- Chyba możemy ruszać - zauważył Han. Spojrzał na otwarte włazy z boku bunkra. Były oddalone od nich o dobre dwadzieścia metrów i od dziesięciu do dwudziestu metrów od podłogi atrium. - Tylko jak się tam dostaniemy? To spora odległość, nawet jak dla Jedi.

Ledwie Han zdążył zadać pytanie, gdy w korytarzu za nimi rozległ się wesoły świergot. Po chwili otworzył się panel pod jednym z włazów, a po nim kolejny, na poziomie grupy Saav'etu, i w kierunku obydwu balkonów zaczęły się wysuwać długie kładki.

- Artoo zastanawia się, czy coś takiego może się przydać - przetłumaczył C-3PO.

- Jasne, dobry pomysł - pochwalił Han. Wetknął głowę przez drzwi i spojrzał na R2-D2. - A mógłbyś zablokować dostęp do atrium wokół bunkra?

R2-D2 odpowiedział długą serią gwizdnięć i ćwierknięć.

- Artoo przekonał Xyna, że jesteście zbuntowanymi więźniami, którzy próbują opanować więzienie - przetłumaczył Threepio. - Cały blok został odizolowany. Neutralizator sygnałów wyłączono, żebyście nie mogli ukryć się w bunkrze przed aparaturą nasłuchową. Muszę jednak przyznać, kapitanie Solo, że nie jestem przekonany, czy odizolowanie bloku to dobry pomysł. Teraz jesteśmy uwięzieni w środku z dziesiątkami wściekłych strażników, a jestem pewien, że część z nich jest nadal przytomna.

Jakby na potwierdzenie jego słów, z dołu atrium wystrzeliła fontanna blasterowego ognia.

Han obejrzał się i zobaczył Yaqeel Saav'etu, która frunęła saltem w kierunku wysuwającej się całej kładki. Bursztynowa klinga kreśliła wokół niej żółty kokon, odbijając nadlatujące błyskawice blasterowe. Jej towarzysze odpowiedzieli na ogień serią ogłuszających strzałów i zanim Yaqeel wylądowała, strażnicy umilkli. Za nią ruszyła Jaina, która odbiła się od barierki, ledwie dotykając jej stopami, i pomagając sobie Mocą, przeskoczyła na górną kładkę.

- Można by to odwrócić, Threepio - stwierdził Han, zerkając w stronę droida. - To te biedne ofiary są tu uwięzione...

Han urwał, gdy z końca korytarza, jakieś sześćdziesiąt metrów dalej, dobiegł metaliczny zgrzyt. Spojrzał w tamtym kierunku i przez wyrwę, którą dostali się do budynku, zobaczył, że jeden koniec repulsorowej platformy unosi się do góry. Po chwili jego oczom ukazał się tępo zakończony, okrągły dziób transportera SBGS.

Han włączył laryngofon.

- Kłopoty! - zameldował i wyciągnął z kamizelki detonator termiczny. - Mamy tu opancerzone...

Z dołu dobiegły stłumione trzaski strzałów z działek, a powietrze wypełnił gryzący zapach stopionego metalu. Han ustawił zapalnik detonatora na trzy sekundy, a wolną ręką sięgnął po droida.

- Z drogi! - Chwycił C-3PO za nadgarstek i wyciągnął go z korytarza. - Biegiem!

- Biegiem? Obawiam się, że moje serwomotory nie są przystosowane do...

C-3PO zawadził nogą o dolną krawędź drzwi i jego protesty przerwał nagły upadek. Na końcu korytarza ukazała się przednia owiewka kabiny oraz właz transportera, który odepchnął już całkowicie repulsorową platformę. Kilka metrów nad włazem wisiał koniec działka blasterowego, które odwracało się właśnie w stronę korytarza. Han postawił nogę na plecach C-3PO i wyprostował się przed drzwiami.

- Ty też, Artoo! - Solo zrobił potężny zamach i cisnął detonator w głąb korytarza, a wolną ręką zamachał, przywołując małego astromechanicznego droida. - Idziemy!

R2-D2 schował końcówkę interfejsu i z cichym warkotem ruszył w stronę Hana. Detonator spadł dwadzieścia metrów przed końcem korytarza i, podskakując, potoczył się w kierunku transportera.

W polu widzenia pojawiła się przednia część wieżyczki działka, a lufa w dalszym ciągu obracała się w stronę Hana. Niepewny, czy da radę unieść astromechanicznego droida, Han nachylił

się i chwycił go wpół.

- Hej! - zawołał przez ramię. - Może byś mi...

Korytarz zalała fala żaru. Po chwili Han znalazł się na podłodze balkonu. Dzwoniło mu w uszach, plamy latały przed oczami, a ręce miał puste.

W korytarzu rozbłysło białe światło, a Han usłyszał odległy huk, który musiał być odgłosem wybuchającego detonatora termicznego. Odwrócił się i zobaczył Zekka, który przywarł do ściany po przeciwległej stronie drzwi. C-3PO podnosił się właśnie z podłogi pomiędzy nimi, za to R2-D2

nigdzie nie było widać.

W każdej chwili spodziewając się kolejnej salwy z działka, Han chwycił Threepia obiema rękami i turlając się, odciągnął droida od drzwi.

- Nie wstawaj! - ostrzegł go.

C-3PO położył się obok Hana.

- Oczywiście - powiedział. - A czy mogę zapytać dlaczego?

- Nie - odparł Han. Cisza uświadomiła mu jednak, że jego reakcja była przesadzona.

Spojrzał w stronę drzwi i zobaczył, że Zekk zagląda ostrożnie w głąb korytarza. - Nie ma go?

Zekk pokiwał głową, stając w drzwiach.

- Załatwiłeś go. Niezły rzut.

- Chodzi mi o Artoo - sprostował Han, wstając z podłogi. - Czy on... no wiesz?

- Artoo zniknął? - C-3PO podniósł się z zaskakującą gracją i podreptał za Hanem do drzwi. -

Stopili Artoo?

Z atrium za jego plecami dobiegł przenikliwy gwizd. Han obejrzał się i z ulgą zobaczył R2-D2 mknącego kładką w stronę bunkra. Tylne połowa obudowy droida była nadpalona i usiana stopionymi elementami, jednak odniesione szkody najwyraźniej w żaden sposób nie wpłynęły na jego zdolności ruchowe.

Po drugiej stronie kładki Leia i Jaina klęczały w otwartym wlocie bunkra, gotowe zapewnić osłonę ogniową. Piętnaście metrów niżej Kunor Bann osłaniał grupę Saav'etu, co oznaczało, że Yaqeel i Natua były już wewnątrz bunkra i szukały dzieci Hornów. Seff, według wiedzy Hana, stał

na balkonie trzy poziomy pod nim, zabezpieczając drogę, którą grupa Saav'etu dostała się do budynku. Strzelanina ustała, a więc on także zdołał się pozbyć atakującego ich pojazdu.

- Artoo, co ty tam robisz? - zapytał C-3PO. - Miałeś obsługiwać złącze danych.

R2-D2 odpowiedział gniewnym ćwierknięciem, wysunął trzecią gaśnicę i podskoczył na progu wjazdu, wjeżdżając do bunkra.

- Nie ma potrzeby się obrażać! - zawołał C-3PO za astromechanicznym robotem. -

Oczywiście, że się cieszę, widząc cię całego i zdrowego!

Han odwrócił się w stronę Zekka i wskazał kciukiem korytarz.

- Może byłoby lepiej, gdyby to Jedi miał na oku to, co się dzieje na zewnątrz. Mam dobry rzut, ale...

- ...to nie to samo co Moc - dokończył Zekk. Odwrócił rękę dłonią do góry, wyciągając ją w kierunku Solo. Dwa z trzech ostatnich detonatorów termicznych Hana wyfrunęły z jego kamizelki i powędrowały do nadstawionej dłoni Jedi. - Pospieszcie się.

- Już się robi. - Han ruchem ręki przywołał C-3PO do kładki i włączył laryngofon. - Jak tam w bunkrze? Znaleźliście te bloki karbonitu?

- Można tak powiedzieć - odparła Yaqeel. - Chyba.

- Chyba? - powtórzył Han. - Wiecie, jak wygląda blok karbonitu, prawda? Duży, czarny prostokąt, a w nim twarz zastygła w krzyku?

- Han, chodź no tutaj - poprosiła Leia. - Inaczej w to nie uwierzysz.

- Dobra - zgodził się Han. Odwrócił się w stronę kładki i stwierdził, że będzie musiał otworzyć bramę dla C-3PO. Wszyscy inni najwyraźniej zdążyli już przeskoczyć. - Już idziemy.

Oslaniajcie nas.

- Zrozumiałam - potwierdziła Jaina. - Tylko biegiem.

- Biegiem? - powtórzył C-3PO. - Próbowałem właśnie wytłumaczyć kapitanowi Solo, że moje serwomotory nie są przystosowane do... nieeeeeee!

Protesty droida przerodziły się w głośny wrzask, bo Natua Wan pojawiła się obok Jainy i, posługując się Mocą, przeniosła go w powietrzu do bunkra. Han zdjął z ramienia wielostrzałowy blaster i pochylony popędził za droidem. Zanim snajperzy zdążyli otworzyć ogień, Jaina uciszyła dwóch z nich serią krótkich strzałów.

Han skierował swojego T-21 w stronę przeciwną niż Jaina i zapominając, że nie przełączył go z powrotem na ogłuszanie, rozpoczął ogień osłonowy. Zanim dotarł do bunkra, nieprzerwany strumień wiązek o dużej mocy spowodował włączenie automatycznego systemu przeciwpożarowego. Z otworów w suficie zaczęła się sączyć piana gaśnicza.

- Niezła sztuczka - powiedziała Jaina przez maskę do oddychania. Razem z Natuą przesunęły się, żeby wpuścić Hana przez właz. - To ma być kamuflaż czy co?

- Hej, jeśli balmorrańska piechota może używać zasłony dymnej - odparł Han, ustawiając poziom mocy w T-21 na ogłuszanie - to ja mogę używać piankowego parawanu.

- Niech ci będzie, tato - westchnęła Jaina, przewracając oczami.

Han mrugnął do niej z zadowoleniem. Odwrócił się, żeby obejrzeć wnętrze bunkra... i z wrażenia opadła mu szczęka.

Znajdował się w ogromnej cylindrycznej chłodni, na jednym z kilkunastu okrągłych balkonów. Na każdym z poziomów wisiało wzdłuż ścian po kilkaset bloków karbonitu. Każdy z nich był podłączony osłoniętym kablem do źródła zasilania i stanowiska kontrolnego.

- A niech to! - wykrzyknął Han. - Będziemy potrzebowali więcej środków transportu!

- Kapitanie Solo, nie ma mowy, żebyśmy zabrali stąd wszystkich - zauważyła Natua.

Falleenka wydzielala prawdopodobnie uspokajajace feromony, ale jeśli nawet tak było, to nie

oddziaływały one na Hana przez maskę, którą miał na twarzy. - A nawet gdybyśmy mogli to zrobić, to nie wiadomo, czy powinniśmy.

Han spojrzał na nią, marszcząc brwi.

- Oczywiście, że powinniśmy! - Nie mógł uwolnić się od myśli o własnych doświadczeniach w karbonicie: zamrożona wieczność strachu i potworna męka przebudzenia. - Masz pojęcie, co to znaczy być zamrożonym w karbonicie?

- Han, Natua chce tylko powiedzieć, że nie możemy pomóc im wszystkim w tej chwili -

wtrąciła Leia, podchodząc bliżej. - Przyszliśmy tu po Valina i Jysellę, a znalezienie ich potrwa dłużej, niż sądziliśmy. To miejsce jest ogromne.

- Co ty powiesz? - odparł Han. - Kim są ci wszyscy goście?

Natua wzruszyła ramionami.

- Przeciwnicy polityczni? Więźniowie sprawiający kłopoty?

- Starzy kumple Daali? - wyraził przypuszczenie Han.

- Możemy się jedynie domyślać - odparła Leia. - Wiemy tylko tyle, że chorzy Jedi nie są jedynymi więźniami, których Daala trzyma w karbonicie.

- Zakładając, że to ona - powiedziała Jaina. - Bo może pułkownik Retk robi to na własną rękę. Widać w tym typowo yakańską wrażliwość.

- Owszem - przyznał Han. - Normalne to to nie jest.

Zaczął liczyć, najpierw bloki wiszące wzdłuż dziesięciometrowego odcinka ściany, a następnie znajdujące się wewnątrz bunkra balkony. Kiedy skończył, zrobiło mu się niedobrze.

- Ponad cztery tysiące - oznajmił. - Nawet jeśli na każdego będziemy patrzeć tylko przez sekundę, zajmie nam to...

Chociaż raz poczuł wdzięczność, kiedy C-3PO podsunął mu odpowiedź.

- Osiemnaście przecinek trzy minuty - poinformował android. - Zakładając, że szukają cztery osoby i każda zmiana poziomów potrwa nie więcej niż pięć sekund.

Natua zwróciła się w stronę najbliższych schodów.

- Zacznę od góry.

Han złapał ją za ramię i pokręcił głową.



- Zaczekaj - powiedział. - Nie mamy osiemnastu minut. Nie mamy nawet jednej czwartej z tego.

Łuski na twarzy Natui pociemniały.

- Nie poddamy się. - Jej ton nie pozostawiał wątpliwości, że było to oświadczenie, a nie pytanie. - Nie teraz, kiedy zaszliśmy już tak daleko.

- Oczywiście, że nie - odparł Han. Odwrócił się w stronę R2-D2. - Zaczynaj nagrywać.

Musimy mieć rozkład, punkty styczne i jak najwięcej twarzy. Kiedy wrócimy do Świątyni, Rada będzie chciała wiedzieć, kim są ci więźniowie, a więc wszelkie informacje, jakie zdobędziesz, mogą się przydać.

R2-D2 zaćwierkał posłusznie i zwrócił się w stronę najbliższego bloku karbonitu.

- Przepraszam, kapitanie Solo - odezwał się C-3PO. - Ale czy nie byłoby lepiej znaleźć port danych? Wtedy Artoo mógłby po prostu zapytać Xyna o położenie Jedi Hornów.

- Nie ma na to czasu - powiedział Han. - Gdyby to było takie łatwe, Artoo już by to zrobił.

- Więc jak znajdziemy Hornów? - spytał C-3PO.

- My nie znajdziemy - odparł Han. - Ty to zrobisz.

- Ja?

- Jasne - potwierdził Han. - Neutralizator sygnałów jest wyłączony i wiemy, że te przekaźniki podrzucone przez Mirax gdzieś tu są.

- Oczywiście! - Leia rzuciła Hanowi jeden z tych czułych uśmiechów, które zawsze go uszczęśliwiały. - See-Threepio ma odbiornik obejmujący pełny zakres częstotliwości.

- To prawda - przyznał C-3PO. - Ale nie rozumiem, jak miałyby mi to pomóc znaleźć Hornów. Przecież nie będą nas wzywać przez komunikatory.

- Oni nie, ale te urządzenia namierzające to zrobią - stwierdziła Jaina. - Taryn mówiła, że ukrywają swoje sygnały pod postacią naturalnego promieniowania, pamiętacie?

- Właśnie - powiedział Han i zwrócił się do C-3PO. - No to przeskanuj pełny zakres...

- Są! - C-3PO wyciągnął rękę, omal nie przewracając Natui, i ruszył nagle w kierunku barierki. - Rozpoznaję sygnał z naszej narady.

- Dobra robota! - Han poklepał C-3PO po plecach i, nie zwracając uwagi na jego protesty, zwrócił się do Natui i Leii: - Pomóżcie Yaqeel i Seffowi przenieść bloki. Ja i Jaina zajmiemy się planem ucieczki.

Zamiast pobiec w kierunku schodów, Leia i Natua zeskoczyły po prostu z balkonu; przytrzymując się jedną ręką barierki, lekko spadły na niższy poziom. Han wrócił do wjazdu, ukląkł

obok Jaina, wyjął z kamizelki ostatnie granaty ogłuszające i ułożył je na podłodze. Miał jeszcze jeden detonator termiczny, który zostawił mu Zekk.

- Teraz zacznie się zabawa. - Wyjrzał na atrium, które wyglądało jak po przejściu śnieżycy.

- Wiesz, gdzie są snajperzy?

- Pewnie, że wiem. - Jaina zakreśliła ręką łuk, wskazując na górne balkony biegnące wzdłuż przeciwległej ściany atrium. - Praktycznie wszędzie.

- Więc nie powinniśmy mieć problemu z trafianiem, co?

- Nie sądzę. - Obejrzała się na niego i dodała: - Wiesz, tato, nie martwiłabym się tak bardzo, gdybyś był Mistrzem Jedi.

Han się uśmiechnął.

- Daj spokój, mała - powiedział. - Ja mam szczęście. Jak dotąd mnie nie opuszcza, prawda?

Jaina odwzajemniła uśmiech.

- Chyba nie. - Pocałowała go w policzek, nachyliła się i przestawiła jego wielostrzałowy blaster na pełną moc. - Ale na wszelki wypadek dajmy im powód, żeby się nie wychylali.

Han ledwie dosłyszał ostatnie słowa, bo jego uwagę przykuła dłoń córki, a właściwie jej serdeczny palec, na którym ponownie pojawił się znajomy, bardzo drogi pierścionek zaręczynowy.

- Hej, a to skąd się tu wzięło? - spytał. - Myślałem, że kazałaś Jagowi wrzucić go do jeziora.

Jaina zarumieniła się i odwróciła wzrok.

- Nigdy czegoś takiego nie powiedziałam.

- No, może coś w tym stylu - zgodził się Han. - Więc co się stało?

- Nic, tato - ucięła dyskusję. - Nie roztrząsaj tego za bardzo, dobra? Sami jeszcze nie wiemy, co to oznacza. Później ci powiem.

- Ale co oznacza? - naciskał Han. - To był prawdziwy powód, dla którego nas odnalazł, zanim wrócił na „Pellaeona”, tak?

- Tato! - jęknęła Jaina. - Nie powinieneś organizować ucieczki?

- To pestka. - Han włączył laryngofon. - Zekk, jak wygląda sytuacja na zewnątrz?

- Na pewno będziemy dziś w HoloNecie - odparł Zekk. - Widzę kilkanaście ekip reporterskich, które cały czas wszystko filmują. Jest BAU, Wiadomości HoloNetu, HoloWiadomości i... dużo, dużo więcej, kapitanie.

Zekk widocznie obawiał się, że ktoś podsłuchuje, ale z tego wynikało, że Doran i Bandy w furgonie HoloWiadomości czekali w umówionym miejscu.

- W porządku - powiedział Han. - A co z naszym transportem?

- Cygnus-7 ma problemy z powrotem - oznajmił Zekk. - Podsłuchują ich łączność i za każdym razem, kiedy próbują zawrócić w stronę więzienia, natykają się na coraz większą liczbę pojazdów SBGS. Twierdzą, że ściga ich już ze dwadzieścia albo trzydzieści.

A więc Turi i Taryn celowo pozwalały na monitorowanie ich łączności, starając się odciągnąć jak najwięcej pojazdów pościgowych.

- *Stang!* - przeklął Han, udając niepokój. Nie podejrzewał, żeby kody komunikatorów Jedi mogły zostać złamane, jednak ostrożność Zekka sugerowała, że przekazywał ich transmisje bezpośrednio do Cygnusa tylko po to oczywiście, żeby zmylić SBGS. - Nie wydostaniemy się stąd bez tego Cygnusa. Każ im się zameldować...

Han obejrzał się za siebie i zobaczył, że Leia biegiem prowadzi ku niemu Yaqeel i pozostałych dwoje Jedi. Między nimi na maleńkich repulsorowych silniczkach unosiły się dwa bloki karbonitu; widać było przerażone twarze Valina i Jyselli Hornów.

- Dwie minuty - powiedział Han do laryngofonu. - Jeśli przez ten czas Cygnus nie zgubi pościgu, zejdziemy do podziemi i spróbujemy uciec piechotą.

Znaczyło to: będziemy w umówionym miejscu za dwie minuty. Niech Doran i Bandy czekają.

- Do podziemi? - powtórzył Zekk. - Piechotą?

- Za dwie minuty to może być nasze jedyne wyjście - odparł Han. - Lepsze to niż gnić w celi SBGS... no nie, Kunor?

W słuchawce Hana odezwał się zaskoczony głos Kunora:

- Eee, jasne, kapitanie Solo... - Po drugiej stronie atrium ubrana na biało sylwetka Kunora ruszyła wzdłuż balkonu w stronę schodów prowadzących na poziom Zekka. - Jeśli chcecie uciekać, idę z wami.

Tłumaczenie: jestem w drodze.

- Dobra, zacznę odliczanie. - Zekk wydawał się naprawdę przerażony, co świadczyło o tym, że tylko udaje. Han wiedział, że jedyną rzeczą, jakiej Zekk się bał, była Ciemna Strona, chociaż i jej kilka razy potrafił stawić czoło. - Porozmawiamy za dwie minuty.

Tłumaczenie: ruszajcie. Transport odlatuje o czasie.

Gdy nadeszli pozostali, Han wstał i w niecałe dziesięć sekund wyłożył swój plan.

Kiedy skończył, Jaina spytała:

- Tato, jesteś pewien, że powinieneś być jednym z tych, którzy ciągną bloki? Bez Mocy będziesz narażony na ataki.

- Dlatego będę szedł na końcu. Zanim wyjdę, nikogo już tam nie będzie. - Han spojrział na chronometr. - Dostyc gadania. Tylko pamiętajcie, żeby się nie zatrzymywać. Biegniemy do wyjścia, wsiadamy i odlatujemy.

Skinął na Natuę i Seffa, którzy natychmiast zapalili miecze świetlne i wybiegli na kładkę. Z

balkonów spadł na nich grad kolorowych błyskawic. Zamiast wykonać rutynowy układ akrobatyczny, dwoje Jedi stało bez ruchu, celowo ściągając na siebie ogień. Ich klingi kreśliły rozzarzone kręgi nad głowami, odbijając błyskawice na boki.

Han i dwie kobiety z rodziny Solo zrobili dobry użytek z tej taktyki. Han uzbroił granaty ogłuszające i zrzucił je na atrium, Leia i Jaina zaś natychmiast posłały je w kierunku strażników, którzy atakując, ujawnili swoje położenie. Zanim Rycerze Jedi dotarli do połowy kładki, ulewa blasterowego ognia zamieniła się w mżawkę.

Han klepnął Jainę w ramię.

- Teraz ty i Yaqeel. Ruszajcie.

Jaina odrzuciła swój blaster i wyskoczyła z włazu, włączając w biegu miecz świetlny. W

przeciwieństwie do Natui i Seffa, trzymała klingę przed sobą, machając nią tylko niemal od niechcienia, gdy któryś ze snajperów zebrał się na odwagę, żeby oddać strzał. Narażał się w ten sposób na kanonadę, jaką w odpowiedzi posyłali Han i Leia.

Gdy Jaina przebiegła jakieś cztery metry, Yaqeel wyprowadziła R2-D2 i C-3PO na kładkę i zaczęła zaganiać oba droidy na drugą stronę. Pomimo obaw Threepia, który wieszczył ogólną zgubę i niechybne zniszczenie, ogień ustał, gdy tylko Yaqeel odbiła jedną jedyną wiązkę.

Kiedy droidy znalazły się w połowie kładki, Han zawiesił swój wielostrzałowy blaster na ramieniu i wstał. Rzucił Leii zadowolony uśmiezek, po czym odwrócił się w stronę unoszących się na repulsorach bloków karbonitu.

- Widzisz? Nic trudnego.

Nagle od strony bunkra dobiegł ogłuszający szcęk zatraskujących się równocześnie włazów. Han obejrzał się i zobaczył żonę; siedziała z otwartymi ustami na kratce podłogi, opierając się na rękach. Patrzyła prosto przed siebie, na brudną durastalową płytę, która blokowała im teraz jedyną drogę

ucieczki.

Skierowała gniewne spojrzenie brązowych oczu na Hana.

- Musiałeś to powiedzieć?

- To nie moja wina! - odparł Han, waląc mocno palcem w przycisk na panelu kontrolnym.

Gdy nie przyniosło to żadnych rezultatów, dodał: - Artoo nic nie mówił, że Xyn może zmienić zdanie!

- Podejrzewam, że ktoś mu pomógł - powiedziała Leia. Wstała i podeszła, żeby obejrzeć właz. - To stop turadium. Wycięcie w nim dziury potrwa wieki.

- No tak, nie mamy tyle czasu. - Han spojrział na chronometr. - Zostało sześćdziesiąt sekund.

Leia zmarszczyła brwi.

- Chyba nie myślisz, że odlecą bez... - Urwała i zaraz pokręciła głową. - Zresztą nieważne.

Nie mają wyboru.

Han pokręcił głową.

- Ten furgon nie ma opancerzenia ani uzbrojenia - przypomniał. - Będą musieli odlecieć bez nas albo zostaną zestrzeleni.

- Powiem im to. - Leia włączyła laryngofon i zmarszczyła brwi. - Ale nie w ten sposób.

Neutralizator sygnałów już działa. Straciliśmy łączność.

Spojrzała przed siebie nieobecny wzrokiem, wysyłając myśli poprzez Moc, chyba ku Jainie, z którą łączyła ją najsilniejsza więź. W tym czasie Han rozglądał się po bunkrze, szukając jakiejś drogi ucieczki, którą Xyn mógł przeoczyć. Było tu zupełnie cicho i dość ciemno. Migające światełka na tysiącach bloków karbonitu przypominały mu coruscański horyzont o zmierzchu. Nie odczuwał jeszcze zimna, ale wiedział, że przy tej temperaturze w ciągu paru godzin grozi mu hipotermia.

Nie widząc żadnej oczywistej drogi ucieczki, Han wyciągnął datapad z kieszeni kamizelki i ponownie przejrzał plany, które dostarczył im wcześniej R2-D2. Już po chwili znalazł to, czego szukał. Spojrzał na stożkową kopułę, która wieńczyła bunkier jakieś trzydzieści metrów ponad nimi.

Podsunał Leii schemat i wskazał na spiczasto zakończone sklepienie.

- Ta część wystaje z dachu. Pamiętam, że widziałem to, kiedy rozstawialiśmy platformy.

- Ja też - odparła Leia. - I co z tego?

Postukał w niewielki ładunek przyczepiony do jego kamizelki.

- A to, że mam jeszcze jeden detonator termiczny.

- To chyba dobrze... - Twarz Leii zaczęła się rozjaśniać, ale chyba nie do końca załapała. - A co potem?

- A potem znajdziemy się na dachu - powiedział Han. Podeszedł do bloku z Valinem i zaczął go przesuwac w kierunku najbliższych schodów. - Tam, gdzie chłopcy z SBGS nie będą się nas spodziewać.

Leia przechyliła głowę.

- No cóż, lepsze to niż siedzenie tutaj. Spróbuję przekazać tę myśl Jainie.

Chwyła Mocą blok Jyselli i ruszyła za Hanem. Wbiegli po schodach najszybciej, jak się dało. Zauważyli windę towarową, ale nie skorzystali z niej, obawiając się, że mogliby zdradzić w ten sposób swoje zamiary. Zresztą Leia podciągała oba bloki do góry, wykorzystując Moc, więc wspinaczka nie była zbyt forsowna. Po paru minutach stali już na najwyższym balkonie, spoglądając na spiczastą kopułę.

Han odpiął detonator termiczny od kamizelki i spróbował ocenić odległość między nimi a wierzchołkiem.

- Chyba jesteśmy wystarczająco daleko, co?

Leia przyjrzała się kopule i pokiwała głową.

- Chyba tak, ale jeśli się mylimy...

Z dołu dobiegł hałas otwieranych włazów. Do bunkra wbiegli strażnicy SBGS w pełnym rynsztunku, a po chwili powietrze przeszyły blasterowe błyskawice.

- Szybko się zjawili - zauważył Han. Razem z Leią przywarł do ściany. Potem ustawił zapalnik detonatora na trzy sekundy i spytał: - Gotowa?

Leia przytaknęła, rzucił więc detonator w stronę kopuły i zaczął głośno odliczać sekundy.

Leia wyciągnęła nagle rękę i zatrzymała detonator przy użyciu Mocy.

- Detonator! - wykrzyknęli strażnicy.

Blasterowy ogień ustał, a strażnicy rzucili się ku najbliższym wyjściom. Leia poderwała dłoń w górę i detonator termiczny pofrunął ku wierzchołkowi kopuły.

- Trzy! - ostrzegł Han.

Oboje Solo zamknęli oczy i odwrócili się twarzą do ściany. Błysk był jednak tak jaskrawy, że Hana rozboleły oczy. Poczł fałę gorąca tak intensywną, że zaczął się zastanawiać, czy nie pomylili się w ocenie odległości.

Usłyszeli głośne skwierczenie, a żar i błysk minęły równie szybko, jak się pojawiły. Han stał nieruchomo przez kilka sekund, żeby się upewnić, czy na pewno żyje, i dopiero wypuścił z płuc powietrze.

- Hej, udało się! - zawołał. Otworzył oczy, odwrócił się, żeby uścisnąć żonę... i o mało nie spadł z na wpół rozwalonego balkonu. - Leia?

Nie było jej. Hornów także.

Większa część balkonu znalazła się w polu rażenia detonatora i po prostu zniknęła. Nadal jednak zostało dobre pół metra durastali, na której mogła i powinna stać Leia.

- Leia!

Han ukląkł i wyrztał ponad rozgrzaną do białości krawędzią balkonu. Miał nadzieję, że zobaczy ją uczeponą balkonu poniżej.

Nikogo tam jednak nie było. Nikogo poza jakimiś czterema tysiącami milczących więźniów.

- Leiaaaa? - zawył. Nigdy jeszcze nie krzyczał tak rozpaczliwie. - Leiaaaaa!

- Han?

Usłyszał jej głos nie tyle w uszach, co w głowie. Pomyślał, że żona próbuje dosięgnąć go poprzez Moc, dotknąć po raz ostatni, zanim odejdzie... na zawsze. Łzy zakręciły mu się w oczach.

A potem znów usłyszał:

- Han!

Spojrzał w górę, ale przez łzy zobaczył jedynie błękitną plamę w miejscu, gdzie detonator rozerwał dach.

- Leia?

- Han! - krzyknęła. - Ruszysz się w końcu? Czekaają na nas!

- Czekaają?

Han wstał i odwrócił się w stronę głosu, coraz bardziej skonsternowany. Niemożliwe, żeby Zekk, Jaina i cała reszta w furgonie byli na dachu. Nawet gdyby nie posłuchali rozkazu, SBGS na pewno by

ich zestrzeliła. A kto jeszcze mógłby czekać razem z Leią, oprócz ich bliskich, którzy odeszli wcześniej? Czyżby on też nie żył?

Han jeszcze raz spojrzął w górę. Z trudem dostrzegł sylwetkę kobiety klęczącej na brzegu dziury, którą zrobił detonator. Tak, to była Leia. Za nią majaczył zwalisty kształt opancerzonego transportera Cygnus-7.

- Leia! Ty... - Ugryzł się w język, nie chcąc wyjść na kompletnego durnia przed kobietą, którą kochał.  
- Już wyszłaś?

- Han, czekam tu od pięciu sekund! Hornowie też! - Z głębi bunkra dobiegł tupot biegnących stóp. Leia zmarszczyła brwi i spytała: - Co się stało? Uderzyłeś się w głowę czy co?

- Eee, tak. - Han otarł rękawem oczy. - Widocznie tak. Wybacz.

- Długo jeszcze? - zapytał znajomy hapański głos. Obok Leii pojawiła się Taryn Zel i omiotła bunkier blasterowym ogniem. Za jej plecami powietrze przeszył pisk działka jonowego Cygnusa-7. - Zbierajmy się, Solo!

Z dołu wytrysnął nieprzerwany strumień blasterowego ognia; odbijał się od górnego pierścienia bunkra i znikał w przestworzach ponad nim. Han zdjął swój blaster z ramienia, spojrzął

w górę i zobaczył wyciągniętą ku niemu rękę Leii; kiedy otworzył ogień, ona wyciągnęła go z bunkra wprost do ładowni Cygnusa-7.

Leia i Taryn wylądowały na nim, a już po chwili zmodyfikowany transporter zsunął się z dachu więzienia i pomknął w dół. Przyspieszenie spowodowało, że wszyscy troje wpadli na przednią gródź ładowni i osunęli się na bloki karbonitu. Leżeli tak jedno na drugim, próbując złapać oddech i uspokoić walące serca. Wreszcie Cygnus-7 ukrył się w mroku podziemi i wyrównał lot.

- No widzisz? - Han objął Leię ramieniem, pocałował w same usta, po czym rzucił jej jeden ze swoich krzywych uśmiechów. - Przecież mówiłem, że to będzie łatwizna.

## ROZDZIAŁ 30

Wyglądało na to, że sprawa Tahiri nie znajduje się już w centrum uwagi. Po raz pierwszy od rozpoczęcia procesu widownia w sali rozpraw numer dziewięć świeciła pustkami. Rano, kiedy gruchnęła wieść o ataku „Błędnego Rycerza” na zwierciadła orbitalne Coruscant, połowa obecnych na sali reporterów wyszła i już nie wróciła. Gdy pojawiła się wiadomość o starcie stealthX-ów, salę opuściła cała reszta dziennikarzy, a kiedy „Rycerz” uciekał w nadprzestrzeń, wychodzili już nawet zwykli widzowie. Teraz, kiedy Daala zaczęła przebąkiwać o stanie wojennym, a cała planeta zamarła w oczekiwaniu na kolejny szturm na Świątynię Jedi, na sali pozostały jedynie osoby biorące udział w postępowaniu.

I to właśnie, według Sardonne Sardon, był problem. Eramuth Bwua'tu przechadzał się tam i z powrotem, sprawiając wrażenie, jakby po omacku szukał linii obrony, chociaż tak naprawdę



przygotowywał się do zmiżdżenia najgroźniejszego świadka oskarżenia, a galaktyczne media były nieobecne. Szala zwycięstwa zaczynała się właśnie przechylać na stronę obrony i nikt tego nie zauważał. W osądzie opinii publicznej twierdzenie porucznik Pagorski, jakoby oskarżona złamała wyraźny rozkaz, wciąż nie zostało obalone. Tahiri w dalszym ciągu była postrzegana jako zdrajczyni, która zamordowała legendarnego dowódcę. No i oczywiście potencjalni klienci nie mogli zobaczyć w HoloNecie, jak szybko Sardonne odwróciła losy procesu.

Tahiri to jednak nie przeszkadzało.

Zależało jej tylko na tym, żeby prawda wyszła na jaw. A prawda była taka, że Caedus polecił jej zabić Pellaeona, gdyby było to konieczne dla uzyskania militarnego wsparcia Imperium.

Tahiri wypełniła ten rozkaz. Rozstrzygnięcie, czy był to akt wojenny, czy morderstwo, pozostawało w gestii przysięgłych. Ona chciała jedynie, żeby podjęli decyzję w oparciu o fakty.

Bwua'tu zatrzymał się przed miejscem dla świadka i popatrzył gniewnie na porucznik Pagorski.

- Twierdzi pani zatem, że wszystkie przedziały na pokładzie „Krasnopłetwina” były monitorowane?

- Tak jest - potwierdziła Pagorski. Tak jak poprzednio, miała na sobie kompletny mundur galowy imperialnego oficera: białą kurtkę z pagonami, a pod nią szarą, zapiętą pod szyję koszulę. -

Wszystkie przedziały z wyjątkiem odświeżacza admirała. Tak nam powiedziano.

- Rozumiem - odparł Bwua'tu.

Pułapkę wymyśliła Sardon, ale nawet ona przyznawała, że jeśli sama ją przygotuje w swoim drobiazgowym, zorganizowanym stylu, trudno będzie zaskoczyć oskarżenie. Był to jeden z powodów, dla których Tahiri była zadowolona, że sędzia Zudan nie zgodził się na rezygnację Bwua'tu po zatrudnieniu Sardon. Doświadczenie i styl starego adwokata doskonale dopełniały inteligencję i zorganizowanie Sardon. Razem tworzyli świetną parę. Przy ich współpracy była spokojna o losy procesu.

- I stąd właśnie wiedziała pani, że moja klientka była obecna w trakcie tej rzekomej konferencji na pokładzie „Krasnopłetwina” przed Bitwą o Fondor? - spytał Bwua'tu, tkając kolejną nitkę w swojej pajęczynie. - Widziała ją pani w przedziale konferencyjnym, z admirałami Niathal i Pellaeonem oraz z pułkownikiem Solo?

- Niezupełnie, mecenasie - powiedziała Pagorski. - Tylko służba bezpieczeństwa wewnętrznego ma dostęp do tych nagrań. Dowiedziałam się ojej obecności później, od jednego z oficerów.

Bwua'tu uniósł puszystą brew, udając zdziwienie.

- Czy oficerowie bezpieczeństwa wewnętrznego na pokładzie „Krasnopłetwina” mieli w zwyczaju plotkować o tym, co widzieli na nagraniach monitoringu?

- Zazwyczaj nie - odparła Pagorski. - Tak się jednak złożyło, że byłam blisko z jednym z nich.

- Chce pani powiedzieć, że były to intymne zwierzenia?

- Tego nie mówiłam - odparła Pagorski.

- Ale można by to tak określić?

Pagorski się zarumieniła i pokiwała niechętnie głową.

- Owszem. Byliśmy bardzo blisko.

- „Byliśmy”? - powtórzył Bwua'tu. - A więc wasz związek się zakończył?

- Nie w taki sposób, jak ma pan myśli - odparła Pagorski. - Mój przyjaciel zginął podczas buntu.

- Och... Przykro mi to słyszeć. - Bwua'tu współczująco opuścił uszy. - Rozumiem, że byliście zakochani?

- Owszem.

Sardon nachyliła się do Tahiri.

- To prawdziwe mistrzostwo - wyszeptła. - Szkoda tylko, że straciliśmy wszystkich dziennikarzy. W ten sposób cała galaktyka mogłaby zobaczyć, kto tu jest prawdziwą ofiarą.

Tahiri się to nie spodobało.

- Nie jestem ofiarą.

- Oczywiście, że nie. - Sardon poklepała ją po plecach. - Byłaś żołnierzem wykonującym rozkazy.

Bwua'tu stanął naprzeciwko świadka z opuszczonym lekko podbródkiem i zwieszonymi ramionami. Wyglądało to tak, jakby dawał jej chwilę na dojście do siebie. Tahiri podejrzewała jednak, że tak naprawdę stara się zwrócić uwagę przysięgłych na jej stan emocjonalny, sprawić, żeby uważnie obserwowali jej reakcję na to, co za chwilę powie.

- Aten pani przyjaciel? - spytał adwokat. - To był... komandor Liyn?

Pagorski otworzyła szeroko oczy.

- Skąd pan wie?

Dekkon musiał zwietrzyć podstęp wcześniej niż Pagorski, bo natychmiast poderwał się, żeby zaprotestować, a jego długie, zwisające rogi zakołysały się pod wpływem nagłego ruchu.

- Wysoki Sądzie, nie rozumiem, jaki związek ma życie prywatne porucznik Pagorski z tymi...

- Chodzi o wiarygodność - przerwał mu Bwua'tu. - Staram się po prostu ustalić przyczynę, dla której świadek okłamał sąd.

- Okłamał, mecenasie? - spytała sędzia Zudan. Popatrzyła na niego zza swojego stołu, a drobne łuski na jej falleeńskiej twarzy przybrały odcień ciemnej purpury. - To bardzo poważny zarzut.

- I mam zamiar udowodnić jego prawdziwość. - Bwua'tu odwrócił się z powrotem w stronę Pagorski. - Chyba że świadek pragnie odwołać swoje wcześniejsze zeznania... W końcu wszystkich nas czasem zawodzi pamięć.

- Mam doskonałą pamięć, mecenasie - odparła lodowato Pagorski. - Pułkownik Solo polecił porucznik Veili, żeby nie zabijała admirała Pellaeona. Tego jestem pewna.

- Rozumiem - powiedział Bwua'tu. - A czy ta pewność nie wynika z faktu, że obwinia pani porucznik Veilę za śmierć pani kochanka?

Pagorski zmrużyła oczy.

- Nie.

- Przepraszam. - Na twarzy Bwua'tu pojawił się sardoniczny uśmiech. - Tylko się upewniam.

Jeden z przysięgłych, Askajianin, prychnął z rozbawieniem, co natychmiast wywołało pełen oburzenia okrzyk: „Wysoki Sądzie!”, ze strony Sula Dekkona i surowe spojrzenie ze strony sędzi Zudan. Bwua'tu wykorzystał moment, żeby wrócić do swojego stołu, gdzie z wielką ostentacją otworzył plastoidowe pudełko i wyjął z niego dataczip o dużej pojemności, taki jak te, które wykorzystywało wojsko. Zaniósł go do ławy przysięgłych i starannie zaprezentował, tak żeby wszyscy zobaczyli emblemat Imperialnej Marynarki Wojennej odbity na obudowie.

Dataczip był zasługą Sardon. Po wysłuchaniu relacji Tahiri na temat zabicia Pellaeona i poprzedzających je wydarzeń, natychmiast zaczęła szukać sposobu na zdemaskowanie kłamstwa porucznik Pagorski. Przeprowadziła małe dochodzenie, które ujawniło imperialną obsesję na punkcie bezpieczeństwa i inwigilacji, a stamtąd był już tylko krok do stwierdzenia, że może istnieć nagranie z monitoringu, które potwierdzi lub zaprzeczy słowom Pagorski. Sardon natychmiast załatwiła oficjalnymi kanałami dyplomatycznymi wszelkie nagrania związane z pobytem Tahiri na pokładzie „Krasnopłetwina”. Otrzymała błyskawiczną odpowiedź, w której poinformowano ją, że w ciągu dwóch miesięcy sprawa zostanie rozpatrzona. Dzień później Bwua'tu dostarczył kody łączności chissańskiemu asystentowi Jaggeda Fela, Ashikowi. Po dwóch tygodniach oryginalne dataczipy - nie żadne kopie czy transkrypcja, ale oryginały - dotarły do nich za pośrednictwem specjalnego kuriera.

Kiedy wszyscy przysięgli obejrżeli dataczip, Bwua'tu zaniósł go porucznik Pagorski i położył na barierce odgradzającej miejsce dla świadka.

- Pani porucznik, czy wie pani, co to jest?

Pagorski ledwie spojrzała na czip.

- Skąd pan to ma?

- To się wyjaśni w swoim czasie, moja droga - odparł adwokat. - A na razie proszę pamiętać, że to ja zadaję tutaj pytania. A zatem wie pani czy nie?

- Oczywiście, że wiem. To dataczip Imperialnej Marynarki Wojennej - powiedziała. - W

WywKomie używamy ich tysiące.

- Nie wątpię. - Bwua'tu odwrócił się twarzą do przysięgłych. - Proszę mi powiedzieć, pani porucznik, czy takie wojskowe dataczipy mają jakieś szczególne właściwości?

- Tak. - Ton porucznik Pagorski był nieufny, ale niewątpliwie zdawała sobie sprawę, że jeśli odmówi odpowiedzi, Bwua'tu wykorzysta to, żeby ją pogrążyć. - Kiedy ktoś przy nich majstruje, ulegają samozniszczeniu. Są odporne na zimno, gorąco, wodę i impuls elektromagnetyczny. A dostęp do nich można uzyskać jedynie za pomocą ściśle tajnego kodu.

- Kodu? - Adwokat całkiem przekonująco udawał zaskoczonego. - A kto zna taki kod?

- Tylko użytkownik danego czipu - odparła Pagorski. - No i oczywiście jego bezpośredni przełożony.

- Rozumiem. Czy zna pani kod tego czipu, pani porucznik?

- Nie.

- Skąd pani wie? - spytał Bwua'tu. Odwrócił dataczip, pokazując wyrytą na obudowie etykietkę. - Nawet pani nie spojrzała na numer identyfikacyjny.

- No, dobrze. - Pagorski nachyliła się, żeby lepiej widzieć czip, i oczy wyszły jej na wierzch.

- To czip szpiegowski PłetwinSeku!

Bwua'tu uśmiechnął się drapieżnie.

- Dziękuję, moja droga. Miałem nadzieję, że pomoże nam go pani zidentyfikować. - Wziął

dataczip i podszedł do biurka sędzi Zudan. - Wysoki Sądzie, chciałbym zwrócić uwagę, że ten dataczip był jednym z wielu, jakie obrona otrzymała w odpowiedzi na prośbę o wszelkie nagrania monitoringu związane z obecnością Tahiri Veili na pokładzie „Krasnopłetwina” w czasie Bitwy o Fondor.

Zanim Sul Dekkon zdążył zgłosić sprzeciw, Sardon wyjęła cienki plik arkuszy flimsiplastu ze stojącej przy jej krześle aktówki i wstała.

- Za pozwoleniem, Wysoki Sądzie, oto złożone pod przysięgą oświadczenia Kthira'shi'ktarlo, osobistego asystenta przywódcy Imperium Galaktycznego Jaggeda Fela, oraz kilkunastu imperialnych oficerów. Wszystkie dotyczą natury tego dataczipu.

Podawała komplet dokumentów Sulowi Dekkonowi, a drugi woźnemu sądowemu, który przekazał je

sędzi Zudan.

- Dokumentują one historię rzeczzonego dataczipu - ciągnęła Sardon - i stanowią gwarancję, że jego zawartość nie została w żaden sposób zmieniona.

- Rozumiem, że obrona chce włączyć ten dataczip do materiału dowodowego? - spytała Sardon.

Sardon pokiwała głową.

- Owszem.

Zudan skierowała wzrok na stolik oskarżenia.

- Czy oskarżenie ma coś przeciwko temu?

- Chwileczkę, Wysoki Sądzie - odparł Dekkon. - Chcielibyśmy przejrzeć oświadczenia.

Zudan się zgodziła, a Dekkon i jego asystent nachylili się nad dokumentami, szepcząc coś między sobą. Tahiri wiedziała, że jeśli plan Sardon miał się nie powieść, to właśnie teraz. Istniało mnóstwo szczegółów formalnych, które oskarżenie mogło wykorzystać do podważenia wiarygodności dataczipu, i chociaż Sardon miała przygotowane kontrargumenty na każdy z nich, to i tak oceniała szanse na włączenie czipu do materiału dowodowego na jakieś pięćdziesiąt procent.

Bwua'tu za to był przekonany, że dowód zostanie zaakceptowany, jeśli tylko dokumentacja będzie w porządku. Dlatego też zależało mu na tym, żeby osobiście ją przygotować.

Po paru minutach Dekkon popatrzył na swoich współpracowników, po czym wstał.

- Wysoki Sądzie, mamy jedno pytanie.

- Tak? - odparła Zudan.

Dekkon odwrócił się w stronę Sardon.

- Jakim cudem obrona zdobyła te materiały? - zapytał. - Prosiliśmy o nie od miesięcy!

Sardon zmrużyła oczy, dopatrując się pułapki.

Bwua'tu tylko się uśmiechnął.

- Zwróciliśmy się oczywiście do kancelarii przywódcy Imperium - wyjaśnił. - Domyślam się, że oskarżenie próbowało załatwić to kanałami dyplomatycznymi?

Twarz Dekkona poczerwieniała ze złości.

- Zgadza się. - Odwrócił się z powrotem ku sędzi. - Wygląda na to, że wszystko jest w porządku, Wysoki Sądzie. Ale zastrzegam sobie prawo przekazania dataczipu do ekspertyzy celem

zweryfikowania jego autentyczności.

- Oczywiście. - Zudan zwróciła się do Bwua'tu: - Obrona może włączyć datazip jako dowód rzeczowy Omega.

Sardon wróciła na swoje miejsce z zaniepokojoną miną, najwyraźniej nieufna wobec tak łatwej kapitulacji Dekkona. Bwua'tu przekazał datazip - dowód rzeczowy Omega - razem z arkuszem flimsiplastu zawierającym kod dostępu i listą plików urzędnikowi sądowemu. Na podświetlonej części ściany ukazał się obraz przedstawiający korytarz na pokładzie

„Krasnopłetwina”. Po chwili na samej górze, w najwyższej części, pojawili się Tahiri i Caedus.

Wyglądali jak maleńkie ludziki na końcu długiego durastalowego tunelu, jednak obraz był

na tyle wyraźny, że widać było, jak idąc, rozmawiają ze sobą. Tahiri widziała to nagranie chyba z pięćdziesiąt razy; omówiła je z Sardon i Bwua'tu, więc pamiętała każde słowo, jakie padło między nimi w trakcie tej krótkiej przechadzki. Mimo wszystko, patrząc na to, czuła chłód i pustkę; nagranie przypominało jej o tym, jak wielką władzę miał nad nią Caedus, i o wszystkim, co zrobiła w jego imieniu.

Zabicie Pellaeona nie było nawet najgorszą z tych rzeczy. Kiedy wracała myślami do tamtych dni, zastanawiała się, czy słusznie zrobiła, próbując usprawiedliwić swoje czyny.

Zdarzało się, że tylko niesłabnące wsparcie rodziny Solo - i upór, z jakim Leia powtarzała, że przestępcy nie mogą sami siebie osądzać - powstrzymywało ją przed tym, żeby oszczędzić Sojuszowi trudu prowadzenia procesu. Han i Leia uważali ją za łącznik z ich nieżyjącymi synami, więc rozumiała, że jeśli się po prostu podda, będą zdruzgotani.

W miarę jak zbliżali się korytarzem, ich sylwetki na ścianie rosły i wkrótce można już było usłyszeć głos Tahiri:

- ...mogłabym zauważyć, czego nie zarejestrowałaby holokamera?

- Gdyby Pellaeon w jakikolwiek sposób chciał mi pokrzyżować plany...

Caedus pstryknął palcami i zarówno dźwięk, jak i obraz zniekształciły zakłócenia.

- Niestety w tym miejscu najwyraźniej wystąpiła usterka - wyjaśnił Bwua'tu. Odwrócił się znów w stronę Pagorski. - Ale pani, czy raczej pani przyjaciel, słyszał całą rozmowę. Czy tak?

- Już mówiłam, że tak - odparła Pagorski.

- A co by pani powiedziała na to, że udało się cyfrowo odtworzyć przebieg rozmowy? I że brakująca część brzmi następująco: pułkownik Solo mówi: „powstrzymasz go... Rozumiesz, co mam na myśli?” Tahiri odpowiada „Tak mi się wydaje”. Następnie pułkownik Solo mówi: „Czasem śmierć... poświęcenie kogoś... jest konieczne, chociaż może się wydawać okrutne”.

Pagorski zastanowiła się nad odpowiedzią, w sposób oczywisty niepewna, czy taka rekonstrukcja faktycznie istniała. Bo rzeczywiście nie istniała, jednak Pagorski nie mogła być tego pewna.

- Powiedziałałabym, że prawdopodobnie wasz ekspert się myli - odpowiedziała wreszcie. - A nawet jeśli nie, to nie zmienia to słów, które sama słyszałam.

- Mówi pani o przechwyconej rozmowie, o której wspominała pani we wcześniejszych zeznaniach, prawda? - spytał Bwua'tu. - Rozmowie, w której pułkownik Solo rzekomo rozkazał

porucznik Veili nie zabijać admirała Pellaeona. Tak pani zeznała?

- Tak. Słyszałam w tej rozmowie, jak pułkownik Solo wyraźnie zabrania oskarżonej zabić admirała - potwierdziła Pagorski. - Tak zeznałam i podtrzymuję to.

- Oczywiście. - Szerokie usta Bwua'tu wykrzywiły się w szyderyczym uśmiechu i Bothanin odwrócił się twarzą do przysięgłych. - W tej rozmowie słyszała pani, jak oskarżona i pułkownik Solo dyskutują nad zabiciem admirała.

Sardon oparła łokcie na stole i nachyliła się do przodu wyraźnie rozkoszując się tym, jak gładko Bwua'tu wciąga Pagorski w pułapkę.

- No dobrze, pani porucznik. A czy może nam pani powiedzieć, co pani zrobiła potem? -

spytał Bwua'tu, wciąż wpatrując się w przysięgłych.

Pagorski zmarszczyła brwi.

- Potem?

- Tak. Kiedy już usłyszała pani, że oskarżona rozmawia o zabiciu admirała - odparł

Bwua'tu. - Co pani zrobiła? Czy zawiadomiła pani admirała? Poinformowała pani o rozmowie PłetwinSek? Wspomniała pani o niej swojemu przełożonemu?

- Słucham? - Pagorski rozsiadła się wygodnie na krześle. - A, tak, oczywiście.

- Co oczywiście? - naciskał Bwua'tu. - Który z tych kroków pani podjęła?

Pagorski myślała przez chwilę, po czym odparła:

- No cóż, wszystkie trzy, oczywiście.

Kolce na plecach Sardon zjeżyły się z niepokoju, tworząc fałdę na jej szacie, jednak Bwua'tu brnął beztrąsko dalej.

- Wszystkie trzy? - spytał, odwracając się w stronę Pagorski. - Musiała więc pani być dosyć zajęta.

Pagorski pokiwała głową.

- Owszem. Przez krótki czas.

- Rozumiem.

Bwua'tu ruszył w kierunku stołu obrony. Sardon odchyliła się na krześle, a łuski na jej twarzy najeżyły się już nie z niepokoju, ale ze złości. Nie tyle obawiała się, że stary Bothanin popełnił błąd, doszła do wniosku Tahiri, ile była zdenerwowana jego postępowaniem. Kiedy podszedł do stołu i zaczął otwierać pudełko, z którego wyjął pierwszy dataczip, Sardon chwyciła go za rękę.

- Eramuth! - szepnęła. - Co ty robisz?

Bwua'tu zastrzygł ze zdziwienia uszami i zmarszczył z dezaprobatą nos.

- Chyba wiesz - wyszeptał. - Mam zamiar zdemaskować kłamstwo porucznik Pagorski.

- A co z Dekkonem? - wysyczała. - Nie pytałeś, czy uzgadniała z nim zeznania.

- Ale oskarżenie nie zrobiło niczego niestosownego - odparł Bwua'tu. - Sul nie wiedział, że ona kłamie. W przeciwnym razie nie zgodziłby się tak łatwo na włączenie dataczipów do materiału dowodowego..

- I co z tego?

Sardon wstała i nachyliła się do ucha Bwua'tu, dzięki czemu Tahiri dobrze widziała zarówno stół oskarżenia, jak i ławę przysięgłych. Wszystkie oczy były zwrócone na jej obrońców i wszystkie wyrażały w równym stopniu dezaprobatę, jaki zdziwienie.

- Przysięgli wyciągną wnioski z samego pytania - powiedziała Sardon. - A potem, kiedy pułapka zadziała, podważy wiarygodność wszystkich świadków oskarżenia.

- Albo obróci się przeciwko nam, jeśli przysięgli uznają, że gramy nieczysto, próbując wykorzystać zmanipulowany dataczip - odparował Bwua'tu. - Jedi nie budzą ostatnio zaufania.

Lepiej nie ryzykować, tylko po prostu podważyć zeznania świadka. Nie musimy zmiążdżyć oskarżenia.

Sardon się odsunęła.

- Czy ty się go boisz? - zapytała.

Pytanie było zadane na tyle głośno, że ściągnęło na nich zdumione spojrzenia przysięgłych i Tahiri zdała sobie sprawę, że sprzeczką adwokatów nie przyniesie jej nic dobrego.

- Eee, przepraszam. - Nachyliła się do przodu, zasłaniając rękę przed wzrokiem wszystkich innych, i wskazała kciukiem na ławę przysięgłych. - Czy myślicie, że w ten sposób mi pomagacie?



Bwua'tu położył ze wstydu uszy, a twarz Sardon zarumieniła się na fioletowo.

- Wybacz, moja droga, ale nie będę atakował Sula Dekkona tylko dlatego, że został wykiwany przez własnego świadka. To nie jest w twoim interesie.

- Jesteś zbyt ostrożny, Eramuth - odparła Sardon, przewracając oczami. - Z Dekkonem tak nie można. Musimy go zniszczyć, póki mamy szansę, ponieważ on ma po swojej stronie znacznie więcej niż tylko Pagorski. On ma fakty.

- A my mamy prawdę - odparował Bwua'tu.

Zanim zdążył coś dodać, rozległ się głos sędzi Zudan.

- Czy możemy kontynuować?

Dekkon wstał.

- Jeśli obrona chciałaby prosić o przerwę...

- Nie!

Bwua'tu i Sardon wypowiedzieli to słowo zgodnym chórem. Tahiri ucieszyła się, że przynajmniej w tej kwestii są zgodni. Nawet ona wiedziała, jak wielkim błędem byłoby zaburzenie rytmu przesłuchania.

- Obrona dziękuję oskarżeniu za troskę. - Bwua'tu skinął głową w kierunku Dekkona, po czym zwrócił się do sędzi: - Ale nie ma takiej potrzeby. Możemy kontynuować.

- Więc proszę to zrobić - poleciła Zudan.

Bwua'tu pokiwał głową i sięgnął ponownie po pudełko, ale Sardon zakryła je dłonią.

Bwua'tu odsłonił koniuszki kłów, Sardon wysunęła pazury na czubkach palców, a Tahiri zaczęła mieć tego dosyć.

- Proszę! - szepnęła. Zdała sobie sprawę, że ostateczna decyzja należy tylko i wyłącznie do niej i że Sardon miała rację, mówiąc, że fakty przemawiają przeciwko niej, więc postanowiła zaatakować. - Eramuth, po prostu zapytaj ją, czy uzgodniła zeznania z Dekkonem, dobrze?

Policzki Bwua'tu obwisły.

- Jesteś pewna, że tak trzeba?

- Nie - przyznała Tahiri. - Ale ta kłótnia musi się skończyć, a szukanie nagrań z monitoringu to był pomysł Sardonne.

Adwokat pokiwał głową.

- Decyzja należy do ciebie, moja droga.

Cofnął rękę i odwrócił się bez drugiego datazipu, który ukazywał wewnątrz przedziału WywKomu na pokładzie „Krasnopłetwina” przez cały czas Bitwy o Fondor.

Wszystkie oczy były zwrócone na Bwua'tu, który znów podszedł do miejsca przeznaczonego dla świadka. Ręce miał splecione z tyłu, wzrok utkwiony w podłódze. Rozejrzał się po sali, jakby oglądał ją po raz pierwszy, po czym zwrócił się do Pagorski:

- Czy może pani podać swoje nazwisko i zawód?

Pagorski uniosła brwi, podobnie jak wszyscy inni.

- Słucham?

- Pani nazwisko i zawód - powtórzył Bwua'tu z rosnącą irytacją. - Dla przypomnienia.

Pagorski spojrzała na sędzię.

- Proszę odpowiedzieć - poleciła Zudan, starając się nie okazywać konsternacji.

- Lydea Pagorski - powiedziała pani porucznik. - Jestem podporucznikiem w Imperialnej Marynarce Wojennej.

Sala była pustawa, więc nawet nie rozległ się szmer, jednak w powietrzu czuć było zdumienie, a Tahiri widziała odbicie własnej konsternacji w oczach wszystkich obecnych.

- Rozumiem - powiedział Bwua'tu. - A co dokładnie należy do pani obowiązków jako podporucznika? Pilotowanie myśliwców?

Pagorski ponownie spojrzała na sędzię. Tym razem Zudan uniosła rękę, dając znak, żeby porucznik zaczekała, po czym nachyliła się nad biurkiem i gestem przywołała do siebie Bwua'tu.

- Mecenasiu, proszę do mnie.

- Niech to szlag! - szepnęła Sardon. - Ten stary nerf próbuje nam pomieszać szyki!

Tahiri pokręciła głową.

- Musi chodzić o coś innego - powiedziała. - Eramuth by tego nie zrobił.

- Nie? No to popatrz na niego.

Tahiri zerknęła jednak w stronę przysięgłych i ze zdziwieniem stwierdziła, że nie patrzą na Bwua'tu, ale na nią. Na ich twarzach malowały się litość i cierpliwość, a w oczach nie widać było potępienia,

lecz współczucie i wyrozumiałość. A kiedy Askajianin rozchylił mięsiste wargi w życzliwym uśmiechu, Tahiri zrozumiała, o co chodzi Bwua'tu.

Stary Bothanin postanowił najwyraźniej wziąć na siebie winę za scenę, którą urządziła Sardon, i zachowywał się tak, żeby wyglądało na to, że to jego starcza demencja była powodem wcześniejszego nieporozumienia w szeregach obrony.

- Nie wierzę, że to zrobił - powiedziała Tahiri.

- Ja też nie - westchnęła Sardon. - To kompletnie nieprofesjonalne.

Tahiri zmarszczyła brwi, słysząc pełny dezaprobaty ton Sardon. Dla niej było oczywiste, że Bwua'tu poświęcił swoją reputację, na którą pracował przez całe życie - bardzo długie życie - żeby chronić swoją klientkę.

- Co jest według ciebie nieprofesjonalne? - spytała.

- To. - Sardon skinęła w kierunku stołu sędzi, gdzie Bwua'tu niezwykle przekonująco odgrywał złość i zakłopotanie. - Udawanie niesprawności po to, żeby wycofać się ze sprawy.

Tahiri pokręciła głową.

- Nie sądzę, żeby o to mu chodziło.

- Uwierz mi, mam rację. - Sardon położyła jej na ramieniu pokrytą łuskami rękę i Tahiri poczuła ogarniający ją spokój, w miarę jak powietrze nasycaly kojące feromony Falleenki. - Ale o nic się nie martw, kochana. Całe życie przygotowywałam się na taką sprawę jak ta.

Tahiri pokiwała głową.

- Widzę. - Wstała i oznajmiła: - Przepraszam, Wysoki Sądzie, ale podjęłam trudną decyzję.

Zudan gestem uciszyła Bwua'tu, po czym popatrzyła na Tahiri.

- Tak?

Tahiri spojrzała na Bwua'tu i nie zdziwiła się, że skinął zachęcająco głową.

Uśmiechnęła się do niego i oświadczyła:

- Chyba muszę zrezygnować z usług jednego z obrońców.

Na twarzy Zudan odmalowała się wyraźna ulga.

- Jestem skłonna się z tym zgodzić. - Wzrok sędzi padł na Bwua'tu. - Proszę mówić.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie. - Tahiri spojrzała na Sardon i powiedziała: - Przykro mi, Sardonne.

Jesteś świetnym prawnikiem, ale myślę, że Eramuth lepiej sobie radzi w pojedynkę.

Sardon wytrzeszczyła oczy z szoku i oburzenia. Nagle spokój Tahiri zmały gorycz i lęk; to Falleenka, próbując ją przekonać, że popełnia straszliwy błąd, zaczęła wydzielać feromony wywołujące niepokój.

- Sardonne, radzę ci, żebyś odeszła sama - wyszeptała Tahiri. - Jeśli będę musiała cię wyrzucić, żadnej z nas nie wyjdzie to na dobre.

Sardon zmrużyła ze złością oczy, ale wzięła swój datapad i wstała.

- Zdajesz sobie sprawę, że właśnie zrujnowałaś sobie życie? - wysyczała. - Ten stary dureń nie ma pojęcia o tym, jak się poruszać po współczesnej sali rozpraw.

Nie czekając na odpowiedź, opuściła salę.

Kiedy Tahiri spojrzała znów przed siebie, zobaczyła, że sędzia Zudan wpatruje się w nią z niedowierzaniem.

- Mam nadzieję, że oskarżona zwolniła właściwego obrońcę.

- Myślę, że tak - odparła Tahiri. Wyjęła ze stojącego na stole pudełka drugi dataczip i wręczyła go Bwua'tu. - I wkrótce wszyscy się o tym przekonają.

Bwua'tu uśmiechnął się szeroko, wziął dataczip i włączył go oficjalnie do materiału dowodowego, przedstawiając odpowiednim urzędnikom sądowym. Po paru minutach przysięgli oglądali już nagranie porucznik Pagorski siedzącej na swoim stanowisku. Bwua'tu wskazał na datę w rogu, która potwierdzała, że nagranie zostało zarejestrowane w tym samym czasie, kiedy Pagorski rzekomo przechwyciła rozmowę na temat admirała Pellaeona.

Bwua'tu odczekał do końca nagrania - całe trzydzieści dwie minuty. Na twarzy Pagorski ani razu nie pojawił się choćby cień zaniepokojenia. I chociaż dwukrotnie przez ten czas rozmawiała ze swoim przełożonym, żadne z nich nie okazywało przejęcia ani nie podjęło widocznych działań, żeby ostrzec Pellaeona lub członków PłetwinSeku o czyhającym na admirała niebezpieczeństwie.

Zobaczyć można było jedynie Pagorski siedzącą spokojnie na swoim miejscu.

Kiedy nagranie się skończyło, Bwua'tu podszedł do Pagorski powolnym krokiem i położył pilot na barierce odgradzającej miejsce dla świadka.

- Pani porucznik, czy zechce nam pani pokazać, kiedy dokładnie przechwyciła pani ten rozkaz wydany mojej klientce?

Pagorski gapiała się przez chwilę w osłupieniu na pilot, po czym wzięła go niechętnie do ręki.

- Nie... nie pamiętam... dokładnie - powiedziała. - Może to było gdzieś na początku.

Ku zaskoczeniu Tahiri głos zabrał Sul Dekkon.

- Wątpię. - Chagrianin wstał i uklonił się najpierw Tahiri, następnie Bwua'tu, a w końcu sędzi. - Wysoki Sądzie, chciałbym przeprosić oskarżoną i obrońcę za ewidentny błąd, jakim było powołanie tego świadka.

Bwua'tu skinął głową.

- Przeprosiny przyjęte, mecenasie.

- Dziękuję. Bardzo pan łaskawy. - Dekkon schylił głowę na potwierdzenie swoich słów, po czym zwrócił się w stronę woźnego sądowego. - Proszę natychmiast wyprowadzić świadka.

- Co takiego? - wykrzyknęła Pagorski. - Nie ma pan prawa! Jestem imperialnym oficerem!

- Który dopuścił się krzywoprzysięstwa w procesie o morderstwo - odparł Dekkon, z trudem hamując gniew. - W Galaktycznym Sojuszu to poważne przestępstwo, pani porucznik. I może pani być pewna, że Tahiri Veila będzie zeznawać w pani procesie.

## ROZDZIAŁ 31

Holoprojektor w Sali Rady skierowany był w stronę fotela na szczycie kręgu. Ten fotel był

teraz pusty; Saba usiadła na swoim zwyczajowym miejscu pośrodku jednej ze stron. Nie zrobiła tego po to, żeby przywódczyni Galaktycznego Sojuszu musiała rozmawiać z nią, odwracając głowę

- chociaż taki był efekt. Nie wybrała też tego miejsca w celu zasugerowania Daali, że Kenth Hamner jest tylko nieobecny, a nie martwy - chociaż było to jej zamiarem. Nie wybrała go nawet z tego powodu, żeby łatwiej ukryć własne rany, zwracając się do holokamer profilem - chociaż trochę na to liczyła.

Saba zajęła swoje zwyczajowe miejsce, ponieważ uznała, że nie jest godna fotela Wielkiego Mistrza. Zabiła Kentha Hamnera w walce o władzę, a dobre długoogoniaste nie popełniały takich błędów. Umiały panować bez zabijania i przewodzić, nie pozbywając się osobników stanowiących o sile stada. Tymczasem Zakon stracił wybitnego Mistrza, młodzi stracili mądrego nauczyciela, a Saba straciła szansę naprawienia przyjaźni, która kiedyś wiele dla niej znaczyła. Wszystko to stanowiło o jej porażce.

Hologram pośrodku kręgu zamigotał, ale w końcu się uspokoił, gdy Daala przestała szukać Kentha i utkwiała wzrok w Sabie.

- Chciałam rozmawiać z Wielkim Mistrzem Hamnerem oznajmiła. Naturalnej wielkości hologram ukazywał piętno, jakie niedawne wydarzenia odcisnęły na przywódczyni Sojuszu. Twarz miała wynędzniałą, oczy zaczerwienione, a skórę pod nimi obwisłą z wyczerpania. - Proszę go w tej chwili przyprowadzić.

- To niemożliwe - odparła spokojnie Saba. - Może pani porozmawiać z nią.

Daala pokręciła głową.

- Nie - powiedziała. - Masz w tej chwili przyprowadzić Hamnera. Po tym, co Jedi dzisiaj zrobili, mogą się spodziewać otwartej wojny z całą armią Galaktycznego Sojuszu.

- Z całą armią? - Saba wydała szyderczy syk. - Ona pani nie wierzy.

- Nie ma znaczenia, w co wierzysz - odparła Daala. - Gdzie jest Mistrz Hamner?

- Jest nieosiągalny.

W chwili, gdy Saba wypowiadała te słowa, otworzyły się drzwi w ścianie Sali Rady. Wszedł

przez nie Corran Horn, a tuż za nim Cilghal. Podeszli do kręgu, gdy jednak zobaczyli hologram Daali unoszący się nad projektorem, zatrzymali się, pozostając poza polem widzenia kamery.

- Niech ci będzie - powiedziała Daala. - W takim razie zwołaj resztę Rady.

Wiedząc, że Daala zauważy nawet najkrótsze zerknięcie w kierunku Corrana i Cilghal, Saba uważała, żeby nie odrywać wzroku od hologramu. Trąciła ich tylko delikatnie poprzez Moc, żeby sprawdzić, czy chcą zająć swoje miejsca. Kiedy oboje pokręcili głowami, Saba nachyliła się bliżej do holoprojektora.

- Reszta Rady także jest nieosiągalna - oznajmiła. - Jeśli chce pani rozmawiać z Jedi, proszę rozmawiać z nią.

Daala zmrużyła oczy.

- Gdzie oni są? - zapytała. - Co znowu knujecie?

- Jedi zrealizowali już swoje plany, pani admirał - odparła Saba. - Pytanie brzmi: jakie są pani zamiary?

- Radziłabym wam spodziewać się najgorszego, Mistrzynie Sebatyne - odparła Daala. - Nie zostawiacie mi wyboru.

- Zawsze jest jakiś wybór, pani admirał. - Saba rozparła się w fotelu i oparła ręce na podłokietnikach. - Tym razem należy on do pani. Jeśli chce pani walczyć, Jedi się dostosują, przynajmniej w tym względzie.

Spojrzenie Daali stało się lodowate.

- Mam to rozumieć jako groźbę, Mistrzynie Sebatyne? Proszę nie opowiadać głupstw. Jedi mogą wziąć zakładników, ale nigdy nie posunęliby się do zabicia z zimną krwią setki istot. Nawet ja w to nie uwierzę.

Saba spróbowała protestować, jakoby uczestnicy turnieju sabaka mieli być zakładnikami, ale

przerwała, kiedy Corran Horn szturchnął ją poprzez Moc i sam wszedł w pole widzenia kamery.

- Pani admirał, czy naprawdę wierzyła pani, że Jedi mogą połączyć siły z Sithami? - spytał

Corran. Zamiast zająć swoje miejsce na końcu kręgu, przeszedł przed kamerą i stanął obok Saby. -

Jest wiele rzeczy, których pani nie wie o Zakonie Jedi. Radziłbym o tym pamiętać.

- Mistrzu Horn, przypominani, że jestem przywódczynią Galaktycznego Sojuszu - odparła chłodno Daala. - Grożenie mi kwalifikuje się jako zdrada stanu.

- A kto tu komu grozi? - zasyczała Saba. - Pani admirał, przecież to śmieszne. Chyba possunęliśmy się już dużo dalej niż pogrożki, prawda?

Daala pobladła, ale była to jedyna widoczna oznaka strachu.

- Tak, Mistrzynie Sebatyne, to prawda.

- Dobrze. - Saba nachyliła się do przodu i spojrzała w obiektyw kamery, robiąc wszystko, żeby jej wizerunek wyglądał jak najgroźniej. - Ona jest zadowolona, że się rozumiemy. Wiele będzie od tego zależeć.

Następnie w pole widzenia kamery wkroczyła Cilghal.

- Zakładnicy, jak ich pani określiła, wrócą za trzy dni, kiedy turniej sabaka się zakończy. -

Przeszła przez krąg i stanęła naprzeciwko Corrana, tak że Saba znalazła się między nimi. - Miejmy nadzieję, że nie zastaną miasta w ruinie.

- Racja, Mistrzynie Cilghal - odparła Daala. Uniosła rękę, dając znak asystentowi, żeby zakończył połączenie. - Zawsze można mieć nadzieję.

Hologram zniknął. Saba i jej towarzysze przez chwilę wpatrywali się w milczeniu w blaknące pasemka kolorów nad projektorem. Każde z nich chciało wyrobić sobie własną opinię o słowach Daali, nie sugerując się zdaniem innych. Saba nie była pewna, jak odczytać reakcję przywódczyni Sojuszu - czy był to jedynie wybieg mający na celu wybadanie, co dzieje się w Świątyni Jedi, czy sposób na odwrócenie uwagi, czy też może ostatnia, rozpaczliwa próba uniknięcia otwartej bitwy. Zauważyła jedynie, że Daala była sfrustrowana niemożnością porozmawiania z Kenthem Hammerem - i można chyba bez większego ryzyka stwierdzić, że wytrąciło ją to z równowagi.

W końcu wszyscy troje podnieśli wzrok.

- Uważam, że poszło nie najgorzej - powiedział Corran.

Saba zadarła głowę, żeby na niego spojrzeć.

- Żartujesz, prawda?

Corran pokręcił głową.

- Nie, nie żartuję. Daliśmy dzisiaj Daali do wiwatu - stwierdził. - Doprowadziliśmy bez walki do startu stealthX-ów, uwolniliśmy Valina i Jysellę...

- Twoje dzieci już tu są? - spytała Saba.

- Jeszcze nie - odparł Corran. - Ale są na pokładzie Cygnusa-7, w drodze do Świątyni.

- W drodze to nie znaczy tutaj - zauważyła Saba. - Ona nie przestanie się martwić, póki nie znajdą się wśród nas.

- Ja też - przyznał Corran. - Ale są z Hanem i Leią. To prawie tak samo dobrze.

- Owszem - zgodziła się Cilghal. - Ale nie zgodzę się, że rozmowa z Daalą poszła dobrze.

Ona się nas teraz boi, a sstrach rodzi niebezpieczeństwo.

- To prawda - odparł Corran. - Ale rodzi też ostrożność, a daliśmy jej mnóstwo powodów do zachowania ostrożności i do podejrzeń, że to jeszcze nie koniec. Jak dotąd wszystko nam się udaje.

Teraz Daala musi się zastanawiać, co jeszcze mamy w zanadru.

Saba pokiwała głową.

- Nikt się nie spodziewa, że sshenbit przestanie gryźć, nim pożre ofiarę - powiedziała. -

Daala będzie musiała uważać, a to wymaga czasu.

- Podobnie jak polityka - dodał Corran. - Na pokładzie „Błędnego Rycerza” przebywa sto osób z coruskańskiej elity. Daala będzie odczuwać ogromną presję, żeby unikać walki, dopóki nie wróca. Jeśli spróbuje wykonać wcześniej jakiś ruch, zaryzykuje utratę swojego zaplecza politycznego.

- To prawda, jeśli tylko wszyscy zrozumieją, że nasi, hm... goście na pokładzie „Rycerza” są bezpieczni - odparła Cilghal. - Poprośmy Landa, żeby nadawał relacje na żywo z turnieju. Jeśli opinia publiczna zobaczy graczy w sabaka grających w sabaka, Daali trudno będzie zrobić cokolwiek, co mogłoby narazić ich na niebezpieczeństwo.

- I udowodnimy tym samym, że nie są zakładnikami - dodała Saba. - Może powinniśmy poprosić Boosstera, żeby dał im możliwość opuszczenia sstatku.

- Zwariowałaś? - ofuknął ją Corran. - Nikt nie odejdzie od stołu, kiedy gra toczy się o sto milionów kredytów.

- No właśnie - zgodziła się Cilghal. - To mi się podoba.

- A więc jesteśmy zgodni - powiedziała Saba. - Ale kiedy turniej się skończy, Daala zaatakuje,



prawda?

- O tak - przyznał Corran, kiwając głową. - W taki czy inny sposób zaatakuje. Narobiła tyle szumu na temat niebezpieczeństwa, jakie Jedi stanowią dla rządu, że nie może nam pozwolić wygrać. Gdyby tak się stało, byłaby skończona jako głowa państwa.

- Więc tak czy inaczej jest skończona - stwierdziła Saba - bo Jedi nie przegrają tej walki.

Barabelka wsparła się na podłokietnikach i podźwignęła do góry. Kolana omal się pod nią nie ugięły, a jej sponiewierane ciało przeszył dotkliwy ból. Ale ból nic nie znaczył; był jedynie informacją, którą Jedi mógł przeanalizować lub zignorować. Ona zignorowała.

- Powinniśmy poprosić Ssolusaarów, żeby do nas dołączyli - powiedziała. - Misstrzowie, ci, którzy są do dyspozycji, muszą wybrać przywódcę na najbliższe dni.

- Co z tobą? - spytała Cilghal. Chwyciła Sabę za łokieć, bo w tym miejscu sprawdzało się u Barabelów tętno. - Nie czujesz się na siłach?

- Ona czuje się na siłach - odparła Saba, zdziwiona. - Ale sskoro zabiła innego Jedi, musi zostać osądzona.

- Osądzona? - spytał Corran. - Przez kogo?

- Przez przywódcę. - Saba wydeła wargi, odsłaniając kawałek kła. - Czassami sprawiasz wrażenie, jakbyś miał kamienie w gnieździe, Misstrzu Horn.

Corran uniósł brwi.

- Naprawdę? - Popatrzył na Cilghal i dodał: - Nie wiem, Mistrzynie Cilghal. Mistrzowie Solusar są zajęci przeprowadzaniem próbnej ewakuacji. Myślisz, że powinniśmy im przeszkadzać?

Cilghal zastanowiła się chwilę, a w końcu pokręciła głową.

- W obecnej sytuacji nie. Chyba wszyscy wiemy, kto powinien być tymczasowym przywódcą.

Corran pokiwał głową.

- Zgadzam się.

Saba czekała, aż wymienią imię, ale oni tylko na nią patrzyli, aż poczuła nieprzyjemne ściskanie w obu żołądkach.

- Nie - powiedziała. - To niesstossowne. Ona nie może zająć miejscsca długoogoniasstego, którego zabiła.

- Obawiam się, że nie masz wyjścia - odparła Cilghal. - Będziemy potrzebowali wojownika na czele Zakonu, a ja nim nie jestem.

- A ja mam w sobie zbyt dużo gniewu i żądz zemsty - dodał Corran. - Jeśli to ja stanę na czele, sprowadzę nas wszystkich na Ciemną Stronę.

Saba pokręciła z uporem głową.

- To nie jest właściwe.

- Ale konieczne - wyjaśniła Cilghal. - Ty to zaczęłaś, Sabo. To ciebie Daala się boi. Musisz to zrobić. Dla dobra Zakonu.

Saba spuściła głowę. Miała nadzieję, że zdoła uniknąć tego brzemienia, że nie zostanie wyniesiona na to stanowisko przez własny błąd. Jednak Moc nie była tak pobłażliwa. Każdy czyn stanowił ogniwo w ciągu przyczynowo-skutkowym i naiwnością było sądzić, że uda się jej uniknąć konsekwencji decyzji, jaką podjęła w hangarze: że może zabić Jedi i nie znaleźć się na granicy pomiędzy Jasną a Ciemną Stroną.

- Sabo, musisz się zgodzić - nalegał Corran. - Resztą zajmiemy się, kiedy już będzie po wszystkim, kiedy Zakon będzie bezpieczny, a Sithowie pokonani...

- ...i kiedy nie będzie już Daali - dokończyła Saba. Wskazała na fotel w szczycie kręgu. -

Ona zgodzi się na to do czasu, aż Wielki Mistrz Sskywalker zasiądzie znów w tym fotelu. Ale kiedy już się to stanie, ona ma zostać osądzona.

Corran pokiwał głową.

- Zgoda. A teraz powiedz nam, co zrobić, żeby Coruscant nie zamieniło się w pole bitwy.

Saba popatrzyła na niego.

- Jest na to tylko jeden sposób, Mistrzu Horn - powiedziała. - Musimy usunąć Daalę ze stanowiska.

## **ROZDZIAŁ 32**

Trzy promy klasy Kondo od półgodziny podążały śladami smug kondensacyjnych, na próżno szukając wyspy położonej niemal dokładnie pod nimi. Tymczasem niewielka grupka wojowników Sithów, która znajdowała się w wiosce, szukając Abeloth, miała naprzeciw siebie sześciokrotnie liczniejsze siły Fallanassich. Sarasu Taalon był tak słaby, że słaniał się na nogach i z każdą chwilą wyglądał coraz gorzej. Dlaczego zatem Arcylord wciąż wierzył, że panuje nad sytuacją? - Luke nie mógł tego pojąć.

- A więc Abeloth zwróciła się do Fallanassich z prośbą o ochronę. Mam uwierzyć, że nie masz pojęcia dlaczego? - spytał Taalon.

Arcylord stał na środku pokrytego mchem kręgu, który kiedyś był kamiennym dziedzińcem.

Naprzeciw niego, niemal na wyciągnięcie miecza świetlnego, unosiła się w powietrzu kobieta ze skrzyżowanymi nogami. Wyglądała jak Akanah, jednak Luke zaczął się obawiać, że jest to raczej ich cel, Abeloth. Przemiana mogła być zwykłą iluzją, mogła być też wynikiem replikacji lub nawet faktycznym przeniesieniem ducha i umysłu. Luke tego nie wiedział. Był pewien tylko jednego: jeśli chce na dobre zniszczyć Abeloth, musi odkryć, która z tych ewentualności tutaj występuje.

- Tego nie mówiłam - odparła Akanah, zwracając się do Taalona. - Powiedziałam tylko, że nie wiemy, kim ona jest.

W zmęczonych oczach Taalona błysnął gniew.

- Twoje odpowiedzi może i są szczerze, ale niczego nie ujawniają. - Podeszedł bliżej, Akanah zaś się cofnęła. - Nudzą mnie te gierki.

Kobieta rozłożyła ręce w geście bezradności.

- Nie zapraszaliśmy was tu. Nie widzę powodu, żeby przejmować się twoim samopoczuciem.

- Może zatem Miecz Khai powinien dać ci powód.

Taalon skinął na Khaia, który zdjął już nieporęczny kombinezon ochronny i miał na sobie zwykłe ciemne szaty. Arcylord wyjaśnił, że ropna ospa to tylko sztuczka Fallanassich. Nerwowe zachowanie Khaia - i pozostałych Sithów, którzy zamienili kombinezony na tradycyjne szaty -

zdradzał jednak, że dla nich to akt wiary, a nie wyraz wewnętrznego przekonania. Iluzja Fallanassich wciąż oddziaływała na ich umysły, wzbudzając w nich przekonanie, że są chorzy, wbrew zapewnieniom Taalona.

Khai wyciągnął rękę w kierunku obwodu kręgu, gdzie stały dziesiątki Fallanassich, obserwując konfrontację, a siwowłosa kobieta, którą Taalon niedawno uderzył, zaczęła się zbliżać, powłócząc nogami i pozostawiając bruzdy w mchu. Zaniepokojony Luke przesunął rękę w kierunku zwisającego u pasa miecza świetlnego. Odsunął się od Taalona i Khaia, żeby zyskać pole manewru, i poczuł szturchnięcie Mocy od brzegu kręgu.

Spojrzał w tamtą stronę i zobaczył swojego syna. Stał z jedną ręką na mieczu świetlnym, w pozycji pozwalającej mu mieć na oku zarówno Luke'a, jak i Vestarę. Dziewczyna wyglądała na równie czujną. Ustawiła się w bezpiecznej odległości, w identycznej pozycji jak Ben. Oboje, i młody Jedi, i Sithanka, widzieli już dużo przemocy i śmierci w swoim krótkim życiu, Luke ubolewał

jednak, że będą świadkami tego, co miało wkrótce nastąpić. Wiedział, że bitwa - jeśli można użyć tego słowa - przypominać będzie raczej rzeź niż walkę, i istniało spore prawdopodobieństwo, że polegną w niej obaj ich ojcowie. Luke dałby wszystko, żeby oszczędzić im tego widoku, jednak pewne rzeczy przekraczały możliwości nawet Wielkiego Mistrza Jedi.

Luke skupił się ponownie na tym, co działo się wewnątrz kręgu. Gavar Khai trzymał przed sobą starszą kobietę - Eliyę - przy użyciu Mocy. Policzek, w który uderzył ją wcześniej Taalon, był

spuchnięty i siny, a szczęka najwyraźniej złamana. Kiedy jednak Khai przycisnął niezapalony miecz świetlny do jej uda, kobieta nie okazała strachu.

Luke zrobił krok naprzód.

- To nic nie da - powiedział. - Jeśli sądzicie, że Fallanassich da się zastraszyć...

- Ta sprawa ciebie nie dotyczy, Jedi - wtrąciła Eliya. - Wyrzuciłeś nam już wystarczająco dużo złego.

Taalon uśmiechnął się, podziwiając jej odwagę, po czym zwrócił się do Akanah.

- Powiesz mi zaraz, dlaczego Abeloth zwróciła się do Fallanassich, żeby zapewnili jej ochronę - zażądał - albo ta starucha zapłaci za twój upór.

- Nic mu nie mów, pani - powiedziała Eliya, przenosząc wzrok z Luke'a na Akanah. - Te węgorze ściekowe nie zasługują na twoje...

- To akurat mogę mu powiedzieć, siostrze. - Akanah nie odrywała wzroku od Taalona. -

Abeloth powróciła do Fallanassich, ponieważ sama jest Fallanassi.

- Co? - wyrwało się Benowi. - Jak to możliwe? Abeloth była uwięziona w Otchłani przez dwadzieścia pięć tysięcy lat!

Akanah zerknęła w jego kierunku.

- Fallanassi są znacznie starsi, Benie Skywalker - powiedziała. - Starsi niż Jedi, starsi niż Sithowie, starzy jak cała cywilizacja.

Taalon zmrużył oczy, obejrzał się na Luke'a i uniósł pytająco brwi.

- Czy to możliwe?

- Chyba tak - odparł Luke z nadzieją, że Taalon zrezygnuje z torturowania Eliyi, jeśli Akanah, czy też Abeloth, zechce ujawnić jakąś część historii Fallanassich, żeby ocalić Eliję, to być może zdradzi im coś jeszcze: kryjówkę Abeloth. - Ale bardziej interesuje mnie to, czy Abeloth zawsze była Fallanassi, czy też dołączyła później?

Na ustach Akanah pojawił się chytry uśmiezek.

- Słyszac odpowiedź na to pytanie, zgadlibyście, czy ona wciąż tu jest - powiedziała. - A tego nie zdradzę.

- Wcześniej czy później zdradzisz. - Taalon machnął ręką i skinął na Khaia, który włączył

swój miecz świetlny, przyciśnięty do uda Eliyi. Krzyk kobiety zagłuszył niemal całkowicie

skwierczenie zapalanej klingi. Powietrze wypełnił zapach palonej skóry. Kolana Fallanasski ugięły się, a ona runęła do przodu. Khai cofnął się, podstawiając klingę, na którą się nadziała. Jej głos nagle ucichł.

W całej wiosce dało się słyszeć skwierczenie zapalanych mieczy świetlnych, należących do Sithów z ekipy poszukiwawczej, z pewnością zawiadomionych o możliwych kłopotach poprzez Moc. Jeśli jednak Taalon naprawdę sądził, że odpowiedzią Fallanassich będzie fizyczna przemoc, to najwyraźniej niczego się nie nauczył przez tę godzinę, którą strawił na próbach zastraszenia ich.

Luke położył rękę na swojej broni, ale nie włączał jej ani nawet nie odpinał od pasa. Nie był jeszcze gotów do walki z Taalonem i jego ludźmi, musiał więc uważać, żeby ich nie sprowokować. W

końcu to Abeloth była jego celem numer jeden.

Akanah uniosła się nieco wyżej i zawisła nad Taalonem.

- Uważasz, że możesz mnie zastraszyć? - zapytała.

Gavar Khai spojrział na rozdarte ciało Eliyi i wytrzeszczył z przerażenia oczy. Uniósł klingę i zaczął nią ciąć powietrze, wykonując przy tym obroty i uniki jak w walce. Dwa razy wzdrygnął

się, jakby został trafiony. Za każdym razem z jego ust wydobywał się bolesny jęk, a ruchy stawały się coraz mniej pewne i energiczne. Zaczął się wycofywać niezdarnie i powoli, garbiąc się jak starzec.

W końcu Khai odwrócił się tyłem do ciała Eliyi i krzycząc, zaczął uciekać chwiejnym krokiem. Gdyby własna córka nie powaliła go podmuchem Mocy, biegłby może tak długo, aż opuściłby wioskę lub nawet wyspę. Teraz zakrył głowę i leżał na ziemi, jęcząc, dopóki Vestara -

chcąc oszczędzić mu wstydu - nie pozbawiła go przytomności jeszcze jednym ciosem Mocy.

Taalon skinął palcem na Akanah, ściągając ją na wysokość wzroku.

- Zamienię cały Zakon Fallanassich w duchy. Tego chcesz?

- Zapewniam cię - odparła Akanah - że to nie będzie konieczne.

Zanim Taalon zdążył odpowiedzieć, Sithowie w całej wiosce zaczęli krzyczeć i wymachiwać mieczami. Raz trafiali w Fallanassich, innym razem w paproć drzewiastą albo pokrytą grzybem chatę, niekiedy nawet trafiali siebie nawzajem - najczęściej jednak siekli tylko powietrze.

Niebawem wszyscy zaczęli się wzdrygać i krzywić z bólu, jakby pod wpływem ciosów; spróbowali formować szyki obronne, co w żadnym stopniu nie zmniejszyło ich paniki.

Luke obejrzał się na Bena i z ulgą stwierdził, że Akanah oszczędziła jego synowi - a także Vestarze - cierpienia, jakie wywoływała jej iluzja. Dał im znak, żeby podeszli do niego i Taalona, który także zdawał się wolny od działania sztuczki. Potem Mistrz Jedi wycofał się z Białego Nurtu specjalnie po to, żeby zobaczyć iluzję, której ulegli Sithowie.

Wyglądało to tak, jakby Sithów obiegły półprzezroczyste zielonkawe postacie. Widziadła miały upiorne, zdeformowane twarze, a z palców wyrastały im cienkie macki. Co parę sekund któreś z nich wypuszczało obłok brązowej pary w twarz jednego z wojowników. Ofiara w ciągu sekundy starzała się o kilkanaście lat; twarz się marszczyła, a sylwetka chyliła się do ziemi.

Jednak najbardziej przerażające były macki. Wystrzeliwały z upiornych palców i wnikały w gałki oczne, nozdrza lub uszy intruzów. Potem wewnątrz tych macek pojawiały się krople ciemnej energii, z każdą kroplą zjawy stawały się coraz wyraźniejsze i wyglądały coraz bardziej realnie.

Po jakimś czasie duchy przestawały wydzielać brązowe opary, a zaczynały pluć ogniem.

Wkrótce wszędzie wokół widać było strzelające w górę płomienie, które wygoniły Sithów z wioski.

Uciekali, wrzeszcząc i potykając się, podobnie jak niedawno Gavar Khai. Niebawem najszybszy z nich dotarł do niskiego kamiennego murku, który oddzielał wioskę od wysokiego na tysiąc metrów urwiska.

Gdy Luke zobaczył, jak pierwszy wojownik przeskakuje nad murkiem i z krzykiem spada w przepaść, wyzbył się wszelkich wątpliwości co do tożsamości kobiety, którą miał przed sobą. Żaden adept Białego Nurtu nie wykorzystałby tak beztróska swoich zdolności do zabicia jakiegokolwiek istoty.

Luke ponownie zanurzył się w Nurcie. Rozgrywające się przed nim sceny mogły doprowadzić do obłędu. Fallanassi stali obok swoich chat, podczas gdy Sithowie młócili powietrze i tarzali się w mchu, próbując ugasić nieistniejący ogień. Luke nie wiedział, czy adepci współtworzą iluzję, czy też przyglądają się tylko, jak Abeloth znęca się nad intruzami. Był jednak przekonany, że Fallanassi znajdują się pod przemożnym wpływem Abeloth; w przeciwnym razie nie pozwoliliby na takie zbezczeszczenie Białego Nurtu.

Mając dość przyglądania się temu szaleństwu, Taalon najwyraźniej zebrał się na odwagę, odpiął swój miecz świetlny i wycelował go w unoszącą się przed nim kobietę.

- Masz to zakończyć, i to już - zażądał.

Abeloth tylko się uśmiechnęła.

- Mogłabym, owszem. - Odsunęła się od niego i odwróciła w stronę domu, w którym wcześniej się pojawiła. - Mogłabym także wytłumaczyć ci, co się dzieje.

Taalon nie był już wściekły i zmęczony; miał zachwyconą minę. Zerknął w stronę swoich oszalałych podwładnych, jednak Luke wiedział, jaka będzie jego decyzja, zanim jeszcze Arcylord odwrócił wzrok. Najwyraźniej Abeloth też to wiedziała, bo ruszyła w kierunku domu, nie czekając na jego odpowiedź.

- Wybór należy do ciebie - powiedziała. - Ale pospiesz się. Nie masz dużo czasu.

To wystarczyło, żeby Taalon popędził za nią.

Luke zaczekał, aż Arcylord się dostatecznie oddali, i zwrócił się do Bena:

- Musimy zabezpieczyć „Cień”. Weź Vestarę i...

- Nawet o tym nie myśl. „Cień” jest zamknięty szczelniej niż serce Daali. - Ben wskazał mieczem świetlnym na dom zgromadzeń. - Nie pozwolę ci tam wejść beze mnie.

- I nie ma mowy, żebyś mnie tu zostawił, z Benem czy bez niego - dodała Vestara.

Wyciągnęła rękę w kierunku swojego nieprzytomnego ojca, który uniósł się w powietrze i zaczął płynąć ku nim. - Rozejrzyj się, Mistrzu Skywalkerze. Chyba będziemy bardziej bezpieczni przy tobie i Lordzie Taalonie.

Luke zastanowił się chwilę, po czym skinął głową. Gdyby Ben i Vestara spróbowali teraz wejść na pokład „Cienia”, musieliby zmierzyć się z oszalałymi Sithami. A nawet gdyby udało im się wejść bezpiecznie na pokład i opuścić wyspę, byłiby zdani na łaskę trzech promów klasy Kondo, które znajdowały się ponad nimi. Przez wiele dni Luke spodziewał się, że posiłki Jedi nadejdą na czas. Teraz jednak nie miał wątpliwości - byli z Benem zdani tylko na siebie.

- No dobra - powiedział. - Tylko bez brawury. Cały czas staram się to rozgryźć. Powiem wam potem, co macie robić.

Ben obejrzał się na Vestarę, która pokiwała głową, i odparł:

- Jasne, tato. Tylko nie daj się zabić, a wszystko będzie dobrze.

Ruszyli za Abeloth i Taalonem. Niebawem weszli w strumień energii Ciemnej Strony, tak gęsty, że wydawał się lepki. Luke przypomniał sobie miazmaty strachu i bólu, które wyczuł, kiedy opuścili „Cień”, i zrozumiał, że Vestara miała rację - to była surowa siła. Czuł siłę Ciemnej Strony wytwarzaną przez lęk i cierpienie wywołane przez „zarazę”, jaka opanowała Pydyr. Abeloth gromadziła tę energię, bez wątpienia wykorzystując ją do uleczenia ran, jakich doznała w Otchłani.

Weszli do domu zgromadzeń - ciemnego pomieszczenia z belek, o sklepionym suficie, pogrążonego w cieniu i dymie. Na jego końcu znajdowała się obniżona scena, otoczona kilkoma rzędami wbudowanych siedzeń. Bił stamtąd czerwony blask, promieniujący tak silnym żarem, że Luke'owi wystąpiły na czoło kropelki potu, mimo że był oddalony o jakieś dziesięć metrów. Na skraju sceny stali Abeloth i Taalon. Abeloth spojrzała gniewnie na Luke'a.

- Nie przypominam sobie, żebyś cię zapraszała.

- Chciałem sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku, Akanah. - Luke dał znak dwojgu młodym, żeby zaczekali przy drzwiach, a sam ruszył naprzód. Wiedział, że nie oszuka Abeloth; nie mógł ukryć przed nią swoich podejrzeń co do jej prawdziwej tożsamości. Jego jedyną szansą, żeby zbliżyć się na odległość ataku, było przekonanie jej, że to ona jest górą, że może nim manipulować.

- Sądząc po wyglądzie tego miejsca, dobrze zrobiłem.

- A dlaczego sądzisz, że nie tak powinno to wyglądać? - Abeloth nie odsunęła się, kiedy Luke się do niej zbliżał; zauważył w scenie pęknięcie. Świeciło tak jasno, że strach było zajrzeć do środka, jednak Luke słyszał już nieraz odgłosy bulgoczącej lawy, więc rozpoznał dobiegające stamtąd dźwięki. - Przecież nie byłeś tu wcześniej, Luke'u Skywalkerze.

- Oboje wiemy, że nie tak powinna wyglądać sala medytacyjna Fallanassich. - Luke wiedział, że rozmawia z Abeloth, nie z Akanah. Ale skąd ona wiedziała, że nigdy wcześniej tu nie był? Czyżby ukradła wspomnienia Akanah razem z jej wyglądem? Czy zawłaszczyła je wszystkie?

Jeśli tak, to jest jeszcze bardziej niebezpieczna, a on jeszcze bardziej bezbronny. - Powiedz mi, co się tu dzieje, Akanah. Fallanassi nie wykorzystują Nurtu do zabijania.

- Pamiętaj, że Wialu wykorzystwała w czasie Bitwy o N'zoth - przypomniła mu Abeloth. - I to ty ją o to prosiłeś. Widać pewną prawidłowość, nie sądzisz?

Luke wzruszył ramionami, chociaż strach ścisnął mu gardło. Najwyżej setka istot w galaktyce wiedziała o tym, co się wydarzyło w czasie Bitwy o N'zoth. To on przekonał

przywódczynię Fallanassich, Wialu, żeby pomogła Nowej Republice wygrać w rozpaczliwej walce.

A Abeloth nie należała do tej setki.

- Ale teraz nie prosiłem cię, żebyś kogokolwiek zabijała - powiedział, stając obok niej po przeciwnej stronie niż Taalon.

- Nie, ale to przez Jedi zaszła taka konieczność. Twój siostrzeniec doprowadził do zmiany Nurtu. - Kątem oka Abeloth dostrzegła skierowane na siebie spojrzenie Taalona i wytrzymała je. -

Z powodu tego, co zrobił Jacen Solo, Tron Równowagi zostanie zawłaszczony przez uzurpatora.

- Uzurpatora? - spytał Taalon.

Luke zaklął cicho. Trudno stwierdzić, jak dużo Abeloth wiedziała o jego wizjach dotyczących tronu, ale tak czy inaczej, nawet wspomnianie o tym w obecności Taalona stwarzało zagrożenie dla Allany.

Abeloth nie odpowiedziała na jego pytanie, więc Taalon zadał kolejne:

- Masz na myśli królową Jedi?

Abeloth udała, że nie słyszy, i przeniosła wzrok na Luke'a.

- To przez Jacena Solo Fallanassi muszą zrobić wszystko, co konieczne, by przywrócić Nurtowi właściwy bieg - powiedziała. - Gdziekolwiek zjawiają się Jedi, Mistrzowi Skywalkerze, tam zapanowuje chaos. Fallanassi muszą naprawiać wasze błędy, ale odpowiedzialność za nasze czyny nie spoczywa na nas.



- Tylko zabójca jest zbrodniarzem, jego kat nie - zgodził się Taalon. - Opowiedz mi o tym uzurpatorze.

Abeloth w końcu zwróciła na niego uwagę i uniosła brew.

- To prośba czy rozkaz?

- Propozycja - powiedział łagodnie Taalon. - Podaj imię tej królowej Jedi, a dostaniesz wszystko, co tylko Sithowie mogą ci zaoferować.

- Ona się z tobą bawi. Ta królowa i jej Tron Równowagi to tylko kolejna iluzja - wtrącił pospiesznie Luke. Fakt, że Abeloth próbowała nastawić ich przeciwko sobie, uznał za dobry znak.

Mogło to oznaczać, że jest jeszcze zbyt słaba, żeby z nimi walczyć. Niestety, była to też skuteczna taktyka, ponieważ Luke nie mógł pozwolić, żeby jakikolwiek Sith poznał prawdziwą tożsamość Allany i opuścił tę salę żywy. - Akanah sama ci powiedziała, że Abeloth była Fallanassi. Nie daj się nabrać na jej sztuczki.

Abeloth uśmiechnęła się z wyższością do Luke'a i spojrzała ponownie na Taalona.

- Kapaleś się w Sadzawce Wiedzy - zwróciła się do Sitha. - Musisz uwierzyć w to, co widziałeś.

- Dobra rada od kogoś, kto jest mistrzem iluzji - zauważył z sarkazmem Luke. Popatrzył na Taalona. - Ona próbuje nastawić nas przeciwko sobie. Nie widzisz tego?

- Sądysz, że Arcylord mógłby tego nie zauważyć, Mistrzu Skywalkerze? - Taalon nie odrywał wzroku od Abeloth. - To, czyje się uda, zależy od tego, co ma do zaoferowania.

Abeloth stanęła tak, że Arcylord znalazł się pomiędzy nią a Lukiem.

- Sarasu Taalonie, wyjawię ci, czym się stajesz - wyszeptała mu do ucha, na tyle głośno, że Luke wszystko słyszał mimo bulgotania magmy. - A kiedy to zrozumiesz, nie będziesz mnie potrzebował, żeby poznać tożsamość królowej Jedi. Sam to odkryjesz.

Taalon bez słowa zmierzył Luke'a spojrzeniem, a Mistrzowi Jedi przebiegł po plecach zimny dreszcz. A zatem Arcylord podjął decyzję. Skywalkerowie pozostali sami przeciwko połączonym siłom Taalona i Abeloth. I nie było innego sposobu na ocalenie Bena niż zwycięstwo.

Luke dotknął Bena poprzez Moc, przekazując mu świadomość grożącego niebezpieczeństwa. Potem, jakby nigdy nic, zaczął zaglądać w zakamarki sali.

- Dość tego, Abeloth. Co zrobiłaś z Akanah? - zapytał. Oddalał się od sceny, udając, że jej szuka. - Zamieniłaś się z nią na ciała, tak jak z Dyonem Staddem?

Taalon rozumiał, o co tak naprawdę chodzi Luke'owi, i nie miał zamiaru dać się przygwoździć do sceny. Błyskawicznie sięgnął po miecz świetlny i ruszył, żeby przeciąć swojemu wrogowi drogę... a

Luke właśnie na to liczył.

Chwycił Taalona Mocą i posłał go szerokim łukiem w stronę drzwi. Syk zapalanej klingi potwierdził, że Ben rozumiał, o co chodziło Luke'owi. Zanim ojciec sięgnął po własną broń, jego syn skoczył już do walki, kreśląc niebieską klingą łuk, który wyczerpanemu i osłabionemu Taalonowi powinien sprawić niemały kłopot.

Luke uznał, że mogą jednak wygrać tę bitwę; obudził do życia swoją klingę i ruszył na Abeloth. I wtedy właśnie od drzwi, z miejsca, gdzie stała Vestara, dobiegło skwierczenie błyskawicy Mocy. Ben krzyknął z bólu i zaskoczenia. Za plecami Luke'a rozległy się dwa głuche huki i jego syn wylądował na jednej ścianie, a Taalon na drugiej. Łoskot odbił się echem po sali, a Taalon zawył z bólu.

Luke zdążył dopaść Abeloth i zaatakował ją wściekłym kopniakiem. Było to tak, jakby wymierzył cios w durastalową ścianę. Abeloth wyciągnęła rękę, próbując wydrapać mu oczy, ale Luke był na to przygotowany. Jego klinga przeszła przez ramię, jakby to była nutripasta.

- Luke! - Przerażony głos należał niewątpliwie do Akanah. - Nie! Przecież to ja!

Luke nie uwierzył jej nawet na chwilę. Dokończył cios, tnąc na wysokości uda, aż poczuł, że ostrze wbija się w nogę. Abeloth wrzasnęła tuzinem różnych głosów i runęła na rzędy wbudowanych w podłogę siedzeń. Mistrz Jedi posłużył się Mocą, żeby rzucić ją w kierunku przecinającej scenę szczeliny, ale nic nie widział, oślepiiony bijącym od magmy blaskiem.

Za wszelką cenę chciał dowiedzieć się, co się stało z Benem. Sięgnął poprzez Moc i wyczuł przerażoną, zamroczoną obecność kogoś, kto otrzymał potężny cios. Odwrócił się i zobaczył swojego syna, który, przyparty do ściany, bronił się przed zaciekłym atakiem Vestary -

niewyszukaną kombinacją góra-dół-dół-góra. Ben zdołał ją zablokować tylko dzięki swojej sile w Mocy i odruchom wyćwiczonym w trakcie tysięcy godzin treningów.

Luke wyciągnął palec w kierunku Vestary i cisnął nią w Taalona, który właśnie kuśtykał w stronę Bena. Jedno kolano ugięło się pod nim za każdym razem, gdy przenosił na nie ciężar ciała.

Gdyby Arcylord był w pełni sił, skierowałby po prostu Vestarę z powrotem na Luke'a, jednak -

osłabiony urazem i trwającą przemianą - ledwie zdołał nad nią przeskoczyć, wystawiając się tym samym na atak.

Luke uniósł miecz świetlny i złapał Sitha w Mocą, chcąc rzucić go na zapaloną klingę... gdy nagle poczuł, że coś chwyta go za kostki. Nie zdążył się nawet zdziwić. Miał ledwie nanosekundę, żeby zorientować się, że to Abeloth przeżyła upadek w szczelinę; potem uciekły spod niego nogi i poleciał na twarz.

Odgął się do tyłu i zdołał przewrócić się na plecy, zanim upadł na kamienną posadzkę.

Abeloth skoczyła na niego. Skórę miała osmaloną i pokrytą pęcherzami; jedyną nogą, jaka jej pozostała, oplótła obydwie jego nogi, a jedyną ręką chwyciła go za kark. Przytknęła mu skwierczący jeszcze kikut amputowanej ręki do gardła i mocno przycisnęła. Chrząstka zaczęła ustępować pod jej naporem. Luke wzmocnił krtań, posługując się Mocą, i spróbował zrzucić Abeloth.

Bez rezultatu. Abeloth była kilkanaście razy silniejsza od niego w Mocy, więc Luke mógł co najwyżej powstrzymać ją od zmiżdżenia mu gardła. Spróbował unieść kolano, ale stwierdził, że nie może nim ruszyć. Abeloth wyprostowała nogę, wywierając nacisk na jego staw kolanowy, i coś pękło z przytłumionym trzaskiem. Uderzył ją w bok ze zwielokrotnioną przez Moc siłą i usłyszał, jak pękają trzy żebra... jego pięść ugrzęzła między nimi. Poczul ostre paznokcie wbijające mu się w okolice ucha i głowę przeszył mu rozdzierający ból. Wsunął wyłączony miecz świetlny pomiędzy ich ciała i przytknął emiter do brzucha Abeloth. Wcisnął przycisk włącznika i zobaczył, że klinga wysuwa się z drugiej strony.

Mimo to przeciwniczka wciąż się trzymała; przywarła do niego niczym samozaciskająca się linka. Wydawało się, że nie da rady jej zrzucić, a jednak Luke wiedział, że musi to zrobić. W

przeciwnym razie zginąłby, zabierając ze sobą Bena. Sięgnął poprzez Moc, szukając czegokolwiek, co mogłoby mu pomóc; potrzebował chociaż sekundy na kontratak.

Kilka poduszek poderwało się z rzędów siedzeń i spadło na nich, nie czyniąc żadnej krzywdy. Luke szukał dalej, aż wyczuł coś ciężkiego, unoszącego się nad sceną. Gruda roztopionego żaru poszybowała ku nim, spadła na plecy Abeloth i rozbryznęła się po podłodze, zasypując twarz i rękę Luke'a palącymi kropelkami.

Z ust Abeloth wydobyło się zwielokrotnione wycie, przenikliwe, donośne i nieludzkie. Z jej pleców buchały kłęby tłustego dymu, a powietrze wypełnił obrzydliwy odór zwęglonej skóry.

Rozżarzona magma wypaliła dziurę w ciele Abeloth i zaczęła przypiekać Luke'a. Słyszał

skwierczenie w jej klatce piersiowej. Każda normalna istota już by skończyła, jednak Abeloth najwyraźniej żyła w Mocy w nie mniejszym stopniu niż w postaci fizycznej. Wykorzystywała teraz Moc do ożywienia ciała, które powinno być już w agonii.

W końcu nacisk na gardło Luke'a osłabi - nieznacznie, ale przynajmniej mógł zaczerpnąć powietrza. To dało mu nadzieję, że przeżyje... a przynajmniej da radę walczyć jeszcze przez kilka chwil. Sięgnął Mocą wyżej, w kierunku stropu, i chwycił nią jedną z długich belek, które podtrzymywały dach.

Podciągnął się w ten sposób, próbując wstać. Oboje zaczęli się podnosić.

Abeloth pociągnęła go w przeciwną stronę i opadli z powrotem na podłogę. Luke otworzył

się szerzej na Moc, przywołując swoją miłość do Bena, do zmarłej żony i całego Zakonu Jedi.

Obrzydliwe miazmaty energii Ciemnej Strony wciąż wirowały wokół Abeloth, przyprawiając go o mdłości. Nareszcie Jasna Strona napłynęła ze wszystkich stron, ogarniając go jak ogień. Skóra Mistrza Jedi zaślniła złotym blaskiem - tryskając energią Mocy - i Luke poczuł, że oboje znów

zaczynają unosić się do góry. Abeloth zahamowała, sycząc gniewnie, i zawisła tuż nad podłogą.

Po chwili z trzaskiem opadli z powrotem, tak mocno, że Luke'owi odebrało dech. Abeloth runęła na niego, wbijając mu kikut ręki w gardło. Coś zachrząściło mu w krtani. Oddychał

chrapliwie, a miażdżąca ręka paniki ścisnęła mu serce.

Nagle z mroku nadleciała dwumetrowa belka i spadła Abeloth na plecy. Przygniotło to Luke'a z taką siłą, że omal nie zmiażdżyło mu klatki piersiowej. Po chwili kikut ześlizgnął się z gardła Luke'a. Abeloth zastygła w bezruchu, z twarzą przyciśniętą do jego policzka.

Luke podźwignął się, próbując ją z siebie zrzucić. Zabolało go w klatce piersiowej, ale nie dał rady, bo ciało Abeloth było przygwożdżone ciężką belką; prawdopodobnie miała zmiażdżony kręgosłup. Przycisnął miecz świetlny do jej boku, gdy nagle usłyszał głos Akanah:

- Luke, wybacz mi... - wyszeptała. - Ja nie... nic nie rozumiałam.

Jej ciałem wstrząsnął dreszcz, a kiedy uniosła głowę, w oczach błysnęły srebrne iskierki.

Włosy przybrały dawny złotawy odcień i zakryły twarz Luke'a, tworząc prywatny świat, w którym byli tylko oni. A po chwili jej usta rozszerzyły się tak, że sięgały od ucha do ucha.

Otworzyły się jeszcze szerzej, odsłaniając rząd kłów, i zaczęły się zbliżać do jego gardła.

Luke włączył miecz świetlny i przeciągnął syczącą klingę wzdłuż jej ciała. Abeloth wydała stłumiony okrzyk bólu; po chwili srebrny błysk w jej oczach zgasł, a głowa opadła na kamienną posadzkę.

Luke poczuł ukłucie żalu. Abeloth przejęła ciało Akanah, ale to Akanah zdołała wypowiedzieć ostatnie słowa, żeby ukoić jego sumienie. Wiedział, że nadal nie rozumie źródła potęgi Abeloth, ale za bardzo obawiał się o swojego syna, żeby teraz się nad tym zastanawiać. Ben wciąż walczył z Taalonem i Vestarą i, sądząc po strachu, jaki promieniował z jego aury w Mocy, nie szło mu najlepiej. Luke posłużył się Mocą, żeby odepchnąć ciężką belkę, po czym spróbował

się poderwać... ale o mało nie upadł, gdy ból zaatakował go ze zdwojoną siłą. Nie mógł oddychać, miał spuchnięte kolano, a w piersi czuł ucisk, co wskazywało, że może mieć złamany mostek.

Odnalazł Bena w pobliżu drzwi, jak frunął w zadymionym powietrzu ku Vestarze, kreśląc klingą szafirową spiralę. Dziewczyna, przygotowana do skoku, co chwila zmieniała pozycję, czekając na okazję, żeby dołączyć do Arcylorda. Luke wiedział, że nie wytrzyma długiej wyczerpującej walki, chwycił więc belkę, używając Mocy, i posłał ją w kierunku Taalona.

Atak powinien zaskoczyć Sitha, jednak Arcylord odwrócił się nagle i uniósł miecz świetlny, którym rozłupał belkę na dwoje. Jedna połówka minęła go, nie wyrządzając mu żadnej krzywdy, druga jednak trafiła Taalona między łopatki.

Zamiast przyjąć na siebie pełną siłę uderzenia, Arcylord przewrócił się i poleciał do przodu, koziółkując. Luke wyciągnął rękę w stronę Sitha i posłużył się Mocą, żeby przyspieszyć jego ruch i

rzucić nim o przeciwległą ścianę.

Licząc na to, że teraz już łatwo wykończy wroga, Luke przykucnął, żeby wybić się do skoku, jednak kolano się pod nim ugięło i omal nie upadł. Nie chciał jeszcze bardziej uszkodzić stawu, pokuśtykał więc za Taalonem, przywołując Moc, żeby odciążyć uszkodzoną nogę.

Posuwając się chwiejnym krokiem naprzód, obejrzał się na Bena i zazgrzytał ze złości zębami. Jego syn stosował technikę ofensywną, odpowiednią raczej do rozbrojenia niż do zabicia przeciwnika. Najwyraźniej był absolutnie pewny zwycięstwa Luke'a - albo wciąż zbyt zauroczony Vestarą, żeby dostrzec, jak niebezpiecznie byłoby okazać jej litość.

Zanim jednak Luke zdążył krzyknąć synowi, żeby ją wykończył, do sali wszedł ktoś nowy.

Z początku Luke widział niewiele więcej niż sylwetkę w drzwiach. Abeloth nie żyła, ale obawiał się, że to Sithowie odzyskali przytomność umysłu i spieszą Taalonowi na pomoc.

Jednak ta postać miała na sobie szatę bez rękawów, taką jakie nosili Fallanassi. Gdy weszła zamaszystym krokiem do sali, Luke zobaczył wydatne kości policzkowe i pełne usta. A kiedy rozpoznał orli nos i szare oczy, nie mógł uwierzyć własnym oczom.

- Callista?

Kobieta uśmiechnęła się, odsłaniając dwa rzędy drobnych, ostrych zębów.

- Można tak powiedzieć.

Luke zdrętwiał. Callista była jego dawną miłością i byłym Rycerzem Jedi. Od kiedy straciła łączność z Mocą, rozgoryczona, zniknęła z jego życia. Ostatni raz widział ją w Otchłani, kiedy ujawniła się jako jedna z niezliczonych ofiar Abeloth.

W miarę jak Callista się zbliżała, ujawniały się zaleczone blizny po ich poprzedniej bitwie -

wypalone piętna pozostawione przez błyskawice Mocy Sithów i blade nacięcia od mieczów świetlnych. Abeloth, uzmysłowił sobie Luke, używała tego samego ciała, z którym on i Sithowie walczyli w Otchłani.

A jednak kobieta, którą właśnie uśmiercił, też była Abeloth. Nie istniało inne wytłumaczenie dla potęgi, jaką dysponowała. Obie były Abeloth.

Luke podupadł na duchu. Czy będzie miał siłę zabić ją... jeszcze raz? A nawet gdyby mu się to udało, ile razy mogła jeszcze powrócić? Nie chcąc dać się złapać w pobliżu sceny, ruszył, utykając, w kierunku drugiej części sali.

- Ile masz ciał? - zapytał.

- Więcej, niż potrafisz zabić. - Oczy Callisty zabłysły, pewnie z radości, jaką sprawiała jej

świadomość, że przeraża Luke'a. Zaczęła się do niego zbliżać. - Zapewniam cię, że...

Nagle zadygotała i stała się tym samym ohydny stworem z mackami zamiast rąk, z którym walczyli w Otchłani. Znów miała jasne, opadające kaskadą włosy i zapadnięte oczka z maleńkimi srebrnymi źrenicami. Mało przypominała człowieka. Luke uniósł rękę i zaatakował ją podmuchem energii Mocy, jednak zdołał ją zatrzymać tylko na pół sekundy, zanim zrobiła kolejny krok.

Poczuł nagły dreszcz zwiastujący niebezpieczeństwo i ledwie zdążył uskoczyć przed rozwidloną błyskawicą Mocy. Zdał sobie sprawę, że przemiana Abeloth miała głównie na celu odwrócenie jego uwagi. Postanowił ruszyć na Taalona - ale wtedy Abeloth zaatakowała go od tyłu.

Owinęła mackami jego szyję, ręce i nogi, a potem szarpnęła mocno, wyginając mu ramiona.

Wyrwała Luke'owi z ręki miecz świetlny i tak mocno ścisnęła obolałe gardło, że zaczął tracić wzrok.

Taalon podźwignął się z trudem, tak wyczerpany i osłabiony, że nie był w stanie biec.

Podszedł do Luke'a i bez wahania przytknął emiter niezapalonego miecza świetlnego do jego boku.

Abeloth odwróciła się w jego stronę i klinga Taalona obudziła się do życia, nie czyniąc Luke'owi krzywdy.

- Nie - powiedziała. - Najpierw musisz coś dla mnie zrobić.

Luke zauważył, że Taalon marszczy z konsternacją brwi.

- Skywalker zabił już jedno z twoich ciał - przypomniał jej Arcylord. - Na pewno chcesz mu dać szansę, żeby zabił kolejne?

- Chcę tego, co mi obiecałeś. - Abeloth ruszyła w głąb sali, gdzie na skraju sceny spoczywało jej drugie ciało, Akanah. - Życzę sobie, żeby Luke Skywalker cierpiał tak, jak my cierpieliśmy.

Konsternacja na lawendowej twarzy Taalona zmieniła się w wyraz zrozumienia. Spojrzał w drugą stronę, gdzie walka między młodymi rozgorzała ze zdwojoną siłą; Vestara robiła wszystko, żeby Ben nie mógł pospieszyć ojcu z pomocą.

Luke poszukał syna w Mocy i kazał mu uciekać.

Poczuł na uchu gorący oddech Abeloth.

- Nie ma ucieczki, Luke. - Mówiła teraz głosem Callisty, tak zimnym i mściwym, że poczuł lód w żołądku. - Ani dla ciebie... ani dla twojego syna.

Zaniosła go tam, gdzie leżało nadpalone, pogruhotane ciało Akanah ze zmiażdżonymi plecami. Luke

postanowił spróbować jeszcze raz. Sięgnął Mocą w kierunku stropu - i... natychmiast macki Abeloth zacisnęły mu się wokół szyi. Poczł, że spada, jak przez sen usłyszał łoskot walącego się dachu.

Ale to był tylko sen, a on spadał coraz głębiej... i głębiej...

### ROZDZIAŁ 33

Kiedy Luke się obudził, wciąż był w pozycji pionowej, wciąż oddychał chrapliwie i wciąż tkwił w objęciach Abeloth. Taalon stał kilka metrów od niego, w sąsiedniej części sceny. U jego stóp leżał Ben, zwijając się z bólu, uwięziony w sieci energii Mocy. Za nim stała Vestara.

Wyglądała na wyczerpaną, poturbowaną, ale także - ku zaskoczeniu Luke'a - wyraźnie przestraszona i smutną. Nawet Gavar Khai został przyniesiony na skraj sceny, chociaż w dalszym ciągu był nieprzytomny i jęczał, nękany wywołanymi przez Fallanassich koszmarami.

- Jesteś słaby, a to dlatego, że dawno nie jadłeś - mówiła do Taalona Abeloth. - Śmiertelnicy muszą jeść, prawda?

- Oczywiście. - W głosie Taalona słyhać było zniecierpliwienie, ale także strach. - Tylko że odkąd wpadłem do Sadzawki Wiedzy, wszystko zwracam. Ta woda musiała być zatruta.

- A wasi uzdrowiciele nie potrafią znaleźć antytoksyny?

Taalon pokręcił głową.

- Przeprowadzili wszelkie znane badania.

Podczas gdy oni rozmawiali, Luke rozglądał się po otoczeniu, szukając jakiegoś wyjścia z sytuacji, które nie wymagałoby zalania ich wszystkich magmą przy użyciu Mocy. Ale jednocześnie pilnie słuhał ich rozmowy. Jeśli on i Ben mieli przeżyć - a był zdeterminowany, żeby tak się stało -

wszystko, co Abeloth mówiła Taalonowi, mogło być kluczem do jej zniszczenia.

Abeloth nie odpowiadała, a Taalon mówił dalej:

- Nic nie znaleźli.

- Jak sądzisz, dlaczego? - spytała Abeloth. - Zanurzyłeś się w Sadzawce Wiedzy, mój drogi.

Czy naprawdę nie znasz odpowiedzi? Czy może boisz się ją poznać?

Taalon zmarszczył czoło, a w jego oczach zaczęło pojawiać się zrozumienie... i przerażenie.

- Ja... ja... - Spojrzał na Abeloth. Jego lawendowa twarz była teraz tak blada, że miała niemal odcień alabastru. Wreszcie spytał: - Jak to się stało?

Macka na szyi Luke'a zacisnęła się mocniej i znów zaczął tracić wzrok.

- Najpierw twoja obietnica - powiedziała Abeloth. - Luke nas zdradził i musi za to zapłacić.

- Jak sobie życzysz - odparł Taalon.

Arcylord spojrział na Bena, który nadal wił się u jego stóp. Sieć Mocy zaczęła się zaciskać, a Ben wytrzeszczył ze zdumienia oczy. Przez chwilę zdawał się bardziej zaskoczony niż zaniepokojony tym, co się dzieje. A potem jego skóra zaczęła ustępować. Zdziwienie chłopca zamieniło się w strach, gdy zdał sobie sprawę, że sieć będzie się zaciskać dalej, aż cieniutkie wiązki energii przetną ciało i poszatkują go na kawałki.

Luke nie mógł znieść myśli, że Ben umrze tak potworną i bolesną śmiercią, wiedział jednak, że niewiele może zrobić, żeby temu zapobiec. Gdyby teraz spróbował przywołać Moc, Abeloth natychmiast zacisnęłaby silniej mackę i Luke pogrążyłby się w mroku. Ogarnęła go rozpacz, a macka na jego szyi zdrząła z rozkoszy. Abeloth karmiła się jego strachem, tak samo jak strachem dotkniętych zarazą Pydyrian. Podsycala nim swoją energię Ciemnej Strony i wykorzystywała do uleczenia straszliwych ran, jakich doznała, kiedy Luke zabił jej pozostałe dwa ciała.

Na skórze Bena pojawiły się cienkie krwawe linie, gdy sieć zaczęła wbijać mu się w ciało.

Widać było, że cierpi, ale udało mu się spojrzeć Luke'owi w oczy.

- Nie martw się, tato - powiedział przez zaciśnięte zęby, wyraźnie walcząc z łamiącym się głosem. - Mam... plan.

Te słowa były tak niedorzeczne i nieoczekiwane, że Luke wybuchnąłby śmiechem... gdyby nie był prawie nieprzytomny z przerażenia. Robił wszystko, żeby nie okazać strachu przed Benem -

nie chciał, żeby zgroza na twarzy ojca była ostatnią rzeczą, jaką jego syn zobaczy w życiu.

Wychrypiał więc tylko przez obolałe gardło:

- Mam nadzieję, że dobry.

Ben się uśmiechnął.

- Nie bój się, tato. - Obejrzał się przez ramię, ale Luke nie dostrzegł tam nic, co mogłoby mu się przydać. Jedyne Vestarę, która stała tuż za Benem z niewzruszoną miną. - Jest super.

Taalon, słysząc go, zachichotał złowieszczo.

- Czyżby? W takim razie muszę to szybko załatwić. - Spojrział na Abeloth. - Zanim młody Skywalker ucieknie i zabije nas oboje.

- Jeszcze nie. - Abeloth podeszła do Taalona i stanęła tak blisko niego, że stykali się ramionami. - Jeszcze z nim nie skończyliśmy.

Jedna z jej macek wślizgnęła mu się na pierś. Taalon otworzył szeroko oczy i odchylił



głowę do tyłu. Macka wpełzała coraz wyżej; jej koniec wślizgnął mu się do ust i zaczął pulsować.

Na twarzy Taalona w miejsce odrazy pojawiło się zaskoczenie; nachylił się i zaczął chciwie ssać.

- *Stang!* - mruknął Ben z miną pełną obrzydzenia. - Zabijcie mnie lepiej.

Znowu obejrzał się przez ramię i Luke zrozumiał, że chłopiec rzeczywiście stara się zwrócić jego uwagę na Vestarę.

Nie mógł w to uwierzyć. Znajdowali się obaj o krok od śmierci, praktycznie bezbronni, a jego syn liczył na to, że ocali ich Sithanka która zdradziła ich już kilkakrotnie. Luke miał ochotę się rozpłakać. Był pewien, że lepiej wychował Bena.

Taalon ssał zapamiętale i z każdą chwilą wyglądał lepiej. Już nie był wynędzniały. Jego źrenice zmieniły się w maleńkie światełka. Luke aż wzdrygnął się na myśl, że też mógłby tak skończyć, gdyby dał się przekonać Wędrowcom Umysłów i napił się z Fontanny Siły albo wykąpał

w Sadzawce Wiedzy. Istniały w galaktyce potworności, które niwelowały wszystkie zdobycze cywilizacji. Zło istniało przed założeniem pierwszego miasta - i pozostanie po zburzeniu ostatniego.

Teraz Taalon patrzył, jak cienkie strużki krwi wzbierają na skórze Bena, w miarę jak sieć Mocy się zaciska. Chłopiec przewrócił oczami i syknął przez zęby. Arcylord przytrzymał mackę i zaczął pić jeszcze bardziej łapczywie.

- Strach da ci siłę - zachęcała go Abeloth. - Strach jest pokarmem bogów. Pij do syta, a potem...

Luke sięgnął poprzez Moc do belek na suficie, w nadziei że uda mu się wykorzystać chwilę nieuwagi Abeloth - i pociągnął. Zaraz jednak macka zacisnęła się mocniej. Pociemniało mu przed oczami. Kolana się pod nim ugięły i znów poczuł, że spada.

Ale nie przestawał ciągnąć.

Podłoga zawibrowała od lawiny spadających dachówek i wsporników. Płaski i twardy przedmiot rozbił się Luke'owi na ramieniu, a coś lekkiego i podłużnego odbiło mu się od głowy.

Macka na jego szyi rozluźniła się, a po chwili usłyszał charakterystyczne skwierczenie keshirskiego miecza świetlnego.

Spróbował się wyrwać... ale stwierdził, że wciąż oplatają go macki Abeloth. Odzyskał

jednak wzrok i zobaczył kaskadę dachówek i wsporników, bombardujących Abeloth i wszystkich obecnych.

Zobaczył także szkarłatną klingę zagłębianą w piersi Taalona. Właściciel miecza poruszył

nim raz i drugi dla pewności. Kiedy pozbawione życia ciało Arcylorda runęło na podłogę, zaskoczony Luke stwierdził, że dzierżąca rękojęść dłoń należy do Vestary.

Po chwili dziewczyna przeleciała, koziółkując, przez całą salę. Cios był tak szybki, że Luke nie zorientował się nawet, czym Vestara została trafiona, dopóki macka Abeloth nie powróciła, żeby znów owinać się wokół jego przedramienia.

W tej samej chwili zakrwawiony Ben, którego śmierć Taalona oswobodziła z sieci Mocy, rzucił się do ataku. Uchylił się przed błyskawicznym ciosem macki i potężnym kopniakiem z półobrotu zwałił Abeloth z nóg, zanim zdążyła uderzyć po raz drugi.

Luke z konieczności runął razem z nią, ale przy okazji walnął ją głową w twarz, a potem wbił łokcie w żebra. Ciosy najwyraźniej ją oszołomiły, bo nagle zyskał przestrzeń do walki.

Chwycił mackę, która otaczała jego szyję, i pociągnął ją dalej od swojego syna, tak żeby Abeloth musiała go puścić - lub odwrócić się plecami.

Uwolniła teraz Luke'a, który poderwał się z trudem. Rzęził i kasłał, kłuło go w piersiach, a kolana drżały z bólu.

Abeloth nacierała teraz na jego syna. Kiedy Ben wyciągnął rękę, żeby przywołać miecz świetlny Taalona, chwyciła go macką za nadgarstek i przyciągnęła do siebie.

Luke sam przywołał broń i prawie jednocześnie ruszył do ataku. Gdy klinga obudziła się do życia, opadała już na obojczyk Abeloth.

Abeloth jednak nie poddawała się łatwo. Odwróciła się gwałtownie, podsuwając pod miecz trzymanego za przegub Bena. Luke mógł jedynie zmienić trajektorię ciosu, żeby nie rozłupać głowy syna. Mimo to zderzyli się obaj i poturlali razem w stronę ognistej rozpadliny w scenie.

Luke jedną ręką trzymał syna, a drugą spróbował chwycić się poprzez Moc frontowej ściany. Udało im się zatrzymać na pierwszym rzędzie siedzeń, nogami do dołu i przodem do Abeloth.

Trudno było uwierzyć, że kiedykolwiek była czymś innym niż potworem. W jej oczach płonął biały ogień, szerokie usta pełne były ostrych kłów. Macki wyrastające z jedyne ramienia miały się w dzikim tańcu; był to manewr obronny albo zwykła oznaka furii. Otaczał ją sięgający do kolan pierścień energii Mocy, która jakby wypływała z jej rany.

Luke sięgnął do pasa i, tak jak się spodziewał, nie znalazł tam swojego miecza świetlnego.

Nie odrywając wzroku od Abeloth, zapytał:

- Ben, czy wiesz, gdzie jest twój miecz świetlny?

- Eee...wiem.

- Ale ty go nie masz?

- Taalon go zabrał - odparł Ben. - A twój?

- Nie mam pojęcia. - Luke podał synowi miecz świetlny Taalona, jedyny, jaki im został. -

Czekaj na mój znak.

- Jakbym się gdzieś bez ciebie wybierał.

Ruszyli powoli, każdy w inną stronę, żeby zmusić Abeloth do podzielenia uwagi. Luke odetchnął z ulgą, widząc, że przeciwniczka nie pali się do walki bardziej niż oni, przynajmniej na razie. Rozumiał jednak, że pomimo dotkliwych ran Abeloth odzyska siły znacznie szybciej niż jakikolwiek człowiek... nawet Jedi.

Skywalkerowie byli oddaleni od siebie o jakieś pięć metrów, gdy z drugiej strony sceny dobiegło skwierczenie zapalanego miecza świetlnego. Luke zaklął pod nosem i zaryzykował

spojrzenie w tym kierunku, spodziewając się kolejnej zdrady. Okazało się jednak, że to Vestara rzuca w jego stronę swój miecz świetlny.

- Biegiem! - krzyknęła.

Wyciągnęła obie ręce ku Abeloth, wypuszczając na nią rozwidloną błyskawicę Mocy. Luke otrząsnął się z pierwszego szoku i nadstawił dłoń, żeby chwycić jej miecz, po czym ruszył do przodu tak szybko, jak tylko pozwalało mu zranione kolano.

I nagle jakby wpadł na ścianę gęstej energii Mocy. W jednej chwili pędził naprzód, sięgając w Moc, żeby porozumieć się z Benem, a w następnej stał nieruchomo, patrząc, jak Abeloth wybiega chwiejnym krokiem z sali; kręciło mu się w głowie i dzwoniło w uszach.

Zdołał jeszcze ustać parę sekund - to wystarczyło, żeby upewnić się, że Abeloth nie wróci.

Jeszcze raz udało się ją zranić wystarczająco ciężko, żeby zmusić do ucieczki. Potem kolano ugięło się pod nim i upadł na podłogę, zwiijając się z bólu.

Ben natychmiast podbiegł do ojca i wyciągnął zestaw medyczny z sakwy przy pasku.

- Tato! Nic ci nie jest?

- Przeżyję. - Luke popatrzył na pokrwawione ciało syna. Ben potrzebował co najmniej kilograma balsamu z bacty i dwóch litrów osocza. - A ty? Coś cię boli?

- Przyjemne to nie jest - odparł Ben. - Ale rany są tylko powierzchowne, chociaż rzeczywiście dużo ich.

Luke usłyszał cichy jęk po drugiej stronie sceny. Stwierdził, że to Gavar Khai z wolna odzyskuje przytomność, co mogło oznaczać, że Fallanassi nie znajdowali się już pod wpływem Abeloth. Spojrzał w kierunku drzwi, zastanawiając się, co stało się z Sithami na zewnątrz. Potem podał rękę Benowi, żeby pomógł mu wstać.

- Zbierajmy się - powiedział. - Powinniśmy się pospieszyć, jeśli chcemy wrócić na „Cień” w jednym kawałku.

- Chyba możecie o tym zapomnieć - wtrąciła Vestara, zbliżając się do nich. Zatrzymała się poza zasięgiem miecza świetlnego i dodała: - Musielibyście najpierw uciec z niewoli Sithów.

Ben odwrócił szybko głowę.

- Z niewoli? - syknął.

Vestara wskazała na drzwi.

- Mamy przytłaczającą przewagę liczebną, gdybyście zapomnieli. - Wyciągnęła rękę w ich stronę. - Lepiej oddajcie broń. Nie chcemy żadnych nieporozumień, kiedy was wyprowadzę.

Luke westchnął i spojrzał na Bena.

- Świetny plan. - Spróbował dosięgnąć Gavara Khai poprzez Moc i zwrócić jego uwagę na ich rozmowę. - Przekabacić Sithankę, żeby zabiła Arcylorda... dobra robota. Dać się jej znowu oszukać... to już gorzej.

- Ben wcale mnie nie przekabacił - zaprotestowała Vestara. - Musiałam to zrobić.

- Bo nie mogłaś patrzeć, jak cierpię? - Ben mówił beztruskim tonem, co oznaczało, że zrozumiał, o co chodzi Luke'owi. - Wiedziałem, że się we mnie...

- Nie bądź śmieszny - przerwała mu Vestara. - To było zupełnie oczywiste. Abeloth zrobiła sobie z Taalona tresowane zwierzątko. To nie mogło przynieść Sithom nic dobrego.

- Vestara? - jęknął Gavar Khai. Wstał i ruszył ku nim, szukając swojego miecza. - Naprawdę zabiłaś Arcylorda Taalona?

Vestara wypuściła gwałtownie powietrze.

- Och, *criik!* - Popatrzyła w sufit, pewnie życząc obu Skywalkerom powolnej śmierci.

Rzuciła jeszcze Luke'owi gniewne spojrzenie i wyciągnęła ręką w stronę Gavara Khai. - To tylko sen, ojciec. Śpij dalej.

Powaliła Khaia podmucha Mocą, który rzucił nim o ścianę, aż padł bezwładnie na podłogę, Vestara przyglądała mu się przez chwilę, żeby upewnić się, czy oddycha, po czym spuściła w zamyśleniu wzrok.

- To jak będzie, Ves? - spytał Ben, rzucając jej uśmiech tak ostentacyjny bezczelny, że wujek Han mógłby być z niego dumny. - Zaczekasz na wyrok Sithów, zabijesz własnego ojca czy pomożesz uciec Skywalkerom?

Vestara westchnęła ciężko, wyciągnęła z kieszeni płaszcz parę znajomo wyglądających mieczów świetlnych i odwróciła się twarzą do nich.

- Nie mogliście mnie po prostu ogłuszyć? - Oddała broń prawowitym właścicielom i popatrzyła na Bena spod przymrużonych powiek. - A jeśli myślisz, że zrobiłam to dla ciebie, to się grubo mylisz. Ostatni raz ratuję Jedi.

## ROZDZIAŁ 34

Skywalkerowie i Vestara byli jakieś pięćdziesiąt metrów od „Cienia”, gdy oszołomieni Sithowie zaczęli wracać do wioski - posiniaczeni, w podartych szatach. Większość z nich wyglądała jak po bijatyce w kantine, a nie po ucieczce przed iluzorycznymi duchami. Niektórzy odnieśli poważniejsze urazy - zdarzały się otwarte złamania i rozbite twarze, typowe dla upadków z wysokości. Wszyscy bez wyjątku na skutek traumy mieli mętne, szeroko otwarte oczy; zachowywali się tak nerwowo, że co jakiś czas słychać było trzask krzyżowanych mieczy świetlnych, gdy wpadali na siebie niespodziewanie.

- Nie jest dobrze - powiedziała Vestara. - Dochodzą do siebie.

- Zachowuj się naturalnie - poradził Ben. - Wszystko będzie dobrze, jeśli nie zwrócimy na siebie uwagi.

- To prawda - zgodził się Luke. Jedną ręką opierał się o ramię Bena. - Oni jeszcze nie wiedzą, że Taalon nie żyje, więc nie mają powodów podejrzać, że coś jest nie tak.

W głosie Luke'a była pewność i spokój; prawdopodobnie czuł ten sam przyływ ufności, który obmywał Bena. To ktoś, kogo znali, dodawał im otuchy poprzez Moc; próbował przekazać, że pomoc jest już w drodze. Dotyk nie był na tyle znajomy, żeby Ben go rozpoznał, ale podejrzewał, że ojciec doskonale wie, kto stara się nawiązać z nimi kontakt - i czy jest blisko. Ben miał tylko nadzieję, że nie jest to kolejna iluzja Fallanassich.

Kolano Luke'a znów się pod nim ugięło. Ben syknął z bólu, gdy ojciec ścisnął jego pokaleczone ramię, ale nie skarżył się - był wdzięczny losowi, że w ogóle ma przy sobie ojca.

- Nie zatrzymujmy się - nalegał Luke. - Już prawie dochodzimy.

- W tym właśnie problem, że prawie - mruknęła Vestara. Ponad dwudziestu Sithów kręciło się już po wiosce i niektórzy zwracali otępiełe oczy w stronę Skywalkerów. - Nie pozwolą nam wejść na pokład bez Taalona albo mojego ojca. Może lepiej się gdzieś ukryć i liczyć na to, że nie znajdą ciała Arcylorda?

- Nie możemy czekać - przypomniał Luke. Wskazał podbródkiem na przeciwległy koniec wyspy, gdzie pokryta czerwonymi żyłkami sfera Statku wzbijała się właśnie w niebo. - Abeloth odlatuje. To dlatego Fallanassi przestali zabijać intruzów.

Vestara zmarszczyła brwi.

- I co z tego?

- To, że możemy za nią polecieć - odparł Luke.

- I co z tego wyniknie? - Vestara przyjrzała się krytycznie obu Skywalkerom i dodała: - Wy się do walki za bardzo nie nadajecie, a jeśli sądzicie, że zaatakuję ją sama...

- Na pewno tak nie myślimy - przerwał jej Luke. Byli już trzydzieści metrów od „Cienia”; tymczasem szczupły Sith rasy Keshiri o ciemnofioletowych oczach i alabastrowych włosach ruszył

w ich stronę, gestami przywołując innych. - Po prostu musimy to zakończyć.

Vestara popatrzyła na niego jak na wariata.

- Dlaczego? - spytała. - Założmy, że uda wam się zabić Abeloth... jeszcze raz. I co dalej?

- Tato, Vestara ma trochę racji - zauważył Ben. Przychodził mu do głowy tylko jeden powód, dla którego ciężko ranna Abeloth chciałaby uciec od Fallanassich, i nie chodziło wcale o to, że Skywalkerowie mogli dojść do siebie szybciej niż ona. Musiała obawiać się walki z kimś nowym. - Zabicie Abeloth jakoś niewiele daje.

- Ale to ją osłabia - odparował Luke. - A dzięki temu chroni Jedi ze Schroniska.

Ta świadomość uderzyła Bena niczym blasterowa błyskawica. Podobnie jak ojciec i wszyscy inni, tak i on zakładał, że wyzdrowienie Rycerzy Jedi było związane ze śmiercią pierwszego ciała Abeloth. Kiedy jednak okazało się, że Abeloth wciąż żyje, nie zastanawiał się nad tym, dlaczego ci Jedi są w dalszym ciągu zdrowi. Odpowiedź była zapewne taka, jaką zasugerował

jego ojciec - po zniszczeniu pierwszego ciała Abeloth była zbyt słaba, żeby osiągnąć Jedi ze Schroniska. Jednak nabrawszy sił, z całą pewnością spróbowałaby ponownie - zwłaszcza gdyby mogła ich wykorzystać przeciwko Zakonowi.

A na razie jedynie Skywalkerowie mieli możliwość ją śledzić. Jego ojciec przelał

wystarczająco dużo krwi, żeby wykorzystać do tego rytuał dathomirskiego krwawego znamienia.

Gdyby jednak to nie zadziało, musieliby ją śledzić, analizując jej skoki w nadprzestrzeń - a w tym celu musieli być wystarczająco blisko, żeby zarejestrować każdy z nich.

Dumny z hartu ducha i dalekowzroczości swojego ojca, Ben obejrzał się przez ramię na Sithów.

- Trochę to potrwa, prawda?

Luke uśmiechnął się ciepło.

- Obawiam się, że tak, synu. - Odwrócił się w stronę Vestary. - Pisziesz się na to? Możesz przecież zostać tutaj... z rodziną i przyjaciółmi.

Vestara uniosła brwi.

- Pozwolilibyście mi na to?

- Niezależnie od motywów, ocaliłaś Benowi życie - odparł Luke. - Myślę, że mogę ci darować... ten jeden raz.

Vestara rozważała propozycję przez jakieś dziesięć kroków, po czym popatrzyła z ukosa na Luke'a.

- Czy to jakiś test, Mistrzu Skywalkerze?

Ben zadawał sobie to samo pytanie; uważał, że ojciec za nic nie chciałby dopuścić, żeby Vestara powtórzyła komuś to, co usłyszała o królowej Jedi. Chociaż... po namyśle stwierdził, że Abeloth nie ujawniła niczego, czego Taalon już wcześniej nie wiedział - potwierdziła jedynie, że królowa Jedi miała objąć tron, którego pożądali Sithowie.

- Jeśli przyjmę twoją propozycję - ciągnęła Vestara - ile czasu przeżyję?

Luke zachichotał.

- To nie w moim stylu - powiedział. - Możesz zostać, jeśli chcesz ryzykować konfrontację z Sithami. Ale jeśli masz lecieć z nami, to nie jako więzień. Będziemy mieli aż nadto problemów, żeby jeszcze przejmować się tobą. Więc jeśli masz zostać z nami, to dlatego, że tego chcesz.

Ben zaczął podejrzewać, że jego ojciec doznał w czasie walki wstrząśnienia mózgu.

- Eee... tato, przecież wiesz, że to nie nas chciała uratować, zabijając Taalona, prawda? -

spytał. - Po prostu nie chciała dopuścić, żeby Abeloth wykorzystwała Arcylorda do przejęcia kontroli nad Sithami.

- Ale nie zrobiła nic złego, Ben. - Mówiąc to, nie odrywał wzroku od Vestary. - Najwyżej oszczędziła galaktyce jeszcze jednej takiej istoty jak Abeloth.

Fioletowooki Keshiri ruszył nagle, żeby przeciąć im drogę, a tuż za nim podążył jeszcze tuzin Sithów. Vestara obserwowała ich przez chwilę, a wreszcie spuściła głowę.

- Dziękuję, że dałeś mi wybór, Mistrzu Skywalkerze. - Mówiła tak cicho, że Ben ledwo ją słyszał. - Wiedz jednak, że skoro zabiłam kogoś o znacznie wyższej pozycji, stanę się obiektem ataków na wiele lat, o ile przeżyję te początkowe. Chyba lepiej mi będzie z wami niż wśród swoich.

Serce Bena podskoczyło z radości. Nie ufał Vestarze, ale przyszło mu do głowy, że może naprawdę uda mu się przeciągnąć ją na Jasną Stronę.

- To jak, lecisz z nami? - zapytał, szczerząc zęby w uśmiechu.

Vestara westchnęła z irytacją.

- To nie znaczy, że się w tobie zakochałam, Benie Skywalkerze. - Zanim zdążył

odpowiedzieć, wskazała ruchem głowy na zbliżającą się grupę. - A teraz chyba już czas pobiec do „Cienia”.

Zanim Ben zdążył przypomnieć jej o zranionej nodze ojca, odezwał się Luke:

- Lepiej nie. Bieganie sprowokuje walkę, a walka zabierze nam jeszcze więcej czasu.

- Czy wy, Jedi, wszyscy jesteście szaleni? - warknęła Vestara.

Ben już miał wziąć jej stronę, gdy zauważył słuchawkę w uchu Keshiriego. Sith, idąc, mówił coś do laryngofonu i rzucał niepewne spojrzenia w niebo, a Moc wibrowała od jego paniki.

- Mistrzu Skywalkerze, to nasza jedyna szansa - upierała się Vestara. - Mają przewagę liczebną, i to dużą.

- Wcale nie. - Ben spojrzał w niebo. Nie widział jeszcze śladów odsieczy, ale wiedział, że nic nie zobaczy, dopóki nie znajdą się na miejscu. - Zaufaj mi.

- Zaufać ci? A dlaczego? - odparowała Vestara. - Naprawdę jesteś szalony.

Zanim Ben zdołał jej cokolwiek wytłumaczyć, grupa Sithów rozproszyła się, zagrządzając im drogę. Fioletowooki przywódca wystąpił naprzód i spiorunował wzrokiem Vestarę.

- Muszę porozmawiać z Arcylordem Taalonem. Gdzie on jest?

Vestara wzruszyła ramionami.

- Przykro mi, Mistrzu Vhool, nie...

- Znajdziecie Lorda Taalona w sali zgromadzeń - wtrącił Luke, wskazując na drzwi za ich plecami. - Razem z Gavarem Khai. Stoczyliśmy tam ciężką walkę z Abeloth.

Keshiri otworzył szeroko oczy.

- Czy z Lordem Taalonem wszystko w porządku?

- Na tyle, na ile można oczekiwać w tych okolicznościach - oświadczył ostrożnie Ben.

Spojrzał w stronę „Cienia”. - To mój ojciec i ja potrzebujemy pomocy medycznej. Musimy się tam dostać.

- To będzie musiało poczekać. - Keshiri, Mistrz Vhool, odwrócił się w stronę Vestary. -

Umiesz obsługiwać ich statek?



Vestara uniosła brwi.

- Będę potrzebowała ich pomocy, żeby dostać się do środka.

Ben zorientował się po wyrazie oczu Vhoola, że ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył, było dwóch Jedi w pobliżu stanowiska łączności. A miało to sens jedynie wtedy, gdy podejrzenia Bena były słuszne i pomoc faktycznie była już w drodze.

- To nic trudnego, Vestaro - odezwał się do Sithanki. Uwolnił myśli i skierował je w stronę

„Cienia”, używając Mocy do zwolnienia rygła ukrytego wewnątrz włazu. - Dotknij tylko panelu kontrolnego. Właz sam się otworzy.

Vhool przyjrzał się uważnie Benowi, po czym oznajmił:

- Taka gotowość do współpracy właśnie ocaliła ci życie, Jedi.

Ben wzruszył ramionami.

- Hej, w końcu jesteśmy po tej samej stronie - powiedział. - Prawda?

- Oczywiście. - Ton Vhoola był chłodny, Ben jednak zrozumiał, że ten wybieg pozwolił im zyskać odrobinę czasu. Sith zwrócił się ponownie do Vestary: - Przygotuj statek do startu.

Odlecimy, jak tylko wrócę z twoim ojcem i Arcylordem Taalonem.

Vestara zamrugała nerwowo, ale odezwała się opanowanym tonem:

- Wedle rozkazu, Mistrzu Vhool. - Spojrzała na Bena. - Powinnam coś wiedzieć na temat procedur startowych?

- Tylko jedno. - Ben uśmiechnął się szeroko. - Lepiej nie odlatuj bez nas.

Vestara stłumiła uśmiech, którego Ben nie potrafił rozszyfrować, i skinęła szorstko głową w kierunku Vhoola.

- To oczywiście będzie zależeć od woli Arcylorda Taalona.

Pospieszyła do „Cienia” i przyłożyła dłoń do panelu kontrolnego. Gdy właz się otworzył, Vhool zwrócił się do Luke’a:

- Ty i twój syn zaczekacie tu na decyzję Arcylorda Taalona.

Wysłał trzech swoich towarzyszy po resztę Sithów, a pozostałym rozkazał czekać z Benem i Lukiem.

- Traktujcie ich jak sojuszników, dopóki będą się zachowywać jak sojusznicy - polecił. - Ale jeśli

zechcą zrobić coś podejrzanego...

- Dlaczego mielibyśmy zachowywać się tak głupio? - wtrącił Luke. - Czy coś się stało?

- Nic, co mogłoby was obchodzić. - Vhool cały czas mimowolnie zerkał na niebo. - My, Sithowie, jesteśmy po prostu ostrożni z natury.

Keshiri odwrócił się w stronę sali, a po chwili silniki repulsorowe „Cienia Jade” obudziły się do życia. Ben nie zdziwiłby się, widząc, jak gwiazdny jacht odrywa się od ziemi i Vestara ucieka samotnie.

Teraz uchyliła się pokrywa luku pod dziobem. Niektórzy z Sithów pilnujących Luke’a i Bena odwrócili się na ten dźwięk i patrzyli z konsternacją na wysuwające się działko blasterowe.

- Oho, znowu to samo - rzucił od niechcenia Ben, przewracając oczami. - Pomyliła guziki.

To najwyraźniej uspokoiło Sithów - dopóki nieba nie rozświetlił nagły błysk. Ben spojrzał

w górę i zobaczył srebrną, świetlistą kulę niemal dokładnie nad ich głowami. Po chwili pojawiła się druga, a potem trzecia - wszystkie eksplodowały z charakterystycznym rozbłyskiem torpedy protonowej. Za nimi podążyła lawina eksplozji wtórnych, wypełniając niebo skłębionymi jezorami ognia. Z góry opadały błyskające, kolorowe wiązki, a także fragmenty rozpadających się statków i myśliwców, których walki przenosiły się nad powierzchnię planety.

StealthX-y przybyły - w samą porę.

Ben spojrzał na ojca, wypatrując sygnału, że już pora chwycić za miecz świetlny. Jednak Luke Skywalker wpatrywał się tylko w niebo; wyglądał na smutnego i zmęczonego. Benowi wydawało się przez chwilę, że bitwa źle się układa dla Jedi i że Wielki Mistrz wyczuwa ból i strach swoich umierających towarzyszy.

Nagle pojawiła się kolejna seria błysków, nieco na prawo, i Ben zdał sobie sprawę, że jego ojciec wcale nie patrzy na bitwę. Koncentrował się na ich celu, bez wątpienia próbując namierzyć Abeloth i Statek, i zorientować się, dokąd się kierują. Na niebie pojawiły się dwa stealthX-y, pikujące w pogoni za sześcioma przestarzałymi oszczepami. Z ich działek popłynęły laserowe wiązki i pierwsze dwa Oszczepy runęły do morza. A wtedy z domu zgromadzeń dobiegł wzburzony głos:

- Zatrzymać Vestarę Khai! - Po chwili usłyszeli tupot nóg Vhoola, zmierzając w stronę

„Cienia”. - Ona zabiła...

Ben nie usłyszał reszty oskarżenia, bo poczuł dotyk Vestary poprzez Moc. Nagle ogarnęło go silne pragnienie ukrycia się.

Pociągnął ojca i padli na ziemię, rozplaszczając się tak bardzo, jak tylko się dało. Sekundę później przemknęła nad nimi seria strzałów z działka, mijając ich dosłownie o centymetry; w powietrze wyleciała fontanna krwi i kawałki zwęglonych ciał Sithów.

Zanim ogień z działka ustał, obaj Skywalkerowie mieli już miecze świetlne w dłoniach.

Luke poderwał się pierwszy, zapalił klingę i pokonał ostatnie piętnaście metrów do „Cienia”, podskakując na jednej nodze i pomagając sobie Mocą. Ben szedł tuż za nim, osłaniając tyły i starając się nie patrzeć na zwęglone szczątki ich strażników.

„Cień” odrywał się już od ziemi, gdy wskoczyli na rampę. Ben musiał nawet posłużyć się Mocą, żeby przywrzeć do jej pochyłości, kiedy Vestara obróciła statek i pomknęła w górę. Ojciec chwycił go za rękę i wciągnął na pokład. Wreszcie odetchnął z ulgą i uderzył w panel kontrolny, zamykając właz.

- To już drugi raz - odezwał się do syna.

Ben skinął głową. Wiedział, co ojciec ma na myśli: że Vestara dwukrotnie ocaliła im życie.

- Może sobie zaprzeczać sto razy - uśmiechnął się. - Ale zdecydowanie się we mnie zakochała.

Zanim Luke zdążył zaprotestować, przez interkom rozległ się głos Vestary.

- Może byście mi trochę pomogli? - zaproponowała. - Nie znam kodów dostępu, a na łączach jest jakiś gamoń, który chce natychmiast rozmawiać z Mistrzem Skywalkerem.

- Już idziemy - odparł Luke.

Miał ochotę pogrozić Benowi palcem, ale westchnął tylko i ruszył przodem.

Weszli do kabiny, kiedy „Cień” opuszczał atmosferę. Przestrzeń na sterburcie mieniła się kolorowymi smugami i rozkwitającymi eksplozjami kosmicznej bitwy. Szybki rzut oka na monitor taktyczny drugiego pilota pozwolił im się zorientować, że Jedi mają sytuację pod kontrolą; pół

tuzina fregat Sithów mrugało już na czerwono, co oznaczało, że są unieszkodliwione, reszta zaś zaczynała się wycofywać. Na bakburcie majaczył jasnoczerwony klin starego gwiazdowego niszczyciela klasy Imperial II na tle srebrzystej poświaty księżyca Drewwa.

- *Stang!* - wykrztusił Ben. - To wygląda jak „Błędny Rycerz”!

- Zgadza się - potwierdziła Vestara. - To on grozi, że rozbije nas na atomy, jeśli natychmiast nie połączę go z twoim ojcem.

Sithanka wcisnęła przełącznik i z głośników w kabinie dobiegł znajomy głos Landa Calrissiana:

- Luke, stary druho, mam nadzieję, że to ty - powiedział. - Booster już rozgrzewa baterie turbolaserów.

- Owszem, to ja. - Luke usiadł w fotelu drugiego pilota i przesłał kod uwierzytelniający. -

Co wy tu, u licha, robicie?

- Organizujemy turniej sabaka - wyjaśnił Lando. - Jak już wejdiesz na pokład, nie uwierzysz, kto wygrywa.

- Chyba będziesz musiał mi powiedzieć już teraz. - Luke dał znak Benowi, żeby zajął fotel nawigatora, i dodał znaczącym tonem: - Lecimy za Abeloth i nie możemy pozwolić jej uciec.

- Masz chorobę kosmiczną?

Przez ten czas Ben włączył monitor taktyczny, po czym rozpoczął wyszukiwanie profilu Statku.

- Wnioskując z tego, co udało nam się przechwycić, macie za sobą parę ciężkich tygodni -

ciągnął Lando. - Wygląda na to, że przydałoby się wam parę dni w zbiorniku z bactą.

- To prawda - przyznał Luke. - Ale nie możemy zgubić Abeloth. A to znaczy, że muszę cały czas deptać jej po piętach. Ona próbuje wykorzystywać użytkowników Mocy, żeby ją chronili, a jeśli jej się uda...

Luke urwał, ale Lando dopowiedział sobie resztę.

- No tak... Yuuzhan Vongowie wyglądaliby przy niej jak podrzędne łobuzy. No ale macie teraz wsparcie. Bądźmy w kontakcie, później do was dołączymy.

- Dzięki - powiedział Luke.

Na monitorze taktycznym pojawił się kod Statku, który zawracał właśnie po przeciwnej stronie Almanii. Nie ulegało wątpliwości, że jak tylko oddali się od studni grawitacyjnej planety, skoczy w nadprzestrzeń. Ben wychylił się z fotela i wskazał na monitor taktyczny ojca.

- Słuchaj, namierzyliśmy Statek - powiadomił Mistrz Jedi Landa. - Musimy kończyć. Masz jakieś pół minuty, żeby przekazać mi najświeższe informacje.

- Zrozumiałem - powiedział Lando. - Jest parę rzeczy, o których powinieneś wiedzieć. Po pierwsze, dzieciaki Hornów są już w drodze do Świątyni.

Luke uniósł brwi.

- Dała ich wypuścić?

- Niezupełnie - odparł Lando. - Han i Leia trochę jej w tym pomogli. Po drugie, Kenth Hamner nie żyje.

Ta ostatnia wiadomość poraziła Bena niczym ogłuszająca wiązka, jego ojciec jednak zamknął tylko oczy i pokiwał głową.

- Wyczuwałem coś takiego.

- Nie chcę mówić o szczegółach przez komunikator.

- W porządku - powiedział Luke. - Później się dowiem. Mam rozumieć, że używamy

„Błędnego Rycerza” jako statku bazy dla stealthX-ów, ponieważ Daala nie jest skłonna do współpracy?

- Można tak powiedzieć - odparł Lando. - Właściwie nawet trzeba.

Luke się skrzywił.

- Rozumiem. - Ogromna błękitna tarcza planety Almanii zaczęła przesuwać się przed kabiną, gdy Vestara skierowała „Cień Jade” za Statkiem. - Mamy dziesięć sekund, Lando.

Skontaktuję się ze Świątynią najszybciej, jak się da. Coś jeszcze?

- Jest też dobra wiadomość - oznajmił Lando. - Wygląda na to, że Wynn Dorvan może pomyśleć o wcześniejszej emeryturze.

- Emeryturze? - Ben i Luke zadali to pytanie równocześnie.

- Owszem - potwierdził Lando. - Doszedł do stołu finałowego i jest murowanym faworytem do wygrania pierwszego wielkiego dobroczynnego turnieju sabaka Tendrando Arms.

## ROZDZIAŁ 35

Leia znalazła Sabę samą w wieżyczce na szczycie Świątyni. Stała niczym posąg, wpatrując się w roziskrzone w wieczornym mroku Coruscant. Barabelka miała ręce mocno splecione na plecach, jakby obawiała się, co mogłyby zrobić, gdyby puściła je swobodnie. Jej ramiona unosiły się i opadały w rytm oddechu, tak głośnego i równego, że słysząc go było po drugiej stronie wieżyczki. Nie chcąc przeszkadzać Mistrzynie w medytacji - mimo że miała się u niej zameldować -

Leia zatrzymała się przy wejściu i zaczęła na wezwanie, które miało nadejść za parę sekund.

- Nie róbmy ceregieli, Jedi Ssolo. - Chociaż Saba nadal wyglądała przez iluminator, jej głos zdawał się dobiegać zza ramienia Leii. - Przyjaźnimy się dosstatecznie długo, ona i ty.

- To prawda - przyznała Leia, podchodząc do Barabelki. - Ale przyjaźń polega też na tym, żeby wiedzieć, kiedy nie należy przeszkadzać.

- Czyżby? - Saba odwróciła się twarzą do niej i Leia zauważyła czerwone obwódki wokół

wąskich oczu Barabelki. - Naprawdę są chwile, kiedy ludzie nie cenią sobie towarzysztwa bliskich?

- Czasami - odparła Leia, przyglądając się uważnie twarzy Saby. - Na przykład kiedy płaczemy. Wolimy wtedy być sami.

Saba odsłoniła koniuszki kłów, co wyglądało na smutny uśmiech.

- Ssądzisz, że Barabelowie płaczą, Jedi Ssolo?

- Może i nie - powiedziała Leia, nie wiedząc, czy obraziła Sabę, czy raczej rozbawiła. - Ale czuję w Mocy, kiedy jest ci ciężko na sercu.

Saba spuściła głowę.

- Tak, dzisiaj ona czuje się, jakby miała na ssercu kamień. - Głowę miała nadal opuszczoną, ale podniosła wzrok, żeby popatrzeć na Leię. - Ssłyszałaś o Wielkim Misstrzu Hamnerze?

Leia przytaknęła.

- Przykro mi, że musiało do tego dojść. To nie była twoja wina.

- Więc czyja? - spytała Saba, przekrzywiając głowę. - To ona pozwoliła mu sspaść.

- Ale to Kenth zmusił cię do podjęcia tej decyzji - przypomniała jej Leia. - Gdybyś tego nie zrobiła, Luke i Ben byliby teraz w niewoli Sithów albo jeszcze gorzej. A Jedi nie mieliby jak znaleźć Abeloth. Podjęłaś właściwą decyzję.

Saba wzruszyła ramionami i wyjrzała znów przez transpastałową taflę.

- Misstrz Sskywalker znalazłby lepsze rozwiązanie.

- Ale Luke'a tam nie było, Mistrzynie - odparła Leia. - Nigdy się nie dowiemy, jak on by postąpił. Być może nie starałby się ocalić Kentha tak bardzo jak ty.

- On by nie musiał, Jedi Ssolo. Na tym polega różnica. - Rozplotła ręce i położyła dłoń na ramieniu Leii w nietypowym dla Barabelów geście poufałości. - Wielki Misstrz Hamner powinien mieć pogrzeb, tak jak Mara?

- Tak, sądzę, że tak - zastanowiła się Leia.

- Ona nie zna się na tych ssprawach - wyznała Saba. - Pomożesz jej go zorganizować?

- Myślę, że tak będzie najlepiej - zgodziła się Leia. Jako uczennica Jedi spędziła dostatecznie dużo czasu z Barabelami, żeby zrozumieć, że czując się odpowiedzialna za śmierć Kentha, Saba uznała za swój obowiązek odprawienie pośmiertnych obrzędów. - Zostaw to mnie. Ty będziesz miała wystarczająco dużo roboty z Daalą.

Ręka Saby, tak szeroka, że obejmowała całe plecy Leii, nagle zeszywniała.

- Tak, Daala siedzi podejrzenie cicho. Na pewno coś knuje.

Leia poczuła nagły ucisk w żołądku. To była zła strona ostatnich sukcesów Zakonu. Daala musiała

jakoś zareagować, a im mniej Jedi o tym wiedzieli, tym większe było prawdopodobieństwo, że jej reakcja będzie zabójcza i szokująca.

- A więc Jedi nie mają pojęcia, co planuje Daala? - spytała.

Saba pokręciła głową.

- Jeszcze nie. Ona nad tym pracuje.

- W takim razie... nie pomyślałaś o ewakuacji Świątyni? - zaproponowała Leia. - Im bardziej będziemy skomasowani...

Przerwało jej potężne uderzenie ogona Saby o podłogę.

- Porzucić gniazdo? - syknęła, odwracając się gwałtownie w stronę Leii. - Czy ona wyszkoliła ssnekketa?

Pamiętając, że lepiej nie cofać się przed Barabelami, Leia nachyliła się ku Sabie i przybrała bardziej stanowczy ton.

- Dobrze wiesz, że nie, Mistrzynie - powiedziała. - Ale to błąd taktyczny trzymać nas zgromadzonych w jednym miejscu. Wystarczy jeden pocisk z baradium, żeby wybić połowę Zakonu Jedi.

- Daala by to zrobiła? - Łuski Saby leżały płasko na policzkach, co było widowym znakiem, że czuje się zagrożona. - Użyłaby pocisku z baradium na Coruscant?

- Nie wiemy, do czego może posunąć się Daala. W tym problem - odparła Leia. -

Niewątpliwie robiła już gorsze rzeczy w przeszłości.

Saba odsunęła się od Leii z zadumą w oczach.

- Masz rację, Jedi Ssolo. Nie możemy pozwolić, żeby uderzyła pierwsza, nie wtedy, kiedy zagrożona jest nasza Świątynia. - Odwróciła się ponownie w stronę okna, marszcząc w zamyśleniu brwi. - Dziękuję, Jedi Ssolo. Twoje rady były przydatne.

Leia wiedziała, że to oznacza zgodę na odmeldowanie się, jednak pozostała na miejscu.

- Mistrzynie Sebatyne, nie chodziło mi o to, że powinniśmy...

- Ona wie, o co ci chodziło - przerwała jej Saba. - I nie ma zamiaru atakować Daali pierwsza.

- Ale nie pozwolisz też, żeby ona zaatakowała pierwsza? - upewniła się Leia. - A jeśli spróbuje, to czy Jedi ją powstrzymają?

- Nie - sprostowała Saba. - Jedi będą szybsi.

Leia milczała przez chwilę, kontemplując prostotę dyplomacji Barabelów: nie zaczynaj walki - wygrywaj ją.

- To balansowanie na bardzo cienkiej linii - stwierdziła w końcu. - Komuś z zewnątrz mogłoby się nawet wydawać, że w ogóle nie ma liny.

- Dlatego to my jesteśmy Jedi, a nie oni - odparła Saba. - I jesteśmy przyzwyczajeni do cienkich lin.

Leia uznała, że przedstawiła już swoje racje, i skłoniła głowę.

- Tak jest, Mistrzynie. Daj znać, proszę, jeśli będę mogła jeszcze w czymś pomóc.

Saba odprawiła ją skinieniem głowy, ale kiedy Leia ruszyła do wyjścia, dodała:

- Jeszt coś jeszcze, Jedi Ssolo. Czy przywódca Imperium już wyleciał?

- Chyba nie - powiedziała Leia. - Jaina chciała z nim wcześniej porozmawiać.

Saba pokiwała głową.

- To dobrze. Poproś Jainę, żeby mu zassugerowała, że powinien zostać trochę dłużej.

- Jeśli chcesz. Mogę zapytać dlaczego?

- Ona sądzi, że wiesz dlaczego, Jedi Ssolo.

- Chyba tak - przyznała Leia, kiwając głową. Nie chodziło o to, czy Daala zaatakuje, ale jak szybko to zrobi. A wedle wszelkiego prawdopodobieństwa oznaczało to, że powody, dla których Jag wycofał się z negocjacji, wkrótce staną się historią. - Poproszę Jainę... niech go przekona, żeby został jeszcze parę dni.

Zaczekała, aż Saba ponownie ją odprawi, po czym wyszła na korytarz, gdzie czekał Han, przechadzając się tam i z powrotem. Wziął ją pod rękę i ruszyli w kierunku windy. Wyraźnie się martwił, że się spóźnią.

- I co? - zapytał. - Jak z Sabą?

- Niedobrze - przyznała Leia. - Może nawet bardzo niedobrze. Nie radzi sobie najlepiej po tej całej historii z Kenthem.

- A kto sobie radzi? - spytał Han. - Nawet ja czuję się winny z powodu różnych rzeczy, które mu nagadałem.

- To coś więcej niż tylko poczucie winy. Ona chyba uważa, że to jej porażka jako przywódcy. - Doszli do windy i wsiedli do środka. - Nie jestem pewna, czy dobrze to rozumiem. To może być coś właściwego tylko Barabelom.



- W takim razie jestem pewien, że nie rozumiesz - stwierdził Han. - Nikt nie rozumie Barabelów poza samymi Barabelami. Szkoda, że nie ma tu Tesara i innych. Może oni coś by poradzili.

- Byłoby miło - zgodziła się Leia. - Ale skoro nic o nich nie mówiła...

- ...lepiej nie pytać, wiem - dokończył Han. - Masz jakieś podejrzenia, co planują?

Leia pokręciła głową.

- Nie bardzo. Saba dała do zrozumienia, że ktoś ma Daalę na oku. Może to oni?

Han podrapał się po brodzie.

- Brzmi logicznie - przyznał. - Barabelowie są całkiem niezli w tępieniu szkodników.

- Han! To okropne, co mówisz.

- No ale prawdziwe - odparował. - Nie mam racji?

Leia się uśmiechnęła.

- Masz - przyznała. Winda się zatrzymała i wysiedli na poziomie szpitalnym. - A skoro mowa o zaginionych potomkach...

- Właśnie z nią rozmawiałem - wtrącił Han, wymachując komunikatorem. - Poszła z Barvem eksplorować. Są już w drodze.

Leia zmarszczyła brwi.

- Eksplorować?

- Spokojnie. Allana to dziecko, musi się trochę pobawić - odparł Han. - Poza tym są cały czas w Świątyni... gdzieś.

- Nie podoba mi się to - stwierdziła Leia. - Zwłaszcza teraz, kiedy mamy tyle kłopotów z Daalą.

- Dobra, porozmawiam z nią - obiecał Han. - Ale nie martw się, na pewno jest już w drodze.

Nie chciałyby tego przegapić.

- *Bloah!* - Allana kopnęła włącz, cofnęła się i omal nie przewróciła o swojego nexu, Anji.

Oparła się ręką o ścianę, żeby nie upaść, odgarnęła wpadające do oczu włosy i niechcący rozsmarowała sobie na czole smar, kurz i całe mnóstwo innych rzeczy, o których wołała nie myśleć.

- Ten też ktoś zaspawał!

Anji zaczęła drapać w podstawę drzwi, a za plecami Allany rozległ się dudniący, niski głos

sugerujący w swojej ojczyściej ramoańskiej mowie, że być może małe dziewczynki nie powinny używać takich słów jak „bloah”. Allana odwróciła się i oświetliła prętem jarzeniowym szeroką zieloną twarz swojego najlepszego przyjaciela, Bazela Warva.

- Nie jestem małą dziewczynką, Barv - zaprotestowała. - Jestem sławnym ksenoarcheologiem, który bada świątynię mającą dwadzieścia pięć tysięcy lat.

Bazel znów zagrział, wyrażając przypuszczenie, że sławni ksenoarcheologowie też nie używają takich słów jak „bloah”.

- Pewnie nie - przyznała Allana. - Przynajmniej nie wtedy, gdy ktoś słyszy.

Spojrzała jeszcze raz na swój datapad, po czym zbliżyła pręt jarzeniowy do włazu, żeby sprawdzić jego numer.

- Ale te drzwi nie powinny być tak zabezpieczone. Lepiej otwórz je mieczem świetlnym.

Allana przesunęła pręt jarzeniowy wzdłuż jednej krawędzi włazu, oświetlając srebrzyste smugi dwóch spawów. Bazel pokręcił głową i stwierdził, że spawy wyglądają na świeże, co oznacza, że ktoś miał pewnie ważny powód, żeby zaspawać włącz.

- To dlaczego nie zapisali tego w dzienniku serwisowym? - Allana uniosła datapad nad głowę, żeby potężny Ramoanin mógł to zobaczyć. Wpatrywał się przez chwilę w ekran, po czym wyraził przypuszczenie, że ten, kto wykonał pracę, po prostu zapomniał to zgłosić.

Allana westchnęła i opuściła datapad.

- Posłuchaj, Barv, powrót naokoło zajmie nam godzinę. To znaczy, że ja będę miała kłopoty, a ty nie będziesz przy tym, jak rozmrażają Valina i Jysellę.

Bazel nic na to nie odpowiedział, Allana zaś zerknęła na niego kątem oka i dodała:

- A chciałbyś przy tym być, prawda? W końcu kiedy wszyscy inni włamywali się do więzienia, ty siedziałeś ze mną i z Anji...

Bazel przerwał jej, oświadczając, że pilnowanie jej i Anji było najważniejszą częścią całego planu. Leia i Taryn powtarzały mu to każda po trzy razy.

- Tak, jasne - powiedziała Allana. - Ale ty i Yaqeel należycie do Paczki. To znaczy, że musisz tam być, prawda?

Bazel westchnął, odsunął dziewczynkę za siebie swoją wielką łapą i zapalił miecz świetlny.

Dwie minuty później włącz był otwarty, a ze środka dochodził najokropniejszy smród, jaki Allana kiedykolwiek czuła. Anji oczywiście wskoczyła od razu do środka.

- *Stang!* - wykrztusiła Allana. - Co to za *poodoo*?

Tym razem Bazel nie upomniał jej za wyrażanie się. Pokręcił tylko głową i zapytał, czy chce wracać naokoło.

Allana zastanawiała się przez chwilę, po czym spojrzała na chronometr.

- Nie możemy - powiedziała. - I tak się spóźnimy.

Bazel tego się właśnie obawiał. Włączył własny pręt jarzeniowy, wziął głęboki oddech i wszedł przez właz do malutkiego, gorącego i wilgotnego pomieszczenia. Zatrzymał się na chwilę, penetrując je przy użyciu Mocy, a następnie poinformował Allanę, że w środku ktoś jest.

- Kto? - Obeszła jego potężne udo i, oświetlając sobie drogę prętem jarzeniowym, poszła przodem. - Halo?

Przed nimi coś zasyczało, potem zastukotało; Anji zaskomlała zaciekawiona. Po chwili światło z pręta jarzeniowego Allany padło na stos maleńkich kości gryzoni, równie wysoki jak ona.

Wiedziała, że to kości gryzoni, ponieważ wiele z małych ciałek miało jeszcze głowy, a niektóre kawałki futra. Anji zaczęła obgryzać jeden szkielecik.

Allana zatrzymała się gwałtownie. Nie odwracając się, zapytała cicho:

- Barv... widzisz to?

Spytał, czy ma na myśli gniazdo.

- Gniazdo? - powtórzyła. - To nie może być...

Allana urwała, bo kości zaczęły postukiwać i szeleścić. Anji zawyła przestraszona i odskoczyła. Allana cofnęła się i wpadła prosto na potężne kolano Bazela. Po chwili zza kości wyjrzały cztery duże głowy pokryte łuskami i popatrzyły na nią gniewnie oczami o wąskich, pionowych źrenicach. Anji zasyczała i schowała się za Bazelem.

- Tesar? - wykrztusiła Allana. - Dordi?

- I Wilyem, i Zal - dodała Zal.

- Amelia? - Tesar wydawał się równie zaskoczony jak ona. Spojrzał groźnie na Bazela i zapytał: - Jak nas znaleźliście?

Bazel zaczął zawile i nerwowo tłumaczyć, że próbował nauczyć Allanę odczytywać plany budynków, eksplorując podziemia Świątyni.

Allana uciszyła go ruchem ręki i powiedziała po prostu:

- Nie chcieliśmy. My tylko eksplorowaliśmy.

- Ekssplorowaliście? - zasyczał Tesar. - Nasze łowiska?

- Nie mówiliście nikomu, że są wasze - zaprotestowała Allana. - Po prostu zniknęliście.

Przez ten czas Tesar z pozostałą trójką Barabelów wypełzli z gniazda, odsłaniając kilka niewielkich zagłębień, w których Allana dostrzegła duże nakrapiane kule.

- Hej, to jaja! - Allana spojrzała na Tesara i spytała: - To wy je złożyliście?

Najwyraźniej było to niestosowne pytanie. W mgnieniu oka troje Barabelów zapaliło miecze świetlne i otoczyło ją i Bazela, który miał dość wycucia, żeby nie włączać własnej broni. Czwarta, Zal, chwyciła Anji za skórę na karku, nie zwracając uwagi na daremne próby rozwścieczonego nexu, który usiłował rozszarpać trzymającą go rękę.

- Teraz się dograłaś! - oznajmiła dziewczynce Dordi.

Allana przeniosła wzrok z Tesara na Dordi, ale Barabel to Barabel - samice wyglądały równie groźnie co samce.

- Eee... czy jest szansa, że dograłam się... czegoś dobrego?

- Może tak, może nie. - Wilyem chlasnął ogonem, rozrzucając naokoło małe ciała gryzoni.

- Zależy, jak na to spojrzeć.

Bazel zaburczał, pytając Wilyema, co ma na myśli. Barabelowie jednak nie rozumieli mowy Ramoan, więc zmrużyli tylko oczy i wyglądali tak, jakby zastanawiali się nad zjedzeniem go.

Allana spojrzała znów na Tesara.

- Zależy, jak spojrzeć na co?

- Na spędzenie tutaj najbliższych dwóch miesięcy - poinformował ją Tesar. - Po tym, jak widziałas gniazdo...

- I jaja - przypomniała mu Zal.

- I jaja - dodał Tesar - musisz zostać aż do ich wyklucia.

Allanie serce podeszło do gardła.

- Dwa miesiące? - wykrztusiła. - Nie możemy. Mama mnie zabije!

- Lepiej Jedi Solo niż on - powiedział złowieszczo Wilyem.

- I przynajmniej spędzisz wcześniej dwa przyjemne miesiące - zgodziła się Dordi. - Będzie fajnie. Możemy polować.

Allana zmarszczyła brwi i postukała w chronometr na swoim datapadzie.

- Nie rozumiecie. Barv i ja mamy być za piętnaście minut w szpitalu.

Tesar zabrał jej datapad i wrzucił do gniazda.

- Jemu jest przykro - powiedział. - Ale się sspóźnicie.

Barv wymruczał złowrogie ramoańskie ostrzeżenie, przysięgając na kły przodków, że będzie przy Valinie i Jyselli, kiedy się przebudzą.

Barabelowie oczywiście zignorowali świętą przysięgę, co było poważnym błędem. Po chwili zaskwierczały miecze świetlne, a Barv wyrzucił jednego Barabela przez właz za swoimi plecami. Zaczęło się robić nieciekawie.

Allana wzięła głęboki oddech, a potem przywołała Moc, tak jak uczyła ją matka, kiedy spotkały się ostatnim razem na Shedu Maad.

- Hej! - zawołała.

Pięć par zaskoczonych oczu skierowało się na nią. Allana poświeciła prętem jarzeniowym, chcąc się upewnić, że nikomu nie brakuje żadnej kończyny, po czym stanęła pośrodku i popatrzyła na nich.

- Możemy to jakoś rozwiązać.

Barabelowie popatrzyli z powątpiewaniem, a Bazel zamruczał, że nie ma zamiaru przegapić rozmrożenia, ale kiedy Allana spojrzała w oczy Tesarowi, Barabel niechętnie walnął swoim skróconym przed chwilą ogonem o brudny permabeton.

- Jak? - zapytał.

- Boicie się po prostu, że Barv i ja powiemy komuś o waszym gnieździe, tak? - spytała Allana. - Bo musicie mieć pewność, że nie zakradniemy się tutaj, żeby zjeść wasze jaja.

Barabelowie wymienili spojrzenia, przyjrzeni się podejrzliwie Bazelowi, aż w końcu powzięli decyzję.

- Nikt nie zje naszych jaj - oświadczył Wilyem. Rzucił ostrzegawcze spojrzenie Bazelowi. -

On dopilnuje, żeby tak się nie stało.

- Tak właśnie myślałam - powiedziała Allana. Kiedy królowa widzi postęp, musi to szybko wykorzystać; tak mawiała jej matka na temat prowadzenia negocjacji. - Więc chodzi po prostu o sekret. A gdybyśmy się wymienili?

- Wymienili? - spytała Dordi. - Czym?

- Sekretami - odparła Allana. - Ja wam powiem wielki sekret. Dzięki temu Barv i ja nikomu nie powiemy o waszym gnieździe, bo wtedy wy moglibyście zdradzić mój sekret.

Barabelowie spoglądali po sobie przez chwilę.

- To jest bardzo wielki ssekret? - spytała w końcu Zal. - Tak wielki jak nasze gniazdo?

Allana się uśmiechnęła.

- Możecie mi wierzyć. Jeśli go kiedykolwiek zdradzicie, to już nie żyję.

- Nie żyjesz? - powtórzył Tesar.

- Naprawdę nie żyję - potwierdziła Allana. - Najdalej w ciągu roku.

Barabelowie nie musieli nawet na siebie patrzeć. Pokiwali tylko głowami, a Dordi powiedziała:

- To wystarczająco wielki ssekret.

- Dobrze. - Allana odwróciła się w stronę Bazela. - Barv, wchodzisz w to?

Bazel przysiągł na kły swoich przodków, że nigdy nie wyjawia tego, czego dowiedział się w tym pomieszczeniu, nawet przed samym sobą. Barabelowie najwyraźniej zrozumieli ogólny przekaz i pokiwali głowami.

- No dobra, więc to tak. - Allana wiedziała, że to największe ryzyko, jakie kiedykolwiek podjęła, ale jej dziadek zawsze mówił, że kiedy rozdanie wygląda obiecująco, trzeba rzucić wszystkie żetony i mieć nadzieję. - Nie nazywam się Amelia i nie jestem wcale sierotą, a w każdym razie nie do końca...

Wyjaśniła Barabelom swoją sytuację ze wszystkimi szczegółami, wyjawiając, że jest w rzeczywistości córką Jacena Solo i królowej matki Tenel Ka.

Parę minut później ona, Bazel i Anji wjeżdżali windą na poziom szpitalny Świątyni Jedi.

Wszyscy pachnieli jak coś, co wypluła dianoga, i Allana była pewna, że oboje z Barvem zostaną porządnie odkażeni, zanim będą mogli opuścić poziom. Miała jedynie nadzieję, że zdąży przedtem zobaczyć, jak Valin i Jysella wychodzą z karbonitu.

Kiedy jechali na górę, Bazel zapytał, czy naprawdę nie nazywa się Amelia.

- Nie, Barv, już mówiłam, nazywam się Allana Solo - wytłumaczyła. - Ale nie możesz o tym nikomu powiedzieć. Musisz mnie nazywać Amelią.

Obiecał jej to, po czym spytał, czy Solo wiedzą o jej sekrecie.

- Oczywiście, że wiedzą - powiedziała. - Oni są jego częścią.

Bazel zapytał, czy może im o tym powiedzieć.

- Barv! - zganiła go. - Nikomu! Nie możesz nawet powiedzieć Yaqeel! O niczym, co tu się wydarzyło!

- Gdzie? - spytał Bazel.

Allana dała mu kuksańca w kolano, a potem drzwi windy się otworzyły i wyszli na poziom szpitalny. W sali na końcu korytarza zebrała się już niewielka grupka. Mistrz Horn i jego żona Mirax stali naprzeciwko siebie, każde przy noszach repulsorowych, na których umieszczono bloki karbonitu z ich zamrożonymi dziećmi. Mistrzynie Cilghal i jej asystentka Tekli stały między dwoma blokami, majstrując przy przełącznikach. Dziadkowie Allany czekali w kącie sali; mieli oczy pełne łez radości i nadziei.

U stóp jednego z bloków stała Yaqeel. Jej wrażliwy bothański nos zaczął się marszczyć i drgać, kiedy Allana, Anji i Bazel podeszli bliżej. Przez chwilę wydawało się, że Yaqeel rzuci jakąś dowcipną uwagę na temat ich zapachu albo chociaż zapyta, gdzie byli. Jednak Bothanka chwyciła tylko Bazela za rękę i przyciągnęła do siebie.

Allana wzięła Anji pod pachę i stanęła między swoimi dziadkami, którzy przysunęli się tylko do siebie i ani myśleli pytać ją, dlaczego tak brzydko pachnie. Han zmierzwił nawet jej brudne włosy.

- Cieszę się, że zdążyłaś, mała.

Allana spojrzała na niego i zobaczyła łzę na jego policzku. Uśmiechnęła się i popatrzyła ponownie na Hornów.

- Ja też.

Cilghal i Tekli wcisnęły jakieś guziki na blokach i rozległ się wysoki pisk. Czarna pokrywa z karbonitu wokół ciał Jyselli i Valina Hornów zaczęła się topić, a Allana poczuła w Mocy nagły przyływ radości.

- Ja też - powtórzyła tak cicho, że nikt nie usłyszał.

## **PODZIĘKOWANIA**

*Wiele osób przyczyniło się do powstania tej książki w niewielkim albo znacznym stopniu.*

*Chciałbym podziękować im wszystkim, a w szczególności Andrii Hayday za nieocenione sugestie i twórcze wsparcie. Na podziękowania zasługują także James Luceno, Leland Chee, Pablo Hidalgo, Erich Schoeneweiss, Keith Clayton, Christine Cabello, Scott Shannon, Frank Parisi i Carol Roeder*

*- za cenny wkład podczas sesji, na których dochodziło do burzy mózgów. Dziękuję także nieocenionym paniom redaktorkom Shelly Shapiro i Sue Rostom - za wszystko, począwszy od cierpliwości, poprzez wspaniałe pomysły, po najlepszą konwersację podczas obiadów i przepis na*

mojito. *Dziękuję także innym Autorom powieści z cyklu Los Jedi: Aaronowi Allstonowi i Christine Golden za wspaniałą współpracę, a także Laurze Jorstad za zwracanie uwagi nawet na drobne szczegóły. Jestem wdzięczny Davidowi Pomerico za to, że pociągi kursowały zgodnie z rozkładem, oraz wszystkim osobom z Lucasfilm i DelRey, dzięki którym pisanie powieści z cyklu Gwiezdne Wojny było taką przyjemnością. W końcu dziękuję również George'owi Lucasowi za to, że wpuszcł mnie i nas wszystkich do odległej galaktyki.*

## **Spis Treści**

### BOHATEROWIE POWIEŚCI

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18



ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

ROZDZIAŁ 34

ROZDZIAŁ 35

PODZIĘKOWANIA

# Table of Contents

[Rozpoczni](#)